

Krechowiecki Adam

NAJMŁODSI

Powieść

Tom I.

Część Pierwsza.

PIERWSZE LATA I WPLYWY.

Polaty się lzy me czyste rześiste.
Na me dziedzinstwo sielskie, anielskie.

I.

Wśród niezmierzonej przestrzeni stepowej rozsiadła się wielka,
rozległa wieś,
Oksaniną zwana. Dziwni ludzie, którzy tu zamieszkać chcieli! Jak
okiem zasięgnąć
pustka. Gdzieś tylko daleko za wsią majaczeją rzadkie drzewa, jedno
od drugiego
o kroków kilka. Stoją naprzeciw siebie i poważnie skłaniają od czasu
do czasu
szczytami swemi, szumiąc posepnie. Drzewa stare, ale się wszere nie
rozrosły,
tylko wystrzeliły ku niebu wysoko.

Zresztą oko niema gdzie spocząć, chyba na małym wzgórku wśród wioski, gdzie wzniesiono przed laty cerkiew obszerną, drewnianą, z wysoką dzwonnica. Dokoła tego wzgórka i cerkwi ciągną się szeregami chaty duże, porządne, z takimiż zabudowaniami gospo-

darskimi. Chaty jedna od drugiej oddzielone znaczną przestrzenią; miejsca Bóg dał wiele, to też ludzie nic szczydzili go sobie. Jest gdzie wznosić stogi zboża i siana, gdzie budować wielkie spichlerze, a co ważniejsza, jest co chować w tych spichrzach.

Bo ziemia to urodzajna nad podziw. Bez trudu niemal przynosi ona człowiekowi, czego mu tylko potrzeba, prace jego pierwotną, nie uczoną, wynagradzając stokrotnie.

Smutno tu, to prawda. Mieszkaniec górzystych lub lesistych okolic załamuje ręce, patrząc na to stepowe pustkowie. Ale bo on stepu tego nie widział może w jasny ranek wiosenny lub letni, gdy wszystkie kwiaty niezmiernych łąnów otworzą swe wonne kielichy ku promiennemu słońcu i przed zachwyconem okiem widza roztoczą różnolite swe barwy; gdy krople rosy na nich w tęczowych rozpromienia się blaskach: gdy powietrze napelni się upajającym zapachem tego kwiecia, ziół i zbóż dojrzewających. Wzrok twój biegnie po tej kwiecistej przestrzeni aż do krańców widnokregu, tam, kędy się on spływa w jedną całość z tym wzorzystym

kobiercem, tchnącym pełnią życia i siły urodzajnej.
Stoisz zachwycony, a wokół ciebie krąży cały świat motyli, koników
polnych,
latających owadów różnych o skrzydełkach przejrzystych, a
barwnych, jak kwiaty
na ziemi. Nad twoją głową świegoce wesołe ptactwo, gwarliwe a
śmiałe, swobodne
wśród niezmierzonej przestrzeni, usiadające ze znużenia nieraz u stóp
twoich i
zrywające się znów do lotu z hałaśliwym świegotem.

I tobie także pierś się rozszerza, oddychając tem upajającym
powietrzem stepu.
Z tych odgłosów, jakie wokół siebie słyszysz, ze świegotu ptactwa, co
się
dalekiem rozchodzi echem, z poświstu wichru, bujającego swobodnie,
z szumu
kolczastych burzanów i kłosów zboża kłaniających się ze szmerem
przez
rozstrzenie, tworzy się harmonia dziwna, która i w duszy twojej
rozbrzmiewa i
spływa się w ton melancholijnej dumki.
Rozumiesz w tej chwili tajemnicę tych pieśni, które się na tych
stepach rodzą;
rozumiesz tajemnicę tego przywiązania, które mieszkańcowi stepów
nie daje o nich
zapomnieć, nawet wśród najcudowniejszych tatrzańskich lub
alpejskich widoków.
Zniesie on z rezygnacją smutek jesieni i straszliwą pustkę zimową,
gdy wyschłe
tylko łodygi burzanów lub martwe ścierniska, albo nie przebyte zasy
śniegowe,
na kilka miesięcy go otoczą; zniesie on ten smutek, żyjąc nadzieją
rozkosznych
dni wiosennych i letnich, które po ciężkich dniach zimy nadejdą
znowu, pełne

czaru i woni, pełne słońca i ciepła.

A i smutek jesieni ma tu swój czar odrębny. W wieczór pogodny wiatr szumi

posepnie i roznosi w powietrzu, rozsnuwa na kolcach burzanów długie, białe pasma

pajęczyny, które barwami tęczy mienia się w blaskach różowych skłaniającego się

ku zachodowi słońca. Tarcza jego olbrzymia, czerwona, jak rozżarzone ognisko,

kłoni się coraz niżej i niczem nie skrywana, zapada, zda się, w ziemię, tam, u

kresu widnej przestrzeni stepowej. Kołyszą się ku temu słońcu, powiewem wiatru

poruszane, wysokie łądygi burzanów, ople-

cione pajęczyną jesienną, niby siecią, utkaną z różnobarwnych nitek jedwabnych.

Ptactwo szybuje w powietrzu, lot swój zniżając ku ziemi, znużone.

Urywany,

głośnym świegotem nawoływa się na spoczynek i szukając

schroniska, kupi się

gromadnie wokoło drzew przed chatami.

Słońce zapada coraz głębiej u krańców stepu; promienie jego,

oblewające przed

chwilą całą jeszcze przestrzeń, biegną coraz szybciej ku tarczy, do połowy już

skrytej, a zmierzch wieczorny biegnie tuż za nimi ściga je aż na niebieskiem

sklepieniu, które czerwoną mieni barwą, coraz to blednie, aż wreszcie ciemnym

oblewa się błękitem.

W zimie krajobraz się zmienia, a ma także swoje niezwykle piękności.

Nieraz już

w pierwszych dniach listopada spadają wielkie śniegi, a takich zawieruch, jakie

się zrywają na stepach, gdzieindziej pojąć nawet nie można.

Nie daj Boże wyjechać wówczas dalej w stepy, człek żywym-by nie
wrócił, a i
ciała jego by nie odszukano, bo rozszarpałyby je wilki zgłodniałe, lub
zasy
grubą warstwą pokryły. Nieustający wicher dzień i noc szaleje, że
świata bożego
nie dojrzeć; tylko ciągle niby mgła, biała a ostra, przysłania powietrze
—
czasem zaś jak zerwie się tuman śniegowy, zakręci w powietrzu i
rozsyple na
wszystkie strony z jękiem a hukiem, to w samo południe noc robi się
ciemna, a
człek tuli się do ogniska i prosi Boga, by wicher strzechy nie zerwał
lub chaty
nie zwałił.
Aż nareszcie, po kilku dniach takich, rozstępują

się chmury i tumany, wicher jęczeć przestaje i na wypogodzone niebo
wypływa
promienne słońce, odbijające się brylantowemi iskrami na białym, jak
puch
śniegu.
Oczy mrużyć musi, kto spojrzy na te cuda... Wieś cała wygląda jak
oszańcowany
obóz, każda chata zdaje się być fortecą z wysokimi wałami, które ją
otaczają
dokoła, a nieraz wyżej dachu sięgają. Wąskie przekopy, codziennie z
wielkim
naprawiane trudem, jedyne stanowią przejście. Biedne drzewa
wyciągają połamane
swe gałęzie, na których grube warstwy zmarzniętego śniegu leżą,
naginając je ku
ziemi. Na dachach chat piętrzą się zasy fantastycznych kształtów;
jedne jak
baszty wysokie, drugie wydrażone siłą wichru, niby jaskinie — inne
znów smukłe

jak wieże. A wszystko to w słońcu jaskrawymi promienieje blaskami i
tając nieco,
pokrywa się kryształową lodu powłoką.
Poza wsią step znika. Powstaje na nim, jakby cmentarzysko, mogiła
za mogiłą.
Czasem dolina biała, równa, a potem kurhan wysoki; dalej znów
przepaście, fosy,
a na powierzchni szklistej, zamrożonej widać wyraźne ślady swawoli
wichru, jak
się po niej przesuwają smugami i podnosił tumany śniegu, które
wirowały chwilę w
powietrzu, a potem przypadły do ziemi i, schwyczone mrozem,
przyłgnęły.
I teraz jeszcze, chociaż słońce jasno świeci, nie podobna puszczać się
samemu w
te zaspę. Zabłąkać się i zginąć w nich można bez śladu. W dzień taki
zrana, po
zawierusze, całe szeregi sań długich, a wąskich i niskich, wyjeżdżają
ze wsi.
Ludzie w świtach i kozuchach, w wysokich czapkach baranieli z
szero-

kiemi klapami na uszy, siedzą na tych saniach i powoli, ostrożnie
torują drogę.
Step rozbrzmiewa echem okrzyków, zachęcających konie do trudnego
wśród zasp
pochodu.
— A ho! a wiii! a prr! — rozlegają się nawoływania.
I zwolna, zwolna posuwa się szereg sań po szklistej powierzchni,
torując szlak
nowy wśród pustyni. Czasem wstrzymuje się szereg cały wobec
większej przeszkody,
a wtedy słycać głośną naradę co do dalszego kierunku i chwilami
silny odgłos
uderzeń rąk, skostniałych z zimna, o ramiona, dla rozgrzania.

Oksanina jest wsią niezwykle stepową. Inne wsie sąsiednie, niedaleko Humania, chociaż otoczone stepami, same jednak tworzą niby lesiste oazy, tyle w nich drzew, tyle ogrodów wokoło każdej chaty. W Oksaninie, oprócz owego oddalonego i rzadkiego gaju, lasem nazywanego, oprócz niewielkiego ogrodu przy dworze, oprócz kilku topól i brzoź przy cerkwi i mieszkaniu parocha, niema prawie drzewka. Chaty otoczone sporemi ogrodami warzywnymi; gdzieniegdzie tylko u wejścia, na dziedzińcu wyrasta przed chatą jedno lub dwa drzewka, kalina albo grusza dzika. A takie sieroty nierozwijają się dobrze: pali je skwar w lecie, a gnie ku ziemi i łamie wichur zimowy.

— Taka twoja dola, jak oksanińskiej kaliny — mówią tam na oznaczenie sieroctwa i opuszczenia.

Przez całą długość wsi ciągnie się szeroka droga, z odnogami węższymi ku kościołowi, ku dworowi i karczmie. Ta ostatnia, duża, długa, z szerokiemi po

obu stronach wjazdowemi bramami, stoi w pośrodku wsi, na małej równinie i rozmiarami swojemi najprzód wpada w oko. W lecie, jak dzień długi, siedziała tu przed laty, na wystającej dokoła budynku szerokiej przyzbie, niemłoda żydówka, w szafirowej spódnicy i brudnej koszuli, robiąc na drutach pończochę. Obok niej bawiło się kilku małych żydziaków, półnagich, krzycząc głośno, a opodal stawał w milczeniu arendarz, poważny Icek

odziany również niedbale: w łątanych spodniach szarej barwy i kamizelce spłowiałej z rękawami, z pod której zwisały z boku i z tyłu długie, białe sznurki. Stał i patrzył melancholijnie przed siebie, lakonicznie witając podróżnych.

Poza wsią, ukryty między drzewami ogrodu, stoi dwór, duży, stary, a niekształtnej budowy. Część jego główna, wychodząca na obszerny dziedziniec, trawą i zielskiem zarosły, w ziemię wlaźła ze starości. Po obu stronach przybudowania nieco wyższe, wszakże o oknach małych i drzwiach niskich. Całość pod strzechą słomianą. W okół czuć pustkę i zaniedbanie.

Po lewej stronie dziedzińca widnieją zczerniałe ściany zabudowań gospodarskich, zupełnie snadź opuszczonych, bo nie widać tu nigdy żadnego ruchu. Tylko przed stajnią snuje się czasem postać parobka, w podartej siermiędze, prowadzącego dwa chude, mizerne konie do wody. Przed stajnią stoi tak zwane "bieda," wózek o dwóch kołach. Obok stajni wielka wozownia, zwykle na oścież otwarta, a obrócona snadź na skład niepotrzebnych rupieci. W kącie widać wysoką, starą

najtyczankę, bez koła, na bok przekrzywioną, wspartą na osi. Obok obszarpany kocz na stojących resorach, z powybijanymi oknami; jeszcze jeden wózek z dyszlem złamanym i nic więcej.

Jeżeli wieś sama jest smutna, to dwór ten i jego otoczenie wywierają wrażenie prawdziwie przygnębiające. Od bardzo dawnych czasów nikt w tym dworze nie

mieszkał, Właściele Oksaniny, państwo Czarnoszyńscy, mieli wspaniałą rezydencję o milę ztąd, a w Oksaninie rządził, około roku , samowładnie i niepodzielnie ekonom, pan Jędrzej. Sipajłło. I on wszakże w tym dworze nie mieszkał.

Na tak zwanym folwarku, wśród wsi położonym była siedziba ekonoma, powszechnie "panem rządcą" zwanego. Było tu daleko weselej i schludniej, niż we dworze.

Domek wprawdzie niewielki, ale nowszy i starannie utrzymany, otoczony był porządnymi zabudowaniami gospodarskimi, w około których panował ruch ciągły i żywy. W wozowni obok kilku mniejszych wózków i szarabanów, elegancki wcale powozik na resorach, którym pani Sipajłłowa wyjeżdżała co święto i niedziela do kościoła w Humaniu. W stajni stało kilkanaście koni rosłych, dobrze odżywionych i utrzymanych. Wreszcie i we wnętrzu urządzenie dworka, jakkolwiek skromne, znamionowało zasobność i pewną wykwinętą staranność, która była niepodzielną zasługą pani Sipajłłowej.

Obowiązki pana rządcy nie były zbyt trudne. Raz na kwartał udawał się on do głównej rezydencji swego jurysdatora, do Jurpola i zdawał z zarządu

rachunki. Wykazywały one zyski, więc w szczególności nikt też nie wchodził i nie brał za złe p. Jędrzejowi, ani się dziwił, że gospodarując od lat wielu w Oksaninie piękną uciulał fortunę. Mógł śmiało pomyśleć dzierzawie, a nawet kupnie kawałka ziemi.

Ale pan Sipajłło był praktyczny.

— Na co mi się narażać? — mawiał. — Na cudzem człek, proszę łaski... panie teo... pewniejszy. Dobrze jest — no, to dobrze. Źle? zdam — panie teo — rraport i basta!

Pan Sipajłło pisał rraport przez dwa r, dla większej, jak powiadał, mocy.

To przekonanie, że zdwojenie spółgłoski oznacza moc większą, objawiło się też i w pisowni nazwiska pana Jędrzeja, wraz z pewną w niem zmianą. Ekonom oksaniński nazywał się za czasów młodości Sapajłło; nagle na "rrraportash" podpisywać się zaczął Sipajłło.

Stało się to wkrótce po ożenieniu się pana Jędrzeja.

Ożenił się ze szlachcianką. Nazwisko jej rodu wymienia Niesiecki, ona zaś nie

sądziła nigdy, że będzie zmuszoną poślubić ekonoma. A jednak — fortuna kołem się toczy. Ojciec pani Natalii, niezamożny dzierżawca z okolic Oksaniny, zostawił

umierając, swoją jedynaczkę bez żadnego zaopatrzenia. Matka nie żyła już także,

więc dalsza rodzina wzięła z łaski sierotę i tę łaskę tak jej dotkliwie uczuć

dawała, że gdy p. Jędrzej, oczarowany piękniemi, czarnemi oczyma panny,

oświadczył się o jej rękę, biedna Natalka wahać się nie mogła. W chwili rozpaczy

zapomniała o Niesieckim

i tradycjach rodu i poślubiła ekonoma, aby się na swobodę wydostać. Źle na tem

nie wyszła. Pan Jędrzej, pomimo swej rubasznej prostoty, był dobrym, czułym i

troskliwym mężem, który umiał pozyskać, jeśli nie serce, to uznanie i przywiązanie tej nie złej w gruncie, lecz przez rodziców pieszczonej, a potem

dolą sierocą i łaską krewnych rozgoryczonej kobiety.

Pani Natalia przywiązała się do męża, chociaż nie zapomniała nigdy zupełnie o

straszonym "mezaliansie" i nie mogła przebaczyć mężowi jego dziwnie brzmiącego

nazwiska. To też zaraz w pierwszych latach pożycia, nazwisko to uległo zmianie,

którą kornem sercem przyjąć musiał i na "rraportach" zastosować p. Jędrzej.

O Sipajłach owych, wrzekomych przodkach męża, opowiadała odtąd pani Natalia

cudowne historie: jako to była w księstwie żmujdzkiem niegdyś bardzo znaczna

familia, o której w niewydanych herbarzach mnóstwo pięknych znajduje się rzeczy.

— Koleje losu, — mówiła, wznosząc ładne oczy ku sufitowi z westchnieniem —

koleje losu! mój dziadek stryjeczny, panie, był krakowskim kanonikiem, a

Sipajłowie trzęśli wtedy całą Żmujdzą.

— Nie trzęśli, jeno młócili i nie na żadnej Żmujdzi, proszę łaski — mruczał pan

Jędrzej, nie mogąc tak odrazu uwierzyć w świetność swego pochodzenia.

A jednak z czasem, jeśli nie uwierzył zupełnie to przywykł do tej myśli, i już

bez protestów lub drwinek, które w początkach pożycia nieraz do rozp
a

czy, a zawsze do migreny doprowadzały panią Natalię, przyjął to, że nagle pokój

bawialny ozdobiony został jakimś na strychu we dworze znalezionym portretem,

który, wedle twierdzenia pani Jędrzejowej, miał przedstawiać jednego
ze
znakomitych antecesorów rodu Sipajłów. Wizerunek to był
szlachcica o wąsie
sumiastym, groźnym wyrazie twarzy, w delii sobolowej.
Przybył później i ów znakomity kanonik, a wreszcie i brat kanonika,
w prostej
linii dziadek pani Natalii, mianowany przez nią starostą liwskim.
Gdy w parę lat po ślubie małżeństwo państwa Sipajłów
pobłogosławione zostało
potomkiem płci męskiej, rozczulona pani Natalia, trzymając w
powiciu kwilącą
przeraźliwie przyszlą ozdobę rodu, lubiła, zwłaszcza przy gościach,
upatrywać
podobieństwo potomka swego do tych portretów.
— Uważasz Drusiu — mówiła pieszczotliwie do męża — nasz Jurek
ma czoło
liwskiego starosty, usta kanonika, a nos Sipajłów.
— A hm... a hm — mrucał pan Jędrzej uśmiechnięty; kiwał głową,
wyraźnie nie
odpowiadał nic, a tylko gęstym dymem z fajki się otaczał.
Czasem jednak, gdy był kto z poufalszych gości, a pan Jędrzej w
dobrym czuł się
humorze, nie mógł się powstrzymać od żartu, i mrugając figlarnie
dużemi,
wypukłemi oczyma, szeptał na ucho, aby żona nie słyszała:
— Nie wierz, panie tego, ot bohomyzy!... ani to starosta, proszę łaski,
ani
kanonik, ani Sipajło. Czort wie kto, panie teo !

W miarę jednak, jak Jurek dorastał, pretensje rodowe małżonki
zaczęły coraz
bardziej dokuczać panu Jędrzejowi. Gniewało go to najwięcej, że pani
Natalia nie
umiała nigdy przejąć się należytemi uczuciami dla właścicieli
Oksaniny, państwa

Czarnoszyńskich, mówiła o nich nieraz z przekąsem, drwiąc z ich marnotrawnego gospodarstwa i wielkopańskich zwyczajów w Jurpolu.

— Przegospodarują oni to prędko! — mówiła z pewnem zawistnem zadowoleniem.

— A niechże Bóg broni! — wołał na to z oburzeniem pan Jędrzej, który od dziecka

będąc sługą Czarnoszyńskich, podobnie, jak jego dziad i ojciec, przywiązał się

do nich szczerze i serdecznie. — Nie godzi się nawet takich rzeczy mówić, panie

teo, zwłaszcza nam, którzy ich chleb jemy.

— A twoja praca? — przerywała pani Natalia — nic nie znaczy? Do żadnej

wdzięczności nie jesteśmy chyba obowiązani.

Ale na tym punkcie pan Jędrzej nie znosił dyskusji. Przechowywał on tradycyjną

cześć i przywiązanie do swoich państwa. Je/ci w zarządzie Oksaniny dbało swoje

przedewszystkiem dobro, a w raportach niezawsze trzymał się ściśle rzeczywiście

cyfr wydatków i dochodów, to uważał to niejako za naturalne zupełnie, dodatkowe

wynagrodzenie swoich zabiegów i pracy.

— Mają oni — myślał — niech mam i ja.. żona szlachcianka, panie teo, wymaga

różnych fanaberyj. Jurko, proszę łaski, eoraz większy drab, potrzebować

będzie dużo, na czarną godzinę też odłożyć trzeba... państwu to bagatel, a dla

nas majątek!

I takim rozumowaniem uspokajał buntujące się czasem sumienie.

Zresztą życie w Oksaninie płynęło równo, cicho, spokojnie. Można tu było

zapomnieć o świecie i dać o sobie zapomnieć. Żył się z dnia na dzień,
bez

wzruszeń i wrażeń, to też każdy większej wagi wypadek wrażał się na
zawsze w

pamięć mieszkańców i opowiadany był przez długie lata.

Około roku zaszedł właśnie taki wypadek, o którym dziś jeszcze
obiegają w

Oksaninie rozmaite legendy.

Był to dzień letni, pogodny. Słońce zniżało się już ku zachodowi. Od
strony

Kumania szła zwolna gromadka, złożona z mężczyzny, kobiety i
małej dziewczynki.

Mężczyzna był rosły, barczysty, odziany w kaftan długi, różniący się
nieco

krojem od zwykłych, w tej okolicy używanych siermiąg; był dłuższy,
wcięty w

pasie, z szerokimi, nieco fałdowanymi połami. Z pod wysokiej
czapki wyglądała

twarz o wybitnych rysach. Długa czarna broda, rozdzielona po środku,
oczy żywe,

bystre, przenikliwe, policzki mocno wystające, nadawały tej twarzy
cechę

charakterystyczną. Prawą ręką prowadził przytwierdzonego za
nozdrza do łańcucha

niedźwiedzia, a w lewej niósł wysoki kij żelazny, na którym się
wspierał.

Zwierzę szło zwolna, ociężale, z głową w dół

spuszczoną, widocznie znużone, senne. Dopiero, kiedy do wsi się
zbliżono,

niedźwiedź podniósł nieco łeb do góry, chrapy, przez które żelazne
ogniwo

łańcucha było przeciągnięte, rozdymał i ślepe oczy o zakrwawionych
białkach

otwierał szeroko, jakby niemi dopatrzeć chciał tego, co instynktem i
węchem

przeczuwał — bliskość sadyb ludzkich.
I naraz roztworzył paszczę i ryknął z pełnej piersi.
Chłop szarpnął silnie łańcuchem. Ryk niedźwiedzia przeszedł w jęk
bolu, a
zakończył się coraz cichszym, głębszym mručeniem, niby skargą.
Biedny ślepiec
spuścił znowu łeb do ziemi i szedł zwolna z rezygnacją niemą za
przewodnikiem
swoim, potykając się co krok na nierównej ścieżce, której garbów
widzieć nie
mógł. Chwilami, jakby z niecierpliwością, wstrząsnął wypłowiałymi
rudemi
kudłami, które bujne na grzbiecie, aż do skóry wydarte były na
bokach, znać od
częstych uderzeń żelaznego kija.
— Myś głodny — przemówiła ze współczuciem kobieta, idąca obok.
Była odziana jak zwykle wiejskie kobiety, ale połatana jej świta i
chustka
stara, spłowiała, związana na głowie, zdradzały ubóstwo. Pomimo
ciepła, drżała.
Od czasu do czasu dreszcz ją chwycił gwałtowny, a twarz zsiniała
świadczyła, że
krew w niej krzepła. Twarz ta była wychudzona, mizerna, a nosiła
ślady ciężkiego
cierpienia, zwłaszcza w oczach, które, mgłą zasnutę, podsiniąle, w
głęb zapadłe,
gasnąć się zdawały. Bezsilna, chwiejąc się na nogach, wyężdżając się

ostatek, wlokła się raczej niż szła i opierała się zlekka na grzbiecie
niedźwiedzia, którego kudły gładziła od czasu do czasu kościstą ręką.
— Psiawiara! — przerwał kacap. Nie głodny,
ino mu się iść nie chce. Nie głodna bestya! wy chyba Maryno, coście
od dwóch dni
nic w ustach nie mieli.
— Nie mogę jeść — Mykoło — nie mogę! — odrzekła

kobieta. Łamie mnie w rękach, w nogach i po całym ciele. Śmierć mnie już bierze.

— Matusiu! zawołało w tej chwili, z błagalną prośbą w głosie, idące obok dziewczę. Miało najwyżej lat dziesięć. Mizerne także było i wychudłe, ale młodość walczyła zwycięzko z głodem i nędzą. W koszulinie tylko i chustce starej, na krzyż na piersiach związanej, szła rażno, dużemi, ciemnymi, a bystremi oczyma patrząc przed siebie. Teraz te oczy, zwrócone ku matce, miały wyraz przejmującego lęku i rzewności.

— Ot nie gadalibyście głupstw, Maryno — wtrącił kacap po chwili. Wioska niedaleko, napijcie się kieliszek wódki, to i skrzepła krew się obudzi. — Zarobek lichy — dodał po chwili — czort nas zapędził w te strony! W Humaniu do miasta nas nie puszczono, a na przedmieściu nie zarobisz nic, ino się wszystkim opłacać trzeba.

Splunął ze złością.

Szli dalej w milczeniu. Dziewczyna przysunęła się do matki, która objęła ją czule ramieniem i tuląc ku sobie, spoglądała na nią przygasłemi oczyma.

— Ola ty moja — Ola! szeptała z cicha, wzdychając.

— Ej, Maryno — ozwał się znowu Mykoła — żebyście ino na prawdę tu nie zachorzezi, bo do Żytomierza dybać jeszcze daleko, a wam, jak mówicie, tam koniecznie potrzeba.

Kobieta nie odpowiedziała nic, a Mykoła spozierał na nią siwem okiem z podełba.

— Trzeba nam to było z chersońskiej gubernii aż tu się zawłóczyć —
ozwał się

znowu po przerwie, z widocznym niezadowoleniem. Tam człowiek
był przynajmniej
między swoimi, a tu ani zarobku, ani poratowania. Skaranie Boskie!
Splunął znów z gniewu.

— Zawróciliście mi głowę swoim gadaniem, a ja głupi uwierzył.
Włóczymy się,

jak burłaki, a z waszych obietnic czartu pociecha.

— Czekajcie Mykoła, czekajcie! — szepnęła kobieta, — niedługo się
przekonacie,
żem nie kłamała.

— Kiedy z was już grzeszna dusza wyłazi — przerwał Mykoła — a
tych waszych
bogactw, ani ojca, ani męża nie widać.

— Cicho! — zawołała żywo kobieta, zbliżając się do Mykoły i
błagalnym wzrokiem
wskazując na idącą obok dziewczynko — niech mała nie słyszy!..

— Dlaczego? — odburknął chłop, — albo to ona nie zna, że nie
muzyckie, ino
pańskie jest dziecko. Niech zna! a gdybyście zmarli, to niech ojca
szuka, ino

ślad wskażcie, bo z tego waszego gadania trudno dojść prawdy.
Mówiąc to Mykoła ciągle z podełba patrzył na Marynę, jakby z jej
twarzy wyczytać
chciał, czy w tem

mizernem ciele długo jeszcze dusza się utrzyma. Badanie to snadź nie
było

pomyślne, bo głową kiwał ciągle i spluwał od czasu do czasu.

Myśli jego pobiegły mimowoli w niezbyt daleką przeszłość. Przed
laty siedmiu,

czy ośmiu, poznał Marynę. Była to wówczas młoda i niezwykle
urodziwa kobieta.

Zkąd przybyła do małej wioski niedaleko Chersonii, Warwarówką
zwanej, nie

wiedział nikt. Jeden tylko stary Semen, u którego Maryna wraz z małym swem dzieckiem znalazła przytułek, wiedział zapewne, ale mówić nie chciał i ciekawe pytania opryskliwie zbywał.

— Czort wie z kąd... — mruzczał. — Przyszła z małym dzieckiem na rękę i wprosiła się na służbę. A niech tam siedzi. Sam jestem, to mi czasem pomoże. A żeby to Semen czynił z dobrego serca, w to nikt wierzyć nie chciał. Znano go w całej okolicy jako niebezpiecznego człowieka, który sumienie miał twardej jak kamień. Przed laty przybył on do Warwarówki, także nie wiadomo z kąd i nieznany nikomu. Miał on tu wprawdzie jednego krewniaka, który za młodu czumakował, a potem w Warwarówce ożenił się i osiadł, ale ten krewniak z Semenem żadnych stosunków mieć nie chciał i innych przed nim przestrzegał. — Zbójnik jest — mawiał — podpalacz! strzeżcie się go. Mykoła był synem owego Semenowego krewniaka. Nicpoń to był wielki, niespokojna dusza w nim się tłukła, pracować mu się nie chciało i żywot wiódł burłacki. To z czumakami w świat daleki chodził, to Bóg

wie gdzie się wałęsał, a nieraz zbiedzony i wygłodzony do domu wracał.

Raz przyszedłszy z takiej wędrówki, ujrzał Marynę i odrazu zachwyił się jej urodą. Odtąd wyrzekł się burłackiego życia, chciał osiąść w Warwarówce i do pracy się wziąć, byle poślubić Marynę. Ojcu swemu powiedzieć o tem nie śmiał, bo znał jego nienawiść do Semena i wszystkiego, co z nim jakkolwiek miało związek.

Maryna onieśmiałała go także, bo milcząca zawsze była,
nieprzystępna, a tak
smutna, jakby się w niewoli czuła. Tedy raz, w tajemnicy przed
ojcem, poszedł do
chaty Semena i przed nim się zwierzył.

— Zawadza wam może ta kobieta i jej dziecko — rzekł -to mi ją
dajcie, ja ją za
żonę wezmę.

Semen wielkie oczy wytrzeszczył, zęby w śmiechu szyderczym
pokazał i rzucił się
gniewnie.

— A ty psi synu! — krzyknął — ty, burłako jakiś. Ot! czego mu się
zachciewa!...

Maryna nie dla ciebie, bo ona już wzięta.

— Jakto — zawołał Mykoła — zameżna?

Semen białkami łypnął, zaśmiał się raz jeszcze przez zęby i nie rzekł
więcej

nic. A tak się od tej pory zawziął na Mykołę, że mu już swego
obejścia
przestąpić nie dawał.

— Pilnuj ty tam chaty swego ojca — wolał - bym jej kiedy nie
podpalił za to, że
mnie podpalaczem zwie!

Zrozpaczony Mykoła zaczął pić, a wreszcie zniknął ze wsi. Rzadko
kiedy odtąd

powracał i to na krótko, aby się tylko na Marynę zdaleka popatrzeć.

A serce mu się krajało z bólu, ile razy po dłuższej niebytności na nią
spojrzał.

Kobieta nikła w oczach, chudła, mizerniała, tylko oczy, w dół wpadłe,
lśniły się

jeszcze ogniem, który duszę Mykoły przepalał.

I znowu z rozpaczyny zaczynał pić, a potem uciekał.

Ludzie zaś we wsi różne opowiadali rzeczy.

Mówili, jako od czasu do czasu, raz w rok mniej więcej, przyjeżdżał
do Semenu ze

stron dalekich jakiś człowiek nieznany, ten sam, jak się domyślano,
który Maryno
tu przywiózł. Przyjeżdżał, odbywał z Semenem krótką naradę, kryjąc
się przed
kobietą i rychło wyjeżdżał.

— Przywozi grosz Semenowi — mówiono — boć przecie darmo on
tej kobiety nie
żywi, która niewiele robi, a bardzo płacze i tylko dziecko swoje pieści.
Raz wszakże Maryna, dopatrzawszy owego nieznanego człowieka,
dopadła go, gdy
wyjeżdżał w nocy i puściła się za nim w pogoń z krzykiem i jękiem.
Aż ludzie ze
snu obudzeni z chat powybiegali. Niejeden byłby chętnie dał pomoc
niebodze,
której widocznie jakaś działa się krzywda, ale każdy lękał się zemsty
Semena.

Niedarmo krewniak jego podpalaczem go zwał, a zdarzyło się też parę
razy w

Warwarówce, że chaty i dobytek tych, którzy mu się narazić śmieli,
szły z dymem.

Patrzano więc tylko na to zdaleka, jak Semen, dopędziwszy
uciekającą, ciągnął ją
napowrót do chaty.

Kobieta w głos jęczała.

— Oj dolaż moja, dola! oj główko moja biedna.

A zlitujcie się Semenie przez Boga żywego, puście mnie do swoich,
do ojca!

Semen wtrącił ją silnie do chaty, drzwi zatrzaskał i już tylko
stłumiony odgłos
łkania ztamtąd dochodził.

Odtąd Semen jeszcze surowszym był dla Maryny, a tak jej pilnował,
że z nikim
obcym słowa zamienić nie mogła. Na wszystkie jej prośby miał jedną
tylko
odpowiedź:

— Po mojej śmierci pójdiesz, gdzie zechcesz!
Ludzie, patrząc na nieszczęśliwą kobietę, kiwali ze współczuciem
głowami,
wzdychali głęboko, spoglądając na siebie, ale żadnej nie widzieli rady.
— Ano, dola — mówili — gorzka dola. Tak mijał dzień po dniu, rok
po roku.
Mała dziecina Maryny, którą ona Olgą zwała, i przybywszy do
Warwarówki. na
rękach jeszcze nosiła, liczyła już rok pewnie dziesiąty, gdy raz Semen
przywłókł
się z pola do chaty ledwie żywy. Wszedłszy, zatoczył się i padł całym
ciężarem
na pościel.
— Zła godzina przyszła.... — rzekł do Maryny. — Zdychać trzeba...
Dwa dni tak leżał, milcząc. Nie jadł nic, pił tylko wodę chciwie i
czasem
stęknął, a czerniał na twarzy jak ziemia.
Maryna chciała biedz po znachora, albo do parocha z pobliskiej
wioski, bo w
Warwarówce parafii nie było, ale Semen zaśmiał się tylko.
— Weź dziecko — rzekł — i zmykaj w świat, a mnie zostaw. Ani mi
znachor, ani
paroch nie po-

moje. Żyłem tyle lat sam, jak pies, tak i zginę. A gdy mi w oczach
bardzo
pociemnieje, to sobie zaświecę!
Maryna wzdrygnęła się. Przerazał ją Semen i jego dziwna mowa: tyle
lat
przecierpiała u niego, jak w niewoli, a jednak teraz żal jej się zrobiło
starca.
Usiadła przy nim i chciała wody mu podać.
Z niezwykłą siłą porwał się Semen z pościeli.
— Idź kiedy ci mówię, babo uparta! — krzyknął, a Bóg wie, z kądem się
wzięła ta

moc krzyku w rozbitej jego piersi, z której dobywało się złowrogie charczenie.

Sięgnął w zanadrze i wyjął podarty, brudny pieniądz papierowy, tak zwaną "bumażkę."

— Masz! — dodał, — dziesięć karbowańców na drogę. To ci wystarczy, abyś nie zdechła, jeśli cię wilki nie zjedzą, albo burłaki nie obrabują. — Więcej nie

dam, boby ci to nieszczęście przyniosło... za moimi pieniędzmi czarne djabły

chodzą.. Idź do swoich, a jeśli do nich trafisz, to powiedz im, że Semen już w

syrej ziemi... przysypany popiołem, jak podpalaczowi przystało...

Mówił urywanym głosem, jak w gorączce. Ostatnie słowa uwięzły mu w krtani,

wykrzywił usta i upadł na wznak, charcząc.

Marynę strach zdjął okrutny. Mała Olga ciągnęła ją za spódnicę, płacząc cicho.

Ona jeszcze się wahała. Stała w miejscu, patrząc na Semena i mnąc w dłoni dane

jej pieniądze.

Semen podniósł rękę, ścisnął ją w kułak i nic już nie mówiąc, pięścią Marynie

pogroził. Nawykła słuchać groźnego starca kobieta, schyliła głowę i powoli

wyszła z chaty. Na progu odwróciła się mimowolnie i spojrzała raz jeszcze na

Seinena.

Leżał ciągle na wznak, z oczyma otwartymi szeroko, a niespokojną ręką szarpał

koszulę na piersiach. — Matko przeczysta zmiłuj się! — szepnęła Maryna,

przeżegnała się i wyszła z chaty.

Był to już późny wieczór jesienny. Na niebie snuły się zwolna ciężkie,
jakby
ołowiane chmury; wiatr z głośnym chrzęstem poruszał gałęziami
drzew i miótł
suche liście po drodze. Nędzne chaty wioski, po obu stronach drogi, w
równym
szeregu stawiane, niskie lepianki kurne niknęły już w mroku.
Gdzieniegdzie z
dachu podnosił się gęsty dym czarny i wił się smugami w powietrzu.
Smutek
rozlany był dokoła, jakieś przygnębiające wrażenie wywierała ta cisza
wieczorna,
wśród otaczającej nędzy i pustki.
Maryna spoglądnęła dokoła i nagłym, rozpaczliwym ruchem chwyciła
w objęcia
rozplakane i przestraszone swe dziecię. Ale prócz tego uścisku,
żadnego słowa
pociechy dać mu nie mogła. Czarne myśli snuły się jej po głowie.
— Gdzie pójdę? — myślała — Wilki zjedzą, albo burłaki zabiją;
dobrze mówił
Semen. Czy ja wiem teraz, gdzie moja rodzina? gdzie ojciec, gdzie
mąż? Pomarli,
albo zapomnieli! Zginać mi sędzono marnie — to zginę, byleby tę
sierotę ocalić.

Coraz mocniej przytulała do siebie małą Olgo, która przestawszy
płakać, uwiła
matce na szyi.
— Chodźmy, mamo, chodźmy do Motruny! — szeptała.
Motra, stara, uboga wieśniaczka, mieszkająca w nędznej, walącej się
chałupie,
niedaleko chaty Semena najczęściej zawsze szczerego współczucia
okazywała Marynie,
a małą Olgę pieściła, jak umiała, i czem mogła dogadzała dziecku.
— Chodźmy do Motruny — powtórzyła bezwiednie

Maryna, ale stała jeszcze w miejscu, patrząc łzawymi oczyma na szare, schmurzone niebo, na dym gęsty, wijący się w powietrzu i na migocące już w dali światełka w chatach.

Nagle, po za nią, w stronie chaty Semena, ozwał się taki odgłos, jakby kto drzwi chaty z zewnątrz zasuwiał. Czyż to być mogło, aby ten starzec, który przed chwilą konającym się zdawał, zwłóknął się jeszcze z pościeli, by drzwi zapierać?

Maryna wzdrygnęła się z przestachu.

Ona się zawsze lękała Semena, ale dzisiaj wydał się on jej szczególnie przerażającym. Konał już, a jakaś nieczysta siła nim miotała. Paliła jej rękę

owa "bumażka", dana przez niego; brzmiały jej w uszach jego słowa, iż zajęgo

pieniędzmi czarne djabły chodzą. Pozbyłaby się chętnie tych pieniędzy, ale cóż

pocznie bez nich ? oprócz tego co na sobie, starej świty i zapaski, nie posiada

nic, ani ona, ani jej mała.

Schowała pieniądze w zanadrze, przeżegnała się raz jeszcze i gnana nieprzemierzonym strachem, pędem

niemal biegła do chaty Motruny, ciągnąc Olgę za sobą.

U Motruny paliło się w piecu duże ognisko, rzucając chwilami blanki na brudne

ściany lepianki. Światło to niepewne było i migotliwe, bo dym gęsty, czarny,

tłumił je, wił się kłębamii wśród izby, snuł po ziemi i ścianach i na powale się

rozścielał, aż wreszcie długim, wąskim pasmem uchodził przez otwór w dachu..

Gryzący, gęsty, chwycił za gardło, wpijał się w oczy i piekł je niemiłosiernie.

Motruna siedziała na ławie przy piecu, skulona. Zgrzybiała to już była starucha.

Na głowie miała chustkę kraciastą, której barwy trudno było rozeznaczyć, na sobie

zaś koszulę, czarną od dymu i brudu i szafirową, połataną spódnicę. Z pod

rozchrystanej koszuli wyglądała pierś wyschła, brunatna, o wystających kościach.

Twarz jej grubemi zmarszczkami jak siecią, pokryta, ożywioną była dwojgiem oczu

błyszczących, przenikliwych. W kościstej ręce, na której żyły, grube jak

postronki, wybiegły i stężały, trzymała krótką żerdź osmoloną i przogartywała

nią, w piecu, rozbijając węgle, które pryskały iskrami.

Siedziała wśród tego dymu i iskier, mrużąc półgłosem pacierze, podobna raczej

do widma, niż do żyjącej istoty.

Powstała żywo, widząc wchodzącą Marynę z córką.

— A co tam u was? — spytała — bieda ?

— Oj, bieda, matko, bieda! — pożałowała się Maryna. — Semen wypędził z chaty w

świat boży.

— A przeklęty! — zawołała stara, grożąc pięścią.

Śniło mi się dzisiejszej nocy, że zdechł, a on żyje, skaranie boże! Maryna opowiadać zaczęła.

Stara z wielkim słuchała zajęciem. Usadowiła Marynę, jak mogła najwygodniej

wraz z dzieckiem. i słuchała pilnie, otwierając szerokie oczy i bezzębne

usta.

Mała Olga przytuliła się do matki. Dym chwycił ją za gardło, więc kaszlała

czasem i ręką tarła bolące oczy. Zamknęła je szczelnie, a słuchając żalów matki

i wykrzykników Motruny, zwolna usypiała.

Ognisko przygasło, dym rzedniał i już tylko u powały snuł się przejrzystymi

smugami. W izbie ciemniało.

— Ha! — rzekła Motra, gdy już Maryna opowiadać skończyła —
macie teraz wolność!

— Co mi po wolności, gdy już młodość minęła, gdym zmarniała na
szkielet i oczy

wyplakała. Czy ja wiem, co się u nas dzieje? czy ojciec żyje? czy
mąż?...

Motra z podelba spojrziała na kobietę. Dziwny, nieokreślony uśmiech
wybiegł na

blade usta starej i rozplynał się wśród zmarszczek. Uśmiech ten,
niemal

szyderski, który Maryna dostrzegła, zabołał ją i powstrzymał słowa.

— Mąż... powtórzyła ciszej, i zająknęła się.

— E, co tam! — podchwyciła stara — zawróciliście sobie głowę tym
mężem, który

Bóg wie, gdzie jest, a przez lat tyle znaku życia nic dawał. Na waszem

miejsku, jabym była i takiego Mikoły nie odrzuciła. Ustatkowałby się,
a zawsze

chłop, to opieka..

Maryna opuściła głowę na piersi, a łzy strumieniem popłynęły z jej
oczu.

Płaskała cicho, bez łkania.

— Oj, biedna ja biedna, sierota nieszczęśliwa — jęknęła wreszcie.

— No, no, — ozwała się pocieszając ją Motruna — nie biadaj! Ja cię
z chaty nie

wygonię. Siedz tu z dzieckiem, dopóki zechcesz Jeść będziesz
barabolę ze mną i

chleb, jaki Bóg da. Lada dzień przyjdzie Mykoła, bo go już dawno tu
nie było, to

się naradzimy, co robić.

Maryna milczała. Cóżby pomogło opowiadać starej swoje dziwne
dzieje? Samej

Marynie wydaje się to snem, co przeżyła, co było niegdyś
rzeczywistością
bolesną.

— Dziękuję wam, matko — szepnęła — Dziś pozwólcie
przenocować, a jutro... jutro
pójdę...

Stara chciała coś odpowiedzieć, ale słowa zamarły jej na ustach.
Wśród ciemności, jakie ogarnęły wnętrze izby, zabłysło nagle światło.

Przedarło

się przez małe szybki okienka, czerwoną plamą padło na ściany
lepianki,

zamigotało i zgasło. Jeszcze chwila, znów to samo, jak błyskawica.

Tylko tym

razem jaskrawiej, silniej odbiło się światło, zarysowało się drżącym
płomieniem,

zadrgało raz, drugi, trzeci i rozjaśniło nagle całą izdebkę łuną
czerwoną.

— Matko Przewidy! — krzyknęła Motruna i wybiegła z chaty.

Mała Olga obudziła się przerażona, drżąca. Maryna pochwyciła ją w
objęcia, dążąc

za Motruną. Okropna trwoga ścisnęła jej sercem; przeczuła, co zaszło.

Chata Semena stała w płomieniach.

Ogień ogarnął ją całą ze stron wszystkich i jednym słupem
płomiennym szedł w

górze, ku schmurzonemu niebu, rozświeca je jaskrawo i ukazywał
chmury zwolna się

przesuwające i dym czarny, który gnał za niemi smugami. Wicher
miał

płomieniem, wyginając go w fantastyczne kształty i na szczęście
odnosząc w

przeciwną stronę od lepianki Motry i innych chat wioski.

Ludzie wybiegali w popłochu, sami nie wiedząc, co czynić. Jedni
krzyk podnosili

wielki, jakby sądzili, że nim zdołają ogień odegnać, drudzy biegali w
około

palącej się chaty, bezradni, kłóćąc się o sposób ratunku.

— Katujcie, ludzie! ratujcie! — wołała Maryna — tam Semen żywy się pali!

Głos jej ginął wśród wrzawy i nie obudzał współczucia. Niejeden dosłyszawszy,

odrzucił jeszcze przekleństwem duszy podpalacza.

— Dobrze mu tak — mówiono — niech ginie! Abo on to mało ludzi z dymem puścił!

Troskano się tylko o to, by pożar nie ogarnął chat sąsiednich.

Z rozszerzoną przerażeniem źrenicą stała Maryna, nie mogąc oczu oderwać od

palącej się chaty. Przy niej, przytulona do jej kolan, stała mała Olga, nawo-

lując ciągle matkę z przestachem, albo pytając, co się ze starym Semenem stało.

A Marynie zdało się w tej chwili, że widzi starca wśród jaskrawych płomieni,

które się coraz bardziej zniżały, jakby zapadając się we wnętrze chaty.

Ztamtąd

szedł teraz dym brudno - żółty, pełzał po ścianach, wydobywał się otworami

okien, wybuchał czarną, skłębioną masą, wraz ze snopami iskier, rozpryskujących

się w powietrzu.

Nagle rozległ się łoskot walącego się rumowiska, potem cichszy odgłos sypiącego

się piasku, jakby ziemi w grób rzucanej. Płomienie zupełnie się schowały, jakby

przygaśły, tylko dym szedł czarny kłębam.

Za chwilę wybuchała znowu pożoga. Ale już ogień pełzał prawie po ziemi i tylko

snopami iskier strzelał w powietrze, oświetlając kupę gruzów tam, gdzie przed

chwilą stała chata Semena. Dwie belki osmolone, płonące sparły się o siebie i

wysterczały z tego rumowiska
Marynie znowu się zdało, że widzi u tych belek stojącą, małą,
skurczoną postać
Semena. Patrzył na nią przenikliwymi oczyma i groził pięścią, jak
przed godziną.
Płomienie obejmowały go zewsząd, ogniste języki czepiały się jego
świty,
dosięgały twarzy, wyschniętej, osmolonej, strasznej. A on śmiał się
szyderczo,
wyszczerał zęby i groził. Ogień przeżarł w tej chwili wiązanie belek,
które
runęły z łoskotem w rumowisko. Podniosła się ztamtąd chmura dymu,
i iskier
tysiące rozsypały się po ziemi.

— Ratujcie Semena! — krzyknęła Maryna i bezprzytomna osunęła
się u stóp starej
Motruny.
— Już go i sam czort me wyratuje! — zasiniano się szyderczo i
rozchodzono się
zwolna widząc że niebezpieczeństwo innym chatom nie grozi.
Niektórzy
przezorniejsi, oprzytomniawszy z chwilowego popłochu, nosili teraz
wodę wiadrami
i zalewali zgliszczu.
W godzinę uspokoiło się wszystko. Tylko w chacie Motruny czuwała
Maryna, klęcząc
nad uśpioną Olgą i modląc się ze łzami. Czasem sen ją morzył i głowa
opadała na
piersi, ale wnet budził ją dreszcz przerażenia na myśl, że tam wśród
tych
popiołów i zgliszczów leży niepogrzebany, zwęglony trup starego
Semena.
Rozumiała teraz znacznie słów jego: "A gdy mi w oczach
pociemnieje, to sobie

zaświecę!" Zaświecił, grzebiąc siebie i pieniądze, chciwie
gromadzone za życia,
pod gruzami chaty.
Nad ranem, gdy już i Maryna ze znużenia usnęła, skoro tylko
pierwsze brzaski
dienne ukazały się na niebie, wybiegło z chat kilku ludzi i podążyło
ku
zgliszczom.
Wiedziano, że Semen miał pieniądze, dużo pieniędzy. Co zrobił z
nimi? zakopał
czy spalił? Długimi żerdziami rozrzucono popioły i gruzy, ale
naderemnie. Nie
znaleziono nic, prócz czerepów, kawałków żelaza, żużli i białych
kości.
— Spalił psiawiara! — zawołano. I porzucono niewdzięczną robotę.
Motra zatrzymała Marynę aż do powrotu Mykoły.

Na wiosnę dopiero przybył on do Warwarówki po długiej włóczędzie,
z której grosza
przyniósł niewiele, ale za to przywłókł z sobą uczonego niedźwiedzia,
którego,
jak mówił, w Smorgoniach nabył. Dowiedziawszy się o tragicznej
śmierci Semena,
zaklął z gniewem i splunął. Spodziewał się po nim, jako po
krewniaku, chatę
odziedziczyć i zyskać przytułek na stare lata, a zastał zgliszczca. W tem
strapieniu mniej go zrazu obszedł los Maryny. Dawna dla niej miłość
rozwiąła się
wśród długiej włóczęgi, a wychudła i postarzała kobieta nie budziła
już w nim
wygasłych uczuć. Gdy jednak ją zobaczył a posłyszał rzewne słowa,
nie mógł się
oprzeć litości.
Słyszał on nieraz, co o Marynie w Warwarówce mówiono; z
urywanych jej słów i z

tego, że ją Semen tak pilnie strzegł i więził, domyślał się, że miała ona gdzieś daleko zamożną rodzinę, która nie wiedziała, czy też nie chciała wiedzieć, co się z nią dzieje. Pytał nieraz Marynę o jej przeszłość, ale ona za życia Semena ust nie chciała otworzyć. Lękała się samego o tem wspomnienia. — Onby mnie zabili — mówiła z przestachem. Teraz stała się nieco rozmowniejszą, ale zawsze jeszcze jakiś strach przesądny krępował ją i wszystkiego wyznać nie dozwalał. Milczenie, do którego przez lat tyle była zmuszoną, stało się jej drugą naturą. Nie ufała nikomu. Mykoła podejrzliwie pytał o nazwisko męża, chciał wiedzieć kto był, gdzie mieszkał. Ale Maryna uparcie milczała.

— Na co wam to wiedzieć ? — rzekła wreszcie. — Przysięgam wam, na szczęście Olgi, że to, co mówię, jest prawdą. Ojciec mój ze wsi Koziatyna pod Żytomierzem, zowie się Michał Soroka. Sadybę ma wielką i pasiekę na całą okolicę sławną. Grosza u niego nie brakło. Doprowadźcie mnie do niego, a jak z bratem ojcowizną z wami się podzielę! Łamała ręce w błaganiu. Mykole oczy się świeciły na myśl o łatwym zysku, ale głową kiwał, dumał i nie wierzył. — A może ten ojciec wyrzekł się was? — ozwał się po chwili - może was znać nie chce? — On! — zawołała Maryna — bat'ko mój serdeczny! On mnieby znać nic chciał? Jedyńczęką byłam u niego, ukochaną jedynęczkę.

— A czemuż on — wtrącił znowu Mykoła — czemu pozwolił, że was tak zmarnowano?

— Nie on! nie on! — krzyknęła kobieta, którą to badanie do rozpacz doprowadzało — nie on i nie mąż! ino ojciec mężowski! Me chciał na małżeństwo

pozwolić, a gdy się dowiedział, porwać kazał i wywieźć na kraj świata.

Powiedziawszy to, obejrzała się z trwogą.

— Boże mój, Boże ! — jęknęła. — Nie pytajcie! Ja nic od was nie chcę, ino mi do

ojca pomóżcie powrócić. Na co mi już teraz mąż ? zapomniał on już chyba o mnie,

zapomniał! A ja miłość moją nieszczęsną ze łzami wyplakałam.

Szukać go nawet nie

będę, ani nazwiska jego znać nie chcę. Niedolę mi ono przyniosło, niedolę!

— A córka wasza? — wtrącił jeszcze chłop, który z nagłego uniesienia Maryny chciał skorzystać, aby choć cokolwiek z jej przeszłości wybadać. — Dla córki

powinniście męża swego odszukać, przecie on ojciec.

Maryna rzuciła się gwałtownie. Oczy jej zapały.

— Niech ją ręka Boska strzeże od tego! — krzyknęła. — Nie obronił on żony, nie

obroni i córki. Niech ona muzykiem dzieckiem zostanie, niech będzie sierotą,

byle ją moja dola nie spotkała! Ni wam, ni jej, ani nikomu nie powiem przekłętą nazwiska!

Stara Motruna przybyła jej z pomocą.

— Co macie pytać? — rzekła do Mykoły. — Abo to wam nie wszystko jedno, którądy

iść? Z niedźwiedziem zarobek zawsze jednaki, a takiemu czumakowi, co włóczył się

po świecie lat tyle, każdy kraj dobry. Nie myślałbyś Mykoła daremnie, a szedł,

gdzie oczy poniosą. Znajdzie się ojciec Maryny, to wam wynagrodzi;
nie znajdzie
się, to ją zostawicie tam, gdzie zechce.
Mykoła jeszcze czas jakiś zwlekał, namyślał się, marudził, aż
wreszcie jednego
ranka przybył do chaty Motruny i rzekł do Maryny:
— Zbierajcie się kobieto, a żywo, idziemy! Przekonały go argumenta
Motruny.
Ostatecznie
nie ryzykował nic; z niedźwiedziem wszystko jedno, w którą miał iść
stronę, a
gdyby sprawdziły się słowa Maryny, mógł zyskać wiele.
Maryna ledwie mu się na szyję nie rzuciła z wielkiej radości. W
pierwszej chwili
zdawało się jej, że pozyskawszy męską opiekę w podróży, zdobyła już

wszystko, że odnalazła już ojca, rodzinę, domowe ognisko. Wkrótce
jednak
przekonała się, że trudności były wielkie, za wielkie na jej stargane
siły.
Droga była nużąca i ciężka. Mykoła prostego kierunku trzymać się nie
chciał:
wybierał okolice ludne, do miasteczek zbaczał, szukając zarobku z
niedźwiedziem.
Czas mijał, końca podróży nie było widać; często też zbijano się z
drogi i
błądzono po manowcach, a siły biednej kobiety z dniem każdym
ustawały. Maryna
czuła, że nie dojdzie.
Mykoła, chłop sprytny, umiał na swoją korzyść wyzyskać obecność
kobiety chorej i
małej Olgi. Maryna obudzała litość patrzących i nieraz ludniejsze
wywoływała
datki, dla Olgi zaś wymyślił Mykoła bezpośredni udział w
przedstawieniach z

niedźwiedziem. Kupił mały bębenek z dzwoneczkami, tak zwany "baraban" i kazał jej tańczyć i śpiewać podczas produkcji z niedźwiedziem. Po wsiach i miasteczkach zbiegali się też ludziska oglądać uczonego niedźwiedzia, który przy odgłosie bębna i śpiewach małej Olgi z większą niż zwykle potulnością słuchał rozkazów Mykoły. Dla Olgi stało się to niezwykłą przyjemnością. Z zasłyszanych tonów wymyślała sobie coraz nowe pieśni i dumki. Śpiewała, jak umiała, a tańczyła z zapalem. Lewą ręką wzniesioną do góry trzymając bębenek, prawą uderzała w niego miarowo i rozpoczynała śpiew monotony, tęskny, dziwny, wirując w około do upadłego. Maryna, siedząc opodal skulona, gorączkowo bły-

szczącemi oczyma wpatrywała się w swoją dziecinę i słuchała jej tęsknego śpiewu, głuszonego chwilami dźwiękiem dzwonków, miarowym odgłosem bębna, nawoływaniem Mykoły i rykiem niedźwiedzia. Oczy jej zapływały łzami, serce ścisnęło się rozpaczą, a gdy Olga, po skończonem widowisku, upadała u stóp jej zdyszana, bez tchu prawie, porywała ją w objęcia i gwałtownie przyciskała do piersi. — Biedna ty sieroto, oj, biedna! — jęczała. Tego smutku matki Olga pojąć nie mogła. Dla niej przedstawienia te, tańce i śpiew stawały się z dniem każdym coraz większą rozkoszą. Tańcząc wpadała w uniesienie, traciła niemal przytomność, upajała ją ciekawość widzów i oznaki ich zadowolenia. I byłoby może wszystko poszło nieźle, bo zarobek, chociaż Mykoła ciągle

narzekał, był wcale pokaźny, gdyby nie zdrowie Maryny, które coraz bardziej szwankować zaczęło. Pod Humaniem dwa dni musiano na miejscu siedzieć, bo Marynie sił do dalszego pochodu zabrakło. Skoro tylko podnieść się mogła, ruszono dalej. I tak dnia jednego dowleczono się w posępnym milczeniu, już nad zachodem, do Oksaniny. Ukazanie się niedźwiednika obudziło we wsi niezwykle zajęcie. Arendarz Icek, żona jego Ruchla i całe liczne potomstwo, wybiegli przyglądać się widowisku, a wkrótce na placu przed karczmą zebrała się liczna gromada ludzi. Icek wyniósł Mykole półkwaterek wódki; chciał częstować i Marynę, ale ta jak nieżywa upadła na przyzbie przed karczmą i dyszała ciężko. — Dziękuję, szepnęła — nie mogę, nie mogę.

Nie zwracano na nią uwagi, bo wszystkich oczy kierowały się ku niedźwiedziowi, którego Mykoła na oczątek widowiska wódką raczył. Myś przełknął gorzałkę, łypnął ślepiami i mrużąc, legł na ziemi. Nie na długo wszakże, wkrótce bowiem Mykoła dałhasło. — A hu! — krzyknął i pociągnął łańcuch ku sobie. Myś z niecierpliwością szarpnął łańcuchem i podniósł się nieco, leniwie, mrużąc, bo go nozdrza przekłute bolały, lecz wstawać nie myślał. — A hu! a hu! — krzyczano w okół. Chłopcy z tłumu rzucali grudkami ziemi na niedźwiedzia, który ślepe źrenice wytrzeszczał, obracał białkami krwawymi, sierść jeżył na grzbiecie i paszczę otwierał, pomrukując głucho.

Mykoła zwrócił się do Olgi, która przy matce przyklęła.

— Baraban! krzyknął.

Dziewczę chwyciło spiesznie bęben i poskoczyło żywo ku Mykole.

— Mykoła, Mykoła, szepnęła — matka chora!

— Czort bierz! — zaklął chłop. Niech się wódki napije. Teraz czasu niema,

ludzie czekają — bierz baraban i tańcz!

Olga z wahaniem oglądnęła się na matkę. Ale nie było czasu, jak mówił Mykoła.

— A hu! — krzyknął z pełnej piersi, ściągnął łańcuch i kijem żelaznym dźgnął w

bok niedźwiedzia. Żwierz steknął, całą siłą szarpnął się, jakby się wyrwać

pragnął, dźwignął swe cielsko, na tylnych ła-

pach stanął, paszczę otworzył i ryknął. Dreszcz przerażenia przeszedł po skórze

patrzących. Tłum cofnął się mimowolnie i skupił się szczerzej w przestrachu,

wytrzeszczając ciekawe oczy.

— Potańczuj Mysiu — wołał Mykoła, stukając o ziemię kijem żelaznym.

Równocześnie ozwały się dzwonki i Olga z podniesionymi w górę rękami, uderzając

miarowo w bęben i potrząsając dzwoneczkami, zaczęła skakać wokoło niedźwiedzia

i śpiewać. Śpiew to był dziwny, bez słów. Nuta dzika, a rzewna, przypominająca

czasem tęskną dumkę, to znów wpadająca w skoczny rytm kozaka.

Niedźwiedź, ponaglany od czasu do czasu to szarpnięciem łańcucha, to uderzeniem

kija, chodził teraz w koło drobnymi krokami na dwóch łapach, rycząc głucho lub

postęgując, a ten ryk i te jęki, krzyk Mykoły i brzęk łańcucha, łączyły się w

dziwną iście harmonię ze śpiewem Olgi, z odgłosem dzwonek i bębna.

Dzika ta wrzawa zdawała się budzić do przytomności leżącą na przyzbie Marynę.

Kilka razy usiłowała się dźwignąć, ale zawsze opadała bezsilnie. Za to wzrokiem

śledziła pilnie każdy ruch Olgi. Wzrok ten, jakkolwiek zamglony, niezwykłą teraz

miął siłę — zdawał się skupiać w sobie i wyrażać wszystkie myśli i uczucia

zniemożonej chorobą kobiety. Twarz jej jeszcze bardziej zczerniała, policzki

zapadły, spieczone usta drżały i otwierały się co chwila, jakby napróżno

przemówić pragnęły. A wzrok biegł naprzód, za tańczącą Olgą i wpatrywał się w

nią sztywnie Powieki

chwila zamykała się bezwładnie, ale siła woli otwierała je znowu gwałtownie, a

przerażenie, boleść, czyteż jakieś pragnienie wewnętrzne rozszerzało źrenicę.

Tryskał z niej chwilami ogień gorączki, tłumiony wnet mgłą omdlenia.

Olga zaś coraz szybciej krążyła, tańcząc. Przerzucała teraz bęben z ręki do ręki

i uderzała w niego to prawą, to lewą dłonią. Dzwonki i kółka mosiężne,

poprzyczepiane do drewnianej oprawy bębna, dźwięczały coraz donośniej, a z

piersi dziecka, zdyszanej, wychodził cienki, przenikliwy, chwilami przerywany

śpiew. Liczniejsza, niż kiedykolwiek, liczba widzów, ich widoczne zajęcie się,

głośne okrzyki radości i podziwu, mimowolnie działały na Olgę. Nie słyszała już

teraz ani ryku niedźwiedzia, ani nawoływań Mykoły. Słuchała tylko
własnego
śpiewu i jakiejś stokroć piękniejszej a nieuchwytej harmonii, która
jej duszę
poruszała. Widziała tylko blaski zachodzącego słońca, padające
wprost na twarz
jej, i czuła na sobie magnetyczne działanie tysiąca patrzących na nią
oczów.
Wzrok jej, w górę wzniesiony, jaśniał zachwytem, usta, otwarte
śpiewem, zdawały
się uśmiechać do tych dźwięków dzikich, nieuczonych, które w jej
duszy spływały
się w harmonijną całość.
W tej chwili Olga zapomniała nawet o matce, która wciąż tym samym
sztywnym
wzrokiem patrzyła na nią. Dreszcz wstrząsał wychudłym ciałem
Maryny; coraz
większy niepokój ogarniał, przytomność odbiegała. Bezwiednym
ruchem szarpała
chustkę, związaną na piersi.

Wtem niedźwiedź ryknął głośniejsze i przysiadł na tylnych łapach.
Mykoła wetknął
kij żelazny w jedną z przednich łap zwierzęcia, a w drugą wcisnął
swoją czapkę.
Następowała najważniejsza chwila zbierania datków pieniężnych.
Myś pociągnięty łańcuchem, dźwignąć się znowu musiał i
pomrukując, zbliżył się
do szeregu widzów. Posypały się kopiejki do czapki Mykoły, którą
niedźwiedź
nadstawiał. Nawet Icek okazał się hojniejszym, niż zwykle: dał całą
złotówkę za
siebie i za swoich, oprócz traktamentu. Śmielsi z widzów zbliżali się
teraz do
niedźwiedzia, gładzili wyszarzaną sierść jego i kudły na grzbiecie.
Myś mrucał

ciągle, ale coraz ciszej, snadź przeczuwając, że męczarnie jego na dzisiaj

zbliżają się do kresu.

Olga powoli przychodziła do siebie. Przysiadła na ziemi, łokcie na kolanach

oparła, twarz schowała w obu dłoniach i pozostała tak długą chwilę, zdyszana.

Nagle głowę podniosła, zdziwionem okiem powiodła dokoła i jakby przypomniawszy

coś sobie, porwała się i podbiegła do matki.

Maryna leżała bez ruchu. Oczy były teraz zamknięte i w głąb zapadłe, pierś

dyszała ciężko. Na wołanie Olgi nie odpowiadała nic, była nieprzytomną.

Zbiegli się ludzie i wniesiono chorą do wnętrza karczmy, gdzie ją złożono na

ławie. Wokoło ciekawi gromadzili się na nowe widowisko; kobiety kiwały głowami,

szepcząc zcicha. Radzono, czyby chorej nie przenieść do której z chat pobliskich, bo przecież to grzech, aby chrześcijańska dusza tak ginęła bez pomocy

karczmie żydowskiej. Radzono długo i coraz głośniej; kłócić się nawet zaczęto,

do żadnej wszakże konkluzji nie przyszło. Największą przeszkodą była mała Olga,

która klęcząc obok matki i obejmując ją konwulsyjnie rękami, nie dawała do niej

nikomu przystępu. Bała się tych obcych ludzi, których widziała po raz pierwszy w

życiu.

— Nie ruszajcie jej, nie ruszajcie! — wołała. Nie trudnoby wprawdzie było

zwalczyć opór

dziecka, ale nikomu na prawdę nie chciało się brać kłopotu na głowę.

W pierwszej

chwili każdy był gotów, potem przychodziła refleksja. Wszak nie wiadomo było nawet, kto jest ta kobieta, bo Mykoła na pytania odpowiadał półgębkiem, niechętnie. Zły był i klął siarczyście.

— Zdurzyła mię ta kobieta — mówił. — Zapędziła na kraj świata, baśnie gadając, a teraz zdycha. To przeklęta doła! Umieściwszy niedźwiedzia w pustej stajni, na frasunek raczył nieć wódką. Siadł w izbie przy stole, podparł głowę na ręce, pił i spluwał. Coraz liczniejsze grono ciekawych otaczało Mykołę wokół. Odchodzono powoli od ławy, na której leżała Maryna i zbliżano się do stołu. Po naradach i objawach współczucia, rozpoczęły się poczęstunki. Niezwykły wypadek wywołał też i nastrój nadzwyczajny; Icek coraz to świeże półkwatki nalewał. Baby po każdym kieliszku wzdychały głośno i spoglądały ukradkiem ciekawie na Mykołę, który, w ponurem pograżony milczeniu, od czasu do czasu tylko rzucał

gniewne spojrzenia na otaczającą go gromadę. Nikt go zrazu zaczepić nie siniał.

Ale trunek dodaje odwagi. Niebawem jedna z kobiet przysunęła się bliżej do Mykoły.

— Et! — rzekła, ocierając rękawem usta po ostatnim kieliszku — czego wy tak

sumujecie? Abo to wam żona, czy córka?

Mykoła z podełba okiem rzucił.

— Ani mi żona, ni córka. Ano zapędziło mię tu nieszczęście.

— Zdaleka?

— Pewnie, że zdaleka, z chersońskiej gubernii.

— O, Mateńko Boża! taż to kawał świata! Czy i ona ztamąd?

Mykoła podniósł głowę i bystro spojrział. Gniewały go te pytania, ale i jemu trunek rozwiązywać już poczynął zwykle milczące usta. Czuł wreszcie, że powiedzieć coś trzeba i szukać rady. W razie śmierci Maryny, która lada chwila nastąpić mogła, o dalszej podróży z takim dzieckiem, jak Olga, myśleć niepodobna. Dotychczas była mu pomocną; teraz sama, bez matki, stawiała się zawadą, której należało co rychlej się pozbyć. Kazał więc sobie dać jeszcze jeden kieliszek wódki, wypił, odetchnął głęboko i rzekł:

— Ano, nie; ta kobieta obca u nas. Ona taki z tych stron, wasza.

— E, nie może być! — odrzekła baba, kręcąc głową. — Zkądby ona od nas aż tam zaszła? Przecie jest młoda, a my znamy się wszystkie.

Mykoła niecierpliwie się poruszył.

Kiedy mówie, że wasza, to nie znaczy, iż z tej waszej wsi przeklętej, ale z tutejszych stron. Daleko ztąd do Żytomierza? — spytał.

— Do Żytomierza? — zawołał jeden z chłopów — ho ho! byłem tam raz; będzie mil ze trzydzieści, a może i więcej. Daleka droga!

— Otoż — przerwał Mykoła — ona jest z pod Żytomierza, ze wsi Koziatyna. Tam mieszka jej ojciec, bogaty jak mówiła, gospodarz; tam ona i za mąż wyszła.

— A kto jej mąż? — spytano. Mykoła splunął.

— Czort wie! — krzyknął. — Powiedzieć nie chciała. Podobno nie chłop był, a pan.

Spoglądano na siebie z niedowierzaniem. Baby kiwały głowami.

— Me chciała powiedzieć — szeptały — nie było się czem chwalić:
ot, zwyczajnie!
Oczy wszystkich skierowały się znowu ku leżącej zawsze nieruchomo
Marynie i
klęczącej przy niej Oldze. Ale miejsce pierwotnego współczucia
zajęła teraz
nieufność jakaś, rodzaj pogardy i obawa. Chłód powiał po obecnych;
winszowano
sobie w duchu, że pozostawiono Marynę na miejscu, w karczmie.
— Mógłby być kłopot z tego — szepmano, rozchodząc się zwolna —
ot, włóczęga
nieszczęsna!
I niebawem w ściemnionej izbie, oprócz umierającej Maryny i Olgi,
pozostał tylko
Mykoła, drzemiący na ławie i Icek za szynkwasem.
Icek słyszał dobrze, co przebąkiwał Mykoła, a słu-

chał z natężoną uwagą. Nie mówił nic, czekał, aż się wszyscy rozejdą
i dopiero
wówczas na palcach zbliżył się do Mykoły.
Chłop spał już twardo, złożywszy głowę na stole. Icek w bok go trącił.
— Słuchajcie-no! — szepnął.
— A co tam? — odburknął Mykoła.
— Cicho, cicho, — szeptał arendarz, patrząc w stronę Maryny, —
jabym z wami
mądre słówko pogadał, gdybyście ino chcieli.
Mykoła podniósł głowę.
— Et! — ramionami dźwignął — co tu gadać!
— Żebyście ino powiedzieli — spiesznie wtrącił arendarz — czy to
jest prawda o
tej kobiecie?
— A tobie co do tego? — mruknął Mykoła. Żyd się zachłysłnął.
— Aj! aj! — zawołał — jacy wy dziwni! Mnie do tego nic, ale ja po
świecie wiele
bywał i państwa wiele znam i o różnych wypadkach słyszał.
Mykole wódka kręciła w głowie i sen go morzył.

— Idź do diabła! — krzyknął tak głośno, że aż Maryna poruszyła się i jęknęła.

On zaś rozciągnął się na ławie, ręce pod głowę założył, oczy zawarł i zasnął.

Icek ruszył niecierpliwie ramionami i niespokojnym okiem rzucił wokoło. Było już

prawie zupełnie ciemno. Podszedł do komina i zapalił stojący na przymurku

kaganek. Podniósł nieco knot w górę, aby nic zagasł w topniejącym tłuszczu.

Rozjaśniło się trochę w izbie, na okopconych brudnych ścianach karczmy zadrgało

mdłe, migocące, żółte światło.

Żyd coraz bardziej niespokojnym się zdawał. Co zrobić z tą konającą kobietą i jej

dzieckiem? Będą śledztwa, dochodzenia, kłopoty.

Zbliżył się do ławy, na której spoczywała chora. Leżała na wznak z oczyma

otwartymi; pierś jej poruszała się teraz gwałtownie, wydając za każdym oddechem

chrzęst głuchy, stłumiony a przenikliwy. Rękami poruszała gorączkowo.

Olga przysiadła na ziemi i załamała ręce w niemej rozpacz, nie mogąc oczu od

twarzy matki oderwać. Instynktem przeczuwała, że niebawem jedyna jej na świecie

opieka istnieć przestanie, że znajdzie się sama wśród nieznanych ludzi na obcej

ziemi, a poczucie takiego opuszczenia i sieroctwa przejmowało ją nieopisanym

lękiem, pozbawiało zmysłów. Nie widziała nic przed sobą prócz obumarłej twarzy

matki, którą chwilami wykrzywiał kurcz bolesny; nie słyszała nic wkoło, prócz

okropnego chrzęstu, jaki się dobywał z piersi konającej.

Icek przystanął chwilę, patrząc. Głową chwiał na obie strony, ustami
cmokał, a
wreszcie wyszedł naradzić się z żoną. Za chwilę biegł pędem na
folwark
zawiadomić o wypadku ekonoma Sipajłę.
W izbie, przed godziną gwarnej, głucha zapanowała cisza. Tlejący
kaganek
zaledwie rozpraszał ciemności. Czasami tylko wydobywał się z niego,
skwiercząc,
żywszy płomień, padł na czarne ściany, przemknął po nich, zamigotał
i niknął.
Olga przysunęła się jeszcze bliżej do matki. Gło-

wę złożyła obok jej twarzy i tak długo pozostała bez ruchu. Po łzach i
rozpaczy
jakaś teraz nadzieja zaccynała wstępować w jej dziecinną duszo.
Matka zdawała
się znowu spokojniejszą, jakby uśpioną. Nawet owo okropne
charczenie w piersiach
ustawało.
— Przebudzi się zrana i będzie zdrowa — myślało biedne dziecko, a
myśl ta
uspokajała ją rozkosznie.
Jutro, pojutrze pójda znów dalej z niedźwiedziem, i ona będzie tak
tańczyła, jak
dzisiaj, z zapałem, w uniesieniu, przy dźwiękach dzwonków i tej
piosenki, która
teraz znowu zabrzmiała jej w duszy jakąś dziwnie upajającą harmonią.
Oczęta dziecka przymykały się senne.
Nagle wydało się Oldze, że matka dźwignęła się z ławy. Ramionami
ją objęła i
przytuliła do siebie blisko, mocno. Olga poczuła usta matczyne, zimne
usta na
swem czole.
— Olu moja, Olu! — szeptała matka.
Mówiła wyraźnie, dziwnym głosem, urywanym, ale wyraźnie.

— Olu — powtórzyła — nad sierotą Bóg! uważaj, co ci mówię.
Szukaj miłosiernych
ludzi, oni sierotę przygarną, a ty im służ wiernie; oni ci może pomogą
do ojca
mego dojść, do Michała Soroki, w Koziatynie pod Żytomierzem.
Znajdziesz tam
przytułek. Pokaż mu ten papier, który ci daję, jemu tylko, nikomu
więcej,
pamiętaj, nikomu! Po nim on cię pozna, jako dziecko jedynaczki swej
i przyjmie.
Przy nim zostań w prosto-

cie, a innej doli nie szukaj, nie szukaj! bo nieszczęście znajdziesz!
Pamiętaj
Olu!
Głos chorej złamał się w piersi, usta poruszały się bez dźwięku.
Olga słuchała, nie rozumiejąc. Słowa wrażały się w jej pamięć, ale na
pół senny
umysł dziecka znaczenia ich pochwycić nie mógł. Tuliła się do matki,
zaciskając
w dłoni mały zwitek papieru, zaszyty w płótno, który Maryna, z
zanadrza
wyjąwszy, jej oddała, Ramiona matki obejmowały ją ciągle, usta jej
czuła znowu
na swem czole i oddech cichy, coraz cichszy. W tem objęciu zrobiło
jej się znowu
błogo, spokojnie, bezpiecznie.
Kaganek zgasł zupełnie, ciemność i cisza zaległy w izbie, jakieś senne
marzenie
kołysało duszę dziecka, w chwili gdy powieki Maryny zamykały się
na sen
wieczny...
Nazajutrz małą Olgę zabrał p. Sipajłło do siebie na folwark. Mykoła,
przeklinając swą dolę, podążył w świat boży a niedźwiedziem, a
zwłoki nieznaney

kobiety pogrzebano na wzgórku, naprzeciw karczmy, po drugiej stronie drogi.

A że ten wypadek wywarł powszechne wrażenie i opowiadano potem we wsi, jako dusza tej kobiety, niepokojem dręczona, tuła się po nocach, przeto dla jej uspokojenia wystawiono na mogile krzyż drewniany, prosty, niezgrabny, który po dziś dzień jeszcze tam stoi, otaczany wciąż pełną przesądnej trwogi. Stary dziś, zczerniały, z nadwreżonemi ramiona-

mi, wznosi się naprzeciw karczmy, jak wezwanie ku wstrzeźliwości. Nie dają temu krzyżowi upadać, ale gruntownie nikt się nigdy nie jął jego naprawy, powiadają bowiem w Oksaninie, że ktoby go chciał odnowić lub zmienić, wnet umrze.

II.

Pani Natalia miała dobre serce, które się łatwo rozczułało, chociaż wrażeń nie przechowywało zbyt długo. Los biednej sieroty, nieznanego pochodzenia i nazwiska, poruszył ją zrazu żywo. Gdy mąż przyprowadził Olgę z karczmy i opowiedział, co się stało, pani Natalia miała łzy w oczach i silne postanowienie zajęcia się losem opuszczonego dziecka. Z nietajoną przytem ciekawością przypatrywała się Oldze i odrazu zarzuciła pytaniami, na które ona upornem odpowiadała milczeniem.

Oderwana przemocą od zwłok matki, Olga zrazu płakała i wyrywała się gwałtownie.
Uległszy przemocy, przestała nagle płakać; strach ją ogarnął, a zarazem gniew na tych ludzi obcych, nieznanych, którzy ją uprowadzili. Wielkimi, zalęknionymi oczyma spoglądała dokoła, zdając się nie pojmować, co się z nią stało. Z myślą sieroctwa swego nie mogła się jeszcze oswoić; śmierć matki spadła na nią zbyt niespodziewanie i zdawała się jej niepodobieństwem. Wolałaby zresztą była z Mikołajem pójść w świat, niż zostać tu, wśród tych ludzi, którzy przedstawiali się jej zupełnie inaczej, niż ci, do widoku których nawykła; wolałaby była wrócić

do Motruny, do jej kurnej chaty, niż znaleźć się w tem jakimś zupełnie odrębnem otoczeniu i mieszkaniu, które przerażało ją swoją okazałością. Wodziła oczyma dokoła i na pytania pani Natalii nie odpowiadała ani słowa. Gdyby się w tej chwili ziemia była rozstąpiła przed nią, byłaby chętnie wskoczyła w otchłań otwartą, byleby tylko ujść ztąd co rychlej. Boleść, lęk, nieufność przygniatały jej duszę i prawie zmysłów pozbawiały. Pani Natalia zbliżyła się do niej i chciała ją przygarnąć. Ujęła za rękę i białą dłonią gładziła jej włosy. Ale Olga wyrwała się jej gwałtownie.
— Nie chcę! — krzyknęła — puście mnie!
Delikatność pani Sipajłowej poczuła się urażoną.
— Jakieś dzikie stworzenie — ozwała się do męża — niech jej Nastka da jeść i

położy spać w piekarni. Przywołana Nastka, dziewczka piekarniana,
pociągnęła Olę
za sobą, zaprowadziła do izby czeladnej i postawiła przed nią miskę z
kluskami.

— Jedz — rzekła — a nie płacz. Matki nie wskrzesisz, tak jej było
sądzono,

przyszła jej godzina i musiała umrzeć.

Olga wzdrygnęła się, jakby nagle ze snu obudzona. Słowa Nastki
zrozumialsze dla

niej, niż czułe wyrazy i pytania pani Natalii, przypomniały jej
wszystko. Matka

jej! ukochana matka, z którą dotychczas nie rozłączała się ani na
chwile,

porzuciła ją samą, zostawiała na zawsze — umarła!

Dzika rozpacz opanowała duszę dziecka; po raz pierwszy pojęcie
śmierci stanęło

przed nią w całej swej

grozie Nieubłagana siła tej śmierci zdała się Oldze okropną
wyrządzoną j ej

krzywdą, przeciw której buntowała się cała jej istota. Odsunęła miskę
z

jedzeniem, usiadła w kącie izby na tapczanie skulona i tłumiąc łkanie,
połykała

łzy, które się gwałtownie cisnęły do oczu.

Do piekarni wchodzili rozmaici ludzie: parobcy i dziewczęta. Jedli
chciwie, a

śmieli się głośno i żartowali rubasznie. Gwałtowne wybuchy tej
wesołości zdały

się Oldze urąganiem z krzywdy, jaką jej los wyrządził; ocierała łzy i
spoglądała

gniewnie na tych ludzi, których poczytywała za wrogów. Na
szczęście, nikt na nią

uwagi nie zwracał. Zadowolona z tego zapomnienia, tuliła się w kąt
izby i

chustką zakrywała oczy, aby przynajmniej nie widzieć tych twarzy,
które ją
przejmowały lękiem i wstrętem.
Przesiedziała tak długo, nie jedząc i nie mówiąc ani słowa.
Kilkakrotnie
zbliżała się do niej Nastka i namawiała ją do jedzenia, ale napróżno.
Nie
ruszając się z miejsca, Olga, późnym już wieczorem, gdy wszystko
ucichło, usnęła
twardo snem kamiennym.
Obudziła się nad ranem, gdy pierwsze świty dzienne zaczęły się
wkradać do
wnętrza izby przez wąskie okienko i rozpraszać ciemności.
W jednym mgnieniu oka wszystko, co przebyła, obecna jej niedola i
sieroctwo
stały jej w oczach i całym ciężarem przytłoczyły duszę.
— Boże! Boże! — jęknęła.
Schwyła się oburącz za głowę, która zdawała się pękać z bólu i
podbiegła ku
oknu.
Ranek był mglisty; z zachmurzonego nieba padały

drobne, gęste krople deszczu. Oko Olgi pobiegło w smutną przestrzeń
stepową,
tonącą w mgłę szarej i półmroku, szukając mogiły matki.
Ucieknie na tę mogiłę, usiądzie na niej, ruszyć się nie da i umrze.
Wszystko
lepiej, niż tu zostać.
Myśl ta przebiegła jej przez głowę jak błyskawica, ale zwalczyła ją
trwoga. Bała
się pogoni. Dopędzą i Bóg wie, co z nią uczynią ci ludzie obcy, którzy
ją
otaczali.
Ruch się już budzić zaczynał w dworku i w około. Przed stajnią
słysząc było

nawoływania głośnie parobków, wyprowadzających konie. Wnet obudziła się Nastka i krzyknęła na Olgę.

— Czemu ty nie śpisz biedo! Ani śpi, ani je, zachoruje i kłopotu narobi.

Olga odskoczyła od okna i skuliła się znowu w kącie na tapczanie.

Głos Nastki,

choć ostry i rubaszny, zdradzał współczucie i ono odbiło się echem w duszy

sieroty. Z pod chustki, którą się otulała, spoglądała teraz Olga ukradkiem na

swoją starszą towarzyszkę. Ogorzała twarz dziewczki, o rysach grubych i

niekształtnych, wydała się jej wszakże daleko bardziej pociągającą, niż biała

twarzyczka pani Natalii. Przeczucie jakieś mówiło jej, że nie kto inny, tylko ta

dziewka będzie teraz jej opiekunką i ochroni od krzywdy.

Nastka wstała i żegnając się raz po raz odmawiała pacierze poranne.

W cebrzyku,

napętnionym wodą, umyła twarz i ręce, poczem wielkim, złotym grzebieniem

rozczesywać poczęła długie, bujne, czarne włosy. Rozdzieliła je pośrodku i

czesła, przechylając głowę

i postać całą, to na te, to na ową stronę. Ukończywszy ubranie, rozpałała w

piecu i zaczęła przyrządzać stawę dla siebie i dla czeladzi.

Trwało to dość długo. W końcu Nastka odeszła od pieca, zbliżyła się do tapczana,

na którym zawsze w jednakowej pozycji tuliła się Olga, i szarpnęła ją za rękę.

— No, teraz wstawaj! — rzekła. — Panu Bogu się pomódl, obmyj się, a potem dam

ci jeść hałuszek z mlekiem. No, wstawaj, a nie patrz na mnie takimi

wystraszonemi oczyma, bo ja cię przecie nie ugryzę. A umiesz ty się Panu Bogu modlić?

— Umiem — szepnęła Olga.

Było to pierwsze słowo, które wyszło z jej ust od śmierci matki, pierwszy znak

zbliżenia się i zaufania do Nastki.

Zaufanie to odtąd z każdym dniem się wzmagало. Gdyby nie Nastka, Olga byłaby

może z głodu umarła, nie wypowiedziawszy ani słowa, bo tylko na jej nalegania

zdecydowała się wziąć trochę stawy do ust i tylko na jej pytania dawała

krótkie, ciche odpowiedzi.

Była to snadź natura nie łatwa do przyswojenia.

Od czasu przybycia Olgi do ekonomskiego dworku, tygodnie i miesiące mijały, rok

cały przeszedł, a w jej zachowaniu się i usposobieniu żadnej nie było zmiany.

Uciekała od ludzi, milczała chmurnie, kryła się po kątach, a wołana do pokoju,

do "pani", wpadała w rozpacz dziką. Tylko w piekarni i obok Nastki czuła się

bezpieczniejszą.

— To jakaś niezdara — mówiła pani Natalia. — Bóg wie co robić z tem dzikiem stworzeniem?

Nastka wstawiała się za Olgą.

— Ona, proszę pani, przydaje się w piekarni. Garnki myje, ognia pilnuje, drwa i

wodę nosi. Przyda się, a je mało jak ptaszyna.

Milczenie pani Natalii było zezwoleniem na pozostanie Olgi, która w ten sposób

pasowaną została na pomocnicę dziewczki piekarnianej.

Do tej sytuacji Olga zdawała się przywykać. Myśl ucieczki, która ją w pierwszych czasach prześladowała, opuściła ją stanowczo. Ukończywszy pracę w piekarni, nad wieczorem, wybiegała na drogę do karczmy, ku mogile matki. Usiadała na wzgórku i myślami tonęła w niedawnej przeszłości. Widziała przed sobą szeregi kurnych lepianek w Warwarówce, chatę Motruny, starego Semena i matkę swą ukochaną, zawsze smutną, a dla niej tak dobrą, tak czułą. Oddawna nikt już nie pieścił sieroty, ona zresztą od każdej pieśczo-ty byłaby uciekła, bo nawet wszelki wyraz czulszy, do niej skierowany, drażnił ją przypomnieniem pieśczo-ty macierzyńskich. Serce Olgi, porażone nagłym sieroctwem i opuszczeniem, zamknęło się stanowczo dla wszystkich, a tylko w samotności, u mogiły matki tajało we łzach, lub oddawało się dumaniom o przeszłości. Zapominała się ona nieraz długo w takiej zadumie. Często już ciemności zupełne zaległy, gdy Olga porywała się dopiero z mogiły, jakby ze snu obudzona, i biegła pędem na folwark. Biegając, śpiewała. Przy-

pominała się jej ostatnia podróż z matką i niedźwiedziem i owe tańce przy dźwiękach dzwonków i odgłosie bębna. Przypominała się jej nuta tych pieśni i radowała serce. Głos po stepie, wśród ciszy wieczoru, rozchodził się szeroko i brzmiał donośnie, tylko już nikt tych pieśni nie słuchał. Kaz postyszała Nastka i zgromiła ją surowo:
— Bies cię gdzieś pędzi w pole, a rehoczesz się, jak nawiedzona.

Przykro się zrobiło Oldze; łzy zakręciły się w oczach. Wszak to śpiewanie, to była jedyna jej uciecha, jedyne szczęśliwe chwile w życiu sierocem! Pomimo tego nie zachowała żalu. do Nastki i zawsze jej tylko jednej okazywała powolność wyjątkową. Zresztą czas mijał, nie sprowadzając żadnej zmiany w stosunku Olgi do całego otoczenia i rodziny państwa Sipajłów. Instynktowej swej niechęci do pani Natalii przemódz nie mogła; pana Jędrzeja lękała się, jak ognia, a Jurek obudzał w niej nie tylko lęk, lecz i nienawiść. Powodem tego była swawola synka pani Natalii, który nie opuszczał żadnej sposobności, by małej, dzikiej "znajdzie", jak ją nazywał, dokuczyć. To dokuczanie, tolerowane przez panią Natalię, jak zresztą wszystko, co Jurkowi podobało się robić, potęgowało w sercu Olgi zaciętą zawiść do matki i syna. Uczucia jej, niemiarkowane przez nikogo, zamknięte w sobie, niewypowiedziane nikomu, wzrastały nad miarę, opanowywały całą duszę dziecka, które samo przez się uczyło się myśleć, sądzić, oceniać ludzi i rzeczy.

W tymże czasie ciche i bez wzruszeń życie w dworku oksanińskim doznało silnego zaniepokojenia. W całej okolicy zaczęto głośno przebąkiwać o bardzo groźnym zachwianiu się interesów majątkowych państwa Czarnoszyńskich. Wieści te dotyczyły pana Jędrzeja

daleko mocniej, aniżeli to sama pani Natalia przypuszczać mogła. Nie wiedziała ona bowiem, że pan Jędrzej wszystkie swoje oszczędności (a było ich sporo, około dwudziestu tysięcy rubli srebrnych) złożył w ręce dziedzica, idąc za przykładem prawie całej okolicznej szlachty i zamożniejszych oficyalistów, którzy lokację kapitałów u pana Czarnoszyńskiego uważali dotychczas za daleko pożyteczniejszą i bezpieczniejszą, niż wszelką inną. Jeżeli pan Jędrzej nie mówił o tem żonie, to bynajmniej nie dlatego, aby taką lokację uważał za wątpliwą, lecz jedynie z powodu znanej sobie dobrze niechęci pani Natalii do "magnatów" jurpolskich. Teraz jednak, gdy wieści o ruinie Jurpola coraz uporczywiej obiegają poczynają, pan Jędrzej struchlał nie wiedząc, co ma czynić. Poradzić się żony nie mógł, jechać do Jurpola i żądać zwrotu pieniędzy, nie śmiał; żal mu było przytem serdecznie Czarnoszyńskich i chętnie przypuszczał, że wieści są przesadzone.

— Gdzieżby zaś! — myślał, pocieszając się. — Tacy państwo, panie teo, jak Czarnoszyńscy, nie marnieją tak z dnia na dzień. Nieład tam jest, proszę łaski — niema co mówić, ale żeby już ruina miała być — nie wierzę. Wszakże troska ta często nie dawała mu usnąć w nocy, zwłaszcza od czasu, gdy autentyczna nadeszła

wiadomość, przyniesiona przez Icka arendarza, że pan Czarnoszyński jednemu

sąsiadowi, który mu swój kapitałik powierzyć chciał, wręcz przyjęcia odmówił.

— Nie mogę — odpowiedział. Z dawnych czasów Jurpol obciążony jest znacznymi

wierzytelnościami, gdyby dziś nagle wszyscy zażądali zwrotu swych pieniędzy,

musiałbym sprzedać Jurpol. Dochody zmaląły; założona fabryka cukrowa pochłonęła

znaczne sumy i zawiodła nadzieje. Niepodobna mi brać na siebie większej

odpowiedzialności. Przyjmowałem dawniej kapitały w zupełnie dobrej wierze;

przyjmując dziś cokolwiek, byłbym oszustem.

Ta szczerza odpowiedź rozeszła się złowieszczym echem po całej okolicy i

przeraziła wszystkich. Niektórzy z wierzycieli pośpieszyli z wypowiedzeniem

swych kapitałów, a następstwem tego był cios straszny dla pana Jędrzeja:

Oksanina została sprzedana!

Stało się to w roku w czasie kontraktów. Nie chciał wierzyć własnym uszom

p. Jędrzej, gdy mu arendarz Icek pierwszy tę hiobową wiadomość zwiastował.

— Nie może to być! — krzyknął i pojechał do Jurpola.

Wiadomość niestety była prawdziwa. Czarnoszyńscy, aby dotrzymać zobowiązań,

zmuszeni byli pozbyć się części ojcowizny. Nabywcą Oksaniny był pan Faustyn

Borski, który posiadał już znaczny majątek w dalszych stronach, koło Żytomierza,

lecz od lat dawnych mieszkał za granicą, a opinię miał wśród obywatelstwa

fatalną.

Pan Czarnoszyński nie bez serdecznego rozrzewnienia mówił o tem z Sipajłłą.

— Nie mogłem inaczej uczynić — rzekł w końcu — byłem w pozycji bez wyjścia.

Ciebie zaś proszę, kochany panie Jędrzeju, nie zrywaj się jeszcze z Oksaniny.

Obiecałem to panu Borskiemu, chwając twoją uczciwość i znajomość rzeczy. Nie

wiem, kiedy nowy właściciel przyjedzie. Może bardzo rychło, a może czas dłuższy

jeszcze zabawi za granicą. Do jego przyjazdu prowadź gospodarstwo jakby dla

mnie, bardzo cię proszę. Gdyby zaś pan Borski chciał cię nadal zatrzymać, to

radzę ci propozycję na czas jakiś przyjąć, bo na razie w kluczu Jurpolskim nie

mam odpowiedniego dla ciebie stanowiska. Oczywiście, że cię zawsze, mój dobry

Jędrzeju, za swego uważam — i tylko mówię o chwili obecnej, na razie.

Pan Jędrzej tak był przerażony, że zrazu mówić nie mógł.

— Wedle woli pańskiej — panie teo — bąknął na końcu i odjechał, żegnany bardzo

czule przez p. Czarnoszyńskiego.

Przybył do domu w rozpaczy, którą jeszcze drażniła ciekawość żony.

— Któż to taki ten pan Borski? — pytała pani Natalia w kilka dni potem, silnie

zaniepokojona.

— Kto taki? panie teo! Kto taki? Człowiek — proszę łaski! odburknął Sipajłło.

— A no, niema się co namyślać — wtrąciła żona znowu po chwili; zanim

przyjedzie, wynieśmy się ztąd i basta.

— Babska gęba, to jak żydowskie sumienie, wszystko jej dobre! — mruknął p.

Jędrzej, który w zakłopotaniu swem tracił należyte względy dla dystygowanej swej małżonki i stawał wie grubiańskim. — Powiedzieć łatwo: wynieś się! ale gdzie?

— Przecież mamy dość — odparła pani Natalia — aby dzierżawę wziąć, lub nawet kupić kawał ziemi na własność.

— Dość, dość! — przerwał z uniesieniem pan Jędrzej. — Tobie dosyć panie teo, ale nie mnie, com własnym potem grosz po groszu zdobywał i teraz na zmarnowanie mam dać. Nie głupim! Asani zachciewa się własności, ja się na to nie puszcę.

Uciulało się proszę łaski trochę grosiwa, to niech będzie dla Jurka. Zamilkł, wzruszony do głębi. Sama myśl rozstania się z Oksaniną, w której tyle

lat spokojnie i wygodnie przeżył i której nigdy opuszczać nie zamierzał

doprowadzała go do rozpacz. A cóż dopiero, gdy rozważył, że cała nadzieja na

przyszłość, cały majątek uwięziony został w Jurpolu.

Stanął przy oknie i wpatrzył się smutno w chaty, widniejące naprzeciw.

Pani Natalia, wnosząc z milczenia, że się uspokoił, a nie chcąc odrazu opuszczać

dobrej, jak się zdawało, sposobności, znów zaczęła po chwili łagodnie:

— Ludzie mówią, a i ja sędzę, że na swoim łatwiej w jednym roku zarobić

więcej, niż na ekonomstwie przez całe życie.

Pan Jędrzej odstąpił od okna i zwrócił się żywo całą postacią ku pani Natalii.

— Żono! — rzekł, hamując gniew, który w nim wrzał — żono, daj pokój, bo mnie

djabli wezmą! Nie namawiaj mnie na głupstwa, a głowy nie zawracaj
babskiem
gadaniem! Wiem, czego się asani, panie teo, zachciewa. Pani
dziedziczka zarazby,
proszę łaski, inne miała pretensye, niż ekonomowa. Do starosty
liwskiego
przybyłby może nowy senator, albo czort wie, proszę łaski, jaki
wojewoda. A do
takich ceregieli potrzeba i powozów i cugów i służby. Ludziom byłby
śmiejch, mnie
wstyd, a na starość żebry!
Splunął i znowu odwrócił się do okna, a pani Natalia ramionami
lekceważąco
wzruszyła. Kwestya ta oddawna była przedmiotem sporów między
małżonkami, a z
czasem stawała się, jeśli nie obojętną, to znacznie mniej drażliwą.
Spór, który
dawniej kończył się łzami i migreną pani Natalii, wywoływał teraz
zaledwie
głośniejsze wyrzekanie pana Jędrzeja na "głupie ceregiele i
zachciewanki
babskie", a ze strony pani Natalii wzruszenie ramion i ciche
westchnienie,
połączone z sentymentalnem spojrzeniem w sufit. Pani Sipajłowa nie
byłaby już
może nawet wznawiała tej kwestyi, w której nie było nadziei
przełamania
zaciętości p. Jędrzeja, gdyby nie niespodziewana sprzedaż Oksaniny i
bardzo
niekorzystne wiadomości o osobie nowego nabywcy. Przynosił je do
ekonomskiego
dworku Icek arendarz, który był żyjącą kroniką całej okolicy, a
ustawicznie
jeździł do Humania, gdzie, jak wiadomo, miał wkrótce przybyć nowy
właściciel
Oksaniny. Pani Natalia wszystkie te wiadomości, w formie jak
najbardziej
jaskrawej, powtórzyła i teraz mężowi

który, niemniej od niej w duchu zatrwożony, nie chciał wszakże się przyznać do tego i wszelkimi sposobami usiłował uspokoić swoje i żony obawy, a nie mogąc tego dopiąć, unosił się gniewem.

— Gadanie, panie teo! — krzyknął — głupie gadanie! a ty tylko uszu nadstawiasz na plotki.

— Plotki, nie plotki — przerwała pani Natalia. — Przecież Żytomierz nie za

morzem, a tam ludzie wiedzą o tym panu Borskim, że to potwór.

Żonę, słyszę, tak

dręczył, że uciekła; syna zamordować chciał, aż wreszcie sam wyjechać musiał za

granice, bo go pogarda powszechna ścigała.

Pan Jędrzej w coraz większym wzburzeniu w szybę głośno bębnić począł, aby

zagłuszyć słowa żony.

Pani Natalia wkrótce też umilkła, a Sipajłło bębnić przestał, lecz wyteżonym

wzrokiem patrzył na drogę, którą miał przyjechać Icek, wyprawiony umyślnie

wczoraj zrana do miasta po ostatnie wiadomości.

— Eh! — mrucał pod wąsem, pocieszając się — nie poradzi on tu sam nic i

bezemnie się nie obejdzie, panie teo. Człek nieznający ani ludzi, ani ziemi, ani

okolicy. Jakoś to będzie.

Pani Natalia uśmiechnęła się ironicznie, posłyszawszy ostatnie wyrazy.

— Me będzie już tak, jak było — wtrąciła. — Na karku go mieć będziesz i w

przedpokoju stać jak ekonom.

— A jakże chcesz! — krzyknął p. Jędrzej — stać będę jak ekonom, bom ekonom,

proszę łaski, sprawiedliwy! Żebyś mi od rana do nocy klekotała nad usza-

mi, to zeninie grafa nie zrobisz! Będzie można wytrzymać, to wytrzymam; nie będzie można, panie teo, to pójdę do Jurpoła, do Czarnoszyńskich. Na usta pani Natalii wybiegł uśmiech szyderski. Chciała swoim zwyczajem odrzec z przekąsem o pretensjach wielkopańskich "jurpolskich bankrutów," ale się wstrzymała, widząc wzburzenie małżonka, który z coraz większym niepokojem wpatrywał się w okno.

— Co to znaczy, że nie wraca? — mruzczał do siebie. Wtem zamajaczyło coś w oddali na drodze. Pan Jędrzej poruszył się żywo, wyteżonym wzrokiem wpił się w szybę okna, aby lepiej przeniknąć zapadający już mrok wieczorny. Stał tak chwilę z twarzą ku oknu pochyloną, naraz krzyknął:

jedzie! i wybiegł na ganek.

Pani Natalia równie szybko podbiegła ku oknu, przez które widać było wtaczającą

się dość szparko na dziedziniec bryczkę arendarza.

Poważny zwykle i powolny Icek zdawał się bardzo poruszony.

Wyskoczył z bryczki

żywo, a widząc stojącego na ganku p. Jędrzeja, głosem

zachrypniętym, zmienionym,

zawołał:

— Jest w mieście! przyjechał!

Wyjął chustkę kraciatą z kieszeni kaftana, otarł czoło, twarz, brodę i wszedł w

milczeniu do dworku, poprzedzany przez p. Sipajłę, który sapał teraz jak miech

kowalski.

Ku wchodzącym wybiegła pani Natalia.

— Cóż? — spytała, otwierając szeroko zaciekawione i trwogi pełne oczy.

— Jest! przyjechał! — wyjąkał p. Jędrzej i upadł na krzesło złamany. Icek, wszedłszy za panem "rządcą" do pokoju i pokłoniwszy się pani "rządcowej,"

niemniej wyraźnie objawiał zewnętrzny niepokój. Drżącymi palcami siwiejącą brodę

targał, usta wydymał i cmokał niemi od czasu do czasu.

Pierwsza pani Natalia odzyskała mowę w tej chwili pogromu.

— Jakżeż to było? — spytała, zwracając się ku żydowi — widzieliście go?

mówiliście z nim, panie Icek?

— Z przeproszeniem pani rządcowej i pana rządcy — odparł żyd — niech ja naprzód

usiadę, bo mi nogi drygają.

To mówiąc, przysunął sobie krzesło, usiadł, chałat na kolanach poprawił i rzekł:

— Nu, co mówić, ja go sam widział, jak tu państwa widzę. To nie człowiek, to djabeł!

Pan Jędrzej rzucił się na krzesło, a pani Natalia, daleko mniej od męża ulegająca przesądom, uśmiechnęła się sceptycznie.

— Cóż mówił? — zagadnął po chwili pan Jędrzej głosem stłumionym.

— Un mówił tak — odrzekł Icek — jakby się tu, z przeproszeniem pani rządcowej,

urodził. Wszystko wie, wszystkich zna, a jak mnie wziął pytaniami obracać, to

małom nie zdechł, z przeproszeniem, ze strachu.

— Cóż on może tak nadzwyczajnego wiedzieć — wzruszając ramionami, wtrąciła pani

Natalia — przecież ta się nic takiego nie działo i nie dzieje.

Icek z podełba spojrział na nią i na ekonoma.

— Nadzwyczajnego nic — przemówił zwolna — bo to i nie sztuka nadzwyczajności wiedzieć, one same o sobie gadają. Ale sztuka wiedzieć to, co się codzień dzieje. Ot np. on wie, co u pana rządcy tyle a tyle pokojów na folwarku, co we dworze wilgoć straszna i zniszczenie.

— Trzeba mu było powiedzieć — żywo ozwał się ekonom — że wyporządziłem.

Icek ustami cmoknął.

— Na co ja mu to miał gadać, kiedy un to wie. Un się śmiał tylko z takiego wyporządzenia, zęby pokazywał i na migi ze swoim lokajem rozmawiał. A ten lokaj, to drugi djabeł, jeszcze lepszy. Prawda, Tomasz, mówił un do niego, co pan ekonom — z przeproszeniem, to un tak mówił — prawda, co pan ekonom w Oksaninie, to bardzo jest porządny, pisze "rraporta" przez dwa r i ino dziesiąty grosz z dochodu, oprócz pensyi i ordynaryi sobie w kieszeń kładzie.

— Kłamstwo! — krzyknął pan Jędrzej, porywając się z krzesła, czerwony, jakby go krew oblała. — Na sumienie! proszę łaski.

— Na co to się przeklinać — flegmatycznie przerwał żyd, powstając także. — Ja wiem, co to nie jest prawda — dodał grzecznie — ale ten pan Borski wie inaczej.

— Trzebaż mu było powiedzieć!

— Co ja miał mu gadać, kiedy un sam gadał, a nawet mnie się uczepił. Ty, powiada, Icek, dobry aren-

darz porządny arendarz, ale się także mylisz w rachunkach.

— Nu, to co? — ja mówię — omyli się każdy.
— Ale, ty, Icek — un mówi — mylisz się zawsze
ino na swoją korzyść.
— A ja się na to pokłoniłem nisko z głową i mówię: Proszę łaski
jasnego pana
dziedzica, czy to nie dosyć nieszczęścia, że człowiek się myli, to
jeszcze
miałby się mylić na swoją krzywdę.
A un na to w śmiech i na swego towarzysza zerknął:
— Bat Recht! — mówi.
Ja tam do żadnego innego gadania nie przyszedł.
Gdy tych słów Icek domawiał, drzwi się znagła otwały i do pokoju
wszedł rażno
czternastoletni chłopak. Silny, rosły, barczysty, o twarzy ogorzalej i
bystrem
spojrzeniu, miał w wyrazie twarzy coś, co na pierwszy rzut oka
uderzało, lecz
nie wywierało miłego wrażenia. Euchy były pewne i śmiałe, a wzrok
miał
przenikliwość badawczą, podejrzliwą. Ruchy te i postawa zdawały się
świadczyc o
usposobieniu energicznym, zuchwałym i rubasznym; wzrok zaś,
wysyłany naprzód,
padający z ukosa, z pod czoła, zarośniętego nisko bujnym, czarnym,
krótko
przystrzyżonym a twardym włosom, zdradzał jakby nieufną lękliwość
To tworzyło
sprzeczność, która uderzała.
Był to Jurek, jedynak i spadkobierca państwa Sipajłłów.

Wszedł i badawczym spojrzeniem objął całą sytuację. Odrazu
zrozumiał, że coś
niezwykłego stać się musiało. Zbliżył się do chodzącego w milczeniu
ojca i
ucałowawszy go w rękę, poufalej już poszedł pozdrowić matkę,
odpowiadając po

drodze lekkim ukłonem na szydercze nieco powitanie arendarza.

— Gdzieżeś tak długo bawił, Jurku? — spytała matka półgłosem.

Chłopak nie odpowiedział, tylko ciągle badawczym wzrokiem

spoglądał to na ojca,

to na matkę, to na żyda, jakby z ich twarzy odgadnąć chciał, o co

właściwie

chodziło i co zaszło.

Wejście Jurka przerwało wszakże dalszą rozmowę; nie chciano snadź

przed nim

poruszać tak drażliwego przedmiotu. Wkrótce też pan Jędrzej, dawszy

znak Ickowi,

przeszedł z nim do swojego pokoju, a pani Natalia pozostała sama z

synem.

— Gdzieżeś był tak długo? — powtórzyła, spoglądając z czułością na

swojego

jedynaka i gładząc miękką dłonią twarde jak szczecina włosy chłopca

— pewnie

znowu w Jurpolu...

— A tak, w Jurpolu! — zawołał Jurek, patrząc śmiało matce w oczy.

— Siadłem na

konia po śniadaniu i pojechałem. Musiałem pojechać, bo Zygmuśowi

przyrzekłem...

— Mówiłam ci już nieraz — przerwała matka z niechęcią - że wcale

niejestem

kontenta z tej jakiejś przyjaźni z młodym Czarnoszyńskim. Nie będzie

on nigdy

uważał ciebie za przyjaciela.

— A za kogo? — znagła rzucił pytanie Jurek, spoglądając hardo.

— Za kogo? — powtórzyła pani Natalia. — Czyżnie wiesz, jak jest

przez nich

traktowany twój ojciec? A ia?. Chociaż rodzice moi w ich sąsiedztwie

mieszkali i

za lepszych czasów w stosunkach zażyłości byli z Jurpołem, ja, jako

żona ekonoma

z Oksaniny, czyż kiedykolwiek przestąpiłam ich progi? Dawali
świetne bale,
obiady, na które zjeżdżano się Bóg wie z kąd, tylko dla pani
Sipajłowej tam
miejsca nie było. Powinieneś zatem uważać, Jurku...
— Mama państwa Czarnoszyńskich nie cierpi — przerwał chłopak —
oni zaś dla mnie
są bardzo dobrzy. Zygmunt obyć się bezemnie nie może. Jabym
pewnie pierwszy do
nich nie jechał, ale on mnie zawsze o to jak o łaskę, prosi.
Pani Natalia, jakkolwiek z tego zbliżenia z nienawistnymi sobie
ludźmi nie
bardzo kontenta, spojrziała wszakże z dumą na swojego jedynaka.
Bądź co bądź
pochlebiało to jej próżności, że syn państwa Czarnoszyńskich, których
uważała za
szczyt wielkopańskiej doskonałości form i obyczaju, stara się o
przyjaźń jej
syna.
Jurek doskonale pojmował tę próżność matki i dzielił ją zupełnie,
choć to
samo uczucie w jego młodzieńczej duszy w innym nieco objawiało się
sposobie.
Jurek lubił mówić przed innymi o swojej zażyłości z młodym
Czarnoszyńskim, ale
gdy był w jego towarzystwie, zwłaszcza przy świadkach, dziwnie mu
nieraz było
nieswojsko, czuł się onieśmielonym i jak-

by upokorzonym wyższością swojego rówieśnika, chociaż tej
wyższości uznać nie
chciał i zrywał się na nią w duchu.
Młody Czarnoszyński miał domowych guwernerów, Jurek uczył się
także dotychczas w
domu, a chociaż nie zawsze był pilnym, pamięć miał doskonałą i tą
pamięcią

górował nad Zygmusiem, który dat i nazwisk uczył się dosyć mozolnie.

Prawdziwą też przyjemność sprawiało Jurkowi brać na egzamin swojego młodego przyjaciela i wykazywać mu jego nieświadomość. Czynił to z całą bezwzględnością, nie bacząc na pomieszanie i żywy rumieniec, jaki oblewał wówczas twarz Zygmuśia.

Zygruuś niema pojęcia o regule trzech! Zygmus nie wie, jakie rzeki w Hiszpanii!

Młody pan Czarnoszyński zapomniał, w którym roku umarł Karol Wielki! — wołał z

uciechą i tą radością zaraz dzielił się z matką.

Fani Natalia nie zaniechała i przy tej sposobności podnieść tych braków w

umysłowym rozwoju młodego Czarnoszyńskiego.

— Nie wiem doprawdy — rzekła — jaką możesz mieć przyjemność w towarzystwie

chłopca źle wychowanego, zarozumiałego i nieodpowiadającego zupełnie poziomowi

twojego wykształcenia.

Pani Natalia lubiła wyrażać się górnie i w potocznej mowie zbyt często używała

frazesów, w książkach wyczytanych. Poziom wykształcenia należał do najnowszych

jej zdobyczy.

— To prawda, mamó! — zawołał Jurek. — Zy-

gmus jest bardzo, bardzo głupi, ale nie można powiedzieć, aby był źle wychowany.

Na twarzy chłopca odbiło się przy tych słowach jakieś wewnętrzne niezadowolenie.

Usiadł przy matce na małym stołeczku, oparł głowę na jej kolanach i zamyślił

się.

— Dziwna rzecz, mamó — ozwał się po chwili,

ulegając potrzebie wywnętrzenia się z tem, co mu na sercu ciążyło —
dziwna
rzecz, że chociaż Zygmus głupi, sto razy głupszy odemnie, chociaż
jabym go pobił
na głowę i w historyi i w gramatyce i w geografii, gdyby zaś na siłę
chciał
mierzyć się ze mną, tobym go zdusił jak chrząszcza, wszakże jest
jakaś niepojęta
między nim a mną różnica, jest coś, co mnie wobec niego onieśmiela i
czyni
niezgrabnym.

Pani Natalia ramionami wzruszyła.

— Właśnie dlatego nie jestem kontenta z tych stosunków. Różnicy
niema żadnej, a
onieśmielają cię tylko ich głupie fomy wielkopańskie, które cię
upokarzać muszą.

Zygmus niby to dla ciebie przyjacielski z pozoru, a ręczę, że w duszy
uważa cię

tylko za sługę: to się w jego zachowaniu przebija i ty to odczuwasz.

— O, nie mam! — żywo przerwał Jurek. — Powtarzam mamie, że
on się o moje łaski

stara, ale w jego mowie, zachowaniu się, jest zawsze coś takiego,
czego ja

naśladować nie potrafię i co mię onieśmiela. Naprzykład dzisiaj.

Wstrzymał się, podniósł głowę i spojrzał na matkę. W jego twarzy był
teraz wyraz

dziwnie twardy, prawie gniewny. Usta zacisnęły się z wyrazem
zawiści.

— Cóż dzisiaj? — zagadnęła pani Natalia ciekawie.

— Nie było to nic, a jednak... Zygmus wyjechał naprzeciw mnie, na
połowę drogi.

Weszliśmy razem do pałacu. W ganku, u wejścia, spostrzeżliśmy p.
Czarnoszyńskiego, ojcu, którego pocałowałem w rękę.

— Mogłeś ukłonić się zdaleka — wtrąciła matka.

— On, mamó, bardzo dobry dla mnie i zawsze łaskawie mnie wita i ośmiela. I dzisiaj także nie pozwolił nam iść do pokoju Zygmunta, ale do salonu wprowadził, gdzie byli jacyś goście i młodzi chłopcy naszego wieku. — Bawcie się z nimi — powiedział; — Zygmunt, chociaż tak samo ich nie znał, jak i ja, odrazu się oswoił i bawił ich doskonale, odgrywał rolę gospodarza, był swobodny i wesół. Ja słowa przemówić nic mogłem, jakby mi coś usta zawiązało. A im dłużej milczałem, tem bardziej zawstydzalo mnie to milczenie; stawałem się chmurny, ponury. I słyszałem, jak tamci pytali Zygmunta: Co to za niedźwiadek? W miarę, jak to Jurek mówił, oczy jego coraz bardziej pałały; na śniade policzki wybiegł gorączkowy rumieniec. Snadź w całej jeszcze sile czuł niedawno doznane upokorzenie. Pani Natalia miała na ustach wyraz szyderski, a w oczach błyski gniewu. — I cóż odpowiedział twój przyjaciel? — podchwyciła ironicznie — zapewne, żeś syn ich ekonomy z Oksaniny! — Nie, mamó. Zygmunt odpowiedział, co najwyraźniej słyszałem: to mój przyjaciel, kolega. A to właśnie do reszty mnie rozgniewało. Złościła mnie już

przedtem jego swoboda i wesołość, ta łatwość z jaką z tymi przybyłymi paniczami się bawił. Złościło mnie to że kilkakrotnie zwracał się do mnie, pytając troskliwie, czemu jestem taki ponury, a do reszty oburzyła mnie ta jego niby

szlachetność. Gdyby był szydził ze mnie, byłbym się na niego rzucił i złość moją

wywarł, a tak nie mogłem. I to mnie do rozpaczyny doprowadzało.

Chciałem krzyknąć:

Nieprawda! ani ja przyjaciel, ani kolega pana Czarnoszyńskiego, ja syn

ekonomiczny! który jednak dwa razy więcej umie i dwa razy więcej wart, niż ten

zgrabny paniczyk.

Głos Jurka drżał przy ostatnich słowach, oczy zamglily się łzami; chłopak,

wzruszony do głębi tą spowiedzią wzburzonego serca, ukrył twarz w dłonie i

pochylił się na kolana matki.

— Jurku! Jureczku! dziecienie moje!— zaczęła uspokajać go matka, obejmując jego

głowę rękami i usiłując podnieść ku sobie. — Widzisz, to wszystko dlatego, że

mnie nie słuchasz, że do tego Jurpola przeklętego jeździsz. Po co ci to towarzystwo bankrutów, którzy dziś jeszcze grają rolę panów, a jutro może

zostaną bez dachu. Już Oksanina sprzedana, wkrótce Jurpola pozbyć się będą

musieli, a wtedy spokojnieją, zobaczysz!

Podniosła syna ku sobie i ujęła w objęcia, okrywając rozognioną twarz jego

gorącymi pocałunkami.

Ale rychlej, niż te pieszczoty, na które Jurek nie odpowiadał wcale, uspokoiły

go ostatnie słowa matki.

— Jaktó? — spytał, spoglądając przenikliwie w jej oczy — jaktó, mamó, więc

państwo Czarnoszyńscy nie są bogaci?

Pani Natalia ironicznie się zaśmiała.

— Bogaci? resztkami gonią! Za rok, za dwa, ty będziesz Jurku większym panem, niż oni.

Jurek z widocznym zadowoleniem słów tych słuchał. Klęska, jaka mogła spotkać jurpolskich panów, a zarazem przyjaciela jego Zygmunta, sprawiała mu radość,

której przyczyny sam dobrze nie rozumiał.

Była to instynktowa zawiść, rozbudzona w tej chwili odczuta wyższością

towarzystwą Zygmunta, wyższością, która go upokarzała. Ale niebawem obudziły się

w jego umyśle wątpliwości.

— Gdzie tam, mamó! — rzekł, machając ręką i uwalniając się z objęć matki. — Oni

są bardzo bogaci i mają jeszcze bogatszych krewnych. Słyszałem dzisiaj, że ma

wkrótce przyjechać do nich stryjeczna siostra pana Czarnoszyńskiego, ojca

Zygmusia, jakaś hrabina, która mieszka w Paryżu. Ma być bardzo bogata. Wszyscy w

Jurpolu cieszą się ogromnie nadzieją tego przyjazdu i przygotowują wielkie

przyjęcie.

— Na które resztki stracą — przerwała pani Natalia z gniewem, powstając z

miejsca. — A zresztą co nam do nich, niech sobie robią, co chcą! Ty zapomnij o

tem i daj pokój z tą jakąś przyjaźnią z Zygmusiem, która cię tylko na upokorzenia naraża. Nie potrzebujesz dbać o ich łaskę. Po rodzicach będziesz

miął piękny mająteczek; nie darmo ojciec tak pracuje, a ja siedzę całe życie na

ekonomicznym folwarku. Nosisz nazwisko dobre, szlacheckie, możesz się obejść bez

łaski Czarnoszyńskich.

To mówiąc, pocałowała syna w czoło i wyszła majestatycznie z pokoju.

Kilka dni następnych przeszło dla państwa Sipajłów w gorączkowym oczekiwaniu

przyjazdu pana Borskiego. Ale oczekiwania były tym razem daremne. Zamiast

spodziewanego nowego właściciela, przybył tylko zaufany jego sługa, ów Tomasz, o

którym Icek tak niepochlebnie się wyrażał. Zdanie arendarza okazało się jednak

za słabem w porównaniu z rzeczywistością. Tomasz wywarł na panu Sipajlle wprost

przeróżające wrażenie.

Mały, krępy, barczysty, niemłody już, ale siły i wytrwałości niezwyklej, cały

dzień, od rana do późnej nocy, przybywszy do Oksaniny, kręcił się po wsi, polach

i gruntach; w każdy kątęk zajrzał, a wszystko dokładnie i przenikliwie badał.

Gdy p. Sipajło chciał mu informacje dawać, Tomasz spozierał na niego z podełba

małym, świdrującym oczkiem, z pod brwi siwiejących, a nastrzępionych i przerywał

szyderczo:

— Nie trzeba, wiem wszystko i wiem, co mam panu powiedzieć.

A wyjeżdżając, tonem niemal rozkazującym rzekł— Pan Borski nie tak rychło tu

przyjedzie, w każdym razie nie tej jesieni i nie na zimę, bo w tej ruinie, która

się dworem nazywa, mieszkaćby nie mógł i musiałby chyba pana Sipajllę przed

czasem z folwarku rugować.

Pan Jędrzej zachnął się obrażony.

— Przed czasem? — przerwał - jakto, proszę łaski,

przed czasem? Ja zaraz, panie teo, ustąpić jestem gotów.

— No, no — zaśmiał się Tomasz — pan Borski zostawia wszystko, jak jest, do

swego przyjazdu. Rachunki mają być w porządku i "rraporta" — dodał z naciskiem.

— Na wiosnę przyjadę znowu i pod mojem okiem dwór się restaurować będzie.

Tymczasem żegnam.

I pojechał, zostawiając p. Sipajłę w przerażeniu prawdziwym. Pani Natalia

zemdlała, gdy jej mąż opowiedział swoją rozmowę z Tomaszem, a przez dwa dni

chorowała na migrenę i dostawała spazmów na wspomnienie doznanego upokorzenia.

III.

Pałac jurpolski należał do najznacniejszych w całej okolicy. Był to gmach duży,

piętrowy, bardzo stary, który, zwłaszcza zdaleka, robił wrażenie obronnego

zamku, ze swemi basztami dwiema i licznymi krużgankami.

Malowniczo przedstawiał

się oku na tle drzew dużego parku, który go z trzech stron okalał.

Całe też otoczenie pałacu było prześliczne. Jurpol pośród stepów tworzył istną

oazę, pełną drzew i uroku. Wieś duża, zabudowana porządnie, rozłożona była po

obu brzegach małej, ale bystrej rzeki, która rozlewała się szerzej pod pałacowym

parkiem. Z wielkiej tarasy pałacu, od strony parku, cudowny roztaczał się widok

na tę wodę i wieś całą, a poza nią na siniejący w oddali las,

"kalinowym" zwany.

Stepu nie można ztąd było dostrzedz. Przeciwnie nawet, poza wsią ciągnął się

cały szereg mniejszych i większych pagórków, niby mogił wysokich, wśród których odznaczała się zwłaszcza jedna, wyższa od innych, drzewami u szczytu porośla, którą lud zwał "złotym kurhanem," a rozmaite o niej opowiadał baśnie.

Wjeżdżając do wielkiej alei grabowej, do pałacu wiodącej, odrazu poznać można było, że to nie zwykła szlachecka, ale już prawie magnacka rezydencja, której samo utrzymanie niemało nakładu potrzebować musiało. Wielkie, murowane, dachówką kryte zabudowania gospodarskie, olbrzymie i wspaniałe stajnie, mnóstwo służby w barwach rozmaitych, ustawiczny ruch koni, pojazdów dworskich i folwarcznych zaprzęgów, wszystko to świadczyło, że Jurpol był punktem środkowym wielkiej administracji rozległego gospodarstwa i rzeczywiście pańskiej fortuny. Nic też z pozoru nie potwierdzało fatalnych przewidywań pani Sipajłowej. — Niewtajemniczony nigdzie nie dostrzegął upadku; wszystko tu jeszcze było jak przed wiekiem, gdy Czarnoszyńscy liczyli się do najbogatszych w tej okolicy panów. Na wysokości tych dawnych tradycyj utrzymywało się dotychczas wszystko. A tradycje te nietylko świetne były, ale także szlachetne. Pomimo też instynktowej zawiści, jaką żywi demokratyczny ogół naszej szlachty do wszystkiego, co tchnie wielkopańską, Czarnoszyńscy cieszyli się powszechną i rzeczywistą sympatją.

Na sympatyę tę nie potrzebował już nawet zbyt długo pracować
dzisiejszy pan
Jurpola, Roman Czarnoszyński; otrzymał ją bez zabiegów, po ojcu
swym, panu
marszałku, który jako Ośmdziesięcioletni starzec, zszedł już oddawna
z widowni,
lecz, dopóki żył, samą obecnością swoją nadawał powagę i
niepospolite znaczenie

jurpolskiemu dworowi Był on niejako wcieleniem i uosobieniem
dawnych, starych
tradycji, od których Roman, chociaż pod innemi już wzrosły i
wychowany wpływami,
odstąpić nie mógł. Nie odstępowała też od nich, przynajmniej z
poзору, żona
jego, pani Zenobia z hr. Szarzyckich, jakkolwiek z usposobienia
niezbyt im
sprzyjała. Nie lubiła zwłaszcza częstych w Jurpolu zjazdów szlachty
okolicznej,
wśród której zrazu chciała robić wybór: nie mogła znosić tonu
uprzejmej
poufałości sąsiedzkiej, z jaką licznych gości bez różnicy przyjmować
musiała.
Drażniła ją pospolitość ich zewnętrzna, z którą oswoić się nie mogła.
Powaga marszałka i tutaj była rozstrzygająca; jedno jego spojrzenie, w
stronę
synowej rzucone, przyprowadzało ją do równowagi i zmuszało do
szanowania
tradycyjnych obyczajów serdecznej gościnności. Dzięki temu dwór
jurpolski
pozostawał zawsze jeszcze tem, czem był za młodych lat marszałka i
za życia jego
rodziców: ogniskiem, skupiającem w okół siebie całe życie
towarzyskie i
obywatelskie okolicy, trybunałem przed którym wytaczały się,
rozstrzygały i

godziły najzawilsze, nieraz długoletnie spory. I teraz jeszcze słowo marszałka, wypowiedziane stanowczo, bez ogródki, dobitnie, miało znaczenie wyroku, przeciw któremu nikt występować nawet nie myślał. Marszałek znał kraj cały i wszystką szlachtę; znał jej zalety i przywary, znał stosunki, kolligacye i pokrewieństwa; nie były mu obce najskrzętniej nawet przed okiem ludzkim chowane familijne tajniki. Od lat młodych do późnej starości oddany obywatelskiemu życiu, spełniając z po-

święceniem najzaszczytniejsze obywatelskie posługi, poznał do gruntu całe społeczeństwo swoje, a że był energiczny w działaniu i mądry w radzie, to chociaż książkowej wiedzy nie posiadał, wybił się wczesnie na naczelne miejsce i stanowisko to niepodzielnie piastował. Syna swego wychowywał i kształcił pan marszałek tak, jak przystało na dziedzica zasłużonego imienia i wielkiej fortuny. Roman Czarnoszyński, po odbyciu wyższych studyów uniwersyteckich, podróżował potem rok cały za granicą i wrócił do Jurpola z głową pełną rozlicznych wiadomości, ale równie pełną fantazyi i marzycielstwa. Młodość Romana przypadła na pierwsze dziesiątki lat kończącego się obecnie stulecia; promienne słońce romantyzmu odbiło się na niej całą swoją siłą: Roman nie wziął po ojcu praktycznego zmysłu, co się wnet dało uczuć w zarządzie dóbr

jurpolskich, gdy pan marszałek przestał nim kierować. W dalszym i bliższym sąsiedztwie Jurpola odrazu zauważono tę różnicę; krytykowano lub śmiano się pocichu z młodego dziedzica, jakkolwiek dla jego wiedzy i ukształcenia miano respekt wielki.

— Mądry, panie, jak biblioteka — mówiono o nim, i obchodzono go zrazu zdaleka, jak dziwowisko. Niektórzy nawet, widząc brak sprężystości w administracyi majątku, a w charakterze Romana skłonność do marzycielstwa, nazywali go poprostu — waryatem. Widziano go nieraz, jak z książką w ręku błąkał się samotnie po stepach, jak rozkopywał stare kurhany lub

zbierał skrzątnie podania i pieśni ludowe, a to wszystko przyczyniało się do utwierdzenia niezbyt korzystnej opinii o zdrowiu jego władz umysłowych. Poczęto już nawet stronić od niego, lecz na szczęście wkrótce przekonano się, że Roman, jakkolwiek mniej praktyczny od ojca odziedziczył po nim jak najlepsze intencye, serce bardzo gorące i do ofiarności skłonne. Roman od żadnych posług obywatelskich nie wymawiał się nigdy, spełniał je z zapalem i dziwną skromnością, nie wysuwając nigdy siebie na plan pierwszy. Lubił robić dobrze własnym sercem i własną kieszenią, a cudzemi rękami. Podziękowań nie przyjmował, wdzięczności nie żądał, rozgłosu nie pragnął. Jak z początku krytyka, tak teraz pochwały i uniesienia były powszechne.

— Serce, panie, jak na dłoni — wyrzekł o nim pan deputat Skolski,
bardzo
głośny, więc też i wpływowy sąsiad Jurpola. — Serce złote, bogdajby
się tacy
ludzie na kamieniu rodzili!
Po takim wyroku opinia Romana została ustaloną, a dom jurpolski
coraz
liczniejszych gromadził w sobie gości nietylko z bliższej, ale i z
dalszej
okolicy. Dawni koledzy Romana, mniej uposażeni od losu,
przybywali tu z różnych
stron kraju; dla każdego z nich znajdowało się przyjęcie i hojne i
serdeczne,
dla niejednego pomoc na dalsze koleje, dla niektórych stały przytułek.
W
rozmowach z nimi Roman zapominał o wszelkich troskach i
kłopotach administracji
majątku, a żył dawnym życiem, pełnem marzeń i poezji Sprowadzał
książki,
gromadził bibliotekę, pracował wiele

i innych do pracy zachęcał, marząc o rozwoju literatury rodzimej.
Marszałek zwracał nieraz uwagę syna na konieczność gorliwszego
zajęcia się
zarządem majątku; oddawszy mu jednak niepodzielnie władzę, nie
chciał mu się w
niczem przeciwieć, licząc może na to, że z czasem równowaga
przyjdzie, a umysł
Romana, zbyt rozbijały, skieruje się niebawem na praktyczną drogę.
Marszałek,
surowy zawsze dla siebie, w sędzie swym jasny i prosty, ulegał tu
jedynej
słabości dla syna, którego niezwykle wykształcenie imponowało jego
staroświeckiej prostocie. Gniewał się w duchu nieraz na
niepraktyczność Romana,

ale gdy spojrział na niego, gdy usłyszał jego pełne ożywienia i zapału słowa,
milknął w zachwycie.

— Mądrzejszy odemnie — myślał — co ja mu mówię mam? Przecie majątku nie straci,
a z czasem ustali się, ożeni i będzie dobrze.

I rzeczywiście ożenił się Roman rychlej nawet, niż się marszałek spodziewał.

Na żądanie ojca przedsięwziął był Roman dłuższą wycieczkę po kraju.

Objezdzał

nie tylko domy sąsiedzkie, ale zwiedzał także dalsze okolice, gdzie imię

marszałka było dobrze znane, gdzie miał licznych przyjaciół i pokrewne domy.

Wszędzie też przyjmowane Romana z niezmierną serdecznością.

Marszałek żądał tej

podróży koniecznie, w nadziei, że ona oderwie syna nieco od pracy umysłowej,

nada inny kierunek myślom, zachęci go do stosunków z ludźmi, zbliży i da mu

poznać społeczeństwo własne, a wreszcie może się

przyczyni do urzeczywistnienia życzeń marszałka, to jest do ustalenia losu

Romana w dobranym związku małżeńskim.

Rzeczywiście podróż ta, podjęta zrazu niechętnie, iedynie dla zadowolenia ojca,

przyniosła Romanowi niemało pożytku i niejedno zadowolenie.

Nabierał poglądu na

świat, ludzie wydali mu się nieco inni, niż widziani zdaleka, przez pryzmat

własnych uprzedzeń, naprzód powziętych albo zasłyszanych sądów.

Nie zawsze

lepsi, ale inni.

W czasie tej podróży u jednego z podolskich obywateli, na granicy galicyjskiej,

poznał Roman państwa Szarzyckich i córkę ich pannę Zenobię.
Posiadali oni
niegdyś znaczny majątek na Podolu, który jednak zmuszeni byli
sprzedać.
Mieszkali w Ośniałowie w Galicyi, drugiej, mniejszej swej
posiadłości, a chociaż
stosunkami pokrewieństwa połączeni byli niemal z całą szlachtą
podolską,
komunikowali się z nią coraz rzadziej i w wyjątkowych tylko
wypadkach tu
przybywali.
Szlachta podolska patrzyła na nich krzywem okiem, wyśmiewała po
cichu, ale
przytem naśladowała jak mogła i umiała, podziwiając w duchu pański
ton i
wykwintne obyczaje.
— Co pan, to pan! — mówił jeden z okolicznych obywateli,
informując Romana o
stosunkach państwa Szarzyckich. — Żebyś dał, mości dobrodzieju,
milion takiemu
Szarzyckiemu, to on się z nim do roku upora. Pamiętam, co to było
przed laty,
gdy tu mieszkali. Pałac, panie, jak u weneckiego doży, stadnina jak

u Sanguszków. Musieli sprzedać, bomba pękła! Teraz, panie,
Ośniałów kiepścizna,
ale zato stosunki, fiu! fiu! Hrabia, bo tak się teraz pan Szarzycki
tytułuje, w
Wiedniu siedzi, słyszę, pół roku; hrabina z córką także. A na lato
wracają do
siebie, aby się zaoszczędzić na zimę, i znów do Wiednia. Chcą, słyszę,
córkę tam
za mąż wydać za jakiego pewnie księcia lub hrabiego z magnacką
fortuną. I może
się uda, bo Szarzyccy mają koligacye, fiu! fiu I Siostra hrabiego,
zameżna

baronowa, ma tam, panie, najwyższe stosunki. A dziewczyna piękna jak łania.

Roman słuchał tych informacyi z roztargnieniem, bo całą jego uwagę pochłoneła

panna Zenobia. Od pierwszego wejrzenia uczyniła ona na nim niezwykle wrażenie.

Na szarem tle dość powszednich postaci odbijała jak zjawisko.

Wysoka, smukła

blondynka, miała ruchy powolne, miękkie, wejrzenie niezmiernie łagodne

cudownych, ciemno-błękitnych oczu. Mówiła mało i powolnie, a często z

roztargnieniem, jakby myśl jej, oderwana od chwili obecnej, bujała w przestworzu, w niedostępnych zwykłym śmiertelnikom krainach.

Roman, silnie

zainteresowany, zbliżył się do niej i mówić z nią zaczął, a ta rozmowa zwiększyła jeszcze doznane odrazu wrażenie. Zenobia widziała wiele, czytała

także dużo, a przynajmniej daleko więcej, niż młode osoby jej sfery, jakie

dotychczas Roman spotykał. Zdawała się mocno zajmować wszystkim, co miało

związek ze sztuką; mówiła z pewnym zapałem o muzyce i malarstwie.

Dowiedział się

Roman, że piękna Zenobia z zamiłowaniem gra na fortepianie, śpiewa

arye włoskie, a nawet maluje. Lekcyę brała u pierwszych mistrzów wiedeńskich.

Czar, rzucony na Romana błękitnymi oczami panny Zenobii, był tak silny, że nie

dostrzegł on w jej słowach przesady, w ukształceniu powierzchowności, w zapale

sztucznej egzaltacyi. Wszystko mu się wydało doskonałością i pod tom wrażeniem w

tydzień później pojechał do Ośniałowa. To, co tam zobaczył, mogło go być

otrzeźwić, gdyby doznane wrażenie nie było zbyt silnem. Uderzyło go przede wszystkim rzucające się w oczy zaniebanie starego, rozpadającego się niemal w gruzy, dworu. Mocniej go jeszcze przejął chłód i sztywność przyjęcia, które się najzupełniej różniło od tego, do czego Roman był nawykł w ciągu swej długiej po kraju podróży. Na jego spotkanie wyszedł kamerdyner niemiec, i wprowadził do pustej sali, oświadczając, że pan hrabia teraz zajęty, ale wkrótce nadejdzie.

Nie rychło to wszakże nastąpiło, a gdy nareszcie ukazał się pan Szarzycki, powitał Romana grzecznie, ale zimno.

— Przepraszam, — rzekł — że nie możemy pana tak przyjąć, jakbyśmy pragnęli. Ale

Ośniałów, to nasze tylko pied-á-terre. Mieszkamy w Wiedniu.

Pan Roman mimowoli się uśmiechnął. Mówiono mu już na Podolu, że pan Szarzycki

zwykł był taką wymówką przyjmować gości w Ośniałowie, a w Wiedniu swym

tamtejszym znajomym przedstawiał znowu, że mieszka stale w swej wiejskiej rezydencji.

W rozmowie bliższej pan Szarzycki nie zachwyił

go także. Roman z przykrością zauważył, że nie obchodziły go wcale sprawy i

interesa najbliższe. Mówił o nich obojętnie i z lekceważeniem.

— Tu niema co robić! — powtarzał często i wracał do opisu swoich stosunków i

życia za granicą.

Wrażenie tej rozmowy było dla Romana niezmiernie przykre, przygnębiające, a nie

poprawiło go wcale pojawienie się małżonki pana Szarzyckiego,
damy wysokiej,
chudej, mizernej i widocznie bardzo nerwowej.
Pani Szarzycka w rozmowie zwykła była odwracać się od tego, z kim
mówiła; wzrok
jej błędził wówczas po suficie, z ust padały wyrazy urywane, a
wypowiadane były
tonem jednostajnym i suchym, podczas gdy ręka ruchem szybkim,
gwałtownym, tarła
nerwowo policzki i czoło. Dama ta mówiła także najczęściej o
stosunkach Romanowi
zupełnie obcych, a głównie o synu swoim, który był na drodze
zrobienia świetnej
dyplomatycznej kariery i miał się żenić z dziedziczką znakomitego
nazwiska i
wpływów.
Nareszcie drzwi się otwarły i weszła Zenobia z bratem. Zenobia była
tak piękna,
a w powolności ruchów i mowy tak rozkosznie poetyczna, że Roman,
na nowo
oczarowany, nie zwrócił już wcale uwagi na jej brata, nieco od niej
starszego,
hr. Witolda. Podobny do ojca, hr. Witold mówił także mało, ale z
naciskiem,
stanowczo, na wszystkich zaś i na wszystko patrzył bardzo
lekceważąco z
uśmiechem dyplomatycznym na ustach.
Roman bawił w Ośniałowie dni kilkanaście, a z każdą upływającą
chwilą potężniał
czar, wywierany

na niego przez Zenobię. Chwilami przerażało go jej otoczenie, ale
wnet
przychodziły uspokajające refleksje.
— Ja ją ztąd wyrwę, do Jurpola wywiozę, a nasze serdeczne
powietrze podziela

ożywczo. Gdybym ją tutaj zostawił i zaparł się swego uczucia, cóżby się z nią stało ?

Państwo Szarzyccy poznali oczywiście odrazu intencje Romana, a snadź plany świetnego związku w Wiedniu nie były zbyt pewne, bo myśl wydania córki za stepowego "magnata", jak Czarnoszyńskiego w Ośniałowie w braku innego tytułu nazywano, nie była im wcale wstrętną. Trzeciego dnia pobytu Romana mówiono już o tera otwarcie w rodzinie i jedna tylko Zenobia zdawała się wahać. Lękała się stepowej pustki.

— Tam inni ludzie być muszą — mówiła — półdzicy.
— Pauvie chère enfant! — wzdychała pani Szarzycka, zapalczywie trąc ręką lewy policzek.

— Nie bój się — ozwał się ojciec — ja tego jurpolskiego królika namówię, aby tu, u nas, nabył majątek. Jabym mu nawet Ośniałów sprzedał — dodał od niechcienia.

— Ten pan Roman — zauważył hr. Witold — wydaje mi się bardzo miękki, może nawet za nadto, zu romantisch. Można z nim będzie zrobić, co się podoba. Na tej uwadze, wiele obiecującej, zakończono naradę, a gdy wkrótce potem Roman z Ośniałowa wyjeżdżał, było już rzeczą pewną, że wróci, uzyskawszy pozwolenie ojca, aby się formalnie o rękę Zenobii oświadczyć.

Pan Szarzycki zęgnął go daleko uprzejmiej; przypomniał sobie nawet, że znał dawniej pana Marszałka i dorzucił dla niego parę komplementów.
Pani Szarzycka

patrząc gdzieindziej i pocierając czoło, uśmiechała się dość łaskawie.
Zenobia
milczała zamyślona ale już przekonana zupełnie, że związek
małżeński z Romanem
jest nieuchronną i ostatecznie niezbyt przykrą, koniecznością dla
zabezpieczenia
sobie losu i wygodnej przyszłości. Hr. Witold podał na pożegnanie
Romanowi całą
rękę i znacząco uściskał, uśmiechając się dyplomatycznie.
Roman wyjeżdżał rozkochany namiętnie. W błękitnych oczach
Zenobii widział on raj
ziemski; w jej melancholijnym uśmiechu, w ruchach powolnych a
miękkich, w całym
układzie, pełnym jakiejś gnuśności, niepozbawionej wdzięku,
domyślał się skarbów
słodocy, łagodności, idealnego rozmarzenia.
Pojechał wprost do ojca, który od czasu zdania administracji
jurpolskiego
majątku na syna, przebywał najczęściej w Julinie, niewielkiej swej
posiadłości,
w innych stronach, niedaleko Żytomierza. Posiadłość tę marszałek
lubił bardzo i
dla siebie wyłącznie zarezerwował; tam bowiem spędził pierwszą swą
młodość i tam
gospodarstwa się uczył. Teraz nazywał ją przytuliskiem na stare lata.
Wiedząc, że gorącym życzeniem marszałka było widzieć go co rychlej
ustalonym,
spodziewał się Roman, że nowina, jaką przywoził, niezmiernie ojca
ucieszy.
Zdziwił się też niemało, gdy marszałek, dowiedziawszy

się o wyborze, radości nie okazał; przeciwnie nawet zamyślił się
posepnie, a
wreszcie rzekł:

— Przeciw osobie nie mogę mieć nic. Wybór

rodziny, z którą skojarzyć się zamierzasz, stosowny, chociaż fortuna
więcej niż
mierna, a pretensje milionów by potrzebowały. Z domem Szarzyckich
łączyły mnie
niegdyś dobre stosunki. Wszakże jedno ci powiem: jest jakby pewien
fatalizm,
przywiązany do tej rodziny. Niegdyś bardzo świetna, nagle upadać
zaczęła,
straciła wszelkie znaczenie i trzyma się tylko dawnymi koligacjami.
A co gorzej,
że nie tylko materialnie upadła; pod względem moralnym i
umysłowym upadek nie
był ani mniej dotkliwym, ani mniej jaskrawym. Przeniknął ją duch
obcy. Niema
teraz wśród tej rodziny ani charakterów dzielnych, ani hartu i siły
woli.
Mężczyźni słabi, jeżeli nie są źli; kobiety bierne.
Roman usta otworzył, chciał przerwać, ale marszałek gestem go
powstrzymał.
— Pozwól — rzekł — Uczynisz, jak zechcesz, krępować cię nie
myślę, powiedzieć
muszę ci wszystko, co wiem. Znam dobrze Szarzyckich. Ojciec
człowiek w gruncie
dobry, ale śmiesznie nadęty i próżny, powszechnie jest nie lubiony z
powodu
dziwnego zobojętnienia i rodowej dumy, którą każdemu uczuć daje;
matka
sentymentalna i afektowana, rozpływająca się w czułościach nad
wszystkiem, a
istotnie miłująca tylko siebie. Panna Zenobia, być może, że jest
najlepszą; nie
znam jej, ale wierzę, że, jak mówisz, jest łagodna i dobra; jaką zaś
żoną będzie
dla ciebie, to pytanie, nad którym nietylko serce, ale i twój rozum
zastano-

wić się powinien Łagodność jest cnotą, jeśli nie jest gnuśną
obojętnością;
dobroć jest największym urokiem kobiety, jeżeli się nie łączy z
brakiem woli.
Rozstrzygać tego pytania nie mogę; powiedziałem ci, co myślę lub
przeczuwam, ty
sam decyduj.
Roman pocałował ojca w rękę, milcząc. Marszałek przycisnął głowę
jego do piersi,
a w tym uścisku serce Romana, zmrożone nieco słowami ojca,
roztajało nagle.
Pochylił się do stóp starca.
— Ojczy — rzekł — błogosław!
Marszałek podniósł go i w objęcia schwycił. Po twarzy Romana
płynęły łzy
strumieniem; z piersi marszałka tłumione dobywały się łkania; twarz
jego
poważna, niemal surowa, głębokie wyrażała wzruszenie; usta
poruszały się drżące,
podczas gdy ręka kreśliła na czole ukochanego syna znak
błogosławieństwa.
Wkrótce potem Roman się ożenił.
Jakie było pożycie małżonków, nie wiedział nikt. Lata bieły, a w
pałacu
jurpolskim z pozoru nic się nie zmieniało. Roman nie skarżył się
nigdy i nikomu:
w pierwszych latach widywano go nawet swobodnym, jeśli nie
wesołym, z czasem
wszakże posepniał i nawet. wśród rozmowy lub dyskusji najbardziej
ożywionej,
uważano, jak nieraz zapadał nagle w zadumę, odbiegał myślą od
przedmiotu, który
go tylko pozornie zajmował.
Pani Zenobii nic wszakże z pozoru nie można było zarzucić. Była
dobrą, łagodną,
jak to marszałek odrazu przypuszczał; ale charakter był bierny, mało
uczuć
rzeczywistych a dużo afektacyi, usposobienie

gnuśne, a przez to samo niełatwo ulegające wpływom. Wszystkie
wrażenia, chwilowo
odczute, prześlizgiwały się w, jej duszy bez śladu.
W jurpolskim pałacu przybycie młodej pani nie wywołało zmian
żadnych. W niczem i
nigdzie nie można było dostrzedz ręki kobiecej. Wdzięk młodej pani
nie
rozpromieniał wnętrza. starych murów, a z biegiem czasu dom, zdany
na łaskę
sług, których oko pani nie doglądało, zdradzać począł zaniedbanie,
Z początku Roman nie tracił nadziei, nie dopuszczał zniechęcenia do
serca, a
szczerze kochając Zenobię, upatrywał w niej jeszcze mnóstwo
przymiotów.

— Wychowanie temu winno — myślał. — Rodzice marzą zwykle
tylko o wydaniu córki
za mąż, ale nie przygotowują jej wcale do obowiązków życia.
Zdawało mu się, że ta apatya w charakterze żony, ta bierność jej i
afektacya, z
którą walczyła miłość jego, z czasem zniknie, że łagodnem
przedstawieniem,
perswazyą, czułością zdoła wpłynąć na to usposobienie fatalne.

— Ona mnie nie zna — mówił sam do siebie — nie zna właściwości
mego charakteru
i dlatego nie umie się do nich zastosować. Ona nie wie, że jeśli co, to
właśnie
ta dziwna jej gnuśność i afektacya mogą we mnie zabić uczucie dla
niej.

I powoli, łagodnie począł mówić jej o tem. Otwierał przed nią duszę
swą całą;
usiłował jej przedstawić swoje poglądy na życie i jego obowiązki. W
tym celu
mówił z nią nieraz długo i otwarcie. Tłómaczył jej, iż rzeczy na pozór
drobne są
nieraz głównym powodem

zaburzenia harmonii w małżeńskim pożyciu; że uczucie każde
utrzymuje się tylko
poświęceniem i ofiarami. A to poświęcenie, to niekoniecznie
bohaterskie jakieś
czyny; te ofiary, to niezawsze rozgłośne dowody przywiązania, na
które w danej
chwili zdobyć się nawet nietrudno. Cięższą jest bez porównania cicha
i
niewidoczna ofiara ze swych przyzwyczajęń, codzienne poświęcanie
drobnych
upodobań dla osoby kochanej, którego nikt, oprócz tej osoby,
ocenić i uznać
nie mógł. Od kobiety przedewszystkiem zależy utrzymanie, kosztem
takich drobnych
ofiary, harmonii pożycia; od niej i tylko od niej zawisło wyrobienie
zupełnego i
ścisłego porozumienia, usunięcie lub przynajmniej złagodzenie
koniecznych różnic
w charakterach, usposobieniu, przyzwyczajeniach.

— Kobieta — mówił Roman z zapalem, czując, że od sposobu, w jaki
jego słowa
będą zrozumiane i przyjęte, zależy los jego życia — kobieta, z natury
bardzo
subtelnym zmysłem spostrzegawczym obdarzona, dojrzeć potrafi
odrazu te różnice,
a jeśli tylko uczucie jej nie jest bierne, jeśli tylko ona zechce zadać
sobie
nieco pracy, i zbadawszy usposobienie męża, do niego zastosować się
postara —
jeśli we wszystkich drobnych szczegółach domowego życia usiłować
będzie
wprowadzić to, co temu mężowi jest miłe, co mu zadowolenie
przynosi, lub troski
rozprasza — jeśli słowem, otoczy go taką atmosferą, która odpowiada
zupełnie

jego charakterowi i usposobieniu, wówczas rezultat jest niezawodny.
Takiem
działaniem, taką zapobiegliwością niezmordowaną, codzienną,
utrzymują się
uczucia; w ten

sposób zdobywają kobiety, nawet niekochane przed ślubem, miłość
stałą mężów i
spokój domowego ogniska, W takim działaniu spoczywa tajemnica
szczęścia
związków, którym z początku nawet nie rokowano pomyślności; na
takim tylko
gruncie zrodzić się może stateczne przywiązanie i całkowite
zespolecie dwóch
charakterów, dwojga istot dojrzałych pod odmiennymi wpływami i
kształconych
odmiennie. Gdy kobieta zapomni o tem, jeśli w pierwszych latach
pożycia nie
postara się o dokładne zbadanie usposobień męża, lub zaniedba przez
gnuśność
uorganizować odpowiednio życie i nie zdobędzie się na owo
poświęcenie w drobnych
sprawach upodobań swych i zwyczajów, wówczas rychlej lub później
— zależy to od
siły pierwotnej miłości - rozdział serc nastąpić musi.
Fani Zenobia tych wywodów męża słuchała z początku uważnie,
potem z coraz
większem roztargnieniem, a nawet niechęcią.
— Według twego zatem zdania — odpowiadała Romanowi z pewną
urazą — kobieta
zawszą winna! A cóż ona poradzi, gdy mąż zły, szuler, hulaka?
— Nie mówię o złych mężach — przerwał Czarnoszyński-ani też o
kobietach
zapominających o swych obowiązkach. Ja mówię o takich
małżeństwach, które mają

wszelkie warunki, aby szczęśliwymi były; gdzie mąż, zasługujący na szacunek, kocha i chce zostać wierny uczuciu i gdzie żonie żadnego także poważnego zarzutu uczynić nie można, a przecież niema między nimi harmonii, czy też raczej harmonia rozstraja się z dniem każdym coraz bardziej, dlatego jedynie, iż żona

jest bierna w swoim uczuciu i dla niego, żadnej najmniejszej wygody swej poświęcić nie chce. Pani Zenobia. ramionami wzruszyła. Słowa męża drażniły ją i nie trafiały wcale do jej przekonania. Wychowano ją przecież starannie, ale nikt nigdy nie mówił jej o tego rodzaju obowiązkach. Szczęśliwe lub nieszczęśliwe małżeństwa były w jej przekonaniu sprawą przypadku. Niedobre charakter, albo najczęściej wina męża, to przyczyny, nad którymi bliżej zastanawiać się nie było warto. O tem zaś, aby kobieta miała obowiązek i mogła systematycznym działaniem cośkolwiek w tem zmienić, nie śniło jej się nawet. Ona na życie nawykła patrzeć zupełnie inaczej. Słowa Romana tylko ją zrazić mogły. Takie ciągłe zwracanie uwagi na każdy najdrobniejszy krok w życiu, na każdy najmniejszy szczegół w domu, to byłaby nie do zniesienia męczarnia. I do niczego by nie doprowadziła, a w tym razie nie miałyby celu. Roman ją przecież kochał, czuła to: był człowiekiem prawym i zacnym, ona również nie byłaby zdolną wykroczyć przeciw obowiązkom. Cóż

mogła uczynić więcej i czego się lękać? Życie jej szło łatwo,
wygodnie,
spokojnie; czyż warto było psuć je sobie takim drobiazgowem
zastanawianiem się
nad szczegółami? — Poznała ona wprawdzie dobrze usposobienie
męża i czuła
doskonale, do czego zmierzał, mówiąc jej to wszystko. Uznając zalety
charakteru
Romana, Zenobia uważała go trochę za samoluba i dziwaka, któremu
o to chodziło,
aby się nim zajmowano w domu, aby pamiętano o jego potrzebach,
przyjemnościach,
zamiłowaniach. Pani Zenobia pra-

gnęła mu wprawdzie dogodzić, ale tem przecież sama zajmować się
nie mogła.

Zresztą miała nieszczęśliwą, pamięć, zapominała! Wydawszy
dyspozycje służbie,
miała rzecz za skończoną — czy rozporządzenia wykonane były i w
jaki sposób, o
to już się nikt nie troszczył.

Przyjście na świat syna złagodziło na chwilę ten
stan rzeczy. Roman z podziwem patrzył z początku, a jaką
troskliwością Zenobia
zajmowała się dzieckiem. Mówiła wprawdzie zbyt może dużo o
trudach, jakich
doznawała, ale bądź co bądź pod wpływem macierzyńskiej miłości
zmieniła się do
niepoznania, otrząsała się ze swej gnuśnej apatyi, zapominała tym
razem o sobie.

Widział to Roman i uznawał, a byłby pierwszy uznał to głośno, gdyby
nie zwyczaj
pani Zenobii, która sama, przy każdej sposobności, unosiła się nad
swem
poświęceniem, dziwiąc się, że to wszystko przetrwać i wytrzymać
mogła.

W miarę wszakże jak Zygmunt dorastał i usposobienie pani Zenobii do dawnego stanu wracać zaczęło. Nieumiarkowana w pieśczościach i zewnętrznych objawach swej miłości, pani Zenobia zapominała już swoim zwyczajem o zwiększających się potrzebach syna, a staranie o to zdała ostatecznie zupełnie na łaskę służby.

W tym czasie zaszły też wypadki, które sytuację jeszcze pogorszyły. Dotychczas stosunki Romana z rodziną żony były obojętne, ale znośne. Samo oddalenie, utrudniając bezpośrednio stosunki, przyczyniało się do utrzymania harmonii. Ale w Ośniałowie nie tajono już wcale swoich rozczarowań co do "stepowego magnata".

Łudzono się zrazu nadzieją, że pan Roman da się nakłonić do kupna Ośniałowa, że tam wraz z żoną osiadzie i kapitałami swemi ułatwi byt całej rodzinie. W tym celu wybrano się raz nawet gromadnie do Jurpoła. Roman był rad gościom, ale na propozycję odpowiedział stanowczą odmową, która do żywego dotknęła Szarzyckich, a niemniej była przykrą Zenobii. Państwo Szarzyccy wyjechali oburzeni, a Zenobia w coraz częstszych listach do matki opisywała jaskrawo "dzicz" stepową i swoje mizerne życie w porównaniu z dawną świetnością. Fani Szarzycka, trąc gwałtownie lewy policzek i czoło, wzdychała i zalewała się łzami.
— *Pauvre chère enfant... quel sort! mon Dieu, quel sort!*
Hrabia Witold, który na powolność i wspaniałomyślność szwagra bardzo wiele

liczył, zawiódłszy się, głośno i bez dyplomatycznych obsłonek opowiadał każdemu, kto go tylko słuchać chciał, że Czarnoszyuski to nędzny samolub, który ich po prostu popycha do ruiny i że jeżeli interesa ośniałowskie coraz gorzej idą, to tylko wina Romana.

— Wziął od nas wszystko, co się tylko dało wyciągnąć — powtarzał — więcej nawet, niż się należało, a teraz o niczem słyszeć nie chce. Oczywiście dowodów na poparcie słów tych nie miał żadnych, ale też wiedział, że jeśli ludzie nie wierzą w zacność bez dowodów, to w złe uwierzyć zawsze na słowo gotowi. Echa tych plotek, pomimo odległości, dochodziły jednak do Romana i nie mogły przyczynić się do wpro-

wadzenia harmonii w pożycie małżonków, coraz bardziej owszem oddalających się od siebie. Odtąd też Szarzyccy bardzo rzadko odwiedzali córkę, która za to od czasu do czasu wyjeżdżała do Ośniałowa. Zygmus, chociaż oczywiście nie mógł zdać sobie sprawy z całej sytuacji, wszakże instynktem, właściwym dzieciom, chwycił jej główne rysy i przeczuwał, że między ojcem a rodziną matki nie było zgody; mimowolnie też czuł rozstrój między rodzicami. Raz, na usilne prośby Zenobii, zezwolił Roman, aby Zygmus, wówczas dziesięcioletni, pojechał z matką do Ośniałowa. Bawił tam on dość długo, wrócił

rozkapryszony i pieścizotami popsuty, ale pytany przez marszałka,
jak mu się tam

podobało, spoglądał chwilę to na ojca, to na dziadka, a potem,
wiedząc z góry,

jaka odpowiedź będzie im miłą, odparł śmiało:

— Woię Jurpol! dziadzio tamten nie taki kochany, jak "mój"
dziadzio!

To "mój" wymówił z naciskiem, patrząc figlarnie w oczy marszałka,
który nie

odpowiedział wprawdzie nic, ale mimowoli tą dziecinną dyplomacya
wnuka czuł się

ujęty.

Po każdej takiej wizycie w Ośniałowie pani Zenobia wracała smutna,
wzdychająca,

przebąkując półsłówkami o fatalnym stanie interesów rodziców,
czemu należałoby

zaradzić.

Roman, nie chcąc wszczynać dyskusyi, udawał, że nie rozumie
przymówek i milczał,

a pani Zenobii oczy się iskrzyły tłumionym gniewem.

— Samolub! — myślała — mógłby dopomódz, a nie chce!

W takim usposobieniu zapominała już zupełnie o obowiązkach
gospodyni domu.

Roman próbował jeszcze przedstawić, upominał się już nie o siebie,
lecz o

Zygmusia. Po przestrogach i teoryach, wygłaszanych łagodnie,
przyszedł czas na

przykłady praktyczne, a potem na wyrzuty mniej lub więcej ostre.

Teoryj pani Zenobia nie słuchała w końcu wcale: znudziły ją. Na
przykłady

praktyczne odpowiadała zwykle jakąś pierwszą lepszą wymówką,
najczęściej

zwalaniem winy na niedbalstwo służby. Na wyrzuty była bardzo
tkliwą. Przyjmowała

je zrazu z ironicznym na ustach uśmiechem, zamykała się w pełnym rezygnacji milczeniu, jak przystało na niesprawiedliwie prześladowaną istotę. Wiedziała wszakże dobrze, że to najfatalniej oddziaływa na Romana i że jedno z jej strony łagodne słowo mogło najłatwiej uśmierzyć jego rozzalenie. Wiedziała, że milczenie drażni go niewypowiedzianie, że byłby wolał spór najbardziej zacięty. Wobec milczenia Roman unosił się często nad miarę; wypowiadał słowa, które byłby zaraz chętnie cofnął i które go potem gnębiły we wspomnieniu. Po chwili, niewzruszenie milcząca Zenobia wpadała w stan, który Romana z początku śmiertelnie przerażał. Bładła, sztywniała i rozpaczliwymi gestami okazywała, że się dławi. Ze ściśniętej krtani wychodziły nieludzkie dźwięki; oczy patrzyły sztywnie, nieruchomo. Roman zapominał wówczas o wszystkim, trzeźwił, błagał

o uspokojenie się, o zapanowanie nad sobą, przeproszał za uniesienie i wreście po uśmierzeniu gwałtownie wzburzonych nerwów pani Zenobii, opuszczał ją w smutnem przeświadczeniu, że przegrał sprawę. Po kilku takich scenach, zakończonych, jak zwykle nerwowym atakiem, pan Roman postanowił milczeć i odtąd rzeczywiście zaprzestał wszelkich usiłowań. Stracił ufność w skuteczność słów swoich i zamilkł, w niczem już nie naruszając spokoju pani Zenobii. Sam w całkowitem oddaniu się wychowaniu syna i w pracy umysłowej

znalazł zapomnienie.

Administracja majątku szła za to coraz gorzej. Roman, w braku poparcia moralnego, którego snadź koniecznie potrzebował, z coraz większym przymusem i coraz niedbalej zajmował się interesami, a te z dniem każdym coraz się bardziej wikłały.

Cały świat Romana zaniknął się teraz w czterech ścianach biblioteki i pracowni,

obok której parę wolnych pokoi zajmował Zygmunt z guwernerem.

Wychowaniu tego syna oddał się on z niezmiernym zapałem. Całe godziny spędzał z

dzieckiem, usiłując badać jego skłonności, ciesząc się rozwojem umysłu i

kierując go ku rzeczom najbardziej sobie drogim. Czytanie książek i rozmowa z

dzieckiem stały się wyłącznym jego zajęciem. W miarę, jak Zygmunt dorastał, Roman

wytwarzał sobie własny system pedagogiczny, wedle którego syna wychowywać

zamierzał. Pozostawiając guwernerowi nauki czysto szkolne, sam starał się umysł

dziecka kształcić w rozmowach długich i poważnych. Zygmunt każde słowo ojca

pochłaniał chciwie

i każde z nich wybijało na jego duchowej istocie niezatarte piętno.

Były to może najszcześniejsze lata w życiu Romana. W związku małżeńskim nie

znalazłszy tego, czego się mógł być spodziewać, w pracy nad wychowaniem syna

czepał wszystkie rozkosze. Mały Zygmunt garnął się też do ojca całą duszą; jego

słowa stały się dla niego wyrocznią, on sam ideałem wszystkiego, co dobre,

piękne, szlachetne. Zwolna też wsiąkały w duszę dziecka te wszystkie przekonania i uczucia, jakie ożywiały ojca. Roman, chociaż czuł dobrze, ile mu zaszkodziła w życiu skłonność do marzycielstwa, owa mgła romantyczna, przysłaniając praktyczne cele życia, przez którą wszystko, na co patrzył, przedstawiało mu się nieraz w oświeceniu i barwach sztucznych; chociaż usiłował w rozmowach z synem zachować miarę i trzeźwość w poglądach, to wszakże nie zdołał zupełnie utaić i za" trzec" tego, co stanowiło wybitną cechę jego własnej moralnej istoty, a co wrażliwy umysł i serce dziecka chwyciły z niezmierną łatwością. W piętnastu latach Zygmus, chociaż do nauk szkolnych nie bardzo się przykładał, obejmował umysłem daleko więcej, a zwłaszcza pojmował lepiej to, co umiał, niż jego rówieśnicy. Czuł on też mimowolnie, że między nim a nimi jest wielka w rozumieniu rzeczy różnica, której sam określić nie umiał, a która objawiała się dojrzałym daleko na świat poglądem, wrażliwością nadmierną, usposobieniem bardziej poważnym. Oprócz synów sąsiadów, którzy nieraz do Jurpoła na czas dłuższy przybywali, najczęstszym tam gościem

był młody Jurek Sipajłło, rówieśnik Zygmutia i jego najbliższy przyjaciel. Przyjaźń ta objawiała się w sposób dość dziwny. Zygmus na każdym kroku i w każdym słowie Jurka widział tlejącą w nim zawiść; sam zaś nie mógł się oprzeć

poczuciu pewnej wyższości nad młodym Sipajłą, jakkolwiek syn oksanińskiego ekonoma zdolności miał wybitne i ową pamięć, którą nieraz zawstydział Zygmusia.

Wyższość ta polegała nie na sumie nabytych z książki wiadomości, lecz raczej na ich pojmowaniu. Dla Jurka nauka była dotychczas niczem więcej, jak tylko zbiorem rozmaitych taktów, dat, cyfr i nazw, z których umysł jego żadnych jeszcze wniosków wyprowadzić nie umiał Zygmusiś czynił z nich rozmaite kombinacye, powtarzał czasem rzeczy zasłyszane od ojca, czasem jednak na tej podstawie własne wypowiadał zapatrywania. Jurek chlubił się tem, że umiał mnóstwo wierszy na pamięć, ale wygłosić ich nie potrafił nigdy tak jak Zygmusiś, dla którego każde słowo wyuczonej poezyi miało swoją znaczenie, poruszało serce, wrażało się w duszę.

Dla obu zbliżała się teraz ważna chwila w życiu. Oddawna już pan Roman Czarnoszyński widział konieczność oddania syna do szkół publicznych. Zygmusiś okazywał naturę miękką, zbyt wrażliwą, pozbawioną męskiego hartu; należało go koniecznie z domu oddalić, aby wśród obcych ludzi nabrał więcej samodzielności i siły. Ojciec czuł sam, że jest dla niego za słaby, pieszczoty zaś, których matka nie szczędziła jedynakowi, tem fatalniej na usposobienie jego wpływały, że objawiały się wtedy najsilniej, gdy ojciec albo nau-

czyciel uważali za konieczne skarcić lub ukarać malca. Pani Zenobik stawała wóczas zawsze po stronie Zygmunia, a ta, jak ją nazywała, "obrona" syna, zdawała się jej spełnieniem obowiązków macierzyńskich i zaspakajała jej sumienie. Przeciw oddaniu syna do szkół publicznych protestowała zrazu gorąco i skutecznie. Przez lat paro udawało się jej, nie argumentami, bo tych nie miała, lecz spazmatycznym łkaniem i objawami nieutulonej rozpacz, niweczyć projektu wyjazdu. W końcu jednak perswazye męża przemogły i postanowiono stanowczo, że Zygmus odwieziony zostanie do Odesy, oddany do liceum i umieszczony tam pod opieką p. Grużewskiego, znanego powszechnie i wielce poważanego pedagoga. Aby zaś Zygmus nie czuł się zupełnie obcym, uradzono, że wraz z nim na koscie państwa Czarnoszyńskich umieszczony tam będzie Jurek Sipajło. Odpowiadało to tradycjom obu rodzin. — Dziadek Jurka był od młodu przydany do usług marszałka, p. Jędrzej również podróżował z Romanem Czarnoszyńskim, zanim objął czynności ekonomiczne w Oksaninie; było więc rzeczą zupełnie naturalna, aby teraz Jurek jechał do Odesy z Zygmuniem, tylko już nie w charakterze sługi, lecz towarzysza i szkolnego kolegi. Propozycja ta, uczyniona w formie bardzo serdecznej, o ile uradowała p. Jędrzeja, o tyle oburzyła panią Natalię. — Za nic nie pozwolę! — zawołała. — Oniby z Jurka lokajczuka swego zrobić chcieli! Za nic w świecie!

Pan Jędrzej poczerwieniał z gniewu.

— Kobieto, bój się ty Boga! — krzyknął — albo ja cię nastraszę!

Czyż my kiedy

spodziewać się mogliśmy takiego zaszczytu? To, panie teo,

dobrodziejstwo

prawdziwe. I marzyć nie można było o takim wychowaniu syna.

Pojedzie do Ades...

— Do Odesy — poprawiła pani Natalia.

— Wszystko równo! — krzyknął p. Jędrzej. — Pojedzie do Ades,

skończy licejum,

pojedzie do uniwersytetu, zostanie, proszę łaski, doktorem, albo

inżynierem i

będzie wraz z nami błogosławił zacnych państwa, dobrodziejów

naszych.

Pani Natalia ruszyła ramionami z niecierpliwością.

— Nie gadałbyś o dobrodziejach — rzekła — a więcej dbał o własną godność.

— Cicho, z tą głupią godnością! — wrzasnął p. Jędrzej — niech ją

jasne pioruny

biją!

I skończył dyskusję swoim zwyczajem, wychodząc zamasyście z

pokoju.

Pan Sipajłło, chociaż propozycję Czarnoszyńskich z wdzięcznością

przyjął, a

odrzućcie jej byłby uważał za sprzeniewierzenie się dawnym

tradycjom, nie był

wszakże zrazu bez obaw w tej sprawie.

W duchu byłby on może wolał, aby Jurek poszedł tą samą, co on

drogą, oddał się

pracy na roli, został, jak on, rządcą czy ekonomem. Długoletni jednak

wpływ pani

Natalii zachwiał w nim mimowoli przekonanie o zacności tego

zawodu. On, który

pierwej stanowisko ekonoma w Oksaninie uważał za szczyt swych

marzeń, tyle się w

ciągu małżeńskiego pożycia swego nasłuchał

pogardliwych wymyślań, że w końcu, jak w istnienie starosty
liwskiego, tak samo
i w to uwierzył, że nazwa i zawód ekonoma są bądź co bądź plamą
niezatartą na
tym, a może i na tamtym świecie. Kłócił się o to z żoną, ale dla syna
marzył już
czasem o innym zawodzie, któryby go w hierarchii społecznej
postawić mógł daleko
wyżej.

Wieści o zachwianiu się fortuny Czarnoszyńskich jeszcze go bardziej
w tych
myślach utwierdziły.

— U Czarnoszyńskich — mówił sam do siebie — niechby Jurek i
ekonomem był; było
dziadowi i ojcu z nimi dobrze, byłoby może jeszcze lepiej wnukowi,
ale z innego
pieca chleba szukać, panie teo, to nie! Ja już na nic innego się nie
zdam, ale

Jurek niech szuka innego szczęścia.

Najwięcej mu się dla syna uśmiechał zawód lekarski. Po obiedzie,
drzemiąc w
fotelu, z fajką na długim cybuchu przy ustach, widział już Jurka
osiedlonego w
Humaniu, jako sławnego doktora.

— A my z Talcia przy nim — marzył — na stare lata, bez troski, bez
kłopotów.

Ciężarem mu nie będziemy, boć przecież grosz jest, dwadzieścia
tysięcy
karbowańców, jak lodu.

Ba! ale ten cały kapitał uwięziony w Jurpolu, a co się stanie z
Jurpołem? Bóg
jeden wie.

Ciężko westchnął p. Jędrzej, pociągnął z fajki, która wygasła, ręką
machnął i z

marzeń się obudził.

— Jakoś to będzie! - szepnął, powstając.
Ale właśnie ta troska jeszcze go bardziej skłaniała do tego, aby Jurka do innego zawodu sposobić.

— Jurek, panie teo, ma rozum, jak stary — mówił do żony — Jaby m i za sto lat nie nauczył się tych rozmaitych historyj, które on rozpowiada, proszę łaski, jak gdyby nic. Niech więc z tego rozumu chleb je. Powoli i pani Natalia oswajała się z tą myślą, zwłaszcza, że Jurek z zapalem przyjął projekt wyjazdu do Odesy.

— Zobaczysz mama — mówił — jak ja się wy kieruję! Zygmunusia prześcignę, a wkrótce łaski państwa Czarnoszyńskich nie będę potrzebował.

Chodził po pokoju wielkimi krokami, z głową podniesioną i dumnie spoglądał na matkę, która się rozpromieniała.

— Będę doktorem! — wołał Jurek. — Zobaczysz mama. Za lat kilka wrócę do Humania i wszystkich zakasuję. Tego żyda Freunda, który tu pieniądze zbija i powozami rozjeżdża, a ludzi truje, albo tego Strumińskiego, który się ma za wielką figurę, bo jest nadwornym lekarzem u hrabstwa, het wykurzę!

— Mój ty synu drogi! — z rozczeniem zawołała pani Natalia, porywając się z miejsca i obejmując Jurka w uścisku. Łzy miała w oczach.

— Et! — mruknął Jurek z niechęcią, wyrrywając się z objęć — mama bo zaraz w łzy uderza, a to się na nic nie zdało. Proszę bardzo mamy nie rozczulać się tylko,

gdy będziemy wyjeżdżali, bo to wstyd doprawdy, przecie ja już nie dziecko!

Pani Natalii przykro się zrobiło. Otarła oczy i z wymówką spojrzała na syna.

— Będiesz ty jeszcze tęsknić — rzekła smutno — do pieścot matczynych, gdy sam zostaniesz wśród obcych.

Jurek z roztargnieniem słuchał i uśmiechał się do swoich myśli.

— Niema mama wyobrażenia — ozwał się po chwili — jak Zygmus boi się tej Odesy.

Ojciec nauczył go wprawdzie pięknie rezonować i deklamować wiersze; matka dbała

tylko o to, aby się Zygmus ładnie ustroił, grzecznie w salonie siedział i

zgrabnie się kłaniał; guwerner, p. Wąż, stary niedołęga, kontent był, gdy Zygmus

raczył lekcyi jako tako się nauczyć, a ten śmieszny Francuz, pan Lebois,

szwargotał z nim dwie godziny dziennie, a potem na gitarze grał. Z przedmiotów

szkolnych Zygmus prawie nic nie umie i już mnie o pomoc prosił.

— Wykieruję cię na swego guwenera - wtrąciła pani Natalia.

— O ho, ho! niech się mama nie boi! Nie dam się ja na nic wykierować. Zygmus

sam wie dobrze o tem. Dam ja sobie radę!

Pani Natalia o mało znowu na szyję synowi się nie rzuciła, tak czuła się z niego

dumną.

— Dobra krew — myślała — moja krew w nim się odrodziła, dzięki Bogu!

I ostatecznie zgodziła się na wyjazd syna do Odesy z młodym Czarnoszyńskim.

Wyjazd ten naznaczony był na jesień, więc miesiące letnie, wolne już od nauki

domowej, spędzali Zygmus i Jurek, swobodniej, niż kiedykolwiek.
Pani Na-

talia musiała już, chcąc nic chcąc, pobłażliwiej patrzeć na te zażyłość
rówieśników, która w gruncie pochlebiała jej miłości własnej.
Zdarzało się nawet teraz, że Jurek spędzał dni całe w jurpolskim
pałacu, nocował
tam czasem i odbywał dalekie konne wycieczki z Zygmusieni.
Raz, późnym wieczorem, wracali z takiej przejażdżki przez Oksaninę,
drogą ku
karczynie wiodącą. Jurek chciał pozostać w domu, a Zygmus miał
jechać dalej do
Jurpola, ze starym, zaufanym masztalerzem który im towarzyszył.
Wieczór był pogodny. Księżyc rzucał jasne promienie na drogę równą
i pastą.
Czasem zamajaczyła na niej postać ludzka, wracająca do wsi i nikła w
dali. Nic
nie zakrywało widoku, tylko na wzgórzu, naprzeciw karczmy, grube,
niekształtne
ramiona krzyża, wzniesionego na mogile Maryny, rysowały się czarne
na pogodnym
tle nieba i olbrzymim cieniem padały na drogę.
Cisza panowała dokoła. Zdała tylko od strony wsi dochodziła
stłumiona wrzawa
głosów ludzkich i ujadania psów, równe, miarowe, przechodzące od
czasu do czasu
w przeciągłe, melancholijne wycie.
Nagle wśród tej ciszy rozległ się śpiew. Tłumiony zrazu, potem coraz
wyraźniejszy a tęskny i rzewny. Szedł w górę, bardzo wysoko,
dźwięczał przez
chwile, a potem cichł, coraz rzewniejszy, jak łzawa skarga. I znowu
się odezwał,
ale tym razem wesoły, skoczny, urywany jak śmiech, który nagle
przechodził
napowrót w tęskne, rzewne łkanie.
Zygmus się wzdygnął. Cóż go mimowoli poru-

szło w tym śpiewie, wychodzącym jak gdyby z pod krzyża.
— Kto to tak dziwnie śpiewa? — spytał głosem stłumionym.
Jurek nie odpowiedział nic. Koń jego pobiegł cwałem ku krzyżowi,
lecz nagle
parsknął, zachnął się i w bok tak silnie odskoczył, że nie zbyt
wprawny jeździec
stracił równowagę i omal nie zleciał. Pod krzyżem, skulona, siedziała
mała
postać. Gdy się ozwał tętent konia, śpiew ucichł. Postać porwała się z
mogiły i
zaczęła uciekać.
— A! to ty, znajdo przekłeta! — krzyknął Jurek i zły za spłoszenie
konia, puścił
się za Olgą w pogoń, wywijając groźnie szpicrutą.
Przed nim rozciągał się wielki wygon, cały zarosły burzanami.
Burzany były
wysokie, gęste, rozrosłe a najeżone kolcami tak wielkimi, jak owe
igły,
cygańskimi zwane; z pomiędzy łodyg i liści wystawały one, żółte,
suche, twarde
a ostre.
Olga uciekała bez pamięci. Nie szukając drogi, rzuciła się wprost w tę
gęstwinę,
burzanów. Niewysłowiony ją przestрах ogarnął. Nie tak uderzenia
szpicruty się
lękała, jak spotkania z Jurkiem, którego obelżywe słowa raniły ją
zawsze,
stokroć boleśniej niż burzany, wśród których teraz biegła, a które po
nad głowę
jej sięgały. Kolce ich szarpały ją za włosy, darły odzież, raniły twarz,
krwawiły ręce, wpijały się w stopy.
Pomimo dojmującego bólu, Olga biegła nie ustając, a za nią pędził
Jurek, który
już teraz pomimo wysiłków, wierzchowca swego powstrzymać nie
mógł.

Koń bodzony także szpilkami burzanów, parskął, łbem rzucał i rwał się naprzód w galopie.

Naraz Olga zaplątawszy się wśród gęstwiny, potknęła się i z jękiem upadła, w chwili, gdy koń Jurka, rozhukany, był tuż po za nią. Koń skoczył, nie stratował leżącej, lecz kopytem silnie uderzył ją w głowę i popędził dalej.

— Jurku! Jurku! — wołał przerażony Zygmus, dążąc co tchu boczną drożyną, wraz z masztalerzem, aby dognać i powstrzymać szaleńca.

Minawszy wygon burzanami zarosły i wydostawszy się na drogę, koń Jurka sam zwolnił biegu i przystanął zdyszany. Zygmus nadleciał za chwilę.

— Goś ty zrobił! — zawołał — stratowałeś jakieś dziecko! Jurek z konia zeskoczył. Błady był, patrzył chmurno przed siebie i oddychał ciężko. Zmieszany był widocznie.

— Trzeba szukać — ozwał się z cicha po chwili. — Upadła gdzieś ta znajda, w burzany.

— Któż to jest? co za znajda? — pytał Zygmus. Jurek niecierpliwie ramionami ruszył.

— Ot! jakaś przyplątała się do nas od roku włóczęga- mruknął. — Mama to wszystko garnie, a potem kłopot.

Zsiedli wszyscy trzej z koni i weszli w zarośla, szukając.

O kroków kilkadziesiąt od miejsca, w którym koń Jurka się wstrzymał, leżała Olga

twarzą ku ziemi, bez zmysłów. Koszulina na niej zdarta, ręce i twarz po-

krwawiono, a na czole, nad lewym okiem, wielka sina plama od uderzenia kopytem.

Z przedartej skóry sączyła się krew i z wolna spływała po zbladłej twarzy.

Zyginuś pierwszy ją zobaczył, z okrzykiem przerażenia rzucił się ku niej i podnosił z ziemi.

— Hoże! Boże! — szeptał — cóżeś ty Jurku uczynił ?

— Alboż to moja wina! — z gniewem zawołał Sipajłło. — Wpadła sama pod konia.

Nic jej nie będzie, złe nie zginie!

— Wstydz się, Jurku, nie dobre masz serce! — z wymówką rzekł Zygmus, dźwigając wraz z masztalerzem biedną Olgę, która z wolna przychodziła do siebie.

Otworzyła oczy i błędnym wzrokiem spojrzała dokoła. Spostrzegłszy Jurka, porwała

się, jakby znów uciekać chciała i nagle przytuliła się do piersi Zygmutusa.

— Katujcie! — szepnęła błagalnie.

— To paniczu - ozwał się masztalerz — córka tej kobiety, co to przed rokiem

zmarła u Icka w karczmie i pod tym krzyżem jest pochowana.

Wypadek, powszechnie znany, nie był i Zygmutusiowi obcy, z tem większem przeto

współczuciem wpatrywał się w zbladła, przerażona twarzyczkę sieroty.

— Biedne dziecko! — przemówił, ocierając chustką krew, płynącą z czoła Olgi.

Jurek się zaśmiał.

— Ot, sentymenta! — zawołał. -Darmozjad ! znaj-

da! siedzi w piekarni dzień cały i nic nie robi, a w nocy po stepie się włóczy i śpiewa.

Jurek nadrabiał miną. I jemu ten wypadek nie był wcale obojętny. W pierwszej chwili przeraził się okropnie, teraz zaś, przekonawszy się, że Olga żyje, pozornym lekceważeniem usiłował pokryć własne pomieszanie i osłabić wrażenie wypadku.

— Nie mówiłem — dodał — że nic się nie stało.

Upadła w burzany i szpilki ją pokłuły.

— Na czole rana, paniczu, koń ją kopnął — wtrącił Stefan, stary masztalerz, z niechęcią spoglądając na "ekononiczuka, " jak go z pogardą nazywał, gdy Sipajłło słyszeć nie mógł. W oczy mówił do niego "paniczu" jak i do Zygmutusia, ale czynił to z widocznym przymusem i zupełnie odrębnym akcentem.

Olga była prawie nieprzytomna. Otulona ramieniem Zygmutusia, nie czuła bólu, nie

zdawała sobie sprawy z tego, co się stało, nie pojmowała niebezpieczeństwa,

jakie jej groziło przed chwilą, ale lęk jakiś nieprzemierzony opanował ją całą.

Słyszała głos Jurka szyderski, który ją mroził, dojrzała w półcieniu twarz jego

bladą, zmienioną, a gniewną. I garnęła się coraz mocniej ku Zygmutusiowi.

— Trzeba, paniczu, odprowadzić ją na folwark — pierwszy przemówił masztalerz.

— Tylko, żebyś tam nie nakłamała — ozwał się Jurek do Olgi, lękał się bowiem

gniewu ojca, w razie, gdyby się cała historia wydała. — Upadłaś sama, jam ci nic

nie zrobił. Gdybyś naskarżyła na mnie, ja ci to odpłacę!

Olga nie odpowiedziała nic, a Zygmunt znowu z wymówką spojrzał na Sipajłłę. Po

raz pierwszy uderzyła go oschłość serca w tym, którego za przyjaciela uważał.

Nie spodziewał się w nim takiego braku uczucia.

— Czy nie widzisz — ozwał się — w jakim stanie jest to biedne dziecko?

Jurek się zaśmiał — Rozczulaj się — rzekł — jeśli ci się podoba. Ja muszę

spieszyć do domu, bo tam pewno mania bardzo o mnie niespokojna. I tobie radzę,

nie nakładać drogi, jechać prosto do Jurpola i puścić tę znajdę, która trafi

sama do piekarni.

Wsiadł na konia, ale nie odjeżdżał. Wahał się, co miał uczynić.

Podejrzliwość

jego natury kazała mu pilnować Olgi, aby w rozdrażnieniu nie powiedziała

Zygmusiowi czegoś niekorzystnego o nim, lub rodzicach jego. Wolał być świadkiem

odprowadzenia jej na folwark.

Odjechał kroków parę i znowu przystanął.

— Zygmuś! — zawołał — jedź ze mną naprzód, Stefan Olgę odprowadzi.

Dziewczę konwulsyjnie czepiało się ramienia Zygmunia.

— Nie... nie... — szeptało błagalnie.

Nie było rady. Pomimo szyderskich żartów Jurka, Zygmuś nie odstąpił Olgi.

Wsparta na jego ramieniu, szła ona zwolna, potykając się co chwila i usiłując

zebrać myśli rozpierzchłe. Za nimi postępował masztalierz, prowadząc konie. Jurek

jechał stępem naprzód

i dla dodania sobie animuszu pogwizdywał jakąś piosnkę. Był bardzo z siebie i

tego wypadku nie kontent a jakieś przeczucie mówiło mu, że nie pozostanie on bez

dalszych i niemiłych następstw. Nie podobał mu się także ton, z jakim Zygmunt do niego przemawiał i wyraz jego twarzy Czuł w nim rodzaj pogardy, czego niezmiernie drażniło.

— I wszystko to dla tego podłego pośmieciuszka! myślał jadąc — Nikczemne to jakieś, brudne, ponure a on się tem tak interesuje, jakby było co warte. Muszę koniecznie mamę uprosić, aby te znajdzie wypędziła co rychlej. Niech idzie do karczmy żydom wodę nosić. Zbliżano się do folwarku. U bramy stała Nastka, wracająca od studni, dźwigając na plecach koromesło z dwoma konewkami wody.

— A, to wy, paniczu! — zawołała, spostrzegłszy Jurka. — Pani już może z dziesięć razy wyglądała, czy panicz niewraca.

— Naściu — ozwał się śpiesznie Jurek — idźno prędko a zabierz Olgę, którą pan Zygmunt prowadzi. Upadła w burzany i pokaleczyła się. Obmyj jej twarz zimną wodą, aby znaku nie było.

— Nastka konewki z takim pośpiechem postawiła na ziemi, że się woda z nich aż do połowy wylała.

— Matko cudowna! - krzyknęła — to już pewnie panicz coś zrobił temu biedactwu.

Już to panicz ma serce, aż ha! Cóż ona komu zawiniła?

Jurek skoczył jak wściekły. Byłby wywarł swą złość na Nastce, ale ona pobiegła co tchu ku Oldze, nie

słuchając gróźb i przekleństw, padających z ust młodego Sipajłły.

— A nie mówiłam ci — wołała, biorąc Olgę w objęcia i przypatrując, jej się

pilnie — nie mówiłam, abyś nie latała czort wie czego po stepach w nocy. O Bożeż mój, Boże! cała twarz skrwawiona i ręce i szyja. A to dopiero robota z takim upartem nawiedzonym stworzeniem. Ciągnęła Olgę ku sobie, popychała, obracała na wszystkie strony i mówiła głosem gniewnym, który jednak zdradzał wyraźne współczucie i głębokie przywiązanie do sieroty. Ocierała fartuchem krew z jej twarzy, opatrywała niespokojnie głowę, a łajała ciągle. — Niezdaro! — powtarzała - włóczęgo! Siedziałyby to sobie spokojnie za piecem, kiedy nawet chodzić nie umie. Olga nie opierała się teraz już wcale. Dała się pociągnąć Nastce, która pozdrowszy jurpolskiego panicza, zmierzała ku bramie. U wejścia dziewczę obróciło się jeszcze całą postacią ku Zygmuśowi, który zatrzymał się opodal. Promienie księżyca padały na twarz Olgi, skrwawioną, podrapaną, opuchniętą. Oczy lśniły się łzami, a miały taki wyraz bólu, smutku i wdzięczności, patrząc na Zygmunta, że on mimowoli uczuł się do głębi wzruszonym i znowu powtórzył: Biedna sierota! Nastka z Olgą znikły w drzwiach, do piekarni wiodących, a Zygmuś żegnał się z Jurkiem. Żegnał się obo-

jętniej niż zwykle; czuł do niego żal serdeczny; przykro mu było, że Jurek w jego opinii postawił się dzisiaj tak niekorzystnie. Wydał mu się nieludzkim, złym, a nadto źle wychowanym i pospolitym.

Stary masztalerz jadąc zwolna za swoim paniczem, pomrukiwał, także bardzo zgorzony.

— Ot złe ziele, ekonomczuk, nie daj Boże z Iwana pana!

Tymczasem w piekarni Nastka zaopiekowała się Olgą z niezwykłą czułością. Obmyła

jej twarz, zranioną głowę obwiązała mokrą ścierką, a czyniąc to, wymyślała

ciągle i łajała nieustannie.

Olga milczała uparcie, nie dając żadnych wyjaśnień, co do rozpaczki doprowadzało

Nastkę. Chciała wiedzieć, jak się to stało, domyślała się w tem wszystkim

swawoli Jurka, którego nie cierpiała, a Olga jak na złość nic nie chciała mówić.

Zniecierpliwiona Nastka popchnęła ją w kąt izby.

— Śpijże mruku przeklęty! kiedy gęby otworzyć nie chcesz! — zawołała.

Późno już było. Dzień był roboczy, więc czeladź wcześniej spożywszy wieczorną

strawę, rozeszła się dawno na spoczynek. W izbie, oprócz Nastki i Olgi, nie było

nikogo. Wkrótce i Nastka, odszeptawszy modlitwę i przeżegnawszy się.

kilkakrotnie, legła na posłanie, zgasiła światło i zasnęła twardo.

Wśród

ciemności, które izbę zalegały, i ciszy przerywanej monotonnem chrapaniem

dziewki piekarnianej, czuwała tylko Olga. Głowa jej pałała, powieki ciężły,

piekły ogniem pokaleczone kolcami burzanów ręce i policzki, guz na czole

nabranie-

wał i bolał jak rana. Chwilami dreszcz wstrząsał całym jej ciałem,
pomimo
gorąca, jakie czuła w piersiach. Coraz bardziej mąciły się myśli w jej
głowie.
Snuły się po niej gorączkowe marzenia i fantastyczne widziadła,
wśród których
najstraszniejszym był Jurek. Miał twarz starego Semena. Groził jej
zemstą,
zamierzał się na nią kijem żelaznym, jakim Mykoła uczył tańczyć
niedźwiedzia, a
ona uciekała w świat, w stepy, niekończące się nigdy i całe pokryte
kolczastymi
burzanami, które jeżyły swe ciernie przeciwko niej, raniąc boleśnie. A
ona
biegła ciągle, bez tchu, bo w dali, w promieniach wschodzącego
słońca
zamajaczyła przed nią postać Zygmunta. Miał twarz jej matki, ten sam
wyraz
czułości w oczach, a na ustach te same wyrazy:
— Biedna sierota.
Matka jej obiecała, że nad sierotą czuwać będzie Bóg, a zlitują się
miłosierni
ludzie. Ku temu więc zlitowaniu w postaci Zygmunta biegła, nie
bacząc na kolce
burzanów, które ją szarpały.
Biegła zdyszana, lecz widzenie promienne uciekało przed nią w dal, a
natomiast
wrzawa jakaś otoczyła ją dzika, zmieszana z głosów ludzkich, ryku
niedźwiedzia,
nawoływań Mykoły i dźwięków blaszek mosiężnych, przyczepionych
do oprawy bębna.
— Baraban! — wrzeszczał do niej Mykoła. Chciał, aby śpiewała, a
ona ani jednego
tonu nie mogła dobyć ze zdyszanej piersi. Chciał, aby tańczyła, a ona
w szalonym
rozpędzie powstrzymać się już nie mogła. Step się kończył
niezglębioną czarną

przepaścią; słońce w nią zapadło i zgasło. Olga czuła, że za chwilę i
ona padnie
na sa-

mo dno okropnej czeluści, a wstrzymać się nie była w stanie. Pędził ją
ciągle
groźny głos Jurka, mającego twarz Semena: wrzawa zmilkła, a ten
głos brzmiał,
nie ustając. Ziemi i zaczęła się usuwać zpod jej stóp, Olga wyciągnęła
ramiona i
zawisła w powietrzu.

Krzyknęła budząc się z gorączkowej zmory.

Księżyc już zaszedł. Na niebie gwiazdy już bladły przed świtaniem;
pogodna noc

sierpniowa była u schyłku. Głębokiej ciszy i spokoju nie mącił żaden
głos na

ziemi, ani najlżejszy powiew wiatru w powietrzu.

Na palcach, ostrożnie, Olga zbliżyła się ku oknu. Było jej gorąco i
duszno,

pragnęła odetchnąć swobodnie, a lękała się otworzyć drzwi, by
skrzypnięciem nie
obudzić Nastki.

Wsparała się łokciami na framudze okna i tak jak w pierwszym dniu
swojego tu

pobytu, wpatrzyła się w dal mroczną, stepową.

Gorączkowe mary, które ją podczas snu trapiły, nie dawały jej jeszcze
spokoju.

Zalęknione serce tłukło się w piersiach; wszystkie pulsa biły
przyśpieszonym
tętnem.

Gdyby ztąd uciec!

Wróciła do niej ta sama myśl, która pierwszej nocy, pod tym dachem
spędzonej,

nawiedziła jej dusze. Tyle czasu minęło, a ona do tych ludzi przystać
sercem nie

może. Wszystko tu jej i teraz równie obce, jak było z początku: Jurek tylko coraz groźniejszy i coraz bardziej nienawistny. Na myśl, że będzie musiała spotkać się z nim rano, na wspomnienie jego słów obelżywych i szyderczych, serce jej zabiło jeszcze gwałtowniej.

— Znajda! przybłęda!
To prawda. Ale cóż ona temu winna, że ją tu zawiedli, że matka umarła, że Mykoła porzucił? Ani ojca, ani matki, ani rodziny, krewnych, nikogo na całym bożym świecie.
Drobną dłonią cisnęła Olga bijące silnie serce, które wzbierało niewymownym żalem. Pod ręką poczuła zaszyty w płótno i zawieszony na szyi, wraz z krzyżykiem, zwitek papieru, dany jej przez matkę w chwili śmierci, jedyną po niej pamiątkę.
Papier ten zmięty, zżółkły, a pokryty jakimś pisanem, którego Olga przeczytać nie umiała, był jej jedynym skarbem, do którego wyobraźnia jej dziecinna olbrzymią przywiązywała wagę. Stosownie do słów matki, które się wryły w jej pamięć, nie pokazywała go nikomu, ale świecie wierzyła, że on kiedyś, w dalszym życiu, będzie jej skuteczną pomocą i od wszelkich niebezpieczeństw zasłoni.
Przycisnęła go mocniej do serca i znowu spojrzała w okno. Szarzało; gwiazd już dostrzedz nie było można, pierwsze (świty blade, niepewne, przebijały się na niebie. Za chwilę ruch się budzić zacznie, do ucieczki ostatnia pora.

Olga obejrzała się z lękiem. W izbie było jeszcze ciemno, ale oko dziewczęcia dostrzegąło najwyraźniej twarz Nastki uśpioną, z zamkniętymi oczyma a półotwartymi usty. Tej jednej istoty żal będzie Oldze, gdy ztąd pójdzie. Raziła ją wprawdzie gburowata jej szorstkość: nawykłej do pieszczot i czułości matczynych, ciągle

łajania Nastki wydawały się nieraz nie do zniesienia. Ale od pierwszego dnia to była jej jedyna i prawdziwa opiekunka. Zasłaniała ją zawsze i wszędzie, czy to przed swawolnym znęcaniem się Jurka, czy przed brutalnością innych dziewczynek i parobków. Nie pieściła jej nigdy, nie umiała słów tkliwych, ale w każdym odezwaniu się Nastki, Olga odczuwała instyktownie prawdziwe dla siebie w niej serce. Przystanęła na środku izby i wpatrzyła się w tę twarz grubą, ogorzałą, szpetną, która dla niej wszakże przybierała czasem wyraz niezwyklej dobroci. Szczery żal ją ogarnął. Nastka zrana szukać jej będzie, a gdy nie znajdzie, będzie jej smutno, może nawet zapłacze, a na pewno swoim zwyczajem wymyślać zacznie i łajać. Szybko odwróciła się Olga; czuła, że słabnie w swem postanowieniu, że myśląc o Nastce, traci ostatnią chwilę. A ona uciec ztąd musi, bo Jurek odtąd znęcać się nad nią będzie gorzej niż zwykle, mszcząc się za wczorajszy wypadek. Na mogiłę

matki zabrania jej chodzić i śpiewać nie dozwala. A ona tego wyrzec się nie
zdoła!

Porwała chustkę swą z tapczana, zarzuciła na głowę i nie oglądając się
już za
siebie, otworzyła drzwi zagnęła i wybiegła na podwórze.
Owionęło ją świeże, chłodne powietrze poranku: pierś odetchnęła
wolniej, sił
nagle przybyło i Olga biedz zaczęła.
Znała ona już dobrze całą okolicę. W swoich wędrówkach
wieczornych poznała
wszystkie ścieżyny,

a nawet raz z Nastką w niedzielę chodziła dalej o mile drogi do
Jurpola, gdzie
mieszkali Nastki rodzice.
Zdało się jej w tej chwili, że sprawdził się jej sen dzisiejszy. Biegła
przez
step wąską drużyną, wśród wysokich burzanów. Tylko, że przed sobą
nie widziała
żadnej postaci, lecz za to gnał ją tak jak we śnie, słyszany ciągle w
duszy,
szydrczy głos Jurka.
Pierwszy promień słońca wyblęsnął na niebo i tysiącem barw
tęczowych odbił się w
kroplach rosy na przestrzeni stepowej. Wstrzymała się Olga w swym
szalonym
biegu. Oksanina znikła już po za nią. Pownie na folwarku już się ruch
zaczynał:
Nastka obudziła się teraz i niespokojnym okiem szuka swej małej
towarzyszki.
Strach jakiś ogarnął Olgę. Może ją gonić będą? Przysiadła na ziemi i
spojrzała
przed siebie. Jak okiem zasięgnąć, step bezbrzeżny. Nad poziomem
podnosiło się

już słońce, wielkie, promienne, a pod niem, u krańców stepu, zupełnie jak we śnie dzisiejszym, czarne, duże, długie pasmo, niby otwór niezgłębionej przepaści.

Wzdrygnęła się Olga i przetarła oczy. Nie, to czarne pasmo, to las "kalinowy, " ta wyniosłość, widna zdaleka wśród stepu, to "kurhan złoty," a za nim Jurpol, mieszkanie jej wczorajszego zbawcy, jurpolskiego panicza. Jakby to wspomnienie dodało jej siły, Olga porwała się z miejsca i znowu biedz poczęła prosto przed siebie, ku kurhanowi złotemu. Dobiedz wszakże było trudno; droga jeszcze da-

leka chociaż Jurpol widny już jak na dłoni. Z wytężeniem dążyła Olga dalej. Ale tchu coraz bardziej jej brakło, nogi się plątały, chwilami w oczach robiło się ciemno. Głowa pałała znowu, serce biło gwałtownie myśli rwały się w zamęcie.

Olga nie wiedziała już, dokąd i po co idzie, czuła to tylko, że uciekać musi

koniecznie, bo za nią coraz wyraźniej dawał się słyszeć głos, ścigający ją

nieustannie, głos Jurka:

— Znajda! przybłęda!

Dobyszy sił ostatka, wbiegła Olga na główną aleję, prowadzącą wprost do jurpolskiego pałacu.

IV.

Po lewej stronie wielkiego dziedzińca pałacowego, ukryty w cieniu drzew, stał duży parterowy budynek, tworzący oficynę. Były tam pokoje gościnne, a pośrodku mieszkanie, z dwóch niewielkich izdebek złożone, zajmowane od lat wielu przez dawną sługę Czarnoszyńskich, Maryannę Malicką. Za młodu panna służąca marszałkowej, później klucznica i przełożona nad całą żeńską służbą, dziś z powodu wieku i sił, już bardzo zwątlonych, nie miała ściśle określonych obowiązków. Przywiązana gorąco do swoich państwa, zwłaszcza do marszałka i Romana, dla Zygmunta miała niewyczerpane skarby czułości, psuła go pieścizotami, a dogadzała we wszystkim. W całym dworze panna Halicka używała niezwyklego poważania. Jeden tylko stary marszałek nazywał ją poufale po imieniu; inni, nawet pani Zenobia, okazywali jej względy, należne nie tylko jej wiekowi ale zasługom i wyjątkowej wierności. Traktowano ją jako należącą do rodziny. Nie zdarzało się też nigdy, aby wśród licznej służby pałacowej ktokolwiek głos

podniósł, lub jaką zaniósł skargę przeciw pani Mariannie, ' chociaż jej gorliwość i skrupulatność w pełnieniu obowiązków dozorczyńi niezbyt nieraz dla opieszających lub mniej uczciwych była dogodną. Wiek — siedmdziesiąty rok życia — osłabił wzrok panny Maryanny, przygarbił drobną postać, pofałdował zmarszczkami małą, szczupłą twarzyczką, ruchom odebrał

dawną żywość. Z czasem też, nie abdykując wyraźnie ze swej władzy,
panna Malicka
musiała wszakże wyszukać sobie wyręczycielkę w kłopotliwych
zajęciach klucznicy,
zadawalniając się ogólnym nadzorem.
Nadzór ten polegał głównie na przestrzeganiu, aby cała służba żeńska,
skoro świt
była na swoich stanowiskach.
Panna Malicka budziła się zimą i latem bardzo raniutko; krótkim
pacierzem
rozpocząła dzień, poczem odziana na prędcę w szlafroczek szarej
barwy, w
białym czepeczku latem, a w chustce ciepłej w zimie, wychodziła na
dziedziniec.
Z pianiem kogutów rozchodził się wówczas cienki, przenikliwy głos
jej, wołający
na dziewczkę piekarnianą:
— Kasiu! Kasiu!...
To było hasło, powołujące do pracy całą służbę. Zjawiała się
natychmiast zaspana
gruba Kaśka, a za nią ukazywały się inne postacie, spieszące do
gospodarskich
zajęć. Czasem panna Malicka szła jeszcze do kuchni, do piekarni i
spiżarni,
wydawała niektóre dyspozycje, przyczem gderała okrutnie, wytykając

niedokładności i zaniedbania, a wreszcie wracała do siebie.
Skromne to było, ale schludne mieszkanko. Większy pokój, pierwszy
od wejścia,
był sypialnią, a zarazem salonem, w którym panna Malicka
przyjmowała czasem
bardzo dystyngowanych gości, najczęściej zaś pana Marszałka.
Zachodził on tu
nieraz dawniej, gdy mu zdrowie służyło, pogawędzić o dobrych
dawnych czasach z
nią, która je w żywej, i zarówno jak on, serdecznej miała pamięci.

W tym też pokoju mieściły się niektóre z tych czasów pamiątki. Nad łóżkiem, poniżej obrazu Matki Boskiej i szczególnymi nabożeństwem panny Maryanny otaczanego, zczerniałego wizerunku Pana Jezusa Milatyńskiego, palm poświęconych i dużej gromnicy woskowej, wisiał zatarty już, zblakły, prawie nie do rozpoznania portret dagerotypowy pani Marszałkowej. Główne miejsce w tym pokoju, naprzeciw łóżka, pomiędzy dwoma oknami, zajmowała komódka mahoniowa z ozdobami brązowymi, dar Marszałkowej. Na tej komódce stało kilka filiżanek saskich, a wśród nich, pośrodku, niewielki zegarek bardzo misternej roboty z wypukłym, okrągłym cyferblatem, na kozich nóżkach stojący. Wszystko to były pamiątki z czasów dawnych, otrzymane w dniu imienin, lub w ważniejszych chwilach życia. Wszystko to codziennie, wróciwszy z rannej inspekcji, panna Malicka starannie ocierała z kurzu i ustawiała na swem miejscu. Tych pamiątek nikomu innemu dotknąć się nie było wolno; nawet Kaś-

ce owej dziewczce grubej, faworytce panny Maryanny, wyłącznie niemal do jej usług przeznaczonej. Kasia miała obowiązek niezwłocznie po przywołaniu, rozniecić ogień na dużym kominku, zajmującym sobą znaczną część pokoju, przysunąć do kominka wygodny fotel o wysokich poręczach, a niskich nogach i ustawić przy nim długi tapczanik. Na fotelu zasiadała panna Malicka, a przy ogniu ustawiała Kaśka kilka wysokich

garnuszków kawy i kilkanaście mniejszych garnuszków śmietanki. I rozpoczęła się czynność niezmiernej doniosłości: przyrządzanie kawy dla Marszałka, państwa młodszych i Zygmunta, dla którego, oprócz kawy, smażyły się jeszcze przy tym ogniu rozmaite przysmaczki, rozkoszne grzanecki, nakładane grubo kożuszkiem śmietanki i posypywane z wierzchu warstwą cukru. Przyrządzanie kawy było specjalnością Malickiej. Kawa jurpolska słynęła w całej okolicy, a sława ta zobowiązywała znaną pannę Maryannę do wynajdywania coraz nowych ulepszeń i kombinacji w doborze gatunków, paleniu i mieleniu ziarenek kawy, a głównie w przyrządzaniu fusów. Cała reszta ranka poświęconą była temu zajęciu i odmawianiu pacierzy. Na przysuniętym do fotelu tapczanie rozłożona była zawsze duża księga w starej, skórzanej oprawie. Karty jej grube, bibulaste, zczerniały były i żółkły, zwłaszcza u dołu w miejscach, gdzie się ich dotykały palce, zwilżane najczęściej w bardzo prosty sposób, dla łatwiejszego rozdzielania klejących się stronnic. Druk tej księgi wielki, wyraźny, nie nużył osłabionego wzroku, a zresztą wszystkie modlitwy, w niej zawarte,

wszystkie godzinki, litanie i tajemnice różańca umiała panna Maryanna na pamięć.

Taki wszakże był nieodmienny obyczaj, że księga musiała być otwarta i kartki

przewracane za kartką, chociaż modlitwy szeptane były z pamięci, a
oczy z pod
okularów patrzyły gdzieindziej. W zimie, a często i w lecie, gdy ranek
był
mglisty, Kasia po obu stronach księgi ustawiała dwie zapalone świece
łojowe, w
wysokich mosiężnych lichtarzach, a obok na takiejże podstawce duże
szczypce, w
kształcie otwierających się kominków z rękojeścią, jak u nożyc, do
"objaśniania"
świec, na których co chwila knot narastał.
Gdy już wszystko było przygotowane, panna Halicka zasiadała w
fotelu, nakładała
na nos wielkie okulary w żółtej mosiężnej oprawie i rozpoczynała
godzinki
półgłosem, przerywając od czasu do czasu to pobożne zajęcie, aby
zaglądnąć
troskliwie do garnuszków z kawą. Po ukończeniu pacierzy, panna
Maryanna gasiła
świece szczypcami i zamykała księgę, a wówczas wbiegał nieraz
Zyginuś, witając
serdecznie swoją kochaną, jak ją nazywał "babcią. Babcia uśmiechała
się
rozkosznie na widok swego pieszczocha i rozpoczynało się karmienie
przysmakami i
najdoskonalszą kawą, w osobnym, dla niego przygotowanym
garnuszku.
Tego poranku, kiedy Olga, uciekwszy z Oksaniny, wbiegła zdyszana,
nieprzytomna
prawie, na dziedziniec jurpolski, panna Malicka wracała właśnie przez
ten
dziedziniec z oględzin piekarni. Szła zwolna mrucząc pod nosem,
niezadowolona z
dojrzanych dziś nieporządków. Nowo przyjęta dziewczka odpowiedziała
jej

zuchwale na zwykłe gderanie, do którego cała służba oddawna była
nawykła, a to
niespodziewane zuchwalstwo do żywego obeszło staruszkę.
Szła więc chwiejnym krokiem, opierając się na lasce. We wzburzeniu,
jakiego
doznała, biały czepeczek przekrzywił się na bok, mała chusteczka
kolorowa
zsuwała się z ramion, poprawiana co chwila drżącymi palcami.
— A to nic dobrego dziewczyna! ladaco! — szeptały usta. — Ja do
niej mówię,
Boże mój, po ludzku jak nie wiem do kogo, a ona odpowiada mi, jak
nie wiem komu!
ladaco!
Na środku dziedzińca przystanęła rozgniewana staruszka, aby
swobodniej odetchnąć
i w tejże chwili spostrzegła Olę.
Jakby się w biegu powstrzymać już nie mogła, Ola rozwarła ramiona i
pędziła
przed siebie, półotwartymi ustami chwytając powietrze. Nogi się pod nią
chwiały,
potykała się co krok, a zmieniona jej twarzyczka, podrapana i sińcami
pозnaczona, wyrażała okropny przestach.
Naraz Ola potknęła się mocniej i upadła na trawnik, niemal u stóp
Maryanny,
która podziwu i zaleknienia pełnymi oczyma patrzyła na nią.
— Co to jest? kto ty jesteś? co tobie? — pytała, pochylając się z
trudem nad
leżącą nieruchomo na ziemi dziewczyną.
Kasia! Kasia! — zapiszczał przenikliwy głos staruszki.
Za chwile nadbiegła Kasia, dźwignęła omdlałą,

Olę z ziemi i zaniósła do oficyn, do mieszkania panny Halickiej.
Tego ranka zwykły porządek znacznie tym wypadkiem zakłócony
został. Zasiadła
wprawdzie panna Maryanna na swoim fotelu przed kominkiem, z
rozłożoną księgą do

nabożeństwa, ale pamięć tym razem niedopisywała: oczy z pod okularów odbiegały często od stronic i zwracały się ku dziewczynce, leżącej bez ruchu na łóżku.

Kilka razy nawet panna Malicka z trudem stękając wstawała z fotelu i zbliżała się do dziewczyny z niepokojem i ciekawością zarazem.

— Zkąd się ona tu wzięła? — szeptała stojąc nad nią. — Rysy ma drobne, ładne, twarzyczkę delikatną, ale zachudzone biedactwo, Boże mój! znędzniałe. Twarz cała podrapana, na czole guz siny, awantura jakaś, Jezusie Milatyński, na pewne!...

Zaszypiało w tej chwili w kominku. Panna Malicka poruszyła się niespokojnie i jak mogła najspieszniej podążyła na ratunek, ale niestety było za późno. Jeden z garnuszków śmietanki za blisko był snadź przysunięty do ognia, bo drogocenny płyn, wzburzony, z szumem toczył się po brzegach garnuszka i spływał na węgle.

— Przemienienie Pańskie! — zawołała staruszka, ale nie było już rady; należało inne garnuszki od podobnej katastrofy zabezpieczyć, co też panna Malicka z wielką troskliwością natychmiast uczyniła. Zmęczona i bardzo dotknięta stratą jednego garnuszka najlepszej śmietanki, usiadła napowrót w fotelu,

poprawiła okularów i po raz, dziesiąty może tego poranka zaczęła półgłosem odmawiać godzinki:

Zacznijcie usta nasze wielbić Pannę Świętą,
Wysławiajcie Maryę bez zmazy poczętą.

Przybądź nam miłościwa Panno ku pomocy!... "

Usta znowu zamilkły, myśli się rozpierzchały.

— Coby się z nami nędznymi stał i na szerokim świecie, gdyby tej pomocy
zabrakło? — westchnęła panna Maryanna. — Ot, takie biedactwo,
gdyby było omdlało
nie tu, lecz gdzie na polu, zmarniałoby, umarło! Zabawiłam się dziś
dłużej w
piekarni z tą dziewczką zuchwałą i nadeszłam jakby umyślnie, aby to
dziecko
wyratować.

Oczy z pod okularów znów spojrzały na ciągle nieruchomo leżącą
Olę.

— Kto wie, czy wyratuję? Strasznie to biedne... Ktoś się widać
znęcał, bił tę
mizerotę... Że też to ludzie są bez sumienia... Jezusie Milatyński!
Westchnęła głośno i dalej szeptać poczęła: Zawitaj Panno mądra,
Domie Bogu
miły... Tyś matką wszech żyjących...

— Tak, tak... Matka to jedyna opuszczonych i sierot... Gdyby nie jej
opieka,
coby się było i ze mną stało, gdym była w tym wieku, jak ta mała...
Potem już
Marszałkowa, świeć Panie nad jej dobrą duszą! przygarnęła i ot, w
starości mogę
spokojnie Pana Boga chwalić...
Zamyśliła się głęboko staruszka.. Wspomnienia przepelniały jej serce.
Widziała
swoje opuszczone, smutne dzieciństwo, widziała młodość swą
spędzoną już

bezpiecznie pod opiekuńczym dachem jurpolskim, widziała wszystkie
dawno
pożegnane postacie ukochanych osób...

— Wieczne odpoczywanie... szeptały usta, a wzrok pobiegł znów ku Oli, która teraz poruszać się zaczęła i stękać. Usiadła nagle na łóżku i nieprzytomnym wzrokiem powiodła dokoła. Twarzyczka zaczerwieniona była gorączkowym rumieńcem, oczy pałały. Panna Maryanna z niepokojem ruszyła się z miejsca i zbliżyła się ku niej.

— Co tobie, biedactwo, co tobie?
Z ust Oli zamiast odpowiedzi wybiegały wyrazy bez związku; rękami niespokojnie rzucają. — Puśćcie mnie! puśćcie! — krzyknęła.

W tej chwili drzwi się otworzyły i na progu stanął Zygmunt. Uśmiechnięty był i na ustach miał widocznie serdeczne powitanie "babci", lecz ujrawszy Olę, omal nie krzyknął z podziwu. Poznał odrazu tę, którą wczoraj wieczorem podnosił z ziemi skrwawioną, i prowadził na folwark oksaniński. Utkwiło mu w pamięci spojrzenie, jakie Ola na pożegnanie mu rzuciła spojrzenie pełne smutku, bólu i wdzięczności.

Chciał on nawet dzisiaj opowiedzieć całe to zajście pannie Malickiej i pożalić się przed nią na Jurka, który mu się wczoraj okazał takim szorstkim i nieludzkim. Tę samą dziewczynkę, która tyle w nim obudziła współczucia, ujrzał znowu przed sobą, tę samą twarzyczkę widział poranioną, podrapaną, okrytą sińcami i to samo spojrzenie, pałające teraz gorączkowo, utkwione w niego było z wyrazem nieprzytomności.

Panna Maryanna tak była poruszona wypadkiem i widoczną chorobą dziewczynki, że

nawet nie przywitała, jak zwykle, swego pieścioszka, zapomniała o kawie dla niego, lecz opowiedziawszy mu w kilku słowach co się stało, słuchała z natężoną uwagą relacji Zygmunta o zajściu wczorajszym. Zygmunt mówił z ożywieniem i z wielką litością dla biednej dziewczynki, u panna Malicka patrzyła na niego z uwielbieniem i zachwytem.

— Ja zaraz myślałam — szeptała — że to jakaś awantura. Matko cudowna! a to dopiero paskudnik ten Jurek!

— Trzeba jej dać przytułek babciu! — kończył Zygmunt!. — Ona widocznie ztamtąd uciekła, bojąc się Jurka. Niepodobna jej tam odsyłać.

— A któżby o tem myślał! — przerwała urażona staruszka. — Dziecko chore, zbiedzone, ledwie dyszy.

Rzeczywiście Ola w tej chwili opadła znów na poduszki, przymknęła oczy i oddychała ciężko a spiesznie.

Panna Malicka z trwogą na nią patrzyła, a potem nagle uderzyła się ręką w czoło.

— Boże mój, Boże! — zawołała. — Może to będzie jaka gorączka, albo wysypka, a ty tutaj! Uciekaj Zygmunt, a żywo, i nie przychodź tu więcej. Mamie powiedz, co się stało, i proś, aby mi zaraz przysłała z apteczki lipowego kwiatu, bo mi wyszedł. No, no, uciekaj Zygmunt, uciekaj!

On się ociągał, ale panna Maryanna, cała teraz opanowana trwogą o zdrowie swego ulubieńca, na se-

ryo gniewać się poczęła. Popychała go ku drzwiom i gromiła za upór. Zygmunt wyszedł w końcu uściskany serdecznie przez babcię.

— Już ty bądź spokojny — mówiła ona, gładząc pomarszczoną
dłonią jasne włosy
swojego pieszczoszka — nie zrobię ja krzywdy, Bożeż mój! tej
dziewczynie. A
ciebie Bóg błogosławić będzie, żeś miał serce dla tego biedactwa.
Przyślę ci
zaraz kawy doskonałej z kozuszką i grzaneczek. A nie zapomnij
lipowego kwiatu!
Zygmus pobiegł żywo ku pałacowi, a staruszka stała jeszcze chwilę
we drzwiach,
patrząc za nim roztkliwionym wzrokiem.
— Serce złote u tej dzieciny — szeptała — serce złote, jak u ojca!
Od dnia tego tryb życia panny Halickiej wyszedł zupełnie ze
zwyczajnych karbów.
Parę tygodni Ola była w wielkim niebezpieczeństwie. Kwiat lipowy
nie pomógł,
ani żadne domowe lekarstwa; sprowadzony z Humania lekarz, ów
Freund, którego
Jurek "wykurzyć" zamierzał, znalazł silne zapalenie mózgu i zrazu
niewiele robił
nadziei. Ola była wątła, a organizm, wstrząśniony do głębi przebytymi
wzruszeniami, małą bardzo przedstawiał siłę odporną.
W całym jurpolskim pałacu współczucie objawiało się niezmiernie.
Nietylko Zygmus
ale i Roman i stary Marszałek, a nawet pani Zenobia i cała służba
zajmowali się
serdecznie i szczerze sierotą, a nie szczydzili niczego, by ją ratować.
Przez
kilka dni z rzędu dr. Freund nie opuszczał pałacu, a potem, gdy
pierwsze
niebezpie-

czeństwo minęło, dojeżdżać musiał często, aby chorej doglądać.
Wiadomość o tragicznym zgonie matki Oli i opuszczeniu
niezwykłym, w jakim się

to dziecko wśród obcych znalazło, niemając oczywiście odgrywała rolę
w tem
współczuciu, które jednak najsilniej przejęło pannę Halicką. Chciano
zrazu chorą
dziewczynkę przenieść na folwark, ale staruszka stanowczo się temu
oparła. Nie
pozwoliła ruszyć jej ze swego łóżka, na którym ją zrazu złożono;
czuwała przy
niej po nocach, pilnowała, by Kaśka w porę dawała jej lekarstwa i nie
spoczęła,
aż doktor oświadczył, że niebezpieczeństwo minęło. W tym czasie
zapominała
nierzawo o swojej kawie a najlepsza śmietanka codziennie niemal
wybiegała a
garnuszka i smażyła się na węglach.
Dziwna jakaś sympatya pociągnęła odrazu staruszkę ku temu
opuszczonemu dziecku,
a ta sympatya wzmogła się jeszcze od chwili, gdy się dowiedziała o
wypadku, w
którym jej ukochany Zygmunt tak szlachetną odegrał rolę. Dla panny
Malickiej
Zygmunt był wszystkim na świecie. Najgorętsze uczucia jej serca,
wszystkie
pragnienia duszy, nadzieje i troski, całe przywiązanie, którym dla
rodziny
Czarnoszyńskich była przejęta, skupiły się w tej jednej osobie. Od
pierwszych
dni życia Zygmunt czuł na sobie, wraz ze spojrzeniem rodziców,
utkwiony pełen
czułości wzrok panny Maryanny. Ona zastępowała mu niańkę, która
obowiązek swój
pełniła niedbale, ona w każdej chorobie dziecka najwytrwalej czuwała
przy jego
łożeczku, ona uczyła go pacierza, ona opowiadała mu bajki, gdy
usypiał,

lub drżącym cienkim głosem śpiewała dumki. Ona wypraszała go od kary, pieściła najwięcej, każde zmartwienie dziecka dzieliła. To wszystko, co się do niego nawet pośrednio odnosiło, miało dla panny Malickiej nieocenioną wartość. "To dla Zygmunusia!" "to Zygmunsiowe" — "tak Zygmuś chce" — dla staruszki było to świętością, skarbem, wyrocznią. Nie bez słuszności uważano się nieraz, że panna Malicka psuje Zygmunusia, ale chyba na to nie było rady. Wyjazd z domu mógł to tylko zmienić. — Nadto kochano i szanowano staruszkę w jurpolskim pałacu, by chciano jej przykrość wyrządzić, a ona wszelkie pokuszenia, by ten stosunek zmienić i wpływ jej na Zygmunusia umiarkować, mieniła największą krzywdą i natychmiast rozpływała się we łzach, a raz nawet zachorowała ciężko, gdy pan Roman nie pozwolił synowi biegać tak często do oficyn na przysmaczki do panny Malickiej.

— Tegom się na starość, Boże mój! doczekała — żaliła się staruszka, płacząc rzewnie — że mi to dziecko odbierają, com je na rękach wyniańczyła, wychuchała, wypieściła! Nie zaszkodzą mu te pieszczoty moje, nie! bo złoto nie psuje się, gdy się z niem delikatnie obchodzić, a Zygmuś, to szczere złoto... kochanie moje!

Z biegiem lat to ślepe przywiązanie panny Malickiej do wychowanka coraz bardziej się wzmagało. Zajęcie się Zygmunusiem Olą było już dostatecznym, aby ją uczynić dla staruszki nie obcą i nie obojętną; choroba jej i cierpienia przywiązały ją do

niej jeszcze bardziej a trudy i niepokoje przebyte potęgowały z dniem
każdym to
przywiązanie,

Nieraz, czuwając w nocy przy łóżku Oli, staruszka tonęła w
zamyśleniu. Ciężkiem
jej teraz strapieniem był zbliżający się wyjazd Zygmunta do Odesy. Po
raz
pierwszy przyszłość jego wymagała od niej wielkiej ofiary. Nie śmiała
się
wyjazdowi sprzeciwić, uznawała jego" potrzebę, ale bolała nad tem
całą duszą,
tą boleścią beznadziejną starych, którzy widzą niedaleki kres życia i
dla
których każde pożegnanie może być ostatniem. Czasem marzyła, że
powita Zygmunta,
wracającego z liceum, a potem z uniwersytetu, że zobaczy go w pełni
młodzieńczego rozwoju, otoczonego uznaniem powszechnem dla jego
nauki i
dzielności. Ale wnet marzenia te przerywało pełne smutku
westchnienie:
— Czy ja tam tego dożyję! Boże mój!... Już go nie zobaczę więcej...
I serce staruszki ścisnęło się niewymownym bolem. Aby się oderwać
od trapiących
przeczuć, panna Malicka spozierała wówczas na uśpioną Olę.
Twarzyczka dziecka,
wymizerniała w chorobie, zaczynała powoli przybierać żywsze barwy;
sen był
spokojny, oddech miarowy. Okropna gorączka, trawiąca ją przez dni
tyle,
ustępowała stanowczo. Panna Malicka wpatrywała się troskliwie w
delikatne,
wychudzone rysy Oli i na myśl, że niebezpieczeństwo już minęło,
otucha
wstępowała do jej serca.

— To będzie moja pociecha po wyjeździe Zygmunta — mówiła. —
Zajmę się tem
biedactwem, odchucham, odżywię, a może się przywiąże do mnie jak
Zygmunt, oczy
zamknie, gdy umrę i westchnie za duszę.

Myśl ta dziwną jej sprawiała rozkosz. Czuła się dla kogoś jeszcze na
świecie
rzeczywiście potrzebną. Samotność i pustka, które ją przerażały na
wspomnienie
wyjazdu Zygmunta, cudem rozproszone zostały. Panna Maryanna
rozumiała to dobrze,
że Zygmunt, bądź co bądź nie należał do niej; że jakkolwiek ukochany,
prędzej,
czy później oddali się od niej i zapomni może o tych pieszczotach i
czułościach,
którymi go ona obsypywała w dzieciństwie. Ola zaś, nawet wyrósłszy,
mogła
całkowicie do niej należeć. Myśl ta, samolubna nieco, przywiązywała
staruszkę
jeszcze mocniej do sieroty, którą mogła uważać za swoją wyłączną
własność.

— Wychowam ją jak dziecko rodzone — szeptała sama do siebie. —
Nie odbierze mi
jej nikt — któż zechce upomnieć się o takie opuszczone biedactwo?
Czasem przychodziło jej na myśl, że Sipajłowie mogliby sobie rościć
pretensje i
żądać, aby Ola do nich powróciła. Po chwili jednak zastanowienia
wydało jej się
to nieprawdopodobnym.

— Gdzieby też! — pocieszała się, machając ręką. Oni pewnie
kontenci, że się
dziecka pozbyli, furfanty!
Panna Malicka nie lubiła Sipajłów, a zwłaszcza pani Natalii i Jurka.
Projekt

wspólnego wyjazdu młodego Sipajły z Zygmuntem do Odesy oburzał ją — uważała, że takie koleżeństwo dla Zygmunta było niewłaściwym, lękała się złego przykładu dla swego ulubieńca, a teraz, po wypadku z Olą, gotowała się nawet wyraźnie w tej sprawie uczynić przedstawienie panu Romanowi.

Choroba Oli nie dozwoliła jej dotychczas tego dopełnić Nie wydalala się na krok z pokoju, czuwając przy dziecku, a w obawie, aby Zygmunta na niebezpieczeństwo nie narazić, nie zbliżała się do nikogo z mieszkańców pałacu i do siebie nie przypuszczała nikogo. Wyrzekła się nawet widoku swego pieścioszka. Tak tedy stało się, że zanim Ola do zupełnej przytomności wróciła, miała już obok siebie serce całkowicie sobie oddane. Jednego wieczora ocknęła się nagle Ola, jakby ze snu ciężkiego. Otworzyła oczy i spojrzała wokół siebie. Nie mogła myśli zebrać, nie przypominała sobie nic zgoła; to, co ją otaczało, było jej zupełnie obcem, nieznanem. Obok łóżka na stoliczku stały dwie świece, przysłonięte z jednej strony zielonemi umbrellkami, w kształcie malutkich wachlarzy, aby światło nie raziło chorej. Ola była przeto w cieniu: dalsza zaś część pokoju wydała jej się oświetloną promiennie. A wśród tych blasków, rażących jej wzrok osłabiony, zwróciła jej szczególną uwagę siedząca przy stoliczku, zgarbiona postać staruszki. Panna Malicka odmawiała wieczorne modlitwy. W obu rękach trzymała koronkę i

zwolna, drżącymi palcami przesuwała paciorki, szepcąc. Twarzy jej i
oczu
prysłoniętych okularami, Ola dostrzedz nie mogła, ale cała ta postać
drobna,
pochylona, zgrzybiała, zdała się dziwnie pociągającą. Oczy bolące
mrużyła, ale
nieodwracała wzroku. Tylko wówczas, gdy panna Maryanna
przerwawszy modlitwy,
zwracała się ku niej i spoglądała z troskliwym niepokojem, Ola
przymykała prawie

zupełnie oczy i leżała nieruchomo, ukradkiem tylko, przez rzęsy,
śledząc każde
poruszenie staruszki, w której już instynktem odrazu przeczuwała
maeierzyńską ku
sobie miłość. Znużona, zasnęła w końcu, ale obudziwszy się nad
ranem, pierwszą
myślą i pierwszym spojrzeniem szukała panny Maryanny, która już na
to
przebudzenie czekała, aby jej podać lekarstwo i czulą przygarnąć
pieszczotą.
I rzecz dziwna. Zamknięta dotychczas w sobie, pełna nieufności
względem obcych,
Ola nie wahała się ani chwili, by na pieśczęty Malickiej
odpowiedzieć
wdzięcznym uściskiem. W miarę jak przychodziła do siebie, w
objęcia staruszki
tulila się z coraz większą ufnością i rozkoszą, słuchała słów jej,
szeroko
otwierając oczy i starając się zrozumieć.
Panna Maryanna uie posiadała się z radości.
— Spłoszona ptaszyna — mówiła, patrząc czule na Olę — ale ją cię
oswoję,
zobaczysz.
Dla niej wyporządziła panna Maryanna drugą izdebkę, obok swego
pokoju. Ustawiono

tam łóżeczko, uprzątnięto niepotrzebne graty, a staruszka omal nie płakała ze szczęścia.

— Teraz już nie będę sama na stare lata! — myślała, uśmiechając się. Codziennie teraz wybierała się panna Maryanna do pałacu, aby z panem Romanem rozmówić się na seryo i przestrzedz go, by nie narażał Zygmunta na towarzystwo młodego Sipajły. Postanowiła stanowczo sprzeciwić się ich wspólnemu wyjazdowi do Odesy.

Dobrze przeczuwał Jurek, że wypadek z Olą może dla niego niemile pociągnąć następstwa. — Nastka zaraz nazajutrz podniosła krzyk wielki, gdy się przekonała o ucieczce Oli, a niebawem dowiedziano się w Oksaninie, gdzie i u kogo sierota znalazła przytułek.

Z początku pani Natalia i Jurek nadrabiali miną, udając, że los zbiegłej dziewczyny nie obchodzi ich wcale.

— Dobrze się nawet stało — mówiła pani Natalia — w Jurpolu przekonają się rychło, co to za ziółko ta włóczęga, a nam kłopot z głowy.

Tak mówiła ale czuła inaczej.

Ciężka choroba Oli, grożąca niebezpieczeństwem życia, nadała rozgłos owemu

zajściu na mogile oksanińskiej i ujawniła brutalny charakter Jurka.

Młody

Sipajło odczuł też odrazu zmianę w usposobieniu nie tylko Zygmunta, ale i całego

jurpolskiego dworu. Zygmunt nie ukazywał się odtąd w Oksaninie, a pan Roman,

skoro zobaczył Jurka, przybywającego do Jurpola umyślnie, aby wybadać

usposobienie, surowo strofować go począł, a uczynił to przy
Zygmusiu, jakby
chciał wobec syna skarcić niegodziwość takiego znęcania się nad
bezbronną
istotą. Jurek wrzał gniewem, nic jednak odpowiedzieć nie śmiał, a
odtąd przez
cały czas choroby Oli nie pojawił się w Jurpolu, sądząc, że Zygmus
nie wytrzyma
i sam do niego przyjedzie. Zawiódł się tym razem, co go niezmiernie
drażniło,
tembardziej, że i ojciec własny nie dawał mu teraz spokoju,
przypominając
nieustannie owo fatalne zajście

— Ładnego gagatka, panie teo, wychowałaś! — mówił pan Jędrzej
do żony. — Co
teraz ludzie o nas powiedzą, żeśmy się z tą sierotą tak obeszli? Wstyd
proszę
łaski, uciekać od nas musiała!

Pani Natalia wzruszyła lekceważąco ramionami.

— Ot, komedia! — odrzekła. — Zginęłyby w karczmie żydowskiej,
albo na
rozstajnych drogach, gdyby nie my: a teraz jeszcze wypominać nam
będą, żeśmy jej
migdałami nie karmili. Co było robić z tą niezdara? Ni to z pierza, ni z
mięsa,
a dzikie i mrukliwe. Trudno też było zabronić Jurkowi...

— O tem mi już nie gadaj! — przerwał z oburzeniem pan Jędrzej, —
Jurek jest
urwisz, panie teo, któremu jeszcze kiedy skórę tak wytataruję, że
popamięta

— Bój się Boga, człowieku! — zawołała z oburzeniem pani
Sipajłowa, załamując
ręce. — Tybyś dla jakiejś tam przybłędy syna mordował?
Sceny takie powtarzały się niemal codziennie, coraz gwałtowniejsze,
w miarę jak

wiadomości nadchodzące z Jurpoła, były gorsze i mniej było nadziei
wyzdrowienia

Oli.

— Ładna rzecz — mrucał p. Jędrzej, silnie za. niepokojony —
zapalenie mózgu,
proszę łaski, ładna rzecz, — umrze dziewczyna i powiedzą, że Jurek
winien tej
śmierci. Na całe życie, panie teo, zostanie mu ta pamiątka.
Myśl ta dokuczała mu niezmiernie, a nie była wcale obojętną ani pani
Natalii,
ani Jurkowi. Smutek zacieżył nad oksanińskim dworkiem, z którego
codziennie
wysyłano na zwiady, co słyhać w Jurpołu. Posłem

była zazwyczaj Nastka, dziewczka piekarniana, której ucieczka i
choroba Oli
niemało przyczyniły zmartwienia. Z własnej woli z początku, a potem
z polecenia
pani Natalii, Nastka biegała co rana skoro świt, do Jurpoła i wreszcie
dnia
jednego, rozpromieniona, przyniosła dobrą wiadomość: Ola była
ocalona!

Fani Natalia i Jurek, uradowani w duchu, odetchnęli swobodnie, ale
tej radości
nie chcieli okazać.

— Mówiłam, że jej nic nie będzie, — ozwała się po chwili pani
Sipajłowa — kto
wie, czy nie przesadzano umyślnie niebezpieczeństwa, aby nam
dokuczyć.

— Ja jestem tego pewny! — zawołał Jurek.

— Milczałbyś, trutniu jakiś! panie teo — wrzasnął pan Jędrzej i
groźnie
podniósł pięść ściśniętą, ku wielkiemu zgorszeniu pani Natalii, która
porwawszy
się z miejsca, rozkrzyżowanemi ramionami zasłoniła syna.
Pan Jędrzej ochłonął nieco.

— Zasłaniaj go przed ojcem, panie teo — rzekł już spokojniej —
zasłaniaj! nie
zasłonisz przed ludźmi, którzy go, proszę łaski, zatłuką, gdy będzie
gbur!
I wyszedł, trzaskając drzwiami, bardzo wzburzony. Cała ta historia
obeszła go
więcej, niż się spodziewać było można. Niezbyt miękkiego serca z
natury, nie
przykładał on także z początku wielkiej wagi do tego zajścia. Nawet
zniknięcie
Olgi nie poruszyło go zbyt silnie: nie przypuszczał takiego obrotu
sprawy. Nie
pripuszczał zwłaszcza, że w Jurpolu tak żywo zainteresują się
przybłędą. Teraz
jednak widział, że sprawa ta, zrazu tak mało znacząca, mogła za sobą
pociągnąć .
bardzo niemiłe następstwa, a mianowicie ochłodzenie

jego stosunków z jurpolskim dworem. Niezwykła opieka, jaką w
Jurpolu otoczono
chorą Olę, zadziwiła go i bardzo dotknęła. Czuł się upokorzonym, a
przytem lękał
się, aby złe wyobrażenie, jakie o Jurku w jurpolskim pałacu z tego
powodu
powzięto, nie wpłynęło na zmianę projektów odeskich.
Na domiar zaszedł wypadek, który to zmartwienie pana Jędrzeja
powiększył.
W jednym ze znaczniejszych folwarków, należących do jurpolskiego
klucza,
Słobodzie, zmarł stary, wysłużony ekonom. Posada była wyborna,
równie dobra jak
oksanińska, a wobec zmiany właściciela w Oksaninie, zdawała się
panu Sipajlle
jedyną dla niego deską ratunku. Po wizycie owego Tomasza,
powiernika pana

Borskiego, pan Jędrzej czuł sam, że się w Oksaninie nie utrzyma długo; na starość szukać innej służby u obcych panów nie chciał; Słoboda uśmiechała mu się rozkosznie.

— Chce pan Czarnoszyński — myślał — to zostanę tu do przyjazdu tego Borskiego, ale potem niech mi Słobodę da; ja Borskiemu z jego Tomaszem służyć nie będę!

Wypadek z Olą mógł jednak i temu przeszkodzić. Gdyby pp.

Czarnoszyńscy nie

chcieli teraz dotrzymać obietnicy względem Jurka, trudno byłoby panu Sipajlle

dla siebie czegoś od nich żądać. Fatalne to zajście mogło długoletnie stosunki

na szwank narazić.

Myśli te nie dawały panu Jędrzejowi spokoju. Kilka dni chodził zasepiony,

gniewając się co chwila

to na żonę, to na syna, a wreszcie kazał do wózka konie założyć i nic nikomu nie

mówiąc, do Jnrpola pojechał.

Postanowił sprawę wyjaśnić, okazać ze swej strony jak najlepsze dla sieroty

usposobienie, wytłómaczyć Jurka, a wreszcie żądać, by mu Olę oddano, jako temu,

który pierwszy ją pod swoją opiekę wziął i opuścić wcale nie myślał.

Z tera wszystkiem postanowił się udać najprzód do panny Malickiej, której wpływ

i znaczenie w Jurpolu znał dobrze.

Sipajllo nie lubił panny Maryanny. Syn i wnuk sług jurpolskich uważał się zawsze

nieco za pokrzywdzonego, widząc wyjątkowe względy, jakimi otaczano osobę

nieznanego pochodzenia, która nie przyniosła z sobą tradycyj
wiernych usług
dwóch pokoleń.

— Ona myśli — mówił nieraz — że jest co wielkiego, a to, panie teo,
nic...

szkoda mówić! My tu proszę łaski sto lat siedzimy.

Nie było między nimi zająć żadnych, lecz obopólna niechęć, bo i
panna Malicka

odwzajemniała mu się, czując w każdym słowie Sipajłły, przy każdym
spotkaniu,

źle ukrywaną intencję lekceważenia jej zasług i uchybienia
stanowisku, jakie jej

przyznano.

Od czasu gdy Sipajłło objął rządy w Oksaninie, nie widywali się
prawie nigdy;

pan Jędrzej mógł przeto przypuszczać, że dawna niechęć poszła nieco
w niepamięć.

Był zaś przekonany, iż w tej okazji panna Malicka mogła mu
najbardziej swoim

wpływem być pomocną, tak w sprawie Jurka jak i Słobody. Ona jedna
mogła wobec

państwa naprawić reputację Jurka, a dla pa-

na Jędrzeja uzyskać to przynajmniej, by Słobody stanowczo nie
oddawano nikomu,

dopóki on z Oksaniny nie zdoła się uwolnić.

Jadąc, całą drogę przemyślał pan Jędrzej nad sposobami bardzo
dyplomatycznymi

przekonania Malickiej i pozyskania jej dla siebie.

Zajechał na folwark, a do oficyn pałacowych poszedł piechotą. Jakoś
dziwnie czuł

się pomieszany i niepewny. Szedł zwolna, a przed oknami panny
Malickiej

zatrzymał się, jakby się jeszcze namyślał, co czynić i mówić.

Była już południowa godzina. Panna Malicka siedziała na fotelu przy
oknie,

zajęta szydełkową robotą. Robiła obrus na ołtarz Matki Boskiej w
humańskim
kościelnie, ofiarowany w czasie choroby Oli. Znaczna część roboty,
zwinięta,
spoczywała na jej kolanach: wielki kłębek bawełny, umieszczony w
koszyku,
stojącym obok na małym stoliczku, obracał się w nim nieustannie i
podskakiwał w
miarę, jak nitka wyczerpywała się, pociągana szybko migającym w
ręku panny
Malickiej szydełkiem. Robota szła żwawo, ale machinalnie. Staruszka
patrzyła na
nią wprawdzie przez okulary, ale myśli jej widocznie były
gdzieindziej. Od czasu
do czasu nawet przerywała robotę i opuszczała ręce na kolana,
mimowolnie
spoglądając w drzwi otwarte do drugiej izdebki.
Przez drzwi te widać było łóżeczko, zasłane świeżutką bielizną, a na
niem
spoczywającą na miękkich poduszkach postać dziewczynki.
Twarzyczka Oli tak była
blada, że zaledwie odróżniała się od białości bie-

lizny; oczy zamknięte, w głąb zapadłe, podkreślone były sinemi
pręgami; na
policzkach znać było jeszcze ślady cierni burzanów, a na czole bliznę
od
uderzenia kopytem. Rączęta dziewczynki, wyciągnięte, przerażały
chudością. Ola
spała, a spokój snu tego był pocieszającą wróżbą; świadczył, że
choroba ustąpiła
stanowczo, pozostawiając tylko po sobie wielkie osłabienie i
wycieńczenie
organizmu.
Panna Malicka podniosła na czoło okulary i z rozrzwinięciem
wpatrywała się w

zbiedzone rysy dziewczynki.

— Biedactwo! Boże mój! — powtarzała, wzdychając.
Naraz drzwi się otwarły i na progu stanął Jędrzej Sipajłło. Czapkę miał w czerwonych, grubych palcach i uśmiechnięty kłaniał się niezgrabnie, suwając głośno nogami.

Panna Maryanna omal nie krzyknęła, zobaczywszy u siebie tak niespodziewanego gościa.

Zsunęła na nos okulary i patrzyła, nic nie mówiąc, z wyrazem niechęci. Sipajłło ciągle uśmiechał się, kłaniał i chrząkał, przestępując z nogi na nogę. Panna Malicka położyła palec na ustach.

— Ciszej! — szepnęła — na rany Chrystusa ciszej! dziecko śpi. To mówiąc, ukazywała głową na otwarte drzwi od pokoju, w którym leżała Ola,

Pan Jędrzej spojrział i aż się wzdrygnął. Spiąca Ola wydała mu się martwą.

Przerażony jąkał się:

— Wszak... panie teo... proszę łaski... lepiej?...

— Ciszej... ciszej... — szeptała panna Maryanna. — Lepiej, chwala Fanu Jezusowi

Milatyńskiemu, ale biedniatko ledwo dyszy.

Sipajłło odetchnął. Na nieme zaproszenie panny Malickiej usiadł na tapczaniku,

czapkę na kolanach położył, usta to otwierał, to zamykał i nie mógł się zdobyć

na rozpoczęcie rozmowy.

Z pod okularów panna Malicka bacznie spoglądała na niego.

Przypuszczała, że

Sipajłło nie bez ważnego powodu tu przybył, domyśliwała się, że wypadek z Olą

niemałą w tem musiał grać rolę, ale wyraźnego, a silnego pomieszczenia wytlómaczyć

sobie nie mogła. Pomieszanie to z każdą chwilą stawało się widoczniejszym i bardziej komicznym. Jakkolwiek panna Malicka kilkakrotnie prosiła go o cichość, pan Jędrzej co moment zapominał o tem, chrząkał głośno, a przypomniawszy sobie, natychmiast ręką usta zatykał.

— Przepraszam, panie teo, proszę łaski, przepraszam... — bąkał. Panna Maryanna dźwignęła się z fotelu, przeszła krokiem chwiejnym, powolnym przez pokój, drzwi od izdebki zamknęła, spojrzawszy pierwej troskliwie na ciągle śpiącą Olę i wróciła uspokojona na miejsce.

— Pan Jędrzej zapewne do pana Czarnoszyńskiego z interesem? — spytała, siadając i biorąc robotę do ręki.

— Ja, panno Maryanno dobrodziejko — jąkał się p. Jędrzej — do pana Czarnoszyńskiego? A czegożby? proszę łaski, Oksanina sprzedana! nie mam interesu. Ot,

ja tok, do panny Maryanny, panie teo, dowiedzieć się, jak zdrowie, proszę łaski.

Panna Maryanna z nieufnością z pod okularów spojrzała na mówiącego.

— Bożeż mój! co za nagła troskliwość? — pomyślała, ale odrzekła grzecznie:

— Dziękuję panu Jędrzejowi za pamięć. Ot moje zdrowie! jak zwykle staruchy. I

tyle jeszcze w tych czasach zmartwienia!

— Zmartwienia! — podchwycił żywo p. Jędrzej — przebie tu pannie Maryannie,

proszę łaski, jak u Fana Boga za piecem.

Staruszka westchnęła.

— Dzięki Matce Najświętszej! Ja się też nie skarżę, niech to wszystko idzie Panu Jezusowi Milatyńskiemu na chwałę. Ale ot, mój mały Zygmund jedzie, Bóg raczy wiedzieć, czy go już kiedy zobaczę. Serce pęka. Łzy zakręciły się jej w oczach i przecięły mowę. Drżącymi palcami spieszenie zaczęła przerabiać szydełkiem, aby nie okazać wzruszenia.

Pan Jędrzej odchrząknął.

— To przecie dla dobra chłopca. My, ot także, proszę łaski, z naszym Jurkiem rozstawaćbyśmy się nie chcieli, ano musimy. Żal, panie teo, a trzeba! W rękach panny Malickiej szydełko zadrgało. Wspomnienie o Jurku oburzyło ją.

Przerwała robotę, poruszyła się na fotelu, okulary podniosła na czoło i śmiało

spojrzała w oczy panu Sipajlle.

— Już to co do Jurka — rzekła tonem stanów-

czym — to wam po dawnej znajomości powiem, panie Jędrzeju, byście go co prędzej

do jakiej roboty zaprzęgli, bo to złe ziele rośnie.

Pan Jędrzej aż podskoczył, tak go te słowa panny Malickiej ukłuły.

Sam nieraz

zalił się na Jurka, ale nikomu innemu nie pozwalał słowa na niego powiedzieć.

Wszelka nagana swawoli chłopca, pochodząca z ust obcych, wprawiała go we

wściekłość. Teraz jednak pohamował gniew, który się tylko odbił w spojrzeniu,

jakie rzucił z podełba na pannę Maryannę.

— Rozpustny chłopak, proszę łaski — ozwał się po chwili z przymusem; —

rozpustny, ani słowa. Ale żeby zły był, tego powiedzieć nie mogę.

Akuratnie

byłem taki sam za młodu, a przecie panie teo.

Panna Halicka uśmiechnęła się.

— To co innego — przerwała. — Pan Jędrzej w innym wychowywał
nią stanie; w

naszej kondycyi, to się tam wiele człowiekowi przebacza. Ale Jurek
co innego.

Chce panem być!

Niemiałą była ta rozmowa p. Sipajlle. Niespokojnie się poruszał, nie
wiedząc, w

jaki sposób wybrnąć z sytuacji. Czuł, że lada chwila mógł stracić
cierpliwość w

obronie jedynaka i popsuć jeszcze gorzej całą sprawę, którą naprawiać
przyjechał. Obawa ta zdecydowała go: postanowił bez dłuższych

omówień przystąpić

do głównego celu swego przybycia.

Początek wszakże był nieszczęśliwy; rozdrażnienie; go unosiło.

— Kto tam wie, oroszę łaski, komu jaki los Pan

Bóg przeznaczył. Czasem z ekonoma pan bywa, a z pana ekonom.

— A pewnie, pewnie — odparła panna Malicki, mocno tem zdaniem
zniecierpliwiona,

gorączkowo szarpiąc szydełkiem. — Tylko ja już, Bogu dzięki, tego
nie zobaczę! Z

ekonoma pan, to niby z żołądzia kawa! Paskudztwo i koniec!

Żołądziowa kawa,

którą czasem dla chorych sporządzano w Jurpolu, była w oczach

panny Malickiej

szczytem profauacyi jej ulubionego napoju. Dla wyrażenia też swego
oburzenia i

pogardy dla dorobkowiczów, nie znajdowała silniejszego porównania.

Dotknęło ono

do żywego pana Sipajllę.

Powstał żywo z miejsca.

— Przepraszam, panie teo — rzekł. — Ja tu po dobroci przyjechałem,
ot, jak do

dawnej znajomej, a panna Maryanna od żołądźi wymyśla. Dziękuję, proszę łaski.

Panna Malicka ochłoneła natychmiast. Żal się jej starego zrobiło.

— Nie gniewaj się, panie Jędrzeju — rzekła innym już tonem. — Ja wam także z

dobrego serca to mówię. Z chłopca nie doczekacie się pociechy, jeśli mu

pozwolicie tak brykać. Przecie ot, biednego dziecka mało na śmierć nie

potratował.

— Niechże Bóg broni! panie teo — zawołał z uniesieniem pan Jędrzej, rad jednak,

że się do celu zbliżył. — Dziewczyna sama pod konia wpadła, cóż on temu winien ?

— Winien! winien! — powtórzyła z mocą sta-

ruszka. — Wymyślał jej, przezywał, Bożeż. mój "znajdą", przestraszył, że

biedniatko ledwie nie umarło.

Pan Jędrzej uznawał tu sani winę Jurka i czuł, że obrona tej sprawy na nic sio

nie przyda. Lepiej więc było w pokorę uderzyć i w ten sposób zjednać sobie

protekcję panny Maryanny. Usiadł tedy napowrót na dawnym miejscu i pozwoliwszy

wygadać się staruszce, rzekł w końcu:

— Ja tam, panie teo, takiej rozpusty bronić nie myślę.

Wytatarowałem porządnie

za to skórę Jurkowi, że popamięta! Ale on, dalibóg, że taki zły nie jest, jak to

panna Maryanna mówi. Serce ma dobre, a panna Maryanna nawet nie wyobrazi sobie,

w jakim on niepokoju był przez ten czas, gdy Ola chorowała.

Panna Malicka ramionami wzruszyła.

— Co tam po takiej bojaźni po niewczasie — mruknęła.

— Nam obojgu z Talcią Jurkowi także — mówił dalej pan Jędrzej, nie zważając na przerwę — bardzo na tem zależy, aby panna Maryanna i państwo nie myśleli, że on to ze złego serca uczynił. Tem bardziej teraz, kiedy Jurek ma z Zygmuśkiem razem do Ades jechać.

— Otóż to! — przerwała panna Malicka. — Jabym na miejscu pana Jędrzeja zaprzęła Jurka do innej roboty. Aboto bliżej szkoły niema, by się czytać, pisać i rachować dobrze wyuczył, a potem, jak ojciec, uczciwie służył? Na co mu takie uczone wymysły? Czarnoszyński co innego; na niego ludzie innem okiem patrzą. A nam, panie Jędrzeju, czy było źle na świecie, żeśmy

sio na jednej książce do nabożeństwa czytać uczyli? Do królestwa niebieskiego i tak trafimy.

Pan Jędrzej nie przerywał, a w duchu wieszował sobie teraz, że tu przybył.

— Baba — myślał — nie cierpi Jurka i z pewnością byłaby mu zaszkodziła.

Szepnęłaby jedno, drugie słówko panu Romanowi, albo pani Zenobii i kwita z pięknych obiecanek.

Sipajłło ze strachem już widział rozpraszające się w mgły swoje marzenia o

przyszłym stanowisku Jurka w Humaniu, jako sławnego doktora.

Należało koniecznie

ująć pannę Maryannę.

Potłumiwszy tedy przemocą niechęć, jaką w tej chwili silniej niż kiedykolwiek do

niej uczuwał, przywołał na usta najpiękniejszy uśmiech, głosowi nadał

najdelikatniejsze brzmienie i począł tłumaczyć się ze swoich
względem Jurka
zamiarów. Niepozbawiony zmysłu dyplomatycznego, nawykły do
dworowania, wiedział,
czem najłatwiej ująć może serce staruszki Począł tedy pod niebiosa
wynosić
charakter Zygmusia, opowiadać o jego dla Jurka przyjaźni i rozwodzić
się nad
tem, jak ta przyjaźń zbawiennie wpływa na swawolny charakter jego
jedynaka.
Zaczął mówić podstępnie, na zimno, ale w miarę, jak mówił, zapalał
się,
przejmował i kończył już szczerze, rozczulony do łez, które szeroką
dłonią
ocierał.

— Ja pannie Maryannie — dodał w końcu, uderzając się w piersi —
otwarcie
powiem, panie teo, jakim człowiek rzetelny... Mnie ten głupi
wypadek z tą
dziewczyną spać nie dawał. Jurek nie jest zły... na sumie-

nie! Ale zwyczajnie chłopak w domu, przy matce rozpieszczony. W
obce pójdzie
ręce, to się przerobi, a państwu wywdzięczy się za łaskę.
Panna Malicka milczała. Nie była przekonana zupełnie o słuszności
tego, co mówił
Sipajłło, ale rozrzewnienie jego mimowolnie na nią działało. Widziała
w nim
teraz kochającego i stroskanego ojca, i. zamilkła.

— Jabym — kończył Sipajłło — do panny Maryanny wielką miał
prośbę, panie teo.
Panna Malicka przerwała robotę i nagłym ruchem okulary podniosła
na czoło.

— Do mnie? — powtórzyła ze zdziwieniem, patrząc bystro w
zapłakane oczy pana
Jędrzeja.

— Żebyście... panno Maryanno, proszę łaski... — mówił on dalej,
jąkając się —
za Jurkiem do państwa przemówili... Ten głupi wypadek... panie teo...
mógł ich
źle usposobić. A ja już tak myślę, że najlepiejby było, aby Jurek z
Zygmusem
jechali taki do Ades.
Staruszka ramionami ścisnęła. Zrozumiała teraz cel przybycia pana
Jędrzeja.
— A mnie co do tego? — odrzekła. — Ja się tam, Bożeż mój! do
spraw państwa nie
mieszam. Chcą go brać, niech biorą. Mnie się chyba o to pytać nie
będą.
Było to chwiejne określenie swej neutralności, wcale nie
zaspakajające. Pan
Sipajłło pragnął zdobyć więcej. Należało ze swej strony okazać się
dobrym i
wspaniałomyślnym.
— To, co się stało — ozwał się po chwili — z tą sierotą, my
wynagrodzimy.
Jużeśmy tak sobie, panie

teo z Talcia mówili, że skoro tylko Ola wydobrzeje a powróci do nas,
to ją
Talcia do siebie weźmie, proszę łaski, i do swojej usługi przyuczać
będzie.
Panna Malicka wypuściła z rąk robotę.
— Kto? kto? — spytała — Ola do was, do Oksaniny ?
— A ma się wiedzieć! — odrzekł Sipajłło, uderzając się w piersi. —
Przecież my,
panie teo, mamy sumienie i serce także. Sieroty nie myślimy opuścić.
Bóg chciał,
proszę łaski, aby się pod nasz dach dostała, to i z nami zostanie,
przecie na
pannę Maryannę tego ciężaru spychać, panie teo, nikt nie myśli.
Opieka do nas z

prawa należy.

Staruszka aż w ręce klasnęła.

— Chybabym jutro umarła, to ją sobie weźmiecie, jeżeli państwo pozwolą. Ale

dopóki ja żyję, ta sierotka ze mną zostanie.

Pan Sipajłło oczy wytrzeszczył zdumione. Nie rozumiał.

— A na co ona pannie Maryannie? — zapytał. Malicka nie miała czasu

odpowiedzieć. W tejże

chwili doszło jej uszu coś, jakby jęk czy łkanie z przyległej izdebki, w której

leżała Ola. Staruszka z niezwykłą żywością porwała się z miejsca i postępując,

drobnymi krokami, zgarbiona, podążyła ku drzwiom.

Na łóżku, ze snu obudzona, siedziała Ola. Rozpuszczone włosy ciemne, bujne,

okrywały jej ramiona i okalały wymizerowaną twarzyczkę. Z oczu, szeroko

otwartych, płynęły łzy, usta krzywiły się pod wpływem

boleści czy smutku, a rączęta załamywały się konwulsyjnie.

— Co tobie? biedniatko moje, co tobie? — pytała panna Maryanna, zbliżając się

do niej i tuląc ją w objęciach.

Ola odpowiedzieć nie mogła. Gwałtowne łkanie poruszało ją całą; rączkami

czepiała się sukni panny Maryanny, tuląc się mocno w jej objęcia, jakby pod

wpływem panicznego strachu.

Zbudziwszy się ze snu, posłyszała rozmowę w przyległym pokoju.

Nie rozumiała

słów i z początku nie zdawała sobie sprawy z tej stłumionej wrzawy, jaką ją

dochodziła. Leżała z otwartymi oczyma, słuchając. Aż nagle przeraziło ją

brzmienie głosu, który od czasu do czasu silniej się odzywał. Poznała
głos
Sipajły, którego zawsze lękała się tak bardzo i przyszło jej na myśl,
że ją
zapewne napowrót do Oksaniny oddadzą. Pamięć minionych
wypadków, osłabiona
chorobą, powróciła jej nagle. Przypomniała sobie swoją ucieczkę;
stanął jej w
myśli Jurek z szyderstwem na ustach, z podniesioną szpicrutą w ręce,
przeniknęła
ją obawa kary za ucieczkę, nowych prześladowań i upokorzeń. Przez
chwilę leżała
jak martwa, bez ruchu, aż nagle łkanie porwało ją gwałtowne, łzy
puściły się z
oczu strumieniem, a przestach coraz większy ogarniał.
Usiadła na łóżku, chciała wyskoczyć, uciec — sił zabrakło. Uczuła
nagie
otaczające ją ramiona panny Malickiej, posłyszała jej tkliwe wyrazy i
obie ręce
zarzuciła jej na szyję.

— Nie dajcie mnie! nie dajcie! szepnęła po
chwili głosem stłumionym.

— Nie bój się, dziecko, nie bój się! — mówiła Maryanna, do głębi
wzruszona —

nikt cię odemnie nie weźmie. Bożeż mój! biedniatko. Nie płaczże już,
nie płacz,
jeszcze ci to zaszkodzi.

Gładziła jej włosy i czoło, chusteczką ocierała oczy, poprawiała
poduszki,
otulała i uspokoiwszy, ułożyła wygodnie.

Ola uśmiechała się do niej przez łzy.

— Nie dajcie mnie! nie dajcie! — powtarzała cichutko i nie puszczała
ręki panny
Maryanny, ściskając ją w obu drobnych swych dłoniach.

Sipajłło, mimowolny świadek tej sceny, z pewnem zrazu
rozdrażnieniem, pilnie
słuchał.

— Ktośby mógł powiedzieć — mruzczał niechętnie — żeśmy tę
dziewczynę, panie teo,
katowali, czy co? Szczególna rzecz, jakie to dziwaczne stworzenie!
Długo trwało, zanim panna Malicka zdołała uspokoić Olę. Nie odeszła
od łóżeczka,
dopóki spłakana dziewczynka nie usnęła w jej objęciu. I jeszcze
chwilę
zatrzymała się przy niej, zapominając o Sipajłle, patrząc z
rozrzewnieniem, jak
nerwowe drganie wstrząsało wynędzniałem ciałem Oli, a usta jej
krzywiły się
przez sen do płaczu.
Sipajłło przemyślał tymczasem nad sytuacją. Po pewnem
zastanowieniu okazywała
się ona lepszą niż z początku. Przywiązanie Oli do panny Malickiej i
oświadczenie stanowcze staruszki, iż sierotę chce na zawsze przy
sobie
zatrzymać, podawały panu Sipajłle do-

brą sposobność do obrócenia tej sprawy na własny pożytek.
Postanowił on tedy
prawa swe do opieki nad Olą podnieść raz jeszcze z należyłą siłą, a
następnie,
skoro już ten dowód czułego i szlachetnego serca okaże się
dostatecznym, gdy
staruszka widocznie mocno do dziecka przywiązana, przestraszy się
tej
stanowczości i zechce łagodną perswazyą lub prośbą zagodzić sprawę,
wówczas
dopiero miał Sipajłło uczynić ustępstwo, lecz zażądać wzamian
cennego
pośrednictwa i poparcia panny Maryanny wobec Czarnoszyńskich.

Skoro więc tylko Halicka wyszła z izdebki Oli, pan Jędrzej natychmiast przystąpił do rzeczy i ułożony program działania wykonał z całą dyplomatyczną zręcznością. Z początku był niezmiernie stanowczy i surowy w ocenianiu swoich obowiązków względem Oli.

— Bóg sam, panie teo — powtarzał, bijąc się w piersi — powierzył mi tę sierotę. Ja tej opieki wyrzec się, proszę łaski, nie mogę i nikt mi jej odebrać nie ma prawa. Jeżeli Jurek przez swawolę, uczynił temu biednemu dziecku krzywdę, to ja, panie teo, krzywdę tę wynagrodzić muszę, bo inaczej sumienie by mię gryzło do śmierci. Ja panie teo, tę Olę, jak moją własną córkę wychowywać teraz będę, dalibóg, proszę łaski!

I stało się wkrótce to, co przewidywał Sipajłło. Gdy w godzinę potem wyjeżdżał z Jurpola, mógł spokojnie spoglądać w przyszłość, czując, że pozostawia za sobą wpływową orędowniczkę sprawy swojej i Jurka, zjednaną ustępstwem opieki nad Olą.

— Już ja tam panie Jędrzeju — zapewniła go na wyjezdnem panna Halicka — w niczem wam przeszkadzać nie będę, a jeśli w czem będę mogła, dopomogę. Może też i macie słusność, że Jurek się zmieni, gdy się go z domu odda; a jeżeli chłopak zdatny, to niech idzie wyżej. Co się zaś tyczy Słobody, powiem panu Romanowi, a i panu marszałkowi szepnę, to was pewnie nie minie.

— Słuszna rzecz, panie teo — dorzucił pan Jędrzej. — Stary sługa

Czarnoszyńskich, z dziada, pradziada, wstyd, aby marniał u jakiegoś tam

pędziwiatra, Borskiego.

— Pewnie, pewnie — zakończyła panna Malicka, rada, że się tak wszystko

pomyślnie ułożyło i że już jej nikt Oli nie będzie chciał odbierać.

Od tego czasu rekonwalescencya dziewczynki coraz raźniej

postępować zaczęła;

siły się wzmagaly, zdrowie wracało. W kilka dni potem Ola mogła już wstać z

łóżka i o własnych siłach przejść do drugiego pokoju, a od tego czasu wszystko

też w życiu panny Malickiej wróciło do dawnego trybu. Już znowu co rana, skoro

świt, rozlegało się na jurpolskim dziedzińcu przenikliwe wołanie

panny Maryanny,

które było hasłem, budzącem całą służbę do pracy. Przygotowywanie kawy i

odprawianie modlitw porannych odbywało się takie w zwykłym

porządku, tylko z tą

różnicą, że obok panny Malickiej, na małym stołeczku usiadała Ola i wielkimi

zrazu nieco zdziwionemi oczyma przypatrywała się wszystkim

obrządkom swojej

nowej a już bardzo ukochanej opiekunki.

Odtąd najlepsza kawa i grzaneczki sporządzane były w podwójnej ilości.

— To dla Zygmunusia a to dla ptaszyny — szeptała panna Maryanna, ustawiając

garnuszki w kominku.

Stosunek Oli z panną Malicką długo żadnej nie ulegał zmianie. Ola

mówiła mało,

słuchała zaś bardzo uważnie i pilnie przyglądała się wszystkiemu. Z

początku nie

wszystko rozumiała, co mówiła jej panna Maryanna; zwolna dopiero uczyła się jej mowy i nieśmiało odpowiadała na zapytania, których treści z wysiłkiem domyślała się zaledwie, Ale czułość staruszki i jej pieszczoty, których nie szczędziła Oli, ośmielały ją z dniem każdym więcej. Wkrótce zaczęła sama zadawać pytania, prosząc o wyjaśnienie niezrozumiałych jej wyrazów lub rzeczy. Zamknięte dotychczas jej serce, zwolna, stopniowo otwierało się przed tą, która dobrocią swą i łagodnością wzbudzała w niej nieograniczone zaufanie. Nieraz, gdy siedząc przy panie Halickiej, na swoim stołeczku, z głową opartą o jej kolana, zatoneła w myślach, to jej się zdawało, że przeszłość wróciła i że ta dłoń, która zlekka dotykała się jej czoła i gładziła włosy, to ręka jej ukochanej matki, śpiącej martwo pod oksanińską mogiłą. Wówczas w obie swe dłonie porywała tę chudą, pomarszczoną rękę i cisnęła do ust namiętnie. Teraz znowu, kiedy Ola wyzdrowiała, wbiegał niemal co rana do oficyn Zygmus, na przygotowaną kawę i grzaneczki. Każde jego pojawienie się było dla Oli niezmiernie ważnym wypadkiem. Obecność jego wzmagała jej nieśmiałość; zwykle milcząca, przy nim

ust nawet otworzyć nie mogła, ani oczu podnieść. Zygmus przywitawszy się z "babcią", przemawiał często do Oli, uśmiechał się, żartował, pragnął ośmielić,

lecz napróżno. Nie uciekała wprawdzie jak przed Jurkiem, ale serce
tłukło się
jej w piersi z niepohamowanego wrażenia i byłaby się nieraz pod
ziemię schowała,
by nie być widzianą, a patrzeć. Gdy Zygmus, zwrócony do babci i
zajęty z nią
rozmową, o obecności Oli zapominać się zdawał, wówczas tylko ona,
dużemi,
pełnemi podziwu oczyma wpatrywała się w niego, śledząc każdy
wyraz, każde
poruszenie. Wszystko, co Zygmus mówił pozostawało jej w pamięci
na zawsze.
Nadszedł nareszcie ważny dzień dla jurpolskich mieszkańców, dzień
wyjazdu
Zygmusia do Odessy. Już na dwa tygodnie przedtem ruch w pałacu
był nieustanny;
przygotowywano tę wyprawę z taką starannością, a mówiono o tym
wyjeździe z taką
gorączką i niepokojem, jakby o podróż na koniec świata chodziło.
Nawet panią
Zenobię wypadek ten nadspodziewanie poruszył. Wbrew zwyczajowi
swemu, zajmowała
się drobnymi nawet szczegółami wyprawy Zygmusia, krzątała się
nieustannie, a
narzekała ciągle na swoją pamięć która ją zawodziła i na niezmierne
utrudzenie,
o którym każdemu szeroko i długo opowiadała.
Roman milczał posepnie, a w miarę zbliżania się dnia wyjazdu coraz
częściej
zamykał się samotnie w swoim pokoju. Rozstanie się z synem
kosztowało go więcej,
niż się sam z początku spodziewał. Nie chciał tego okazać i uciekał od
ludzi;
wstydział się rozrzewnienia, jakie go opanowywało, gdy patrzył na
uśmie-

chniętą, rozpromienioną twarzyczkę Zygmunta, wrywającego się w świat nie bez obawy, ale z ciekawością i młodzieńczym zapałem. Roman czuł, że z tym wyjazdem kończy się stanowczo i zamyka nieodwołalnie jeden okres jego życia, że odtąd pozostanie zupełnie samotnym. Przerząła go myśl tej pustki, jaka go po wyjeździe Zygmunta otoczyła — pustki szarej, jednostajnej, okropnej jak otchłań, z której już teraz zdawały się wzywać ku niemu wszystkie wspomnienia młodości, urągając jego późniejszym rozczarowaniom i zawodom. Postanowił zaraz po wyjeździe syna zająć się gorliwie interesami, zbadać stan majątku i zaprowadzić konieczne reformy, aby powetować stratę Oksaniny i dalszym zapobiedz klęskom.

— Tem się zajmę — myślał — zaprzątnę całkowicie, a to mi uczyni lżejszem osamotnienie, jakie mnie czeka.

W dzień wyjazdu Zygmunta, z pierwszym rannym brzaskiem, wszczął się niezwykły ruch na pałacowym dziedzińcu. Służba wynosiła pakunki i ładowała je na wielką brykę, stojącą już od wieczora przed domem. Wszyscy domownicy byli od świtu na nogach: w kuchni przygotowywano obfite śniadanie i zapasy. Niebawem nadjechał pp. Sipajłowie z Jurkiem, na którego twarzy malowała się pewnośc siebie i ogromne zadowolenie. Pani Natalia miała oczy zapu-chnięte od płaczu, a pan Jędrzej ustawicznie chrząkał i powtarzając: panie teo, proszę łaski — gderał na żonę za jej mazgajstwo.

Skoro tylko bryczka zatrzymała się u bramy, Jurek jednym susem
wyskoczył, pędem
przebiegł dziedziniec, nie zważając na wołanie matki, i podążył do
pokoju

Zygmunia. Sipajłowie zaproszeni zostali do sali jadalnej, gdzie było
przygotowane pożegnalne śniadanie.

W sali byli już zgromadzeni wszyscy. Nawet pan Marszałek, w
długim popielatym
szlafroku z czerwonymi wyłogami, siedział w fotelu i patrzył
uśmiechnięty

pogodnie na Zygmunia, który, nieco przybladły, wzruszony,
rozmawiał z cicha z

Jurkiem. Pani Zenobia siedziała obok Marszałka, opowiadając, jakie
zmory trapiły
ją w nocy.

— Prawie oka zmrużyć nie mogłam, tak mnie serce bolało, jakby je
obręcz żelazna

ściskała. Me umiem wypowiedzieć, co to za męczarnia! Alem sobie
powiedziała, że

płakać nie będę i nie płaczę. Ani jednej łzy.

To mówiąc, spojrzała tryumfująco na rozszlochaną panią Natalię,
która, stojąc

przy oknie, zdawała się nikogo nie widzieć i na nic nie uważać.

Chustko trzymała

przy oczach i łkała.

— Niech pani Sipajłowa siada — ozwała się Zenobia — trzeba mieć
siłę woli,

umieć zapanować nad sobą. Niech pani Sipajłowa na mnie patrzy.

Przez cały

tydzień spokoju nie miałam ani chwilki, wszystko niemal własną ręką
przygotowałam dla Zygmunia, nóg nie czuję; dzisiaj w nocy oka nie
zmrużyłam.

Powiedziałam sobie jednak, że tak być musi; pogodziłam się z myślą
rozstania się

z synem, jestem silna i nie płaczę.

Na ostatnie słowa Zenobii wszedł Roman. Był blady, widocznie ze wzruszenia;
zasłyszane słowa żony wywołały gorzki uśmiech na jego usta
Znał on przecież dobrze te energję. Zenobii i słyszał nieraz, jak przy obcych
mówiła o niej szeroko i długo. Zdumiewał się. jak ta kobieta potrafiła siebie
samą łudzić własnymi słowami. Słyszając ją, można było mniemać, że wszystko w domu
zależało od jej woli i opierało się o nią, gdy w rzeczywistości ona o niczem
zgoła nie wiedziała i nic ją na seryo nie zajmowało. Była jednak dziwna jakaś
potęga w tem samochwalstwie. W tej chwili naprzykład, w chwili rozstania się z
jedynem i niewątpliwie bardzo ukochanem dzieckiem, pani Zenobia, mówiąc o swojej
sile woli, rzeczywiście jedna tylko w całej rodzinie zachowywała najzimniejszą
krew, najdzielniej to rozstanie znosiła. Mówiła ciągle o sobie i tak się w tym
zachwycie nad sobą pograżała, że traciła niejako świadomość chwili. Pamiętała
tylko o tem, aby wobec innych okazać się dzielną.
Przygotowanego śniadania nikt nie jadł, oprócz Jurka, który z pod oka obserwując
wszystkich i wszystko, spożywał dary boże z młodzieńczym apetytem i od czasu do
czasu uśmiechał się do siebie.
— Żeby te ceremonie rychło już się skończyły! — myślał.
Po śniadaniu pan Roman wstał i pierwszy dał hasło.
— Zygmusiu — rzekł — pożegnaj się z dziadkiem i matką.

Zygmuś porwał się z miejsca, podbiegł do marszałka na oba kolana ukląkł i

pochylił się przed
starcem.

Marszałek nagłym ruchem odsunął fotel od stołu i w obie ręce
schwycił jasnowłosą

głowę wnuka. Usta mu drgały, cała głowa trzęsła się i chwiała.

— Niech cię Bóg wielki błogosławi! — przemówił głosem drżącym.

— Po raz pierwszy

opuszczasz dom rodzicielski; ważna to chwila w życiu. Szczęśliwy,
kto powraca do

niego z dojrzałym umysłem, a niezmienionem sercem. Niech cię Bóg
prowadzi i

ochrania w tym świecie, do którego po raz pierwszy wchodzisz.

Starszych szanuj,

rówieśników kochaj, przebaczaj im, sumienia słuchaj!

Mówiąc to, nad głową wnuka kreślił znak krzyża, poczem, pochylając
się, podniósł

rozplakanego Zygmunta z kłeczek i przycisnął do piersi całując.

— Niech ci ta chwila w pamięci zostanie — rzekł w końcu. — Idź
teraz do matki.

Na wszystkich obecnych słowa marszałka, wymawiane powolnie,
wyraźnie a

uroczyście, silne wywarły wrażenie, skierowując myśl na rzeczywiste
znaczenie

tej chwili, w której młodzieniec po raz pierwszy opuszcza próg
rodzicielskiego

domu. Nawet pani Natalia przestała płakać i dopiero znowu łkać
zaczęła,

ujrzawszy, jak pani Zenobia bezmownie ścisnęła syna w objęciach. W
tej chwili

istotnie serce matki, zajęte dotychczas myślą o swojej niespożytej
energii,

pękało z bólu. Nie mogła przemówić ani słowa, łzy płynęły

z oczu strumieniem, a głuche łkanie wydobywało się z piersi.

Za tym przykładem pani Natalia rzuciła się ku Jurkowi, który,
jakkolwiek

wzruszony, hamował uniesienie matki.

— Niech niania nie płacze — powtarzał — dosyć tego!

— Zeniu, Zeniu! — przemówił zcicha Roman, zbliżając się do żony — czas jechać.

Równocześnie drzwi się otwarły i na progu stanęła zdyszana panna Malicka. Od

świtu zajęta przygotowywaniem rozmaitych zapasów i przysmaczków dla swego

pieszczoszka, miała zaledwie czas zdążyć w ostatniej chwili na pożegnanie. Na

twarz jej wybiegły czerwone plamy, oczy błyszczały gorączką.

Zygmuś zobaczywszy ją, wprost z objęć matki podbiegł ku niej. Ona go w ramiona

ujęła, twarz, czoło, włosy zaczęła całować, bez łez, ale z jakimś rozpaczliwym

smutkiem, który się chwilami przytłumionym jękiem wyrażał.

— Dziecko ty najdroższe! dziecko ty moje! — szeptała. I naraz, nagłym ruchem

pochyliła się, porwała rękę Zygmuśia i zanim on temu przeszkodzić zdołał, do ust

ją poniosła.

— Paniczu — jęknęła — nie zapomnij o starej służce!

Po raz pierwszy nazwała go "paniczem" i po raz pierwszy wobec niego, jako syna i

wnuka swych ukochanych dobroczyńców, tem pocałowaniem ręki uznała pokornie

służebnictwo swoje, pasując go tem samym na dorastającego młodzieńca.

— Babciu! — babciu! — mówił łkając Zygmus, którego to pożegnanie na równi

niemal ze słowami marszałka wzruszyło. Tak uroczyście dziadek nie przemawiał do

niego jeszcze nigdy, tak kornie panna Malicka także nigdy nie mówiła. Była w

tych dwóch różnych sposobach pożegnania dziwna wspólność
odczucia i intencji.

Pierwszą epokę w życiu Zygmunta te dwa pożegnania najwymowniej
zamykały,

wskazując mu drogę dalszą, na której stanowisko jego i stosunek do
ludzi musiał

już uleść zmianie.

Skończyły się nareszcie pożegnania. Roman, który odprowadzał syna,
siedział już

w powozie, wołając Zygmunta, nie mogącego wyrwać się z objęć
matki i panny

Malickiej. Wszyscy wyszli na ganek, przed który gromadą zbiegli się
także

domownicy na pożegnanie panicza. Zygmunt wskoczył wreszcie do
powozu i zajął

miejsce obok ojca. Naprzeciw usiadł Jurek, który w ostatniej chwili
stracił

trochę fantazyi i łzy cichaczem połykał.

Stangret zaciął konie i powóz ruszył, a za nim bryka wyładowana
pakunkami.

Pani Zenobia stała z załamaniem rąk, oparta o kolumnadę ganku,
patrząc

nieruchomo w stronę, kędy widniała jeszcze postać Zygmunta,
stojącego w powozie

i skłaniającego ku niej rękę. Obok pani Zenobii, Sipajłowie i panna
Maryanna,

która ręką podniesioną do góry zęgnęła głośno drogę Zygmunta. Po za
nimi w

oknie, oparty o framugę, pochylony, stał marszałek. Patrzył w dal i
chwiały głową

smutnie. W oczach

zamglonych lśniła czasem jakby łza — usta szeptały

błogosławieństwo, a w myśli

snuły się dalekie wspomnienia.

Z tego samego domu, tak samo żegnany i błogosławiony, wyjeżdżał
on niegdyś
dzieckiem. Tyle lat — a zdaje się, jakby to było wczoraj. Potem z
kolei on
żegnał i błogosławił odjeżdżającego po raz pierwszy w świat Romana
— a teraz
znów Zygmus!

On, Roman i Zygmus, to trzy pokolenia, mające wypełnić działaniem
swem i życiem
całe stulecie. On już zszedł z pola — działalność jego skończona;
nietkniętą
ojcowiznę i tradycję przekazał synowi. Co zostawi ten syn i co uczyni
ten —
najmłodszy?...

Obejrzał się Marszałek za siebie i rzucił okiem na ściany sali,
ozdobione
portretami naddziadów. Oksaninę Roman już sprzedał. Myśl ta, jak
ostrze
sztyletu, przeniknęła serce starca. Miałżeby to być początek końca?
Czy wnuk
wróci tu dojrzałym mężem do tych samych murów, z tą samą dla nich
miłością i tem
poszanowaniem, jakie dziada, i ojca przejmowało?
Brwi siwe zsunęły się prawie zupełnie na oczy starca i przysłoniły
pełne smutku
spojrzenie. Krokiem chwiejnym, opierając się na lasce, poszedł
Marszałek do
swego pokoju.

— Bądź wola Twoja! — szeptał zcicha — jako cień zeszły dni
moje...

Tymczasem powóz, unoszący Zygmuta, mknął chyżo po gładkiej
drodze, okalającej
park pałacowy. Nagle wzrok Zygmuta, zwrócony ciągle ku domowi,
dostrzegł małą
postać, wychylającą się z poza drzew

ogrodu. Na zakręcie, w chwili gdy powóz miał zwrócić się w stronę przeciwną, skulona postać dziewczynki wyjrzała z poza gałęzi. Dwoje dużych, ciemnych oczu spotkało się ze spojrzeniem Zygmunta.

Ola stała długo na dziedzińcu, kryjąc się za węglem i patrząc na ostatnią scenę wyjazdu. A potem, gdy powóz ruszył, pobiegła pędem przez ogród, aby raz jeszcze w ostatniej chwili zobaczyć. Przysiadła na ziemi zdyszana i wyteżonym wzrokiem patrzyła. Serce jej się tłukło w piersiach i niepojęte dla niej opanowało ją wzruszenie. Nie mogła się oprzeć chęci zobaczenia raz jeszcze tego, który ją w pamiętnym zajściu na mogile oksauńskiej zasłonił przed Jurkiem, a potem tak zawsze dobrym był dla niej. Nie chciała, aby ją dostrzegł, a pragnęła pożegnać.

Zygmunt poznał ją odrazu i wychylił się z powozu.
— Ola! Ola! — zawołał — bądź zdrowa!

Zaszeleściały gałęzie suchymi liśćmi, zwarły się i zakryły Olę. Jurek, słysząc wołanie Zygmunta, rzucił się żywo i spojrzał w tę stronę, ale Oli nie zobaczył, bo ta natychmiast przycupnęła do ziemi, kryjąc się bojaźliwie przed jego wzrokiem. Dopiero po chwili, gdy powóz już był daleko, wyjrzała znowu.

Tuman kurzawy snuł się ciemną chmurą za kołami powozu, oddalenie nie dozwalało dostrzedz postaci, ale Oli zdawało się ciągle, że widzi wychylającego się ku niej Zygmunta i słyszy głos jego dźwięczny, tkliwy: bądź zdrowa! Echo tego głosu rozbrzmiało i zostało w jej duszy.

V.

Po wyjeździe Zygmunta ponura cisza zapanowała w obszernych komnatach

jurpolskiego pałacu. Pani Zenobia, na chwilę tym wyjazdem poruszona, wkrótce

wróciła do zwykłego spokoju, który coraz bardziej stawał się apatycznym.

Gnuśność umysłu nie dozwalała jej nad niczem zastanawiać się zbyt długo; jak

każde męczące zajęcie, tak też i każde uczucie, które ją nadto gnębiło, odpychała od siebie, zatapiając się w bezmyślności. Żyła z dnia na dzień, a

czasem ta cisza, która ją otaczała, a którą nieraz dawniej jakiś kłopot z

powodu Zygmunta przerywał, wydała się jej nawet rozkoszną. Gdy po kilku

miesiącach Zygmunt, pełen życia i wesołości, przyjechał na kilka dni świątecznych

do domu, pani Zenobia ucieszyła się z początku ogromnie, ale niebawem poczuła

się znużoną i już bez wielkiego ściśnienia serca zegnała po raz wtóry odjeżdżającego syna.

Urządziła sobie życie jak mogła najwygodniej. Do późnej godziny nieubrana,

zajęta była w swoich pokojach rozmaitemi robotami, których celu i przeznacze-

nia sama nie byłaby umiała oznaczyć. Miała też swoje chwilowe upodobania, którym

czas jakiś oddawała się z namietnością, rychło stygnąc w zapale. Były to

najczęściej takie zajęcia, do których pani Zenobia najmniej przygotowaną była.

Wychowanie bardzo powierzchowne i dorywcze, dając jej pewne pozory wyższego

ukształcenia, obudziło w niej tylko to, co Roman w rozdrażnieniu nazywał nieraz "fałszywym apetytem." Był czas w którym Zenobia oddawała się muzyce z zamiłowaniem, polegało to wszakże na tem, że grała dużo, próbowała wszystkiego, a nic porządnie zagrać nie umiała. Roman, który namiętnie lubił muzykę, grania jej, zawsze niepewnego, słuchać nie mógł.

— Ty zawsze tylko próbujesz, wybierasz — mówił jej z pewną wymówką.

Zenobia wstawiała wtedy oburzona, nie odpowiadając ani słowa, zamykała głośno fortepian i wychodziła z pokoju.

Gorzej jeszcze było ze śpiewem. Kilka lekcyj, wziętych dorywczo, nie mogło wystarczyć do wyrobienia głosu z natury bardzo słabego, o dźwięku niemiłym. Pani Zenobii brakło cierpliwości, aby przezwyciężyć żmudne początki; przeskoczyła więc odrazu do rzeczy najbardziej efektownych i śpiewała najtrudniejsze arye w sposób, który Romana do rozpaczy doprowadzał. Drażniło go to tem bardziej, że Zenobia lubiła popisywać się swym śpiewem w towarzystwie, wyczekiwała tylko, a nieraz wywoływała, mniej lub więcej zręczną przymówką, zaproszenie, i korzystała z niego natychmiast. Na zwykłych zebraniach sąsiedzkich nie-

wielu wprawdzie mogło być znawców, ale Romanowi zdawało się zawsze, że każdy z pobłażliwych słuchaczy, czujących się w obowiązku mówienia komplementów, doskonale ocenia śmieszność tych popisów. Pani Zenobia wszelkie pochwały brała

na seryo, a nieraz zapytana, dlaczego częściej nie śpiewa,
odpowiadała z wyrazem
smutku niezrozumianej i nieocenionej istoty:
— Cóż! Roman mego śpiewu nie lubi.
Oświadczenie to wywoływało oczywiście głośne protestacye
towarzystwa, a pani
Zenobia z każdego takiego grzecznego słówka obcych wyciągała
wniosek, że na
całym świecie jeden tylko mąż jest dla niej niesprawiedliwym; ocenić
jej nie
chce i nie umie.
Tak samo było z malarstwem. Pani Zenobia nie mając prawie żadnego
o rysunku
pojęcia, wzięła się z zapalem do olejnego malowania i cały dzień
oddawała się
temu, zapominając o świecie całym. Malowała widoki, kopiała
stare obrazy,
których kilka bardzo cennych mieściła galerja jurpolska, brała się
nawet do
portretów z natury. Zrobiła wielki wizerunek Zygmunta i duży portret
swej matki,
a te wszystkie arcydzieła, z zupełnem przekonaniem o ich wysokiej
wartości,
pokazywała każdemu, kto tylko do Jurpola przyjechał, upajając się
pochwałami.
Te wszystkie upodobania nie trwały długo. Muzyka ustępowała
miejsca rysunkom,
malarstwo szło w kąć przed chwilowym zapalem do literatury, bo i ten
przychodził
z kolei, a wówczas pani Zenobia całą bibliotekę męża chciała
pochłonać odrazu,
za jednym zamachem. Czytała bez porządku i systemu, a rezultat

był taki, że Roman zbierać musiał książki poroznoszone po całym
domu i na domiar

słuchać, jak Zenobia popisывała się w sąsiedztwie frazesami
przeżytaurami, bez
związku i ładu, mieszając pojęcia lub stosując je niezręcznie.
To wszakże wystarczyło, aby w całej okolicy wyrobić pani
Czarnoszyńskiej opinię
niezwykłej uczoności i utalentowania. Niejeden, widząc obojętność
Romana, lub
dostrzegłszy jego rozdrażnienie, a zwłaszcza usłyszawszy wymowną,
choć od
niechcenia zwykle rzucaną skargę pani Zenobii: — "Cóż! kiedy
Roman tego nie
lubi!" — dziwił się w duchu, a może i potępiał męża za tę nieczułość
dla żony.
Nikt prawie nie domyślał się, ile on cierpiał od tych codziennych,
drobnych,
szpilkowych ukłuć, które raniły całą jego moralną istotę; nikt nie był
świadkiem
walk, jakie z sobą staczał, przymusów jakie sobie zadawał, moralnego
opuszczenia, w jakim go pozostawiała ta, która miała być
towarzystką jego
życia.
Teraz, po wyjeździe Zygmunusia, przedział pomiędzy małżonkami stał
się jeszcze
głębszym. Roman, który wobec syna usiłował, choć często
bezsukutecznie, pokryć
rozstrój pozornym przynajmniej spokojem, mniej teraz czynił sobie
przymusu.
Podczas gdy Zenobia po całych dniach malowała portrety (była to
właśnie kolej
malarstwa), ón, pogrążył się cały w badaniu stanu majątku. Od rana
do nocy
sprawdzał rachunki, raporta rządców, inwentarze. Wierny
postanowieniu,
uczynionemu przed wyjazdem Zygmunusia, chciał po raz pierwszy w
życiu dojść do
jasnego poglądu na stan majątku.

I doszedł do bardzo smutnych rezultatów. Dochody z roku na rok malały, nakłady zwiększały się niestosunkowo, administracja i utrzymanie domu pochłaniały wszystko.

W ostatnich czasach, wskutek okoliczności zupełnie od woli Romana niezawisłych, okazała się potrzeba takich wydatków, które całą gotówkę wyczerpały. Kasa jurpolska była pustą, a równowaga rozchodów z dochodami, jeśli się jeszcze utrzymywała, to lada chwila zwichniętą być mogła.

Pot zimny oblał czoło Romana, gdy raz do późnej nocy ślęcząc nad rachunkami,

doszedł do cyfr ostatnich. Ciężące na Jurpolu wierzytelności urosły do sum

krociowych; nie dorównywały one wprawdzie rzeczywistej, bardzo znacznej wartości

majątku, ale wobec upadku dochodów stawały się dotkliwym ciężarem; w razie zaś

zażądania zwrotu choćby jednej części, mogły wywołać katastrofę.

— Poszła na to Oksanina — myślał z rozpaczą Roman — może pójść i reszta.

W rękach dzielnego administratora trudności te nie miałyby poważniejszego

znaczenia. Można było podnieść w dwójnasób dochody odpowiednimi reformami i

ukróceniem nadużyć, jakie w rozległej i mało sprężystej administracji musiały

się wydarzać. Ale Roman nie przeceniał sił swoich i wiedział, że do przeprowadzenia koniecznych reform w zarządzie nie będzie miał ani dostatecznej

energii, ani odpowiedniej znajomości rzeczy. Niełatwe to zresztą było zadanie

zmieniać to, co od wieku istniało i miało swoje zakorzenione

tradycje. Należało znaczną liczbę oficjalistów odprawić,
pозmniejszać
gratyfikacje, zaprowadzić ścisłą kontrolę- słowem, wydać walkę
całemu
odwiecznemu porządkowi. Pomiedzy oficjalistami tymi byli po
największej części
tacy jak Sipajłło synowie i wnukowie sług jurpolskich; czyż można
było ich
odprawiać, lub żądać od nich większej pracy, większej ścisłości w
gospodarce,
innego niż dotychczas systemu?
A zresztą — i tu sprawa wikłała się jeszcze bardziej — oni wszyscy
prawie byli,
podobnie jak. Sipajłło, wierzycielami jurpolskiego dziedzica. Od kilku
pokoleń
składali tam oszczędności swoje, które rosły.
Tak czynili oficjaliści, tak czyniła też i okoliczna, zwłaszcza mniej
zamożna
szlachta. Były to sumy po większej części drobne, po kilka lub
kilkanaście
tysięcy rubli, składane w zupełnem zaufaniu, często bez wszelkich
prawnych
formalności. Niektóre sumy, w ten sposób na Jurpolu lokowane,
ciężyły na nim od
lat wielu, jeszcze od czasów Marszałka; inne przyjmował już sam
Roman, ulegając
nieraz natarczywym naleganiom. W końcu przyjmować nie chciał, co
nawet wywołało
pewną trwogę wśród wierzycieli, pogłoski o zachwianiu się interesów
jurpolskich,
a w ostatecznem następstwie żądania zwrotów i stratę Oksaniny.
Teraz, wobec coraz cięższych warunków gospodarskich, takie
liczniejsze jeszcze
żądania można było łatwo przewidzieć, a na tę myśl dreszcz
przeżarzenia
przechodził po skórze Romana.

— Nie móżdź dotrzymać takich zobowiązań — myślał z rozpaczą —
to infamia! Jutro
niech pierwszy lepszy

przyjdzie i zażąda zwrotu dziesięciu, dwudziestu tysięcy, co mu
powiem? zkaąd
oddam ?

Rozpacz go ogarniała. Pocieszał się chwilami, że się w zestawieniu
rachunków

pomylić musiał, i zaczynał pracę na nowo. Przemyślał nad
sposobami

powiększenia dochodów, a zmniejszenia wydatków, bez zmiany
dotychczasowego stanu

rzeczy — napróżno!

Chcaąc sprawę ostatecznie, a przynajmniej co do cyfr sprawdzić,
zawezwał do

pomocy Sipajłłę.

Pan Jędrzej rachmistrz był doskonały, a przytem człowiek zaufany i
wierny.

Wielce się też ucieszył tem wezwaniem. Niespokojny był coraz
bardziej o swój los

przyszły, pośrednictwo bowiem panny Malickiej, tak skuteczne w
sprawie Jurka,

okazało się mniej pomyslnem co do Słobody. Odpowiedzi stanowczej
nie było.

Posada ta wprawdzie nie była dotąd zajęta, gospodarował tam
tymczasowo w

zastępstwie zmarłego rządcy, młody agronom, ale tymczasowość ta
trwała już zbyt

długo i zaczynała być niepokojącą. Pan Sipajłło postanowił korzystać
z tej

sposobności i rozmówić się z panem Romanem stanowczo.

Skończywszy mozolne

rachunki, które, niestety, okazały się zgodne z obliczeniem Romana,
pan Jędrzej

powstał i podnosząc głowę, spojrzał na niego, aby rozpocząć tak
ważną dla siebie
rozmowę.

Spojrzał i omal nie krzyknął, tak twarz Romana wydała mu się
zmienioną.

— Dziękuję ci — ozwał się Czarnoszyński głosem stłumionym —
dziękuję ci za
twoją pracę. Ale ty, mój dobry Jędrzeju gdyś zliczał owe
nieskończone ko-

lumny cyfr nie domyślałeś się nawet, jakie one właściwie mają dla
mnie
znaczenie.

— A Jakieżby? proszę łaski — przerwał Sipajłło przestępując
niezgrabnie z nogi
na nogę — strasznie dużo teraz, panie teo, gospodarka kosztuje,
strasznie dużo!

Roman gorzko się uśmiechnął. Czuł potrzebę wypowiedzenia choć w
części tego, co
mu na duszy ciążyło, a znał przywiązanie do siebie Sipajłły i wiedział,
że przed
nim może mówić otwarcie.

— Te cyfry wydatków, któreś zliczał — rzekł zwolna — mówią mi
wyraźnie, że
teraz gdy się dochody zmniejszyły, gdy Oksaninę musiałem sprzedać,
źle jest ze
mną, bardzo źle.

Sipajłło słuchał, przestępował ciągle z nogi na nogę i czuł się bardzo
zmieszanym. Żał mu było serdecznie Romana, a równocześnie trwoga
go opanowywała
o swoje pieniądze, bez wiedzy Natalii jemu powierzone. Wszystkie
złowrogie
pogłoski, jakie już pierwej uszu jego doszły, wszystkie zawistne
przepowiednie
żony stanęły mu w myśli.

Eoman wielkimi krokami chodził po pokoju silnie poruszony.

— Tak źle — mówił dalej — że gdybyś ty, naprzykład, Jędrzeju, zażądał dziś odemnie zwrotu swoich dwudziestu tysięcy, jabym niebył w stanie... Sipajłło skoczył jak oparzony i głośno odchrząknął.
— Ja właśnie... proszę łaski, panie teo... chciałem... prosić — bąkał.
— Jakto? chciałbyś! — zawołał Roman, zbliżając się do niego i patrząc mu bystro w oczy. — Ty chciał-

byś żądać zwrotu w tej chwili, wiedząc, w jakiejbyś mnie postawił pozycji?
Przecież nie przypuszczasz, aby twoje pieniądze przepadły! Sipajłło był tak zmieszany, że mu wyrazy więzły w gardle. Chrząkał, przestępował ciągle z nogi na nogę, a bladł i czerwieniał na przemian.
— To jest — wykrztusił w końcu — proszę łaski... ja tego... nie koniecznie...
gdzieby też! ja się nie boję... panie teo, ja o co innego chciałem prosić. Roman patrzył na niego chmurny. Nie chodziło mu już w tej chwili o żądanie samo, któremu, jakkolwiek było kłopotliwe, mógłby być w ostateczności jeszcze zadość uczynić, ale zabolął go nad wyraz zawód, jakiego doznawał. Jeden z najdawniejszych sług jurpolskich, ten, który z nim razem rósł od dziecka, którego syn wspólnie z Zygmuśiem jego kosztem się kształcił, ten, na którego wdzięczność i przywiązanie, zdawało się, mógł liczyć, dowiedziawszy się o pogorszonej sytuacji majątku, zamiast pospieszyć ze słowem otuchy, lub wspólnie szukać jakiejś rady, skorzystał z pierwszej chwili, aby upomnieć się o swoje!
— O cóż więc chciałeś prosić? — ozwał się tonem suchym, niemal ostrym.

Ten ton poruszył Sipajłłę do żywego. Odczuł on w tym momencie wybornie całą sytuację i gdyby był mógł, byłby największym kosztem okupił cofnięcie niebacznych słów, które mu się wymknęły. Spojrzał znowu na Romana i jeszcze większy żal ścisnął mu serce. Łzy mu się w oczach zakręciły, widząc zmienioną, bladą twarz ukochanego swego pana, który teraz usiadł przy

stole i pod wpływem wewnętrznego wzburzenia, drżącą ręką przerzucił leżące przed nim rachunki i papiery. Jednym wielkim krokiem przystąpił Sipajłło do Romana, pochwycił jego rękę, schylił się i pocałował.

— Niech pan przebaczy — ozwał się, łkając niemal — niech pan, proszę łaski, przebaczy... Dalibóg, że jabym ostatnie oddał panu... ostatnie! Ale strach panie

teo, Jurek... Talcia!

Więcej mówić nie mógł. Łzy jak groch padały mu z oczu, łkanie tłumilo oddech w piersi.

Roman bardzo wzruszony wstał, i ramieniem objął wiernego sługę, — Mój dobry Jędrzeju — rzekł zcicha — znam twoje zacne serce; wiem, żebyś dla mnie uczynił nie jedne ofiarę, ale w tym wypadku twój strach był zbyt wielki.

Prędzej bym Jurpola się pozbył, niżbym krzywdę ludzką, a zwłaszcza twoją

dopuszczał. O Jurka bądź spokojny — przyszłość jego biorę na siebie, a pieniądze

ci oddam, skoro tylko....

— Nie, panie! — przerwał Sipajłło błagalnie — niech te pieniądze zostaną; niech

zostaną choćby do mojej śmierci. To — panie teo — głupia gęba
powiedziała, co
się sercu nie śniło.
Ocierał łzy szeroką dłonią i patrzył na Romana z miłością wielką.
— Et, ozwał się po chwili, machając ręką — pan się gryzie, martwi
— panie teo —
a to dalibóg że bez powodu. Były złe lata, proszę łaski, przyjdą lepsze
i —
jakoś to będzie!... Jurpol przecie — panie teo — to nie bagatel, to
majątek!

Ostatnie słowa wymówił z dumą, a podziałały one i na Romana
orzeźwiająco. Nagle
dziwna otucha wstąpiła mu do serca. Argument: jakoś to będzie —
rozprószył w
jednej chwili wrażenie realnych cyfr i zestawień.
Odetchnął swobodnie, jakby mu ciężar spadł z duszy i spojrzał
jaśniejszemi
oczyma.
Za chwile rozmawiał z p. Jędrzejem o Jurku i Zygmsiu, o ich
postępach w
naukach, o dalszych planach ich kształcenia na uniwersytecie w
Kijowie, a
rozmowa ta zupełnie zatarła chwilowe nieporozumienie.
— A cóż tam w Oksaninie słyhać? — spytał nagle Roman, wracając
myślą do spraw
majątkowych — pan Borski przyjeżdża?
Zachmurzył się na to pytanie Sipajło, jakkolwiek rad był z niego;
podawało mu
bowiem doskonałą sposobność do poruszenia swej sprawy.
— Czy przyjeżdża — panie teo — ja tam nie wiem, — odrzekł z
niechęcią machając
ręką. — Przyjechał tylko znowu, proszę łaski, ten jego niby lokaj, co
wszystkiem
rządzi, Tomasz — i wszystko — panie teo -do góry nogami
przewraca. Dwór

restauruje, porządki inne zaprowadza wszędzie. Buraczanego gospodarstwa mu się, zachciewa — gada, proszę łaski, że fabrykę cukrową budować będzie; czort wie co — panie teo! — Ładnie na tem wyjdziemy — przerwał zasepiony znowu Roman. — Nasza fabryka, która sumy pochłania, do reszty przepadnie. — Et! — machnął znowu ręką p. Jędrzej — gadanie! on tej fabryki, panie teo, nie wybuduje i na seryo o tem nie myśli, ino tak mówi, proszę łaski, aby ludzi

straszyć. Bo to jaż taki djabeł ten Tomasz, że gdzie źle zrobić komu nie może, to przynajmniej nastraszyć lubi. Ja mu też wczoraj tak powiedziałem, proszę łaski: rób sobie aspan co chcesz, ja rachunki i raporta składam i zabieram się ztąd! Roman poruszył się żywo. — Obiecałem panu Borskiemu, że do jego przyjazdu zostaniesz w Oksaninie, proszę cię o to Jędrzeju. Miałby potem do mnie pretensyę. — Wola pańska! panie teo, — odparł Stipajłło — zostanę, jak ino będzie można wytrzymać, ale też miałbym prośbę. Roman, uprzedzony już przez pannę Malicką, która danego przyrzeczenia święcie dotrzymała, domyślił się odrazu, o czem chciał mówić Sipajłło, to jednak nie dogadzało mu wcale. W Słobodzie, najznacniejszym folwarku jurpolskiego klucza, od kiedy gospodarował młody agronom, Jagusiński, energiczny i przedsiębiorczy, dochody podniosły się znacznie. P. Jędrzej, gospodarz dawnego systemu, a przytem

starzejący się i nawykły do lepszych czasów, byłby oczywiście
natychmiast
powstrzymał zbawienne reformy, na które ustawicznie się zżymał.
Pomimo tedy
względów dla starego sługi, p. Roman nie mógł utaić niezadowolenia.
— Widzisz, mój drogi. — mówił, jękając się nieco — jabym chciał tę
Słobodę w
dotychczasowym zostawić zarządzie. Mniej kosztuje, a więcej
przynosi. Jagusiński
dobrze się wziął.
Sipajłło mocno się zasepił, a na nazwisko Jagusińskiego zachnął się z
gniewem.

— Wola pańska — mruknął — wola pańska! Jaja teraz, proszę łaski,
mądrzejsze od
kury, lepszy Jagusiński od starego Sipajłły. Cóż robić! Ja zaś z tym
panem
Borskim, ani z jego Tomaszem nie wytrzymam! Żal, ale na stare lata
pójdę innej
służby szukać...

— Ależ, mój Jędrzeju — przerwał Roman, który już miękł w
postanowieniu, widząc
wielkie zmartwienie Sipajłły — ja ci wcale nie odmawiam, tylko
wiesz,
poczekajmy jeszcze.

Chciał odwlec sprawę, ale i to się nie udało. Po półgodzinnej
rozmowie, p.

Jędrzej wyszedł z jurpolskiego pałacu rozpromieniony, ze stanowczą
obietnicą
wielkorządztwa w Słobodzie.

Poszedł pochwalić się panie Malickiej.

Roman uległ, a ta porażka przekonała go ostatecznie, że o wszelkich
zamierzonych
reformach systemu dotychczasowej administracji, marzyć nawet było
niepodobna.

Takich jak Sipajłło, zaufanych sług jurpolskich był cały legion. Wielu z nich, prawie niezdolnych już do pracy z powodu wieku, dożywało dni swoich w spokoju; inni, młodszy, gospodarowali i używali po dawnemu, nie licząc się ze zmienionymi stosunkami. Wszelką zmianę w tym kierunku uważali za zamach na swoje prawa, a zarazem za ułbżenie godności jurpolskiego pana. Każdy z nich powtarzał mniej więcej to samo, co pan Jędrzej: Jurpol, panie, to nie bagatel, to majątek!

— Niema rady — westchnął Roman, usiadając po wyjściu Sipajłły w fotelu i biorąc książkę do ręki — niema rady, tak było od wieku i dalej być musi, i — jakoś to będzie!

I zagłębił się w czytaniu.

Od czasu do czasu jednak myśl trapiąca, jak iskra elektryczna przenikała jego duszę i ostremi szponami w mózg się wpijała, rozpraszając uwagę. Fala krwi uderzała mu do głowy, czuł gorąco i pot występujący na czoło. Patrzył bezmyślnie na litery, przechodził wiersz za wierszem i nie rozumiał. Głos jakiś szeptał mu ustawicznie:

— Co poczniesz Zygmucie, gdy dorosniesz i żyć zapragniesz? Większe jeszcze niż ty wymagania będzie miał od życia, a jakie środki? Daleko mniejsze od twoich. Tyś miał wszystko. Nietknięty majątek oddał ci ojciec, a poważanie, jakie starość jego sędziwą otacza, zaskarbione życiem bez skazy i zasługami, ułtorowało ci

odrazu drogę. Jakież ty grunt przygotowałeś z kolei synowi? Zamiast majątku zostawisz mu ruinę! Zostawisz mu ciężary, z którymi walczyć będzie ustawicznie, a może jeszcze i tę pamięć, że ojciec jego zawiódł zaufanie współobywateli, najuboższych sąsiadów i oficjalistów własnych! Książka wypadła Romanowi z ręki. Schwycił się obiema rękami za głowę; czuł, że mu myśli rozsadzają czaszkę; ogarniała go rozpacz — Boże! Boże! — szeptał — co począć? gdzie szukać pokrzepienia, otuchy, dźwigni moralnej? Ach, gdyby Zenobia mogła i chciała podzielić z nim ciężar życia!... Jedno słowo otuchy z jej strony — czuł to Roman w tej chwili — mogło by być dla niego zbawieniem. Gdyby ona mogła zrozumieć sytuację i mężnie stanęła wraz z nim do walki z życiem!... Ale Zenobia nie

miała o tem nawet pojęcia... Ilekroć Roman chciał ją wtajemniczyć w interesa, których powikłanie oddawna dostrzegał, widział na jej twarzy znudzenie. Słuchała z roztargnieniem, a jeśli się odezwała, to zdradzając każdym słowem nieświadomość stanu rzeczy. Roman potrzebował podniety, zachęty, jakiegoś słowa otuchy... Potrzebował, aby mu Zenobia powiedziała: Źle jest — więc złego nie tajmy ani przed sobą, ani przed innymi. Należy działać stanowczo i energicznie: zwinąć kosztowną administrację własną, wypuścić wszystko w dzierżawę, z dochodów spłacać powoli długi, samym zaś wynieść się do miasta, wyrzec się towarzyskich

stosunków, skromnie i cicho przesiedzieć lat kilka lub kilkanaście i dla
Zygmunta zostawić czystą fortunę... Dziś to jeszcze było można
uczynić, jutro
mogło być zapóźno! To zdaniem Romana było jedyną deską ratunku.
Na reformatora
administracyi on się nie zdał; siedząc w Jurpolu niepodobna było
zmienić
dotychczasowego trybu życia, a przynajmniej trudno to było
przeprowadzić bez
dotkliwych przykrości. Liczne i częste zjazdy sąsiedzkie w Jurpolu,
należały do
tradycyj, zarówno jak gościnność przyjęcia, a samo utrzymanie domu
na
dotychczasowym poziomie, wyborowej stajni, licznej służby,
pochłaniało sumy.
Połową tego kosztu można było utrzymać się w mieście, w Odesie czy
Kijowie, żyć
zdala od ludzi, a mieć przy sobie Zygmunta...
Uśmiechał się ten plan Romanowi. Wstał i przeszedł się parę razy po
pokoju w
głębokiej zadumie. — Co na to powie Zenobia? — myślał — jak
przyjmie wiadomość o
zachwianiu się interesów, o których

dotychczas nie ma najmniejszego pojęcia? — czy się zgodzi na tę
zmianę sytuacji
i wyjazd z Jurpola, połączony z upokorzeniem? Bo oczywiście w całej
okolicy
rozniesie się natychmiast wiadomość, że Czarnoszyńscy zrujnowani:
będą niemiłe
gadania, złośliwe komentarze, może nawet zarzuty...
— Niepodobna przecież — pocieszał się Roman — aby Zenobia nie
zrozumiała
nareszcie stanu rzeczy i nie chciała ponieść ofiary dla Zygmunta...
Winien sam

jestem, żem sobie nie chciał dotychczas nigdy zadać trudu, by
należycie jej
rzecz przedstawić, zniewolić ją, aby zrozumiała! Mam teraz cyfry, te
ją
przekonają dowodnie.
Zbliżył się do stolika i zbierał papiery w zamiarze udania się z niemi
do żony,
gdy wtem drzwi się otwarły i na progu stanęła Zenobia.
Była widocznie wzruszoną: oczy jej świeciły niezwykłym blaskiem, w
ręku trzymała
list.
— Przynoszę ci Romanie — przemówiła z pewną nieśmiałością,
zbliżając się do
stołu — przynoszę ci nowinę dla mnie miłą i radosną, pragnęłabym
bardzo, żeby i
dla ciebie była taką.
Ostatnie słowa wyrzekła z pewną afektowaną serdecznością, która
Romana dotknęła
niemile i usposobiła tem zimniej.
— Jakaż to nowina? — spytał.
— Moi rodzice — mówiła pani Zenobia, usiłując głosowi swemu
nadać brzmienie jak
najczulsze — moi biedni rodzice chcieliby do mnie przyjechać.
— A! — zawołał Roman. Miał coś powiedzieć, ale

się wstrzymał i tylko nerwowym ruchem przerzucał papiery po stole.
Pani Zenobia rzuciła na niego z pod oka badawcze spojrzenie i
ciągnęła dalej:
— Wiem, że ty jesteś trochę do nich a może i słusznie zrażony, znani
jednak
twoje poczciwe, zacne serce i jestem przekonana, iż nie zechcesz im
dać uczuć...
Tu głos pani Zenobii zadrżał. Podniosła chustkę do oczu. Roman w
obawie wybuchu
sceny nerwowej podchwycił:

— Ależ moja Zeniu, bądź pewna, że twoim rodzicom nie sprawię przykrości, jeśli przyjechać zechcą.

— Ale bo widzisz — przerwała Zenobia głosem cichym — ich pozycja teraz daleko gorsza, drażliwsza, najmniejsza rzecz zabołec ich może. Ty nie wiesz Romanie, jacy oni biedni! Zaczęła łkać głośno.

— Zeniu! — Zeniu! uspokajał Roman — cóż się takiego stało?

— Ośniałów — mówiła Zenobia przez łzy — zmuszeni byli wydzierżawić na lat dziesięć. Większą połowę dochodów pochłania splata dawnych zaległości. Oni biedni muszą przenieść się na mieszkanie do Lwowa, aby jako tako wyżyć.

Roman gorzko się uśmiechnął.

Ten sam plan układał on przed chwilą. Inni mogą to uczynić, dlaczegoż on nie miałby się chwycić tego samego środka ratunku ?

— Taka zmiana dotychczasowej egzystencji —

ciągnęła dalej pani Zenobia, ośmielona cierpliweni milczeniem Romana —

pojmujesz, jak jest dla nich okropna. Muszą się wyrzec raz na zawsze, już

nietylko pobytu w Wiedniu, z. którym ich tyle stosunków od lat tylu wiązało, ale

nawet tych wygód, jakie w Ośniałowie mieli. Najskromniejsze życie będą musieli

prowadzić we Lwowie. Biedna matka, pisze mi właśnie, że przed tym okropnym

wyjazdem na dewocję, pod kościół, jak mówi, chciałyby nacieszyć się naszym

widokiem i tę przynajmniej mieć pociechę, że jej córce niczego nie braknie.

Tu znowu potok łez i gwałtowne łkanie przerwały mowę pani Zenobii.

Roman, którego widok łez żony drażnił niewypowiedzianie, chodził po pokoju wielkimi krokami.

— Ależ moja droga — przemówił po chwili — zanadto tragicznie bierzesz sytuację.

Nie widzę nic tak okropnego w przeniesieniu się do Lwowa. Ja sam...

— O, Romanie, — przerwała Zenobia — nie mów tego! Ty oczywiście wyobrazić sobie nawet nie możesz takiej sytuacji. Zrywać wszystkie stosunki, wyrzekać się wszystkich zwyczajów, całe życie na starość z gruntu przeobrażać, to okropne!

Jabym umarła...

— Zeniu — podchwycił poważnie Roman, chcąc skorzystać ze sposobności — właśnie kiedyś tu weszła, chciałem iść do ciebie. Od kilku dni obliczałem wraz z

Sipajłą stan naszych dochodów i przyszedłem do bardzo smutnych rezultatów.

Pani Zenobia przez łzy rzuciła pełne podejrzliwości spojrzenie na męża.

— Lęka się — pomyślała — aby moi rodzice czego nie zażądali, dlatego to mówi.

Roman usiadł, wziął papiery do ręki i zaczął czytać głośno zestawienie

rachunków, każdą pozycją wyjaśniając dokładnie. Ale wkrótce instynktownie uczuł,

że słowa jego giną bez echa, że słuchanym wcale nie jest. Spojrzał na Zenobię,

która głowę obu rękami cisnęła.

— Mój drogi — ozwała się osłabionym głosem — tak jestem wzruszona i chora, że

ledwie żyję. Głowa mi pęka. Możebyśmy te rachunki na inny czas odłożyli.

Zresztą, ja wiem, mój drogi, że i ty, pomimo takiego majątku, musisz mieć

chwilowe trudności. Nie może być inaczej. Dzięki Bogu jednak, Jurpol i dla nas i dla wnuków naszych wystarczy.

— Ależ, moja Zeniu — przerwał Roman — ja właśnie chciałem ci przedstawić...

— Nie mogę! dziś, nie mogę! — powtarzała Zenobia, zdławionym głosem. — Drzę

cała, tak mię ten list mojej nieszczęśliwej matki do głębi poruszył. Ty nie

wiesz, jacy oni biedni, ty będziesz dla nich dobrym, Romanie!

Znowu łzy potoczyły się jej z oczu. Powstawszy z miejsca, słała się i

opierając się o stół, podeszła do męża. Porwała go za rękę i uściśnęła mocno.

— Ty będziesz dla nich dobrym! — powtórzyła, łkając.

Roman czuł, że gwałtowna scena grozi lada chwila wybuchem.

Sztywniał coraz

bardziej i powstał od stołu widząc, że zamierzonej rozmowy dziś nie przyprowadzi

do skutku.

— Kiedyż przyjeżdżają? — zapytał ziarno.

— Chciałabym, aby jak najrychlej! — odrzekła Zenobia. — Może już wyjechali z

Ośniałowa; mam nadzieję, że do tygodnia tu będą.

Wstrzymała się na chwile i nic patrząc na męża, dodała cicho, jakby nieśmiało:

— Pragnęłabym jak najdłużej ich tu zatrzymać, dać im trochę zapomnieć o

troskach przebytych i o tych, które ich czekają. Ty nie wiesz, jak ja ich

kocham!

Ostatnie słowa wymówione były bez atektacyi, z prawdziwym i głębokim uczuciem, które mimowolnie przeniknęło Romana. Głos serca, przejętego miłością, dźwięczni w nich silnym akcentem. Objął ramieniem żonę i zlekka pocałował w czoło.

— Uspokój się Zeniu — rzekł głosem sedeczniejszym — uczynisz, jak i co

zechcesz, dom mój dla rodziców twoich otwarty.

— Dobry, poczciwy Romane! — mówiła Zenobia przez łzy, całując dłoń męża —

jakżem ja tobie wdzięczna !

I za chwilę, jakby jej nagle sił przybyło, mówiła z ożywieniem wielkiem:

— Biedna matka odżyje tu trochę. Wszak to za tydzień zjazd u nas na moje

imieniny, potem znowu imieniny twoję, a potem twego ojca. Całą prawie okolicę

naszą, której nie znają, im zaprezentujemy. Kochu-

ny mój ojciec, on tak lubi towarzystwo i dobrą kuchnię, ożywi się, zapomni choć

na chwilę o swoim nieszczęściu.

Roman milczał z gorzkim na ustach uśmiechem. Ona wychodziła już z pokoju i

jeszcze od progu się wróciła.

— To się mama ucieszy! — zawołała, gdy zobaczy swój portret.

Zrobiłam go ze

starego dagerotypu. Udał mi się wybornie Nie widziałeś — dodała z wymówką —

muszę ci go jutro pokazać!

I wyszła, ani przypuszczając, że ostatnie jej słowa znowu poruszyły w sercu

Romana na chwilę stłumioną gorycz.

Z załamanymi rękami stał on długo na środku pokoju, patrząc sztywnie przed

siebie.

Z jednej strony Sipajłło i jemu podobni, nie dawali mu przeprowadzić reform w zarządzie, których konieczność uznawał; z drugiej strony żona, zamiast przyjść mu z pomocą i ułatwić stanowczą zmianę, nie chciała zrozumieć sytuacji i nowemi go jeszcze obarczała ciężarami. Trudno się było łudzić. Pobyt Szarzyckich mógł trwać bardzo długo, a oprócz kosztów, jakie musiał pociągnąć za sobą z powodu zamierzonej przez Zenobię prezentacji okolicy, ileż trosk i strapień moralnych mógł sprowadzić i sprowadzi. Przebojem chyba iść należało, albo uledez. Roman czuł, że do walki sił niema, że dziś tak wobec Sipajłły, jak wobec żony, okazał się słabym. I w domu i w zarządzie zostanie wszystko po dawnemu!

Wolnym krokiem wyszedł Roman z pokoju i podążył do Marszałka. Czuł nieprzepartą potrzebę widzenia się z ojcem. Nie dlatego, aby się spodziewał znaleźć u niego radę. Marszałek w ostatnich czasach zaczął widocznie podupadać. Fizyczne zdrowie wprawdzie mu służyło, ale umysł tracił żywość, pamięć chwili obecnej mąciła się i odbiegała, zwracając się natoiniast do czasów dawnych. Godzinami całemi Marszałek siedział w swoim pokoju, zamyślony, wpatrzony w okna bezmyślnie, lub po opustoszałych salach pałacu przechadzał się zwolna, krokiem chwiejnym, wsparty na lasce. Oglądał się w około siebie, zatrzymywał się chwilami, jakby

wspomnienia zbierał, głową posepnie kiwał i szedł dalej milczący.
Przesuwał się
cicho, jak cień dawnej przeszłości.
Starzec blisko Ośmdziesięcioletni tracił z dniem każdym wyraźniej
związek z
otaczającym go światem. Stępiony słuch nie pozwalał mu brać udziału
w ogólnej
rozmowie, to też od ludzi usuwać się począł, coraz mniej rozumiejąc
ich sprawy i
potrzeby. W interesa jurpolskie także od dawnego czasu nie wglądał.
Zaniepokoiła
go była mocno na chwilę sprzedaż Oksaniny, zasmucił się, ale o
bliższe szczegóły
nie pytał. Wiadomość była mu smac bardzo bolesną, nie chciał się
więc
rozdrażniać tem, na co rady nie widział. Dusza jego zapadała już w
ten martwy
spokój późnej starości, która z rezygnacją patrzy na wszelkie klęski i
smutki,
czując kres bliski.
Wyjazd Zygmunta poruszył Marszałka wszakże mocniej, niż się tego
można było
spodziewać. Na tym

wnuku jedynym spoczęła cała miłość starca i wszystkie, jego nadzieje.
Patrzac na
niego, słuchając jego żywej rozmowy, Marszałek rozpromieniał się
dziwnie, z
jednym toż Zygmuntem rozmawiał nieraz długo i szeroko rozweselał
się wśród tej
rozmowy i śmiał się z nim razem, jak dziecko, zapominając o swojej
starości.
Nagle przypominał sobie. Urywał rozmowę, na ostatnie pytanie
Zygmunta już nie
odpowiadał, spoglądał chwilę przed siebie posepnie z pod brwi
siwych,

nastrzępionych, białą brodę gładził ręką drżącą i odprawiał Zygmunta:
— Idź! — mówił — idź do matki.

Pani Zenobii Marszałek nie lubił, chociaż był dla niej zawsze
uprzejmym i bez
serdeczności dobrym. Nigdy ani jednym słowem nie uczynił jej żadnej
wymówki, a w
rozmowach nie poruszał nigdy kwestyi ich małżeńskiego pożycia.
Zdawaćby się było
mogło z pozoru, że Marszałek albo nie dostrzega braku harmonii
miedzy
małżonkami, albo że go to nie zajmuje wcale. Ten tylko, ktoby z
boku, a pilnie
badał, mógłby być dostrzedz, jak wzrok Marszałka z wyrazem
niewymownego smutku
zwraca! się niejednokrotnie ku synowi i na bladej jego twarzy długo
spoczywał,
jakby przenikał wszystkie jego boleści, rozczarowania i walki. Ale nie
mówił
nigdy nic, snać szanując tajemnicę serca Romana, które się w swym
bolu zamykało.
Marszałek, który w pierwszych latach po ożenieniu się Romana
przemieszkował w
Julinie, gdzie miał dom niewielki, ale schludny, zapełniony
wspomnieniami

przeszłości, teraz siedział prawie ciągle w Jurpolu. Zygmunt
przyciągnął dziadka
i zatrzymał, ku wielkiej radości Romana, który gorąco przywiązany
do ojca, z
przykrością znosił zawsze jego oddalenie. Mało mówił o tera, co mu
na sercu
ciężyło, bo coraz widoczniejszy stan osłabienia umysłu marszałka nie
dozwala! na
taką rozmowę: ale na niespokojną i bezskuteczną walkę targaną duszę
Romana, sam

widok starca oddziaływał uśmierzająco. Marszałek niegdyś bardzo żywy, nawet porywczy, złagodniał teraz dziwnie; smutek jego stał się pogodnym, milczenie, w które coraz głębiej zapadał, miało uroczystą jakąś powagę, a to wszystko wpływało na Romana zbawiennie. I teraz więc wzburzony szedł uspokajać się widokiem rezygnacji starości, tą atmosferą pogody i cichego smutku, otaczającą starca, a płynącą z przekonania o znikomości wszelkich walk, pragnień i nadziei czy trosk ziemskich. Marszałek siedział w dużym fotelu przy stoliku, na którym stała wysoka lampa olejna, otoczona umbrelką zieloną. Półcień panował w dużym pokoju, wypełnionym staroświeckimi mahoniowymi meblami. Tylko na postać starca, odzianego w długi, popielaty ciepły szlafrok, padały od lampy promienie i uwydatniały ją na tle mrocznym. Na stole leżała rozwarta książka. W chwili jednak gdy Roman wszedł, marszałek nie czytał; wzrok jego, mgłą zamyślenia zasnuty, biegł w dal, gonił może jakieś wspomnienia przeszłości, a ręka prawa, wsparta łokciem na poręczu fotelu, zwolna, drżą-

cemi palcami gładziła, białą jak śnieg brodę, spadającą mu na piersi. Na odgłos otwierających się drzwi, marszałek zwrócił głowę w tę stronę, brwi zmarszczył i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w zbliżającego się Romana. Poznawszy go, ręce ku niemu wyciągnął, z widocznym zadowoleniem, które na twarzy starca odbiło się łagodnym uśmiechem.

— A to ty, moje dziecko — przemówił, ściskając mocno rękę Romana, który pochyliwszy się, dłoń ojca całował. — Dobrze, żeś przyszedł, czy może miałeś od Zygmunta wiadomość?

— Miałem ojciec, miałem — odparł z uśmiechem Roman, siadając przy ojcu — bardzo dobrą. Zdrow wesół, uczy się doskonale.

Marszałek, wyęzając uwagę, chwycił chciwie każde słowo syna.

Nachylał się ku niemu, aby lepiej słyszeć, oczy szeroko otwierał.

— Kochane dziecko, kochane dziecko, — szeptał. — A przyniosłeś mi list jego? przyniosłeś?

— Oczywiście — odrzekł Roman, podając ojcu pismo Zygmunta. Marszałek z pośpiechem wziął je do ręki, na stole położył ostrożnie, potem

uzbroiwszy się w okulary i zbliżając list do światła, usiłował go odczytać. Szło

mu to z trudnością, pisane litery dwoiły się w osłabionych oczach starca —

musiał zaprzestać.

— Może ja ojcu odczytani? — zapytał Roman.

— Nie, nie! — żywo odrzekł starzec - nie słyszę już dobrze czytania.

Ja to

sobie jutro po dniu sam przeczytam — dodał, składając troskliwie list na stole,

a na nim okulary. — Ale jak on ślicznie pisze! jaki charakter wyrobiony, wcale nie dziecinny.

— Bo Zygmunt już nie dziecko — przerwał uśmiechając się Roman — szesnaście lat skończył.

Marszałek poruszył się żywo, całą twarzą zwracając się ku synowi.

— Co też ty gadasz! — zawołał — szesnaście lat, niewiedzieć co!

— Niechże ojciec sobie przypomni — przedstawiał Roman —
Zyginuś przyszedł na
świat...

— Czekaj no! — przerwał marszałek — Ty ożeniłeś się w roku... A
tak, tak —

mówił zwolna, rachując na palcach — Zygmus w tym roku skończył
lat szesnaście.

Czas leci, leci!

Zamyślił się, wsparł głowę na ręce i zatonął znowu w zadumie.

Cisza zaległa w pokoju, że wyraźnie słyszać było chód wielkiego
zegara saskiego,

zawieszzonego na ścianie i od czasu do czasu westchnienia marszałka:

— Nieuwierzysz — ozwał się po chwili — jak mi tęskno do tego
dziecka; to była

jedyna pociecha w mojej niedołęznej starości. Zdawało mi się, że
odżywam.

— Wkrótce na wakacje Zygmus przyjedzie - wtrącił Roman.

Starzec głową kiwał smutnie.

— Wkrótce, wkrótce — powtarzał z cicha. — Czy ja wiem, co dla
mnie znaczy

wkrótce?

Westchnął, ręką machnął i jakby przemocą chciał się oderwać od
myśli smutnych,

które go opanowały, zmienił nagle przedmiot rozmowy.

— Wiesz co Romanie? — rzekł — jabym teraz do czasu przyjazdu
Zygmutia, do

niebie chciał pojechać. Dawno nie byłem w Julinie — to mnie nieco
rozerwie.

Roman zachnął się, jakby go co tknęło.

— Ojciec chce jechać! — zawołał — czyż to podobna? drogi teraz
złe, ojciec się

zmęczy.

— Gdzież tam! — przerwał Marszałek! — Mnie to nigdy nie męczy:
przeciwnie

trochę nie rozruszam, już wiosna, ciepło. A tu mi po wyjeździe
Zygmunta smutno,
tęskno! Pojadę.
Marszałek mówił to stanowczo, energicznie, a Roman z
doświadczenia wiedział, że
go trudno czasem było przekonać i że dawna siła woli zmieniła się w
nim w
starości w niezwalczony upór. Wyjazd ojca w tej właśnie chwili,
byłby dla niego
niewymownie przykrym, Wobec zapowiedzianego przybycia
Szarzyckich, więcej niż
kiedykolwiek pragnął obecności ojca; gdyby mu jej teraz zabrakło,
czułby się
zupełnie osamotnionym wśród tych ludzi, obcych mu nie tylko
wychowaniem, ale
sposobem myślenia i uczuciem.
Wstał i chodził po pokoju zwolna, podczas gdy marszałek układał już
cały plan
podróży.
— Pojutrze — mówił — chciałbym ztąd wyjechać... pojutrze, to
będzie wtorek;
przenocuję u marszałka Sędzimira — tam mnie pewno przez środę
zatrzymają. We
czwartek zajadę do Zadanówki, na obiad.

Roman zatrzymał się nagle przed ojcem, przykląkł i biorąc jego rękę,
do ust
przycisnął.
— Ojczy — ozwał się - a gdybym ja cię prosił, abyś nie jechał?
Mówił to głosem niezwykle wzruszonym, który mimowolnie
podziałał na starca.
— Dlaczego? dlaczego? — powtarzał, badawczym wzrokiem patrząc
w twarz syna.
Roman głowę pochylił.
— Rodzice Żeni przyjeżdżają — szepnął — mam różne troski,
kłopoty; nie

chciałbym, abyśmy się teraz rozłączali.

Marszałek słuchał chciwie. Roman mówił głosem stłumionym, stępiony słuch starca zaledwie końcówki wyrazów chwycił, ale serce snać domyślało się wszystkiego; bez słów ojciec rozumiał syna.

— A... a — powtarzał zcicha — przyjeżdżają, spodziewałem się tego... a tobie

synu, ciężko? bardzo ciężko?

Głębokie westchnienie podniosło pierś starca; oburącz chwycił głowę Romana i do serca przycisnął.

Przez długą chwilę nic nie było słychać, tylko ciężki oddech, nakształt łkania,

które targało piersi zwartych w uścisku ojca i syna. Nie mówili nic do siebie,

tylko gdy Roman wychodził, marszałek cisnąc go mocno za rękę, szepnął..

— Zostanę z tobą, zostanę!

Tego wieczora do późna w nocy paliło się światło w pokoju marszałka. Starzec

spać nie mógł. Siedząc w fotelu, modlił się cicho, ze złożonemi na piersiach

rękami. Po twarzy wychudłej, zoranej zmarszczkami, ściekały cicho, bez łkania,

łzy, których nikt nigdy w oczach marszałka nie widział, a które teraz w ciszy

nocnej i samotności, płynęły swobodnie, jak najwymowniejsza modlitwa za syna i

wnuka, te najdroższe ogniwa, które starca jeszcze z życiem łączyły.

Tymczasem Sipajłło, wyszedłszy od p. Romana, podążył wprost do oficyn, do panny

Halickiej. Czuł się w obowiązku podziękować jej za pośrednictwo, a zarazem

zawiadomić o rezultacie.

Dochodząc, ujrzał światło w oknach i zbliżywszy się, spojrzął do wnętrza.

Panna Maryanna siedziała na krześle, tuż przy oknie. Nogi miała oparte na stołeczku, a na kolanach trzymała rozwartą swoją książkę do nabożeństwa.

Naprzeciw niej, na tapczaniku niskim, siedziała Ola, i pochylona nad książką,

wskazującym palcem prawej ręki wodziła po zatłuszczonych, szerniałych jej

kartach, wymawiając głośno, powolnie, z widoczną trudnością odczytane słowa:

Pan Jędrzej słyszał wyraźnie, jak sylabizowała:

— Za-cznij-cie war-gi mo-je chwa-lić... Uszom własnym nie wierzył.

— A ona zkaąd nauczyła się czytać? — myślał. Chwilkę jeszcze stał i widział, jak

panna Malicka

z rozpromienioną twarzą wpatrywała się w Olę i słuchała jej czytania.

Czasem,

gdy trudność była znaczniejsza, dopomagała jej półgłosem.

Sipajłło głową kiwał w zdumieniu, a wreszcie wszedł do oficyn i do drzwi panny

Malickiej zapukał.

Ola, ujrzawszy pana Jędrzeja, zerwała się przestraszona, a panna Malicka

powitała go dość uprzejmie.

— Zkądże to Pan Bóg o tej porze prowadzi ? — spytała. — Siadajcie panie

Jędrzeju, siadajcie!

Sipajłło, zajmwszy miejsce, opowiedział w krótkich słowach, co zaszło.

— Ano, to dobrze, — ozwała się panna Maryanna. Będzie wam teraz, jak u Pana

Boga za piecem w tej Słobodzie.

Ola odeszła w najdalszy kąt pokoju i ztamtąd spoglądała ciekawie na pana Jędrzeja. Lękała się go jeszcze, ale czuła się już nieco pewniejszą siebie niż dawniej. Czułość i pieszczoty panny Maliekiej ośmielały ją z każdym dniem więcej, co też odbijało się na jej twarzy i w całej postaci. Wzrok dawniej chmurny zwykle, posepny, rzucany z pod czoła, miał teraz wyraz pogodny i łagodny, na usta wybiegał często uśmiech wesoły, twarzyczka tak mizerna przedtem, jaśniała zdrowiem. Na widok wszakże pana Jędrzeja wyraz smutku przebiegł po niej. Mimowolnie przeszłość niedawna stanęła Oli w pamięci, jej pobyt w piekarni oksanińskiej, znęcanie się Jurka, jej ucieczka i choroba... Chciała wyjść z pokoju, ale wspomnienia w dziwny sposób przykuwały ją do miejsca; obecność p. Jędrzeja była jej niemiłą, a oczu nie mogła oderwać od jego twarzy, w której mimowolnie widziała odbicie rysów Jurka. Serce jej biło gwałtownie na myśl, że pan Sipajło może się do niej zwrócić i przemówić.

Jakoteż p. Jędrzej, wyraziwszy swą wdzięczność pannie Halickiej, rozglądnął się po pokoju i zobaczywszy Olę, stojącą w najciemniejszym zakątku, rzekł:

— Jak widzę, panie teo, panna Maryauna teraz na nauczycielkę, proszę łaski, wyszła. Ta mała, słyszałem przez drzwi, czyta już jak stara... panie teo. Ażem się zdumiał!

Panna Malicka uśmiechnęła się radośnie. Ta pochwała Oli była jej nad wyraz przyjemną.

— Gdzie tam! — rzekła — niby to ja uczę?... ona saniał Dopatry, posłyszysz i już umie... Pokazałam jej raz czy dwa razy litery, a ona już czyta!...

Powiadani ci

panie Jędrzeju — mówiła dalej, zniżając głos i pochylając się ku Sipajle — to

cudowne dziecko. Ona się wszystkiego nauczy! Umie cały katechizm na pamięć... i

pismo święte... opowiedziałam jej i umie! A gdybyście słyszeli jak śpiewa? jak

słowik. Kiedyś sama pani usłyszała i nadziwić się nie mogła.

Powiedziałam jej

też o Oli, jaka jest przemyślna, a pani zawołała pana Wąza, który po wyjeździe

Zygmunia nic do roboty niema, ino na gitarze gra, i kazała mu, by Olę uczył.

Teraz — dodała podnosząc głos i zwracając się do Oli, która coraz mocniej

zaciskała się w kąt pokoju — będziemy z panem Wązein się uczyli. A jak nasz

Zygniuś przyjedzie, to mu zrobimy niespodziankę. On wróci mądry, niechże wie, co

my potrafimy.

— Babciu! babciu! — szeptała Ola.

— Zawsze taka dzika — zauważył p. Jędrzej — chowa się, panie teo, jakby co ukradła.

Słowo to, do którego Sipajłło nie przywiązywał

żadnego złego znaczenia, podziałało jak iskra elektryczna na Olę.

Nie namyślając się, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, wybiegła nagle z

kąta, wyszła na środek pokoju i stanęła naprzeciw p. Jędrzeja, patrząc śmiało.

Na zarumienioną jej twarzyczkę padały całą siłą promienie nieco drżące świec, stojących na stoliku; oczy błyszczały, usta wydatne, różowe, poruszały się pod wpływem silnego wzburzenia.

— Nie jestem wcale dzika! — rzekła głośno — i nic nikomu nie ukradłam!

Sipajłło szeroko oczy wytrzeszczył i gębę otworzył. Zdumiony był tak, że mówić

nie mógł. Siniał się tylko głupio w odpowiedzi na słowa Oli.

Przedewszystkiem dziwiła go zmiana w wyglądaniu dziewczyny.

Widział ją niedawno

zaniedbaną, brudną, mizerną i nędzną. Teraz nagle stała przed nim wyrosła,

promieniejąca zdrowiem, ubrana schludnie, a niezwykle ładna. Oczy duże, ciemne,

błyszczące, płeć śniada, włosy bujne, postać zgrabna. Wszystko to jednym rzutem

oka objął pan Sipajłło i wyjść nie mógł z podziwu. zkaąd taka śmiałość u tej

dziewczyny, która niedawno siedziała w kącie oksanińskiej piekarni zahukana,

niemogąca słowa przemówić ?

— No, no, no — powtarzał kręcąc palcem wzniesionym w górę — no, no, no,

dziwowisko, panie teo, dziwowisko!

— Zobaczycie, co to będzie z tego dziecka! — mówiła panna Maryanna, żegnając

się z panem Jędrzejem, podczas gdy Ola ukryła się już w swoim pokoju,

przerażona swem chwilowem zuchwalstwem, którego sama pojąć nie mogła.

— Zobaczycie, co to z niej wyrośnie. Ja stara już tego nie dożyję, ale
pewna
jestem, sławna będzie!

— Dziwowisko — powtarzał Sipajłło, jadąc do domu —
dziwowisko!

I wróciwszy, do późnej nocy opowiadał o tem pani Natalii, która
wierzyć nie
chciała.

Tymczasem Ola leżała cicho na swem łóżeczku, udając, że śpi. Głowę
ukryła w

poduszki i płakała. Widok p Jędrzeja i jego słowa, tak odmienne od
pieszczotliwego tonu, do jakiego teraz nawykła, przypominały jej
żywo niedawną,

smutną przeszłość i zraniły boleśnie.

Tłumiła łkanie, aby panna Malicka nie słyszała. Staruszka krzątała się
jeszcze

po pokoju, a wreszcie zbliżyła się do jej łóżeczka. Nad głowę dziecka
nakreśliła

krzyż błogosławieństwa, szepcząc! Święci Aniołowie Stróżowie niech
czuwają nad
tobą !

Położyła rękę na czole Oli, a ona, odczuwając miłosną pieśczo-
to,

ufna
błogosławieństwu, które spływało na nią z modlitwą staruszki,
przestawała

płakać, przymknęła oczy, i całą duszą odpowiadając na miłość
opiekunki swojej,

znowu uspokojona i szczęśliwa, usypiała z wolna.

VI.

Odtąd znaczny okres czasu upłynął, nie przynosząc żadnej widocznej
zmiany w
życiu jurpolskich mieszkańców. Chwilowe niepokoje, jakie niem były
poruszyły,

zdawały się uśmierzać; wszystko szło dawnym trybem, a tylko
każdorazowe
przybycie na wakacje lub święta Zygmunta i Jurka przerywało
jednostajność dni
pozornie pogodnych. Wprawdzie zgrzybiała postać marszałka
pochyliła się jeszcze
bardziej ku ziemi, a umysł jego zapadał w coraz gęstszą mgłę
niepamięci;
wprawdzie smutek snąc bardzo głęboki i nieustający nadawał rysom
twarzy Romana z
każdym dniem posepniejszy wyraz; nad całym tym domem, niegdyś
tak pełnym pokoju
i swobody, ciążyła ciągle i coraz groźniejsza chmura, lecz w około i w
dotychczasowych warunkach życia nie zmieniało się nic, tylko głuche
wieści jak
złowieszcze ptaki przelatywały czasem przez okolicę, wróżąc bliską
ruinę
Jurpola.
I wieści te jednak z czasem traciły na swej jaskrawości i sile.
Oswajano się z
niemi, a niejeden z sąsiadów mniej lub więcej interesowany w tej
spra-

wie, słysząc ciągle o zapowiadanej katastrofie, a nie widząc jej wcale,
tracił
wiarę w prawdziwość wieści, lub przebąkiwał podobnie jak Sipajłło:
— Taki pan jak Czarnoszyński to choć się rozbije, nie zginie: jabym,
mości
dobrodzieju, te resztki chciał mieć, jakie mu zostaną.
Z biegiem czasu nawet sam Roman oswajał się z trudnościami, jakie
się piętrzyły.
Widział je, chwilami boleśnie odczuwał, a w końcu przestawał o nich
myśleć.
Smutek stał się niejako zwyczajnym gościem jego duszy, z którym się
ona godziła
poczęła, jak ze złem nieuchronnym i koniecznym.

Zenobia, posądzająca zawsze męża o przesadę, ilekroć on rzeczywistą sytuację stawiał jej przed oczy, tem mniej była skłonna do zrozumienia stanu rzeczy, od kiedy miała przy sobie rodziców. Państwo Szarzycey, jak to odrazu przewidywał Roman, obrali sobie Jurpol niemal za stałą siedzibę. Na zimę tylko wyjeżdżali do Lwowa, a zaraz z początkiem lata, przybywali do córki, tworząc z nią świat odrębny, coraz większą przepaścią oddzielony od reszty jurpolskiego dworu. Roman dotrzymał przyrzeczenia; był niezmiernie dla nich greczny, uprzejmy, ale obojętny i zimny. Czuł on mimowoli w każdym niemal spojrzeniu, w półsłówkach od czasu do czasu rzucanych, w zachowaniu się sztywnie lekceważącym, niechęć tych ludzi dla siebie. Domyślał się, jakie tam nieraz między Zenobia, a jej rodzicami musiały się odbywać rozmowy, raz potępiające go za jego samolubstwo, które mu nie dozwoliło podźwignąć interesów ośniałowskich, to znów krytykują-

ce jego marnotrawną gospodarzę. Hrabia Szarzycki miał czasem na ustach uśmiech, pełny pobłażliwej ironii który zdawał się mówić: Nie zły nawet człowiek ten Roman ale strasznie głupi! Wypowiadał też często wyrazy łagodnej krytyki zarządu dóbr jurpolskich, gdy przedstawiał, w jaki to sposób on niegdyś prowadził administrację dóbr swoich na Podolu. I rzucał chwilami wymowne spojrzenia

współczucia na córkę, lub dawał dyskretne znaki porozumienia
hrabinie, która
więcej niż kiedy nerwowo usposobiona, tarła swoje policzki zaciekłe,
lecz
bezsukutecznie, nie wywołując barw żywszych na żółto pargaminowej
skórze.
Ten stan rzeczy pogorszył się jeszcze, gdy do Jurpola zjechał brat
Zenobii,
dyplomacyjny hr. Witold. Ożenił się on był niemal równocześnie z
Romanem, wziął
dość znaczny posag, ale z nim razem jeszcze więcej pretensyj, na
których
zaspokojenie to, co miał, wystarczyć nie mogło. Wieczyste więc tam
były kłopoty,
dła usunięcia których hr. Witold piastował aż dwie intratne posady w
instytucjach finansowych, wyrzekłszy się dyplomatycznej karyery.
Oddawna nie przyjeżdżał on wcale do Jurpola, a to tak z powodu swej
niechęci do
szwagra, jak też wskutek zajścia z marszałkiem. Przed laty przybył on
był do
Jurpola z żoną i synkiem, o parę lat młodszym od Zygmunasia. Synek
ten noszący
imię Henryka, ładny, wypieszczony chłopaczek, tem się odznaczał, że
mówił biegle
wszystkimi językami, prócz swoim własnym. Na zapytania
Marszałka odpowiedzieć
inaczej nie umiał, tylko po francusku. Starzec nie zdołał utaić obu-

rzenia, które w słowach dość ostrych wypowiedział pani Witoldowej.
Nadaremnie hrabina tłumaczyć się starała tem, że czyni to jedynie,
aby syn jej
miał rzeczywisty akcent paryski, którego w późniejszych latach nabyć
już
niepodobna. Marszałek pojąć nie chciał, jak syn państwa Szarzyckich
mógł się
uczyć pacierza i uczyć się myśleć po francusku.

— Pierwszy raz słyszę, pierwszy raz słyszę — powtarzał trzęsąc głową — tyle lat żyję na świecie, a czegoś podobnego nie widziałem. Przewijże go pani co rychlej, mościa dobrodziejko, bo on z paryskim akcentem nazwiska Szarzycki nie wymówi nigdy!

Obrazili się państwo Witoldowie śmiertelnie i tegoż samego dnia, pomimo próśb Komana, wyjechali z Jurpola. Dopiero teraz po latach wielu, na usilne nalegania pani Zenobii, zdecydowali się przyjechać, wiedząc z listów, że marszałek całkowicie już "zdziecinniał", do rozmowy się nie mięsza i swoim "szowinizmem" dokuczać nie będzie.

Marszałek wszakże nie zapomniał. Śnać fakt ten zbyt głęboko utkwiał w jego wspomnieniach, bo ujrzawszy panią Witoldową, po pierwszym, dość sztywnym przywitaniu, patrzył na nią długo mętnym wzrokiem i nagle głosem cichym, trzęsącym się, zapytał:

— A jakże tam, mościa dobrodziejko, z akcentem?

Postał chwilę, chwiał głową i nie czekając odpowiedzi zmieszanej pani Witoldowej, wyszedł.

To odrazu zaostrzyło stosunek. Hzarzyccy mieli odtąd dla p. Marszałka ukłony zdaleka pełne chło-

dney, przymuszonej atencji, źle ukrywającej żywą niechęć. Roman traktowany był z dość lekceważącą poufałością, znamionującą wyraźnie, że państwo Szarzyccy mając

Zenobię za sobą, czują nią w obec niego tak silni w Jurpolu, iż go nawet za gospodarza domu uważać zaledwie mogą.
— Jesteśmy u "córki", przyjechaliśmy do "siostry" — to przy każdej sposobności słyszał Roman i intencje tych słów rozumiał A nie starając się podejmować przykrej walki, ustępował z pola, zostawiał połowę domu na usługi państwa Szarzyckich, sam zaś coraz bardziej oddalał się od nich, a przez nich i od Zenobii.
Całą jego rozkoszą był Zygmus. Każdego przyjazdu jego oczekiwał jak zbawienia, a czasem, gdy mu zbyt ciężko było na duszy, wyjeżdżał do Odessy, by się tam naocznie przekonać o postępach syna.
Wracał uszczęśliwiony. Zygmus wydawał mu się oraz lepiej usposobionym, rozwijającym się nad podziw umysłowo. Wszyscy nauczyciele oddawali pochwały nietylko jego głębszemu pojęciu, lecz przede wszystkim szlachetności uczuć.
Żywy, ambitny, Zygmus najlepszym był kolegą; pierwszy spieszył z pomocą tym, którzy jej potrzebowali, łatwo też pozyskiwał miłość ogólną, której mu Jurek zazdrościł. Przypisywał to nie przymiotom Zygmusia, lecz jakiemuś uprzedzeniu, powziętemu z, góry, które synowi p. Czarnoszyńskiego zapewniało zawsze i wszędzie pierwsze miejsce.
Jurek uczył się doskonale, lepiej od Zygmusia, pracował z wytrwałością nieznużoną, ale jego ponure

i nieufne usposobienie oddalało od niego tak starszych, jak i kolegów.
Nad miarę
ambitny, był zawsze tego przekonania, że pracy i zdolności jego
dostatecznie nie
oceniają, że mu się dzieje ustawiczna krzywda. Ztąd napadały na
niego smutki
ogromne lub gwałtowne uniesienia, które najczęściej znosić musiał
Zygmuś, jako
bezpośredni jego towarzysz.
Często też zdarzało się, że Jurek w gronie kolegów szukał dla siebie
sprzymierzeńców i usposabiał ich przeciw temu, którego w duchu za
najważniejszą
na swej drodze uważał przeszkodę, przeciw Zygmusiowi.
— Gdyby nie on! — myślał z goryczą — byłbym tu niezawodnie
pierwszym. Ale na
Czarnoszyńskiego wszystkich oczy są zwrócone, jemu wszyscy
schlebiają, na mnie
nie zważa nikt.
Znalazłszy tedy powolnych słuchaczy, starał się Jurek organizować
własne
stronnictwo, któreby go słuchało bezwzględnie, a w danym razie
zwróciło się
przeciw jurpolskiemu paniczukowi, temu, jak go przedstawiał,
pochlebcy wobec
starszych i nauczycieli a nieszczeremu względem kolegów.
Takie jednak usiłowania najczęściej pełzły na niczem. Jurek sam
przebierał
miarę; pozyskanymi zwolennikami chciał odrazu dowodzić
despotycznie i rychło ich
do siebie zrażał bezwzględnością postępowaniu. Każde takie
niepowodzenie
przygnębiało go i jeszcze większą napełniało goryczą.
— Podli są ludzie! — szeptał i nawykał patrzeć na świat chmurno, z
podełba;
nawykał w charakterach

ludzkich chwytać strony ujemne, nie przyznając dodatnich; nawykał
podejrzewać
każdą intencje" rzucać cień wątpliwości na każdy czyn, który się
wydawał
szlachetnym. To usposobienie stało się w końcu dla niego samego
nieznośną
męczarnią. Począł stronić od ludzi i zamknął się w sobie, nawet przed
Zygmusem
nie zdradzając swych myśli i uczuć. Pracował jeszcze więcej, uczył
się po dniach
i nocach całych, jakby chciał zapomnieć o wszystkim, co go otaczało
i myśl swą
oderwać przemocą od tego, co go nieustannie drażniło.
Pomimo jednak takiego usposobienia, zawiść jaka w nim wrzała,
niemogła zabić w
jego sercu rzeczywistego do Zygmunta przywiązania. Były chwile
takie, że go
nienawidził, że byłby z rozkoszą znęcał się nad nim, niebawem jednak
miarkował
się: wspomnienia lat dziecińczych brały górę, zwłaszcza w
wyjątkowych wypadkach,
gdy Zygmunt pomocy lub opieki potrzebował. Znacznie od niego
fizycznie
silniejszy, uposażony umysłem bystrym i przytomnym, Jurek od
początku przybrał
rolę opiekuna względem słabszego od siebie rówieśnika i wywierał na
niego wpływ
widoczny.
Z początku Jurek nie zdawał sobie sam dokładnie sprawy z uczuć
swych dla
Zygmunta; przekonał się o nich najdokładniej w drugim roku pobytu
w Odesie, gdy
Zygmunt groźnie zachorował. Czy to skutkiem zmiany klimatu, czy też
może z powodu
przeciążenia pracą, młody Czarnoszyński zaczął widocznie zmieniać
się, mizernieć
i niknąć, a w końcu obłożnie zaniemógł. Lekarze uznali stan jego jako

niebezpieczny i nawet zawezwali ojca, po dwóch jednak tygodniach groźne ob-

jawy znikły; młodość zwyciężyła. Przez cały czas choroby Jurek nie odstępował Zygmusia; po całych nocach czuwał przy nim; w oczy mu patrzył, zgadując najlepiej jego życzenia; zdobywał się słowem na tak czułą troskliwość, o jaką byłby nawet sam siebie nigdy nie posadzał. Ale czułość ta wnet znikła, gdy Zygmus do sił i zdrowia powrócił. Wyraz tkliwy, pełen niepokoju, jaki się przebijał wówczas na twarzy Jurka, ustąpił znowu miejsca zwykłemu wyrazowi posepnej podejrzliwości i niezadowolenia, zwłaszcza wobec objawów ogólnego współczucia, jakie choroba Zygmusia wywołała w gronie kolegów i nauczycieli. Wyjątkowe względy, z jakimi traktowano rekonwalescenta, oburzały go.
— Ciekawa rzecz — mrucał przez zaciśnięte zęby — coby uczyniono, gdybym ja zachorował? Pewnieby nikt nie spytał nawet, ani się dowiedział, choćbym umarł. Co innego ten mazgaj Czarnoszyński! Głupi byłem, żem się tak dla niego poświęcał. Gniewała go niewypowiedzianie ta sprzeczność uczuć, jaką w sobie dostrzegał, a której przyczyny nie rozumiał. Odtąd usiłował też być jeszcze zimniejszynie dla Zygmusia; przemocą starał się stłumić to, co mienił niewytłómaczoną słabością, okazywał mu się szyderskim, traktował lekceważąco, lub zbywał ironicznie

wszystko to, co Zygmunt mówił, lub z czym się zwierzał przed przyjacielem.

W ostatnim roku pobytu w liceum, stosunek ten jeszcze się bardziej zaostrzył, a pośrednim tego powodem była okoliczność, która na usposobienie Zygmunta wpływ stanowczy wywarła.

Pan Grużewski, który na życzenie p. Czarnoszyńskiego podjął się kierunku i dozoru nad wychowaniem oba młodzieńców, był to człowiek już niemłody, bardzo poważny i surowo patrzący na życie. Z całą troskliwością oddał się on też przyjętemu obowiązkowi i wykonywał go tak, jak mu nakazywało sumienie. Zygmunt garnął się do niego z całym zaufaniem, Jurek natomiast, posądzając go o wyjątkowe względy dla młodego Czarnoszyńskiego, patrzył na niego odrazu niechętnie. Powaga p. Grużewskiego zdawała mu się sztuczną, jego zasady zbyt surowymi, nastrój panujący w domu, przesadą. Pan Grużewski był wdowcem. Jedyłą starszą córkę miał przy sobie i ta prowadziła gospodarstwo domowe: syn młodszy obrał był sobie stan duchowny i kończył podówczas Akademię w Petersburgu. Było więc cicho i nieco posepnie w tym domu. P. Grużewski oddany cały dzień naukowej pracy, lub udzielaniu lekcji swoim wychowañcom, miał zawsze na ustach słowa pełne powagi lub napomnienia. Jego twarzy ponurej, zamyślonej, okrytej zmarszczkami nie rozjaśniał prawie nigdy

uśmiech wesoły; oczy jego, patrzące bystro z pod krzaczastych brwi siwych, rozpromieniały się tylko wówczas, gdy mówił o ulubionym swym przedmiocie naukowym, lub gdy wspominał dawne czasy swych studyów uniwersyteckich. Jego postać nawet, chuda, wysoka, wyprostowana sztywnie, uderzała chłodem. Jurek nazywał go nieznośnym pedantem i szydził z jego sztywności. Zygmunta pociągał ku niemu ów zapach, jakiego p. Gruzewski stłumić nie mógł, gdy

mówił o nauce, lub swojej przeszłości. Wówczas Zygmunt wpatrywał się w oczy starego pedagoga, które lśniły się chwilowo niezwykłym blaskiem, rzucały płomień z pod brwi siwych, a potem zachodziły mgłą łzawą i gasły w smutnym zamyśleniu. Córka jego, panna Aniela, mogła liczyć wówczas lat trzydzieści, a z usposobienia była podobna do ojca, tak samo jak on poważna i tak samo od świtu do wieczora pracująca. Wysoka, smukła, o rysach twarzy wydatnych i regularnych, musiała być nawet ładną za lat pierwszej młodości, ale smutek, czy też zawody życia zmroziły wcześniej urodę i nadały całej jej postaci ten wyraz, który każdemu mówił o wygasłych dawno w jej sercu marzeniach. Duże, czarne oczy patrzyły przed siebie bez blasku, jakby tam w daini niedostrzegały już żadnej nadziei: usta, przybladłe nieco, zacisnęły się u kątów w skrzywieniu bolesnym: słowa padały z nich

powolnie, miarowo, wypowiedane jednostajnym głosem, w którym nigdy żadne żywsze nie drgało uczucie. W czarnej sukni, z białym kołnierzem, szeroko wyłożonym, panna Aniela wyglądała na zakonnicę i tak też ją nazywał młody Sipajłło, który niemiłosiernie drwił z niej, zarówno jak z jej ojca. Raz tylko jeden zauważył Jurek, że twarz panny Anieli ożywiła się niezwykle. Było to wkrótce po chorobie Zygmunta, gdy ksiądz Stanisław, skończywszy akademie, miał po raz pierwszy po otrzymaniu święceń kapłańskich przybyć do domu ojca. Na parę tygodni już przedtem widoczna zmiana objawiła się w całym zachowaniu się i wyglądaniu panny Anieli. Zawsze

cicha, spokojna, milcząca, zdradzała teraz na każdym kroku ożywienie niezwykle i gorączkowo zajmowała się przygotowaniami na przyjęcie brata. Gdy wreszcie przybył, radość panny Anieli nie miała granic, — zdawało się, że młodość wróciła jej nagle, tyle w jej oczach) było promiennego szczęścia, tyle na białych ustach uśmiechu, tyle w wyrazie twarzy rozkosznego rozczulenia. Odtąd ciągle niemal z bratem, na rozmowach z nim spędzała całe godziny, wpatrując się w niego, jak w tęczę, uśmiechnięta, dumna, szczęśliwa. Ksiądz Stanisław młodszy był od siostry. W twarzy jego i postaci było coś jeszcze dziecięco - niewinnego, a żywość ruchów i mowy świadczyły, iż życie dało mu dotychczas same tylko zachwyty czyste i upojenia i żadnym nie zmroziło

rozczarowaniem. Przybył poprzedzony rozgłosem szerokiej wiedzy,
nabytej w
akademii, wielkich zdolności i prawdziwego powołania,
objawiającego się
żarliwością niezwykłą i wyjątkowym darem wymowy. Miał zająć
posadę w jednym z
seminaryów kraju, a tymczasem, oczekując na to przeznaczenie,
pozostawał w domu
rodzicielskim, oddając się dalszym studjom i spełnianiu posług
parafialnych.

Zmiana, jaka zaszła w cichem życiu domowem Gruzewskich wskutek
przyjazdu
księdza, nie uszła uwagi Jurka, bacznie obserwującego wszystko, co
się wkoło
niego działo.

— Popatrzno się — mówił ironicznie do Zygmunusia — jak ta mniszka
śmieje się do
sutanny, zupełnie jak Różia z naprzeciwka do huzarskiego munduru.
Zygmus zachnął się oburzony. Nie pierwszy to

raz spostrzegął on ze zgorszeniem, że Jurek pozwalał sobie
nieprzystojnych
żartów, a do owej Rózi, pokojówki z przeciwległej kamienicy, nieraz
zęby
szczyrzył w śmiechu, który mu się bardzo niepodobał. Zdumiewało go
nieraz to
zuchwalstwo Jurka, na które on nigdy nie byłby się w stanie zdobyć.
Ale to
zestawienie sutanny z mundurem i Anieli z Rózią wydało mu się
szczytem
profanacji. Odezwał się surowo, ale Jurek szyderczo go wyśmiał i
nazwał
świętoszkiem.

Ksiądz Stanisław, od chwili swego przybycia, okazywał
szczególniejsze Zygmunusowi

względy, tak z powodu jego bardzo jeszcze wątłego zdrowia, jak i charakteru,
który sympatycznie pociągał. Jurek to spostrzegł i tem więcej począł stronić, od księdza, zamykając się w ponurem milczeniu, ilekroć ten chciał z nim rozpocząć rozmowę. Za to z Zygmuśm rozmowa szła łatwo i swobodnie. Ksiądz Stanisław brał go często z sobą na dalekie spacery, a mocno zainteresowany niezwykle poważnym nastrojem umysłu młodzieńca, wdawał się z nim w dyskusję, przedstawiając mu nieraz w pełnej zapału mowie, zadania życia, jego obowiązki i trudności rozmaitych zawodów. Z uniesieniem mówił o drodze, jaką sobie obrał, o świętości kapłańskiego powołania, a Zygmuś z niemniejszym przejęciem się chłonał całą duszą jego słowa i czuł, jak każde z nich wnika w jego istotę. Nieraz słuchając mowy księdza, dreszcz upojenia przejmował go całego; czuł, że się rozplywa w atmosferze niebiańskiej świętości, która postać księdza zdawała się aureolą otaczać. Podobnego uczucia doznawał dzieckiem, gdy mu oj-

ciec tłumaczył poezję i deklamował głośno najpiękniejsze ustępy. Ten zapal, który wówczas z ust ojca przechodził w jego dziecinną duszę, był jakby przygotowaniem do silniejszych wrażeń, jakich teraz doznawał, gdy ksiądz Stanisław mówił mu o rozkoszach służby Bożej, o walce z namiętnościami natury ludzkiej, o wzniosłych tryumfach ducha.

Nieraz po takiej rozmowie Zygmunt powracał do swego pokoju w
rozmarzeniu
zupełnem. Nie słyszał co do niego mówił Jurek, albo na jego
szyderstwa
odpowiadał łagodnie, a gdy go które mocniej zabolalo, cieszył się, iż
może je
znieść z cierpliwością. Doznawał wówczas przedsmaku owych
tryumfów ducha, o
których mówił ksiądz Stanisław.
Czasem też Zygmunt, dzięki sympatyi księdza Stanisława,
wprowadzany był
wieczorami do familijnego kółka. Ksiądz opowiadał ojcu i siostrze o
swoich
studiach w akademii, o kolegach i nauczycielach, o pierwszych
swych kazaniach i
pracach, których treść wygłaszał. Pan Grużewski musiał nieraz
oddalać się z
powodu swych zajęć, a wówczas zostawali tylko Aniela i Zygmunt.
Ona usiadała
najczęściej na niskim taborecie, łokcie opierała na kolanach i oczami
wzniesionemi do góry wpatrywała się w twarz brata, która jaśniała
zapałem. Ale i
twarz Anieli przybierała wówczas odmienny wyraz. Smutek zniknął z
niej bez śladu,
ustępując miejsca jakiemuś promiennemu zachwyceniu, które
nadawało blask dużym,
czarnym oczom, rozchyłało usta, przyspieszało oddech w piersi.
Zdawała się
przetworzona tym zachwytem i piękna.

A zachwyty ten mimowolnie ogarniał i duszę Zygmunta, który o
niczem teraz nie
marzył, jak tylko o tem, aby się stać tak duchowo wzniosłym, tak
doskonałym, jak
ten ksiądz i jego siostra.

W czasie jednego z takich wieczorów dowiedział się Zygmunt, iż Anieli ma stanowczy zamiar wstąpienia do klasztoru; teraz poświęca się tylko dla ojca, którego w samotności pozostawić nie może, ale skoro tylko ksiądz Stanisław będzie mógł ojca przy sobie umieścić, ona natychmiast postanowienia swego dokona. To było najgorętszym jej pragnieniem, jedynym marzeniem jej duszy. Była już zakonnica w duchu, a wykonywała najcięższy nowicyat, pozostając jeszcze na świecie dla wypełnienia obowiązku względem ojca. Odtąd Zygmunt innym okiem zaczął patrzeć na Anielę. I ona teraz wydawała mu się otoczoną tą samą, co ksiądz Stanisław, aureolą świętości i ku niej także zwracało się jego uczucie, pełne zachwyty i uwielbienia. Największą jego rozkoszą było, gdy go ksiądz Stanisław brał z sobą na nabożeństwo poranne, na pierwszą mszę, tak zwaną prymaryę, którą X. Gruzewski zwykle odprawiał. Wychodzili z domu o piątej. Szli w milczeniu ulicami wyludnionymi, wśród ciemności, była to bowiem zima. Śnieg zmarznięty odzywał się głośnym chrzęstem pod ich stopami, ksiądz szeptał półgłosem pacierze, a Zygmunt niosąc brewiarz i biret, trząsał się z zimna, podczas gdy dusza jego łączyła się z modlitwą księdza w gorącym uniesieniu. Czasem po drodze spotykali młodych ludzi o twa-

rzach wybladłych, znużonych, którzy krokiem spiesznym, nerwowym, wracali do domu

z hulanki; lub mijając nocne szynkownie, słyszeli hałasy pijanych, których gospodarz napróżno usiłował wydalić. Z drzwi półotwartych padało na śnieg żółte, migotliwe światło i buchała para, roznosząca daleko wstrętną woń wódki i dymu. Odzywały się ztamtąd od czasu do czasu ohydne przekleństwa i sprośne wyrazy, lub ukazywała się postać nędzna, skulona, słaniająca się na niepewnych nogach i wymachująca zamasyście rękami. Z litością i wstrętem patrzył Zygmus na te sceny i tych ludzi. — Nieszczęśliwi! — szeptał — nie znają rozkoszy duchowego życia. I modlił się za nich. Zbliżali się do kościoła. A im bardziej się zbliżali, tem więcej spotykali przechodniów. Były to najczęściej kobiety niemłode, czarno odziane, spieszące drobnym krokiem do kościoła na prymaryę. Jeszcze drzwi kościoła były zamknięte, a one gromadziły się tłumnie przed niemi, z niecierpliwością czekając otwarcia, aby co najlepsze zająć miejsca, najbliżej ołtarza. Zygmus z księdzem wchodził przez zakrystyę; sam ubierał go w aparata kościelne i służył mu do mszy, modląc się przytem gorąco. Nauczony przez X. Stanisława, rozumiał on doskonale każdą część mszy św., przejmował się też głęboko swoją czynnością. — Gdy z czystym sercem służysz do mszy św. — mówił mu X. Stanisław — aniołowie zazdrościłoby ci mogli, gdyby to uczucie nie było im obce, bo tak samo,

jak oni, a nawet bliżej niż oni, jesteś Stwórcy swego i Odkupiciela.

Przeto Zygmunt w skupieniu, z upojeniem i jakąś zarazem rozkoszną
trwogą spełniał
swą czynność. On reprezentował cały lud wierny, zastępował go w
odpowiedziach, a
gorącością ducha i wiary winien był wynagrodzić Bogu wszystkie
oziębłości,
wątpienia, a może nawet zniewagi, jakich w tej chwili dopuszczają się
mogli
obecni w kościele.

X. Stanisław odprawiał mszę św. powolnie i z ogromnem przejęciem
się. Zygmunt,
klęcząc z boku na stopniach ołtarza, widział twarz jego w blaskach
świec,
palących się obok, widział jego postać wśród promieni
rozpryskujących się od
złocen ram i lichtarzy, czepiających się haftów i galonów ornatu.
Promienie te
drżały, a i oblicze księdza zdawało się drgać czasem w najwyższym
uniesieniu.

Ramiona ruchem okrągłym, majestatycznym wyciągały się chwilami
ku górze, jakby
postać cała ulecieć pragnęła z ziemi; to znów dłonie składały się na
piersiach,
a wówczas i głowa księdza pochylała się kornie, jakby w poczuciu
niedołęstwa
ludzkiego.

W ciszy i skupieniu ksiądz przed spełnieniem najświętszej,
bezkrwawej ofiary
wspominał drogich sercu swemu żywych i umarłych. A z tem
błaganiem łączył się
Zygmunt całą duszą. Zdawało mu się, iż czuje, jak w tej chwili ksiądz
wymienia
jego imię, jak na niego sypie błogosławieństwo i źródła łask
wielkich, które
rozkoszą zalewają mu serce.

— Boże! Boże! — szeptał — obym ja nigdy wiary i miłości dla ciebie nie stracił!
O dobra ziemskie dla siebie nie prosił, tylko polecał najdroższych swemu sercu:
rodziców, dziadka, a potem zaraz pannę Malicką. Czasami mu na myśl przychodziła
Ola, biedna, opuszczona sierota, więc za nią westchnął; czasem Jurek, dla
którego prosił o łaskę większej pobożności
Jurek tymczasem nie tracił z uwagi zmiany w usposobieniu kolegi.
Zrazu milczał,
śledził, a w końcu wybuchnął szyderstwem. Wybadał, że Zygmunt często bardzo
spowiada się u księdza Stanisława, a razem z panną Anielą przystępuje do
komunii. Wszystko to stało się dla niego niewyczerpanym powodem do szyderstwa i
drwinek.
— Śliczny ideał ta sucha mniszka! — śmiał się — stara panna, nic dziwnego, że
się zakochała w młodym studencie, ale ten student, który chce za nią do
klasztoru wstąpić, to osioł!
— Jurku, Jurku! — odzywał się Zygmuś łagodnie, ale w duchu bardzo dotknięty i
zgorszony. — Bójże się Boga, co tobie w myśli? jak można!
— A niewiem jak można! — szydził Sipajłło — jabym nie potrafił, ale ty, co
innego, — doskonałość! Nie zazdroszczę wam jednak tych romansowych nabożeństw,
nie zazdroszczę!
Oczywiście Jurek nie oszczędzał Zygmusia przed kolegami, nie taił przed nimi
owych, praktyk pobożnych swego przyjaciela i w najkomiczniejszym świetle usiło-

wał je przedstawić, nadając mu rozmaite szydercze przezwiska. Nieraz Zygmus, wchodząc do klasy, słyszał niechętnie wykrzyki i szepty:

— Świętoszek, hipokryta, ksiądz, księżyc!

Bolało go to bardzo. Często nie mógł zasnąć w nocy, tak go to prześladowanie trapiło i uspokajał go dopiero ksiądz Stanisław, przedstawiając, że mężnem znoszeniem przykrości wielką sobie zdobywa zasługę. Nie chcąc wszakże pobożności swej i praktyk religijnych narażać na szyderstwo i wywoływać bluźnierczych w jego przekonaniu żartów, postanowił ukrywać się przed Jurkiem. Odtąd w nocy udawał, że śpi, czekając na zaśnięcie Sipajły; sen oczy mu kleił, upadał ze znużenia, przemocą wszakże się rozbudzał, a gdy Jurek zasnął, wstawał, uklękał na ziemi i odprawiał modlitwy. Drżał z zimna, kolana cierpły, sen morzył, a on tem dłużej się modlił, krzepiąc się myślą, iż jest jak owi pierwsi chrześciance w katakumbach, ukrywający się przed prześladowaniem pogan, lub że odbywa dobrowolną pokutę za Jurka, którego postępowanie coraz go bardziej gorszyło. Dostrzegał on oddawna, że Jurek usiłuje nieraz wyraknąć się z pod ścisłego dozoru pana Grużewskiego, dostrzegał coraz poufalsze uśmiechy i konszachty z ową Rózią z naprzeciwka, a raz zdarzyło się, że korzystając z chwilowego niezdrowia p. Grużewskiego, które go zatrzymało w łóżku, Jurek wybiegł wieczorem z domu i nie wrócił aż bardzo późno, widocznie przekupiwszy

stróża. Wrócił jakiś dziwny, z błyszczącymi oczyma,
zaczerwienionymi policzkami,
a niezwykle pomięszany. Nie mówiąc nic, kładł się do łóżka.

— Gdzieżeś był tak długo? — zapytał Zygmunt z pewnym wyrzutem
w głosie.

— A tobie co do tego? — krzyknął Sipajło z gniewem. — Czyja się
ciebie pytam,
gdzie chodzisz z czułą panną Anielą?

— Na nabożeństwo chodzę — odparł Zygmunt tonem stanowczym —
w tem niema
tajemnicy.

— I ja mam także swoje nabożeństwa! — odburknął Jurek i obrócił
się do ściany.

Zygmunt zamilkł, ale w duszy jego wielka powstała wątpliwość. Czy
może utaić

podejrzaną eskapadę Jurka, czy też sumiennie obowiązany jest
donieść o tem panu

Gruźewskiemu? Wątpliwość ta nie dawała mu spoczynku, sen
spędzała z powiek,

wprawiała w gorączkę. Napróżno tej nocy, podczas gdy Jurek spał,
jak zabity, on

modlił się gorąco o natchnienie, co robić. Wstrętnem mu było
zdradzać kolegę, a

głos jakiś wewnętrzny szeptał, że gdy zamilczy, stanie się
współwinnym grzechu.

Wreszcie zdecydował się obrać drogę, która godziła niejako tę
sprzeczność w

uczuciach. Postanowił na seryo rozmówić się z Jurkiem, przedstawić
mu całą

szkaradę jego postępowania i zagrozić stanowczo odkryciem prawdy
panu

Gruźewskiemu w razie, gdyby podobne wykroczenia się ponowiły.

To postanowienie uspokoiło go nieco i usnął nad ranem. Obudził się z
bolem głowy

i ciężkim smutkiem

w sercu. Kochał on serdecznie Jurka i bolał nad jego postępowaniem,
które mu się
poprostu ohydnie zdawało.

Sipajłło już nie spał. Siedział ubrany przy stoliku i uczył się. Zdawał się

spokojny, a ta zatwardziałość sumienia oburzyła Zygmunta. Z
pewnym więc

rozdrażnieniem rozpoczął rozmowę, która też odrazu przybrała ton
ostry, a

skończyła się zupełnym poróżnieniem przyjaciół. Zygmunt, smagany
co chwila

szyderstwem Jurka, ulegając rozdrażnieniu, spowodowanemu bólem
głowy i nocą

spędzoną bezsennie, nie mógł także utrzymać miary. Unosił się,
zapalał, a w

miarę tego Jurek stawał się coraz bardziej zimnym i szyderskim.

Ostatnie słowo

było Sipajłły:

— Rób ty sobie, co chcesz — idź nietylko do Grużewskiego ze
skargą, ale choćby

i do samego djabła, to mi wszystko jedno! Oddawna, od kiedy tu
jestem z tobą,

czuję, że nadużywasz swojej względem mnie pozycji. Dla tego, że
jestem na waszym

koszcie, zdaje ci się, że ci wszystko wolno, nawet podłość względem
mnie

popęłnić.

— Jurku, co mówisz! — krzyknął Zygmunt, nie mogąc pohamować
wzburzenia,

pamiętaj!

— Pamiętam! — przerwał Sipajłło. — Pamiętam, że nie jesteśmy już
dziećmi i za

wyraz: podłość, który ci się należy, odpowiedzialność przyjmuję.

Koszta, jakie

tu na mnie łożyliście, zwrócę ci, panie Czarnoszyński, może
niebawem, a

obowiązek wdzięczności, jaki mógłbym mieć względem ciebie, sam
zmazałeś

tysiącznemi upokorzeniami, których od ciebie i od twoich pochleb-

ców doznałem, i tą dzisiejszą nikczemną groźbą denuncyacyi.
Chciał jeszcze coś dodać, lecz w tymże momencie Zygmunt skoczył
ku niemu i za
obie ręce go schwycił. Drżał z gniewu; mówić nie mógł, tylko patrzył
na Jurka
wzrokiem groźnym, pałającym, a był tak zmieniony, że Sipajłło w
pierwszej chwali
mimowolnie się przestraszył. Twarz, zwykle blada, stała się niemal
trupio siną,
wargi zbielewały i trzęsły się, jak w febrze.

— Milcz! milcz! - szeptał przez zaciśnięte zęby. Pierwszy raz w życiu
Jurek

widział Zygmunta w takim uniesieniu. Przeraziło go ono i
onieśmieliło na
chwile, nie spodziewał się, że ten, tak zwykle łagodny i potulny
chłopiec,
zdobyć się może na taką siłę gniewu.

Ale za moment Sipajłło przyszedł do siebie. Przecież czuł w sobie w
dwójnasób
większą siłę fizyczną, czegoż więc mógł się obawiać? Wstrząsnął się i
gwałtownym
ruchem odtrącił Zygmunta, który się aż pod ścianę zatoczył. Jurek
zmierzył go
pogardliwym wzrokiem, zaśmiał się ironicznie i wyszedł z pokoju,
drzwi
zastrzaskując za sobą.

Odtąd w stosunkach Zygmunta z Jurkiem stanowcza zaszła zmiana.

Zygmunt wprowadzie
w imię chrześcijańskiego obowiązku chciał przebaczyć obrazę Sipajłlle
i o niej
zapomnieć, ale mimowolnie czuł od tej chwili nieprzemierzony żal do
dawnego
przyjaciela. Jurek ze swej strony jeszcze z większą nieufnością
spoglądał na

Zygmunta i unikał wszelkiej z nim rozmowy. Od owego zajścia powstała między nimi przepaść, którą chyba czas mógł zarównać.

Było to już w ostatnim roku ich pobytu w Odesie, a wkrótce nadjechał p. Roman, aby ich obu zabrać do domu. Ceniąc wielce zdanie p. Grużewskiego, chciał on jeszcze raz zasięgnąć jego opinii o Zygmuncie i rady co do dalszych studyów.

Pan Grużewski, jak zawsze, nie szczędził pochwał.

— Zygmunt — rzekł w końcu - to, wyjątkowy charakter. Natura miękka, łagodna; umysł wielce rozwinięty, chociaż bez wyraźnych zdolności w oznaczonym kierunku.

Gdyby chodziło o wybór zawodu, rada byłaby dość kłopotliwa.

Szcęściem Zygmuś

tego nie potrzebuje; nabywszy wiadomości praktycznych w zawodzie rolniczym,

bedzie niewątpliwie ozdobą obywatelswa.

Roman westchnął nieznacznie.

— Gdyby jednak — przerwał — chodziło o wybór zawodu, cobyś mi pan radził ?

Pan Grużewski się zamyślił.

— Trudno orzec — rzekł po chwili. — Umysł Zygmunta, głęboki i refleksyjny, najbardziej się skłania do badań filozoficznych; uważałem nieraz, że w rozmowach z synem moim, księdzem, poruszał kwestye teologiczne w sposób zdumiewająco głęboki, czynił uwagi uderzająco trafne. Uważałem także, że z przedmiotów szkolnych literatura i historia, o ile nie chodziło o daty lub ściśle pamięciowe wyliczanie faktów, lecz o pogląd ogólny, o wnioski krytyczne, należały do jego

ulubionych przedmiotów. Zupełne przeciwieństwo ze zdolnościami
Sipajłły, który
uczy się wszyst-

kiego niesłuchanie łatwo, obejmuje bystro, chociaż powierzchownie,
bez głębszej
krytyki, w kierunku jednak praktycznym, w zastosowaniu teorii,
może dojść do
znaczących rezultatów, jeśli nie ustanie w dotychczasowej, bardzo
wytrwałej
pracy. Syn pański obejmuje całość nauki, ocenia rzecz każdą, patrząc
z góry;
Sipajłło widzi szczegóły i ocenia przede wszystkim ich praktyczne
cele.

Pan Roman słuchał posępny.

— Bóg wie, co robić — dodał w końcu p. Gruźewski — Sipajłło z
takim
usposobieniem jak Zygmunt musiałby być nieszczęśliwym; byłby za
wrażliwy i zbyt
miękki w praktycznym zawodzie; panu Czarnoszyńskiemu byłoby
znów zbyt
zdolności w tym kierunku idące, jak Jurka. Gdybym był na pańskim
miejscu, nie
wahałbym się ani chwili: Zygmunt słuchałby jeszcze parę lat
wykładów
uniwersyteckich z literatury i historii, a potem wrócił do domu i pod
okiem ojca
przyuczał do administrowania rozległym majątkiem. Jurek chce być
lekarzem i
będzie dobrym, chociaż może często bezwzględny i ryzykownym.
Natura twarda.
Wkrótce po tej rozmowie nadszedł dzień wyjazdu z Odessy.
Rano dnia tego Zygmunt po raz ostatni poszedł z księdzem
Stanisławem na
prymaryę, ale nie mógł z taką jak zwykle modlić się żarliwością i
takim

skupieniem. Płatały mu się po głowie myśli różne, w sercu różne i sprzeczne walczyły z sobą uczucia. Żał mu było wyjeżdżać rozstawać się z ludźmi, do których przy-

wykł, którzy mu tyle okazywali życzliwości, a zarazem wrywał się całą duszą do swoich, do domu. Myślał o zmianach, jakie zastanie. I nagle przyszła mu na pamięć Ola. Widział ją ostatnich wakacyj i zaledwie poznał. Z dziecka wyrosła na sporą dziewczynkę, o której mu w domu cuda rozpowiadano. Nawet pan Wąż, zwykle w sądzie surowy, który zajmował się nauką Oli, oświadczał teraz otwarcie, że ta mała, jak ją nazywał, całą jego mądrość zdobyła i że nie wie, czegoby ją jeszcze uczyć należało. Pan Roman wybierał sam dla niej ze swojej biblioteki książki stosowne, które ona pochłaniała, a pani Zenobia mocno była zainteresowana jej talentem muzycznym. Uczyła ją grać i śpiewać: to było teraz główne i ulubione jej zajęcie. O tych wszakże niezwykłych zdolnościach i talentach Oli, Zygmunt sam nigdy przekonać się nie mógł, bo gdy przybył, ona uciekała przed nim w najdalszy domu zakątek, przy powitaniu bladła i czerwieniała na przemian, słowa przemówić nie zdolna, a w jego obecności traciła zwykłą swobodę. Czasem tylko czuł na sobie spojrzenie jej ciemnych, dużych, błyszczących oczu, które, gdy wszyscy zajęci

byli rozmową, lub słuchaniem jego opowiadań, zwracały się ku niemu i natarczywie się wpatrywały. Ten wzrok ognisty, przenikający, zadziwiał go nieraz, chociaż się z nim nigdy otwarcie spotkać nie mógł, bo ilekroć, czując go magnetycznie na sobie, zwrócił się ku Oli, ona wnet spuszczała oczy i zdawała się czem innym zajęta. Ile też razy po świętach lub wakacjach wyjeżdżał z Jurpola,

zawsze na zakręcie drogi, pod parkiem, w tem samym miejscu, co po raz pierwszy, dostrzegął wśród gałęzi drzew postać Oli, żegnającą go długim, wymownym spojrzeniem. Nie wychodziła z poza tych gałęzi nigdy, kryła się starannie za niemi, ale wyteżonym wzrokiem żegnała go zawsze — ostatnia! Teraz, w chwili, gdy Zygmunt powinien był najgorliwiej się modlić w czasie mszy, odprawianej na jego wyłącznie intencye, zdawało mu się ciągle, że widzi przed sobą Olę, patrzącą na niego błyszczącemi oczyma.
— Orate fratres! — przemówił w tym momencie ksiądz, odwracając się do ludu i wyciągając ku niemu ramiona. Zygmunt się zmieszał. Po raz pierwszy to wezwanie do modlitwy zabrzmiało mu jak wyrzut za roztargnienie, które go opanowało, a którego zwalczyć nie mógł. Odpowiadając księdzu, pomylił się, wyrazy padały z ust jego nie odczute, dziwnie zimne, wymawiane machinalnie. Ksiądz Stanisław mówił mu nieraz o takiej oschłości serca, która nawiedza dusze nawet najbardziej pobożne i jest ich próbą. Modlitwa, z przymusem wówczas

odprawiana, może stać się nawet wielką zasługą, jeśli się czyni
wszystko, aby
nie dopuścić dobrowolnego roztargnienia.
Zygmunt otworzył książkę i usiłował odmawiać modlitwy. Wzrok
przesuwał się po
wierszach, usta szeptały wyrazy, ale myśl odbiegała ciągle daleko i
nie chwyciła
ich znaczenia.

Przyszło mu teraz do głowy, w jaki on sposób będzie za godzin parę
żegnał się z
Anielą. Ona, do prawdy, była dla niego dobrą, bardzo dobrą. O jego
potrzebach i
upodobaniach pamiętała z troskliwością macierzyńską niemal, a o
jego przyszłość
dalszą i zbawienia duszy dbała chyba tak samo, jak o swoje własne.
Ileż to razy
w czasie rozmów wieczornych, na wspomnienie o wyjeździe
Zygmunta i dalszych jego
naukach uniwersyteckich, panna Aniela z przestachem wspominała o
zepsuciu,
panującym wśród młodzieży i przytem rzucała na niego wymowne
spojrzenie, w
którem była i prośba, i wątpliwość, i trwoga.
Dziś na intencje jego panna Aniela przystępowała do Komunii.
Ksiądz z kielichem
w ręku zszedł ze stopni ołtarza i zbliżył się do kratek, oddzielających
prezbyteryum od nawy kościelnej; przy nim postępował Zygmunt,
trzymając gorejącą
świecę.
U kratek klęczała Aniela. Miała ręce złożone na piersiach, a oczy
zamknięte.
Twarz jej blada wyrażała w tej chwili najwyższe skupienie ducha;
jakiś
pragnienie i oczekiwanie gorące przejawiało się w tej postaci, naprzód
nieco

podanej, w rozchylonych ustach, które lekko drżały, w naprężeniu wyciągniętej szyi.

Zygmunt mimowolnie zauważył, że powieki panny Anieli otoczone były siną obwódka, że w około nich, a zwłaszcza po bokach, od kątów oczu do skroni, widoczna była gęsta sieć zmarszczków, że skóra twarzy była wyschła i żółta, a na szyi fałdowała się niekształtnie.

Nagle twarz ta w oczach Zygmunta, patrzącego bacznie na nią, przeobraziła się dziwnie.

Przyjąwszy Komunię, Aniela otworzyła oczy, pełne blasku, promieniejące radością.

Zamknięte usta uśmiechały się teraz z niewymownym wyrazem wdzięczności, dłonie zaciskały się na piersiach z uniesieniem, a cała postać zdawała się wznosić, ulatywać w zachwycie. Nie widziała nic w około siebie, nie poruszała ustami, cała zatopiona w rozkosznej modlitwie ducha.

— Jaka ona piękna! — jaka święta! — pomyślał Zygmunt. Powrócił z księdzem do ołtarza, ale już nawet nie próbował się modlić. Z boku spoglądał ciągle na Anielę i widział, jak zwolna, stopniowo, twarz jej przybierała zwykły wyraz; promienna radość w oczach gasła, uśmiech znikął z ust bladych i cała postać miała wkrótce znowu wyraz sztywnej powagi. Zygmunt, ogarnięty na chwilę zapałem na widok nieziemskiego zachwyty, poczuł chłód i jakby żal, że ten zachwyty trwał tak krótko, że wnet zakrzepł w lodowatej skorupie codziennego życia. Zdało mu się, że słyszy szyderczy głos Jurka, który

drwił zawsze z wszelkich uniesień, zowiąc je złudzeniami chorej
wyobraźni.
Och, ten Jurek! on zimnem swem, ostrem słowem, a czasem jednym
spojrzeniem
tylko, pełnem ironii, ostudzał jego najpiękniejsze porywy. Zygmunt
wprawdzie
usiłował walczyć z tym wpływem, czuł całą jego szkodliwość, ale
obronić się
zupełnie nie mógł. Często w największem uniesieniu pobożnem, w
chwili, gdy du-

sza jego wyznawała gorąco wiarę niezłomną, naraz słowa Jurka iskrą
elektryczną
przenikały go całego i wprowadzały w wątpliwość. Myśli te oddalał
Zygmunt
wprawdzie zwycięsko, ale one mimo to uporczywie wracały, stłumić
ich nie mógł.
Dnia tego ksiądz Stanisław musiał się jeszcze zatrzymać w zakrystyi.
Zygmunt
wychodził sam przez kościół, o tej rannej porze prawie jeszcze pusty.
Szedł
spiesznie, nie patrząc wokoło siebie. Przyszedłszy do drzwi głównych,
obrócił
się i spojrzał na kościół.
W głównej nawie zajmowali w ławkach miejsca członkowie
kościelnego bractwa; po
jednej stronie kobiety po drugiej mężczyźni, po największej części
starcy
zgrzybiali. Siedzieli, mając przed sobą roztwarte książki do
nabożeństwa i
odmawiali wspólnie modlitwy; mężczyźni głosem monotonnym,
chrypliwym, kobiety
przenikliwym, drżącym dyszkantem.
Na kamienną posadzkę w głównej nawie padały z górnych okien
blaski słońca, a w

nich widział Zygmunt przerozystą mgłę pyłu i smugi kościelnego kadzidła,
przesuwające się zwolna w zakrętach, wznoszące się do góry i mieniające się różnolitemi barwy. Czasem przez mgłę tę przesunęła się, rozdzierając ją gwałtownie, postać ludzka, dążąca ku ołtarzowi. Uklękała tam i pochylała się kornie. W pustej nawie te klęczące postacie wyglądały jak nieruchome, czarne posągi.
Po nad presbiterium z góry, z okien o szklach różnokolorowych, padały na ołtarz źródła światła barwnych, w których złożone kolumny, ramy i świeczniki zdawały się gorzeć, otaczając promienistą aureolą

wielką, czarną postać ukrzyżowanego Chrystusa, widniejącą w głębi, na tle aniarantowego aksamitu.
Zygmunt patrzył i duszę jego przeniknął głęboki smutek. U tego ołtarza, przed tym krzyżem modlił się nieraz z taką gorącą wiarą, z tak rozkosznym uniesieniem.
Czy w dalszym życiu modlić się on tak potrafi, czy dozna jeszcze kiedy tych czystych zachwytów? Tu u ołtarza tego składał w ofierze wszystkie swoje zmartwienia, tu otrzymywał nieraz tyle pociechy i otuchy, tu źródła łaski spływały w jego czystą duszę i napełniały ją rozkoszą. Głębokie uczucie wdzięczności i przywiązania, łączyło go z temi murami, które miał opuścić może na zawsze. Oglądał się na wszystkie strony, obejmował spojrzeniem każdy zakątek

kościół, chcąc z każdym się pożegnać i każdy zachować w pamięci.
Obok siebie usłyszał ciche stapanie, szelest sukni i szept:

— Chodźmy!

Była to Aniela. U wyjścia ukłękli raz jeszcze obok siebie i, chyląc głowy,

modlili się chwilę. Aniela pierwsza powstała, zbliżyła się do kropielnicy,

zwilżyła palce w wodzie święconej i podała ją Zygmunтови.

Przeżegnali się

równocześnie.

— Ostatni raz — przemówiła cicho, ze wzruszeniem.

— Ostatni — odpowiedział Zygmunt. Mimowolnie podniósł głowę i spojrzał na nią.

Była jeszcze blejsza, niż zwykle, a wyraz głębo

kiego smutku przebijał się na jej twarzy. I jemu ścisnęło się serce.

Wyszli na ulicę. Ranek był pogodny, ciepły; tłumy ludzi snuły się gwarne.

Śmiechy, krzyki, nawoływania, turkot ciężkich, naładowanych wozów i szybko

mknących pojazdów, tętent koni, tworzyły razem nieopisaną wrzawę, dziwnie

sprzeczną z uroczystą ciszą kościoła, przerywaną tylko monotonuем odprawianiem

modlitw. Równocześnie, za nimi, z wnętrza kościoła ozwały się stłumione,

poważne, głębokie tony organu; wychodziła druga msza św. śpiewana.

Tam, poza nimi, spokój, powaga, skupienie ducha i modlitwa; tu zgiełk, troski,

walka o byt, trud i gorączka niepokoju.

Ten kontrast uderzył Zygmunta. Zostawiał poza sobą uroczystą ciszę kościelną,

pobożne uniesienia, spokój, niezamącony niczem, a szedł w świat gwarny,

ruchliwy, jak mrowisko, gdzie każdy zajęty był sobą, swojimi
własnymi sprawami,
swoją własną troską, gdzie jeden drugiemu był współzawodnikiem, a
łatwo stać się
mógł wrogiem. Pochylił głowę, przejęty gnębiącym uczuciem żalu i
tęsknoty po tej
niepowrotnej przeszłości, która z chwilą wyjazdu miała się zamknąć,
jako
skończony okres jego młodzięczego życia.
Szli w milczeniu, wmieszani w tłum, potrącani co chwila przez
spieszających się
przechodniów, oszołomieni wrzawą i gwarem nieustającym. Weszli
wreszcie w
mniejszą uliczkę, przy której stał dom Grużewskich. U bramy
zatrzymała się panna
Aniela i podała Zygmuntowi rękę.

— Będiesz pan o nas pamiętał? — spytała zawsze cichym,
stłumionym głosem,
który drżał nieco.
I nie czekając na odpowiedź, dodała spieszenie:
— Nie zapominaj pan! o, nie zapominaj! o naszych rozmowach
wieczornych, o
nabożeństwach odprawianych wspólnie, w których się nasze dusze
łączyły. Niech
ten związek zostanie i nadal. Ja się modlić będę gorąco, by
wspomnienia pobożnie
spędzonych lat pierwszej młodości były dla ciebie dźwignią w
dalszem życiu; byś
nie ostygł i nie zwątpił. Codzienna modlitwa moja będzie z tobą.
Uścisnęła go mocno za rękę i, nie patrząc na niego, weszła spieszenie
do domu.
W parę godzin potem Zygmunt z ojcem i Jurkiem opuścił Odesę.

VII.

Tego samego roku, w którym Zygmunt po ukończeniu liceum miał powrócić do domu, w Jurpolu zaszły niespodziewane zmiany. Przedewszystkiem państwo Szarzyccy po długim pobycie opuścili dom Romana, wywożąc z niego najniekorzystniejsze wrażenie. Otrzymali znaczny spadek po bezdzietnej krewnej pana Szarzyckiego i pełni radości, z wyrazem tryumfu, pożegnali tego, którego teraz, już nie jak dawniej "stepowym magnatem", lecz z pogardą "bankrutem stepowym" zwali. Wyjeżdżając, wymogli na Zenobii uroczyste przyrzeczenie, że do nieb do Lwowa, a potem do dóbr odziedziczonych w Galicyi, przybędzie. Wkrótce po ich wyjeździe otrzymał Roman list z Paryża od swojej siostry stryjecznej, z którą, oprócz związków pokrewieństwa łączyły go wspomnienia pierwszych lat dzieciństwa. Stefania Czarnoszyńska była córką rodzonego brata Marszałka. W siódmym roku życia straciwszy rodziców, wychowywała się w Jurpolu, pod opieką Marszałkowej. Roman kochał ją jak siostrę rodzoną i bo-

łał nad tem serdecznie, gdy Stefania zdecydowała się oddać swoją rękę cudzoziemcowi, hr. de Larjeac, mieszkającemu stale w Paryżu. Poznała go Stefania u wód zagranicznych, dokąd chorej Marszałkowej towarzyszyła i tam też skojarzyło się to małżeństwo, chociaż wbrew życzeniom całej niemal rodziny. Hrabia de

Larjeac był znacznie od Stefanii starszy. Żeniąc się z nią, miał czterdzieści pięć lat wieku; był już wdowcem i ojcem kilkoletniego synka. Form wytwornych, świetny w rozmowie, znający doskonale świat i kobiety, z łatwością zdołał olśnić wyobraźnię i zająć, jeśli nie podbić, serce ośmnastoletniej panienki, usposobienia bardzo światowego, która z zapałem sobie właściwym wyrывała się do życia, widząc w nim wszelkie wymarzone rozkosze. Była to zresztą partya nadspodziewanie świetna; hrabia bowiem miał znaczną fortunę i wielką pozycję w arystokratycznym świecie paryskim. Opierać się przeto takiemu związkowi bez ważnych powodów państwo marszałkowstwo Czarnoszyńscy, jako opiekunowie Stefanii, nie mogli, nie mając zresztą hrabiemu nic do zarzucenia, a widząc nietajoną skłonność ku niemu swojej wychowanki. Stefania marzyła o życiu wśród wielkiego świata; serdecznie przywiązana do rodziny swej i Jurpoła, czuła wszakże, iż jej niezmiernie żywemu usposobieniu mało odpowiada to życie dość jednostajne i pozbawione wielkoświatowego blasku. Pociągała ją przestrzeń, wrzawa, odmienne stosunki — świetność.

Czy rzeczywistość odpowiedziała marzeniom? Orzec trudno, tem bardziej, że Stefania nie skarżyła się nigdy. W listach do rodziny, a zwłaszcza do Romana, wyrażała ona nieraz głęboką tęsknotę do swoich, ale o mężu mówiła zawsze z największym uznaniem, a w opisach paryżkiego życia znać było gorące niem zajęcie

się i upodobanie. Od czasu swego zamążpójścia, Stefania raz tylko
wraz z mężem i
to na krótko odwiedziła Jurpol; potem wybierała się ciągle,
obiecowała,
zapowiadała swój przyjazd, zawsze bezskutecznie. — Roman, dopóki
go obowiązki
względem Zygmunta, a potem majątkowe kłopoty nie tak bardzo
krępowały, jeździł
co lat parę do Paryża i przywoził ztamtąd pomyślne wiadomości.
Pożycie państwa
de Larjeac było, na pozór przynajmniej, zupełnie dobre. On zawsze
grzeczny,
uprzejmy, spokojny, lecz niekrępujący żywości żony; ona wesoła,
ruchliwa,
ustawicznie zajęta — zdawali się wzajemnie z siebie najzupełniej
zadowoleni.
Mieli jedyną córeczkę Irene, śliczne i jak matka pełne życia
dziewczątka, które
tworzyło uderzające przeciwieństwo ze starszym o lat kilka od siebie
przyrodnim
swoim bratem, Jakóbem
Urodzony z Angielki, córki milionowego pana, lorda Grepar, Jakób od
lat
najmłodszych odznaczał się niezwykłą powolnością, która często do
rozpaczy
doprowadzała żywą i wesołą panią Stefanię. Przywiązana szczerze do
męża, a
pomimo pozornej swej lekkości, sumiennie spełniająca swe obowiązki
i najlepszem
obdarzona sercem, Stefania przywiązała się szczerze do pasierba
swego, choć
nigdy pogodzić się nie mogła z jego

usposobieniem. Młodzieńcem Jakób miał powagę dojrzałego
człowieka, a nad każdą

czynnością rozważał długo i mozolnie. To usposobienie mieniła Stefania chorobą i o pasierbie swym mówiła zawsze z ubolewaniem: "mój biedny Jakób!" — a wszelkimi sposobami choć bezskutecznie, ożywić go się starała. Było to jedynym zmartwieniem jej zresztą pogodnego i szczęśliwego życia, gdy nagle przyszło inne. Niechorujący nigdy dotychczas pan de Larjeac, pewnego wieczora wróciwszy z klubu, zaniemógł ciężko i w parę tygodni umarł. Zostawił duży zapis żonie a milionowy majątek dzieciom. Jakób miał wówczas lat dwadzieścia trzy, Irena liczyła piętnasty rok życia. W kilka miesięcy po tej katastrofie pisała Stefania do Romana Czarnoszyńskiego: "Nie mogę przyjść do siebie. Czuję, że tu nie zdołałabym zatrzeć we wspomnieniu bolesnych wrażeń. Czy przyjmiecie mię na czas jakiś w Jurpolu? Tęsknię do was. Nie wyobrażam sobie nawet, jak mi się to wyda po latach tylu. Będzie to w każdym razie dziwny kontrast z tutejszem życiem i różnicą, która mię orzeźwi. Wasze serca dokonają reszty. Tu dziś wszystko wydaje mi się rozpaczliwie ponurem po stracie, jaką poniosłam. Z wami, wśród wspomnień dzieciństwa mego pragnę spędzić czas żałoby. Dla mnie będzie to pociechą; dla Irenki mojej koniecznym rozwiązaniem stosunków rodzinnych, a dla pasierba mego, biednego Jakóba, kto wie, może lekarstwem. Usposobienie jego martwi mię coraz bardziej. Dwudziestokilkoletni mło-

dzieniec nudzi się w Paryżu wśród wiru życia! Może się rozerwie na stepach, w otoczeniu tak całkowicie sobie obcem!"

List ten zapowiadał zatem pobyt dłuższy i nie zatajał celu. Panu Romanowi przyniósł on niemałą pociechę; przyjazd Stefanii sprowadzał zmianę w jego dotychczasowym jednostajnym i osamotnionym życiu. Pani de Larjeac, pomimo swojej żywości, praktyczna i rozsądna, mogła mu nie jednej dobrej udzielić rady i dodać otuchy w pozycji, która coraz się kłopotliwszą stawała. Interesa jurpolskie wikłyły się najfatalniej. Przed kilku miesiącami, w czasie ostatnich kontraktów kijowskich, pan Roman otrzymał z wielu stron żądania zwrotu kapitałów, na Jurpolu ciężących. Wobec coraz trudniejszych stosunków gospodarskich, każdy teraz potrzebował gotówki, więc nawet o cierpliwość niepodobna było prosić.

Najniespodziewaniej z ciężkiego kłopotu wybawił go wówczas nabywca Oksaniny, pan Borski. Przybył on właśnie w tym czasie wprost z zagranicy do Kijowa, nie mając pozornie żadnego tam interesu i nie komunikując się z nikim. Do jednego tylko pana Czarnoszyńskiego się zbliżył i odrazu mu oświadczył, że wie, w jakim jest chwilowo położeniu.

— Na razie — mówił — idzie o jakieś trzydzieści, czy czterdzieści tysięcy rubli. Kredyt bankowy byłby może teraz trudny, a w każdym razie kłopotliwy i kompromitujący. Nie odmówi pan przecie sąsiadowi przysługi. Gotówkę mam znaczną, z lokacją której prawdziwy teraz kłopot...

Roman byłby może odmówił, ale propozycja była tak niespodziewana, a przychodziła tak w porę, że czasu do namysłu brakło i ponęta była zbyt wielką. Najcięższy kłopot spychał z głowy, a w rezultacie wychodziło na jedno, czy być dłużnikiem dziesięciu sąsiadów, czy jednego Borskiego. Nie spostrzegł nawet pan Roman, gdy interes był skończony. Borski wszelkie formalności załatwił, uprościł i w przeciągu dwóch dni stał się jednym z najważniejszych wierzycieli Jurpola.

— Myślę nareszcie w tym roku — rzekł, żegnając się z Romanem — zamieszkać w Oksaninie. Tułaczka za granicą sprzykrzyła mi się, stary już jestem, chciałbym wrócić między swoich. Zdaje mi się, że tę zimę spędzę już w Oksaninie, a oczywiście pospieszę zaraz z uszanowaniem do Jurpola. Pan Roman zapraszał, ale z pewnem niemiłym uczuciem. Po rozstaniu się z Borskim doświadczył coś nakształt wyrzutów sumienia. Nie znał tego człowieka, słyszał o nim najgorzej, a przyjął od niego przysługę, bądź co bądź niemałego znaczenia. To go zobowiązywało na przyszłość do stosunków, które mu bardzo zaciężyć mogły. Działając tak, Borski musiał mieć jakiś cel ukryty. Uderzyło to Romana, że gdy przy pożegnaniu dziękować mu chciał za uczynioną przysługę, Borski przerwał mu natychmiast:

— Więcej pan dla mnie uczynić możesz — rzekł, wpatrując się bystro w twarz Romana — kto wie, może i ja wkrótce pana o coś prosić będę.

Chciał jeszcze coś mówić, ale się nagle zawahał i tylko silnie dłoń Romana uściskał.

Kto był ów Borski? Roman sam dobrze nie wiedział. Dochodziły do niego mętne wieści z Wołynia; mówiono mu nawet o jakimś wyroku obywatelskim, potępiającym Borskiego, ale to były rzeczy już dawne, o których młodszy tylko ze słyszenia mówili. Kika razy Roman chciał się o to ojca zapytać, ale nie śmiał. O sprzedaży Oksaniny Marszałek mówić nie lubił i prawie nigdy nie wspominał o nowonabywcy. W pierwszej chwili zapytał się wprawdzie o niego, ale w zafrasowaniu zdawał się nie słuchać odpowiedzi, czy też o niej rychło zapomniał. Roman lękał się więc wznawiać tę kwestyę zwłaszcza w ostatnich czasach, przez wzgląd na podupadające coraz bardziej zdrowie ojca i osłabioną jego pamięć. Teraz Roman odżył nieco na myśl, że o tych wszystkich kłopotach swoich będzie mógł zupełnie otwarcie pomówić ze Stefanią. Ona go nie posądzi, jak Zenobia, o przesadę, wszystko serdecznie wyrozumie i może dobrą radę poda. Zwłaszcza o dalszej karierze Zygmunta należało pomyśleć; Stefania, mająca liczne i możliwe stosunki w Paryżu, mogła nawet bardzo skutecznie dać mu poparcie. Z tych tedy wszystkich powodów wyglądał Roman z upragnieniem przyjazdu dawno niewidzianej siostry. Nadszedł wreszcie dzień oczekiwany, a było to na pół roku przed powrotem Zygmunta do domu.

Tego poranku, cały szereg wozów, pojazdów i bryczek pociągnął na stację pocztową i zwoził dzień cały paki, pakunki, kufry i skrzynie z rzeczami hrabiny.

Około południa w szerokiej alei, prowadzącej do pałacu, ukazała się wielka karoca sześciokonna, w wyjątkowych tylko uroczystościach w Jurpolu używana. przez okno karety wyglądała twarz Stefanii, niemłoda już, okolona siwymi włosami, ale o żywym i bystrem spojrzeniu. Obok niej, od czasu do czasu ukazywała się uśmiechnięta twarzą piętnastoletniej dziewczynki, zadającej widocznie co chwila pytania i szczebioczącej wesoło. Irencie wszystko tu zdawało się nowem, ślicznem, interesującym. Było to w pierwszych tygodniach zimy i cała okolica okryła się już białym jak puch śniegiem. Krajobraz, jeśli nie tak piękny, jak w lecie, miał wszakże swój wdzięk odrębny; oczom Irenki, nienawykłym do podobnego widoku, przedstawiał się niezmiernie uroczo, matce jej zaś przypominał pierwsze lata młodości. To też z żywością sobie właściwą pani de Larjeac rzucała spojrzeniami, to w tę, to w ową stronę, przypominała sobie najdrobniejszy szczegół, a odpowiadając na pytania niemniej zainteresowanej córki, często zwracała się ku siedzącemu naprzeciw pasierbowi. Ale hr. Jakób zdawał się na nic uwagi nie zwracać. Zapatrzony bezmyślnie przed siebie, siedział nieruchomo i tylko od czasu do czasu wzdygał się na trzaskanie

z bicza lub głośniejsze wołanie forysia:

— Wi-ha-hot!

— Pourquoi crie-t-il si fort? — zapytywał z niechęcią.

Przybycie Stefanii nietylko dla mieszkańców jurpolskiego pałacu było ważnym wypadkiem. W całej

okolicy wieść ta rozeszła się natychmiast, budząc powszechną ciekawość, każdy

bowiem pragnął ujrzeć na własne oczy ową hrabinę z Paryża, milionerkę, zjawisko

niezawodnie rzadkie w okolicach Humania.

To też z bliższego i dalszego sąsiedztwa zaczęto się zjeżdżać do Jurpoła. Pan

Roman witał wszystkich uprzejmie, gościł, zapraszał, chociaż ostatnie wypadki

znacznie go ostudziły w sąsiedzkich uczuciach, które on sobie niegdyś przedstawiał, jak zresztą wszystko, w idealnych barwach. Widział on, jak

zachwianie się jego w interesach wpływało na te uczucia oziębiająco, jak

odsuwali się od niego i zmieniali ton nawet ci, którzy dawniej zdawali mu się

najbardziej życzliwi, jak niechętnie o nim zdania i pogłoski przyjmowały się

łatwo teraz, gdy go przestał otaczać blask wielkiej fortuny.

Był nawet czas, że tak dawniej ludne gościnne pokoje jurpolskiego pałacu,

opustoszały prawie zupełnie. Sąsiedztwo zdawało się zapominać o Jurpolu; mała

tylko liczba najwierniejszych i bliższych przyjaciół Romana, odwiedzała go od

czasu do czasu, a on czuł coraz bardziej wzmagający się chłód, coraz większą

pustkę dokoła siebie widział.

Poprawiło się to nieco po kontraktach kijowskich, gdy Roman za pomocą p. Borskiego, o czym ogół nie wiedział, spłacił znaczną część długów, na Jurpolu ciężących. To wstrzymało pogłoski o ruinie i poprawiło odrazu stan rzeczy, a ciekawość, obudzona przybyciem pani de Larjeac, dokonała reszty. Pani Stefania wszystkich też odrazu chwyciła za serce. Pełna uprzejmości i swobody, żywa, wesoła,

zdumiewała swą przystępnością szlachty, która zrazu lękała się wielkopańskich tonów. Hrabina od przyjazdu swego do Jurpola bawiła się doskonale. Wszystko ją tu zajmowało jak nowość, wszystko było nie takie, jak to, do czego nawykła, a ileż rzeczy przypominało jej pierwsze lata dzieciństwa, młodości i rzewnie poruszało sercem. Zdawało jej się czasem, że przeszłość, że całe to życie wielkoświatowe, które ją olśniewało, ale przynosiło nieraz czczość i rozczarowania, to złudzenie, że wczoraj to było, gdy dzieckiem bawiła się z Romanem w parku jurpolskim. Wspomnieniami temi młodniała i tem lepiej, tem serdecznie] czuła się usposobioną dla wszystkich, którzy się do niej zbliżali. We dwa tygodnie potem o niczem w całej okolicy nie mówiono, tylko o hrabinie de Larjeac, najmilszej, najzacniejszej osobie, którą za wzór do naśladowania stawiano. Niemniejszą sympatyę obudziła córka hrabiny, Irena. W piętnastej wiosnie życia

miała ona postawę dorosłej panny z twarzyczką niezmiernie figlarną,
ożywioną
śmiejącami się oczkami, które miały barwę wody morskiej, mieniącej
się co
chwila. Każde wrażenie odbijało się w nich jak w zwierciadle, każde
też
wypowiadane było żywo, różowemi usteczkami, dość wydatnymi i
zwracającymi na
siebie uwagę, naturalnem ale dość głębokiem przecięciem wargi
dolnej.
Irena nie była wcale piękną, ale uderzyć musiała każdego
oryginalnością
rysów, ruchliwością swej fizyonomii, bystrością spojrzenia, żywością
mowy. Miała

coś w sobie jej postać, co pociągało; w twarzy, w oczach zielonawych,
dużych,
spoglądających bystro, w kątach ust uśmiechniętych zawsze, była
jakaś zagadka,
coś, co zastanawiało i budziło ciekawość. Jakkolwiek urodzona i
wychowana w
Paryżu, Irenka mówiła biegle po polsku, akcentem nieco
cudzoziemskim, który
wszakże w jej ustach nabierał szczególniejszego wdzięku.
Mniej daleko zyskał sobie przyjaciół młody hr. Jakób. Wysoki, chudy,
jasny
blondyn, odpowiadał typowi Anglika. W jego błękitnych oczach był
ciągły wyraz
znużenia i obojętności dla wszystkiego, co go otaczało. Na ustach,
okrytych
płowym wąsem, nigdy prawie nie widać było uśmiechu; rzadko też
otwierały się
one, aby wypowiedzieć jakie zdanie. "Tak", "nie", "dobrze" — oto
cała rozmowa
hr. Jakóba. W rzadkich wypadkach, gdy go żywiej zajęła rozmowa
innych lub

diskusya, której był milczącym słuchaczem, Jakób wyteżał wzrok na rozprawiających. Oczy jego nabierały blasku, twarz obojętna, apatyczna, rozpromieniała się i stawała niemal piękną. Ale i wówczas nie przerywał milczenia; zbliżał się czasem do tego, którego zdanie potwierdzał i ścisnął go mocno za rękę.

— Masz pan słuszość — orzekł stanowczo, i znów w dawną obojętność zapadał.

Z przyjazdem pani de Larjeac ożywił się znowu pałac jurpolski.

Gwarno było i

ludno jak za dobrych, dawnych czasów. Pani Zenobia okazywała niezwykle względy

gościom paryskim, usiłując się przedstawić hrabinie i jej dzieciom damą

wielkiego świata i form wykwintnych. Roman odżył na chwilę, zdawał się zapo-

minąć o kłopotach i troskach wśród ruchu i wrzawy, od której już odwykł. Nawet

Marszałek, który Stefanie bardzo lubił, spędzał teraz czasem wieczory w salonie,

wśród gości, z natężeniem przysłuchując się rozmowie.

Z codziennego grona domowego jedna tylko była istota, którą przyjazd pani de

Larjeac usunął w dal i niemało przeraził.

Była to Ola. Od lat dwóch przeszło, dzięki niezwyklej sympatyi, jaką potrafiła

obudzić w pani Zenobii, przypuszczona została do bliższych stosunków. Uważana

była za dziecko "cudowne", o zdolnościach niezwykłych, a ta nadzwyczajność

uzasadniała wyjątkowe względy.

Cierpiała nad tem niemało panna Malicka, która nieraz samotne musiała spędzać

wieczory, podczas gdy Ola czytała głośno pani Zenobii lub odbywała z nią lekcje muzyki lub śpiewu.

— Już ty mnie nie kochasz! — mówiła z wyrzutem staruszka, patrząc z rozrzewnieniem na swoją wychowankę.

— Ależ babciu najdroższa! — wołała Ola, klękając przy niej i całując jej kolana

— ty zawsze będziesz dla mnie wszystkim na świecie.

Panna Maryanna smutnie kiwała głową.

— Gdzie tam, gdzie tam! — szeptała — wykierują cię oni na wielką panią, już ty i teraz ze mną mówić nie umiesz. A cóżbym ja ci powiedziała takiego, o czembyś nie wiedziała, lub czegoś w książkach nie wyczytała.

Ola pieczołotą starała się uspokoić staruszkę, która przez lzy spoglądała na jaśniejącą urodą i zdrowiem postać dziewczyny.

Ola wyrosła bardzo i z każdym dniem stawała się ładniejszą. Dość wysoka, smukła, płeć miała śniadą, włosy ciemne, kasztanowatej barwy, oczy duże, pełne blasku, spoglądające z powagą i zamyśleniem, usta bardzo kształtne, wyraz miały tęskny, a rzadko tylko w weselszym śmiechu rozchylały się szerzej, ukazując dwa rzędy białych, cudownych ząbków. Postać jej zgrabna, giętka, o kształtach już prawie rozwiniętych, zwracała powszechną uwagę. Była w niej powaga nad wiek, a zarazem pociągająca miękkość kobieca. W spojrzeniu jej oczu była niezwykła głębokość myśli, a czasem zachwyty promienne, czasem uniesienie, które i wyrazowi ust

nadawało nieprzemierzony urok. Uniesienie to, które odbijało się na twarzy najczęściej wówczas, gdy grała lub śpiewała, rzadko kiedy wyrażało się w słowach. Ola zawsze była milcząca i w sobie zamknięta. Przed jedną tylko panną Malicką otwierała ona czasem swą duszę, o ile staruszka pojąć ją mogła. Z nią była wesoła, dziecinna, swobodna. Najczęściej wszakże, w swoim pokoiku zamknięta, gdy panna Maryanna, przeżegnawszy ją na dobranoc, udała się na spoczynek, Ola siadała przy oknie i zapatrzona w dal, myślała. Miała lat piętnaście, a co już przeszła, co przeżyła! Jakaż to przepaść dzieliła ją od tej chwili, gdy w karczmie oksanińskiej klęczała u zwłok matki, lub gdy pomagała w pracy poczciwej Nastce, dziewczce piekarnianej!

Wszystkie te wrażenia zostały w jej duszy zarówno żywe, ale mimo to jakże dziwnemu przeobrażeniu ta dusza uległa? Ileż to nowych rzeczy nauczyła się ona, jakiż to świat zupełnie inny otoczył ją i otworzył się przed jej oczyma! Ludzie, których dawniej zaledwie rozumiała, do których nie śmiała się zbliżyć, którzy wydawali się jej wielcy, mądrzy, niedoścignieni, teraz niemal równymi jej się stali. Pani Zenobia traktowała ją, nie jak sługę, ale prawie jak towarzyszkę, jak uczennicę; pan Roman z niezwykłą zajmował się nią dobrocią, wszyscy domownicy nawet okazywali jej wyjątkowe względy. A ona? Czy ta niespodziewana a dziwna zmiana przyniosła jej zadowolenie i

szczęście? Ona tylko wtedy czuła rzeczywisty spokój, gdy siedząc obok panny Malickiej, jak dawniej, oparła swą główkę na jej kolanach, a czując rękę staruszki na swem czole, zamknęła oczy i zapomniała o chwili obecnej. Zdawało się jej wówczas, że jest tą dawną Olą, nieświadomą niczego, bez pragnień i myśli innych, prócz tej jednej, by tak zawsze zostać mogło. Tam, wśród tych ludzi, którym była szczerze wdzięczną i którzy jej tyle okazywali dobroci, spokój jej wszakże pierzchał. Każda z nimi rozmowa, każda nowa z panią Zenobią przeczytana książka, obudzała burze w jej duszy, jakieś pragnienia nieokreślone, dziwne, pragnienia świata, ludzi, wrażeń i jakąś tęsknotę do czegoś, co było jej nieznanem, a kryło się po za obrębem dotychczasowego jej bytu i świadomości.

Z rosnącym zapałem brała się wówczas do nauki, do czytania; młodzińczy jej umysł chwycił rozliczne wiadomości, zdumiewał bystrością Romana i całe otoczenie. I naraz zapał ten ostygł, Olę napadał wówczas gnębiący smutek, jakby płynący z przeświadczenia, że wszystkiego odrazu umysł jej ogarnąć i nauczyć się nie potrafi, a w sercu budziło się niepokojące pytanie:
— Na co mi ta nauka? czem jestem? i czem będę?
Wśród niezwykłych okoliczności wyrosła, Ola rozważała głębiej i dojrzewała rychlej, niż jej rówieśnice. Dzieckiem była tylko w rozmowach swych z panną Malicką; w salonie jurpolskim sztywniała w niezwyklej powadze; ucząc się lub

czytając, zapominała o sobie, a potem budziła się smutna do rzeczywistości.
Wówczas, jak niegdyś dzieckiem w Oksaninie biegła w przestrzeń stepową, albo na "kurhan złoty". Tam pełną piersią oddychała, chwytając najczystsze wrażenia; tam na widok pięknej przyrody rozrzewniała się jej dusza i przepelniając ją uczucia oddawała w piosence, która się rozchodziła echem, daleko. Dzięki pani Zenobii umiała ona teraz śpiewać cudowne pieśni. Nieraz wszakże, z poruszonej wrażeniami duszy, mimowolnie wybiegały jej na usta dźwięki dziwne, nieuczone. Wyrwały się z piersi drżące, rosły, potężniały, budząc w pamięci dawne obrazy, niezatarte niczem wspomnienia. Od przyjazdu pani de Larjeac Ola czuła się jednak osamotnioną. Towarzystwo panny Halickiej coraz bardziej się starzejącej, nie zawsze wystarczyć jej

już mogło. Lekcje czytania z panią Zenobią ustały; pan Roman, zajęty obecnością siostry, nie miał czasu myśleć o wyborze książek dla Oli, a paryscy goście napełniali ją strachem. Widok powszechnego rozweselenia, ciągłego ruchu i świetnych przyjęć licznie zjeżdżających się sąsiadów, budziły w jej sercu dawną nieśmiałość i gnębiące myśli. Czemże ona była w tym domu? Mniej niż służą: bezpożyteczną istotą, o której też rychło zapomniano, gdy z oczu zeszła i wcale teraz nie zwracano na nią uwagi. Pewnego dnia ciekawość przypatrzenia się gościom paryskim zaprowadziła ją

wieczorem do pałacu. Wmieszana w tłum sług, co chwila potrącana,
patrzyła długą
chwilę ciekawemi oczyma przez uchylone drzwi do sali jadalnej, w
której liczne
towarzystwo zasiadło do kolacyi.
Słyszała zmieszana wrzawę głosów, śmiechy wesołe, brzęk talerzy i
kieliszków,
ciche stąpanie lokai, roznoszących potrawy. Blask światła bijący z sali
oślepił
ją, wrzawa ogłuszała; wzrok przechodził od postaci do postaci, aż
dłużej
zatrzymał się na twarzy pani de Larjeac.
Twarz ta uśmiechnięta, pogodna, wydała jej się bardzo sympatyczną.
Raziła ją
tylko wielka żywość ruchów i wesołość, tak dziwnie odbijająca od
smutku, który
jej duszę gnębił.. Ale może to właśnie pociągało wzrok jej, którego od
tej
postaci długo oderwać nie mogła, śledząc każde jej poruszenie, każdy
często
zmieniający się wyraz twarzy.

Nagle brzęk strąconego na posadzkę kieliszka i głośny wybuch
śmiechu zwrócił jej
uwagę w inną stronę. To Irenka, która siedząc obok Romana,
opowiadała mu coś
bardzo żywo, i kręciła się nieustannie stała się powodem katastrofy.
Wywróciła
na siebie szklanek wody i kieliszek napęczniony winem. Teraz
powstawszy,
pokazywała oblaną sukienkę i zanosila się od śmiechu, potrząsając
jasnowłosa
główką. Oczy jej, mieniające się przy świetle zieloną barwą, pełne
były
dziecinnej pustoty. Śmiała się, odpowiadając matce, i figlarnie
wskazywała na

Romana, widocznie przypisując jemu winę wypadku. Całą jej postać, zwróconą ku drzwiom, Ola widziała doskonale. Jakieś niewypowiedziane przykre uczucie przeniknęło ją całą.

— Brzydka, nieznośna! — myślała. — Oczy ma dziwne, świdrujące, usta przecięte, a śmieje się takim przenikliwym a drażniącym głosem. Trzpiot jakiś, swawolnica!

nie umie siedzieć przy stole.

W tym momencie ruszyli się wszyscy od stołu; kolacja była skończona. Ola, aby

nie być spostrzeżoną, pierzchnęła i słyszała tylko za sobą podobny do zgrzytu

łoskot odsuwanych krzeseł i głośny, przenikliwy śmiech Irenki.

Odtąd Ola nie pokazywała się w pałacu, a unikała bacznie wszelkiego spotkania

się z panią Zenobią lub też z Romanem, w obawie, ażeby jej nie wezwali i nie

chcieli, jak zwykle, prezentować towarzystwu jej nadzwyczajnych talentów. Czując,

że w obecności śmiejącej się Irenki nie byłaby zdolna słowa przemówić.

Po całych dniach siedziała teraz przy panie Malickiej, lub gdy czas był

pogodny, wybiegała poza wieś, w pole, ku kurhanowi złotemu, albo dalej w stepy.

Dnia jednego pogoda była niezwykle piękna. Liczne towarzystwo, zgromadzone w

pałacu jurpolskim, wyjeżdżało w południe kilkoma powozami na dalszy spacer; pani

Stefania bowiem zapragnęła sobie przypomnieć dawne swoje w dzieciństwie

przejażdżki.

Ola przez okno oficyn widziała wsiadających: słyszała znowu echa
głośnych rozmów
i wybuchy śmiechu Irenki. Cały szereg większych i mniejszych
powozów i sanek
objeżdżał szparko dziedziniec pałacowy i zmierzał do bramy.
Wyjechali weseli,
swobodni, szczęśliwi!
Ola usiadła u stóp drzemiącej w krześle panny Malickiej i swoim
zwyczajem na jej
kolanach złożyła głowę. — Było jej ciężko na sercu; czuła się sierotą,
pomimo
opieki ukochanej staruszki, opuszczoną wśród tłumu obcych, smutną
w pośród ich
wesołości i śmiechów.
Drżąca ręka Malickiej spoczęła na jej czole i gładziła włosy.
— Co ci jest? — spytała nagle z niepokojem panna Maryanna —
główka gorąca, co
ci jest dziecko?
— Nic mi nie jest, babciu, nic mi nie jest — zapewniała Ola głosem
drżącym,
lecz czuła, że lada chwila wybuchnie płaczem, który ją dławił.
— Siedzisz ciągle koło mnie — mówiła dalej staruszka — ani
wyjrzysz na świat
boży i jeszcze, broń Jezusie Milatyński! rozchorujesz się. Idź,
dziecko, taki

dzień piękny, pogodny, przebiegaj się po powietrzu, idź, Olu, a ja się
trochę
przedrzemię.
Tak, powietrza, przestrzeni potrzebowała Ola koniecznie! Tłumiąc
łkanie,
ucałowała babcię serdecznie w milczeniu; otuliła się w ciepłą chustkę
i
wybiegła.
Daleko, poza wsią, step, okryty śniegiem, iskrzył się w promieniach
słonecznych.

Ola szła krokiem spieszonym, jakby ją co gnało. Przystawała czasem,
aby
zaczerpnąć powietrza i dalej biegła. Lekki wiatr mroźny muskał jej
twarzyczkę,
która zarumieniona pałała. Chustka zsunęła się z ramion, włosy się
rozplotły, a
ona szła z oczami utkwionymi w dal.
Dawno już nie była u mogiły matki, a teraz jakaś nieprzemierzona siła
ciągnęła ją
ku niej. Szła przez pola, by skrócić drogę, wreszcie dobiegła.
Zdyszana upadła na mogiłę, na której krzyż wysoki wyciągał zawsze
swe czarne,
bezkształtne i już nieco wichrem uszkodzone ramiona.
Po chwili uklękła Ola i twarzą przypadła ku ziemi. Słowa modlitwy
plątały się
jej w myśli, potłumiał je krzyk stęsknionego serca:
— Matko... matucho!
Cisza wokół. Pusto na drodze; nikogo nie widać na przestrzeni
stepowej, nikogo
przed karczmą. Wiatr tylko coraz silniejszy zrywał białą mgłę ze stepu
i
roznosił w powietrzu z szumem.
Ola usiadła na mogile, skuliła się, ręce na kolanach złożyła i zatoneła
w
zadumie. Tak jej było tęskno i tak sieroco w tej chwili, jakby to
dopiero wczoro-

raj matka jej umarła; tylko że teraz lepiej rozumiała to. sieroctwo,
dotkliwiej
czuła opuszczenie swoje i z coraz większą trwogą myślała, co będzie
dalej?
Panna Malicka z dniem każdym zdawała się słabszą i nieraz Oli, gdy
widziała ją
taką zgrzybiałą, chylącą się ku ziemi, przychodziła myśl okropna, co
będzie, gdy

ta jedyna jej opiekunka zamknie oczy na zawsze? Rozumiała ona teraz
dobrze, co
znaczy łaska obcych; wszak od kiedy ci paryscy goście przybyli, ani
pani Zenobia
ani pan Roman, nie pomyśleli o niej. Rada była z tego, ale to
zapomnienie bądź
co bądź ją bolało. Co innego "babcia", ta była, jak druga matka, tak
troskliwa i
pamiętna, lecz cóż się stanie, gdy umrze?
Na tę myśl rozpacz ogarnęła serce Oli. Łzy polały się jej z oczu, a
przez nie
widziała przed sobą pole białe, na którym wysterczały suche łodygi
kolczastych
burzanów.
I nagle przypomniała sobie. Ujrzała siebie biegnącą przez to pole,
wśród kolców,
które ją szarpały i darły, widziała Jurka pędzącego za nią i
wołającego;
"Znajda!" słyszała głos Zygmunta. Łzy przestały płynąć. Wspomnienie
to podziało
cudem; jakaś otucha wstąpiła nagle do serca. Porwała się z miejsca i
jaśniejszem
okiem spojrzała dokoła. Przecież wówczas, gdy uciekała przed
Jurkiem, była
daleko nieszczęśliwsza niż teraz; a przecież Bóg jej nie opuścił,
czuwał nad
sierotą, jak jej to obiecała matka, i znaleźli się miłosierni ludzie,
którzy ją
serdecznie przygarnęli. Dlaczegoż teraz ma rozpaczać, gdy w sobie
czuje daleko
więcej siły i pewności i uciekać przed nikim nie potrzebuje.

Odetchnęła, swobodniej i z uczuciem rzewnej wdzięczności złożyła
ręce, uklękając
na mogile. To matka pewnie zesłała jej tę pociechę, której tak
niespodziewanie

doznała, więc za tę pogrobową opiekę dziękowała Ola, modląc się gorąco za jej duszę. Teraz słowa modlitwy płynęły z ust jej niezmacone żadnym roztargnieniem, a na duszy było jej coraz bardziej błogo, coraz spokojniej. Powstała. Trzeba było wracać, już tam pewno panna Malicka niepokoi się z powodu tak długiej nieobecności, a chociażby przez pola biegła, zawsze co najmniej godzinę drogi ma przed sobą. Spojrzała dokoła. Pusto było ciągle, ale ta pustka i step iskrzący się w promieniach słonecznych, wywierały zgoła inne na nią, niż przed chwilą wrażenie. Kozszerzało się jej serce, rosła dusza w uniesieniu niezwykłym, a z piersi wybiegła nagle na usta piosenka. Szło echo po stepie. Dźwięki czyste roznosił wicher daleko, a Ola z oczami wzniesionymi ku niebu, pewna, że nikt jej nie usłyszy i nikt na nią nie patrzy, tonęła całą istotą w zachwycie. Nagle wzdrygnęła się, a śpiew, jak struna urwana, ścielił w piersiach. Usłyszała tuż przy sobie tętent koni i wrzawę głosów ludzkich. Obejrzała się z przestachem, aby się przekonać, z której strony groziło jej niebezpieczeństwo spotkania, porwała się uciekać, ale już było zapóźno. Pod samą karczmą przejeżdżał cały szereg powozów, a w pierwszym z nich siedziała pani Stefania

z Irenką i Zenobia, która, już zdaleka poznawszy Olę, dawała jej znaki.

— Co ty tu robisz Olu! — wołała. — Roztrzepana dziewczyna! na takie zimno w jednej chusteczce i śpiewa na takim wicherze!

Pani de Larjeac ciekawie przyglądała się przestraszonemu dziewczęciu, a Irenka z uśmiechem figlarnym na ustach utkwiała w nią badawcze spojrzenie swych zielonych oczu.

Za chwilę Ola, okryta futrem i szalami, jechała obok Irenki z powrotem do jurpolskiego pałacu.

Nie mówiła nic, a z pomieszaniem słuchała, jak Zenobia opowiadała pani de

Larjeac o jej niezwykłym muzykalnym talencie.

— Głos rzeczywiście prześliczny — mówiła pani Stefania patrząc na zarumienioną

Ołę — ale na takie zimno nie trzeba się narażać. Cóż to za piosenka, którą śpiewałaś? spytała.

— Ja nie wiem — wyjąkała Ola i mimowolnie spojrzała na Irenkę, która zaśmiała się znowu.

— Nie wie co śpiewa! a to zabawne! — zawołała. — Ale musisz zaśpiewać jeszcze, gdy wrócimy do domu, bo to bardzo, bardzo ładne.

Mówiła do niej śmiało, poufale, patrząc wprost w oczy, a ta śmiałość do żywego drażniła Ołę.

— Nie zaśpiewam — postanowiła sobie w duchu. Wszakże postanowienie to musiała złamać jeszcze

tego wieczora, na żądanie pani Zenobii i prośbę Stefanii, która, niezmiernie zainteresowana Ołą, ze zwykłą sobie

żywością nie szczędziła jej czułości i nie tajiła swoich zachwyków. Jeżeli przedtem Ola uskarżała się w duchu na zapomnienie, to teraz narzekać jej

przyszło na uwagę powszechną, jaką na siebie zwróciła. Prawie chwili
spokoju
mieć nie mogła, wzywana ciągle do pani Stefanii, która codzienie
więcej
okazywała jej przychylności i wyraźnie starała się przyciągnąć ją do
siebie. Nie
przyszło jej to trudno, bo Ola, odrazu sympatycznie dla niej
usposobiona, nie
mogła się oprzeć urokowi tej serdecznej i miłej kobiety. Wkrótce też
w
zachowaniu się Oli względem pani de Larjeac wszelki ślad nieśmiałej
sztywności
zniknął, garnęła się do niej z równem a może nawet większem
zaufaniem niż do
pani Zenobii.
Inaczej było z Irenką. Swawolne dziewczę wywoływało co chwila
rozdrażnienie Oli,
choć bezwiednie, bez żadnej złej intencji. Śmiałość jej potrącała
często i
nieraz boleśnie zadrasnęła ponurą bojaźliwość sieroty; wesołość w
rozkoszach i
zbytku wychowanego dziecka, niepojmującego nędzy i smutku
innych, wydawała się
często Oli szyderczem urąganiem. Do rozpaczy ją też czasem
doprowadzały ciekawe
pytania Irenki.
Raz, pokazując jej album z podpisami paryskich swych rówieśniczek:
— Wiesz co — zawołała — podpisz się i ty tutaj! Ola wzięła ołówek
i wpisała
imię.
Irenka potrząsnęła główką.
— Ola — rzekła — to imię, a nazwisko? Zaśmiała się serdecznie.

— To zabawne! ja nie wiem dotąd, jak ty się nazywasz?
Krew uderzyła Oli do głowy. Płomienie ogarnęły twarzyczkę, w
oczach pociemniało.

Widziała jednak dobrze krzyżujące się spojrzenia obecnych,
uderzonych tą uwagą
Irenki, która powtarzała:
— Jakże ty się nazywasz?
Prawda, jak się ona nazywa? Dotychczas nie zastanawiała się nad tem;
teraz,
nagle uczuła gwałtowną potrzebę tego nazwiska, którego jej brakło.
— Ja nie wiem... — wyjąkała, podobnie jak wówczas, gdy ją spytano
o nazwę
piosenki, którą u mogiły matki nuciła.
Pochyliła głowę na piersi; łzy ją dławiły.
Odtąd Irenka nie pytała jej nigdy więcej o nazwisko, ale nieraz
wpatrywała się w
nią zadziwionemi oczyma, w których była litość, a zarazem
instynktowa bojaźń,
jakiej doświadczają szczęśliwe istoty na widok upośledzenia i nędzy.
Był jeszcze jeden człowiek, który a niezmiernem zajęciem przyglądał
się Oli.
Milczący hr. Jakób nie zbliżał się do niej nigdy, ale ona czuła na sobie
nieraz
spojrzenie jego jasnych błękitnych oczu. To wszakże nie przerażało ją
wcale.
Było bowiem w tem spojrzenia prawdziwe i jakieś rzewne
współczucie, a Ola,
słyszając, jak pani Stefania 'nazywała pasierba swego zawszebiednym
Jakóbem,
wyobrażała sobie, że ten posepny, powolny młodzieniec, jak cień
przesuwający się
wśród gości i niebiorący nigdy udziału w wesołości innych, musi być
dotknięty
jakiemś nieszczęściem, któ-

re go takim milczącym i odludnym czyni. Odpłacała mu więc równem
współczuciem, a
cieszyła się serdecznie w tych rzadkich chwilach, gdy na usta hr.
Jakóba zawitał

blady i wnet niknący uśmiech.

Od czasu owego zapytania Irenki o nazwisko, Ola coraz częściej stanawiała się nad tądlą siebie nierozwikłaną zagadką. Dawniej nie myślała o tem; imię Ola wystarczało jej zupełnie — teraz często w noc późną siedziała, nie śpiąc, na swym łóżeczku i przypominała sobie każdy najdrobniejszy szczegół ze swej przeszłości. Jeszcze w Warwarówce obijały się jej nieraz o uszy rozmaite gadania; utkwily jej w pamięci słowa Mykoły, że ona nie jest mężczykiem dzieckiem, a najżywiej pamiętała to, co jej matka przed śmiercią mówiła o ojcu swym Soroce, gdzieś pod Żytomierzem. Raz w nocy myśli te tak ją prześladować poczęły, że sen odbiegł zupełnie, a Ola, wstawszy cichutko, zapaliła świecę w nadziei, że przy świetle łatwiej jej przyjdzie te myśli odegnąć. Dręczyło ją również i to, że panna Malicka, od pewnego czasu więcej niż zwykle cierpiąca, już od trzech dni z łóżka podnieść się nie mogła, a teraz ciągle przez sen stękała. Nasłuchiwała z niepokojem. Na chwilę stękanie ustało i Ola słyszała tylko silnie przyśpieszone tętno własnego serca. Było jej gorąco, powieki ciężyły, a usnąć nie mogła.

— "Jak twoje nazwisko?" — Zdawało jej się ciągle, że słyszy głos Irenki, a odpowiedzi na pytanie znaleźć nie mogła! A przecież miała w ręku może rozwiązanie zagadki: Papier, dany jej przez matkę i starań-

nie przechowywany przez nią, jak talizman, na piersiach. Ileż to razy
papier ten
rozwijala Ola ostrożnie i bacznie mu się przypatrywała, chcąc ze słów
niewyraźnych, zatartych, dojść treści. "Po nim — mówiła matka —
ojciec mój pozna
cię i przyjmie. Ale nie pokazuj go nikomu innemu". Rozkazowi temu
była Ola,
dotychczas posłuszną, papieru tego nie pokazała nikomu, nawet
pannie Halickiej,
a zresztą nikt zarówno, jak ona sama, nie potrafiłby już z niego
czegośkolwiek
przeczytać.
Zdjęła Ola z szyi tasiemkę, na której zawieszony był ów dokument,
zaszyty w
woreczek płócienny. "Wyjęła go ztamtąd ostrożnie, rozłożyła na
kolanie i
zbliżywszy świecę, zaczęła mu- się raz jeszcze przyglądać.
Papier był bibulasty, stary, zmięty, po brzegach poszarpany, na
składach
wytarty. Pośrodku, pismem drobnem nakreślonych było kilka wierszy.
Ale atrament
zbladł i pożółkł, bibulasty papier wsiąknął go w siebie i wypił.
Odczytanie
utrudniały też liczne znaki i plamy, świadczące, że ktoś często ten
papier miał
w rękach. Może Maryna płakała nad nim, a łzami i pocałunkami
zacierała sama ten
jeden dowód swej przeszłości i pochodzenia dziecka.
Obu rękami wyciągając na kolanach papier, aby łatwiej dojrzeć litery,
Ola
gorączkowo pałającym wzrokiem wpatrywała się w zatarte pismo.
Dobrze znać było pierwszy wyraz "Ja", potem następowała wielka
litera M dość
wyraźna i kilka liter drobnych, bardzo zatartych, które zdawały się
tworzyć
wyraz Miecz. Po przerwie znowu widoczniejsza litera

B, oraz kilka słów, całkowicie nieczytelnych, dalej znów jeden wyraz i data:

lipca.

Tak, nie było wątpliwości. Ten papier mieścił w sobie zagadkę pochodzenia Oli, ale jakże z tego zatartego pisma dojść treści? Nieprzemierzona ciekawość, chęć zbadania prawdy opanowywały duszę dziewczęcia. Gdyby odczytać! Miałyby wówczas nazwisko, odzyskałyby rodzinę, nie czułaby się taką sierotą na świecie, taką inną od wszystkich. Może nawet źle zrobiła, że trzymając się ściśle słów matki, nie pokazała tego papieru przynajmniej pannie Malickiej lub panu Czarnoszyńskiemu? Kto wie, możeby pan. Roman potrafił odczytać lub odgadnąć, co wyrażać mogło zatarte pismo? Źle też zrobiła, że dotychczas nie starała się o odszukanie ojca matki, Michała Soroki z Koziatyna. Ale będąc w Oksaninie, nie śmiała do nikogo z tem się udać. Tu zaś dotychczas tak było jej dobrze pod opieką panny, Malickiej, iż nie pomyślała o tem do chwili, w której pytanie Irenki zbudziło burzę w jej duszy. Ale teraz, zaraz jutro, ona musi powiedzieć o wszystkim babci, a przez nią trafić do pana Czarnoszyńskiego i jego o pomoc prosić. Musi odzyskać rodzinę i nazwisko! Powolnie składała papier, uspokożona nieco tem postanowieniem, gdy nagle zadrżała. Z przyległego pokoju doszedł jej uszu szmer i głośnie stękanie. Babcia nie spała i była chorą! Nie namyślając się ani chwili, Ola wyskoczyła z łóżka i chwyciwszy świecę,

wbiegła do pokoju panny Malickiej.

Staruszka rzeczywiście nie spała. Siedziała na łóżku z rękami złożonemi jak do modlitwy, bardzo blada.

Ujrzawszy Olę, obie do niej wyciągnęła ręce.

— Ty nie śpisz dziecko? — przemówiła osłabionym głosem — ja cię pewno zbudziłam

stękanem... w piersiach i boku boli mnie bardzo... Ale weźże chustkę na siebie,

bo się zaziębisz, potem przynieś tu książkę moją do nabożeństwa i usiądź przy mnie.

Ola nie mówiąc nic, machinalnie spełniła wszystkie polecenia, prawie nieprzytomna z trwogi i niepokoju.

Staruszka osunęła się na poduszki w widocznym osłabieniu, ale wzrokiem, pełnym czułości, wodziła ciągle za krzątającą się Olą.

— Usiądź tu koło mnie — rzekła, gdy Ola przyniosła jej książkę do nabożeństwa i

świecę postawiła na stolyczku. — Usiądź koło mnie na łóżku — powtórzyła, ujmując ją za rękę i przyciągając ku sobie.

Ola, zalekniona, patrzyła wielkimi oczyma na bladą, zmienioną twarz panny

Malickiej. Złowieszcze przeczucie wstrząsało jej całą istotą, mówiąc jej, że

prewidywana straszna chwila rozłąki z ukochaną, opiekunką nadchodzi. Myśli

zebrać nie mogła, olbrzymi ciężar przygniatał jej duszę.

— Babcia chora? — wyjąknęła zcicha po chwili. Staruszka tuląc ją w objęciach,

zrazu nie odpowiadała.

— Uspokój się — przemówiła w końcu — uspokój się dziecko i nie smuć się,

owszem, wraz ze mną

dziękuj Bogu. Prosiłam zawsze pana Jezusa Milatyńskiego o
przezwyciężenie, o śmierć
szczęśliwą i wysłuchał mnie. Przeżyłam dosyć na świecie, czas iść.
Żal mi ciebie
i Zygmunta, ale ty opiekę już znajdziesz, a Zygmunt mnie nie
potrzebuje. Tobie
zostawiam wszystko, co posiadam, wszystko. Pan Roman już wie o
tem. Jutro oddam
mu dla ciebie wszystkie oszczędności moje, przez wiele lat okładane;
będziesz
miała pomoc w dalszym życiu, które niech Bóg błogosławi.
Mówiła głosem pewnym, czasem tylko nieco ze wzruszenia drżącym,
a skończywszy,
raz jeszcze przytuliła Olę do siebie, nakreśliła ręką krzyżyk na jej
czole i
główek jej podniosła, spoglądając w oczy.
— No, nie patrz na mnie — rzekła - takim wyleknionym wzrokiem
Mnie teraz
lepiej, znacznie lepiej. Idź spać biedna dziecino, a ja się jeszcze
pomodłę.
I rzeczywiście, jakby jej sił w tej chwili przybyło, dźwignęła się i
usiadła na
łóżku, a nałożywszy drżącymi rękami okulary, wzięła książkę do
nabożeństwa,
oparła ją na kolanach i zaczęła się modlić.
Ola nie ruszała się jeszcze z miejsca, patrząc ciągle z niepokojem na
babcię,
która znowu uśmiechała się do niej łagodnie.
— Idź spać — powtórzyła.
Ola zeskoczyła z łóżka i wolnym krokiem, z głową na piersi
spuszczoną szła do
swego pokoju. Nie śmiała opierać się woli babci, a nie chciała jej
opuszczać.
Przymknawszy drzwi, długo stała za niemi, słuchając. Ale panna
Malicka

rzeczywiście zdawała się

zdrowszą; nie stękała teraz wcale, odmawiała tylko półgłosem
modlitwy i

wzdychała od czasu do czasu.

Chłód przejmował Ole, znużenie opanowywało. Drżąca upadła na
łóżko, otuliła się

kołdrą i za chwilę zasnęła snem kamiennym, zapominając o troskach i
niepokojach.

Gdy się zbudziła, oddawna był już dzień biały.

W jednym mgnieniu oka przypomniała sobie wszystko i w
największej trwodze

wyskoczyła z łóżka. Musiała spać długo, bardzo długo. Przez drzwi
dochodził ją

szmer rozmowy; poznawała głos pana Romana i cichy, osłabiony głos
panny

Maryanny.

— Dziękuję państwu — mówiła ona — dziękuję za wszystko. Ale
spełnijcie jeszcze

jedną prośbę, ostatnią, opiekujcie się tą biedną sierotą, Olą. Dla niej
niech

będą te pieniądze, pięć tysięcy rubli, zebranych grosz po groszu, dla
niej

wszystkie sprzęty moje i rzeczy.

Pan Roman starał się uspokoić staruszkę.

— Wszystko spełnię — odrzekł — ale panna Maryanna niepotrzebnie
się trwoży.

Posłałem już po lekarza.

— Na co mi doktora! — przerwała Malicka — byle tylko ksiądz
przybył co rychlej.

Pragnęłabym pana Marszałka ręce ucałować przed śmiercią i panią
pożegnać, ale

nie śmiem prosić. Zygmunia już nie zobaczę!

Ola nie mogła słuchać dłużej. Łzy cisnęły jej się do oczu, łkanie
rozrywało

piersi; gorączkowo ubierać się poczęła.

Za chwilę ozwał się dzwonek i odgłos kroków pod drzwiami, który nagle ucichł.

Wszedł ksiądz z Panem Bogiem do mieszkania.

Zaległo milczenie; staruszka została sama z księdzem i spowiadała się długo. Gdy

po skończonej spowiedzi, Ola weszła do pokoju, uderzył ją widok niezwykły.

Panna Malicka, jeszcze bledsza niż wczoraj, siedziała w fotelu.

Ubrana była w

odświętny swój szlafroczek zielony, a na głowie miała czepeczek biały z

szerokimi szarfami. Twarz jej pogodna zdawała się uśmiechać; oczy wgłąb

zapadłe, jaśniały.

W pokoju było już kilka osób. Obok fotela panny Malickiej stała pani Zenobia z

wyrazem załęknięcia w oczach szeroko otwartych i pani de Larjeac, niezwykle

smutna i poważna, dalej Roman serdecznie wzruszony.

Ale wśród zgromadzonych główną na siebie zwracała uwagę postać Marszałka.

Dowiedziawszy się o groźnym stanie Malickiej, nagle, jakby się obudził z

nieprzytomności. Pomimo usilnych prośb syna, aby tego nie czynił, kazał

natychmiast prowadzić się do oficyn.

Pod ramiona podtrzymywało go dwóch służących. Postać jego zgarbiła, ma,

zgrzybiała, opierała się na nich całym ciężarem i podaną była naprzód. Głowa

opadała co chwila na piersi, usta poruszały się nieustannie, bez dźwięku, ręce

drżały. Czasami Marszałek dźwigał głowę i spozierał mętnymi oczyma, bez wyrazu.

Wszyscy ukłękli. On jeden stał ciągle, drżący, pochylony.

Ksiądz zbliżał się do chorej z Przenajświętszym Sakramentem. Panna Maryanna

dźwignęła się z pomocą Romana z fotela i podtrzymywana przez niego, uklękła.

Ola, nie spuszczać z niej oka, widziała, jak jej twarz przybrała nagle wyraz

nieopisanego zachwytu, wiary, radości nieziemskiej. Ze złożonemi na piersiach

rękami, przyjęła wiatyk, a potem oba ramiona wyciągnęła ku niebu w uniesieniu

dziękczynnem.

Potem ksiądz odprawiał jeszcze modlitwy. Ola widziała, jak

dźwignięto staruszkę

z klęczek, posadzono ją napowrót w fotelu i dano jej gromnicę do ręki; widziała,

jak ona, znużona bardzo, omdlała po skończonym obrzędzie, leżała z głową na

poduszkach wspartą, bez czucia. Przy niej stał przybyły przed chwilą lekarz i

badał puls jej, trzymając za rękę. Widziała, jak Marszałek,

prowadzony ciągle

pod ramiona, suwając bezwładne nogi po ziemi, zbliżył się do chorej i głosem

dziwnym, bezdźwięcznym a drżącym, rzeki:

— Do widzenia, dobra Maryanno.

Widziała dalej, jak wyprowadzano Marszałka z pokoju, jak wszyscy obecni w

widocznej trwodze krzatali się około chorej, Ola zaś ciągle klęczała na jedniom

miejscu, bez łzy w oku, bez łkania w piersi, bezmowna, zmieniona nadmiarem

wrażenia.

Pani de Larjeac zbliżyła się do niej, mówiła jej coś, czego ona dobrze zrozumieć

nie była w stanie. W uszach dzwięczały jej tylko wyrazy, w oczach mieniło się wszystko, traciła przytomność.

Gdy po dwóch dniach silnej gorączki przyszła do siebie, była już poraz drugi sierotą. Panna Malicka nie żyła. I po raz drogi w życiu poczuła Ola w sercu bunt przeciw nieubłaganemu prawu śmierci, które jej znowu tak okropną wyrządzało krzywdę. Przeniesiona natychmiast do pałacu, otoczona opieką obojga państwa Czarnoszyńskich i szczególną troskliwością pani Stefanii, czuła się ona wszakże więcej niż kiedykolwiek sierotą. Przy pannie Malickiej, w jej cichem mieszkaniu, było schronienie Oli, ilekroć ludzie ją zmrozili, ilekroć świat obcy ją przeraził. Tam czuła się u siebie, bezpieczną. Tego schronienia nagle jej zabrakło i przejmował ją teraz chłód, pomimo dobroci otaczających osób, przenikał lęk niewytłómaczony, budziła się dawna nieufność i podejrzliwość, chociaż objawiała się teraz inaczej niż dawniej. Cicha, spokojna, a niezwykle poważna, Ola zdawała się z dniem każdym coraz bardziej dojrzewać umysłem w tym smutku, jaki jej duszę przygniatał... Zamknięta w sobie, niezdradzająca swych myśli przed nikim, przypatrywała się bacznie wszystkiemu, słuchała rozmów i dyskusyj i własną refleksją wyrabiała sobie sąd o ludziach i świecie.

Szczególne zajęcie budziły w niej opowiadania pani Stefanii o życiu i stosunkach paryskich. Wielkie miasto i to społeczeństwo wytworne, którego obraz kreśliła pani de Larjeac w pełnej żywych barw opowieści, przedstawiały się jej wyobraźni dziwnie chaotycznie, lecz bardzo ponętnie.

Nieraz przyszło jej na myśl: gdybym tam być mogła! Ale myśl ta, jako nieprawdopodobna, rychło ustępowała miejsca posepnej rezygnacji. A wówczas spoglądała z mimowolnym wyrzutem na Irenkę, taką swobodną, wesołą, szczęśliwą, przed którą świat i wszystkie jego rozkosze stały otworem. Stosunek jej z Irenką uległ teraz pewnej zmianie. Od czasu śmierci panny Malickiej, w ciągu kilku miesięcy następnych, zmuszona do ciągłego przebywania w pałacu, Ola, chcąc nie chcąc, stała się nieodstępną towarzyszką Irenki. Dotychczasowe koleje jej dzieciństwa nauczyły już ją panowania nad sobą i uczuciami swemi. Pierwotną więc swą niechęć dla Irenki umiała pokryć spokojnym chłodem, który znów bardzo zbawiennie zdawał się wpływać na trzpiotowate usposobienie córki pani de Larjeac. Z początku Irenką starała się wciągnąć Olę do zabaw swoich, zbyt dziecinnych i pustych. Ola nie odmawiała nigdy, ale poważnym słowem, uwagą spokojną umiała nieraz powstrzymać wybuchy zbytnej wesołości swej rówieśniczki, na której umysł pozyskiwała coraz więcej wpływu, zdobywała ufność i przywiązanie. Po pewnym przeciągu czasu doszło do

tego, że Irenką obejść się już prawie bez Oli nie mogła; zamiast dawnych pustych zabaw, czytywały razem, albo pod kierunkiem pani Zenobii odbywały wspólne lekcje muzyki i śpiewu. Wpływ ten nie uszedł bacznej uwagi pani de Larjeac, która, odrazu uderzona niezwykłymi przymiotami Oli, nie taiła swojej dla niej sympatii, a teraz coraz częściej rozplýwała się w pochwałach.

Pewnego dnia Ola, zajęta z Irenką czytaniem, usłyszała z przyległego pokoju rozmowę pani de Larjeac z Zenobią. Rozmawiały tak głośno, że pojedyncze frazesy dochodziły uszu Oli. Nie odrywając oczu od książki, słuchała, a musiała ją ta rozmowa mocno zająć, bo od czasu do czasu silne rumieńce wybiegały na jej bladą twarzyczkę.

— Oryginalna dziewczyna! — mówiła Stefania. — Nic podobnego w życiu nie widziałam. Rozwaga nad wiek, cała postać, ruchy, sposób obejścia się, bez zarzutu. A talent szczególnie do śpiewu niezwykły. Ręczę, że za granicą fortunę mogłaby zrobić tym głosem. Dziwię się doprawdy, że wam nigdy na myśl nie przyszło zbadać jej pochodzenie, bo niepodobna, aby to było dziecko gminne; pospolitości w niej nie dostrzegłam w niczem.

— Roman — odrzekła pani Zenobia — robił usilne poszukiwania, ale na próżno.

Wiadomo to tylko, co ci już mówiłam. Po śmierci Halickiej, Ola przyznała się

memu mężowi, że ma jakiś do kument, dany jej przez matkę i pokazała ten papier.

Zdarty, powalany, zdaje się być jakimś świadectwem — ale odczytać go

niepodobna. Roman szukał nawet podobno ojca jej matki, jakiegoś Soroki, ale ten

dawno umarł, śladu niema. Albo to jakaś tragedia, albo zwykła bardzo historia.

Les extrêmes se touchent.

— Szczególna rzecz — przerwała pani de Larjeac. — Żal mi tego dziecka

serdecznie. A teraz gdy widzę, jaki ona wpływ wywiera na usposobienie mego

trziota, Irenki, nie mogę się oprzeć pokusie...

— Pokusie? — z zadziwieniem powtórzyła Zenobia.

— A no, tak, chciałam już o tem kilka razy z wami pomówić.

Gdybyście nic

przeciwko temu nie mieli, jabym Olę zabrała z sobą do Paryża, tymczasowo jako

towarzyszkę Irenki a potem...

Frazes o Paryżu doszedł wyraźnie uszu Oli. Omal nie krzyknęła: czuła, że

blednie, że cała krew zbiega jej do serca, które gwałtownie tłukło się w piersi.

Przemocą wszakże opanowała wzruszenie i słuchała dalej. W pomieszeniu swem nie

dosłyszała końcowych słów pani de Larjeac i odpowiedzi Zenobii, która zapewne

projektowi temu sprzeciwić się musiała, bo Stefania tonem perswazyi mówiła

teraz dalej:

— Musicie przecież zważyć, że w ten sposób zapewnicie jej los najlepiej. Nie

taje, że dla mnie obecnie będzie to wielką dogodnością. Charakter Irenki nieraz

budził we mnie obawy; nadto jest trzpiotowata. Rozwaga Oli wpływa na nią niezmiernie zbawiennie, tem bardziej, że mój mały trzpiot nadspodziewanie do niej się przywiązał. Wczoraj wieczór ze łzami błagała mię Irenka, byśmy Olę z sobą zabrali.

— To dobre na razie — przerwała Zenobia — ale za lat parę Irenka dorośnie. Ola zaś nie będzie dla niej stosownem towarzystwem.

— Stosowniejszem w każdym razie niż płatne guwernantki, wzięte z paryskiego bruku. Znam ja je dobrze. Irenka będzie miała i tę korzyść, że przy Oli nie zapomni języka swej matki, co jest mojem gorącym życzeniem. W każdym razie łatwiej ja sobie poradzą,

niż wy, z taką dziewczyną która nie jest ani służką, ani krewną, a dorośnie i będzie bardzo ładna. Już teraz jest ładna, a — Zygmus wraca dorosłym młodzieńcem.

Z zapartym w piersi oddechem Ola słuchała. Serce jej było gwałtownie, pragnęła słyszeć każde słowo, ale w tem miejscu pani de Larjeac zniżyła głos, jakby umyślnie. Po chwili dopiero mówiła znów donośniej:

— Trudno to zresztą przewidzieć przyszłość. W każdym razie jabym odpowiedzialność całą wzięła na siebie i poradziłabym sobie łatwo. Jeżeli talent muzyczny Oli rozwinie się i dotrzyma, co zapowiada, jabym w Paryżu dostarczyć jej mogła łatwo wszelkich środków kształcenia się dalszego. Mogłaby ucześnieć

do konserwatorium, a skończywszy je, zostać nauczycielką, lub nawet wystąpić na scenie.

— Na scenie — przerwała Zenobia — fi donc! Stefania się zaśmiała.
— Żebyś ty wiedziała, jak się o to ubiegają! Cóż chcesz? w teatrze byłoby jej może lepiej niż gdzieindziej. W naszym świecie ciężyłoby jej zawsze nieznane pochodzenie, dziewczyna bez nazwiska! pensez donc. A w teatrze miałyby nazwisko odrazu, jakiegokolwiek...
Z rąk Oli wypadła książka na ziemię z łoskotem.
Porwała się z miejsca, blada, drżąca. Słowa pani de Larjeac, otwierając przed nią niespodziewane widoki, poruszyły zarazem najboleśniejże struny jej serca.

Irenka spojrzała na nią zdziwiona i żywo także powstała z miejsca. Zastęsziała i ona słowa matki, ale nie mogła pojąć, dlaczego takie wrażenie na Olę wywarły.
Zbladła twarz jej, oczy rozszerzone dziwnie, nie wyrażały radości, a ona przecież sądziła, że Ola przyjmie projekt wyjazdu z uniesieniem. Ulegając, jak zwykle, pierwszemu popędowi serca, Irenka zbliżyła się do Oli i obie ręce zarzuciła jej na szyję.
— Pojedziesz z nami! pojedziesz! — mówiła pieszczotliwie — nieprawdaż? ja tak mamę o to prosiłam.
Twarz Oli była gorąca, ręce jak lód zimne, cała postać zeszywniała nagle, usta milczały.
— Co tobie? — przemówiła po chwili Irenka, widząc, że na jej uściski Ola nie odpowiada wcale.

I na to zapytanie odpowiedzi nie było.
Ola wyrwała się z objęć zdziwionej Irenki i uciekła do swego pokoju,
gdzie się
na klucz zamknęła.
Pragnęła samotności, chciała myśli zebrać. W zamęcie uczuć, jakie jej
sercem
targ-ały, przemagało jedno: okropnego upokorzenia i goryczy. W
uszech brzmiały
jej słowa pani de Larjeac: Dziewczyna bez nazwiska! — a zaraz
potem dziwnym
jakimś, dotychczas nieznanym dźwiękiem odbijało się w jej sercu
wymówione przez
panią Stefanię imię: Zygmus! i wyrazy:
— Ona będzie bardzo ładna, a on — dorosły młodzieniec!

VIII.

Pani de Larjeac miała zamiar zabawić dłużej w Jurpolu, doczekać się
powrotu
Zygmunta z Odesy i przebyć letnie miesiące z nim razem w gronie
rodziny.
Niespodziewane wszakże wiadomości, nadeszłe z Paryża, zmusiły
hrabinę do
rychlejszego wyjazdu dla załatwienia ważnych spraw majątkowych i
familijnych.
Zwłoka była niemożliwą i hrabina z wielkim żalem gotowała się do
podróży.
Przez kilka ostatnich dni jej pobytu gwarno i ludno było w pałacu
jurpolskim. Z
bliższej i dalszej okolicy zjechali krewni Czarnoszyńskich dla
pożegnania
odjeżdżającej, a także i całe sąsiedztwo. Obok karmazynów,
szaraczki, obok
dorobkowiczów, osiedlonych tu niedawno, ziemianie odwieczni, obok
bywalców,
otartych na szerokim świecie, skromni parafianie.

Duszą całego tego zgromadzenia była sama pani de Larjeac, która, widząc nieporadność pani Zenobii, wzięła na siebie chętnie rolę gospodyni domu, a dla każdego z obecnych miała miłe słówko, każdego umia-

ła ująć, o każdym potrafiła pamiętać. To też wszyscy chórem na jej cześć hymn pochwalny śpiewali.

— Co to za miła, jaka dobra osoba! — wołał jeden.

— A jaka dystygowana! — dodawał drugi.

— Prawdziwa wielka pani! — konkludował trzeci. Żywą ciekawość wszystkich przybyłych obudzała

Ola, o której wiadano już, że ją hrabina z sobą do Paryża zabiera.

Poważna

zawsze, spokojna z pozoru, dopomagała ona wraz z Irenką hrabinie i pani Zenobii

w zajęciach gospodarskich, a czuła na sobie, jak brzemię tę powszechną ciekawość

i napróżno usiłowała jak najmniej zwracać na siebie uwagi.

Wśród tłumu gości przechadzał się hrabia Jakób jednostajnym,

powolnym krokiem,

sam jeden obojętny, nieporuszony i milczący w tym zgiełku rozmów i śmiechów.

Czasem przystawał na chwilę i zdawał się przysłuchiwać. Ale

wówczas rozmowa wnet

milczała, a oczy wszystkich zwracały się ku niemu. Niejeden szlachcic, zaintrygowany tą postacią, tak odmienną od codziennie spotykanych, wlepił w

twarz jego niedyskretne spojrzenie, albo obchodził go zdaleka, przyglądając mu

się od stóp do głów jak dziwowisku. Wówczas hrabia, nie zmieniając poważnego

wyrazu twarzy, kłaniał się patrzącemu i odchodził.

— Waryat! — szeptano po cichu.

Jednego wieczora, w przeddzień wyjazdu hrabiny, po wykwintnym obiedzie, podanym późno, liczne towarzystwo rozpięchło się po obszernych salonach, gru-

pując się wedle upodobań, sympatyj, i stosunków sąsiedzkich. W sali jadalnej i przyległych pokojach było bardzo gwarno. Szlachta, podochocona nieco winem, rozmawiała głośno, śmiała się jeszcze głośniej, dodając od czasu do czasu ciszej jakąś krytyczną uwagę.

— Uważaliście państwo — mówił krepny, mały, garbaty nieco pan Skolski, deputatem tytułowany, a mający opinię złośliwego i dowcipnego — uważaliście, że były dzisiaj dwa gatunki wina na stole?

— Było więcej — ktoś wtrącił.

— Ale dwa szczególnie odrębne — przerwał deputat, któremu w tem rozróżnieniu chodziło o dowcip na prędce ukuty.

— Jakie? jakie? — pytano ciekawie.

— Na stole głównym, magnackim, było i wino pańskie, vin du graf, dla hrabiów;

dla szlachty podawano inne, zwykłe vin dureń.

Tryumfująco spojrział deputat po obecnych, którzy głośnym wybuchnęli śmiechem,

niewymownie zadowoleni z tego przekręcenia nazw wina, de Graves i du Rhin.

Nagle śmiechy umilkły, przez salę bowiem przechodził w tej chwili pan Roman,

wprowadzając ceremonialnie nowego gościa. Wszyscy zwrócili wzrok na przybysza.

Był to mężczyzna bardzo niemłody, chociaż z twarzy i postaci niezmiernie

ruchliwej niepodobna było wieku oznaczyć. Można mu było dać lat sześćdziesiąt

kilka, a z równą słuszością posądzić i o znacznie wie-

cej. Niewielkiego wzrostu, bardzo szczupły, ruchy miał żywe, bystre, nerwowe, a

twarz, którą raz zobaczywszy, trudno było zapomnieć. Była okryta jakby siecią

zmarszczek i drobnych fałdzików, zabarwionych na policzkach wystających

krwistemi żyłkami. Usta małe, wąskie, pokryte były krótko przyciętym wąsem,

który białął, zarówno jak włosy także krótko przy samej głowie strzyżone. Od

czasu do czasu bystre spojrzenie padało ukośnie zpod okularów ciemnych, które

nie pozwalały dobrze dostrzedz wyrazu oczu, a spoczywały na nosie dużym, ostro

zakończonym, co całej twarzy nadawało wyraz drapieżnego ptaka. Ale co

najbardziej uderzało w tej twarzy, to kurcz nerwowy, który chwilami ściągał ją z

lewej strony od ust do oka i nadawał jej wyraz niewymownie złośliwego uśmiechu.

Mały ten człowieczek szedł szybko obok pana Czarnoszyńskiego, tłumacząc mu się z

tak spóźnionego przyjazdu.

— Noc ciemna, choć oko wykol — mówił — oś pękła w powozie, dojechać do domu nie mogłem.

Przeszli przez salę i zniknęli w przyległym niewielkim pokoju.

— Jakiś jastrząb spadł na Jurpol — rzekł jeden ze szlachty.

— Rzeczywiście do jastrzębia podobny — potwierdzono.

— Nie znacie go panowie? — ze zdziwieniem przerwał deputat — a wszak to

właściciel Oksauiny, złotego niegdyś jabłka w jurpolskim kluczu, pan Borski.

Ciekawa figura!

Deputat chciał jeszcze coś mówić, ale go już nie słuchano, spieszono bowiem tłumnie do drzwi, wiodących do saloniku, gdzie się w tej chwili odbywała prezentacya nowego, a niespodziewanego gościa. Przybysz odrazu zainteresował wszystkich.

W saloniku tym zebrana była cała bliższa i dalsza rodzina państwa Czarnoszyńskich, a nawet Marszałek, który zwykle wieczorami nie opuszczał swego pokoju, dziś, czując się lepiej i nie chcąc tracić ostatnich chwil pobytu pani de Larjeac, siedział w dużem poręczowym krześle, uśmiechając się chwilami łagodnie do Stefanii, która ze zwykłą sobie werwą opowiadała jakiś ciekawy epizod ze swych paryskich dziejów.

— Nie wszystko słyszę, co mówisz — odezwał się drżącym głosem Marszałek — ale to nic, zajmuje mnie to bardzo.

I opuszczał głowę na piersi.

Zgrzybiała jego postać bezwładnie spoczywała w fotelu. Twarz nacechowana już

była tym odrębnym wyrazem bardzo późnej starości, która gasi blask oka, ściiera

barwę z oblicza i rzuca na nie, jakby cień bliskiej śmierci, czyniąc je z każdym

dniem coraz bardziej przeźroczystem, bladym, martwym, niemal trupem. Postać ta,

ubrana starannie a po staroświecku, nieruchomo siedząca, z głową spuszczoną, i

wzrokiem mętным, zamglonym patrząca przed siebie, mogłaby wydać się nieżywą

mumią z zamierzchłych czasów, gdyby nie ustawiczny ruch głowy i palców obu rąk,

wyciągniętych bezwładnie na poręczach fotela. Ruch ten bezwiedny,
automatyczny i
uśmiech łagodny, uprzejmy, wybiegający

czasem na usta, świadczyły tylko o życiu w tem już na poły
zmarwiałem ciebie.

Dźwignął wszakże Marszałek trzęsącą głowę, gdy wszedł syn jego,
wprowadzając
nowego gościa.

Honian żywo zbliżył się do żony, która siedziała obok pani de Larjeac
i na widok
wchodzących powstała.

— Zeniu! — rzekł — pan Borski, właściciel Oksaniny, który jednak
dotychczas nie
był w kraju.

— Zmuszony byłem bawić za granicą — kłaniając się nisko, ozwał
się nowoprzybyły
głosem pewnym, ale suchym, twardym, urywanym — i nie mogłem
dotychczas złożyć

pani mego uszanowania. Przypadek zrządził, że czynię to w
najniestosowniejszej
porze i w chwili familijnego zjazdu...

— O! — przerwała pani Zenobia, dość sztywnie podając gościowi
rękę — zawsze nam
bardzo miło powitać sąsiada.

Pan Borski znowu się skłonił.

— Do miana sąsiada — rzekł — nie zdobyłem sobie niestety, jeszcze
prawa.

Zaledwie od dwóch tygodni jestem w Oksaninie. Zasłużyć na nie
będzie mojem
staraniem.

Z kolei zbliżono się do Marszałka.

Starzec od chwili wejścia Borskiego wodził za nim mętym
wzrokiem. Usta

poruszały się i powtarzały ciągle z zalem dosłyszana nazwę:

— Oksanina, Oksanina...

Gdy syn stanął przed nim, prowadząc Borskiego,

Marszałek poruszył się i całą siłą opierając się na poręczach fotela, dźwignął swą postać na nogi.

— Pan Burski! — głośno, nachylając się do ucha ojca, przemówił Roman.

Marszałek całg, siłą wzroku wpił się w twarz Borskiego. Pochylił się ku niemu,

wyciągając zwolna, machinalnie, drżącą prawą rękę.

— Przepraszam — rzekł — jak imię? niedosłyszałem.

— Pan Faustyn Borski! — powtórzył jeszcze głośniejszym głosem, podczas gdy twarz gościa ścisnął ciągle kurcz nerwowo.

— Faustyn Borski — powtórzył zwolna starzec. Rękę wyciągniętą cofnął, nie dotknąwszy dłoni gościa, który zmieszał się i widocznie stracił pewność siebie.

— Faustyn Borski! — powtórzył raz jeszcze Marszałek, nie spuszczać oczu z wykrzywionej kurczem twarzy przybyłego — wszakże ja znam, znam...

— A żona? — zapytał, jakby mu nagle pamięć przeszłości wróciła. Pan Faustyn wzdrygnął się.

— Dziękuję — bąknął — za granicą mieszka z synem.

Marszałek usiadł a raczej upadł na fotel, widocznie znużony.

Prezentacja nowego sąsiada szła dalej, ale rozmowa jego wejściem przerwana już

się ożywić nie mogła. Marszałek niespokojnie się poruszał, coś do siebie

szeptał, a wkrótce gdy Borski po skończonych przedsta-

wieniach, rozpoczął z panią Stefanią rozmowę, oświadczył, że odchodzi do siebie.

Ruszyli się wszyscy. Roman podbiegł ku ojcu, który uprzejmym ukłonem i ruchem ręki pożegnawszy towarzystwo i uściskawszy ze szczególną czułością Stefanię, odchodził zwolna, wsparty na ramieniu syna.

— Więc Oksaninę to on kupił, ten Borski? — rzekł zcicha, głosem drżącym do Romana.

— Mówiłem przecie ojcu...

— Być może, nie pamiętam, nie uważałem... Mówiłeś: obywatel z Wołynia, nazwiska mozem niedosłyszał. Nie przypuszczałem, aby to był ten Borski.

— Ojciec go znał dawniej? — wtrącił Roman.

— Czy ja go znam? — powtórzył żywo Marszałek. — Jego osobiście mało, prawie

nic, ale, z opinii bardzo dobrze. Znałem żonę jego, jeszcze młodziutką, śliczną

panienkę. Anielskie, biedne stworzenie,

Starzec zamilkł w posepnej zadumie. Szedł zwolna, wsparty na ramieniu syna, siwą głową trząsł i wzdychał.

— A opinia o panu Borskim jakąż ona była? — zapytał znowu Roman, wprowadziwszy ojca do jego pokoju.

Starzec zrazu nie odpowiedział, ręką tylko machnął, a po chwili rzekł.

— Opinia była zła, bardzo zła. Możesz sobie powiedzieć, że Oksaninę djabeł wziął.

Więcej Marszałek mówić nie chciał i pożegnał syna, widocznie niezwykle

wzruszony.

Roman wrócił jeszcze do salonu, ale tu goście byli

już w rozsypce. Pojawienie się Borskiego wywołało rozstrój ogólny, rzuciło chłód

na całe towarzystwo. Żegnano się tedy z gospodynią domu i hrabiną i rozchodzono

tłumnie do gościnnych pokoi.

Roman z całą uprzejmością odprowadzał pana Borskiego do pokoju dlań

przeznaczonego. Odbywszy tę ceremonię i życząc dobrej nocy gościowi, chciał już

odchodzić, gdy Borski zatrzymał go w progu.

— Musze — rzekł z pewnem wahaniem w głosie — muszę pomówić z panem. Czy pomimo

spóźnionej pory nie mógłbyś mi pan ofiarować teraz chwili czasu?

Ton, jakim Borski mówił, tknął Romana niemile. Widział on dobrze sposób, w jaki

Marszałek wyciągniętą ku Borskiemu rękę cofnął nagle, zauważył zmieszanie się

gościa, przeczuwał więc burzę.

— Dziś rzeczywiście — odrzekł — liczne mam jeszcze zajęcia i obowiązki

gospodarza domu. Wolałbym jutro, ale jeżeli sprawa zwłoki nie cierpi...

— Inaczej nie śmiałbym — przerwał Borski, siląc się na uśmiech, który wnet

przeszedł w kurcz nerwowy. — Zresztą, może pan sam się domyślasz, co mię do tej

rozmowy skłania. Niepodobna, abyś pan nie zauważył sposobu, w jaki mię przyjął

ojciec pański.

Roman podchwycił żywo:

— Za złe pan tego brać nie możesz starcowi. Mój biedny ojciec z dniem każdym

coraz słabszy, coraz mniej mu pamięć służy. Chwilami przytomność go odbiega.

Borski zaśmiał się gorzko. — Sądzę — rzekł — że pamięć ma dobrą, lepszą

niż pan mniemasz, niż się spodziewałem. Ja pana Marszałka znam z lat dawnych...

— Właśnie przed chwilą ojciec mi wspominał — wtrącił Roman.

— Co mówił? — żywo przerwał Borski, chwytając go za rękę.

— Że znał pana dawniej — odrzekł Roman, z zadziwieniem patrząc na rozognioną i ciąglým kurczem targaną twarz Borskiego.

— Więcej nic? — spytał go pan Faustyn, przenikliwe spojrzenie z pod okularów

rzucając na Romana — to dziwne. Więc ja panu powiem, kiedy i w jakich

okolicznościach znaleźliśmy się niegdyś. A dlatego dziś, zaraz, muszę mówić o tem,

że od rezultatu tej rozmowy zależy, czy będę mógł w tym domu, pod tym dachem,

dłużej pozostać.

— Ależ zaręczam panu... zaczął znowu Roman.

— Nie zaręczaj pan, ja wiem, co mówię — stanowczym głosem przerwał Borski —

zmienisz sam zdanie, gdy się dowiesz o wszystkim. Ale pierwiej odpowiedz mi pan

szczerze na jedno pytanie. Czy wówczas, gdy się rozeszła wieść, że nabył

Oksaninę, pan Marszałek nigdy panu o mnie nie mówił? czy w ogóle nie dochodziły

pana jakie o mnie plotki?

Roman, coraz bardziej zdumiony, patrzył na Borskiego, który stał przed nim

widocznie poruszony, blady, drżący.

— Ojciec mój — odrzekł z wolna — od lat kilku już nie zajmuje się żadnymi

sprawami, stracił pamięć jak to już panu wspomniałem. O sprzedaży Oksaniny

wiedział, ale o osobę nabywcy mało mu chodziło, samym faktem sprzedaży się

martwił. Co do plotek, wiem że obiegały, alem ich nie słuchał.

Borski gorzko się uśmiechnął.

— Panie Czarnoszyński — rzekł głosem stłumionym — usiądź pan i posłuchaj. Mam

panu wiele i bardzo ważnych rzeczy do powiedzenia, od których spokój mojej

nieszczęśliwej starości, a może i los pana zależy. Dziwnie się czasem płaczą

losy ludzi na świecie!

Głos łamał mu się w piersi. Upadł na krzesło, zakrywając twarz rękami.

Roman przejęty do głębi widokiem tego wzruszenia, przystąpił bliżej.

— Panie Borski — przemówił — jeżeli to, co mój ojciec dziś, zapewne mimowolnie

uczynił, sprawiło panu taką przykrość, to ja pana przepraszam.

Borski się porwał.

— Nie przepraszaj pan! — krzyknął — nie przepraszaj, dopóki się nie dowiesz,

abyś później własnych słów nie żałował. Zanim jednak przystąpię do rzeczy, muszę

panu w kilku słowach określić nasz wzajemny stosunek. Zostało mi jeszcze tyle

godności, że nie chcę występować w roli proszącego bezwzględnie.

Nawzajem sobie,

panie Czarnoszyński, możemy być pomocni. Ja stary jestem, znużony życiem,

chciałbym zyskać spokój na ostatnie dni moje, pan mi ten spokój, jeśli zechcesz,

zapewnić możesz. Ja z mojej strony mogę być panu pomocnym i uchylić

niebezpieczeństwo, które panu grozi.

Mówiąc to Borski chodził żywo po pokoju. Głos

jego stawał się znowu suchym, ostrym, bez tego akcentu uczucia,

które go przed

chwilą poruszało.

Roman coraz bardziej treścią rozmowy zaciekawiony, nie tracił ani jednego wyrazu, lecz słuchając słów Borskiego, zbliżył się na palcach do drzwi, oddzielających ten pokój od dalszych apartamentów. Poza temi drzwiami było mieszkanie Marszałka i w tej właśnie chwili zdało się Romanowi, że słyszy tam szmer niezwykły. Czyżby Marszałek nie spał jeszcze? Był widocznie bardzo poruszony tego wieczora, może zachorował? Z niepokojem nasłuchiwał Roman, ale tam była teraz zupełna cisza.

Ostatnie słowa Borskiego tknęły bardzo niemile jego uwagę.

— Niebezpieczeństwo? - powtórzył — jakież to niebezpieczeństwo mi grozi?

— Wiesz pan o niem oddawna — odparł Borski tonem niemal szorstkim — wiedzieć powinieś lepiej odemnie, ale się nie zastanawiasz. Grozi panu zupełna, całkowita ruina.

Roman podniósł głowę i spojrzał hardo, na Borskiego, który stał przed nim na pozór zupełnie spokojny, badawczo spoglądając na niego z pod okularów. Tylko nieustanny kurcz nerwowy, ściągając twarz w uśmiech szyderski, świadczył o wewnętrznym wzburzeniu.

Jakiem prawem — myślał Roman — człowiek ten, odrazu mu tak niemiły, śmiał się mięszać do spraw jego? jakim prawem przypominał mu z pewną wymó-

wką, że mało dba o własne interesa? czy dlatego, że dobrowolnie narzucił mu się prawie z pożyczką?

— Ruina? — powtórzył zimno — mam nadzieję, że tak źle nie jest.

Interesa są

ciężkie, ale z nich wybrnę i wierzycieli moich rychło splęcę.

Wszedłem w roku

zeszłym do spółki z Towarzystwem, które prowadzi dwie

najznaczniesze fabryki

cukrowe,

— I zaangażowałeś się pan bardzo znacznie — przerwał Borski —
sądząc, że się

wyratujesz. Tymczasem...

Wstrzymał się i zmieniając ton, mówił dalej głosem urywanym,

silnym, a szybko,

jakby rychło dokończyć chciał:

— Wracam z Kijowa. Spółka cukrownicza, do której pan niebacznie
przystąpiłeś,

rozbiła się; fabryki idą źle, odkryto malwersacye w zarządzie.

Niektórzy,

przezorniejsi od pana, wycofali się wczas, inni pójdą z kwitkiem, jeśli
się

ratunek rychło nie znajdzie, a oto dziś przy braku gotówki nie łatwo.

Teraz

przedstaw pan sobie jasno swoją pozycję. Wierzytelności na Jurpolu i
tak są

znaczne, bardzo znaczne, do nich przybywają teraz nowe ciężary

wskutek rozbicia

się i upadku spółki. Wiadomość o tera, dziś jeszcze nie wszystkim

znana, pomnoży

nieufność. Jutro, pojutrze, znaczna część tych czułych sąsiadów,

których pan

dzisiaj uprzejmie gościsz, a którzy są wierzycielami pańskimi, wystąpi
do pana z

żądaniami. Zadośćuczynić im nie będziesz pan mógł. A wtedy co?

Roman słuchał i czuł, że krew w żyłach mu stygnie. Wzrokiem

osłupiałym patrzył

na Borskiego, usta

w pól otworzył, chciał mówić, ale żaden dźwięk wydobyć się z nich nie mógł. Coś go za, gardło jakby szponami chwyciło. To, co oddawna przeczuwał, spełniło się. Owa spółka cukrownicza, to była rzeczywiście ostatnia deska ratunku, której się chwycił, chociaż nie miał nawet wielkiej nadziei powodzenia. Nie ufał ludziom, którzy stanęli na czele wielkiego przedsięwzięcia, a jednak dał się złudzić obietnicom świetnym, pozwolił użyć swego nazwiska, które, jako powszechnie znane, innych pociągnąć i zachęcić miało. Pocieszał się wówczas tem, że jego przewidywania i nieufność nie mają podstawy.

— Czy wiadomość pewna?... — wyjąkał po długiej chwili milczenia, usiłując zapanować nad swoim wzruszeniem.

— Czy pewna?... — powtórzył ironicznie Borski — należysz pan do tych, którzy do ostatniej chwili pragną mieć oczy zamknięte. Otwierając je panu, wyrządzam ci przysługę, chociaż nie twierdzę, abym tu działał wyłącznie dla pańskiego dobra; powiedziałem już, że wzajemnie możemy być sobie bardzo pożyteczni. Otoż ja panu otwieram oczy na niebezpieczeństwo i podam środek skuteczny ratunku.

— A co ja mam uczynić w zamian? — przerwał Roman, którego ostry, zimny ton, jakim przemawiał Borski, dotykał niemile i do przytomności budził.

— Usiądźmy — rzekł Borski.

Zajął miejsce na krześle przy stoliku, przysuwa-

jąc fotel Czarnoszyńskiemu, który machinalnie usiadł na nim, milcząc.

— Mógłbym panu odrazu — mówił dalej pan Faustyn, wyciągając z zanadru papiery

— przedstawić dokładne rachunki, które najskrupulatniej ułożyłem.

Daję je panu

do przejrzania; przekonasz się z nich, że nie przesadziłem, mówiąc o ruinie.

Dziś, dla spóźnionej pory, powiem krótko: Aby ruch fabryki nie ustał, potrzeba

natychmiast, co najmniej dwóch kroć sto tysięcy rubli. Zeszłoroczna kampania

chybiła, deficyt wynosi prawie tyleż.

— To ciąży na wszystkich wspólnikach, których jest...

— Bardzo wielu — podchwycił Borski — ale wszyscy niemal w tej samej co pan

pozycji: gotówki brak, żadnego już kredytu, a mnóstwo nadziei na zyski, których

nie ma. Fabryki mają przyszłość — powiesz pan; temu nie przeczę, ale puszczając

się na to przedsiębiorstwo, należało mieć trzy razy tyle siły materialnej,

ileście jej mieli razem. Nie doczekacie się więc tej przyszłości; skorzysta na

tem ten, kto będzie miał ową siłę, której wam braknie, kto, wzięwszy teraz od

was całe przedsiębiorstwo za bezcen, poprowadzi je inaczej, umiejętnie, z

mniejszym nakładem, a większym zyskiem dla siebie. Założyciele spółki, do

których i pan należysz, stracą niemal wszystko, a do tych strat materialnych

przybywa i moralna. Ci najbiedniejsi, mali akcyonariusze, których może nie pan,

ale inni, posługując się pańskim nazwiskiem, wciągnęli, a którzy oczywiście

nie ocala nic z rozbicia, kogo o ruinę swoją, panie Czarnoszyński,
winić będą?

Roman porwał się z miejsca.

— Nie dręcz mię pan — zawołał. — Tak mówisz, jakbyś umyślnie
chciał zwiększać
moje nieszczęście zgnębieniem moralnem. Obiecujesz dać radę,
mówże więc, gdzie
ona?

— Uspokój się pan — przemówił Borski, biorąc Czarnoszyńskiego
za rękę i
zmuszając, aby znów zajął miejsce w fotelu — nie chcę wcale pana
dręczyć, lecz
dążę do tego, byś jasno na sytuację spojrział. Teraz ją widzisz,
rozumiesz, że
grozi ci nie tylko materyalna ale i moralna ruina; teraz więc mogę
przedstawić
swoje położenie i to, czego od pana żądam. Porównasz potem, czy to,
co ja gotów
jestem dla pana uczynić, warte jest tego, co pan dla mnie zrobić
możesz.

Wstał i przeszedł się kilka razy po pokoju. Nagle, stanąwszy w
najciemniejszym

kącie, głosem stłumionym a dobitnie mówić począł:

— W szczegóły wchodzić nie będę, za długoby to trwało, a ja
cierpliwości pana i
tak nadużywam. Powiem więc krótko. Z niewielkim kapitałem, ale z
dużym zasobem
siły woli, zacząwszy w młodym wieku gospodarować na Wołynia,
doszedłem wkrótce
do znacznego majątku. Odrazu patrzano na mnie nieufnie. Byłem
energiczny,
lekceważący ludzi i pewne przesady; szedłem, przyznaję, przebojem.
Zimny,
szczyłem z uczuć; silny, pogardzałem słabością. Rzucono na mnie
kamieniem.
Niedołężni zazdrościli mi energii, bojaźliwi śmiałości, wszyscy
powodzenia.

Zaczęto sze-

rzyć o mnie potworne wieści. Powiedziano, że krzywdą ludzką i
nikczemnymi
kompromisami doszedłem do majątku. Wyrzucono mię ze
społeczeństwa, jak wroga. Z
początku śmiałem się z tego; nie potrzebowałem ludzi, bo piekła mię
gorączka
robienia majątku i absorbowowała wszystkie moje siły i całą uwagę.
Wszakże zawiść
nie ograniczyła się na tem, że zbierano na mnie sądy i wydawano
obywatelskie
wyroki. Postarano się o zakłócenie mego domowego spokoju. Żona
moja nie mogąc
znieść takiego życia, opuściła mnie i wyjechała za granicę. A syn...
Urwał nagle. Głos, który zrazu stłumiony, coraz potężniał, złamał się
teraz w
piersi. Borski przeszedł się znowu po pokoju i po dłuższej chwili
milczenia
zbliżył się do Romana.
— Pan masz syna? — spytał cicho, niemal rzewnie.
Roman drgnął mimowolnie. W świetle, jakie padało na twarz
Borskiego od świec,
stojących na stoliku, widział w tej chwili wyraźnie jego rysy,
zmienione, blade.
Zsiniałe wargi drżały.
Głębokie współczucie przejęło go na widok człowieka, którego
gnębiło okropne
jakieś cierpienie moralne.
— Pan masz syna — powtórzył Borski tym samym głosem — więc
zrozumiesz mnie.
Kochałem go nad życie, jego jednego na świecie. Zabrali mi go, struli
jadem
sentymalizmu, mszcząc się za mój chłód i nieugiętość. Syn wyparł
się ojca.
Jam dla niego pracował i majątek zbierał, a on wszystkim wzgardził!

Opanowany jakimś szalem, którego natury badać nie chcę, napojony ideami, przeciw którym ja całe życie walczyłem, nie tylko że opuścił dom mój, ale jakby na urągowisko, przybrał strój prosty, wieśniaczy i ożenił się z chłopką!... Mówiąc to Borski odstał od Romana i żywo chodził po pokoju. Silne wzburzenie miało nim; rękami rzucał, głową trząsał, głos to podnosił, to go zniżał, a czasem szeptał, jakby mu tchu brakło w piersi. Roman słuchał, nie przerywając. Słowa Borskiego wywierały na nim silne wrażenie. Nie mógł się jednak jeszcze domyśleć, jaki zachodzi związek pomiędzy tą historią a obecną jego sytuacją i w jaki sposób on w tem wszystkim mógł być Borskiemu pomocnym.

— Cobyś pan uczynił na mojem miejscu? — ciągnął dalej Borski — jam kochał syna pomimo to wszystko, chciałem go ocalić, chciałem go wyrwać z tej sytuacji, w jaką się sam wtrącił... A on?.. Zbliżył się szybkim ruchem do Romana i w najwyższem uniesieniu szarpnął go za ramię.

— Wiesz pan, co zrobił?... podniósł rękę na mnie! on, ukochany syn mój!... dziecko przeciw ojcu! Mała postać starca konwulsyjnie drgała, pierś jego rozrywało łkanie, mówić dalej nie mógł.

Roman żywym przejęty współczuciem, powstał i uściskał go mocno za rękę.

— Uspokój się pan! — przemówił — pojmuję boleść pana, odczuwam ją głęboko. Ale

poco pan poruszasz te wspomnienia, które cię drażnią?
Borski wyrwał swą rękę z uścisku Romana.

— Muszę dokończyć — rzekł głosem pewniejszym. — Lat wiele od
tego czasu minęło,
a jeszcze targa się dusza w bólu bezsilnym. Przebyłem wszakże
wszystko. Gdym
utracił syna...

— Umaił? — przerwał Roman.

— Nie umarł, gorzej jeszcze — ozwał się ponuro Borski — ale to nie
należy do
rzeczy. Dość, zem go stracił, a wówczas i wszystko inne straciło dla
mnie

wartość. Nie chciałem i nie mogłem dłużej walczyć. Równocześnie
łaskawi

sąsiedzi, szlachta wołyńska, postarała się, aby mię do reszty zgnębić.
Ojciec

pański, pan Marszałek, mieszkał wówczas na Wołyniu i brał udział we
wszystkich

poprzednich, na mnie składanych sądach. I teraz nie odmówił swego
udziału.

Zebrano się raz jeszcze i wydano wyrok ostateczny, odsądzający mię
od czci i

wiary! Rozumiesz pan teraz, dlaczego ojciec pański nie podał mi
dzisiaj ręki?

Roman milczał.

Borski zbliżył się do niego i badawczy wzrok utkwiał w jego twarz
pomieszana.

— A teraz, panie Czarnoszyński, przystępuję do rzeczy. Przed
pięcioma laty
kupiłem Oksaninę, nie dla zysku, to chyba pan wie najlepiej, ale
dlatego, aby

mieć w tym zakątku schronienie na ostatnie dni życia. Po owym
ostatecznym

wyroku, nie chcąc już walczyć, bo i dla kogoż walczyć miałem,
wyjechałem za

granicę. Nie będę pana poruszał opisem tej tułaczki. Była gorzka,
rozpaczliwie
smutna, ale póki siły miałem i zdrowie, póki byłem młodszy, znosiłem
ją mężnie.
Przyszła starość. Pan nie masz pojęcia, co to

jest starość w takich warunkach, gdy się nic i nikogo niema na
szerokim świecie.
Chwyta się wówczas człowieka głupia tęsknota i takie przychodzą
myśli, jakich
się całe życie nie miało... Nienawidziłem tego społeczeństwa, które
mnie
potępiło, a zapragnąłem wrócić. I dlatego kupiłem Oksaninę, sądząc, że
w tym
zakątku nikt mnie nie zna i nie pozna. Mniemałem wówczas, że ojciec
pański
zawsze na Wołyniu mieszka: dowiedziawszy się, że jest w Jurpolu,
wyjechałem
znowu i nie wróciłem, aż mi powiedziano, że stracił pamięć, że
zdziecinniał.
Chciałem uniknąć starcia. Przyznaję, że w tym celu chciałem pana
dobrze dla
siebie usposobić, ująć. i dlatego nie proszony, przyszedłem panu z
pomocą w
Kijowie. To wszystko napróżno! Dzisiejsza scena jest dowodem, że
pan nie
chciałeś lub nie mogłeś nic dla mnie dotychczas uczynić, a Marszałek
pamięta
wszystko, i że dopóki on tu jest, ja spokoju mieć nie mogę! A ja go
dziś pragnę
tak gorąco, jak niegdyś majątku i szczęścia mojego syna!..., Widzisz
pan przed
sobą — mówił z coraz większą siłą — starca, który tu na ziemi swej,
chciał
skołatana głowę złożyć, nie żądając nic więcej. Ale ta obelga, jaka
dziś na moją

siwiznę spadła, poruszyła we mnie wszystko i wszystko
przypomniała.. Teraz już
chcę więcej, chcę rehabilitacji zupełnej! Do pana więc przychodzę i
mówię: Panie
Czarnoszyński, czeka cię niechybna ruina, a może i hańba za
niedotrzymanie
zobowiązań, — ja pana ocale!.. cały swój majątek oddam, by to
uczynić; bez
wysiłku zresztą i nie narażając się nawet na straty, wydźwignę pana,
ale za to
skłonisz ojca, by mi publicznie wrócił

cześć, podał mi rękę i wyrok niegdyś na mnie wydany, iako
niesprawiedliwy,
cofnął.
Roman milczał.
Borski przyskoczył ku niemu i za obie ręce schwycił.
— Panie! — zawołał — Ty nie wiesz, co to jest starość, jak moja, w
opuszczeniu,
samotności i hańbie! Ja pragnę spokoju! chcę zamknąć oczy, nie
słyszając obelg,
chcę wiedzieć, że nikt już nie uczyni mi tego, co dziś uczynić mógł
ojciec
pański bezkarnie! Czy chcesz doczekać się także takiej starości?
Odpowiedzi nie było, a to milczenie przyprowadzało Borskiego do
rozpaczy.
— Jakto! — krzyknął — pan się wahasz? Więc chyba nie rozumiesz
jeszcze, co cię
czeka jutro, pojutrze?..
Nie skończył, i odskoczywszy nagle od Romana aż pod ścianę z
przerażenia się
zatonął, patrząc przed siebie osłupiałymi oczyma.
Z cichym szmerem otwarły się w tej chwili drzwi, dzielące ten pokój
od
mieszkania Marszałka i na progu ukazała się jego postać, skulona,
wsparta na

kiju.

Starzec sunął się raczej, niż szedł, chwytając się jedną ręką ściany.

Był bardzo

blady, drżał cały, ale oczy, zwykle mętne, jaśniały teraz gorączkowo.

Roman niemniej od Borskiego przerażony, podbiegł ku ojcu, aby go podtrzymać.

Ale starzec usunął go zlekka. Doszedłszy do stołu oparł się i

skierowując wzrok

ku Borskiemu:

— On skłamał! — rzekł głosem cichym, ale pe-

wnym i stanowczym. — Słyszałem ostatnie słowa. Wyrok był
sprawiedliwy! wydało go

sumienie obywatelskie na człowieka, który mu uragał. On chce ci
przynieść pomoc

Romanie? A ty mu powiedz: wolę ruinę i nędzę, niż pomoc z takiej
ręki. Nam nie

wolno, słyszysz? wchodzić w takie kompromisy! nie wolno! Nie
umiałeś zostawić

synowi majątku, Romanie, to mu zostaw inie dobre i tę naukę, że są
pewne

zasady, któremi poniewierać nie wolno! Niech z tą nauką ten
najmłodszy nasz w

świat idzie, ona go ocali! Chodź Romanie!

Ruszył się starzec i krokiem chwiejnym posuwał się ku drzwiom,
opierając na

ramieniu syna.

Borski, przyparty do ściany, obłąkanym wzrokiem patrzył.

— Panie Marszałku! — krzyknął nagle — wstrzymaj się!

Marszałek przystanął i zwrócił się ku niemu.

— Panie Faustynie Borski — rzekł — moje godziny są policzone.

Przed majestat

boży nie poniosę krzywdy niczyjej. I ciebie mi żal. Ale się ukorzę,
uznaj

sprawiedliwość wyroku, wynagrodź synom czy wnukom, o ile to w
twojej mocy,

krzywdy, które wyrządziłeś ojcom, napraw zbrodnię, której się na
własnym
dopuszcili synu...

Borski skoczył.

— To moja rodzinna sprawa! — krzyknął — i nikt nie ma prawa...

— Ma społeczeństwo prawo — przerwał Marszałek — ma prawo
zapytać cię, panie

Borski, coś uczynił z tą nieszczęśliwą kobietą, która była żoną twego

syna, a której ślad zniknął? coś z nią uczyni}? Jeśli te krzywdy
wszystkie

naprawisz, ja ci rękę podam, lecz ani ja, ani mój syn, ani mój wnuk,
od ciebie

nie przyjmujemy nic! Chodź Romanie!

Suwając nogami z szelestem, posunął się Marszałek ku drzwiom i w
nich zniknął

wraz z synem, a Borski stał na środku pokoju z otwartymi ustami, drżąc
na całym

ciałem. Stał długo, słuchając, aż szmer kroków Marszałka scichł
zupełnie;

pochylił głowę na piersi, zbliżył się do stołu i nagłym ruchem
wyrwawszy świecę

z lichtarza, wybiegł.

Biegł przez korytarze ciemne i szereg pokoi, potykając się co chwila i
objając

o mury, bo drżące światło świecy niedostatecznie rozjaśniało mu
drogę.

Trafił wreszcie do sieni, gdzie przed parą godzinami witał go
uprzejmie pan

Roman. Borski chwycił swoje futro, zarzucił je na ramiona, wcisnął
czapkę na

oczy, silnym pchnięciem drzwi otworzył i znalazł się na

dzielnicy. Śnieg padał

dużymi płatami, wiatr ciepły, marcowy napędzał chmury, przez które
od czasu do

czasu przeblyskiwały promienie księżyca. Wilgoć czuć było w powietrzu. Borski cisnął na ziemię świecę, która skwiercząc zgasła, otulił się w futro i spiesznym krokiem przebiegł dziedziniec. Wkrótce zniknął na drodze, ku Oksaninie wiodącej. Roman, ułożywszy ojca na spoczynek, pozostał przynim dłużej, niespokojny, czy niezwykle wzruszenie, jakiego doznał, nie zaszkodzi wątlému zdrowiu starca.

Marszałek wszakże uspokoił się rychło i zapewnił Romana, że się czuje zupełnie dobrze.

— Wrzawa — mówił — jaką słyssałem za drzwiami, zwróciła moją uwagę. Poznałem twój głos, a ten Borski tak krzyczał, że ostatnie słowa najwyraźniej doszły moich uszu. Rad jestem, że spełnił obowiązek. Teraz mi już dobrze. I po chwilowem wzruszeniu, Marszałek zapadał zwolna w zwykły swój stan zobojetnienia. Wkrótce wątek myśli rwać się począł i starzec, szepcząc do siebie, usnął.

Roman uspokojony nieco, wyszedł na palcach, aby zobaczyć, co się z Borskim stało. W przyległym pokoju nie było go już; leżące tylko na stole rachunki przypomniały żywo Romanowi całą rozmowę i okropną sytuację, w jakiej się znajdował. Machinalnie wziął zwój papierów i z zapaloną świecą w rękę poszedł do siebie przez cały szereg ciemnych pokoi, które przed kilku godzinami roily się

gośćmi i rozbrzmiewały wesołością. Mimowolnie wzrok jego
sposztrzegwał wszędzie
ślady dzisiejszego przyjęcia. Porozstawiane w nieładzie krzesła,
czasem zbliżone
ku sobie w jednej grupie, zdawały się z sobą rozmawiać czy kłócić;
niedopałki
cygar walały się na podłodze, kieliszki z resztkami wina, szklanki z
wodą i
limonadą stały na stolikach, szafkach i półkach, woń tytoniu,
rozmaitych potraw
i trunków zatruwała powietrze, przesycone oddechem kilkudziesięciu
ludzi, którzy
tu niedawno ucztowali wesoło. A wszędzie teraz pustka i cisza wśród
tych śladów
gwarnej biesiady.

Roman spojrział na to dziwne pobojuwisko, które migotliwy płomyk
świecy blado
rozjaśniał i uśmiechnął się gorzko.
— Ostatnie to już takie przyjęcie w jurpolskim pałacu! — pomyślał.
— Zostanie
mi po niem chyba to jedno wrażenie bezładu, śmiecia i nieprzyjemnej
woni.
Miotany tysiącem sprzecznych uczuć, które mu przepęłniały głowę i
serce, wszedł
Roman do swego pokoju, gdzie dotychczas spędzał najmiłsze chwile
w życiu. Tu
uciekał zawsze, gdy czuł się znużonym towarzystwem ludzi; tu
skłopotany i
rozdrażniony koił swe troski pracą umysłową, czytaniem książek,
przyniesionych z
przyległej biblioteki, która była jego rozkoszą i dumą. Tu niegdyś,
przed laty,
przywoływał do siebie małego Zygmunta, słuchał jego szczebiotu,
odpowiadał na
naiwne pytania, starał się rozwijać umysł dziecka i kształcić serce.

Stanął na progu i rozejrzał się dokoła. Wszystko było jak zwykle.
Pokój to był
duży, widny, z szerokiemi, wychodzącymi na dziedziniec oknami.
Uderzał w nie
teraz silnie deszcz ze śniegiem, miotany wiatrem, który jęczał, huczał
i z
głuchym chrzęstem targał bezlistnymi gałęziami drzew, rosnących pod
domem.
Ciężkie zasłony u okien nie dopuszczały tu wszakże najmniejszego
przewiewu. Na
dużym kominie dopalało się ognisko, rzucając migotliwe blaski na
obrazy i
portrety, rozwieszzone na ścianach. Świece, palące się w kandelabrach
na wielkiem
biurze, wysuniętem niemal na środek pokoju, oświetlały jaskrawo

rozrzucone tam papiery i rozwartą książkę, którą Roman dzisiaj zrana
czytać
rozpoczął. Przystąpił bliżej.

— Mój Boże! — pomyślał — kiedym ztąd rano wychodził, kiedy
oczy moje po raz
ostatni spoczywały na stronicy tej książki, jeszcze się łudziłem, jeszcze
byłem
prawie....

Myśl się zawahała.

— Prawie szczęśliwym! — dokończył szeptem. Rzucił zwój
papierów Borskiego na
biurko i w tejże chwili człowiek ten znowu stanął mu przed oczyma.

— Co się z nim stało? — pomyślał. — Nie spotkałem go nigdzie,
musiał zapewne
wyjechać, widząc, że dla niego niema tu miejsca.

Przystąpił do okna, rozsunał firanki i spojrzął. Niebo schmurzyło się
teraz
całkowicie, w nieprzebitych ciemnościach nic dojrzeć nie było można.
Tylko coraz

gwałtowniejszy wicher wył rozmaitemi tonami, szarpiąc okna
gwałtownie.
Roman przyłożył rozpalone czoło do zimnej szyby i stał tak długo,
słuchając
wycia wichru i napróżno przywołując myśli do porządku.
A może Borski przesadził? przyszło mu nagle do głowy. I jakaś
nadzieja słaba,
wąta zajaśniała w duszy. Może on umyślnie chciał zatrwożyć, aby
zyskać to,
czego żądał?
Gwałtownym ruchem Roman odstąpił od okna i zbliżywszy się do
biurka, schwycił
zwój papierów, zostawionych przez Borskiego.
Usiadł, rozwinął je i oparłszy głowę na rękę, za-

czą przeglądać. Znał on dobrze stan sprawy, nie trudno mu było
rychło
zorientować się w zestawieniu cyfr ogólnych. Szybko przebiegł
wszystko,
gorączkowo przerzucał stronicę, chcąc dojść do ostatecznego
rezultatu. Cyfry
były dokładne, zestawienie prawdziwe, a ostateczny wynik:
nieubłagana,
niecofniona — ruina!
Obiema rękami schwycił się za głowę, którą zdawały się rozsadzać
plączące się w
nieładzie myśli. — Co czynić? co przedsięwziąć? Byleby
przynajmniej z pogromu
tego wynieść nieskalane imię, byleby przynajmniej zaspokoić
wszystkich, którzy
mogli mieć do niego uzasadnione pretensje, byleby krzywda ludzka
nie zaciężyła
mu na sumieniu. Wyrzec się raczej wszystkiego, a tej krzywdy nie
dopuścić!
Gdzie szukać rady? gdzie otuchy lub pokrzepienia, skoro rady nie
było?

I przyszło mu na myśl, że ma przecież towarzyszkę życia, która wszystkie ciężary wspólnie z nim dźwigać była powinna. Wszak to jej obowiązek! Powstał i chciał iść do Zenobii — lecz u progu się wstrzymał. — I po co pójdę? — myślał. — Zburzę jej spokój, wywołam sceny, spazmy, może wyrzuty, które mię jeszcze bardziej pognębią i nic więcej. Otuchy i pokrzepienia u niej nie znajdę, jak nie znalazłem poparcia wówczas, gdy jeszcze był czas się ratować. Teraz już nie pora. Przed nami nieuchronna ruina, a ja powinienem znaleźć tyle mocy ducha, by przedewszystkiem ratować tych, którzy mi zaufali, spełnić obowiąz-

zek sumienia, a zapomnieć o sobie, nawet o nim, o synu! Na wspomnienie Zygmunta ogarnęła go znowu rozpacz. Chodząc po pokoju szybkimi krokami, usiłował całą siłą ducha odegnać myśli, które straszną pokusą trapiły jego duszę. Tak, możnaby jeszcze znaczną część majątku dla Zygmunta ocalić. Z wierzycielami możnaby się ułożyć; wobec niebezpieczeństwa utraty wszystkiego, zgodzą się na najgorsze warunki. Zobowiązania, wypływające ze spółki cukrowniczej, możnaby ostatecznie, ściśle prawnie działając, w znacznej części zepchnąć z siebie. A tak dla Zygmunta zostałoby jeszcze z tego rozbitcia dosyć. A może też ojciec jego zbyt porywczo, zbyt gorączkowo działał, odpychając pomoc Borskiego? może to były majaczenia nieprzytomnego starca, którymi nie należało się kierować w praktycznym życiu?

Na bladą twarz Romana wybiegły gorączkowe rumieńce — wzrok zabłysnął.
— Ratować syna! — szeptał — ratować trzeba! jakimkolwiek sposobem. A cóż on winien, że ja był nieoględny, łatwowierny, niedbały w interesach? Za cóż on ma ponosić karę i rozpoczynać życie straszną walką o byt — w niedostatku. Niech inni tracą, byle Zygmunt miał!
Na środku pokoju zatrzymał się Roman. Zimny pot wystąpił mu na czoło, dreszcz jakiś przechodził od stóp do głowy, a w żyłach przelewała się fala gorącej krwi i poruszała serce, które się tłukło gwałtownie.

Wzrok jego osłupiały, nieprzytomny, błędził w około po ścianach i sprzętach, a wszędzie zdawał się czytać, jak wyrok niecofniony, okropne wyrazy:
— Ruina !
I nagle, w głębi duszy, ozwało się ciche, stłumione echo słów marszałka:
— Lepsza ruina, niż hańba! Nie umiałeś zachować synowi majątku, to mu zostaw imię czyste i tę naukę, że są zasady, których deptać nie wolno! Nam nie wolno wchodzić w kompromisy z sumieniem, nie wolno !
— Nie wolno! — szepnęły drżące usta Romana. Pierś jego gwałtowne rozerwało łkanie, a długo tłumione łzy wytrysły z pod powiek.
Ale to wzruszenie trwało tylko chwile. Roman otrząsł się nagle, jakby ciężką zmoreną z siebie zrzucił, i spojrzał jaśniej przed siebie. W duszy brzmiały mu ciągle, dziwną napawając siłą, słowa ojcowskie:
— Nie wolno! nie wolno! niech z tą nauką ten najmłodszy nasz w świat idzie!

Brzask dzienny, który nazajutrz późno z za chmur się przedarł i wtargnął do wnętrza pokoju zastał Romana jeszcze czuwającym. Siedział on przy biurku w odrętwieniu, z którego obudził go dopiero ten świt ranny; światło świec, dopalających się w kandelabrach, odbijało się wśród brzasków, żółte, ponure, jak blask gromnic, płonących przy katafalku. Wzdrygnął się Roman i znużonym wzrokiem powiódł dokoła. Pamiętał wszystko, wspomnienia go bo-

lały, znużenie bezsenną nocą gnębiło, ale się podniósł uspokojony w duchu, bo już pewny był drogi, którą miał iść dalej.
— Nie wolno! — to było teraz jego hasło, które miał przekazać synowi, w walce z pokuszeniami życia.

Koniec części pierwszej.

Tom II.

Część druga.

WIEK MĘZKI — WIEK KŁĘSKI.

I.

W powodzi dni, pędzących jeden za drugim niewstrzymaną falą,
człowiek, zowiący
się w swej dumie panem stworzenia, jest tylko chwilą, podczas gdy to,
co mu się
przemijającym wydaje: czas, trwa ciągle, w swych zmianach
niewzruszony,
zagładzający i wyrównywający wszystko.
Najstraszniejsze kataklizmy dziejowe, nieszczęścia i klęski ogółu,
zarówno jak
katastrofy, dotykające pojedyncze istnienia — to wszystko idzie jak w
otchłań, w
tę przestrzeń niezmierną czasu i spływa gdzieś tam w dali, w
wielką, okiem
wiary tylko dostrzegalną, harmonię — wieczności!
Wieczność! nieogarnione w swym ogromie pojęcie dla człowieka,
otoczonego
znikomością, a jednak tak głęboko przez niego i ciągle odczuwane.
Dzień za

dniem mija; najpromienniejsze słoneczne południa toną w chmurach
posepnej nocy —
a człowiek, świadek tych zmian ciągłych, ma wszakże wiarę, wbrew
wszystkiemu i
pomimo wszystkiego, w wieczystą jakąś, a nieuchwytną trwałość
jasności, ku
której dąży wszelkimi władzami swego myślenia.
W około niego kończy się i zanika wszystko, a on wierzy, czuje,
wbrew
prawdopodobieństwu, że to wszystko żyć będzie i pomimo śmierci,
chłonącej wokoło
niego najbujniejsze, najmłodsze, najświeższe istnienia, ma
przeświadczenie
głębokie, niewzruszone, że śmierć, to tylko przemiana tego, co
doczesne,

nietrwale, w to, czego mysią nawet ogarnąć nie zdoła — byt
wieczysty.

W tym pochodzie ku niechybnemu kresowi wszystkiego, co doczesne,
nie oglądając

się jeszcze poza siebie, na drogę przebytą, lecz ze wzrokiem w dal
utkwionym,

przekroczyli Zygmunt Czarnoszyński i Jerzy Sipajłło dwa ważne
okresy:

dzieciństwa i pierwszej młodości.

Nadchodził wiek męski — wiek klęski.

W pierwszych latach pobytu w Kijowie, rówieśnicy, pomimo braku
głębszego

porozumienia i różnicy usposobień, byli zawsze razem. Łączyło ich
bądź co bądź

wspomnienie wspólnego dzieciństwa, pewne podobieństwo tradycji.

Czarnoszyńscy

dotrzymywali też święcie zobowiązań swoich względem młodego
Sipajłły;

dotrzymywali, dopóki mogli.

Jurek był już na trzecim kursie wydziału medycznego, gdy przybył
nagle do Kijowa

p. Jędrzej

i zawiadomił go, że odtąd grosza od Czarnoszyńskich nie przyjmie.

— Nie godzi się — mówił głęboko wzruszony — nie godzi się, panie
teo! Człek

dawniej, proszę łaski, z nich żył, a teraz swojeby im oddał z pod serca,
aby

ulżyć, widząc, co się dzieje. Swego im nie dam, bo mam ciebie,
basatyku jakiś, —

ale od nich brać to byłby grzech! Ty, Jurku, drabie, panie teo, pracuj, a
ja ci

jeszcze ten rok dopomogę.

Równocześnie z tym przyjazdem p. Jędrzeja, Zygmunt przerwał
studya i do Jurpoła

wyjechał.

Pragnął dopomóc ojcu; łudził się, że da sobie radę, że może Jurpol
ocali. Z
młodzieńczym zapałem, ale bez należytego doświadczenia zabrał się
do interesów.
I po raz pierwszy w życiu spotkał się z przeszkodami, które go
zmogły. Na jego
młodzieńczy zapał padł wkrótce szron zawodów; siły jego rychło
znużyła walka z
trudnościami, stanowiącemu tę vis major, wobec której mogą być już
tylko —
poświęcenie i ofiara.
Zygmunt z natury wrażliwy, tem rychlej osłabł i zgorzkniał. Nie miał
już w duszy
ani dawnej gorącości wiary młodzieńczej, która jest dźwignia, ani
tego
rozpromienienia, jakie daje zaranie życia.
Dwuletni pobyt wśród młodzieży uniwersyteckiej nie pozostał tu bez
wpływu. Z
początku swoboda, której teraz mógł używać, a do jakiej nie przywykł
w cichym i
zamkniętym domu Gruzewskich, wydała mu się nietylko dziwną, ale i
nużącą. Nie
umiał z niej korzystać.
Wciągany w towarzystwo wesołych kolegów,

śmieszył ich nieraz swoją nieśmiałością i nieświadomością życia a
sam z każdej
takiej próby wychodził zgorszony i zgnębiony na duchu.
Po roku wszakże zaczął się oswajać z tą nową dla siebie atmosferą.
Młodość
domagała się praw swoich, a wrodzona żywość i werwa brały nieraz
górną nad
refleksyą; powoli zacierały się wrażenia rozmów z księdzem
Stanisławem i panną
Anielą i porannych nabożeństw w kościele odeskim. Ślad wszakże
tych wrażeń

pozostał w duszy. Podczas gdy inni koledzy mogli na rozrywkach spędzać dni i noce całe, a tych rozrywek nie rozpraszało żadne głębsze zastanowienie, żadna posepna refleksja, Zygmunt po każdym zapomnieniu chwilowem miewał długie godziny ponurych rozmyślań, wśród których surowo siebie potępiał i ciężką staczał z sobą walkę. Nieraz, znużony tą walką, zżymał się sam na siebie. Dlaczego nie jest jak inni? Dlaczego nie może jak inni używać życia, młodości, swobody? Jurek szydził, jak zwykle, z jego skrupułów i wyrzutów sumienia, a on, zamiast się oburzać, przyznawał mu teraz zupełną słuszność — szyderstwo to budziło go do przytomności, było mu nawet ulgą. Czuł w sobie wówczas dotkliwiej, niż kiedykolwiek, dwoistość natury ludzkiej. Było w nim dwóch ludzi, zarówno silnych: — jeden podlegał szalonym napadom wesołości, pragnął rozkoszy i upajał się więcej, niż inni. Drugi całą swą trzeźwość zachowywał nieustannie. I nie było tak wielkiej upojenia chwili, by zamilkł. Wykazywał on całą znikomość tych rozkoszy,

z nieubłaganą logicznością śledził każde żywsze poruszenie serca, lub zmysłów, a smagał szyderstwem, czasem bardziej niż Jurek piekaniem.... Aby potłumić głos ten, Zygmunt przemocą usiłował nadawać sobie pozór szalonej wesołości, w jej nadmiarze przewyższał wszystkich. Kiedy inni, znużeni hulanką,

domagali się spoczynku, on nie ustawał, wstrzymywał wszystkich i ostatni

schodził z pola — zgnębiony, pogardzający sobą, w ciągłej wewnętrznej rozterce.

Po pewnym przeciągu czasu, głos sumienia, głos dawnych tradycji tępieć wszakże

począł. A jeśli się odzywał jeszcze czasem, to tylko, jako echo dawnych,

ukochanych, ale zbladłych wspomnień, którym czyniło się zadość rzewnem

westchnieniem i machnięciem ręką:

— Przeszło!

Upadek Jurpola obudził nagle Zygmunta.

Ta strona życia, trosk materyalnych, była mu dotychczas nieznaną. I naraz z całą

bezwzględnością stanęła przed nim, burząc jednym zamachem wszystkie

plany przyszłości.

W pierwszej chwili cios był tak gwałtowny, że pozbawił go możliwości ocenienia

następstw. Gorączkowe zajęcie się interesami i tysiące kłopotów, jakie na niego

spadły po powrocie z Kijowa, odciągały mimowoli i rozpraszały jego uwagę. Z tego

czasu wyryła się najjaskrawiej w jego pamięci ta tylko chwila, gdy po kilkomiesięcznym jeszcze, usilnym a daremnym szamotaniu się,

należało opuścić

Jurpol, stracony na zawsze!

Był to ranek późnej jesieni, mglisty, ponury. Całą noc wichur szalał po stepie,

resztę suchych liści poobrywał z gałęzi i we wściekłym rozpędzie miotał nimi na

wsze strony, a czasem skupiwszy w znaczniejszej ilości, unosił je wysoką chmurą

w powietrze.

Do wyjazdu było już wszystko przygotowane. Cały dziedziniec zajęty był wozami,
na które pakowano meble i rzeczy. Mnóstwo słomy i siana walało się po drodze i
pożółkłych, zdeptanych gazonach. Krzaki róż i bzu, niegdyś pielęgnowane
starannie, dziś połamane, zgniecione, wyciągały obnażone swe gałęzie, jakby o
litość błagając.
Pokoje pałacu puste, z mebli ogołoczone. Gdzieniegdzie szczyrby w murach; czarne,
niekształtne otwory, pozostawione na miejscu wyrwanych gwałtownie ćwieków,
podtrzymujących niegdyś zasłony i obrazy; gdzieniegdzie wielkie pasma pajęczyny,
zwisające w strzepach. Rozpaczliwa pustka, wśród której ozwie się czasem głośnie,
niczem nietłumione echo kroków, brutalne, ciężkie, nieszanujące tej ciszy grobu.
Zygmunt obiegnął wszystkie zakątki domu. Osłupiałym wzrokiem chwycił te wrażenia
ostatnie, które się w duszy jego łączyły ze wspomnieniami pierwszego dzieciństwa; to, co widział teraz, z tem, co pamiętał, tworzyło pełen sprzeczności a rozpaczliwy obraz, który melancholią swą przygniatał mu duszę.
Ostatniej nocy wpadł jeszcze do ogrodu; każdą ścieżkę, którą dzieckiem
przebiegał, przeszedł i teraz, zabiegł aż na "złoty kurhan", wpatrywał się w
poruszane wichrem fale rzeki, mętne, czarne, rozlewające

się pod parkiem, słuchał dalekiego wycia psów wiejskich i nawoływań stróżów
nocnych. Wszystko było jak zawsze, jak od lat tylu, o tej samej porze, tylko

jego dusza chwyciła inaczej te wrażenia i pojmowała je inaczej.
Pomiędzy jego
rozpaczą a tą niewzruszonością porządku zwykłego była przepaść,
którą dopiero
teraz dostrzegał. Porządek ten szydził z jego rozpacz, podobnie jak
Jurek z
jego skrupułów. Wszystko szło zwyczajnym trybem, i nic w tej
naturze, która go
otaczała, nie zdawało się dzielić jego uczuć. Był ruch odwieczny,
miarowy,
nieustanny, w którym on nie znaczył nic. Po nim przyjdą tu inni
ludzie, inne
życie, inne odgrywać się będą dramaty, a ten ruch nie wstrzyma się
ani chwili,
dlatego, że on rozpacza lub że się inni weselić tu zaczną. Taksamo
popłyną te
fale rzeki, taksamo chmury przesuwają się będą po ciemnym niebie,
tak samo wichry
jęczeć musi i miotać suchymi liśćmi i tak samo, przez wieki, ten
"kurhan złoty"
na tem samym miejscu stać będzie. W tej chwili cała ta otaczająca go
przyroda, w
swej niewzruszoności wydała mu się wrogą. A przecież on tak kochał
tę ziemię,
ten park, tę wodę, tak kochał, że oddałby był chętnie wszystkie
rozkosze świata
za to tylko, aby mógł tu zostać, wśród tego otoczenia, tych murów
pustych, tego
zniszczeniu i wspomnień, które mu duszę szarpały.
W niezwykłym rozrzewnieniu padł na gazon w ogrodzie, przytulił usta
do ziemi,
wdychał w siebie woń jej zgniłą, wilgotną, obejmował rękami i płakał,
jak
dziecko.

I jak dziecko zasnął Zygmunt owej nocy, po tych wzruszeniach, snem kamiennym.

Obudził go świt szary jesiennego poranku. Wskoczył z łóżka i zbliżył się do okna.

Przez dziedziniec przechodził właśnie ojciec jego. Szedł od strony stajni, w podróżnym ubraniu, wydając ostatnie polecenia furmanowi, który postępował obok niego z czapką w ręku.

Na ganku, czekając snadź na męża, stała pani Zenobia. Była już także do podróży

ubrana. Zygmunt przez okno widział dobrze twarz jej bladą, mizerną, wychudłą,

postarzałą. Patrzała smutnemi oczyma przed siebie, milcząca.

Zygmunt zauważył w

twarzy tej wyraz powagi niezwyklej; nie była to owa dawniejsza, niespokojna,

szamocąca się, nerwowa boleść, która nieraz spazmatycznie wykrzywiała rysy pani

Zenobii, ani ten melancholijny a sztuczny smutek, przebijający się w gestach i

wzniesieniu oczów, ale jakieś głębokie, poważne zamyślenie, które nagle

przetworzyło jej całą postać.

Podaniem ręki powitali się oboje na ganku. Nie mówili nic. Lecz nie rozłączając

swych dłoni, chwilę tak pozostali nieruchomo, patrząc przed siebie — w dal.

Po raz pierwszy od lat wielu dusze ich spotkały się w jednym uczuciu, w jednakim

smutku i w nim się zrozumiały. Równocześnie zwrócili się ku sobie i spotkały się

ich oczy długim, wymownym spojrzeniem. We wzroku Romana nie było skargi, ale

cichy, rzewny smutek zboląlej duszy; a w spojrzeniu Zenobii

było dużo żalu, dużo uznania i skruchy, a więcej jeszcze rezygnacji i tej siły,
którą w najslabszych duszach budzi rzeczywiste, wielkie cierpienie.
Za chwilę weszli do domu pojednani i bliżsi sobie, niż kiedykolwiek.
W godzinę później, przez bramę jurpolskiego pałacu wyjeżdżał cały szereg wozów i powozów. Gromadka domowników stała z odkrytymi głowami, cicha, milcząca, smutna, jakby żegnając kondukt pogrzebowy.
Wkrótce zamknięto bramę, a przez otwarte na oścież okna pałacu wyglądała teraz nieruchoma, skamieniała, głucha, rozpaczliwa pustka, czekając na nowe, inne życie.
W pierwszym powozie jechała pani Zenobia z synem, w drugim Roman, podtrzymujący Marszałka, który, otulony w futra, siedział z pochyloną na piersi głową, bezwiedny, nieruchomy. Gdy go wyprowadzono z domu, nie miał ani jednego słowa pożegnania, ani jednego westchnienia, ani spojrzenia żadnego nie rzucił na te miejsca, niegdyś tak sobie drogie, a które na zawsze opuszczał. Bóg mu oszczędził wielkiej boleści, odbierając mu czucie i wiedzę w tej chwili.
Na zakręcie drogi, pod parkiem, Zygmunt żywo się obrócił. Przypomniał mu się pierwszy jego wyjazd z domu, pierwsze pożegnanie i mimowolnie oczy jego skierowały się ku miejscu, z kądem wymownym spojrzeniem żegnała go Ola — ostatnia!
I teraz zdało mu się, że wśród gałęzi rozrosłych krzaków, u samej drogi, dostrzega skuloną postać

dziewczęcia i dwoje ciemnych, dużych oczu, patrzących przez łąy.
Złudzenie! Wicher jesienny poruszał gwałtownie i szeleścił gałęziami,
strząsając
z nich trzymające się dotychczas suche liście. Nie było nikogo i nikt
go już nie
żegnał. Dawne nieśmiałe dziewczątko, owa "znajda", jak ją Jurek
nazywał, dziś,
jak donosiła pani de Larjeac, niezmiernie czyniła postępy w śpiewie i
mogła mieć
świetną artystyczną przyszłość przed sobą. Śmiałyby się pewno dzisiaj
z tych
wspomnień, które na chwilę poruszyły sercem Zygmunta. On cierpiał,
więc
wspominał, podczas gdy ona!...
To była ostatnia myśl jego, gdy wyjeżdżał z Jurpola.
Czarnoszyńscy zamieszkali w Julinie, a wkrótce potem Marszałek
życie zakończył.
Porwały się ostatnie nici, wiążące go ze światem. Śmierć ta, wśród
zupelnego
rozbudzenia się umysłu, była cicha, pogodna, spokojna, podobna
zachodowi słońca
po długim dniu letnim. Podziałała ona zbawiennie na umysł i duszę
Zygmunta, była
uśmierzeniem tej wewnętrznej rozterki, jaką od pewnego czasu czuł w
sobie.
W śmierci starca, który schodzi ze świata w pełni dni swoich i
doświadczeń,
który dokonał sumiennie wszystkiego, co tylko uczynić było można,
który ani na
chwilę nie sprzeniewierzył się zasadom swoim i przekonaniom, a z
głębi duszy,
stęsknionej do wiecznego bytu, może zawołać: "Teraz puść Panie
sługę swego w
pokoju!" — w takiej śmierci jest siła, która

uspokaja, uśmierza i pojednywa nawet z tyra strasznym wyrokiem, co kładzie kres

doczesnemu bytowi człowieka i jemu, otoczonemu dokoła znikomością, każe podnosić

wzrok śmiertelny ku temu, czego on myślą ogarnąć nie może, ku wieczności.

W takiej śmierci niema rozdarcia, jest boleść bez rozpaczy, jest przeświadczenie

konieczności kresu naznaczonego wszystkiemu co istnieje. Wobec tego majestatu

śmierci, pogodnej, chrześcijańskiej, w duszy Zygmunta ozwały się wszystkie

młodzieńcze wierzenia.

Ten starzec, budzący się do przytomności w chwili zgonu, błogosławiący

wszystkim, a nieżałujący życia, pamiętający wszystko, a nieszarpiący się w

bezsilnem pragnieniu istnienia, widzący owszem lepsze istnienie przed sobą w

światlanem przeczuciu wieczności, obudził w duszy Zygmunta zatarte już nieco

uczucia młodzieńczej wiary.

Kłęcząc u stóp konającego, wierzył on tak silnie i tak gorąco, jak wówczas, gdy

z trwogą w duszy, służąc księdzu Stanisławowi do mszy świętej, oczekiwał, aż

mocą wszechpotężnych słów kapłana spełni się w jego oczach najwyższy cud

wcielenia Bożego.

Zdawało mu się, iż widzi, przeczuwa, jak zwolna, tajemniczo, a uroczyście,

zstępuje niewidzialna śmierci potęga; jak ostatnie tchnienie starca, duch jego,

wznosi się do nieba i ztamtąd promienny, uwolniony z więzów ziemskość, spogląda

ku niemu, ubłogosławiony i błogosławiący.

Z czcią najwyższą ucałował zimną, sztywną ręk-

kę starca i rzewnymi łzami, w których nie było ani cienia goryczy,
pożegnał
pamięć tego, który w jego duszy, w jego wspomnienia miał żyć
wiecznie
pierwowzorem cnoty, prawości i siły.
Ta śmierć, oderwała go nieco od posępnych myśli, które w chwili
wyjazdu z
Jurpola były go opanowały. Potrzeba mu było tego wrażenia
znikomości rzeczy
ziemskich do dalszej a coraz trudniejszej o byt walki.
A walka ta mogła być tem cięższą, iż Zygmunt nie czuł się do niej
należycie
przygotowanym. Jak pierwej w niedoświadczeniu swem sądził, że
ocali Jurpol. tak
potem łudził się jeszcze, że Julin w jego młodych rękach potrafi
zabezpieczyć
zupełnie byt jego i rodziców; nie dostrzegł zmienionych warunków,
wśród których
gospodarować mu przyszło. Trudność była tem większa, że ojciec,
nawykły do
wielkiej administracyi i znacznych nakładów, nie mógł mu dać
odpowiednich
wskazówek, lecz niedoświadczonego poprowadził na mylne tory.
Niedługiego potrzeba było czasu, aby Zygmunt się przekonał, że rady
sobie dać
nie zdoła.
Rodzicom trudno było się przyzwyczaić do innych warunków bytu;
zmiana
rozgoryczała ich coraz bardziej; atmosfera, panująca w Julinie, pełna
skarg,
żałów i bezcelowych wyrzekań, stawała się dla Zygmunta nie do
zniesienia, a
zwolna pogłębiając ducha, osłabiała wolę. Gorące zrazu przywiązanie
do rodziców,
a zwłaszcza do ojca, tępiało. Widział on teraz dokładnie i oceniał
krytycznie

wszystkie wady ich

charakteru i usposobień; znaczną część odpowiedzialności za stan obecny musiał im przypisać, a raz stanąwszy na tem stanowisku, czuł się pokrzywdzonym. I jak rodzice wyrzekali bezcelowo na los i klęski, tak on w duchu na nich wyrzekał, tracąc w tych daremnych skargach ostatki siły woli i zapału. Gospodarstwo, do którego nigdy zamiłowania nie miał, obrzydło mu wreszcie zupełnie; założył więc ręce i czekał zmiłowania boskiego, marnując czas na wycieczkach w sąsiedztwo. Tymczasem Jerzy kończył wydział medyczny. W ostatnim roku pobytu na uniwersytecie całe koszta jego utrzymania, pokrywane dotychczas przez Czarnoszyńskich, spadły na pana Jędrzeja, który odebrał wprawdzie swoje dwadzieścia tysięcy rubli, jakie ciążyły na Jurpolu, lecz musiał wyrzec się wygodnej administracyi Słobody. Kapitalik więc był, ale za szczupły, by z niego cała rodzina stosownie do przyzwyczajień swoich żyć mogła. Na domiar nieszczęścia, p. Jędrzej, na starość coraz bardziej ulegający wpływowi żony, za jej namową wziął dzierżawę, na której tracił. Kapitalik topniał z każdym rokiem, a Sipajłło martwił się i coraz bardziej na zdrowiu zapadał. Wśród kolegów uniwersyteckich, Jerzy nie miał przyjaciół. Nieufny, podejrzliwy, chcący imponować każdemu, bezwzględny w potępianiu wad, dostrzeżonych w innych,

a wybuchający gniewem na najłżejszą krytykę swego postępowania,
zraził do siebie
wszystkich, i profesorów i kolegów, którzy stronić od niego poczęli.

Czuł tę pustkę dotkliwie; zwiększała ona gorycz, którą był
przeziąknięty, a to
skłaniało go do coraz usilniejszej, wyężdżającej pracy, w której
pograżony mógł
zapomnieć o wszystkim.
Nadszedł czas egzaminów. O tym ostatecznym popisie myślał nieraz
Jurek z bijącym
sercem i niepokojem. Nie dlatego, aby mógł powątpiewać o
rezultacie, lecz że
pragnął, aby rezultat ten olśnił profesorów, pognębił kolegów. Była to
chwila, w
której spodziewał się, że praca jego odniesie tryumf stanowczy, a tak
świetny,
iż całą dalszą karierę ułatwi.
Nieraz, siedząc nad książką, przerywał studia, by się oddać
rozkoszom
marzeniom. Wyobrażał sobie ów ostateczny egzamin, jako popis dla
niego wyłącznie
przeznaczony, który ma jego wiedzę uwidocznic; wyobrażał sobie
zdumienie
profesorów, gdy na zadane sobie pytanie odpowiadać zacznie długim
wywodem,
opartym na najnowszych zdobyczach nauki. Jedni zazdrościć mu
będą, drudzy nie
zechcą odrazu zaufać i uznać, ale on zazdrość pognębi, nieufność
niezbitemi
argumentami usunie, zadziwi wszystkich!
I wyobrażał sobie dalej, jak mu profesorowie, nawet najbardziej
niechętni,
winszować będą; jak koledzy, wobec takiego powodzenia, chcąc nie
chcąc, otoczą
go kołem, witając w nim przewodnika swego i mistrza.

Nadeszła wreszcie chwila stanowcza, i — nie odpowiedziała marzeniom.

Przystępujących do ostatniego egzaminu było bardzo wielu. Od rana do późnej nocy ciągnęły się te popisy, uważane raczej za formę,

niż za rzeczywisty egzamin. — W ciągu kilkuletnich studyów profesorowie przekonać się mieli sposobność, który ze studentów zasługiwał, lub nie, na patent lekarski. Dobrych więc uczniów ekspedyowano z pośpiechem, zatrzymując się tylko dłużej przy wątpliwych. Sipajłło należał do najlepszych; każdą więc jego odpowiedź na pytanie, wyciągnięte losem, przyjmowano bez zarzutu, nie dając mu wcale pola do obszerniejszych wywodów. Kilka słów wystarczało, przerywano mu natychmiast.

Po każdym takim egzaminie, Sipajłło wściekły usiadał w ławce i przysłuchiwał się popisom innych. Zdawało mu się, że z nimi postępowano zupełnie inaczej, oburzał się na odpowiedzi, zdradzające płytkość wiedzy, zżymał się na lekceważące traktowanie przedmiotu przez profesorów.

— Nieuki! głupcy! — szeptał przez zaciśnięte zęby — jedni traktują naukę byle zbyć, byle zdać egzamin, drudzy powodują się względami, albo ulegają niedołęztwu.

Egzamin a te stały się dla niego torturą. Błady, niemal chory, wyszedł z sali egzaminacyjnej po ostatnim popisie. Był to późny wieczór. Noc pogodna, ciepła, tylko gdzieś od Dniepru szedł wietrzyk orzeźwiający.

Jerzy bezmyślnie poszedł przed siebie ulicami, potrącany przez
przechodniów,
patrzając na wszystko, nie widząc nic. Szedł przez ulice gwarne, pełne
ludzi i
wrzawy. Było mu duszno, gorąco. Spieczonemi ustami chwycił
powietrze, którego mu
brakło; chciał uciec

od gwaru i ludzi, a nie mógł. Szedł coraz szybciej, usiłując wydostać
się w
ulice bezludne, gdy naraz posłyszał za sobą wołanie.
Byli to koledzy, wracający również z sali egzaminacyjnej, ale
swobodni,
szczęśliwi, pragnący ostatnie chwile pobytu w Kijowie spędzić jak
najweselej.
Śmieli się głośno i wołali na Sipajłę.
Chciał umknąć, lecz to było już niepodobieństwem. Okrążono go i
pociągnięto. W
tej chwili radosnego uniesienia, po przebyciu trudów i obaw
egzaminacyjnych,
wszelkie niechęci nikły. Jerzy poczuł wokoło siebie serca, silnie
bijące
koleżeńskim ciepłem, i przyjął uścisk dłoni szczerych, niemal
bratnich,
— Chodź z nami, przebrzydły mruku! — zawołał jeden z kolegów,
który w ciągu
studyów najwięcej do Jerzego się zbliżał — za tydzień już nas wichry
rozniosą po
świecie dzisiaj jeszcze nasze... Chodź, pożegnamy się!
Odmówić nie mógł. Milczący wśród wrzawy, ponury wśród
wesołości, dał się
pociągnąć.
Weszli razem do obszernego mieszkania jednego z majątniejszych
kolegów. Sipajłło
był zły, że tu przyszedł. Ogłuszała go wrzawa licznie już zebranych
rówieśników;

niemile raziło jaskrawe światło kilkunastu świec, palących się na dużym, biesiadnym stole; drażniła hałaśliwa wesołość i przemowy uczujących. Biesiada trwała długo, wino strumieniami się lało, a toasty następowały po toastach. Jerzy, nieprzyzwyczajony do trunku, znużony przebytymi wrażeniami, siedział na miejscu, oszołomiony, prawie nie-

przytomny. Pił dużo; w uszach huczały mu teraz rozmaite głosy, w głowie plątały się bezładne myśli, w oczach migąło różnobarwne światło, przez które przelatywały od czasu do czasu, czarne plamy, szerokie, wielkie, jak nietoperze, zasłaniając wszystko. Z początku rozweseleni koledzy zaczepiali go i chcieli zmusić, aby wyszedł z ponurego milczenia. Chwilą, nad całym towarzystwem, zdawał się ciężać ołowiem jego posepny humor; ale wino, dolewane ciągle przez uprzejmego gospodarza, podziałało niebawem; zaniechano daremnych usiłowań i zapomniano o nim. Zapanowała swoboda. Wstawano od stołu, chodzono po pokojach gromadami, to znów siadano. Nagle zdało się Jerzemu, że po za sobą posłyszał głos, pełen niechęci: — Nie trzeba było ciągnąć tego mruka... Całą zabawę nam psuje... Zwrócił się szybko w tę stronę, z kąd głos pochodził, ale nie mógł na pewno dostrzedz, kto wypowiedział te słowa. Zdawało mu się, że to był niejaki Czerski z Wołynia, zawzięty jego antagonistą, ale nie był zupełnie pewny. Zresztą wszyscy wydawali mu się w tej chwili

zaciętymi jego wrogami, urągającymi mu swą wesołością, a swoim
nieuctwem
drwiącymi z jego pracy
i wiedzy.

Wychylił kieliszek, stojący przed nim i oparłszy się łokciami na stole,
ukrył w
obu dłoniach rozpalone czoło. Zamknął oczy. ale mimo to, zdawało
mu się,

że widzi wszystkich; zatknął palcami uszy, lecz wrzawę i głosy
doskonale

słyszał; rozumiał nawet, co mówiono, lepiej niż pierwej.

— Upił się. — ktoś szepnął obok niego z szyderczym uśmiechem.

Jerzy zachnął się i podniósł głowę, spozierając dokoła roziskrzonym
wzrokiem.

— Kto śmiał mówić, że pijany! — krzyknął. Wybuch szalonej
wesołości był mu
odpowiedzią.

— Cicho! cicho! — wołano — gospodarz ma głos! Rozpoczynała się
nowa serya

toastów. Gospodarz, stojąc na środku pokoju, wznosił toast ostatni.

Mówił o

pracy wspólnej, teoretycznej, szkolnej, którą przebyto, o dalszej na
przyszłość

pracy praktycznej i obowiązkach koleżeństwa, które obie te prace,
szkolną i

praktyczną, jednym węzłem na całe życie złączyć powinno. Mówił po
prostu, a

serdecznie, nie krasomówczo, a wymownie, nie szukając efektów, a
wywierając tak

silne wrażenie, że pomimo podochocenia trunkiem, wszyscy
poruszeni, nagle

umilkli, a potem serdecznie ściskać się poczęli w rozrzewnieniu.

Jurek siedział na miejscu. Nie zbliżał się do niego nikt i on do nikogo,
samotny

wśród tego tłumu.

— Zapomnieli o mnie — myślał — sądzą, że pijany, głupcy! Serce jego przepełniała coraz większa gorycz i coraz silniejsza pogarda dla tych, którzy go otaczali. Czuł potrzebę rzucenia im w oczy tę pogardą, wypowiedzenia wszystkiego, co mu na sercu ciążyło, okazania im całej swej wyższości. Na toast gospodarza odpowiadał teraz inny ko-

lega, mający opinię dobrego mówcy i bardzo zdolnego lekarza.

On także mówił o pracy praktycznej, jaka ich teraz czeka, a mówiąc o tem, w bardzo efektownym zwrocie wskazał na obowiązek ciągłych studyów, aby posunąć naprzód naukę dla dobra ludzkości. Jurek ironicznie się zaśmiał.

— Nie wam, nie wam — szeptał przez zaciśnięte zęby — spełniać takie zadanie, nie wam posuwać naprzód naukę, której pierwszych podstaw nie znacie! Czuł, że mówić musi, a trwoga jakaś ogarniała go nieprzemierzona na myśl o pierwszym słowie, które mu wypowiedzieć przyjdzie. Lękał się usłyszeć brzmienie własnego głosu, serce tłukło mu się gwałtownie w piersi, na czoło pot kroplisty wystąpił.

Kolega mówić skończył — ozwały się huczne oklaski, ściskano i całowano mówcę. To zelektryzowało Jurka.

Powstał nagle, wyprostował się, nalał z butelki wina do szklanki, wychylił duszkiem i zaczął mówić.

Zrazu głos stłumiony nie rozchodził się wśród wrzawy, lecz nagle wrzawa ustała

i. zaległa cisza.

Wszyscy, zdumieni wystąpieniem Sipajłły, umilkli.

Wśród ciszy głos jego zabrzmiał donośnie i z każdą chwilą potężniał, wibrując.

On blady, z oczyma patrzącymi bezwiednie przed siebie, opierając się jedną ręką

na stole, mówił energicznie, dobitnie, wyrazami, które potokiem płynąć mu się

zdawały z ust, przed chwilą ponuro milczących.

Mówił o postępach medycyny, wskazywał kierun-

ki, jakimi iść należało, aby szukać nowych dróg, ale zarazem z naciskiem

podniósł, że tego nie zdolny uczynić ten, kto ladajakimi studjami uzyskawszy

patent lekarza, sądzi się być powołanym do wyrokowania.

— Nie lekarz to będzie — wołał — lecz partacz, nie dobroczyńca ludzkości

cierpiącej, lecz jej oprawca!

W ciągu całej mowy Sipajłły panowała cisza. Zdumienie ustępowało chwilami

miejsca zniecierpliwieniu a nawet oburzeniu, bo każdy mimowoli czuł, że Jerzy,

choć nie wymienia nikogo, ma pewne osobistości, a może cały ogół na myśli, że

wszystkim zarzuca nieuctwo, sobie tylko przypisując wiedzę.

Sipajłło instynktowo odczuwał usposobienie swoich słuchaczy; rozplómiowanym

wzrokiem rzucając dokoła, chwycił wyrazy twarzy niechętne albo szyderskie i to

go jeszcze bardziej podniecało. Coraz gwałtowniejsze wyrazy wydobywały mu się na

usta ze wzburzonej duszy, a taka była siła jego wymowy, że trzymała na wodzy

oburzenie obecnych, którzy milczeli, jakby porażeni tym niespodzianym atakiem.

Jerzy mówił ciągle, grożąc zdemaskowaniem profesorów i protegowanego przez nich nieuctwa młodych lekarzy; mówił jeszcze, ale głos w krtani zamierał, krew uderzała falą do głowy, a serce bić przestawało. Zachwiał się i całą siłą o stół obu rękami się oparł. W uszach szum gwałtowny, huczący, tłumił mu brzmienie jego słów własnych, przestał słyszeć siebie, a przed sobą nie widział nic, prócz mgły szarej, coraz gęstszej przez którą krwawe przelatowały błyskawice.

Stał z otwartymi ustami bez głosu i nagle upadł na krzesło. I w tejże chwili zdało mu się, iż przez szum, jaki mu głowę nappełniał, przedarł się szalony, głośny wybuch śmiechu. Chciał się porwać, nie miał siły, nawet głowy udźwignąć nie mógł, która opadła na stół bezwładnie. Nie słyszał już nic. Obudził się wśród ciemności, w pokoju i na łóżku gospodarza domu; na głowie poczuł zimno, był to ręcznik z wodą i lodem. Wzdrygnął się, odrzucił okład i powstał.
— Byłem pijany! — szepnął.
Przejęło go pognębiające uczucie wstydu. Usiłował przypomnieć sobie wszystkie szczegóły minionego wieczora i zdawało mu się, że pamiętał wszystko aż do chwili, gdy mówić przestał, gdy posłyszał śmiech. Wiedział, co mówił, nie pamiętał tylko, co się z nim potem stało, jakim sposobem znalazł się w tym pokoju. Głowa mu jeszcze ciężyla, niepewnym krokiem przeszedł się po pokoju i zbliżył do drzwi, przez które przedostawało się światło.

Gospodarz i kilku wytrwał szych kolegów zabawiało się jeszcze.
Przez drzwi,
ostrożnie uchylone, zobaczył Sipajłło, że siedzieli przy stoliku i grali
w
karty; obok nich stały butelki i kieliszki. Jerzy wiedział, że gospodarz,
człowiek bardzo zamożny, namiętnie lubił grę i grał wysoko. — W
pierwszej chwili
miał zamiar wymknąć się niepostrzeżenie, co było jednak trudnem,
trzeba było
bowiem przechodzić przez pokój, w którym grano. Następnie przejęło
go pragnienie
okazania, że pijanym nie jest, że to było

tylko chwilowe osłabienie i omdlenie, spowodowane poprzedniem
zmęczeniem, pracą
i gorącem, jakie panowało w pokoju. Należało się rehabilitować!
Poprawił zmoczone włosy i nieład ubrania i krokiem dość pewnym
wszedł, zbliżając
się do stołu grających.. Musiało być późno, bo świece dopalały się już
w
lichtarzach, na co wszakże zajęci grą nie zważali.
Przy stole siedziało, oprócz gospodarza, sześciu kolegów; kilku,
stojąc,
przyglądało się grze z niezmiernem zainteresowaniem.
Zajęcie było tak silne, że wejście Sipajłły nie zrobiło żadnego
wrażenia. Ten i
ów odwrócił głowę, popatrzył i w milczeniu zwracał się ku zielonemu
stolikowi,
przy którym padały krótkie wyrazy, jak hasła. Oprócz nich słychać
było tylko
szelest kart rzuconych, a czasem urwany okrzyk podziwu lub
niezadowolenia.
Gra była ryzykowna i wysoka; brali w niej udział najmajątniejsi
koledzy
Sipajłły, których on nieraz za ich rozrzutność i lekkomyślność
potępiał.

Widząc, że nikt na niego uwagi nie zwraca, Jerzy stanął przy stoliku.
Z początku
mało go zajmowała gra sama, a więcej twarze grających,
rozgorączkowane,
niespokojne. Po chwili jednak drażnić go poczęło wytrwałe szczęście,
jakie
służyło temu, którego w całym towarzystwie najbardziej nienawidził.
Był to ów
Czerski, którego głos poznał Sipajłło, gdy czynił innym wymówki, że
go tu
sprowadzili. Przystojny bardzo, lubiony przez kolegów, towarzyski,
wesoły,

a przytem majątny, Czerski posiadał wszystkie warunki do szczęścia,
których mu
Jerzy zazdrościł — nawet w grze był szczęśliwy!
Z oburzeniem patrzył, jak przy Czerskim coraz większa suma
gromadziła się
pieniędzy, a on uśmiechał się z zadowoleniem, lekceważąco potraçał
banknoty,
leżące obok niego i z takimże lekceważeniem, niepozbawionem
wdzięku, stawiał
wysoko, niedbale brał karty i — wygrywał.
Jerzy przeszywał go płomiennym wzrokiem, co musiało zwrócić
uwagę Czerskiego, bo
nagle podniósł głowę, spojrzął i z pewnym ironicznym naciskiem:
— A, pan Sipajłło — rzekł — już zdrów!
Wszyscy się ku Jerzemu zwrócili, jakby go dopiero spostrzegli, a on
stał blady,
wzburzony, czując na sobie siłę tych spojrzeń, z których ani jedno nie
było
życzliwe.
— Wcale nie byłem chory — przemówił przez zaciśnięte zęby —
gorąco przyprawilo
mię o chwilowe omdlenie. Ale jak widzę — dodał — panu
Czerskiemu szczęście dziś

służy.

— Pomimo gorąca — przerwał, śmiejąc się Czerski. Za to — dorzucił z przymówką,

podrażniony także przenikliwymi spojrzeniami Sipajłły i jego sarkastycznym tonem

— za to będę całe życie partaczem-lekarzem i oprawcą społeczeństwa!

— Dajże pokój — przerwali — po co wznawiasz historię?

Jerzy rzucił się gwałtownie, ale się wnet zmiarkował. I on nie chciał już teraz

wznawiać zająć po-

przednich. Czerski także zreflektował się rychło i chcąc snadź wynagrodzić to,

co mu się mimowoli w chwilowym rozdrażnieniu, wyrwało, zaśmiał się wesoło.

— Żartuję sobie! — zawołał — Sipajłło chyba to rozumie. Wiesz co Jerzy? — dodał,

wracając nagle do koleżeńskiego tonu — siadaj i zagraj z nami!... raz ostatni...

Propozycja była uczyniona dla formy, aby przerwać przykry nastrój poprzedniej

rozmowy, Jurek bowiem dotychczas nie grał nigdy. Zdumienie tedy było powszechne,

gdy Sipajłło nie odpowiedział odmową, lecz przysuwając krzesło do stolika:

— Gram... rzekł krótko.

Co w nim podówczas zaszło, nie potrafiłby sam dokładnie określić.

Powodowała nim zrazu chęć upokorzenia Czerskiego. Zdawało mu się, że wygrać musi,

a żądza tej wygranej coraz silniej go opanowywała. Z początku, nie znając dobrze

tajemnic gry, był niepewny siebie; ośmieliła go pierwsza wygrana, dość znaczna,

powitana hucznym aplauzem kolegów.

— Pierwszy raz zawsze się wygrywa! — ktoś mu szepnął nad uchem.

On też czuł, że wygrać musi! Pierwsze pomyślnie wróżby przejęły go niewymownym zadowoleniem. Zaczął grać coraz swobodniej; krew żywo krążyła mu w żyłach, oczy pałały... Jak długo to trwało, onby sam dzisiaj określić nie zdołał. Podówczas stracił zupełnie rachubę czasu,

Widział tylko, jak gospodarz, wstawszy od stolika, przyniósł nowe świece, na miejsce tych, które się wypaliły, — uważał, że płomień tych świec coraz bledsze rzucał blaski, wobec świtów dziennych, które się przez okna wdzierały. I widział naprzeciw siebie żółtą, zmęczoną, ale spokojną twarz Czerskiego, który ciągle teraz przegrywał. Nagle zmieniła się fortuna. Kilkakrotnie, raz po raz, Sipajłło przegrał. Nie umiając się miarkować, ulegając gorączce, która nim owładła, ryzykował, stawiał wysoko; przegrawszy, usiłował w tej chwili się odbić i znów przegrywał. — Jerzy — rzekł spokojnie Czerski — nie zapalaj się do swoich własnych pieniędzy... poczekaj! Ta przestroga była oliwą dolaną do ognia. Zimna krew Czerskiego drażniła go teraz równie mocno, jak pierwej jego szczęście. Nie odpowiedział nic, grał ciągle z tą samą nieogłędnością, a zapalał się coraz bardziej, im większe ponosił straty. Żał mu było tych pieniędzy, które przed chwilą leżały przy nim,

były jego własnością, a nagle przeniosły się do kieszeni innych.
Drżącemi rękami
wyrzucił resztę banknotów z pugilaresu i natychmiast je przegrał.
Zdmuchnięto świece, był dzień biały. Jerzy czuł, że go zimny pot
oblewa,
dreszcze wstrząsają całym ciałem, a w żyłach przelewa się krew
gorąca, jak lawa.
— Kończmy! — rzekł Czerski.
Sipajłło kończyć nie chciał. On teraz siedziałby dni kilka z rzędu przy
tym
stoliku, dopóki mu sił starczyło, byleby nie kończyć!

— Jeszcze pół godziny! — przemówił. Uderzyło go brzmienie
własnego głosu. Było
chrypliwe, ściśnięte, syczące.
Sipajłło przegrał najwięcej, uczyniono więc zadość jego życzeniu,
choć nikt
już grać nie miał ochoty. Trwało to jeszcze godzinę, a może i więcej,
ale klęska
Jerzego powetowaną być już nie mogła. Przegrał wszystko co miał
przy sobie i
pięćset rubli pozostał dłużny Czerskiemu.
Gdy rzucono karty i rozrachowywać się poczęto, Jerzy oparłszy się o
stół
łokciami, patrzył nieprzytomnym wzrokiem na cyfry, kreślone białą
kredą na
zielonem suknie ręką gospodarza. Gorączka, która nim owładnęła i
podniecała
przez kilka godzin, opuszczała go teraz, siły słabły, głowa ciężła,
oczy
bolały, jak gdyby je drutami rozpalonemi raniono; w mózgu czuł
straszliwą
próżnię, wśród której rozbijały się bezładne myśli. W tym zamęcie
jedno tylko
przeważało pragnienie: grać jeszcze, grać ciągle! i jedna troska: dług,
którego

natychmiast spłacić nie mógł.

Wstał i zbliżył się do Czerskiego:

— Przykro mi — rzekł zdławionym głosem — że dzisiaj nie mogę zapłacić.

— Ale co znowu! — przerwał Czerski uprzejmie — nie kłopotz się tem wcale.

Odeszlesz, kiedy ci będzie najdogodniej.

— Dziś wyjeżdżam do domu — wtrącił spiesźnie Jerzy — przyjechawszy natychmiast odeszł.

— Ależ proszę cię! — zawołał Czerski, podając mu rękę — kiedy tylko zechcesz.

Za chwilę Sipajłło znalazł się na ulicy sam jeden.

Zupełnie inne, niż zwykle, wydało mu się miasto, inni przechodzący ludzie, inne

powietrze. Widział przed sobą ulicę i ludzi, jak przez mgłę, a czuł się całkowicie odrębnym, nieszczęśliwszym, bardziej upośledzonym od wszystkiego, co

go otaczało. Mijając przechodzących myślał:

— Jacy oni szczęśliwi, że nie spędzili podobnej jak ja nocy!

Szedł szybko, unikając spojrzeń, kryjąc się pod mury, szedł bezwiednie,

zgnębiony, chory; głowa pękała mu z bólu, bolały go wszystkie kości, pragnął

samotności, spokoju, spoczynku.

Nareszcie doszedł do swego mieszkania. — Pozasłaniam szczelnie okna myślał — i

spać się położę; cały dzień nikogo nie wpuszczę. — O niczem teraz nie marzył,

tylko o tym spoczynku.

Niestety i w tej nadziei spotkał go zawód. Stróż kamienicy powitał go u wejścia

i doręczył list z domu, od matki.

Pani Natalia donosiła synowi o nowych, poniesionych stratach. Rdza i grad

zniszczyły nadzieje tegorocznych obfitych plonów, a na domiar klęski ojciec, od dłuższego czasu zapadający na zdrowiu, tak uczył te straty, że groźnie zachorował.

— "Przyjeżdżaj — pisała matka — przyjeżdżaj co rychlej; ojciec cię wzywa, a mówi ciągle o śmierci. Jest bardzo słaby."

Tegoż dnia wyruszył Jerzy z Kijowa, a przyjechał do domu na pogrzeb ojca.

Ostatni ten dzień studenckiego życia i okropny powrót do domu, stały się granicą, oddzielającą dzieciństwo i młodość Jerzego od walk męskiego wieku.

Rzuciły one cień fatalny, żałobny na całą przyszłość. Wprost z ław szkolnych,

Jerzy wpadł w wir kłopotów, dotychczas mu obcych: był zmuszony teraz nietylko

myśleć o sobie, lecz i o matce, którą, przerażona śmiercią męża, zaniepokojona o

dalszą przyszłość, mniej niż kiedykolwiek była zdolną zająć się interesami.

Straty, poniesione na dzierżawie, były bardzo znaczne.

Zlikwidowawszy wszystko,

po spłaceniu wszelkich należności i odesłaniu długu Czerskiemu, zostało Jerzemu

około dziesięciu tysięcy rubli. Większa połowa kapitału dawnego bezpowrotnie

przepadła.

Z tą sumką Sipajło przeniósł się z matką do Humania i rozpoczął praktykę.

Ale i tu czekało go rozczarowanie. Praktykę rozpoczął z pewnością powodzenia;

ta pewność tak była wielką, że pozwalała mu lekceważyć kolegów, nie dbać o ich

względy, głośno odzywać się o ich nieuctwie. Wkrótce, ilu tylko było lekarzy w Humaniu i okolicy, wszyscy wiedzieli o opinii, jaką o nich wydawał młody Sipajłło i za tę opinię odwdzięczali mu się czynami. Oddawna tu osiedleni mieli w swych rękach całą praktykę, mieli też rozliczne sposoby przeszkadzania młodemu a zarozumiałemu współzawodnikowi. Dopomagał im sam Jerzy, szkodząc sobie w opinii ogółu bezwzględnością swą i szorstkością.

Zdarzyło się, że wezwany na konsylium Sipajłło, nie chcąc uledez zdaniu kolegów, wyjechał, pomimo prób rodziny, oświadczając brutalnie, że chory przy takim leczeniu umrzeć musi. Chory wyzdrowiał, przeciwnicy odnieśli tryumf, a rodzina powzięła do Sipajłły żal, którego bynajmniej nie tajiła. Wkrótce w całej okolicy mówiono tylko o brutalstwie i zaciętości Sipajłły, który, jak utrzymywano, wolał raczej zabić chorego, niż uledez zdaniu innego lekarza. — Zanadto ryzykowny, życie ludzkie u niego nie znaczy nic, robi doświadczenia, które chorzy ciężko przeplacić mogą! — mówili jedni. — Nowicyusz, niema praktyki, a zuchwały i brutal! — dodawali drudzy. Wobec takiej opinii nic dziwnego, że praktyka zamiast się wzmaczać, malała. Bywały dni takie, że ani jeden pacjent nie zapukał do drzwi młodego doktora, a wiejska praktyka, najwięcej przynosząca, została, jak dotychczas, w ręku starych lekarzy: Freunda i Strulińskiego. Nie wykurzył ich Sipajłło, jak to niegdyś

zapowiadał matce.

Goryczą zapływało mu serce. Oskarżał świat i ludzi, winił los fatalny,
a żadna

myśl jaśniejsza nie przynosiła otuchy. Wkrótce uczuł się jeszcze
bardziej

samotnym, matka bowiem jego wyjechała na czas dłuższy do
krewnych, nie mogąc

porozumieć się z synem. Jerzy kochał matkę, ale pod jednym dachem
z nią

mieszkając, był w ciągłej z nią walce.

Pani Natalia, zaślepiona w synu, dumna jego stanowiskiem i wiedzą,
nie umiała

wszakże ułatwić mu

stosunków z ludźmi, których swoją, nadętością i tonami zrażała,
przyczyniając

się mimowolnie do zwiększenia niechęci, którą Jerzy własnym
postępowaniem

wywoływał. On zaś, szukając we wszystkich i we wszystkim, co go
otaczało, winy

niepowodzeń, których był sam głównym sprawcą, stawał się z dniem
każdym bardziej

szorstkim i przykrym dla matki, na którą zwał całą
odpowiedzialność. W

rozgoryczeniu zdawało mu się nieraz, że gdyby nie matka ze swemi
parafiańskimi

tonami i pretensją do arystokracji, on daleko lepiej stałby w opinii
ogółu.

— Ośmiesza mnie — myślał — ludzi zniechęca.

I czynił matce bolesne wyrzuty, na które pani Natalia odpowiadała
migreną i

łzami, a wreszcie zmuszona była wyjechać.

Wyjazd ten, powiększając pustkę, otaczającą Jerzego, nie ułatwił
wcale sytuacji.

Do dawnych zarzutów, czynionych mu, jako lekarzowi, przybył teraz
nowy,

najcięższy, piętnujący go jako człowieka.
— Zły syn! — mówiono — wypędził matkę.
Tę atmosferę niechęci czuł Sipajłło mimowoli wokoło siebie" a
napróżno usiłował
ją rozproszyć. Uprzedzenia ogółu były nadto wielkie, by się dały
łatwo zmienić,
a on nadto ambitny i zaufany w sobie, by mógł nad sobą samym
zapanować. Przy
każdym zetknięciu się z ludźmi wybuchał, każdą najłżejszą opozycję
odpierał
lekceważącą ironią.
W tym czasie, — było to już w drugim roku pobytu Sipajłły w
Humanu, — odwiedził
go niespodziewanie Zygmunt Czarnoszyński.

Niezwykłe był ożywiony. Objeżdżał krewnych w dawnych swych
okolicach i umyślnie
zatrzymał się w Humanu, aby odwiedzić kolegę i pożegnać.
Wyjeżdżał bowiem na
długo, może na zawsze, za granicę, do Paryża, gdzie go wzywała
najserdeczniej
ciotka, pani de Larjeac.
— Jędę! — mówił Zygmunt, — otrząsnę z siebie tę pleśń, która mnie
tu gnębi. Na
gospodarza się nie zdałem; zresztą julińskie gospodarstwo obejdzie się
bezemnie,
a rodzice życzą sobie, abym jechał.
— Cóż będziesz robił w Paryżu? — pytał Jerzy, chmurny, myśląc w
duchu: Taki
Czarnoszyński, to jak kot, zrzucony choćby z dachu, zawsze na nogi
upada.
Zmarnował lat tyle, studyów nie skończył, a przecie nie zginie!
Zawsze się
znajdzie jakaś ciotka, babka, szwagier, którzy go poratują. Darmozjad,
pieczeniarsz!
Na pytanie Sipajłły odpowiedział Zygmunt:

— Co będę robił, stanowczo nie wiem jeszcze. Ale w stolicy cywilizowanego świata o zajęcie dla ducha nie trudno. Przy protekcji pani de Larjeac... Jerzy się zaśmiał.

— A tak! protekcja, oto potężna dźwignia takich jak twoja egzystencyj!

— Nie zrozumiałeś mnie — przerwał Zygmunt. — Ja protekcji w znaczeniu materialnym przyjmować nie myślę; chciałem mówić o moralnym poparciu. Będę ucześnieł na wykłady uniwersyteckie, uzupełnię swoje dotychczasowe studia, mam zamiar poświęcić się literaturze.

Sipajłło szydził ciągle, jeśli nie słowami, to wyrazem twarzy i uśmiechem.

— Już to ją — rzekł w końcu — nie chciałbym jeść chleba z tej twojej literatury na zagranicznym sosie. Że umiesz dobrze po francusku, sądzisz, iż potrafisz pracować na polu literackim we Francji. Łudzisz się, jak zwykle. Ty, pisząc po francusku, zostaniesz zawsze tem, czem jesteś, Polakiem, nierozumiejącym obcego gruntu, ani ducha. Oni nawzajem ciebie rozumieć nie będą. Wyśmieją cię, albo podepczą, a ty nie będziesz miał nigdy dość siły, aby im się oprzeć. Zygmunt się zasepił. Czuł w tych słowach prawdę, która go przerażała, lecz czuł zarazem zawiść i złośliwą intencję.

— Zazdrości mi i dlatego tak mówi — myślał, pocieszając się. Koledzy rozstali się jednak serdecznie, obiecując pisywać do siebie. W chwili pożegnania dawne wspomnienia odżyły, chociaż Zygmuntowi ciężyła złośliwość

Sipajłły, a Jerzemu przykrym był widok człowieka, który wydostawał się na świat szeroki i mógł tam zdobyć wszystko, podczas gdy on!...
Po wyjeździe Czarnoszyńskiego stan rozdrażnienia i ponurej zadumy, jaka umysł
Sipajłły przytłaczała, jeszcze się powiększył. Całą duszą począł zazdrościć
Zygmuntowi, tem bardziej, że zastanawiając się nad swoją pozycją, czuł, że chyba nadzwyczajnego potrzeba zdarzenia, aby go wydobyć na widownię z tego zapleśniałego kąta, w którym marnieje.
— Tak marnieje! — myślał. — Umiem więcej, niż

każdy z tych niedołęgów, którzy się tu postarzelili, lub z tych młodych partaczy, którzy lekceważą naukę.
On jej nie lekcewazył nigdy! W uniwersytecie uczył się gorączkowo, namiętnie, zdumiewał swoją wytrwałością, całą siłę swego umysłu wyteżał, aby ogarnąć wszystko, ogrom nauki osiąść i stać się o tyle panem przedmiotu, aby mózdz szukać nowych dróg, odznaczyć się jakim nowem odkryciem.
Dlaczegóż los nie dał mu takich środków, jak Zygmuntowi, który z nich nawet w odpowiedni sposób skorzystać nie potrafi. Co innego on, gdyby był w Paryżu!
Tymczasem Zygmunt wybierał się w świat szeroki. Ostatnie chwile pobytu i pożegnanie z rodzicami, oraz myśl, że może tu już nigdy nie wróci, rozproszyły do reszty początkową radość, nadwerężoną już słowami Sipajłły.
Wyjeżdżał smutny, z przygnębiającem uczuciem w duszy, a słowa Jurka brzmiały mu ciągle w uszach:

— Nie rozumieją cię, podepczą, złamią!
Uroczyście jednak postanowił sobie walczyć, nie przyjąć żadnej protekcji, oprócz moralnego poparcia, i starać się własnymi siłami zdobyć stanowisko. Z podróży swej do Paryża nie zachował prawie żadnego wspomnienia; za dużo miał tęsknoty w sercu, za wiele żalu za tem. co bezpowrotnie minęło, co poza sobą zostawiał, aby zwracać uwagę na szczegóły podróży. Myśl jego, odrywając się przemocą od przeszłości, pracowała nad ułożeniem planu na przyszłość, planu tej pracy, która go czekała, stosunków z ludźmi, które go przejmowały obawą.

Po raz pierwszy miał stanąć w obec nich w zmienionej pozycji. Teraz on doskonale rozumiał wartość owej niezależności, której mu Jurek tak niegdyś zazdrościł, owej niezależności, którą daje majątek, imię znane i zasłużone, to, co odrazu po wymienieniu nazwiska zwraca uwagę obcych i ułatwia pierwsze wśród nich kroki. On dotychczas nie odczuwał żadnych w tym względzie trudności, żył w świecie i wśród ludzi, którzy na samo brzmienie jego nazwiska wybiegali ku niemu z wyciągniętą dłońią. Nagle owionęło go powietrze inne, jak lód zimne; spotkał się z wejrzeniem ludzi zupełnie obcych i obojętnych i miał wśród nich, lub z nimi rozpocząć bezwzględna walkę o byt. Stanowisko jego, nawet wobec tych, którzy mu byli krwią bliscy, jak pani de

Larjeac i Irena, miało być odtąd odmienne. Oni będą patrzyli na niego innymi

oczami, on względem nich będzie się czuł czasem zależnym, a zawsze skrępowanym.

Takimi myślami zajęty, przebył całą drogę do Paryża, jak we śnie, w oszołomieniu.

Przez okno wagonu patrzył bezmyślnie, nie widząc nic; zdawało mu się nawet

chwilami, że nic nie czuje, wiedział tylko, że go jakaś siła przemożna, od jego

woli niezależna, unosi w nieznaną, tajemniczą) a groźną przestrzeń...

Nareszcie stanął u celu.

Konduktorowie otworzyli nagle wszystkie wagony, z których tłum wysypał się na

peron dworca. Peron olbrzymi, w tej porze bardzo ранней, mroczny,

ciemny. Zygmunt ze snu obudzony, na pół przytomny, zerwał się z miejsca i

ująwszy ręczne pakunki, wyskoczył.

Owionęło go powietrze chłodne i ogłuszyła wrzawa dziwna,

niezrozumiała, złożona

z głosów dźwięcznych przeciągłych, łoskotu wyrzucanych pakunków, turkotu wózków

ręcznych, nawoływań służby, brzęczenia dzwonek telegraficznych.

— Vos bagages m'sieur? zabrzmiało mu w uszach pytanie, raz, drugi i trzeci.

Nie odpowiedział nic. Szedł prosto przed siebie, oszołomiony.

Machinalnie czytał

napisy, poumieszczane na drzwiach, które mijał. Szedł dalej,

spiesznie,

korytarzem długim, szerokim, o olbrzymich oknach, wychodzących na ulice miasta.

U jednego z nich zatrzymał się, ciężące mu w rękę pakunki złożył na ławce

drewnianej i spojrział.

Drobny, przenikliwy deszcz padał. Po za mgłą białą, gęstą, dalej nad dwadzieścia kroków nic dostrzedz nie było można. Zygmunt widział tylko spieszenie trotoarem wilgotnym przesuwające się skulone postacie przechodniów i cały szereg fiaków, karet dużych, dwukonnych, stojących rzędem. Uderzyły go napisy na błękitnych tablicach białymi literami, poumieszczone po nad trotoarem: Tete — limite. Nie umiał sobie ich przeznaczenia wytłómaczyć, ale je czytał ciągle, bezmyślnie... — M'sieur attend quelqu'un? — zabrzmiał mu nagle w uszach głos pytający.

Obejrzał się. W olbrzymim korytarzu było już pusto. Wszyscy, którzy przyjechali do stolicy, udali się spieszenie tam, gdzie ich wiódł interes własny, zatrudnienie; obowiązek lub serce. On jeden został, nie znający nikogo i nikomu nieznanym, czytający bezmyślnie, ciągle, wyrazy, które mu nic nie mówiły: Tête — limite... Komisyoner, domyśliwszy się, że to nieświadomy zwyczajów cudzoziemiec, z pewnym pogardliwym lekceważeniem, lecz z rodzajem uprzejmej litości zarazem, zajął się Zygmuntem, wydobył jego pakunki, które w czas nie reklamowane, złożone już zostały do magazynu i wsadził go do omnibusu hotelowego, oczywiście wybierając podrzędniejszy. Nie mógł przypuścić, aby ten zamyślony ponuro cudzoziemiec zasługiwał na lepszy hotel, niż szumnie nazwany, lecz bardzo skromny Grand-Hôtel

du Sénat, rue de Tournon, po lewym brzegu Sekwany.
Z przyjazdu tego, z instalacji w hotelu i z pierwszej wycieczki na
ulicę Paryża,
zostało Zygmunta dziwnie chaotyczne wrażenie, z którego nie
umiał sobie zdać
sprawy. Było to jakby przytłumienie wszelkich władz umysłowych
tym ogromem, jaki
przed sobą widział, tym tłumem, który go otaczał. Nie dostrzegał ani
ludzi, ani
przedmiotów, nic go nie zdumiewało i nic nie olśniewało, zdawało mu
się owszem,
że ten Paryż, który istniał przedtem w jego wyobraźni, o wiele
przewyższał
rzeczywistość, jaką widział teraz; czuł pewne rozczarowanie. A
jednak ogrom
pochłaniał go i przytłaczał; szczegółów pochwycić nie

mógł, ani całości ogarnąć; miał takie uczucie, jakby wpadł nagle w
olbrzymie
mrowisko, w którym całkowicie zniknął. Została mu władza myślenia,
ale on
przestał istnieć dla innych.
Dopiero zwolna wyjaśniały się wrażenia. Ten lub ów przedmiot zaczął
zwracać
wyłączną jego uwagę i budzić do przytomności.
Na placu Zgody zdumienie ogarnęło go po raz pierwszy. Stojąc u
podnóża
luxorskiego obelisku i tonąc wzrokiem w cudownej perspektywie,
ciągnącej się z
jednej strony aż ku łukowi tryumfalnemu de L'Etoile, a z drugiej ku
Tuileryotn,
których ruiny, czarne, niekształtne, pamiątka przejść krwawych,
zarysowywały się
na tle chmurnego nieba, po raz pierwszy miał świadomość, że jest w
stolicy
świata.

Pobudziła się w nim chęć życia.

Pani de Larjeac posiadała wspaniały pałac, który z jednej strony przylegał do

niewielkiej ulicy Murilla a głównym frontem wychodził na rozkoszny park

Monceaux. Z opowiadania Zygmunt znał bardzo dobrze pozycję pałacu. Kazał więc

fiakrowi zawieźć się do parku i tam wysiadłszy, przechadzał się długo,

przyglądając się ślicznym willom i pałacom, z których wiele posiadało własne

ogródki, otoczone balustradą, wrzynającą się w obręb parku. Na balkonach i

terasach, w oknach otwartych, mnóstwo osób, używających powietrza i woni

pogodnego, wiosennego wieczoru.

Zygmunt zatrzymał się przy wspaniałym wodotrysku o kolumnadzie korynckiej. Przed

sobą, w pro-

mieniach zniżającego się słońca, widział świeżą, aksamitną zielonością okryte

gazony, polewane w tej chwili wodą. Co parę kroków, z niewidzialnych wśród trawy

przyrządów, tryskały małe fontanny, rozpryskujące mgłę brylantową dokoła. Dalej,

po za malowniczymi grupami drzew, ciągnęła się wielka, pełna ruchu i gwaru ulica

de la reine Hortense i w tejże stronie widniały olbrzymie złoczone kopyły

świątyni, pałace się teraz w słońcu, zawieszane w powietrzu, jak ogniste

zjawiska.

Głośny szum wodotrysku, szmer fontan, zlewających gazony, gwar, dochodzący z

ulic, odgłos rozmów i śmiechów przechadzających się osób, tworzyły
dziwnie
upajającą harmonię, w którą wsłuchał się Zygmunt, zapominając na
chwilę o
wszystkiem.

Obudziły go z zadumy wesołe głosy towarzystwa, które przechodziło
w tej chwili,
obok niego, tak blisko, że jedna z pań dotknęła go niemal ramieniem.
I równocześnie zwróciła ku niemu spojrzenie, uśmiechnięta,
rozpromieniona,
mówiąc ciągle do idącego obok niej mężczyzny. Spojrzenie było
pełne
roztargnienia, mimowolne, jakie się rzuca obojętnemu przechodniowi,
zawadzającemu po drodze, ale wyraz tej twarzy, uśmiech promienny
ust pół-
otwartych i oczu rozjaśnionych, ruchliwych, mieniących się barwą
zieloną, odbiły
się w głębi duszy Zygmunta. Drgnął, jakby tknięty iskrą elektryczną.
Są w naturze ludzkiej niewytłómaczone niczem przeczucia; nie
zwiastują one nigdy
radości, lecz ostrzegają przed niebezpieczeństwem i odpychane są,
zawsze

jak z mora. Człowiek przychodzi na świat optymistą, a chociaż życie
codzienne z
tej wady uleczyć go się stara, on pozostaje nim zawsze, bądź co bądź,
do końca.
Ci nawet, którzy najposepniejsze wygłaszają zdania w głębi duszy
sami sobie nie
wierzą; zagłuszają brzmieniem słów własnych wrodzoną skłonność do
złudzeń,
nadzieję szczęścia, pragnienie dobra i spokoju. Ujrzawszy tę obok
niego
przechodzącą postać niewieścią, Zygmunt miał takie przeczucie. Jakaś
niepojęta

siła ciągnęła go ku niej, a zarazem głos, wnet stłumiony, ostrzegał.
Jednym
rzutem oka ogarnął ją całą: widział jej smukłą, wyniosłą a giętką
kibić; widział
jak w śmiechu tłumionym, który się wydobywał cichem brzmieniem z
ust wydatnych,
zmysłowych, podnosiło się i falowało jej łono, jak z poza ust tych dwa
rzędy
zębów białych, ostrych, błysnęły ponętne; widział, jak jej stopa
malutka,
silnie na podbiciu wygięta, idąc, zdawała się rwać ziemię ruchem
zgrabnym a
nerwowym; widział jej rączkę drobną, uwięzioną w obcisłej
rękawicze ciemnej,
jak rezolutnie, śmiało przytwierdzała słowom, płynącym żywo; a
nadewszystko
widział i odczuł spojrzenie zielonych oczu, które się chwilę
zatrzymały na nim i
wnet zwróciły się jasne, promienne, ciekawe, pytające i zagadkowe ku
szczęśliwemu towarzyszowi.
Bił od tej postaci blask młodości; z każdego jej ruchu, wytwornego, a
naturalnego zarazem, wydzielały się niby magnetyczne prądy, które ją
całą
otaczały niezwykle zmysłową, upajającą atmosferą.

Ze wzrokiem, utkwionym w tę postać, Zygmunt nie zwrócił nawet
zrazu uwagi na
towarzyszące jej osoby. Dopiero po chwili, oprzytomniawszy nieco,
spozstrzegł, że
towarzyszem jej był niezbyt już młody, ale bardzo wytwornie
wyglądający
mężczyzna Zdawał się nią bardzo zajęty. Obok postępowała dama,
której siwe włosy
świadczyły o wieku. Szła jednak żywo, szybko, opierając się lekko na
ramieniu

młodej kobiety, której twarzy Zygmunt dopatrzeć już nie mógł.
Zauważył tylko jej
wysoką, piękną postać o ruchach poważnych, spokojnych a
wdzięcznych.
Przeszli i nikli już za drzewami; zdala tylko dochodziło jeszcze
Zygmunta echo
rozmowy i srebrzystego śmiechu, wychodzącego z ust wydatnych,
zmysłowych, o
wardze dolnej wyraźnie, jak gdyby umyślnie, po środku przeciętej.
Spiesznie, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, Zygmunt podążył
za nimi. I
widział, jak wchodzili do jednego z najpiękniejszych w tej części
miasta
pałaców, a wkrótce rozejrzawszy się dokoła, nie mógł mieć żadnej
wątpliwości, że
to była rezydencja ciotki jego, pani de Larjeac.
Chwilowo miał pokusę wejść do wnętrza wspaniałego pałacu. Wszak
był tam
niezawodnie z niecierpliwością oczekiwany, byłby najserdeczniej
przyjęty, a miał
prawo, większe niż kto inny, większe prawdopodobnie niż ów
niemłody mężczyzna,
upając się spojrzeniem zielonych, błyszczących oczu i słuchać
wesołego
szczebiotu tej, która tak silne na nim odrazu wywarła wrażenie.

To musiała być niewątpliwie kuzynka jego Irena de Larjeac. Owa
niemłoda dama o
ruchach żywych, to ciotka jego pani Stefania, którą zaledwie z
dzieciństwa swego
pamiętał, a owa młoda kobieta, na ramieniu której pani de Larjeac się
opierała,
to oczywiście Ola, której twarzy nie dojrzał, lecz zauważył ruch całej
postaci
bardzo spokojny, nacechowany powagą i jakby smutkiem.

Oparł się pokuszeniu i tego wieczora nie poszedł
Ważał się jeszcze
czas jakiś
po ulicach i wcześniej wrócił do hotelu.
W małym pokoiku zamknięty, położył się do łóżka i nie gasząc
światła, marzył.
Z ulicy dochodził go gwar życia, silnym o tej porze bijącego tętnem w
studenckiej dzielnicy miasta. Wśród tej wrzawy czuł się bardzo
samotnym. Po raz
pierwszy rzucony był w wir taki, bez odpowiednich środków, bez
doświadczeń i
znajomości tego świata, wśród którego miał szukać stanowiska i
oparcia
Pani de Larjeac ułatwi mu zapewne stosunki z ludźmi i dopomoże do
zajęcia w tym
obcym świecie odpowiedniej pozycji. Ale charakter tej pozycji
odrazu już był
oznaczony. "Ubogi kuzynek" wielkiej pani — to miało być odtąd
piętno, cechujące
go na zawsze; świetność jej salonów i stanowiska miała swym
odblaskiem złocić
jego nędzę!
Przyszedł mu na myśl Jurek Sipajłło. Gdyby on miał jego hart i siłę
woli!
Wyrzekłby się tej upokarzającej protekcji, nie przyjąłby żadnej
pomocy i poszedł
o własnych siłach, z podniesionem czołem i za-

ciśniętymi pięściami dobijać się znaczenia w tym nieznanym świecie.
Ale on ze
swym miękkim sercem mógłże to uczynić? On, który zaraz po
przyjeździe do
Paryża, oszołomiony jego ogromem, nie byłby sobie dał rady, gdyby
nie litościwa
usłużność komisyonera.
A zresztą pociągała go ta świetność, którą przeczuwał we wspaniałej
rezydencji

pani de Larjeac. Pociągał go urok życia, pełnego wytworności i smaku, wśród najbardziej wykwintnego towarzystwa w świecie. Należało mu się to z prawa, na mocy odziedziczonych tradycji. Wszak ta, której salon do najpierwszych tu się liczył, była jego bliską krewną, mającą nawet pewne obowiązki wdzięczności względem jego rodziny. Wszak on nie wdzierał się do niej przemocą, lecz przyjeżdżał na jej wezwanie, i tylko przez dziwną, może zbyt dużą lękliwość, wprost nie pojechał do niej, lecz wolał zamieszkać w skromnym pokoiku hotelowym w dzielnicy studenckiej. Ta sama lękliwość wstrzymała go jeszcze przed chwilą od złożenia wizyty w pałacu, lękliwość, z której z pewnością ciotka zarzut robić mu będzie. Jutro, zaraz o południu, musi tam pójść koniecznie i pozbędzie się stanowczo tych skrupułów bez podstawy. Jutro nie będzie już się czuł samotnym; znajdzie bliską i serdeczną rodzinę, wśród której odżyje. I będzie mógł bez przeszkody patrzeć w błyszczące oczy swej kuzynki i słuchać jej wesołego szczebiotu. Zabrzmiał mu on w tej chwili w duszy echem zasłyszaniem w ogrodzie. I znowu tknęło go przeczucie mgliste, niewyraźne, przeczucie niebezpieczeństwa.

Dlaczego ona dotychczas za mąż nie wyszła? myślał dalej ze wzrokiem w sufit utkwionym. Rachował jej lata, przypominał sobie z opowiadania rodziców jej

ostatni pobyt w Jurpolu, podczas gdy on był w Odesie. Od tej chwili
sporo minęło
czasu. Dlaczego za mąż nie wyszła? Piękna, bogata, z nazwiskiem
świetnym,
musiała mieć konkurentów mnóstwo, ale snadź była trudna w
wyborze i miała
wymagania wysokie.
W spojrzeniu, jakie na niego rzuciła, było dużo pewności,
wyzywającego niemal
zuchwalstwa, świadomości siły, która kryła się w głębi tych oczu,
pociągających
jak niezgłębiona toń morza.
Zygmunt przymknął powieki, ażeby nic nie płoszyło złudzenia, jakie
chciał w
duszy wywołać. Wyraźnie teraz widział całą tę postać, nie tyle piękną,
ile nad
wyraz ponętą, wabiącą ku sobie każdym ruchem, budzącą
gorączkowy niepokój.
Zupełna sprzeczność z tą drugą postacią, która odrazu uderzała
powagą i
spokojem.
Szkoda, że twarzy Oli nie dostrzegł! Musiała być piękna, bardzo
piękna. Ona
także miała cudowne oczy, duże, ciemne, a spojrzenie ich było tak
głębokie, tak
pełne rzewnego uczucia!
Serce Zygmunta poruszyło się dawnym wspomnieniem. Biedna istota!
Wprawdzie
dobrze jej tu być musi pod opieką pani de Larjeac, ale zawsze cięży
jej pewnie
straszne sieroctwo. Bez rodziny, bez nazwiska, bez majątku! Jakże
obcym wydawać
się jej musi ten świat, pełny blasku, który ją otacza w którym żyje,
choć do
niego nie należy!

Na chwilę zapomniał Zygmunt o zielonych oczach kuzynki, tak go
zajęła Ola. Oni
oboje będą teraz w wielkiej przyjaźni; on w jej spokoju szukać będzie
pokrzepienia, gdy go nadto znużą i rozdrażnią ludzie obcy, gdy mu
będzie
potrzeba otuchy i zachęty do walki i do pracy.
Ta myśl uśmierzała i teraz niepokój. Opanowała go rzewność wielka,
a potem
błogie uczucie znużenia. Nie otwierał oczu, usypiał.
Gdy wtem znowu w tych ciemnościach, jakie go ogarnęły, zabłysło
zielonawem,
migocącym światłem dwoje oczu, patrzących na niego wyzywająco.
Usta wydatne,
zmysłowe śmiały się, szczerząc białe, ostre ząbki.
Pragnął odwrócić się od tego pociągającego widoku, odegnać nęcące
widmo. Usta
szeptały: Ola! a ramiona wyciągały się ku tamtej, wabiącej postaci,
która
usuwała się zwolna w mroczną, mglistą dal i rozplynęła się w końcu
w sennem
marzeniu.

II.

Był wieczór zimowy. Po silnych mrozach nastąpiła nagle odwilż; mgła
ciężka,
dusząca, wisiała w powietrzu.
Na rynku humańskim było niemal pusto. Ze stopniałych zasp
śniegowych płynęły po
nim strumienie brudnej wody i tworzyły ogromne kałuże wśród
załomów popsutego
bruku. Gdzieniedzie z błota wysterczały większe kamienie, po
których
przeskakiwać musiał, omijając przepaściste kałuże, każdy, kogo zły
los lub
niecierpiąca zwłoki sprawa zmusiła wyjść na miasto.

Ciemno już było. Światło rzadkich latarni, po rogach ulic i na środku rynku stojących, zaledwie przedrzeć się mogło przez gęstą mgłę, napętniającą powietrze. Blade, stłumione, drżące, nie oświetlało ulicy, lecz połyskiwało gdzieś tylko w brudnej kałuży. Z rynien domów, otaczających z czterech stron rynek, ściekała z głuchym brzękiem woda z topniejącego na dachach śniegu. W ciszy wieczornej nic więcej słyszeć nie było, tylko owo brzęczenie monotonne, smutne i od czasu do czasu plusk błota pod stopami przechodnia, rzadko odgłos rozmowy, rozchodzącej się wśród tej ciszy donośnie.

W jednym z okazalszych rynkowych domów otworzyło się w tej chwili okno na piętrze i stanął w nim Jerzy Sipajłło. Snadź pragnął zaczerpnąć powietrza, bo, pomimo wilgotnego chłodu, okno otworzył i pełną piersią oddychał, patrząc w tę zamgloną, ciemną przestrzeń, gdzieś stłumionym odbłaskiem latarni nieco rozwidniona. Stał chwilę, jakby czekał na cokolwiek, coby tę jednostajność smutna, szara, rozerwać mogło. Wychylił się z okna i poczuł na czole wilgoć mgły i zimną kroplę tającego śniegu, spadającą z dachu. Chłód go przeniknął, cofnął się i okno silnie zatrzasnął. W tejże chwili z drzwi przeciwległych wszedł służący, niosąc zapaloną lampę, która rozwidniła nagle wnętrze mieszkania.

Pokój był duży i z pewną pretensją umeblowany, chociaż bez gustu. Ściany pokrywały podejrzanej wartości malowidła i sztychy; meble, obite aksamitem paśowym, rzucały się w oczy barwą swą i kształtem. Przy oknie stało wielkie biuro, zarzucone książkami i papierami; opodal szafa o drzwiach szklanych, przez które widniały złote tytuły książek i różne przyrządy chirurgiczne. Takież przyrządy złożone były w znaczniejszej jeszcze liczbie w drugiej szafie, również oszklonej. Służący, ustawivszy lampę na biurku, wyszedł, a Jerzy usiadł, wziął książkę do ręki i zaczął czytać. Wkrótce jednak odrzucił ją z niechęcią. Nie mógł czytać, przeszkadzały mu myśli, które osiadały w mózgu, na duszy, równie ciężkie, jak owa mgła w powietrzu.

Od chwili pożegnania się Jerzego z Zygmuntem i wyjazdu Czarnoszyńskiego do Paryża, sporo minęło czasu. Zygmunt pisywał z początku do dawnego kolegi donosząc mu o wrażeniach doznanych i zmianach, którym życie jego ulegało. W pierwszym roku listy te były nawet dość częste; snadź Zygmunt na obczyźnie zwracał się często myślą ku przeszłości i tym, którzy się z nią łączyli. Z biegiem jednak czasu korespondencya ta stawała się coraz rzadszą i coraz bledszą w swej treści. Zygmunt, który z początku, dość obszernie donosił o swoich

studyach i planach pracy na przyszłość; pisał potem listy krótkie, już o
tem nie
wspominając, a wreszcie umilkł.
Jerzego zaś otaczała coraz większa pustka i coraz większe
rozgoryczenie
napełniało duszę. Z każdym dniem, upływającym marnie, słabły
nadzieje, wątpiła
energia. Nie widział już żadnej dla siebie przyszłości.
Smutek tego zimowego wieczoru, pełnego mgły i dusznej wilgoci,
przenikał go na
wskroś; czuł się dzisiaj jeszcze bardziej samotnym, opuszczonym i
nieszczęśliwym.
Siedząc przy biurku i słuchając monotonnego brzęku kropel wody,
ściekającej po
rynnach z dachu, odrzucił książkę, której Czytać nie mógł, głowę
oparł na
wysokiej poręczy fotelu i zatonął w myślach.
Przebiegał w pamięci wszystkie koleje swego życia, a usiłował
patrzeć na siebie,
jakby na osobę inną, obcą, aby dojść przyczyny, dla której on, po
takiej pracy,
z tylu zdolnościami marnieć musiał w tym głuchym zakątku, bez
przyszłości?

Ci wszyscy, którzy wówczas, po ostatnim egzaminie, pociągnęli go za
sobą, ci
wszyscy, cóż oni byli w porównaniu z nim? Nieuki! A jednak
prawie każdy z
nich miał dziś lepsze, niż on pozycję; co więcej, miał wziętość i
poważanie u
ludzi. Dlaczego?
— Co czynić? — szeptał — co przedsięwziąć, by wyjść z tego
błędного koła? by
przełamać tę obręcz żelazna, która mnie ściska? by się ztąd wydostać,
jak
Zygmunt?

Wstał z fotelu i przeszedł się po pokoju krokiem szybkim, nerwowym.
Zbliżył się
do okna i spojrział. Nie było tu żadnej zmiany, jak i w jego życiu
bezbarnym.
Przez wilgotne, zapotniałe szyby, po których zwolna ściekały krople
wody,
patrzył na te same, zawsze brudne, żydowskie domy, w których
oknach migają
światelka. Uliczne latarnie rzucały ciągle żółte, tłumione przez mgłę,
migocące
blaski, na błotnisty rynek; zdawała połyskiwały w tym świetle kałuże,
wielkie, jak
jeziora, obok których przesuwały się czasem czarne cienie
przechodniów. Smutno
było, ponuro, pusto.
Nagle, zdawała ozwał się odgłos dzwonków, zrazu cichy, stłumiony,
potem coraz
wyraźniejszy, przenikliwszy, zbliżał się szybko.
Z bocznej ulicy, naprzeciw mieszkania Sipajłły, z głośnym turkotem
wjechała
bryczka, zaprzężona czterema dzielnymi końmi, pędzącymi co tchu.
Wpadła z
hałasem, przejechała wszere cały rynek. Sipajłło widział, jak szparko
przebywała
wszystkie kałuże,

słyszał plusk błota i wody, tryskającej z pod kół i jakieś przecucie
poruszyło
mu duszę. Nie umiałby był tego określić, ale instynkt dziwny mówił
mu w tej
chwili, że ta bryczka, pędząca przez rynek, przywozi mu upragnioną
zmianę.
Gorączkowo śledził każde jej poruszenie; w ciemnościach nie mógł
dopatrzyć, kto
jedzie, ale serce zabiło mu gwałtownie, gdy posłyszał wołanie
furmana i ujrzał,

jak bryczka zatrzymała się nagle przed jego domem. Zabrzęczały silniej dzwonki; konie uderzyły mocno o bruk kopytami, koła zawarczały i stanęły. Niebawem Jerzy usłyszał kruki na schodach, głos sobie nieznany, a za chwilę drzwi się otwarły i na progu stanął obcy mu zupełnie, niemłody mężczyzna, otulony w długą burkę. Małego wzrostu, barczysty, ruchy miał pospolite, rubaszne i świdrującem spojrzeniem oczu głęboko osadzonych, od progu mierzył Sipajłę. Zmoknięty był i zabłocony. Z burki woda strumieniami na posadzkę ściekała, wysokie buty ślady błotniste zostawiały za każdym krokiem. Nie zważając na to, zbliżył się do Jerzego. — Pan doktor Sipajłło? — spytał głosem ochrypłym, a szorstkim i niemiłym. Otrzymawszy potwierdzenie, dorzucił tonem niemal rozkazującym: — Pan Borski z Oksaniny prosi, aby pan natychmiast przyjechał. W początkach swojej kariery Sipajłło na wezwanie, uczynione tym tonem, byłby niewątpliwie odpowiedział równie szorstką odmową, a może nawet wyrzucił

za drzwi śmiałka, któryby się poważył w ten sposób do niego przemawiać; dziś jednak czuł, że wezwania tego lekceważyć nie może. Ów instynkt, który mu zapowiadał ważną zmianę, powstrzymał porywcze słowa. — Pan Borski chory? — zapytał. — A jużci! — brzmiała odpowiedź — gdyby nie był chory, tobym w taką szarugę nie jechał, jak na złamanie karku. To mówiąc, bez ceremonii usiadł na kanapie.

— Co mu jest? — zagadnął Jerzy, miarkując ciągle oburzenie, jakie nim miotano

wobec zuchwalstwa przybysza.

— Albo ja wiem, co mu jest? — odburknął stary — ja nie doktor; to pan lepiej

będzie wiedział, gdy zobaczy.

Sipajtto przerwał, głos podnosząc:

— Jeżeli pytam, to dlatego, aby w razie potrzeby wziąć z sobą jakie instrumenta

lub lekarstwa.

— Instrumentów nie trzeba — podchwycił przybyły — krajać pan chyba nie będzie.

Niech pan weźmie jakie lekarstwo na uspokojenie, bo się stary rzuca jak opętany,

spać po nocach nie może, tłucze nim choroba, aż wrzeszczy!

Słuchając, Jerzy gotował się do drogi. Z przybocznej apteczki wyjął i wziął z

sobą parę flaszeczek, przyodział się ciepło i za chwilę siedział już w bryczce

obok starego.

Jechali milcząc. Trzymilową przestrzeń, dzielącą Humań od

Oksaniny, przelecieli

pędem. Furman, naglony od czasu do czasu rozkazująco przez ponure-

go towarzysza Sipajłły, zacinał konie, które pomimo błotnistej drogi i zmęczenia, nie ustawały w biegu.

Było już jednak blisko północy, gdy Jerzy ujrzał znaną sobie dobrze drogę,

karcznię oksanińską i stary krzyż na mogile, a w oddali czerniejące chaty wioski.

Oko jego rozróżniało już nawet w ciemnościach, wpośród chat, wyższy nieco dach

ekonomicznego dworku, w którym się urodził.

Od lat kilku Jerzy nie był w tych stronach. — Widok tego dworku, wśród cieniów

posepnej nocy zimowej, ścisnął mu serce bolesnem wspomnieniem..
Stał on zawsze
jednaki, w tem samem otoczeniu, gdy wokoło Jerzego wszystko się
zmieniło; stał
cichy, ponury martwy, jakby to życie, które w nim niegdyś wrzało,
zamarło razem
z nadziejami dawnemi.
Mijali folwark, skierowując się na drogę, ku dworowi wiodąca.
Sipajłło odwrócił
się, wyteżonym wzrokiem patrząc na ściany tego dworku, w którym
się zamykał
niegdyś cały świat jego, pełen swobody i marzeń młodzieńczych.
— Tu mieszkał ojciec pana — ował się nagle milczący dotychczas
towarzysz podróży
— znałem go, umarł podobno?
— Umarł — głucho odrzekł Jerzy.
— Musiał on panu o mnie wspominać kiedyś, dawniej, w dzieciństwie
— mówił dalej
stary, chcąc widocznie teraz nawiązać rozmowę, której w czasie drogi
unikał — ja
pana pamiętam dzieckiem. Nazywam się Tomasz.
W tej chwili przypomniał sobie Jerzy. Był to ów

zaufany sługa Borskiego, którego pierwsze pojawienie się w
Oksaninie takim
strachem i oburzeniem przejęło jego rodziców i stało się niemal
głównym powodem
przesiedlenia się ich ztąd do Słobody. Wspomnienie to nie było mu
miłe.
— Pamiętam — odparł krótko, chcąc skończyć rozmowę.
Ale stary miał snadź teraz coś ważnego na myśli, co wypowiedzieć
zamierzał, w
ostatniej chwili przed przybyciem. Bryczka skręcała już szparko ku
dworowi.
— Niech pan — rzekł spiesźnie — dawnych wspomnień przed panem
Borskim nie

wznawia... Niech mu pan zakaze mówić o dawnych czasach, jego to
właśnie gryzie i
zagryzie Najlepiej niech ztąd wyjedzie, niech wraca za granicę, niech
nie siedzi
na tej przeklętej ziemi, bo zginie! On umyślnie kazał mi po pana
jechać, aby
mówić mógł swobodniej, bo pan znał tych Czarnoszyńskich i może
słyszał o różnych
dawnych sprawach. Ale ja pana przestrzegam, niech mu pan nie da
mówić, bo te
wspomnienia, to cała jego choroba...
Mówił szybko, tonem urywanym, a gwałtownie. W tejże chwili
bryczka zatoczyła się
przed ganek dworu i stanęła.
Tomasz pociągnął Sipajłę za ramię.
— Będiesz pan pamiętał? — spytał natarczywie, pochylając się ku
niemu i
świdrującem spojrzeniem badając wyraz jego twarzy. — Niech mu
pan każe ztąd
jechać zaraz... natychmiast... dobrze?

Jerzy szarpnął się; wyrywając ramię z uścisku
Tomasza.
— Zobaczę! — odparł, wyskakując z bryczki. Dwór stary, w ziemię
wklęsły, ze
ścianami odrapanemi, zczerniałemi od wilgoci, znany był dobrze
Jerzemu. Snać pan
Borski, zamieszkawszy tu, zamierzonych poprzednio i już
rozpoczętych restauracyj
nie dokończył. Z jednej strony zaczęta budowa murowanego
pawilonu, zaniechana w
połowie, rozpadła się w gruzy. Sterczała jak ruina.
W części zamieszkałej, w dwóch niewielkich oknach, przez grube
zasłony
przedzierało się światło.

Naprzeciw Jerzego wybiegł z ganku chłopak w siermiędze, zaspany, z latarką w ręku.

— Jest pan doktor? — zapytał, a spostrzegłszy Jerzego, dorzucił:

— Pan prosi zaraz, natychmiast! Pośpiesznie złożywszy w sieni futro, przechodził

Jerzy przez pokoje, zarzucone w nieładzie najrozmaitszemu gratami.

Snać tu nikt

nigdy nie sprzątał i nie troszczył się o porządek. Na podłodze zaśmieconej; od

lat nie mytej, walały się podarte książki, papiery, kawałki żelaza i uprzęży.

Stoły, krzesła, fotele, przyparte do ściany, jedno na drugich leżące, oczywiście nikomu nigdy do użytku nie służyły. Zgromadzone tu były i rzucone,

jak niepotrzebne rupiecie. Woń wilgoci i stęchlizny przepełniała powietrze.

Nareszcie chłopak, idący przodem, otworzył przed Jerzym drzwi do pokoju, w

którym mieszkał Borski.

Sipajłło zatrzymał się w progu i jednym rzutem

oka objął całe wnętrze. Zdradzało ono równe zaniedbanie, jak reszta domu. W

kącie stało łóżko przy ścianie wilgotnej, niepokrytej dywanem; obok stolik, na

którym paliły się dwie świece w wysokich mosiężnych lichtarzach.

Inne ściany

zajęte były szafami dużymi z drzewa prostego, pomalowanego brązową farbą. Na

środku stał stół wielki, szarem suknem pokryty; na nim także dwie świece,

ocienione zielonemi umbrelkami. Okna przysłonięte były skrzydłami trzcinowego

parawanu.

Przy stole, zwrócony twarzą ku drzwiom, siedział Borski, w dużym fotelu, pokrytym skórą, z wysoką poręczą, z tyłu, opatrzoną z obu stron, jakby uszami, wystającymi podpórkami na głowę. Mała postać starca nie dosięgała tych podpórek i tonęła niemal w fotelu, otulona w stary, podarty szlafrok, pokryty niegdyś jaskrawą, a dziś zupełnie spłowiałą materią turecką. Brudna, zczerniała wata wyłaziła z dziur na rękawach i połach szlafroka. Jerzy nie mógł dobrze dostrzedz twarzy Borskiego, na którą padał cień zielonych umbrellek. Widział tylko jedną rękę, na stole wyciągniętą, chudą, pomarszczoną, której palce poruszały się nerwowo, szczypiąc sukno, stół pokrywające. Zwolna, jakby z pewnym wahaniem, zbliżał się Sipajłło do tej postaci, która mimowoli przejmowała wstrętem i instynktową obawą, Zbliżywszy się, ujrzał twarz wychudłą, mizerną, z ceglastymi piętami, wypalonymi gorączką na wy-

stających policzkach, i dwoje oczu błyszczących, przenikliwie w niego utkwionych.

— Doktor Sipajłło? — spytał Borski głosem dość silnym.

— Przybyłem na wezwanie — zaczął Jerzy.

— Dobrze, dobrze — przerwał starzec, szybkim ruchem obu rąk otulając się w podarty szlafrok.

— Wezwałem cię, tak, tak! Byłbym to już dawniej uczynił, ale ten djabeł Tomasz nie dopuszczał.

— Przepraszam — mówił dalej po chwili milczenia, tonem urywanym
— że ci ręki nie
podaję, ale ja nikomu nie podaję ręki. nikomu! odkąd...
Wstrzymał się i zamilkł.
Sipajłło przysunął sobie krzesło i, nie mówiąc nic, ujął Borskiego za
rękę, aby
puls zbadać.
Twarz starca skrzywiła się w tym uśmiechu, który, podobny do
nerwowego kurczu,
szpecił ją wyrazem szyderstwa.
— Facecye! — rzekł — był tu już i Freund i Struliński i nic nie
poradzili.
— Może ja poradzę — ozwał się Jerzy.
— Ho, ho! zarozumialec! — bąknął Borski. — Mówią o tobie, żeś
pyszny, jak
szatan, że nienawidzisz kolegów i pomiatasz nimi, że jesteś
ryzykowny i
bezwzględny.
— Tak mówią — potwierdził Sipajłło, przypisując te dziwne słowa
starca wpływowi
silnej gorączki.
— Twarda natura — mówił dalej Borski, wyrywając rękę Jerzemu —
ja lubię takie
natury, i moja była taką; to też wszystkie złości ludzkie sprzysięły się

na to, by ją złamać. I ciebie złamię, zobaczysz! Bo na świecie można
tylko
deptać lub pełzać, inaczej iść nie można! Póki masz siły, depcz! gdy ci
ich
zabraknie, a pełzać nie zechcesz, zginiesz!
Jerzy nie przerywał, a z coraz większą uwagą wpatrywał się w twarz
starca.
Chciał snadź zbadać źrenicę oka, bo powstawszy i wzięwszy świecę,
skierował ku
niej światło.
Borski drgnął i obu rękami twarz przysłonił.

— Daj pokój! — krzyknął — razi mię to, boli. Nie cierpię jaskrawego światła.

— Przecież ja muszę zobaczyć! — rzekł stanowczo Jerzy, i wzięwszy świecę do ręki, zbliżył się do chorego.

Borski zżymał się, unosił gniewem, w końcu łajał. Sipajłło nieporuszony, jakby to, co słyszał, do niego nie odnosiło się wcale, robił swoje. Nie tylko puls

chorego, ale tętno serca i oddech zbadał, pomimo silnego oporu.

Zimny, milczący, silną dłonią krępował ruchy starca i w pół godziny skończył

mozolne badanie.

Borski zrazu zdziwiony i oburzony tem zuchwalstwem, a w końcu osłabły, leżał w

fotelu bez ruchu.

Sipajłło zadzwonił.

Wbiegł chłopak, a za chwilę ukazał się Tomasz.

— Odsunąć łóżko od wilgotnej ściany — rozkazał Jerzy — ścianę obić jakimkolwiek

dywanem lub suknem i natychmiast położyć pana do łóżka.

— Nie chcę! — krzyknął starzec, otwierając oczy.

— Tak być musi — zawyrokował Jerzy.

A zbliżając się do Borskiego i ujmując go za rękę:

— Albo pan będziesz mnie słuchał — dodał stanowczo — a w takim razie rękę za

życie i zdrowie, albo...

— Albo co? — spytał starzec, szeroko otwierając przerażone oczy.

— Albo — dokończył Jerzy — śmierć...

Powieki starca poruszyły się kilka razy, szybko otwierając się i zamykając. Całe

ciało przebiegł dreszcz.

Borski konwulsyjnie ścisnął Sipajłłę za ramię.

— Twarda natura — bełkotał — twarda! taką lubię! Śmierć.... śmierć

— mruczał.

Kurcz nerwowy ściągał mu twarz nieustannie; przymknięte powieki
drżały; głowa
bezwładnie zwisała na piersi.
Jerzy szybko z przywiezionej z sobą flaszeczki nalał kilkaście kropel
do
szklanki, dodał wody i zmusił starca do wypicia.
Borski krztusił się, ale wypił; poczem Jerzy przynaglił służbę do
spełnienia
swoich poleceń.
W pół godziny potem Borski leżał w łóżku, blady bardzo,
obezwładniony, ale
spokojniejszy.
Jerzy pisał receptę przy stole, a napisawszy,
samym tonem rozkazującym, rzekł do stojącego drzwiach Tomasza:

— Receptę tę bezzwłocznie wysłać do Humania. Nad ranem
lekarstwo musi być tutaj.
Rozumiesz?...

Tomasz osłupiałemi oczyma patrzył na Jerzego. Chciał się zbuntować
przeciw
rozkazującemu tonowi, do którego nie nawykł. Usta otworzył, ale
spotkawszy się z
wejrzeniem Sipajłty, wyjąkał:
— Dobrze. — I wyszedł.

Jerzy przysunął fotel do łóżka Borskiego i usiadł, opierając znużoną
głowę o
poręcz.
W tejże chwili Borski się ruszył, oczy otworzył i zobaczywszy
doktora, głosem
cichym, szepnął:
— Tam... pokój gościnny... idź spać...
— Tu będę spał — odparł Jerzy — przy panu.
Starzec zamglony wzrok zwrócił ku niemu, patrzył długo, jakby nie
pojmował, usta
mu się poruszały bezmownie, a wreszcie:
— Dziękuję... — szepnął,

Była to pierwsza noc od wielu miesięcy, którą spędził spokojniej.
Jerzy, siedząc przy nim, usypiał chwilami, ale wnet budziła go myśl
trapiąca,
czy zdoła uratować tego człowieka od śmierci, która go już trzymała
niemal w
swych szponach.
To samo przeczucie, które nim szarpnęło w chwili; gdy ujrzał bryczkę
wjeżdżającą
pędem na rynek humański, teraz mówiło mu, że od życia tego starca
zależą jego
własne losy. W jaki sposób? nie wiedział, jak również nie wiedział,
czy los ten
będzie zły lub dobry. Ale z tą samą gorączkową gwałtownością, z ja-

ką wyglądał zmiany w swoim dotychczasowym życiu, pragnął on
teraz wyzdrowienia
Borskiego.
— Ja muszę go ocalić — szeptał, pochylając się nad chorym, który
chwilami przez
sen rzucał się niespokojnie, jakby obudzić się pragnął i zepchnąć z
siebie
trapiąca go zmore. Usta jego poruszały się chwilami niedosłyszalnym
szepem,
twarz wykrzywił kurcz nerwowy, brwi ściągały się groźnie nad
zamkniętymi i w
głęb zapadłymi oczami.
Było coś przerażającego w tej postaci niemal trupiej, którą
konwulsyjne targały
odruchy.
Jerzy pochylał się i słuchał oddechu, badał się tno serca.
— Życ musi — szeptał — musi koniecznie!
Ale czuł, że ten wyrok nie zależy od jego woli, i że organizm starca,
zwątlony
chorobą, nieustanną trawiony gorączką, może się oprzeć wszelkim
usiłowaniom
ratunku i jak strupieszale drzewo lada chwila rozpaść się w próchno.

W organizmie tym wszystko było chore: i serce i mózg i płuca; cudem jakimś
niemal trzymało się to jeszcze i chociaż nieprawidłowo, wadliwie, ale działało.

W zupełnym uspokojeniu stan ten mógł przeciągnąć się jeszcze długo, tyle

przynajmniej, aby przecucia Jerzego miały czas się ziścić, ale przy tem

wzburzeniu, które nawet we śnie nie opuszczało starca, w jednej chwili paraliż

serca lub płuc mógł zgasić to zaledwie tlejące życie.

Jerzy widział dobrze, że o właściwym leczeniu mowy tu być nie mogło, należało

tylko wszelkiemi

sposobami podtrzymywać siły, które się w gorączkowym szamotaniu zużywały;

należało zapobiegać gwałtownym niepokojom i uniesieniom. Ale jak?

Narazie udało

się zapanować nad krnąbrnym starcem, obezwładnić go siłą woli i tonem

despotycznym; jutro środek ten mógł się bezskutecznym okazać.

Aby działać z jaką taką pewnością rezultatu, należało zbadać przedewszystkiem

powody tego wzburzenia. Choroba ciała była wyraźną i groźną, ale chorobę duszy,

która tamtej była powodem i źródłem, jak przeniknąć, aby przynajmniej na czas

jakiś odwlec groźną katastrofę?

Trapiony tą myślą, Jerzy spać nie mógł; męczyło go to drzemanie, przerywane co

chwila; wstał więc, i na palcach, aby chorego nie zbudzić, wyszedł do drugiego

pokoju.

Mała to była izdebka, zarzucona podobnie jak inne pokoje najrozmaitszemi

gratami, pełna brudu i śmiecia.

W kącie stało łóżko z białego drzewa. Na sienniku, skulony pod podartym
wojłokiem, z głową na brudnej poduszce wspartą, leżał Tomasz i spał.
Przy nim na
małym, również jak łóżko z prostego drzewa, stoliczku, paliła się,
nie dbale w
mały, mosiężny lichtarz oprawiona, wpół złamana, świeczka łożowa.
Knot na niej
narósł ogromny i spadał płonącymi kawałkami na łój, który topniał i
ściekał na
lichtarz, roznosząc woń nieznośną w powietrzu, nasycionem stęchlizną
od ścian
wilgotnych. "Wszystko tu tchnęło najstraszniejszą nędzą i
zaniedbaniem.

Na odgłos kroków Jerzego, jakkolwiek przyciszonych, zerwał się
Tomasz i spojrzał

na niego zaleknionemi oczyma.

— Co tam? może już? — spytał.

Nie dokończył pytania, ale nie trudno się było domyśleć wyrazu,
którego nie

domówiły drżące wargi. W całej twarzy starego sługi widniał
przestrach.

— Nie — odrzekł Jerzy — żyje jeszcze, ale jest źle.

Tomasz opadł na poduszkę i ręką machnął.

— Nie dziś, to jutro — burknął — ale to koniec?

— Ratunek jest jeszcze możebny, choć trudny — ozwał się Jerzy —
trzeba tylko,

aby chory miał spokój, zupełny spokój, aby się dręczyć przestał.

Tomasz się zaśmiał z cicha, szydąc.

— Spokój! — powtórzył — od kiedy go zapamiętam, nie miał on ani
chwili spokoju,

ani minuty. Psie życie.

Jerzy usiadł na tapczanie pod ścianą. Przyszło mu na myśl wybadać
Tomasza. On

musiał, jeśli nie zupełnie, to przynajmniej w znacznej części znać
przyczynę
tego wewnętrznego wzburzenia, jakie trapiło Borskiego i obezwładnić
mogło
wszelkie lekarskie środki dla ratowania życia.
Przypatrywał się tedy pilnie staremu słudze, usiłując z wyrazu jego
twarzy
wybadać" uczucie, jakie nim w tej chwili poruszało. Jeżeli to było
przywiązanie
do pana, z którym od lat wielu dzielił losy, to powinien był na pytania
odpowiedzieć szczerze, wie-

dząc, że od tej szczerości zależeć miało życie Borskiego.
W tej myśli Jerzy z ostaniego wykrzyknika Tomasza skorzystał.
— To prawda, — podchwycił — życie, jakie tu prowadzicie w tym
dworze, nie
wesołe.
— Chi, chi, chi! — zasyczał w tłumionym śmiechu stary — nie
wesołe! w piekle
weselej będzie.
— Nie bywa tu nikt?
Tomasz niecierpliwie się zachnął.
— Jeszcze czego! — opryskliwie odrzucił — a nam to na co?
Zawinął się w wołok i zamknął oczy, jakby chciał skończyć niemiłą
rozmowę.
Jerzy jednak ustąpić nie myślał.
— Pan Borski — spytał po chwili — niedawno tu zamieszkał?
— Niby to pan nie wie? — odburknął stary, nie otwierając oczu. —
Przed kilku
laty chciał stale tu osiąść. Ale w tym przeklętym Jurpolu coś się
wówczas z nim
stało. Przyszedł raz ztamtąd w nocy piechotą, jak waryat, i nazajutrz
wyjechał
znowu za granicę. Od roku powrócił; a po co? ja nie wiem, pewnie po
śmierć.
— Dawno już taki chory?

Tomasz rzucił się znowu niecierpliwie.

— Abo ja wiem! — krzyknął — ja nie pamiętam, czy on kiedy zdrów był. Psie życie

jemu i mnie z nim!

Sipałło wstał z tapczana i zbliżył się do Toma-

sza, który zawsze w jednakowej pozycji leżał na łóżku z

przymkniętymi oczami, w

wojłok zawinięty.

Jerzy patrzył na niego chwilę przenikliwym wzrokiem, a potem powolnie,

stanowczo, dobitnie rzekł:

— Mówiłeś mi, gdyśmy tu dojeżdżali, ażebym panu twemu nie dał wspominać o

czasach dawnych, bo go te wspomnienia zabijają. Zdawało mi się, że to był głos

serca, że pragniesz go ocalić. Ocalić go możesz, jeżeli ze mną będziesz zupełnie

szczerym.

Jakby rażony przenikliwością, wzroku Jerzego, Tomasz otworzył oczy, podniósł się

i oparł na łokciu.

Na ostatnie słowa Sipałły zaśmiał się krótko i sucho.

— Nie uczono mię szczerości — odparł. — On mi tak usta i duszę zapieczętował, że

ich już i sam djabeł nie otworzy.

— A jednak — przerwał Jerzy — od tego, co i jak mi powiesz, zależy ocalenie jego

życia.

Tomasz ręką machnął, znów się na wznak przewrócił, oczy w sufit utkwił i obie

ręce pod głowę założył.

— Et! — ozwał się po chwili. — Głupiemu człowiekowi ciągle się wydaje, że mu to

lub owo do życia potrzebne, a to nie jest prawda. Dzisiaj zdało mi się, że on

już kona, a w tej chwili tak mi było, jakby się cały świat na mnie walił.

Wszystko, com kiedy z nim przeżył, stanęło mi w oczach, i złe i dobre. Więcej było złego, prawie wszystko; ale byłem mu wierny, jak pies, a on jednej myśli skrytej nie miał przedemną... Chciałem więc go ratować i dlatego na jego żądanie

pojechałem po pana, chociażem się temu zawsze sprzeciwiał, bo ja tych

Czamoszyńskich i wszystkich, którzy z nimi styczność mieli, nie cierpię!

Mówił to szybko i coraz gwałtowniej. Wewnętrzne wzruszenie rozwiązywało mu usta.

Jerzy postanowił z tego korzystać.

— Tomasz — rzekł — dokończże więc tego, coś zaczął. W panu Borskim dusza więcej cierpi, niż ciało, jakieś go myśli trapią. Trzeba koniecznie te troski oddalić

usunąć, inaczej organizm nie wytrzyma.

Tomasz się porwał,

— A niech nie wytrzyma! — krzyknął — to mnie wszystko jedno.

Niech się to raz

już skończy! Zdawało mi się zawsze, kiedym go widział takim silnym, zdrowym,

nieugiętym, że go nic złamać nie potrafi. Ano, zjadło go sumienie, chociaż całe

życie je dławił... i śmierć go już bierze. Niech bierze!

Chwilę milczał, a potem, porywając Jerzego za rękę, mówił dalej coraz

gwałtowniej:

— Czy pan myśli, że to tak łatwo powiedzieć, co go gryzie?

Wszystko, całe życie!

każda minuta tego psiego życia, wszystkie myśli, które ciągle gnębił, a one

teraz wyszły, jak upiory i szydzą, że silniejsze!
Rzucił się po łóżku, jak szalony.
Sipajłło dopiero teraz przypatrzył się bliżej twarzy starego sługi. Była
chmurna, ponura, a znaczone także plamami gorączki, która zapewne i
te bezładne
słowa wywoływała na usta. Od czasu do czasu

dreszcz wstrząsał jego ciałem, skurczonem pod wołokiem.
— Tyś także chory — przemówił Jerzy.
— Cha, cha, cha! — zaśmiał się stary. — Rogata we mnie dusza,
kiedy dotąd z
ciała nie wyszła. Od tego czasu szczególnie, gdy z tego przekłętego
Jurpola
wrócił w nocy jak waryat, piechotą, od tego czasu, panie, ani dnia, ani
nocy
spoczynku. Dyabeł się nad nim znęca, a on nademną! Niema
tygodnia, jak mnie
jeszcze na taką porę pognał aż do chersońskiej gubernii, szukać...
— Kogo? — zagadnął Jerzy ciekawie.
— Wiatru w polu! — odburknął stary. — Tych, których on szuka, to
już dawno
ziemia pożarła i śladu nie zostało. Ale on ich szukać będzie do
ostatniego tchu,
bo go sumienie gryzie...
Sipajłło nadstawiał uszu; gorączkowe wzburzenie Tomasza mogło
mimowolnie
zdradzić to, o czym on wiedzieć pragnął. Ale stary wnet zamilkł,
znowu się w
dawnej pozycji ułożył i oczy zawarł.
— Nie znalazłeś więc nic? — spytał znów doktor po chwili, nie chcąc
tracić
sposobności.
— A co miałem znaleźć! — odparł stary — śladu niema z tego, co
było, ani w
Warwarówce, ani w Koziatynie. W ciągu tych lat dziesięciu,
przynajmniej dwa razy

do roku gnał mnie to tu, to tam. Szpilkę w morzu łatwiejby znalazł!
— A jednak — wtrącił Jerzy, jakby sam do siebie — od tego
niezawodnie życie jego
zależy, Tomasz — dodał, dotykając jego ramienia — ja ci raz

jeszcze mówię, nie czas teraz milczeć; ja twego pana chcę ratować i
wyratuję,
ale mi dopomóż... Kogo on znaleźć chce? kogo szuka? może ja
potrafię... Tomasz
się śmiał.

— Nie potrafi tego nikt — mruzczał — nikt!

— Przecież pan Borski — mówił dalej Jerzy — ma żonę, podobno i
syna. Możeby ich
można wezwać? W takim osamotnieniu...

— Żonę i syna! — przerwał Tomasz ironicznie — sprowadź ich pan
tutaj, a wówczas
z nim, ze mną z tym synem nie dałbyś sobie rady, choćbyś jeszcze
Freunda i

Strulińskiego do pomocy wezwał.

Jerzy chciał coś mówić, gdy wtem Tomasz porwał się z posłania.

— Cicho! - rzekł, chwytając doktora za rękę. Wzrok i słuch wyteżył,
całą

postacią pochylił się ku pokojowi Borskiego, z kąd wychodził
stłumiony, a
przenikliwy jęk.

Wyskoczył z łóżka, zbliżył się na palcach do drzwi, uchylił je
ostrożnie,

słuchał chwilę, a potem wsunął się do pokoju.

Za nim wszedł Sipajłło.

Chory leżał na wznak. Oczy miał zawarte i spał, ale sen widocznie był
niepokojny. Starzec poruszał się chwilami, rękami rzucał, czoło
marszczył.

Powieki drgały tak czasem, jakby walczyły z siłą snu i chciały
gwałtem się

otworzyć, a usta poruszały się szeptem.

— Wynagrodzę — wynagrodzę! — byłem ślad znalazł — Tomaszu!...
Tomaszu!... —
bełkotał.

Tomasz zbliżył się do łóżka i pochylił się nad drgające, z
wewnętrzznego
wzburzenia postacią starca. Przez długą chwilę stał tak wpatrzony, a
Jerzy,
który go obserwował pilnie, widział, jak po chmurnej twarzy starego
sługi
przelatywały błyski serdecznego rozczulenia.
Trwało to mgnienie oka. Za moment Tomasz śmiał się znowu
szyderczo, skulony na
swojem posłaniu i mówił do Jerzego:
— Widzi pan, to tak ciągle: Wynagrodzę i wynagrodzę! szepcze, i
mnie woła! A
gdybyś pan tego trupa nie tylko uzdrowił, lecz wrócił mu młodość, to
jeszczeby on
nie zdołał wynagrodzić tego, co zrobił. Tobo, panie, trzeba za każdy
rok
dziesięcioma laty płacić.
Odwrócił się do ściany, okrył się szczelnie wołokiem i już na żadne
pytanie
Jerzego odpowiedzi dać nie chciał.
Tak trwały dni kilka, w ciągu których Sipajłło nadludzkiem niemal
wysileniem
walczył ze śmiercią, która dopominała się swojej ofiary.
Energiczna natura Jerzego miała tu swobodne pole działania. Nie miał
nic do
stracenia, a przy sobie żadnej kontroli, stawiał wszystko na kartę i —
wygrał.
Po tygodniu Borski dźwignął się z łóżka, osłabiony bardzo,
zniedołężniały, ale
może właśnie dlatego spokojniejszy. Niebezpieczeństwo bezpośrednio
minęło, słaba

pajęczyna wiążąca starca z życiem, staraniem Sipajłły wzmocnioną została..

I chwilami w przygasłym oku Borskiego zapalać

się już poczęły żywsze błyski, chęć życia; przestał się opierać
Jerzemu, słuchał
go jak dziecko w zupełnym zaufaniu, uwierzył w jego wiedzę i uznał
siłę woli.

Czasem, gdy Sipajłło, znużony bezsennymi nocami i ciągłą walką,
jaką w sobie
toczył, zdrzemnął się, siedząc w fotelu, Borski dźwigał się z trudem,
pochylał
ku niemu i wpatrywał długo z dziwnym uczuciem w twarz młodego
doktora.

— Twarda natura — szeptał — twarda... ale taką lubię, bardzo lubię...
Mówił zresztą z Jerzym mało. Wspomnień, których się obawiał
Tomasz, nie poruszał
wcale.

Raz tylko, wieczorem, zwrócił się nagle do Sipajłły i spytał:

— Co z Czarnoszyńskimi?

— Niewiem — odparł od niechcienia Jerzy. — Pan Roman z żoną
dotąd w Julinie, w
wielkim podobno niedostatku. Zygmunt w Paryżu; co teraz robi, nie
wiem, bo już
od dawna nie pisał do mnie. Z początku zerwał się do studyów; chciał
być wielkim
filozofem, literatem, ale jak zwykle, nie wytrwał. Nie będzie z niego
pożytku
ani dla niego, ani dla nikogo. Siedzi w Paryżu i bruki zbija...
Borski słuchał, ale z roztargnieniem. Myśli jego nie zatrzymywały się
na
młodszym pokoleniu, które go nie interesowało, lecz biegły w
przeszłość,
poruszając dawne a bolesne dzieje. Twarz jego przybrała wyraz
ponury i drgała
znowu kurczem nerwowym.

Jerzy wnet odwrócił rozmowę.

Wkrótce potem chciał wracać do Humania, spełniwszy, jak mówił, swoje zadanie.

Ale Borski nawet wspominać sobie o tem nie dawał.

— Ja umrę bez ciebie — mówił, ściskając Sipajłłę kurczowo za ramię — a żyć

jeszcze chcę! Ty musisz zostać przy mnie..

Sipajłło wzbraniał się dla formy. Nie miał właściwie po co tak bardzo spieszyć

do Humania, ale się uparł i wrócił.

Na trzeci dzień Tomasz przyleciał do niego.

— Musi pan jechać — rzekł — już z tej niewoli nie wydostaniesz się tak jak i ja,

do końca jego życia.

Borski czekał go w gorączkowym niepokoju a ujrzawszy, rozpromienił się cały.

— Myślałem, że już się ciebie nie doczekam... — rzekł, patrząc z rozrzewnieniem

na tego, którego zbawcą swoim mienił.

Skończyło się na tem, że Jerzy całą resztę zimy przebył w Oksaninie.

Na, wiosnę

w miarę jak Borskiemu sił przybywało, objawiać się w nim zaczął dawny, gwałtowny niepokój.

Sipajłlle nie mówił jeszcze nic, ale z Tomaszem tajemnicze wieczorami odbywał

konferencye i znowu wysyłał go na jakieś poszukiwania.

Stary sługa zżymał się ze złości, ale rozkazy posłusznie wykonywał.

Po kilka

tygodni nie było go w domu a za każdym powrotem, snadź bez rezultatu, Borski

wpadał w wściekłość, a potem w stan przygnę-

bienia i chorobliwej apaty, z której go Jerzy ratować musiał.
Ani pan, ani sługa nie chcieli mu jednak odkryć celu tych
tajemniczych
poszukiwań.

— Powiem ci to kiedyś — mówił Borski — powiem, gdy znajdę.
Klątwa, nieszczęście,
na mnie ciąży. Nie umrę spokojnie, dopóki tego nie spełnię, dopóki
nie znajdę.

— Szukaj wiatru w polu! — mruzczał Tomasz, z podełba patrząc na
starca — dyabeł
już dawno kości porozmiatał tych, których on szuka.

— Gdyby jednak — rzekł raz Jerzy — pan chciał odkryć mi powód
tego niepokoju,
który pana trapi, gdybym znał cel tych poszukiwań nieustannych, to
nietylko
potrafiłbym skuteczniej działać jako lekarz, lecz może i w
poszukiwaniach
okazałbym się pomocnym.

Borski wyteżonym wzrokiem badał twarz Sipajłły. Ufał mu jak
nikomu dotychczas na
świecie, ale przecie nie do tego stopnia, aby mu tajemnicę duszy
powierzyć. Usta
już otworzył, ale je wnet zawarła wrodzona skrytość.

— Powiem ci to kiedyś, później — powtórzył. Myślał chwilę, a potem
nagle:

— Wiesz ty co? — rzekł. — Lato się już na dobre zaczyna. Ja muszę
wkrótce jechać
za granicę... do Paryża... Sam nie pojedę — ty pojedziesz ze mną!
Sipajlle zaiskrzyły się oczy. Tej propozycji spodziewał on się
oddawna,
oczekiwał jej, wiedząc, że Borski większą część roku za granicą
spędzał, a je-

dnak spadła na niego, jak piorun. Przez chwilę mówić nie mógł, lękał
się, aby

drżenie głosu nie zdradziło jego radości. Wszak to było spełnieniem jego
przeczuć, że znajomość z Borskim stanowczą zmianę w jego życie
wprowadzi, że go
wyrwie z tego zakątka, w którym marniał.
Wydostać się na szerszą, widownię, być w Paryżu, w tem ognisku
wiedzy i
cywilizacyi, spróbować tam sił swoich i zdolności, wszak to był
szczyt jego
marzeń oddawna! W tej myśli kształcił się ciągle w języku
francuskim; w tej
myśli śledził pilnie cały ruch naukowo - lekarski w Paryżu, a
zdumiewała go
śmiałość poglądów i to dążenie do szukania nowych dróg, które tam
dostrzegał, a
które go zawsze zapalało.
— Tam tylko, tylko tam! — szeptał nieraz sam do siebie —
znalazłbym odpowiednie
pole.
Chciał już nieraz zaryzykować ostatni grosz, który jeszcze posiadał,
by tam
jechać. Myśl o matce i jej potrzebach przykuwała go do miejsca.
Propozycja Borskiego usuwała wszelkie, trudności. Mógł zostawić
matce wszystko,
co posiadał, a sam jechać w świat, aby zdobyć sławę i wielkość.
O tem, że ją zdobędzie, ani chwili nie wątpił. Kuracya Borskiego
jeszcze go
utwierdziła w dobrem o sobie mniemaniu. Wszak on literalnie wyrwał
go z rąk
śmierci. Miał zresztą już swoje rozmaite plany i myśli, wiedział,
czemu się
poświęci i w jakim kierunku pójdzie. Oddawna zaprzętało umysł jego
badanie
istoty raka; były tu widoczne szczyrby w nauce; parę

wypadków, jakie mu się wydarzyły w praktyce, zwróciły jego baczną uwagę, ale cóż można było tu począć, nie posiadając ani kliniki, ani odpowiednich środków do doświadczeń, a mając ciągle do walczenia z zastarzałą rutyną kolegów, niedozwalającą ani kroku naprzód postąpić. W Paryżu co innego! Nie obchodziło go to wcale, czy Borski odtąd dłużej lub krócej żyć będzie- Byleby tylko tam go zawiózł i dał czas do rozejrzenia się w stoukach. Potem on już sam sobie radę da. Z bijącym tedy sercem odpowiedział na propozycję Borskiego; odpowiedział zrazu wahająco, a wreszcie na nalegania, stanowczo. I w miesiąc potem był już w drodze do nadsekwańskiej stolicy, pełen ufności w siebie i w swoją przyszłość.
— Teraz zobaczymy! — mówił do siebie w duchu.

III.

Paryż jest miastem, w którym łatwiej jest, niż gdziekolwiek indziej, oswoić się i przyswoić. Już po kilku miesiącach Zygmunt czuł się w wielkiej stolicy zupełnie swobodnym, a po dłuższym upływie czasu zdawało mu się, że cała przeszłość jego jurpolska i późniejsza szkolna jest jakimś mglistym, bardzo dalekim cieniem. Zdawało mu się, że on sam jest innym człowiekiem, przetworzonym zupełnie, zgoła niepodobnym do dawnego; że istnieć począł dopiero od chwili, gdy się rozejrzał w wielkim świecie zbytku, rozkoszy, wątpień i słabości ludzkich.

Pierwsze doznane wrażenie było bardzo miłe. Pani de Larjeac przyjęła go ze łzami w oczach, z serdecznością, prawie macierzyńską. Ze wzruszenia prawie mówić nie mogła.

Tę chwilę powitania, rzewną a smutną, przerwała Irena. Krokiem pewnym weszła do salonu, wstrzymała się nieco w progu, utkwiała w Zygmunta bystre spój-

rzenie, i żywo postąpiwszy naprzód, wyciągnęła do niego rękę. — Nieznany kuzynek! — zawołała, śmiejąc się — dobrze, żeś przyjechał, bo Ola takie o tubie cuda rozpowiada, że istotnie byłam ciekawą. I wnet zaczęła mówić o czym innym, żywo, swobodnie, bez cienia nieśmiałości, jakby ten kuzynek nie wywierał na nią żadnego wrażenia. Ten jej sposób zachowania się wpłynął i na Zygmunta, którego wrażliwość wobec wesołości i swobody Ireny tępiała. Pierwsze uczucie, jakiego doznał, ujrawszy ją w parku, strojną, uśmiechniętą, spoglądającą zalotnie ku innemu, uczucie silne i jakby odrazu nacechowane zazdrością, nagle zbladło. W salonie wydała mu się daleko mniej ponętą. Inne było powitanie z Olą. Ona oczekiwała Zygmunta z takim upragnieniem, jakby z jego obecnością miało się skończyć nareszcie wielkie jej sieroctwo. Ciągłe zmiany warunków życiowych, jakie ją spotykały, zamiast zahartować jej duszę i znieczulić, uczyniły ją jeszcze wrażliwszą, zaostrzyły pamięć. Pamiętała wszystko doskonale: podróż swoją z Mykołą i produkcje z niedźwiedziem

i pierwsze swoje artystyczne uniesienia, śmierć matki i pobyt u
Sipajłów,
prześladowania Jurka i ucieczkę do Jurpola, i lata najmilsze spędzone
przy
pannie Malickiej i późniejsze w jurpolskim pałacu.
To wszystko jednak, pomimo różnic bardzo jaskrawych i przeobrażeń
niezwykłych,
zlewało się teraz w jej pamięci w jedną całość. To było dzieciństwo

i pierwsze lata młodości, w których ona nigdy nie przestawała być
jeszcze ową
znajdą, nad którą znęcał się Jurek, którą litościwie przygarnęła
Malicka, a
potem Czarnoszyńscy. Pod ich opieką i za ich staraniem zakres jej
myślenia
rozszerzał się wprawdzie z każdym dniem, ale stanowisko jej nie
zmieniało się
jeszcze stanowczo. Była zawsze Olą.
Przeobrażenie zupełne, całkowite, nastąpiło dopiero od chwili
przybycia do
Paryża. Tu dopiero dawna Ola przestała być sobą; otworzył się przed
jej oczyma
cały świat inny, odrębny od wszystkiego, co dotychczas widziały jej
oczy, co
przeczuwało serce. To, co dotychczas drzemało w jej duszy, co ją
unosilo
bezwiednie wówczas, gdy z bębenkiem w ręku tańczyła w około
niedźwiedzia przed
karczmą oksanińską, gdy później w wielkiej tęsknocie, siedząc na
mogile matki,
lub biegając wśród stepów, mimowolnie wyrażała w pieśni
nieuczony, to wszystko
teraz nabrało w jej duszy znaczenia, któremu umiała już nadać miano.
To był
zapał, artystyczne poczucie, boża iskra natchnienia.

Tak mówili jej wszyscy, śledzący rozwój jej talentu, czy to profesorowie konserwatorium, czy też artyści, których pani de Larjeac gromadziła czasem w swym salonie, a przede wszystkim znakomity organizator wielkich koncertów, zwanych concerts populaires, Padeloup. On od razu stał się gorliwym protektorem Oli, zainteresował się mocno jej talentem, a w sekrecie przed panią de Larjeac namawiał do obrania kariery scenicznej. Sztuka! to było marzenie Oli i jej jedyne teraz

pragnienie. Poświęcić się jej zupełnie i na zawsze, ukochać całą duszą, tak, aby w niej żadnych innych uczuć ani pragnień nie zostało, to miało być odtąd zadaniem jej życia, celem, do którego dążyła z niezmordowanym zapałem. Ale im bardziej zbliżała się ku temu celowi, im lepiej i dokładniej pojmowała zadania i wymagania sztuki, tem ją bardziej przerażał ich ogrom. Bywały chwile, w których nie czuła się na siłach zmierzyć się z temi trudnościami, a potem nagle ogarniało ją uniesienie tak wielkie, że pragnęła współzawodnictwa i walki z pierwszorzędnymi znakomitościami, jakie słyszała na koncertach i w teatrach. Zapał ten coraz silniej ją przenikał. W początkach swego pobytu w domu pani de Larjeac, jako towarzyszką Ireny, wiele czasu jej poświęcać musiała. Rychło jednak przekonała się, że różnica usposobień między niemi była zbyt wielką, aby

wpływ jej na umysł Ireny mógł być trwale skutecznym. Różnicę tę z każdym dniem czyniły jaskrawszą odmienne warunki życia, pozycji społecznej, towarzyskich wymagań; — Irena weszła w świat wielki z podniesioną głową, pewna tryumfów i coraz nowych pragnąca. Trzpiotowaty śmiech dziecka zamienił się niebawem w zalotny uśmiech dojrzałej kobiety, a w miarę doświadczeń, które wśród salonów paryzkich przybywały rychło, nabierały odcieni szyderstwa, sarkazmu, lekceważenia. Podczas gdy pani Stefania i Irena, w wirze towarzyskiego życia, dni i wieczory całe spędzały na zebraniach, rautach i przyjęciach, Ola, oddana swej pra-

cy, zapominała o świecie całym. Świat przypominał się jej tylko wówczas, gdy na przyjęciach u pani Stefanii zmuszona była występować i popisywać się śpiewem. Czyniła to z wielką przykrością, ale bez szemrania, uważając za swój obowiązek, a zarazem jako przygotowanie do występów na scenie. Coraz wyraźniej stawała przed nią karyera sceniczna, jako ostateczny rezultat jej pracy. Pociągała ją ona nieprzepartym urokiem. Widziała dobrze trudności, ale dla osiągnięcia tego celu była gotową ponieść wszelkie ofiary, zaczynać od najmniejszej pozycji, na scenie choćby najskromniejszej, byle raz stanąć na drodze, którą uważała za jedynie dla siebie właściwą. — Byle raz zacząć! — mówiła nieraz sobie w duchu — byle raz wy dostać się z

pozycji zależnej na samodzielność!

Pobyt w domu pani de Larjeac z każdym dniem trudniejszym się jej stawał. Czuła

się tu zupełnie zbyteczną. Irena coraz bardziej oddalała się od niej, coraz

mniej pojmując kierunek myśli i pragnień tej, którą oczywiście w duchu za niższą

od siebie i upośledzoną uważać musiała.

Pani Stefania natomiast była coraz serdeczniejszą. Przywiązała się do Oli

szczerze, chociaż nieco samolubnie; cieszyła się jej postępami, ułatwiała naukę,

wybierając najlepszych mistrzów, dając sposobność poznania najznakomitszych

artystów, ale teraz ani słyszeć chciała o scenicznej dla niej karierze.

Mając ciągle na oku zamążpójście Ireny, pragnęła Olę zatrzymać przy sobie, aby

mieć w niej miłą to-

warzyszkę, zarazem zaś ozdobę swych salonów, które chciała widzieć zawsze w

całej świetności i blasku.

W sercu tej światowej, wielkiej pani, łączyło się w dziwnym nieraz kontraście

głębokie uczucie z samolubstwem, gotowość do poświęceń z próżnością.

— Czy ci źle u mnie? — mówiła z wymówką i łzami w głosie, ilekroć Ola wspominała

o konieczności sam; dzielnej pracy.

I rzeczywiście Oli źle tu nie było. Otoczona zbytkiem, traktowana jak krewna

najbliższa, niemal jak córka, byłaby się dopuściła wielkiej niesprawiedliwości,

gdyby tego uznać nie chciała. Była też wdzięczna całym sercem, ale mimo to,

coraz częściej i usilniej wznawiała dyskusję o teatrze; rosło w niej
pragnienie
wydobycia się z pozycji zależnej, uzyskania samodzielnego bytu,
rozpoczęcia
artystycznej karyery.

Przyjazd Zygmunta zmienił nieco ten stan rzeczy, nadając myślom Oli
odmienny
kierunek.

Ujrzawszy Zygmunta, Ola uczyła, jak wszystkie wspomnienia
przeszłości wracają do
niej tłumem, wypełniając jej mózg i serce. A równocześnie spostrzegła
przepaść,
jaka ją od tej przeszłości dzieli. Ten mały Zygmuś, który z nią razem,
tak zdaje
się niedawno, przesiadywał u panny Malickiej, ten student, którego
żegnała przy
każdym wyjeździe z domu rzewnym spojrzeniem, pojawił się nagle
przed nią
dojrzałym człowiekiem, którego wyraz twarzy nieśmiały, smutny,
przygnębiony,
dotknął ją boleśnie.

Odczuła odrazu i w całej pełni zmianę, jaka w nim zaszła, odczuła
wszystkie
upokorzenia, jakich doświadczyć musiał, wszystkie smutki, jakie
przeżył i które
cieniem padły na piękną twarz jego.

Na chwilę też artystyczne cele ustąpiły miejsca bliższemu zadaniu.

Zagrzać

Zygmunta chęcią do pracy, obudzić w jego duszy szlachetne poczucie
samodzielności, wskazać obowiązki życia, jakie on przy tylu
zdolnościach miał do
spełnienia — oto, co teraz stało się dla Oli tem zadaniem.

Nie było to zrazu obmyślanem dokładnie. Ola nie zastanawiała się
jeszcze nad

tem. co i jak w tym celu czynić jej wypada, ale odtąd cała jej dusza
zajęta była
jedną, jedyną myślą: przyjść mu z pomocą, rozproszyc tę troskę, którą
na jego
czole widziała, rozjaśnić zachmurzone smutkiem jego piękne,
głębokie, szafirowe
oczy, obudzić energię.
I odrazu zbliżyła się do niego bez dawnej trwożliwej nieśmiałości, jak
siostra.
— Panie Zygmuncie — powiedziała mu zaraz w pierwszych dniach
pobytu jego w
Paryżu — my odtąd musimy z sobą postępować otwarcie, zupełnie
szczerze... Pan z
każdą troską swoją przyjdiesz dzielić się zemną, a ja, jeśli jej
rozproszyc nie
potrafię, to ją zawsze całym sercem odczuję...
I działo się zrazu tak, jak chciała. W ciągu długiego czasu Zygmunt
dzielił się
z nią każdą myślą, każdym uczuciem swoim. Przychodził nieraz
wzburzony,
niespokojny, siebie niepewny. Mówił, co mu tylko wrażenie chwilowe
dyktowało, a
ona z tą intui-

cyą, jaką czasem posiadają kobiety, wiedziała zawsze, kiedy to
rozdrażnienie
należało koić słowem, a kiedy milczeniem. Często godzinami całymi
słuchała jak
mówił, spowiadając się jej z wątpień swoich lub smutków. Otwierała
wielkie,
wymowne współczuciem oczy i słuchała, nie przerywając ani słowem.
To znów
uśmiechem wesołym, swobodnym, łagodziła wzburzenie, to usiadała
do fortepianu i
melodyą rzewną, lub śpiewem usiłowała oddziałać. A potem,
znalazszy chwilę

stosowną, mówiła mu o konieczności samodzielnej pracy, zagrzewała go własną decyzją zerwania z wygodnym a bezcelowym życiem. I widziała z rozkoszą, że Zygmunt podziela te uczucia, że z zupełną ufnością skłania się do niej, że słowa jej mają u niego znaczenie. Za jej poradą i wpływem Zygmunt, pomimo nalegań pani de Larjeac, nie przyjął ofiarowanej mu gościnności w pałacu, chcąc pozostać niezależnym. Zamieszkał na bulwarze St. Michel, w dzielnicy studenckiej, w wielkiej i ludnej kamienicy, na czwartym piętrze. Uczęszczał pilnie na wykłady do Sorbonny, czytał i studyował wiele, — rozglądał się w celu znalezienia praktycznej pracy, któraby mu ułatwiła byt dalszy. Ola nie oceniała jednak wówczas należycie swego wpływu, ani Zygmunt nie czuł, że mu tak dalece ulega. Z obu stron było to bezwiedne, a zdawało się tak naturalnem, że się oboje nie zastanawiali nawet nad charakterem tego stosunku. Zygmunt, sobą zajęty, uczuć swoich względem Oli nie badał; przywiązał

się do niej, jak do siostry, wierzył w jej przywiązanie do siebie, ale czuł przytem, czuł coraz mocniej, że ze wszystkich kobiet na świecie, jedna jest tylko, która go rzeczywiście ku sobie pociąga — Irena. Pociągała go przedewszystkiem zmiennością wrażeń. Wczoraj uśmiechnięta, promienna, urocza, patrzyła na niego błyszczącymi oczyma; dziś zimna, odpychająca, szyderska, przeistaczała się w jednej chwili i wieczystą była dla

niego zagadką, nierozwiązaną, a zawsze dręczącą. Raz wpatrywał się w nią, jak w bóstwo, to znów dziwił się swoim zachwytom. Raz ją uwielbiał, to znów nienawidził. Czasem jedno jej spojrzenie, jeden ruch jej, sprawiał na Zygmuncie takie wrażenie, jakby go iskra elektryczna przeniknęła od stóp do głowy. Czuł chwilami na sobie wzrok jej, który go palił; to znów z jej ust wybiegało słowo niedokończone, dręczące jak zagadka a wnet stłumione w pustym śmiechu, który rozpaloną krew jego mroził lodem. Czasem widział ją piękną, najpiękniejszą, pociągającą ku sobie niezwalczonym urokiem, wabiącą i głosem i spojrzeniem i matową białością ciała i złotą kaskadą włosów i całą postacią, giętką, zwinną, o kształtach rozwiniętych bujnie. I naraz czar niknął. Irena zdawała mu się kokietką bez duszy, zimną, wyrafinowaną., bawiącą się uczuciami ludzkimi. Widział ją otoczoną rojem wielbicieli, a każdy z nich miał swoje takie chwile, w których śmiały się ku niej, niema zielone oczy i usta, szczerząc ostre zębki; chwile, w których cała jej po-

stać zdawała się skłaniać, pochylać w rozkosznym omdleniu. — Bezдушna istota, lalka! — szeptał Zygmunt i jak najmniej starał się zbliżyć do Ireny, obchodził ją zdaleka, jak niebezpieczeństwo. Pociągała go ona jednak zawsze, pociągała podobna siłą, jaką się odczuwa na wyżynach, nad przepaściami. Zawracała mu się głowa, a wówczas czuł, iż jedno jej spojrzenie, jedno słowo może go w tę przepaść pociągnąć bez ratunku.

Ola była piękna, daleko nawet piękniejsza, ale wobec tamtej kusicielki
piękność
ta, poważna, spokojna, nie sprawiała na nim głębszego wrażenia, nie
był ponętą.
Dla Oli, uczucie, które Zygmunt w niej teraz obudzał, było dalszym
ciągiem tego,
jakie przejmowało całą jej istotę od dziecka. Od tego wieczora, kiedy
mały
Zygmus, zasłoniwszy przed wściekłością Jurka, odprowadził ją do
furtki
oksanińskiego folwarku, od tego wieczora aż do tej chwili uczucie to
nie doznało
przerwy. Podniecane zachwyty Halickiej, zrosło się ono z istotą
dziewczęcia.
Jurpolski panicz był zawsze przedmiotem jej uwielbienia, był istotą
wyższą,
doskonałą, dla której poświęcić się było rozkoszą. Zmieniona pozycja
Zygmunta,
klęska, jaka go spotkała, jego smutek po przyjeździe do Paryża tak
bardzo
widoczny, nadały temu uczuciu Oli cechę rzewnego współdziałania.
Zdawało się jej,
że teraz, gdy, go przestał otaczać blask wielkiej fortuny, gdy jest tak
samo,
jak ona, wydzie-

dziczony i samotny wśród wiru świata, że teraz ona tem śmieiej i tem
poufaiej
zbliżać się do niego może że w stosunku braterskim, bardzo ścisłym,
znajdzie
wzajemną pomoc i oparcie.
A tego oparcia, dźwigni moralnej Zygmunt, coraz bardziej
potrzebować się zdawał,
bo coraz mu było ciężej na świecie, coraz bliższym był moment, w
którym należało
się zdecydować, co czynić dalej.

Julin, przytułek jego rodziców, dawał zaledwie tyle dochodu, ile na ich utrzymanie było potrzeba. Zygmunt czuł, że każdy grosz, jaki otrzymywał z tamąd, był ciężką, ofiarą, był okupiony całym szeregiem oszczędności, ograniczających potrzeby, przyzwyczajenia, wygody tych, których kochał zawsze głęboko a którym zamiast pomocą, musiał być ciężarem. Musiał nim być. Nieprzygotowany bowiem do żadnego praktycznego zawodu, a z rozbudzonem pragnieniem życia, Zygmunt staczał z sobą nieraz krwawe walki wewnętrzne. Niejednokrotnie zamierzał wziąć się do jakiegokolwiek, bodaj rzemieślniczej pracy. Nieraz postanawiał pójść za przykładem tych, dla których kwestya dnia jutrzejszego była rozstrzygającą, i pracować dla chleba. Postanawiał, i po kilku dniach czy tygodniach walki i próby przychodził do przekonania że sił mu do tego nie starczy, że w pracy takiej, zużyłby się fizycznie, a duchowo pogłębił. Zasiłki, przysyłane z domu, ciążyły Zygmuntowi, jak zmora; od pani de Larjeac nic przyjąć nie chciał, a warunki życia coraz były trudniejsze, coraz

większem brzemieniem spadały na jego myśl, wolę, cały ustrój moralny.
— Co będzie dalej? — myślał. I w rozgoryczeniu uciekał od ludzi, usiłował obwarować się przed nimi zimną sztywnością, której nie miał w naturze, lecz która wynikała z długich rozmyślań nad położeniem swoim. W takich chwilach zamykał się najczęściej w swoim mieszkaniu. Z okien miał

cudowny widok na ogród luksemburski, bulwar St. Germain, plac Inwalidów i dalej, aż ku Sekwanie.

Miał przed oczyma cały ruch wielkiej stolicy, chwycił uchem i duszą potężny

gwar, tętno olbrzymiego życia, pomimo zmian i przeobrażeń jednakiego zawsze.

Miał przed sobą nieprzeniknionych zagadek tysiące, nieprzerwane pasmo tragedij,

smutków, rozpaczy, szaleństw i walk ludzkich.

I nieraz, siedząc u okna wieczorem, pragnął choć na chwilę mieć wzrok taki,

któryby sięgnął aż do tajemnic, kryjących się w nieprzeliczonych szeregach

domów, jakie przed sobą widział. Pragnął mieć chwilę takiego jasnowidzenia, aby

odrazu zobaczyć jeden choćby moment tego wiru życia, ogarnąć całość tego

momentu, mieć przed sobą jeden wielki obraz, któryby niezawodnie starczył za

długoletnie doświadczenia.

Po kilku dniach jednak, nad tem rozgorzczeniem wewnętrznem brał górę dawny

człowiek. I bywały znów chwile, w których Zygmunt zapominał zupełnie o swej

pozycji. W świetnych salonach pani de Larjeac,

otoczony wykwintnem towarzystwem, które z uwagi na gospodynię domu i jej wysokie

stanowisko, miało dla "ubogiego kuzynka" wyjątkowe względy, tracił on pamięć

chwili obecnej. Wrażliwość jego natury wywoływała dziwne złudzenia. Stawał się

niezmiernie ożywionym, wesołym, rozmownym; werwą, dowcipem, a nieraz głębszym

poglądem, zdumiewał wszystkich. Posepna twarz jego rozpromieniała się nagle, przetwarzał się w mgnieniu oka, tracił swą sztywność, a wdziękiem mowy, pełnej zapału, wdziękiem swej postaci, wytwornej w każdym poruszeniu, zdobywał sympatyę wielu, a zwracał uwagę wszystkich.

— Zygmunt się "rozkrochmalił" nareszcie! — mówiła uradowana pani Stefania, która

z macierzyńską niemal czułością spoglądała na niego, ciesząc się, ilekroć

weselszy wyraz dojrzała na jego twarzy.

I to jednak zwykle nie trwało długo. Każdy list z domu,

przedstawiający fatalną

pozycję Julina, lub jakikolwiek drobny często szczegół,

przypominający mu jego

ubóstwo, budził go do rzeczywistości i wprawiał ponownie w nastrój ponury, który

po chwilowym zapomnieniu jeszcze cięższym się stawał.

Wówczas to zwykle przychodziła mu na myśl Ola. I szedł do niej, aby się z nią

troskami swemi dzielić, aby duszę swą przed nią otworzyć i

wypowiedzieć

wszystkie żale. Ona zapominała wtedy o sobie, myśląc tylko o nim, o jego

potrzebach i upodobaniach, wdzięczna za ufność, a szczęśliwa, jeśli on

kiedykolwiek chciał zapytać o jej zajęcia i projekta.

Zdarzało się to jednak bardzo rzadko. Zygmunt

nadto był zaabsorbowany sobą i kłopotami swemi, by na co innego mógł zwracać

uwagę. Czasem budził go nagle, jak z uśpienia, głębszy wyraz smutku na twarzy

Oli, — zaniepokojony, pytał wówczas o przyczynę i zawsze w odpowiedzi otrzymał

zapewnienie, że nic jej nie jest. A na poparcie tego, wnet wybiegał na
usta Oli
uśmiech swobodny; cała siła jej duszy wyteżała się wówczas, aby mu
własną troską
nie przysparzać zmartwienia.
I on wierzył w jej zapewnienia, bo mu z tą wiarą było dobrze,
wygodnie, bo
rozpieszczona, miękka, samolubna jego natura, roztkliwiająca się nad
własnymi
smutkami i szukająca podziału, rada była widzieć i odczuwać w okół
siebiespokój
i harmonię.
Intuicyjnie odgadła to Ola i tę atmosferę spokoju starała mu się
stworzyć, aby
zachęcić do pracy i ułatwić mu ją. Dzięki też temu, pod wpływem Oli,
Zygmunt,
działający z początku bez żadnego planu, do systematycznej pracy nie
bardzo
nawykły, przedsięwziął stanowcze kroki, aby rozpocząć życie
praktyczne.
Jedną była tylko praca, która rzeczywiście pociągała Zygmunta swoim
urokiem, —
praca literacka.
Od przyjazdu swego do Paryża, umysłowo kształcił się on daleko
więcej, niż
kiedykolwiek przedtem. Wykłady profesorów sorbońskich, na które w
ciągu lat
dwóch dość pilnie uczęszczał, własne, nieco wprawdzie dorywcze, ale
zawsze
kształcące studia, czynione w archiwach i bibliotekach,
obznajomienie się z całą
niemal literaturą współczesną i nowymi prądami,

iakie ją przenikały, rozszerzyły znacznie jego zakres myślenia.
Widział

niezmierny rozwój i potężne na ogół działanie literatury pięknej i to go pociągało.

Przypadek zrządził, że w salonie pani de Larjeac spotkał się kilka razy z

Gustawem Flaubertem, stojącym wówczas u szczytu swej literackiej sławy i

znaczenia. "Mistrz," jak go powszechnie nazywano, jeśli nie zawsze odpowiadał

upodobaniom Zygmunta, to mu zawsze imponował gruntownością studyów, pracą, owym

zmuśnionym poszukiwaniem prawdy w sztuce i zdobytą wiedzą. Była w nim przytem pewna

sprzeczność, która sympatycznie pociągała. — Autor "Pani Bovary" i "Salamambo,"

realista bezwzględny w szczegółach i przedstawieniu plastycznym, w usposobieniu

swem, mowie i poglądach był nieraz porywającym, pełnym polotu poetą. W młodości

Byron i Wiktor Hugo byli jego mistrzami, źródłem natchnienia, — w początkach

literackiej karyery znano go jako zapalonego wyznawcę romantyzmu i ta cecha,

pomimo późniejszych przeobrażeń, została mu raz na zawsze.

W epoce, w której Zygmunta go poznał, Flaubert liczył lat pięćdziesiąt kilka i

pisał już nie wiele. Złożywszy wyznanie swej wiary filozoficznej w Pokuszeniach

św. Antoniego, mistrz realizmu spoczywał, spoglądając z pewnym lekceważącym

spokojem na wysiłki innych, którzy w jego ślady iść chcieli.

Dostrzegłszy w

Zygmuncie wiele oryginalnego polotu, a wiele przytem wiedzy, zainteresował się

nim mocno, zapraszał do siebie i rozmawiał wiele, a nawet zrazu zachęcał do

obrony literackiej karyery.

Znajomość ta nie pozostała bez silnego wpływu na usposobienie
Zygmunta. Poglądy
Flauberta swem poetycznym zabarwieniem pociągały go ku sobie,
lecz zarazem
płoszyły z jego duszy dawne ideały i wierzenia.
Z tradycyj, z wychowania domowego, z rozmów swych z księdzem
Grużewskim, Zygmunt
wyniósł głęboką wiarę, której nic dotychczas zupełnie wykorzenić nie
zdołało.
Obijały się o jego duszę rozmaite prądy i nieraz porywały z sobą; były
chwile, w
których zdawało mu się, że już wszystkie dogmaty zostawił po za
sobą, podeptał,
zniweczył, że jest w całej swej istocie jednym, wielkiem przeczeniem
temu, w co
kiedykolwiek wierzył.
I nagle, jedna chwila przekonywała go znowu, że tem przeczeniem
kłamał sobie i
innym, że się tylko łudził, aby się uśpić, że z głębi jego całej istoty
podnosi
się jeden wielki głos, druzgoczący wszystkie systematy i wszystkie
przyjęte
teorye. Głos, co zagłusza najpotężniejsze wpływy, szydzi z wszelkich
wątpień i
rozbrzmiewa w duszy potężnem echem: Wierzę!
Było mu z tem nieraz niewygodnie. Onby wolał być lekkomyślnym
jak inni, lub jak
inni sceptykiem. Przypatrywał się jednak nieraz bacznie tej
lekkomyślności i
sceptycyzmowi i przyszedł do wniosku, że prawdziwie
lekkomyślnych i szczerých
sceptyków jest bardzo mało wśród ludzi. Zupełnie lekkomyślnym,
traktującym życie
rzeczywiście jako żart, ciągle i zawsze, może być tylko wyjątkowo
upośledzony
człowiek. Ci, których zwykle lekkomyślnymi nazywają, są to naj-

częściej ludzie, grający lepiej lub gorzej komedię, która zblizka
raczej na
tragedyę wygląda.
Ci lekkomyślni mają chwile przebudzeń tak strasznych, iż Zygmunt
wolał nie
zasypiać, byle się tak nie budzić!
A sceptycy? Tym Zygmunt przypatrywał się jeszcze baczniej.
Uczęszczając na
wykłady filozofii i historii do Sorbony, miał zarówno wśród kolegów,
jak i
profesorów, pierwszorzędne do studyowania typy. I zawsze zdawało
mu się, że
dostrzega jasno motywa, które ich doprowadziły do wygłaszanych
teoryj. Nie miał
nigdy przekonania, aby te teorie były ostatnim wyrazem ich
doświadczeń i wiedzy.
Te lub inne wpływy — myślał — doprowadziły ich do takich zasad
czy zwątpień, ale
czy to już ostatnie słowo? czy u kresu tych wszystkich teoryj, wśród
których
umysł ich szuka oparcia, nie zabrzmiał wielki, potężny głos, nakazujący
wszystkiemu milczenie: Wierzę!
Patrzył na nich i wątpił w ich zwątpienie, zarówno jak wątpił nieraz w
siłę
swojej własnej wiary.
Lat stosunkowo niewiele oddzielało Zygmunta od tych czasów, gdy ze
złożonemi
pobożnie rękami służył do mszy księdzu Stanisławowi i mienił się być
równy
aniołom, otaczającym tron Przedwiecznego. Dziś taka wiara zdawała
mu się
niepodobieństwem; coś w duszy jego szydziło z tych uniesień i
zapałów.
Ale były chwile, gdy go napadała wielka tęsknota do tych uczuć, które
już dziś

jego istoty przeniknąć nie mogły. Zdawało mu się, że w porównaniu stracił w tych kilku latach bardzo wiele, stracił zdolność od-

czucia silnych a pięknych wrażeń, stał się o tyle uboższym i pośledniejszym.

Natomiast przyszły wprawdzie wrażenia inne, ale te nie zdołały nigdy zappełnić

całej jego istoty i tak jej wystarczyć, jak wystarczały niegdyś owe, doświadczane w kościele lub w rozmowach z księdzem Stanisławem i panną Anielą.

W tej rozterce duchowej jedyna Ola była mu dźwignią i otuchą. Przez nią

zachecony, postanowił korzystać z uprzejmości Flauberta i prosić go o wprowadzenie w świat literacki.

Przygotował parę szkiców i jedną nowelę, osnutą na tle stosunków stron

rodzinnych i pojechał do "mistrza" z wielką trwogą w sercu, ale z postanowieniem

wytrwania na tej drodze, która, jak widział, doprowadzała innych do uznania, a

zarazem zapewnić mogła przyzwoity byt materialny. "Mistrz" przyjął go bardzo

uprzejmie, pozwolił odczytać sobie nowelę, słuchał z wielką uwagą, wpatrzony w

twarz czytającego, a po skończeniu podał mu rękę, mocno uścisnął i rzekł krótko:

— Bardzo ładne.

Zygmuntowi gwałtownie uderzyło serce Porwał się, aby dziękować. Flaubert

wstrzymał go ruchem ręki. Wstał, przeszedł się po pokoju, strzepując nerwowo

popiół z cygara, a potem nagle zatrzymał się przed Zygmuntem i mówił dobitnie,

urywanym tonem:

— Wiesz ty co, mój młody przyjacielu? Schwyciłeś mnie za serce i banalnym komplementem zbywać cię nie chcę, ani narażać na zawody. To, coś mi odczy-

tał, ładne, bardzo ładne, głęboko pomyślane, poetyczne.. Ale, niestety, nikt u nas tego nie odczuje. Słuchając, rozumiałem cię lepiej, niż ci, którzy to czytać będą. Uważałem dobrze nacisk, jaki mimowolnie może nadajesz pewnym wyrażeniom i sytuacjom. Zresztą — dodał z uśmiechem — ja mam trochę przeczulone nerwy i pewne drgnienia, tak zwane duchowe, rozumiem, a raczej wyczuwam lepiej niż ogół. Ale dla tego ogółu to wszystko, coś mi czytał, będzie mglistem, nieuchwytnem, szarem... Któż z tego, obcego dla ciebie społeczeństwa, żyjącego własnym życiem, zdoła zrozumieć to, co jest głównym motorem twojej myśli, podstawą wszystkich twoich uczuć? Kto to pojmie i oceni, że tobie jest wrodzone to, czego nawet nazwać nie umiem.. jakaś mglistość smutku... — Tragedya myśli — przerwał Zygmunt. — Tak, tragedia myśli! — potwierdził Flaubert — ale z nią nie znajdziesz u nas uznania, nie znajdziesz w takiej pracy literackiej podstawy materialnej bytu. Wyteżysz myśl, potrzaskasz nerwy, zużyjesz siły.;. — Więc niema nadziei? — wtrącił Zygmunt, który po chwilowym uniesieniu wpadał w zniechęcenie ostateczne. — Owszem — odparł "mistrz" — masz niezaprzeczony talent, ale skoro sądzono ci

żyć wśród obcego społeczeństwa i dla niego pracować, musisz je
naprzód pojąć i
dostatecznie z niem się obyć, aby ono nawzajem ciebie zrozumieć
mogło.

— Jakież sposób na to? — spytał Zygmunt. Jedyny i najszybszy —
odrzekł Flaubert —

dziennikarstwo. Tą drogą poznasz dopiero, co to są ci ludzie, którzy
cię

otaczają, ten świat, w którym żyjesz, sprężyny, które go poruszają.

Każde

dziennikarskie biurko ma swoje małe okienko, przez które

najdokładniej widzieć

można całą walkę życiową, wszystkie drobne namiętnostki,

ambicyjki, słabości,

które ostatecznie, razem wzięte, stanowią ową siłę, świat nasz

poruszającą.

Zasiądź przy tem okienku, a jeśli wytrwasz, jeżeli zbyt rychło nie

zniechęcisz

się, wówczas będziesz mógł pisać dla ogółu, trafiać w jego słabe

strony, jeśli

ci o popularność idzie, lub karcić je skutecznie.

Zygmunt słuchał, przygnębiony. Czuł w tych słowach odprawę,

stanowczą krytykę

swego utworu, który był pisany krwią serdeczną — i rozpaczał. Do

dziennikarskiej

pracy pociągu nie miał.

Powrócił od Flauberta zmordowany nad wyraz i zniechęcony

zupełnie. O ile, udając

się do niego, był pełen zapału, o tyle znów teraz stracił wszelką

energię i chęć

do prób dalszych. Był przekonany, że jest do niczego niezdolny.

Przez kilka dni nie wychodził ze swego mieszkania, pogrążony w

myślach ponurych.

Pozycja jego stawała się rzeczywiście z każdym dniem gorszą.

Ostatnie listy z

domu przedstawiały stan rzeczy w Julinie w barwach niemal rozpaczliwych. Rodzice spodziewali się teraz od niego pomocy, byli smutni, osamotnieni; w niedostatku!

Wyglądali z upragnieniem chwili, w której on, zdobywszy sobie stanowisko w Paryżu, do siebie ich przywoła. On dotychczas łudził ich świetnymi

widokami, nadzieję, która mu chwilowo przyświecała; teraz wszelką otuchę sam

stracił. Dotychczas żył w oszołomieniu, które mu nie dozwalało zastanawiać się

głębiej nad sytuacją. Z każdym dniem mnożyły się obowiązki towarzyskie,

rozszerzało koło znajomości w sferze wyższej, zamożnej, żyjącej szerokim

życiem, niepotrzebującej oglądać się na jutro. A on z największym wysileniem

musiał ukrywać swoją nędzę, aby choć jako tako utrzymać się na jednakowym

poziomie. Ta walka zmogła nareszcie jego siły. Ola powtarzała mu ciągle o

obowiązku pracy, a on jej znaleźć nie mógł. Pozostawało mu tylko pójść za radą

Flauberta i zostać dziennikarzem, do czego miał wstręt nieprzemierzony, lub

przyjąć obowiązek bez pracy, wejść w służbę prywatną, korzystać ze stosunków

familijnych, przyjmując, słowem, propozycję, jaką za pośrednictwem pani de Larjeac,

a także i bezpośrednio, czynił mu już kilkakrotnie książę de Sarthes. Książę Filip de Sarthes był to tensam niemłody mężczyzna, którego

Zygmunt ujrzał

w pierwszym dniu po swoim przyjeździe do Paryża, idącego w parku Monceaux obok

Ireny. Jeden z najpierwszych panów francuskich, posiadający wielką fortunę i znakomite imię, księżę od lat kilku niezmordowanie, chociaż bezskutecznie, starał się o rękę Ireny. Ona nie odtrącała go stanowczo, ale też stanowczo nie mogła się zdecydować na poślubienie człowieka o wiele od siebie starszego. Księżę liczył lat przeszło pięćdziesiąt, lecz pomimo wieku wyglądał doskonale. Wysokiego wzrostu,

atletycznej budowy, o twarzy pełnej wyrazu, posiadał przytem ukształcenie niepospolite i mógł się bardzo podobać. Zygmunt zadawał sobie nieraz pytanie: dlaczego Irena go odtrąca? Nie kocha go, to pewna, ale żadnego zarzutu uczynić mu nie może. Księżę był, w całym znaczeniu tego wyrazu, wielką partyą; nosił nazwisko świetne i nosił je bez zarzutu; był panem kilkomilionowej fortuny, którą administrował wzorowo. Główny zarząd tej fortuny, złożonej nietylko z dóbr ziemskich, lecz także przedsiębiorstw przemysłowych i olbrzymich kapitałów, w ciągłym będących obrocie, znajdował się w Paryżu i właśnie w tym zarządzie pani Stefania pragnęła Zygmuntowi wyrobić posadę. Zygmunt wszystkie w tym kierunku propozycje odrzucał. Księcia Filipa nie lubił i unikał bliższych z nim stosunków, chociaż księżę usiłował kilkakrotnie zbliżyć się do niego, jako do krewnego tej, w której od lat kilku stale się kochał.

Zygmunt jednak od pierwszej chwili powziął do niego niechęć, która z czasem

tylko się wzmacniała.

Zygmunt przeczuwał, że w końcu Irena wyjdzie za księcia i to go gniewało.

Do tego głównego motywu odmowy przybywały i inne powody.

Dotychczas był zawsze

jeszcze niezależnym materyalnie; utrzymywał się bądź co bądź z własnych

funduszków i czuł się pod tym przynajmniej względem równy tym,

którzy go w

wielkim świecie otaczali. Myśl, że odtąd miałby się stać płatnym

oficya-

listą księcia, była mu nad wyraz wstrętną. Czuł czasem całą

bezpodbawność tego

wstrętu, a nawet całą jego małostkowość, ale go zwalczyć nie miał siły. Broniąc

się sam przed sobą, nazywał wstręt ten osobistą godnością, poczuciem

niezależności, i tem się zasłaniał przed Ołą, która zresztą

podtrzymywała go

sama w tem uczuciu, pragnąc go ujrzyć ustalonym, nie drogą

protekcji i

stosunków, lecz samodzielną pracą bogatego umysłu, którego rozwój

śledziła z

rozkoszą.

I ona także odczuła boleśnie zawód, gdy po dniach kilku samotnych rozmyślań,

Zygmunt przyszedł do niej i oznajmił rezultat swej rozmowy z

Flaubertem. Ona,

bardziej niż sam Zygmunt, wierzyła w jego talent literacki, a owym utworem,

odczytanym "mistrzowi," zachwycała się całą duszą. Wyrok

"mistrza" był więc dla

mej niemałym ciosem. Ona marzyła, iż Zygmunt za jednym

zamachem zdobędzie

powodzenie, należne jego zdolnościom i talentowi, a raz zajmąwszy stanowisko w świecie literackim, uzyska odpowiednie warunki bytu. Rozwianie tych marzeń dotknęło ją boleśnie, ale nie zgnębiło ducha, który, czuła to, powinien był mieć teraz w dwójnasób siły, aby natchnąć nią Zygmunta. — Trzeba wytrwać! — mówiła — nie zniechęcać się, walczyć. Trzeba pójść za radą Flauberta i przebyć dziennikarską próbę. Czarnoszyński się wzdragał, ale Ola spokojnie, łagodnie w ciągu dni kilku tak umiała rzecz przedstawić i tak pokierować, że wreszcie się zgodził na tę pró-

bę i skorzystał z listu polecającego, jaki mu dał Flaubert do potężnego Alberta Wolffa. Geniusz dziennikarski przyjął go dość uprzejmie. Ale Zygmunta przeraziła odrazu i wstrętem przejęła ta niezgrabna postać i małpia fizyognomia. patrząca przenikliwym!, bystremi oczyma, z wieczystym, cynicznym uśmiechem, jakby przyrosłym do wydatnych warg ust białych. Za protekcją Wolffa, Zygmunt zasiadł wkrótce przy owym okienku, przez które zdaniem Flauberta, najlepiej poznać można było ludzi, świat i jego sprawy. Jeżeli to było prawdą, to chyba do okienka tego jasne promienie nie przenikały nigdy; jeżeli to było prawdą, to chyba lepiej było zamknąć oczy i nic nie widzieć! Pracując w jednym z najpopularniejszych dzienników, Zygmunt widział rzeczywiście

i poznawał całe tłumy ludzi, cały ogrom spraw publicznych, w
których, jak w
labiryncie błędził. Ale też widział i poznawał, na czym najczęściej
polega
rozgłos, sława, znaczenie, zasługa; widział, jak traktowano talent, jak
go
poniżano, a jak podnoszono mierność; widział, jak sławiono nieraz
nikczemną
intrygę, a jak deptano prawdziwą zasługę; widział, jak z dnia na dzień
zmieniano
zasady, z jaką zaciętością atakowano to dzisiaj, czego ze świętym
zapałem
broniono wczoraj. Mając sobie poruczoną część literackiego dzieła,
pragnął
odpowiedzieć sumiennie swemu zadaniu — lecz wkrótce spostrzegł,
że obudza
zdziwienie lub oburzenie. Przekonał się rychło, że w ocenie tej nie
rozstrzyga
rzeczywista wartość

pracy, czy talentu, że to, co się pisze, to tylko wszechpotężna, a
dobrze płatna
— reklama! Na jego zdania, wypowiedane i pisane z najlepszą wiarą,
patrzano
krzywo i dowolnie je zmieniano, a Wolff na przedstawienia, jakie mu
Zygmunt
czynił w tym względzie, przymrużał tylko oczy i uśmiechał się
cynicznie.
— Psujesz nam pan interesa! — rzekł mu raz wreszcie z niechęcią i
cmoknął
wydatnymi wargami, co było u niego objawem tłumionego oburzenia.
Po kilku miesiącach takiej próby, Zygmunt stracił wszelką ochotę.
Trzymał się
jeszcze tej pracy, bo musiał; ale z dniem każdym coraz go większy
niesmak
ogarniał, coraz bardziej siła wytrwałości słabła.

— Lepsza już — myślał — posada oficjalisty u księcia de Sarthes,
niż to
wieczyste płaszczenie się i poddawanie swych przekonań pod jarzmo
podejrzanych
powag, wyrosłych siłą płatnej reklamy!
Wglądając teraz we własną duszę, Zygmunt sam się nieraz wzdrygnął.
Po dwóch
latach pobytu w Paryżu dziwnie tam stało się pusto i szaro. Natura
jego
przyjmowała łatwo wszystkie wrażenia; umysł, w pełni rozwoju,
chłonał w siebie
wszystkie nowsze teorye, lecz bezładnie, bez tego systemu, jaki dać
może tylko
szkoła i ciągły, jednostajny kierunek.
Wielkie zwątpienie ogarniało duszę. Pesymizm Schopenhauera i
Hartmannowska
teorya des Unbewussten przenikały ją na wskroś.
Zetknięcie się ze światem dziennikarskim Paryża dokonało reszty.
Kapłaństwo
pióra, o którym dawniej marzył, przedstawiło mu się teraz ohydnym
rzemio-

słem, posługującym się potężną reklamą, a żyjącym zawiścią i
podstępem. Z
przykładów, jakie widział, osądził cały ogół i nie chciał już szukać
dalej.
Zniechęcenie opanowało go całkowite. Począł stronić od ludzi i nawet
u pani
Stefanii pokazywał się rzadko. Drażniła go teraz w niewypowiedziany
sposób
światowość i pusta zalotność Ireny. Kilka razy, pociągany przez nią,
odpowiedział jej ostro, zimno, niemal brutalnie i odwracał się lub
uciekał,
ilekroć dostrzegł, że ona się zbliża, lub na niego patrzy.
Irenę zaś ogarnął podówczas prawdziwy szał zabawy. Życie
towarzyskie pochłoneło

ją całkowicie; zdawało się, jakby wśród tego ustawicznego ruchu
usiłowała
zapomnieć o trosce wewnętrznej, która ją trapiła. Nieraz chciała
wciągnąć w ten
wir Zygmunta, ale on stanowczo odmawiał, oddalając się coraz więcej
od uroczej
kuzynki, którą widywał rzadko, w krótkich chwilach pomiędzy
obiadem, rautem,
teatrem lub bale.
Irena i pani Stefania, coraz bardziej wpływowi ukochanej jedynaczki
ulegająca,
były teraz niemal gośćmi w swoim pałacu. Zygmunt, aby się z nimi
widzieć, czego
pani de Larjeac domagała się koniecznie, przychodził zwykle
wcześniej, w
godzinach śniadania, a po wyjeździe ciotki i kuzynki, którym hr.
Jakób stale
towarzyszył, zostawał najczęściej z Olą.
Uważał ją zawsze za siostrę, której wszystko wypowiedzieć mógł, nic
nie
ukrywając. Skarżył się więc i żalił, unosił i marzył, plany rozsnuwał i
wnet je
burzył, ze swoich prac literackich i naukowych się

zwierzał i odczytywał je, a ona to wszystko przyjmowała z zapalem, z
uniesieniem, a zawsze z głęboką wiarą w jego talent, z podziwieniem
dla jego
wiedzy.
Zygmunt, który obok swych dziennikarskich zajęć nie zaniedbywał
filozoficznych
studyów, przygotowywał teraz rozprawę, która miała być
odpowiedzią, czy też
uzupełnieniem hartmannowskiej teorii des Unbewussten. Do pracy tej
przywiązywał
wielką wagę; miał nadzieję, że na ściśle naukowym polu potrafi się
odznaczyć,

skoro go literackie zawiodło, a dziennikarskie napełniło wstrętem.
Ola, nie mogąc mu dorównać w zakresie jego wiedzy, usiłowała
wszakże o tyle
przynajmniej oswoić się z przedmiotem, by Zygmunt mógł przed nią
swobodnie
wypowiedzieć swoje myśli, z tem uczuciem, że nie mówi napróżno;
by nie zrazić go
niezręczną uwagą lub słowem, zdradzającym nieświadomość.
Na ten cel poświęciła kilka miesięcy usilnej pracy i wiele nocy
bezsennych. Nie
zdołała oczywiście opanować przedmiotu, ale przynajmniej nie był jej
już obcym
ruch naukowy, pierwsze, główniejsze zasady i prądy.
Raz, późnym wieczorem zostali w małym saloniku, samotni. Lampa,
stojąca na
stole, rzucała mdłe blaski na ciemne obicia pokoju, w którym
panowała cisza,
nieprzerywana żadnym z zewnątrz hałasem; okna bowiem wychodziły
na pusty już o
tej porze i zamknięty park Monceaux. Nawet kroki Zygmunta, żywo
chodzącego po
pokoju, nie miały odgłosu, bo je zupełnie tłumił puszysty dywan,
zaścielający
posadz-

kę. Zygmunt chodząc, mówił z ożywieniem wielkiem; mówił o
postępach swej pracy;
czasami przystawał przy lampie, brał ze stołu przyniesiony z sobą
rękopism i
odczytywał ustępy, poczem opowiadać począł o dyskusyi, jaką w tym
przedmiocie
stoczył z jednym, bliżej sobie znanym profesorem paryskim.
Ola usiadła w ciemnym kącie pokoju, na małej kanapce, i słuchała
milcząc. W
pomroku rysów jej twarzy nie było można dostrzedz; czasami tylko
zabłysło

spojrzenie, utkwione w Zygmunta, głębokie, zachwytu pełne.
Zygmunt mówił długo, ulegając potrzebie wypowiedzenia tego, co go
zajmowało tak
gorąco. Potrzebował słyszeć sam siebie, swoje argumenta i wywody,
choć nie
spodziewał się być zrozumianym. Opowiadając o dyskusji swojej,
przyczał
argumenta przeciwnika, a czasem myśląc głośno, wyrażał swoje
wątpliwości, chwiał
się w opinii własnej. Wówczas Ola rzuciła raz i drugi trafną uwagę,
świadczącą,
że rozumiała, iż przedmiot nie był jej obcy.
Z początku nie zwróciło to uwagi Zygmunta; w zapale, zasłuchany w
swoją własną
wymowę, przyjmował uwagi Oli, jakby nie wiedział, z jakich ust
pochodziły, jakby
nie słyszał.
Lecz nagle usłyszał, zrozumiał i stanął zdumiony.
Wrażenie, jakie to na nim wywarło, było stokrotną dla Oli nagrodą.
Patrzył na
nią długo, wymownie, oczy mu się rozpromieniały. Szybko przystąpił

ku niej, ujął jej drobne dłonie w uścisku, podźwignął z miejsca i
pociągnął z
mroku ku światłu lampy.
— Co ty za dziwna jesteś kobieta?... — przemówił z cicha, z
uczuciem, obejmując
jednym spojrzeniem całą jej postać.
Stali naprzeciw siebie, blisko, w pełnym świetle lampy, wzruszeni
głęboko,
samotni wśród ciszy.
On zdumiony, ujęty, świadom w tej chwili wszystkiego, co od tak
dawna Ola dla
niego czyniła, prze-nikniony wdzięcznością — ona drżąca,
onieśmielona, tak jak w

pierwszych czasach jurpolskich, zawstydzona tem, co dotychczas
czyniła

bezwiednie, ale szczęśliwa bez granic — po raz pierwszy w życiu
szczęśliwa.

Milczeli oboje.

I naraz Ola podniosła głowę; spotkały się ich wejrzenia: jego
rozpromienione

wdzięcznością, jej rzewne, niemal łzawe, a głębokie.

On ją przyciągnął do siebie, a ona bez oporu złożyła głowę na jego
ramieniu.

— Siostró... ukochaną moja! — wyszeptał Zygmunt. i zbliżył swe usta
do czoła

Oli.

Ona drgnęła tak, jakby całą jej postać od stóp do głowy przeniknęła
iskra

elektryczna. Wysunęła się z jego objęć i oddaliła się nieco, spozierając
w okół

z przestraczem.

Po raz pierwszy to osamotnienie, w jakim byli, wydało się jej
niestosownem i

niebezpiecznem.

Tego wieczora rozmowa już nie szła.

Zygmunt wkrótce wyszedł, a przez kilka dni

następnych Ola widocznie unikała spotkania się z nim sam na sam.

Poufałość ich stosunku dotąd wszakże nie dziwiła nikogo. Wszyscy
wiedzieli o ich

zażyłości od dzieciństwa, a poważne usposobienie Zygmunta i
stanowisko Oli w

rodzinie ułatwiało i tłumaczyło tę poufałość.

Jedna tylko Irena z szyderstwem nieraz wspominała o samotnych
konferencyach Oli

z Zygmuntem. Widocznie ja to drażniło.

W kilka dni po owem zajściu z Olą, Zygmunt przyszedłszy wieczorem
do pałacu na

ulicy Murilla, zastał panią Stefanię, wybierającą się z córką na raut.
Zabawił z
niemi chwilę i oświadczył, że po ich wyjeździe zostanie dłużej z Olą.
Mówił
spokojnie i naturalnie, przecież to się nieraz przedtem zdarzało. Dziś
jednak te
słowa podziały w dziwny sposób na Irenę. Z tą samowolnością,
która była cechą
jej natury, zmieniła nagle postanowienie. Zdjęła kapelusz, który miała
na głowie
i usiadła naprzeciw Zygmunta, ruchem nerwowym ściągając
rękawiczki z drobnych,
różowych paluszków.
— Nie pojedę! — rzekła — głowa mię boli.
Pani Stefania, znając nieprzemóżone kaprysy jedynaczki, nawet nie
usiłowała
walczyć. Po kilku uwagach, zbytych milczeniem, wyszła, rada może
w duchu, że
dziś nieco odpocznie. Oli nie było w salonie; Irena i Zygmunt
pozostali sami.
Siedzieli chwilę, milcząc.
Irena od czasu do czasu rzucała na niego przeni-

kliwe spojrzenia, które on czuł na sobie i starannie ich unikał, w
obawie, że
raz spotkawszy się z tym wzrokiem, nie zdoła oprzeć się urokowi.
"Wstał, wziął
kapelusz i zabierał się do odejścia.
Irena zaśmiała się ironicznie i powstała także.
— A... — przemówiła — pan odchodzisz? Byłam tego pewna.
Pozostałbyś, gdybyśmy
były odjechały — odchodzisz, bo zostając w domu, przeszkodziłyśmy
ci w słodkim
sam na sam z Olą!...
Zygmunt niecierpliwie się zachnął.

— Doprawdy, nie pojmuję — odparł zimno — co pani szkodzić mogą moje rozmowy z

Olą... Wszak pani masz tylu innych wokoło siebie, z którymi rozmawiać chcesz i

możesz... Margrabia Montebello, wicehrabia de Lormes, księżę de Sarthes!. Jabym nie śmiał...

Irena gwałtownie zbliżyła się ku niemu i schwyciła go za rękę. Oczy jej pałały.

— Nie śmiałybyś! — przerwała — więc ja sama mam cię ośmielać... ja sama mam ci powiedzieć, że...

Urwała nagle i odstąpiwszy nieco od Zygmunta, pochyliła głowę, jakby strwożona.

On milczał, zdziwiony tym niespodziewanym wybuchem. Pożerał ją wzrokiem. Cudowną

była w tej chwili onieśmienia niezwykłego, zarumieniona — ona tak zuchwała,

tak zalotna zawsze!

Po chwili zwolna podniosła głowę i spojrzała na niego wilgotnymi oczyma.

— Zyguncie — rzekła — chciałabym raz rozmówić się z tobą, rozmówić na seryo...

Ton mowy był tak poważny, że Zygmunt aż się cofnął, pełen podziwu. W ciągu tak

długiego czasu codziennych niemal stosunków było dość sposobności na poważną

rozmowę. A jednak prócz śmiechu i żartów, prócz zwykłych salonowych, czasem

bardzo swobodnych frazesów, on z ust Ireny nic innego dotychczas nie słyszał.

Zkądże dziś ta zmiana, którą zapowiadał i wyraz twarzy niespokojny, jakby

strwożony, i ton mowy zupełnie niezwykły?

— Ty... ze mną?.. — powtórzył, widząc, że ona nagle zamilkła.

Irena schwyciła go znowu za rękę.
— Nie znasz mnie! — zaczęła mówić pospiesznie, opuszczając
wszelkie przedwstępne
frazesy. — Wy, wogóle kobiet nie znacie. Ale nie dziwię się tym,
którzy mnie
otaczają zwykle. Oniby pragnęli, abym jeszcze mniej czuła i myślała...
Oni chcą
chwilowej zabawy, upojenia, szału, a do tego ani myśleć, ani czuć nie
trzeba;
trochę gorączki, nieraz sztucznie wywołanej, wystarczy. Ale ty, ty,
Zygmuncie,
zastanawiający się aż do zbytku nad wszystkim i wszystkimi, żeś ty
mnie do
dzisiaj nie odgadł, nie poznał, to mię dziwi i... boli!
Mówiła szybko, gwałtownie, i w toku mowy, czując snadź, że w
języku polskim
brakuje jej dostatecznej wprawy, zaczęła po francusku, głosem
przyciszonym, aby
nie być słyszaną. Pochyliła się tak ku niemu, że oddech jej palący czuł
na
swojej twarzy i od czasu do czasu lekkie dotknięcie miękkich jej
włosów na
czole. Ogień jej oczu przenikał go na wskrós, odurzała woń upajająca.
On teraz z
kolei lękał się podnieść oczu,

aby się nie spotkać z jej wzrokiem, aby nie zobaczyć tych wdzięków,
które go
pociągały nieprzemogłą siłą, ramion białych, drżących pod
wpływem wzruszenia, a
nęcających bujnością swych kształtów, ust namiętnie rozchylonych,
jakby
czekających pocałunku.
Ona mówiła dalej tym samym tonem, pospiesznie, gwałtownie, a coraz
ciszej:

— Ileż to razy, gdym szła w wir zabaw, czekałam od ciebie jednego
tylko słowa,
jednego spojrzenia, któreby mi powiedziało: zostań! Aleś ty sam
mówił mi: idź!
Nadaremnie błagałam cię wzrokiem, jeśli nie ustami: ocal mnie! ty
jeden ocalić
mnie możesz! Nadaremnie i teraz to ci mówię!
Szeptane słowa miały czasem aksamitne brzmienie prośby, a czasem
ostry ton
skargi, żalu, rozpaczy. Wzrok ciskał chwilami iskry, to znowu
ogarniał Zygmunta
niewymowną jakąś a rzewną pieśczętą.
— Ocal mnie! — szeptały jej usta. Tuliła się niemal do niego.
On ujarzmiony tym czarem, który z jej oczu, ust wpółotwartych i całej
postaci
szedł ku niemu i ogarniał go nieprzemожoną siłą, jeszcze usiłował
walczyć.
— Wszak ci nic nie grozi, kuzynko — przemówił — tylu innych,
świątecznych
majątkiem, stanowiskiem, imieniem, składa ci hołdy i powtarza
codziennie to
słowo: Kocham!
Irena wzdrygnęła się.
— Kocham! — powtórzyła z szyderstwem. — Nie jeden mi to
powtarza, prawda! Książę
de Sarthes mówi to codziennie i to słowo mi obmierzło! A jednak

czuję, że są takie usta, któreby mi to wypowiedziały inaczej, samem
brzmieniem
wyrazu poruszyłyby całą duszę. Wiem, że istnieje, że być musi takie
uczucie,
które się banalnie miłością zowie, a które porywa całą, istotę w szale
upojenia.
Szukam takiego uczucia i szukać nie przestanę, bądź co bądź! Nie
zadowolą mnie

teraz puste słowa, ani złudzą kłamane uczucia... Nie jestem
dzieckiem... żyję i
mam prawo do życia!

W najwyższym stopniu wzruszona, szybkim krokiem chodziła Irena
po pokoju, nie
usiłując już nawet ukryć uczuć, jakie nią miotaly.

Zygmunt w osłupieniu, niemal przerażony, patrzył na nią. W głowie
jego snuły się
bezladne myśli.

I to mówiła kobieta, którą on o brak uczucia posadzał! Czyżby ta jej
ciąga

wesołość, ta zalotność która go drażniła, były tylko maską? — czyżby
pod nią

żyła, czuła i myślała wrażliwa i rozumna dusza? czyżby to wszystko,
czego on od

niej doświadczył, wszystkie żarty i szyderstwa, były tylko pokrywką
uczucia? A!

wówczas nie byłoby poświęcenia, którego by dla niej nie spełnił. Lecz
cóż uczynić

może? czyż może usunąć świetnych współzawodników i stanąć na ich
miejscu. On bez

znaczenia, bez majątku, bez przyszłości, — liść, oderwany od gałęzi,
na której

wyrósł i zanesiony wichrem aż tutaj, do stóp tej świetnej, pięknej,
wspaniałej

królowej!... Ona go wyszydzi, pogardzi nim, podepcze!... Nie, on nie
powie jej

ani słowa!

A Irena, stanawszy przed nim, mówiła dalej:

— Słuchaj, ta Ola, to moje nieszczęście! Ile-

kroć rozmawiałeś z nią tak poufale, a z takim zajęciem, ja
nadaremnie szukałam

rozwiązania zagadki: dlaczego ona, nie ja? I z tem dręczącym
pytaniem szłam,

biegłam, rzucałam się w wir świata... Ze mną milczałeś, a z nią!...

Urwała zdyszana; oczy jej rzucały znowu płowe błyski.

— A więc to zazdrość ją tak porusza! — pomyślał Zygmunt —
chciałaby widzieć

wszystkich u swoich stóp, zalotnica!

Ta myśl ostudziła go znowu.

— Dlaczego ona, nie ja? — powtarzała Irena.

— Bo słów, które płyną z serca — odparł Zygmunt — nie rzuca się na
poniewierkę... na szyderstwo!

Wstrząsnął się, jakby pragnął zrzucić z siebie przemocą ten czar, który
go na

chwilę obezwładnił. Myśl jego usiłowała walczyć z tym czarem,
wywołując

wspomnienia tylokrotnie doświadczonej zalotności Ireny, która już
nieraz

wyzywała go zuchwale na to tylko, aby go pognębić.

Podniósł głowę i spojrzał na nią ostro, z wyrzutem:

— Daj pokój, pani — rzekł — temu, który dziś ani czasu, ani ochoty
niema brać

udziału w życiu na żart. Ja muszę myśleć teraz poważnie o
zapewnieniu bytu

nie tylko sobie, ale i rodzicom, którzy prawdopodobnie nawet w
Julinie utrzymać

się nie będą mogli. Odwróć się więc odemnie, a idź ku temu światu,
któ-

ry cię bawi, pociąga, hołdami otacza. Ja muszę myśleć o pracy, o
pracy na seryo.

W" miarę, jak mówił, twarz Ireny zmieniała się dziwnie. Gorączkowe
uniesienie,

jakie ją rozogniało przed chwilą, widocznie słabło; oczy nabierały
innego

wyrazu, zachodziły mgłą.

— Dlaczego nie powiesz tego mamie? — przerwała z łagodną
wymówką. Ona się tem

tak serdecznie zajmuje, a ty ze wszystkim się taisz... Nie chciałeś nic
od nas

przyjąc, nawet mieszkania w tym pałacu, który w połowie pustką stoi.
Usuwasz
się, uciekasz od nas, jakbyśmy obcymi ci byli... Nie dobry jesteś,
Zygmuncie!
Mówiła głosem zupełnie spokojnym, przestała go drażnić i wyzywać
wzrokiem. Była
w tej chwili dobrą, łagodną, lecz już bez zapału.
— Dlaczego on jej to w tej chwili powiedział? — myślała. Dlaczego
sam tak się w
jej oczach swoim ubóstwem i zależnością poniżył? Ma słuszość!
Dla niej, wszak
niemożliwe było połączenie się z człowiekiem bez znaczenia, bez
stanowiska,
żyjącym z pracy własnej! Na cóżby zeszła świetna Irena de Larjeac,
jako żona
nieznanego zupełnie w Paryżu, pana Czarnoszyńskiego —
dziennikarza!
Zimno przeszło ją na wskroś. Patrzała na Zygmunta wzrokiem
dziwnie sztywnym, jak
na widmo, które ją pociągało, lecz i straszło zarazem.
W tej chwili wszedł kamerdyner.
— Książę de Sarthes! — wygłosił uroczyście.

— Proś! — odrzekła Irena — i daj znać pani Hrabinie.
Kamerdyner zniknął.
A panna de Larjeac zdrygnęła się, jakby ze snu obudzona nagle. Po
doznanem
wzruszeniu była jeszcze blada, ale ani słowem nie wstrzymywała już
Zygmunta, gdy
ją żegnał w chwili, w której do salonu, z uśmiechem na twarzy,
wchodził książę.
Od czasu tej rozmowy z Ireną, Zygmunt ani chwili nie miał spokoju.
Codziennie
prawie otrzymywał wizyty nieproszonych gości, których widocznie
nasyłała Irena.

Wszyscy zaś powtarzali jedno i to samo, powtarzała to ustnie i w listach
naglących pani Stefania, aby przyjął ofiarowaną sobie posadę sekretarza księcia
de Sarthes. Sam książę był u niego dwa razy, a niezastawszy, złożył swoją kartę
z bardzo uprzejmym dopiskiem.
Jednego poranku, do mieszkania Zygmunta wszedł zupełnie niespodziewanie hr.
Jakób. Stosunek między nimi był dotychczas dość etykietalny. Pan de Larjeac, jak
zawsze milczący i obojętny, traktował Zygmunta grzecznie ale zimno; zdawać się
mogło z pozoru, że znosił, tolerował tylko jego obecność, przez wzgląd na
macochę, do której szczerze był przywiązany.
Tym razem jednak wszedłszy do Zygmunta, miał w oczach i w uśmiechu wyraz
niezwykły.
Poruszony był i jakby onieśmielony.
— Możesz mi — rzekł — wyświadczyć wielką Przysługę... Znaczną część moich
kapitałów po matce

mam w obrocie u księcia de Sarthes... Zawakowała tam obecnie, jak ci wiadomo,
posada sekretarza zarządu dóbr... posada ważna. Dawny sekretarz był moim
przyjacielem i spraw moich przestrzegał jak oka w głowie. Nie chciałym, aby go
zastąpił człowiek obcy... obojętny... Gdybyś raczył przyjąć!...
Mówił urywanemi słowy i nie skończył. Spoglądał tylko swemi jasno — niebieskimi
oczyma na Zygmunta, mrugając powiekami, widocznie zażenowany.
Czarnoszyński milczał; pierwszą jego myślą było propozycję odrzucić stanowczo.

— Wynaleźli — myślał — pozycję dla ubogiego kuzynka! Nie chcą, abym dziurawemi łokciami świecił w ich salonach, a wiedzą, że jałmużny nie przyjmę, więc dają mi ją pod takim pozorem...

Hr. Jakób cierpliwie na odpowiedź czekał.

— Nie sądź — ozwał się po chwili — aby to było zajęcie, wymagające specjalnych, fachowych wiadomości... Z całą manipulacją, przy twoich zdolnościach, obeznasz się za tydzień.. Sekretarz zarządu dóbr księcia prowadzi głównie korespondencję, a idzie tu przede wszystkim oto, aby był człowiekiem, któremoby zaufać można, któryby nie tak fachową, jak moralną miał kontrolę nad innymi... Posada dobra, — dziesięć tysięcy franków rocznie.

Wypowiedziawszy to odetchnął i urwał, a potem nagle wyciągnął ku Zygmunтови rękę i tonem innym, serdecznym dodał:

— Proszę cię... bardzo cię proszę — nie odmawiaj!

Jak to się stało, Zygmunt sam nie wiedział, ale nie odrzekłszy ani słowa, znalazł się nagle w objęciach Jakóba, który jego uściski odwzajemniał bardzo silnem potrząsaniem dłoni i powtarzał ciągle:

— Przyjmujesz? przyjmujesz!

Zygmunt odpowiedział wprawdzie wahająco. Nie odmawiał, lecz żądał czasu do namysłu.

Hr. Jakób czuł, że nalegać byłoby niegrzecznością, wyszedł wszakże z otuchą.

Tegoż wieczora było wielkie przyjęcie w salonach pani de Larjeac. To, co się

nazywa tout Paris, przechodziło przez te salony strojne, świetne,
uśmiechu
pełne, promienne.
Oparty o framugę okna, wpatrzony w ciemne aleje, zamkniętego już o
tej porze
parku, Zygmunt nie widział nikogo i nie słyszał nic. Raziła go tylko
czasem
głośniejsza wrzawa, wstrząsał się nerwowo, a oczy odwracał od
światła salonów,
wśród których, w przezroczystej mgle blasków, poruszały się postacie
kobiece,
pociągające, ponętne, barwne, promieniejące odblaskiem brylantów i
białością
obnażonych ramion.
Atmosfera wonna, upajająca. Zygmunt czuł, że jedno słowo lub
spojrzenie mogłoby
go pociągnąć w ten wir świetnego życia, że za chwilę, w tej jasnej
przeźreni
salonów, odurzony, rozmarzony, byłby z uśmiechem na ustach,
patrzył śmiało,
zuchwale w zalotne oczy, kłamiący sobie i innym i zarówno
okłamywany.
Odwracał się przemocą od tego czaru, który go

pociągał. Idąc tu bowiem, postanowił nie brać żadnego udziału w
zabawie.
Propozycja księcia de Sarthes działała na niego pognębiająco.
Wstydział się sam
przed sobą uczucia, jakiego doświadczał, uznawał, że było niskie,
nikczemne, ale
się z pod tego wrażenia wyzwolić nie mógł.
Wstydział się, że on może jedyny w tym towarzystwie, żyć będzie
odtąd nie z
dochodów własnych lecz z zapracowanego grosza. I gdyby to jeszcze
pracą nazwać

było można to zajęcie, ofiarowane mu z łaski, a przynoszące w trójnasób więcej dochodu, niż zasługiwało!
Zygmunt, przypatrując się od dłuższego czasu temu życiu, jakie go otaczało, wiedział dobrze, że w świecie tym, jak zresztą w każdym, są rozmaite kompromisy i różne warunki istnienia. Wiedział dobrze, iż wśród tych ludzi jest wiele egzystencji niepewnych) bez jutra, mnóstwo gorączkowych wysileń, aby choć na jedną chwilę przedłużyć pozór świetności, mnóstwo goryczy, a często i... wstydu.
Wiedział o tem dobrze, a dziś badał sam siebie, czy w tej propozycji, dającej mu utrzymanie bez właściwej pracy, narzucającej zajęcie dla pozoru, zajęcie do którego przygotowany nie był, które w niczem mu nie odpowiadało, czy w przyjęciu takiej propozycji nie było także wstydu, czy to nie był także kompromis z sumieniem dla utrzymania blichtru, pozoru.
A! przecież lepiejby było, stokroć lepiej, szlachetniej, wyjść raz na zawsze z tych salonów, z tego wytwornego świata, zejść do szeregów rzeczywistych

pracowników na chleb, zmieszać się z tą szarą rzeszą zgłodniałych, niż korzystać ze stosunków i protekcji, aby się utrzymać na widowni, kosztem tysiąca upokorzeń i wbrew własnemu poczuciu!
Odwrócony od błyszczącego świata, zapatrzony ponuro w nieprzebitą ciemność nocy, przebiegał Zygmunt myślą to wszystko, co przeżył w ciągu pobytu swego w Paryżu.

Do czego dojdzie na tej drodze? jaki osiągnie rezultat? Czy ów dobrze
płatny
sekretaryat u księcia de Sarthes, to już ma być wszystko? to już treść
całego
życia? Na cóż się zdały te wszystkie udręczenia, jakie przebywał?
Przyjąć byt
łatwy, dać zmarnieć, zmiłknąć wszystkiemu, co się w niespokojnej
duszy kołacze,
i żyć z dnia na dzień do końca... Na co się przyda wszelki wysiłek
woli?
Uśmiechnął się gorzko.
— Woli!... — powtórzył półgłosem — zkaż to pojęcie tuła się w
mózgach ludzkich,
skoro nic nie potwierdza istnienia tej woli?
Nie darmo studyował pesymistyczne teorie filozofii współczesnej. W
połączeniu z
niemi, to, co od Flauberta usłyszał, co mu doświadczenia pewne
przyniosły,
dopełniło miary wątpliwości w jego duszy. Na gruncie rozgoryczenia i
smutku, z jakim
do Paryża przybył, przyjęło się to tem łatwiej i wybujało.
— Złudzenie... wszystko złudzenie! — powtarzał w duchu,
Czyż złudzeniem był i ten świat strojny, piękny, który go otaczał?
Czyż
złudzeniem był ten śmiech

o dźwięku srebrzystym, który nagle, zabrzmiał mu w uszach, tuż
blisko i echem
odbił się w głębi duszy?
Odwrócił się szybko. Obok, w blasku barwnych świateł, w sukni
jasnej, mocno
wyciętej, przechodziła Irena. Widział jej ramiona prześliczne, jak
utoczone i
pierś silną, białą, marmurową, falującą teraz gwałtownie.
Przy niej szedł ten sam niemłody mężczyzna, którego dostrzegł
Zygmunt pierwszego

dnia po swoim przyjeździe do Paryża, w parku Monceaux. Książę de Sartlies!
wytworny w każdym ruchu, wyświeżony, pogodny, rzucający śmiałe słowa, a jeszcze śmielsze spojrzenia.
Książę de Sarthes... zawsze on! jutrzejszy może jego pryncypał, którego rozkazów za pieniądze słuchać będzie musiał!
A ona — Irena — ta, która przed kilku dniami sama rzucała mu się niemal na szyję, wyznając swą miłość i wyzywając jego wyznanie, uśmiechała się teraz do księcia, ponętna, rozkoszna...
Zygmunt drgnął mimowoli. Zdawało mu się, iż ona wie o jego tu obecności i umyślnie tak zalotnie się uśmiecha, aby go drażnić.
Salon, w którym stał Zygmunt, ukryty we framudze okna, dotychczas pusty, zaczął się teraz zaludniać. Przechodzono tutaj gromadnie z innych salonów, - bo Ola miała popisywać się śpiewem. Niebawem weszła, wsparta na ramieniu hr. Jakóba.
Wysoka, smukła, szła powolnie, uśmiechając się

"łagodnie a smutno Oczy jej patrzyły przed siebie bez ożywienia; przechodziły z miejsca na miejsce, z osoby na osobę, nie zatrzymując się dłużej na nikim i na niczem, jakby kogoś szukały... Może Zygmunta, który od owego zajścia z Ireną, nie był ani razu u Oli i nie rozmawiał z nią jak dawniej.
Stała przy fortepianie. Zygmunt z ukrycia swego widział doskonale jej całą postać wyniosłą, wspaniałą a poważną. Wyglądała jak posąg wśród innych kobiecych

postaci, poruszających się żywo, strojnych, świecących brylantami i ramionami obnażonemi. Ona jedna w czarnej sukni, pod szyję zapiętej, bez ozdób żadnych.

Tylko na wysokim kołnierzu, przy samej szyi, mały łańcuszek złoty a na nim

medalion. Ruchem nerwowym prawej ręki, Ola poruszała ów medalion i przesuwiała go

wzdłuż łańcuszka z drobnych złożonego ogniwek, co wydawało chrzęst głośny,

przenikliwy. Była widocznie wzruszona, pierś jej falowała silnie.

Zaległa cisza. Akompaniujący Oli, młody artysta, uderzył pierwsze akordy. Za

chwilę ozwał się śpiew silny, dźwięczny...

Danze t'aspettano, corone e fiori

Gioie e delizie ardenti amori...

Brzmiał skargą serca, które kochając całą potęgą, nie zostało zrozumiana. Ale ta

skarga nie miała miękkich, żalonych dźwięków, w tonie pieśni brzmiało raczej

przekonanie, że to uczucie, odepchnięte, wzgar-

dzone, jedynie mogło dać szczęście, była wielka duma miłości, która wierzy w

swoją wszechpotężną siłę.

Quel ben, quel genio tu cercherai,

Nol troverai! nol troverai!

Tak!. będziesz szukał dobra, szczęścia, geniuszu... upojenia i szczęścia!

Pogonisz za tą nieuchwytną marą, którą ci życie w rozmaitych kształtach

przedstawić będzie, ale poza mną, poza uczuciem mojem, nie
dogonisz jej, nie
schwycisz, nie znajdziesz!... Pełnia szczęścia jest w miłości mojej,
którą
wzgardzasz, w tem objęciu, które odpychasz, w tem spojrzeniu,
którego nie
odczuwasz...

To mówiła pieśń Oli w dźwięku srebrzystym, rozbrzmiewającym
donośnie, pomimo
zdławionego w niewielkim salonie powietrza. Chwilami zdawało się,
że dźwięk ten
rozsadzi ciasne mury, że niczem nie wstrzymany popłynie w
nieskończoną dal.

Jaśniej i szerzej robiło się w tym salonie, przepelnionym ludźmi,
zawieszonym
ciężkimi makatami, tłumiącemi odgłosy, oświetlonym lampami,
przyćmionemi
dyskretnie.

Rozmowy ucichły. Tłumiono oddechy; nad wszystkimi i nad
wszystkiem zapanował
śpiew, harmonia, która ujarzmiła wszelkie rozdźwięki i ujęła je w
jeden ton, w
jedno brzmienie, w jedno uczucie zachwyty.

Zygmunt słuchał i patrzył. Słuchał, nie rozumiejąc słów, cały
pogrążony w
melodyi, która mu więcej mówiła niż słowa; zapatrzony cały w postać
Oli, która
mu więcej mówiła, niż melodia.

Po raz pierwszy spostrzegł w niej nietylko piękną kobietę, ale wielką
artystkę,
zdolną dźwiękiem swego śpiewu, tonem swej pieśni, nietylko własne
wypowiedzieć
uczucia, ale poruszyć, rozbudzić drzemiące uczucia innych.
Zachwycił się zawsze
brzmieniem i rozległością, jej głosu; teraz zdumiała go potężna mowa

artystycznej duszy, która w tym śpiewie najsilniejszy swój znajdowała wyraz.

Z zachwytu obudził go nagle lekki szmer. Jakaś postać przesunęła się, jak cień,

obok niego i uczuł dotknięcie ręki na swem ramieniu.

— Jak ona cudownie śpiewa! — szepnął stłumiony, cichy głos kobiety.

Odwrócił się szybko i spotkał się z przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu.

Obok niego, tuląc się niemal do jego ramienia, stała Irena w całym blasku swej drażniącej urody.

Pochyliła się ku niemu, błyszczącym wzrokiem szukając jego oczu; bez uśmiechu na ustach, rozchylonych wszakże jakimś pragnieniem gorączkowym, które poruszało jej pierś gwałtownie.

Oddaleni od towarzystwa, ukryci we framudze okna, po za szerokimi liśćmi

egzotycznych roślin, stali przy sobie, blisko, oszołomieni tą harmonią, która

napełniała całą przestrzeń salonu, przeniknięci dźwiękami tego wspaniałego głosu, porwani wrażeniem chwili.

Nieraz przecież byli sami, w tym salonie, nieraz Irena wabiła go wzrokiem i słowem, nieraz też on od-

czuwał siłę jej czaru, ale nigdy jeszcze siła ta nie objawiła mu się tak potężnie.

Zdało mu się, że z barwnych, przyćmionych świateł salonu, wypłynęła ku niemu, na

falach wibrujących w powietrzu tonów, ta nęcąca postać. Nie widział teraz nie

prócz niej, i nie słyszał nie, oprócz wielkiej harmonii śpiewu, wśród której,

jak dźwięk daleki arfy odbił się w duszy jego szept:

— Jak ona cudownie śpiewa!

Nie odpowiedział nic, ale całą siłą wzroku utonął w głębi zielonych oczu Ireny,

które się mieniły fosforycznym blaskiem. Czuł oddech jej gorący, przyspieszony,

widział jej usta wpółotwarte, ścisnął dłoń jej malutką, miękką, aksamitną, a

drżącą.

Nie mówili ani słowa, ale stali pochyleni ku sobie, w siebie wpatrzeni, upojeni

sobą i tą harmonią, jaka ich otaczała.

Nagle Zygmunt drgnął. Jak iskra elektryczna przeszła go myśl: co czynisz

szalony?

Odwrócił się i spotkał wejrzenie Oli, sztywnie w niego utkwione, przenikające

przestrzeń, pełne bólu, wyrzutu, skargi. Ona dostrzegła ich tam, w ukryciu.

— ... Nol troverai!

Zabrzmiął ton ostatni, poszedł wysoko i nagle urwał się, niedokończony. Jak

struna, pękająca wśród dźwięku, głos złamał się i śpiew skończył w głośnym

westchnieniu.

Ola upadła na krzesło, jak omdlała. Wszyscy rzucili się ku niej, Irena pierwsza

podbiegła. Jeden

tylko Zygmunt stał nieporuszony na miejscu. On jeden rozumiał w tej chwili,

dlaczego głos Oli się złamał.

— Nic mi nie jest, nic mi nie jest — szeptała Ola — gorąco tu w pokoju, śpiewać

nie mogę..

Niebawem też uspokoiło się wszystko, a raczej wszystko wróciło do pierwotnej wrzawy. Ozwały się rozmaite głosy, śmiechy i żarty. Irena znowu przechadzała się po salonie z księciem de Sarthes i miała znowu ten sam wyraz co zwykle, ten sam uśmiech zalotny, to samo wyzywające spojrzenie. Zygmunt wyszedł ze swojej kryjówki i niepostrzeżony przez nikogo, schronił się do przyległego pokoju, w którym było mniej osób. Usiadł w najciemniejszym kącie i starał się myśli zebrać po doznanych wrażeniach. Czuł potrzebę uspokojenia się, zapanowania nad sobą. Nie pierwszy raz zastanawiał się on nad rodzajem swego uczucia dla Ireny. I zawsze zdawało mu się, że to chwilowe tylko wrażenie, nad którym siłą woli zapanować potrafi, które ani podstawy, ani głębszego znaczenia niema. Zalotność jej nie dozwalała rozwinąć się jego uczuciu, a mroziło je zresztą przekonanie o pustce w sercu i umyśle tej kobiety, którą zdawało się ożywiać jedno tylko pragnienie wrażeń przelotnych i ciągłej zabawy. Po raz pierwszy jednak przed kilku dniami objawiła mu się ona inaczej. W tych czasach dwa: na raz zrobił odkrycia: Olę zobaczył wielką artystką, a Irenę zdolną namiętnie kochać kobietą. Pierwsza olśniewała go talentem, druga ogniem namiętności, który płonął

w jej wzroku, dyszał jej oddechem, mówił przez rozchyłone usta.. Niebezpieczeństwo było groźne i blizkie. Trzeba było uciec, zapomnieć, zdobyć

się na taką siłę woli, o jakiej mówiła mu Ola.
Ola, najwierniejsza jego przyjaciółka, która od chwili jego przyjazdu do Paryża
swojem spokojnem, a rozważnem słowem przybywała mu zawsze z pomocą, ile razy
czuł się rozgoryczony, sam siebie niepewny, w wewnętrznej z sobą rozterce.
Rozważając teraz niebezpieczeństwo, grożące mu ze strony Ireny, wzburzony i
zaniepokojony. Zygmunt pomimowoli zwracał się myślą ku tej, która mu zawsze
przynosiła uspokojenie i napawała otuchą.
— Dobra moja Ola — myślał — jakaż ona inna, jaka szlachetna!
I w tejże chwili ujrzał, jak przechodziła przez pokój obok niego, a nie widząc
go. Szła zwolna, rozmawiając z hr. Jakóbem.
Zatrzymali się we drzwiach, osłoniętych ciężką portyera jedwabną.
— Więc przyjmuje? — pytała Ola, podnosząc na Jakóba wymowne, niepokoju pełne
spojrzenie.
— Przyjmie, niezawodnie przyjmie — odpowiedział pan de Larjeac, jak zwykle
powolnie, spokojnie.
Zdało się Zygmuntovi, że Ola smutnie pochyliła głowę.
— Wdzięczna panu jestem - mówiła głosem stłumionym —
wdzięczna bardzo, za
wszystko, co dla Zygmunta czynisz. Nie sędzę wprawdzie, aby ta
posada

u ks. de Sarthes była dla niego, dla jego zdolności odpowiednią. Ale
znając
dobrze jego pozycję, sprzeciwiać się nie śmiem i z całego serca
dziękuję ci za
niego, panie Jakóbie!
Hrabia de Larjeac ujął w dłonie obie rączki Oli i milczał. Ale twarz
jego miała

w tej chwili wyraz niezwykły. Jasne oczy zdawały się pałać, ciskając
płowe

błyski, usta drżały.

Przemówił po chwili głosem cichym, urywanym, wymawiając
dobitnie każde słowo,

nie spuszczać z jej twarzy wzroku:

— Nie dziękuj mi pani... ja dla ciebie uczynię wszystko... wszystko,
bylebyś

tylko...

Więcej Zygmunt dosłyszeć nie mógł. Nagła wrzawa i wybuch
śmiechu z przyległego

salonu zagłuszyły wszystko. Ale to, co dosłyszał, wystarczało, aby
zrozumieć,

komu zawdzięczał pośrednictwo hr. Jakóba; łatwo się zaś domyśleć
mógł, czego on

żądał w zamian od tej, którą Zygmunt najukochańszą swą siostrą
nazywał. — Teraz

było jego obowiązkiem zbadać intencje pana de Larjeac, a w razie
potrzeby wyrwać

ztańd Olę i przed niebezpieczeństwem zasłonić.

Krew wzburzoną falą uderzyła mu do głowy. Znał już dostatecznie ten
świat, który

go otaczał, aby wiedzieć, że hr. de Larjeac, posiadający
pierwszorzędną pozycję

majątkową i społeczną, nie łatwo się zdecyduje na małżeństwo z taką
bez nazwiska

dziewczyną, jak Ola. Mezalians taki mogłaby tylko upozorować
światna jej

artystyczna karyera, ale o tej tak rychło marzyć nie było można. Głos
powszechny

zapowiadał

wprawdzie Oli znakomitą przyszłość, w razie obrania tej karyery, lecz
ostatecznego rezultatu niepodobna było przewidzieć; uznanie zaś i
sława, któreby

ją wzniosły tak wysoko, aby hr. de Larjeac mógł wobec świata
usprawiedliwić swój
mezalians, nie przychodzą tak łatwo, zwłaszcza w takiej stolicy jak
Paryż i
wobec pierwszorzędnym współzawodniczek.
Jakież więc zamiary miał hr. Jakób, zbliżając się teraz do Oli? Co się
działo w
duszy tego, zawsze zimnego i obojętnego człowieka, którego jasne,
bez wyrazu
oczy, ciskać nagle poczęły błyski, a usta, zwykle milczące, szeptały
namiętne
wyrazy?
Postanowił przedewszystkiem rozmówić się z Olą i w tym celu wszedł
za nią
napowrót do sali. Ale Ola rozmawiała już w tej chwili z panią
Stefanią, otoczona
całym gronem dam i panów, w które Zygmunt mięszać się nie myślał.
Chciał się cofnąć, gdy w tem Irena, odbiegając od księcia de Sarthes,
nagłym
ruchem zbliżyła się do niego i wsuwając rączkę swą pod jego ramię,
pociągnęła go
prawie przemocą ku małej kozetce w rogu salonu.
— Nieznośny kuzynku! — zawołała głośno, aby wszyscy słyszeli —
uciekasz odemnie,
od wszystkich; zrobiłeś się teraz gorszym jeszcze, niż w początkach
dziwakiem, a
mnie to złości, podczas gdy wszyscy inni mnie nudzą!
Usiadła, wskazując przy sobie miejsce Zygmuntovi. Śmiała się, jak
zawsze, lecz
nie trudno było poznać, że śmiech ten brzmiał nieszczerze. Ruchy jej
były dziś nerwowe, niespokojne, urywane; głos nawet miał brzmienie
inne niż
zwykle, twardsze. Gwałtownie szarpała trzymaną w rękę koronkową
chusteczkę.

Patrzała na Zygmunta wzrokiem sztywnym, przenikliwym, jakby zbadać chciała najskrytsze jego myśli.
Zaczęła mówić głośno, tonem żartobliwym, skończyła poważnie:
— Zygmuncie — ozwała się po chwili ciszej, pochylając się ku niemu — przyjmujesz propozycję księcia de Sarthes? Posada doskonała... ja chcę abyś przyjął! chcę! chcę! — powtarzała z naciskiem, tupiąc nóżką, jak dziecko rozkapryszone.
On się jeszcze wahał.
— Mam inne plany — mówił — zależność tej pozycji upokarzałaby mnie na każdym kroku... nie czuję się na siłach...
Irena poruszyła się niecierpliwie.
— Słuchaj — rzekła — a jeżelibym ja od ciebie zażądała tej ofiary... gdyby ona potrzebna była dla mojego szczęścia, spełniłbyś ją?. przyjąłbyś?..
Malutką swoją, a gorącą dłonią ścisnęła jego rękę, paląc go ognistym wzrokiem.
On chylił głowę ujarzmiony.
— Przyjmę! — rzekł zwolna, zatopiony w jej spojrzeniu.
W salonie ruch się tymczasem zrobił, zapowiadający koniec przyjęcia.
Ktoś pierwszy dał hasło, wstając z miejsca, inni szli za tym przykładem.
Niektórzy, poufalsi, żegnali się z gospodynią domu, mniej znani wymykali się cichaczem.

Księżę de Sarthes, który Ireny nie spuszczał z oka, zbliżył się do niej.
— To coś wygląda jak spowiedź przed kuzynkiem... ozwał się, rzucając spojrzenie w stronę Zygmunta.
— Oh, spowiedź! — odparła ona, wzruszając ramionami i z całą swobodą wracając do

zwykłego, szyderskiego tonu... Czyż w Paryżu jeszcze się kto spowiada? W ustach księcia sam ten wyraz wygląda śmiesznie. Pan de Sarthes pochylił się ku niej. — A przecież — rzekł szeptem, z naciskiem, — ja się dzisiaj spowiadałem przed panią najszczerzej, z głębi duszy... Czy rozgrzeszenie otrzymam? Twarz księcia, zwykle spokojna, była teraz dziwnie poruszona. Z ust bladych zniknął konwencyonalny uśmiech, a w przygasłych nieco oczach zamigotały płomyki wewnętrznego uczucia; — powieki drgały, przymykając się. Zygmunt słów nie słyszał, ale z wyrazu tej twarzy, z której wzruszenie zdzierało zwykłą maskę, domyślał się, o co chodziło. Ruszył się więc z miejsca, chcąc odejść. Nagłym ruchem ręki wstrzymała go Irena. — Zostań! — rzekła stanowczo, po polsku. A zwracając się do księcia; znowu zwykłym tonem, odparła głośno na jego pytanie: — Chcesz książę rozgrzeszenia? Zazwyczaj przedtem naznacza książdż pokutę, a ja się lękam, że za otrzymane odemnie rozgrzeszenie, którego się domagasz, będziesz musiał odprawiać potem długą i ciężką pokutę... Namyśl się więc dobrze...

— Wszystko przyjmuję! — zawołał pan de Sarthes. — Nie tak pośpiesznie — przerwała Irena — powiedziałam: jutro... więc jutro, mój książę. Do widzenia! Podała mu rękę, którą książę uściskał, zatrzymując nieco dłużej w swej dłoni i pożegnawszy skinieniem głowy Zygmunta, odszedł pośpiesznie. Irena szybkim ruchem zwróciła się ku Czarnoszyńskiemu. On ją całą, ponętą,

zachwycającą w toalecie strojnej, pociągającą niezwykłym
wzruszeniem, objął,
ogarnął płomiennym wzrokiem Po raz drugi spotkały się ich oczy,
łącząc dusze w
namiętnym porywie, ciągnąc ich istoty magnetycznie ku sobie.
Ona drżała. Zielone jej oczy gorączkowo pałały, rzucając fosforyczne
błyski.
Jeszcze raz pochyliła się ku Zygmunтови, rażąc go tym wzrokiem,
nęćąc całą
postacią!
— Jutro księżę będzie u ciebie — szepnęła — musisz przyjąć!
— Ireno! — zawołała nagle pani Stefania, która stała opodal z kilku
paniami,
zabierającemi się już do odejścia.
Irena podbiegła ku matce i za chwilę spokojna zupełnie, swobodna na
pozór,
rozmawiała i żegnała się z gośćmi, śmiejąc się wesoło i szczerząc
białe zębki.
— Co za moc panowania nad sobą! — myślał Zygmunt, wychodząc z
pałacu w
oszołomieniu.

IV.

W chwili, gdy Zygmunt opuszczał salony pani de Larjeac, Ola
oddawna już była w
swoim pokoju, niezwykle dnia tego wzruszona. W czasie pobytu
swego w domu pani
Stefanii przeżyła ona wzruszeń i wrażeń niemało. Ale teraz dopiero
obudziła się
w niej świadomość uczucia.
Pocałunek Zygmunta, poruszając całą jej istotę, wskazał
niebezpieczeństwo. Tak!
ona go kochała miłością jedyną, wyłączną, namiętną, która
bezwiednie rosła w

sercu dziecka, a dojrzała w duszy kobiety, przepelniając całą jej istotę.
Bronić
się od tego uczucia było już zapóźno; wyrwać je z serca zdawało się
niepodobieństwem, chyba z życiem.
Rozumiała teraz dobrze Ola, co znaczyło, że ilekroć Zygmunt wszedł
do salonu,
ilekroć dojrzała go idącego na rogu ulicy, serce jej uderzało
gwałtownie, myśl
się mąciła, odbiegała przytomność. Cała jej istota wyrywała się ku
niemu,
odczuwała każde jego słowo, każdą troskę dzieliła, odgadywała myśli.

Zupełna świadomość tego uczucia obudziła się dopiero teraz, pod
wpływem owego
pocałunku i wrażeń dzisiejszego wieczoru, gdy głos złamał się w jej
piersi, że
zaczętej pieśni dokończyć nie mogła. Ujrzawszy Zygmunta i Irenę,
kryjących się,
zblizonych ku sobie, schwyciwszy w lot spojrzenia ich ogniste,omal
nie
zemdląca.
Zazdrość, to uczucie, które najsilniejszym nawet odbiera moc
panowania nad sobą,
odrazu w jednej chwili, ogarnęło całą jej istotę.
Stosunek Zygmunta z Ireną zwracał zawsze jej baczną uwagę i zawsze
wydawał się
jej nieszczerym. On nieraz mówił o swojej kuzynce, skarżąc się na jej
lekkomyślność i kokieteryę, nieraz robił jej ciężkie zarzuty, przeciw
którym ona
nawet usiłowała ją bronić. Irena, ze swej strony, wspominała o
Zygmuncie bardzo
rzadko, a jeżeli wspominała, to z odcieniem pewnej obojętności lub
sarkazmu. Nie
uszło wszakże baczej uwagi Oli, że Irena zbyt często zalotne swe
spojrzenia

kierowała ku Zygmunтови; widziała też jego dziwne rozdrażnienie.
To wszystko
obudzało i dawniej w jej sercu podejrzenia; ale dotychczas były to
tylko
domysły, rozpraszane rychło serdecznym słowem Zygmunta. Dziś
miała pewność; dziś
po raz pierwszy uczucie, palące ogniem, przeniknęło ją całą, gdy
nagle w cieniu
ujrzała ich postacie, pochylone ku sobie, złączone spojrzeniem
namiętnem.
Za jedną taką chwilę, za jedno takie spojrzenie Ola byłaby całą swą
duszę
oddała. Na samą myśl tę dreszcz rozkoszy przebiegł ją od stóp do
głowy.

Powstała szybko z miejsca i wyprostowała się całą postacią.
Pokój był dość duży, urządzony wykwinicie. Posadzkę pokrywał
miękki, puszysty
dywan, ściany osłaniały jedwabne makaty. Taką kotara, spływająca
w fałdach od
sufitu, okrywała łóżko. Na środku pokoju stół duży, zarzucony
książkami, w rogu
biurko misternej roboty; obok olbrzymie zwierciadło, odbijające całe
wnętrze
pokoju, rozwidnione w tej chwili światłem lampy, zwieszającej się od
sufitu, a
pokrytej wielką, czerwoną osłoną. Obok stołu i przy ścianach kilka
foteli,
stoliczków i wygodnych szeszlągów. Na ścianach mało obrazów. Nad
łóżkiem tylko
niewielki wizerunek Chrystusa, wyciągającego miłosierne dłonie ku
postaci
niewieściej, tonącej w falach morza.
Ola stała chwilę, spoglądając dokoła. Bujne jej, ciemne warkocze
rozplotły się i

w nieładzie spadły na ramiona. Ujęła je w obie ręce i podniosła do góry, a w tej chwili ujrzała siebie w zwierciadle, wspaniałą jak posąg. I została w tej pozycji, patrząc. Wiedziała, że jest piękna. Powtarzało jej to ust wiele; powiedział jej to dziś wyraźnie, wyraźniej niż kiedykolwiek hr. de Larjeac. A jednak nigdy uroda ta nie przedstawiła się jej samej tak rzeczywiście uderzająco. Dlaczegoż Zygmunt tego nie widział? Dlaczego skłaniał się ku tamtej, daleko brzydszej, która umiała tylko wyzywać spojrzeniem i nęcić zalotnym uśmiechem. Przecież ona potrafiłaby patrzeć daleko głębiej,

uśmiechać się ponętniej, czuć całą duszą i dlatego dać pełnię szczęścia. Lecz czemuż ona była ze swoją królewską urodą, — ona, — Ola, — "znajda!" — bez nazwiska, Ola Oksanińska, jak ją kiedyś, w przystępie dobrego humoru, nazwała pani Stefania? Czemuż była w porównaniu z Ireną, dziedziczką wielkiego nazwiska i fortuny? Wzniesione ramiona opadły nagle; wielki, nieprzemierzony smutek ogarnął całą jej istotę, opanowało ją uczucie sieroctwa i opuszczenia, dawno tak silnie nie doznawane. Wśród obcego świata, mniej jej ciążył brak nazwiska, nieświadomość pochodzenia. Zajęta artystyczną pracą, marzeniami o scenicznej karyerze, Ola od wyjazdu z Jurpola o niczem innym nie myślała. Dokument nieczytelny, dany jej nigdyś przez

matkę, nie odstępował jej wprawdzie, zamknięty w medalionie,
zawieszonym na
szyi, ale miał już tylko wartość pamiątki, nieoglądany i
nieodczytywany nigdy.
Dopiero teraz, ponownie, ta dziwna zagadka jej bytu stanęła jej w
myśli. Kto ona
jest właściwie? To wszystko, co ją otacza, ten przepych, ta
wytworność, do
której nawykła, to tylko jałmużna! To wszystko obce jej, cudze! Ona
nie posiada
nic, wszystko ma z łaski!
A wobec tego, czyż dziwić się można, iż Zygmunt, tak poufały z nią
nieraz i tak
serdeczny, spogląda Wszakże na nią zupełnie inaczej, niż na Irenę.
Dobrze

jeszcze, że nie wyraża jej swoich uczuć w ten jakiś dziwny,
nieokreślony sposób,
jak to czyni hr. Jakób.
Na myśl tę krew uderzyła Oli do głowy, silne rumieńce na twarz
wybiegły. Tak,
teraz dobrze rozumiała wszystko. Jeden nie zwracał na nią uwagi, bo
tak dalece
czuł się wyższym nad nią, drugi uważał ją za istotę tak bardzo
upośledzoną, że
mógł wyrażać jej swoje uczucia, nie kłępiąc się żadnymi względami.
I ona to wszystko znosiła! Przyjmowała bez wahania i wstrętu ten
zbytek, jaki ją
otaczał, ona, której udziałem była nędza, sieroctwo, wzgarda!
A, nie! to się raz skończyć musi. Ani na zalotność Ireny, ani na
obojętność dla
siebie Zygmunta, ani na zabiegi hr. Jakóba ona patrzeć nie może, nie
powinna.
Przecież w jej duszy tleje iskra boża natchnienia, talentu, z nią może
iść w

świat z podniesionem czołem i zdobyć sławę, znaczenie, nazwisko,
jak tylu
innych.

Pójdzie! Odrzuci ten pożyczany blichtr, wyrzeknie się cudzego
zbytku, a zacznie
żyć o własnych siłach, samodzielnie.

Spojrzała rozplómonionem okiem. Cała jej postać przetworzyła się w
tej chwili

siłą uczuć, jakie nią poruszały. Spokój i powaga, które wyrobiły się w
niej pod

wpływem przebytych kolei i życia, jakie dotychczas prowadziła, nagle
znikły.

Oczy ciskały płomienie, pierś wzburzona gwałtownie dyszała.

Potrząsnęła głową;

olbrzymie sploty włosów rozsypały się zupełnie, okrywając ją jak
płaszczem.

Odrzuciła je z czoła nagłym ruchem ręki i raz jeszcze spojrzała w
zwierciadło,

odbijające wspaniałą jej postać.

— Pójdę! — powtórzyła szeptem. — Z tym ogniem, jaki czuję w
duszy, z tym

płomieniem w oku, z tą urodą, którą Bóg dał sierocie, pójdę w świat,
sama,

zdoływać to wszystko, co inni mają odrazu. I zobaczymy, kto
odniesie zwycięstwo.

Zobaczymy, kto więcej zdobędzie hołdów, czy ja, Ola Oksanińska,
czy hrabianka

Irena? zobaczymy, czy przed nią, czy przedemną uklęknie Zygmunt?

Wzdrygnęła się. Z uniesienia tego obudził ją nagle szmer u drzwi.

Otworzył się zagnął i w progu stanęła Irena.

Zdjęła suknię strojną i miała na sobie lekki, koronkowy negliz, pod
którym

zarysowywały się dokładnie jej piękne, dorodne kształty. Włosy miała
także

rozpuszczone, mniej bujne niż Oli, barwy rudawej, o połysku złocistym.

Zatrzymała się chwilę w progu i przenikliwe spojrzenie skierowała ku Oli, która ciągle w jednakowej pozycji, mierzyła ją także roziskrzonym wzrokiem.

Irena zwolna postąpiła naprzód.

— Byłam pewna, że nie spisz — rzekła, rzucając się na otomanę — a że i mnie na

sen się nie zbiera, przyszłam pomówić z tobą.

Ola milczała. Głos Ireny przyprowadził ją nieco do przytomności.

Usiadła w

fotelu, w ciemnym kącie pokoju, wsparła głowę na rękę i postanowiła czekać

cierpliwie na to, co jej powie panna de Larjeac.

Irena, wyciągnąwszy się wygodnie na otomanie, założyła pod głowę cudownie

utoczone ramiona, wystające z szerokich rękawów penioaru i po chwili mówiła

dalej, nie patrząc na Olę, która siedziała poza nią.

— Widujemy się teraz bardzo rzadko... braknie mi sposobności rozmówić się z

tobą, a mara ci wiele bardzo wiele do powiedzenia...

Rzekłszy to, czekała chwilę na zapytanie, a nie doczekawszy się, nagłym ruchem

całej postaci obróciła się ku Oli, skierowując ku niej znowu przenikliwe

spojrzenie swych zielonych oczu, ciskających fosforyczne błyski.

— Nie jesteś ciekawa? — rzuciła z nagłą.

Ola zaśmiała się cicho.

— Na cóżby mi się ciekawość przydała? — odrzekła — powiesz, co zechcesz...

— Powiem wszystko! — zawołała Irena, zrywając się nagle i usiadając na otomanie

— powiem, bo powiedzieć muszę... bo dziś jestem w takim usposobieniu...

— Mów więc, słucham — odrzekła Ola na pozór spokojnie, chociaż serce gwałtownie tłukło się jej w piersi, a jakieś przecucie szeptało, że ta rozmowa ciężko w jej życiu zaważyć może.

Irena milczała chwilę, a potem powstawszy i zbliżając się szybko do Oli:

— Wiesz! — zawołała — ksiązę de Sarthes oświadczył mi się dzisiaj...

— Chyba to nie po raz pierwszy — wtrąciła Ola nie tracąc spokoju.

— Tak! — odrzekła Irena — nie po raz pierwszy, ale teraz dłużej wahać się niepodobna... Mam lat... wszak wiesz dobrze ile" jesteśmy rówieśniczkami".

— Takie jak ja istoty — przerwała Ola — nie mają wieku, cóż mię to obchodzi?

— Ale mnie obchodzi i bardzo! — zaśmiała się nerwowo Irena, — Zwlekałam dość długo, markiz Montebello i wicehrabia de Lormes i innych z dziesięciu, wszyscy odprawieni. Tymczasem dwudziesty i... wstyd mi powiedzieć, dwudziesty i któryś tam rok życia mija... Czy słyszysz? wszak to staropanieństwo! Ola ramionami wzruszyła.

— Dla ciebie, dla artystki — mówiła dalej Irena — to może być obojętne, ale dla mnie, nie! Nie chciałam wcześniej za małż wychodzić, pragnęłam dokładnie rozpatrzyć się w świecie, poznać ludzi, uczynić wolny wybór... Tymczasem...

— Tymczasem? — powtórzyła Ola — widząc, że Irena na tem słowie urwała.

Panna de Larjeac w niezwykłym wzburzeniu przechadzała się po pokoju.

— Tymczasem — mówiła dalej — zatrzymując się znowu przed Ola — świata ani ludzi

nie poznałam, a ci, których znam, wstręt obudzają we mnie, wszyscy jednakowi i wszyscy bezbarwni.

— Nawet księżę de Sarthes? — rzuciła pytanie Ola.

Irena bystro na nią spojrzała, jakby dopiero po raz pierwszy odczuła pewien

odcień lekceważącej ironii w jej słowach i głosie.

— Księżę — rzekła zwolna — po swojemu, ale kocha... Przeżyty jest, stary, ale w

miłości dla mnie — ostatniej, skupiły się wszystkie siły jego duszy i orga-

nizmu... We mnie odżyły dla niego wszystkie jego wspomnienia i wrażenia. To

odbicie dawnych wrażeń i nowe — ostatnie; dlatego silne i stałe...

Zaśmiała się gorzko, prawie cynicznie.

— Więc? — spytała Ola.

— Więc... — dokończyła Irena — czyniąc stanowczy ruch ręką, więc wyjdę za niego, chociaż się nim brzydzę.

Mówiąc to, rzuciła się znowu na otomanę i położywszy się na wznak, wzrok utkwiała w sufit.

Ola patrzyła na nią długo, milcząc, z wyrazem, w którym było dużo współczucia;

ale przytem coś nakształt pogardy.

Po chwili wstała z miejsca i zbliżając się do niej, położyła rękę na jej ramieniu.

— Reniu — przemówiła łagodnie — jak ty sobie wyobrażasz życie?

Irena poruszyła się gwałtownie, rozdrażniona.

— Zawsze wielkie frazesy — zawołała. — Życie, cóż to jest? chwila upojenia,

szału, kilka dni, w najlepszym razie parę lat bezmyślnej zabawy, a potem... nic!

Gorzej niż nic, smutek, rozczarowanie, przesyt.

— Ja myślę inaczej — przerwała Ola — życie to obowiązek, to poświęcenie, to ciągłe dążenie do celu który nam przyświeca, to...

Irena się zaśmiała.

— Piękny mi cel, księżę de Sarthes! Podniosła się na otomanie, oparła na

łokciach i błyszczącymi oczyma wpijając się w twarz Oli. mówiła z rosnącym zapałem:

— Wiesz ty, co ci powiem? Tyś mi, może bezwiednie, wielka wyrządziła krzywdę.

Nauczyłaś mnie myśleć. Ciągłem rezonowaniem, ciągłą refleksją odwróciłaś mię z

drogi, którą iść byłam powinna. Wielki świat, a w tym świecie nieustająca zabawa

— oto do czego byłam stworzona. Stroje, bale, umizgi, zaloty, to treść życia,

jakie miało być moim udziałem. Pod twoim wpływem to wszystko zbladło.

Zastanawiam się teraz zanadto nad każdym krokiem, rezonuję jak ty... i zbrzydł

mi cały świat. Mówisz o celu życia! Jakiż cel może mieć taka jak ja lalka, która

z góry wie, co ją czeka, na co ją tak ustrojono i wyprowadzono na to wielkie

targowisko, które się światem nazywa? Gdyby nie ty, z twoją refleksją, byłabym

już dawno, jak inne, księżną czy margrabiną, wesołą, niedbającą o jutro,

swobodną! Twoje rozumowania przytłoczyły mię swoim ciężarem. Szukałam przez

wiele lat owego celu, o którym mówisz? I co znalazłam? Tego samego księcia de Sarthes, tylko starszego o lat kilka. Ola nie przerywała. Przysiadła u otomany i słuchała słów Ireny z wielkiem zajęciem. Wzburzenie jej, gwałtowność, z jaką mówiła, działały na nią uśmierzająco. — A któż ci każe — ozwała się spokojnie po chwili — uważać księcia za cel swego życia? W twojej pozycji, mając wszystkie warunki, jakie ci dał los, masz wolny wybór. Irena porwała się z otomany i prostując się, rozplómiętionym wzrokiem rzuciła przed siebie. — Wolny? nieprawda! — zawołała. — Ja muszę

wyjsc za mąż tak, jak mi kaza wzgledy towarzyskie, przemawiajace ustami matki, rodziny, wszystkich! Ja musze wyjść za mąż tak, aby ten, co mnie poślubi; żył w tym samym co ja świecie, mógł i chciał w nim zająć stanowisko... — Nie przerywaj! — mówiła dalej, widząc, że Ola chciała jakąś wtrącić uwagę — nie przerywaj! Wiem z góry, co mi powiesz, że można zerwać z tem wszystkim dla szczęścia! A ja ci na to odpowiem: Nie mam siły! W tem jest właśnie moje nieszczęście. Zbudziłaś we mnie rozwagę, ale wola została zawsze słabą, jak była. Potargać tych pęt, jakie mię kępują, nie zdołam, wyzbyć się moich przyzwyczajęń, wyrzec się świetności, zbytku nie potrafię, a dzięki tobie, czuję całą nędzę tego życia, oceniam krytycznie i siebie i innych. I oto dziś, mając

być wkrótce, mogąc być kiedy zechcę, wspaniałą księżną de Sarthes,
której szare
tłumy zazdrościć będą, rozprawiam, jak profesor, i czuję się bardzo
nieszczęśliwą!

Znowu upadła na otomanę i ukryła twarz w dłonie. Drżała ze
wzruszenia, które
pierś jej podnosiło tłumionem łkaniem.

Ola przysunęła się do niej i objęła ją ramieniem.

— Reniu — przemówiła — jesteś dziś niezwykle wzburzona. Coś
zajść musiało, o
czem mi nie mówisz.

Irena głowę podniosła.

— Nic nowego nie zaszło! — odparła. — Tak samo dziś, jak wczoraj
śmiałam się i
kokietowałam bezmyślnie, to samo czynić będę jutro. I tak samo czuć
będę pogardę
dla siebie i dla innych.

— Czy dla wszystkich, bez wyjątku? — spytała Ola z naciskiem.

Staneła przed Ireną, mierząc ją przenikliwym spojrzeniem.

Wzrok ten musiał mieć niezwykłą siłę, bo Irena tak szybka w
odpowiedzi, tym

razem zamilkła. Zwolna podnosiła się z otomany i patrząc również
przenikliwie na

Ołę, powstała.

— Czy dla wszystkich? — powtórzyła bezdźwięcznie, jak echo.

I nagle, energicznym ruchem głowy, odrzucając z czoła złociste
pasma włosów,

zawołała:

— Nie!... Jest jeden człowiek, którym nie pogardzam...

— Którego kochasz!... — dokończyła Ola niemal szeptem.

Słowa te wyszły z jej piersi zdławione, syczące a odbiły się w głębi
duszy

Ireny.

Spotkały się ich spojrzenia.

W ciszy, jaka po tych słowach zaległa, słychać było przyspieszone oddechy, tłumiące wyrazy w piersi. W tej chwili tajemnica serc tych dwóch kobiet stanęła jasno przed ich oczyma, wzajemnie oddawna odgadnięta, chociaż ciągle na dno duszy spychana, napróżno! Stały tak chwilę naprzeciw siebie, nie zdolne słowa przemówić. Pierwsza Ola odzyskała przytomność. Ujęła Irenę za ręce i zawsze szeptem spytała: — Czy dasz mu szczęście?...

Panna de Larjeac wzdrygnęła się całym ciałem jakby ją przeniknęła iskra elektryczna. — Komu? komu?:... — powtarzała bezwiednie, wodząc dokoła osłupiałym wzrokiem. I nagle, jakby się zawstydzila tej mimowolnej hipokryzy: — Ależ ja nigdy nie wyjdę za niego! — krzyknęła z rozpaczą — nigdy! Odtrąciwszy niemal brutalnie rękę Oli, zaczęła żywo chodzić po pokoju. Na zbladłą przed chwilą twarz jej wybiegły gorączkowe rumieńce, oczy ciskały płomień, usta drżały, a od czasu do czasu przebiegał po nich uśmiech pełen goryczy, czy sarkazmu. Ola, nie spuszczać z niej oka, usiadła i zatoneła w myślach. W duszy jej ciężka toczyła się wałka. Niebawem wszakże rozstrzygniętą została. — Dlaczego mówisz: nigdy? — ozwała się po chwili łagodnie. — Kochasz go, kochasz Zygmunta, a w tej miłości ja na twoim miejscu widziałabym cel i szczęście życia...

Irena ironicznie się zaśmiała. Stała na środku pokoju, przed zwierciadłem, prostowała swą postać i przypatrywała się jej z zajęciem. Potrząsnęła złotowłosą główką, — Nie jestem ładna — rzekła, jakby sama do siebie — a jednak jest we mnie siła, która pociąga. Wiem, że ta siła i jego chwilami ujarzmiła, ale on się przeciw niej buntuje, on mną pogardza! Dziś byłabym mu powiedziała wszystko, co czuję, — uciekł przedemną!...

Ola poruszyła się żywo; po jej twarzy przemknął błysk zadowolenia, lecz wnet zniknął. Irena zaś mówiła dalej z coraz większym zapałem: — I dobrze uczynił! Kocha mnie... wiem o tem. Gdybym tylko chciała, szalałby za mną, chociaż widzi, że żem zalotna, lekkomyślna, drwiąca z siebie i innych, chociaż wie i czuje, iż żoną jego nigdy nie będę, bo się dla jego miłości nie zdołam wyrzec dotychczasowego życia, bo się nie potrafię nałamać do jego powagi, przejąć się jego myślą, żyć jego życiem, bo żywiołem moim, to, śmiech, to szal, to ciągła nicość myśli i uczucia! Do głębi wzruszona, cała drżąca, podbiegła szybko do Oli, przysiadła na ziemi i twarz swą rozpłomienioną, na jej kolanach, w fałdach jej sukni ukryła. Zaległo milczenie. Ola patrzyła na nią długo, z dziwnym uczuciem litości i żalu. Czasem w jej oczach żywszy błysnął płomień. Wszakże ta kobieta, która się w tej chwili do niej tuliła, była jej rywalką, posiadała to, za co by ona życie swe

oddała, miłość Zygmunta, a nie umiała tego ocenić. Więc odepchnąć ją, wydać jej walkę, stanąć do współzawodnictwa? I znowu myśl o stanowisku swem i szczęściu Zygmunta przychodziła uśmierzać tamte uczucia. Ręka Oli spoczęła na głowie Ireny i gładziła zwolna, złote jej włosy. Pod wpływem tej pieśczoży Irena, jak popsute dziecko uspokajać się poczęła. Nie wstając z ziemi zwróciła się twarzą ku Oli i wycią-

gnęła się rozkosznie, podnosząc w górę pełne blasku oczy. — O, tak — szepnęła, kończąc głośno myśl rozpoczęta — ja go kocham, bardzo kocham! Niepostrzeżenie Ola drgnęła. — Więc mu daj szczęście! — przemówiła po chwili głosem cichym, stłumionym — takie szczęście, na jakie zasługuje. Jeśli go kochasz to ci nie będzie trudno myśleć jego myślą, patrzeć na świat jego oczami, postępować tak, jak on tego pragnie. Głos Oli brzmiał łagodnie, spokojny, miarowy. Irena niezmienniejąc pozycyi, zdawała się nie słyszeć treści, lecz upajała się bezwiednie harmonijnem brzmieniem głosu, które uśmierzało burzę, jaka w niej wrzała. Brzmienie to, wraz z łagodną pieśczożą ciepłej dłoni Oli, napełniało ją dziwną słodyczą. — Kocham! — szepnęła znowu i w upojeniu wyciągała ramiona. Cała jej postać wyginała się miękko; twarz miała wyraz zachwyty, różowe, delikatne nozdrza

poruszały się gwałtownie.

A Ola mówiła ciągle z coraz większym przejęciem się i siłą. Wszak to chodziło o

szczęście Zygmunta, które niewątpliwie było w rękach tej niebezpiecznej

kusicielki, zdolnej dla chwilowego kaprysu podeptać jego i swoje własne uczucie.

Należało z chwili korzystać i przedstawić jej może po raz już ostatni, obowiązki, jakie to uczucie na nią wkładało.

— Kochasz go — mówiła Ola — i jesteś wzajemnie kochaną, więc się nie wahaj! Nic

ci tego szczęścia nie zastąpi, chociażbyś zostając żoną Zygmunta musiała

pewne w życiu twem światowem ponieść ofiary; przyjdą ci one lekko.

Zostań jego

żoną! Ale przedtem zastanów się, że to umysł głęboki i bogaty, do którego całą

siłą woli podnosić się i jego wymaganiom odpowiadać, będzie twoim pierwszym

obowiązkiem.

Głos Oli tracił teraz tłumione, pieszczotliwe brzmienie, stawał się stanowczym i

silnym, a w miarę tego otrzeźwiał Irenę z pierwszego wrażenia.

Panna de Larjeac podniosła się i słuchając z coraz większym zajęciem słów Oli,

rzucała spojrzenia na jej twarz bardzo poważną i niezwykle w tej chwili bladą.

Jakaś myśl drażniąca zaczęła poruszać duszę Ireny. Z twarzy Oli nie spuszczała

wzroku.

A Ola wyęczała wszystkie siły, aby z należytym spokojem wypowiedzieć to

wszystko, co uznawała za konieczne. Każde słowo, które wymawiała, raniło ją

boleśnie, serce jej się ścisnęło okrutnym bólem, ale postanowiła
wytrzymać do
końca. Chwilami głos łamał się w jej piersi, lecz wówczas myśl: To
dla jego
szczęścia! — przychodziła z pomocą i dodawała otuchy.
Nagle silne, dźwięczne brzmienie słów Oli, przerwał ostry jak sztylet
ton
szyderskiego śmiechu Ireny.
— Ach, jak ty ślicznie rozumiesz! — zawołała panna de Larjeac, z
widoczną
afektacją czułości obejmując ramieniem Olę.
Jak iskrą elektryczną tknięta, Ola wstała. Silnym łukiem zarysowane
brwi
ściągnęły się na schmurzonym czole; z oczu padały iskry; usta drżały,
milczące.
— Wiesz? — mówiła dalej Irena, zupełnie innym

od poprzedniego, zwykłym swym, pełnym pustoty tonem — wiesz, co
mi przyszło na
myśl, słuchając twoich bardzo mądrych i bardzo głębokich
wywodów?
Odstąpiła od Oli i wykręciwszy się zgrabnym ruchem na pięcie,
stała przed
zwierciadłem, poprawiając zburzone włosy nad czołem.
— Oto — mówiła dalej po chwili — przyszło mi na myśl, że kobieta,
która tak
rozważnie wszystko jak ty ocenia, nie może, nie powinna poświęcać
się
artystycznej karierze. Artystka, tak mi się przynajmniej zdaje, żyje
uniesieniem
chwili, pragnie coraz to nowych wrażeń, a ty?
Zwróciła się nagle do Oli i mierzając ją wzrokiem, mieniącym się
fosforycznie:
— Ty — dodała — zastanawiasz się tylko nad tem, w jaki sposób
uczynić
szczęśliwym Zygmunta!

Powiedziała to, śmiejąc się, ale szyderski akcent głosu trafił Olę w samo serce.

— Ty — mówiła dalej panna de Larjeac, przysusuwając się ku Oli i głosem tłumionym, ale z coraz większym naciskiem wymawiając słowa — ty zbadałaś wszystkie tajniki jego duszy, wszystkie wymagania jego bogatego umysłu i żądasz odemnie, abym ja wzięła na siebie obowiązek, podczas gdy ty weźmiesz...

— Reniu! — krzyknęła Ola. Mówić więcej nie mogła, ale krzyk ten nagły, rozpaczliwy, nie pozwolił Irenie dopowiedzieć słowa, które drżało na jej ustach. Przez chwilę stały naprzeciw siebie blade, drżące, mierząc się roziskrzonym spojrzeniem.

— Cha! cha! cha! — zabrzmiał znowu ostry śmiech Ireny — szaleństwo! Ktoś, patrząc na nas w tej chwili, mógłby na seryo pomyśleć, że my, jak romansowe rywalki, gotowe jesteśmy walkę stoczyć o człowieka, który o nas obu może nie myśli. Gdy tymczasem wszystko pójdzie zwykłym trybem Ja będę księżną de Sarthes, ty, śpiewaczką, a on — sekretarzem mego męża! cha! cha! cha! Bez tchu w piersi, z oczyma sztywnie utkwionymi przed siebie, stała Ola, smagana tem szyderstwem. Czowała, że za chwilę, z głębi jej duszy wypłynąć mogą słowa, których już nic potem zatrzeć, ani cofnąć nie zdoła. Całą siłę woli tłumiała krzyk, który się z piersi dobywał:

— Tak! odgadłaś tajemnicę mego serca. Kocham go, kocham nad życie i godniej od ciebie odpowiem tej miłości. Ja mu dam szczęście, podczas gdy ty niepokojem mącisz jego umysł, burzą zawichrasz duszę, pragnącą harmonii i ładu. Ja mu będę dźwignią i oparciem, a ty chcesz pognać go i zniszczyć rozstrojem. Sto razy wybiegały te słowa na usta Oli i tyleż razy spadały kamieniem w głąb duszy, stłumione przekonaniem o jej niemocy, nicości i nędzy.

— Cóż ja znaczę? — myślała — wobec tej kobiety, która ma wszystko, aby go pociągnąć: świetność pochodzenia, majątek, urodę i więcej jeszcze, bo jego uczucie.

— Ainsi va le monde! moja droga! — szydziła dalej

Irena. — Porządku świata nie zmienimy. Ja w nim żyję i codziennie patrzę na cudowne rzeczy. Oswoiłam się już z nimi i lepsza od innych być nie chcę, ani się gorzej bawić. Rozmowa nasza dzisiejsza do reszty otworzyła mi oczy. Jeszcze nie dawno mówiłam mu naiwnie: Ocal mnie! A on uciekł. Ty zaś rezonowaniem swoim dokonałaś reszty. Pojmuję teraz wszystko. Plan wyborczy. Mam zostać panią Czarnoszyńską tout court, aby być zdradzaną dla artystki. Otóż nie! Wolę być księżną de Sarthes i zdradzać sama.. cha, cha, cha! Śmiała się idąc ku drzwiom, które się w tej chwili otwarły i na progu stanęła pani Stefania.

— Reniu, już bardzo późno — przemówiła pani de Larjeac, — pamiętaj, że jutro mamy mnóstwo wizyt, trzeba ci być wypoczętą i świeżo wyglądać

Dobranoc ci —

dodała wyciągając rękę ku Oli, która zawsze na tem samem miejscu,
jak

skamieniała wsłuchiwała się jeszcze w ostatnie brzmienie śmiechu
Ireny.

Pojawienie się pani Stefanii spłoszyło śmiech Ireny i przyprowadziło
wkrótce Olę
do przytomności.

Krokiem sztywnym zbliżyła się do pani de Larjeac i pochyliła się do
jej ręki.

Hrabina uścisnęła ją serdecznie.

— Idź już spać, moje dziecko! — przemówiła z czułością, która
odbiła się w jej
sercu, — a bądź dobrej myśli. Mówiłam dziś z p. Pasdeloup o tobie.
Zachwycił się
twoim głosem i talentem. Ale to już jutro ci opowiem

— O, i ja jutro będę miała z panią bardzo dużo do pomówienia —
przerwała Ola

głosem zdławionym. Mówiąc to, podniosła głowę i po za panią de
Larjeac, w głębi,

w cieniu korytarza, ujrzała bladą twarz hr. Jakóba, który i tu
towarzyszył

macosze. Oczy jego jasno - błękitne, w Olę utkwione, rzucały płowe
błyski.

Wzdrygnęła się. Nie słyszała już odpowiedzi pani Stefanii, która,
ująwszy córkę

za rękę, wychodziła z pokoju.

Wyszły. Przez drzwi uchylone, raz jeszcze błysnęły oczy hr. Jakóba.
Usta jego

poruszały się szeptem, niedosłyszalnym dla nikogo, zrozumiałym dla
Oli.

— Wszystko za miłość twoją! wszystko — prócz nazwiska i tytułu
żony!

Znikli nareszcie. Ścichły obelgi, wymówione głośno i wyrażone
spojrzeniem. Cisza

otoczyła Olę, klęcząca bezmownie przed wizerunkiem Chrystusa,
wyciągającego
miłosierne i zbawcze ramiona ku postaci, ginącej w toni morskiej.
Lampa skwiercząc, gasła. Chwilami tylko dobywały się jeszcze
jaskrawe płomyki i
wnet nikły; coraz większe cienie, jak ruchome plamy, pełzały po
ścianach,
ogarniały pokój, Ola przyczołgała się do łóżka i nie wstając z ziemi,
wsparała
znużoną głowę na jego krawędzi. I nagle, jak w dalekiem odbiciu,
przypomniała
się jej chwila, gdy w brudnej, gasnącym kagankiem chwilami
rozjaśnianej izbie

karczmy oksanińskiej, tuliła się w objęciach konającej matki...
Tylko w jej sercu nie było już dawnej dziecinnej ufności, i sen nie
przybywał na
znużone powieki. Łzy gorzkie, palące cisnęły się do oczu z głębi
zrozpaczonej
duszy.

V.

Ainsi va le monde! powiedziała Irena. Wyrażenie to w
szczególniejszy sposób
utkwiło w pamięci Oli. Z brzmieniem szyderskiego jej głosu,
wymawiającego te
słowa, obudziła się nazajutrz, znużona, chora, siedząca na ziemi, z
głową opartą
o krawędź łóżka; obudziła się, gdy pierwsze świty ranne przedarły się
przez
zasłony okien do wnętrza pokoju i pierwszy świegot ptasząt w parku
Monceaux dał
się słyszeć wśród ciszy.

Nie sam frazes, który wiele już razy obił się o jej uszy, ale ton, z jakim był wymówiony, tak podziałał na nią. Czego słowa nie wyrażały zupełnie, to dopowiadał ruch, błysk oczu, uśmiech niemal cyniczny. Było to zaprzeczenie wszystkiemu, w co Ola dotychczas wierzyła, wszelkim zasadom, wszelkiej uczciwości ludzkiej. I to wszystko mówiła istota, do której uśmiechało się życie wszystkimi barwami tęczy, której los dał, co tylko dać mógł, aby jej oszczędzić walk i pokuszeń. A jednak ta kobieta odrzucała i deptała to wszystko. I żaliła się, że niema wolnego wyboru, że

drogą prostą, równą iść nie zdoła, bo nie zna i znać nie chce ograniczeń żadnych, ani żadnych poświęceń, bo pragnie żyć tak, jak inni, jak cały świat, ten świat, żyjących chwilą i blichtrzem, chociażby życie takie było występkiem! Ainsi va le monde! On depce wszystkie zasady, urąga cnocie, nie uznaje świętości. Kto zaś chce w tym świecie zająć jakiegokolwiek stanowisko, musi czynić jak większość, pod grozą szyderstwa i zapomnienia. To kłamstwo! — wydobywał się jakiś głos z głębi duszy Oli — tak mówią tylko niedołęzni i słabi, których prąd unosi, którzy nie umieją walczyć. — Ja chcę walczyć! — szepnęła Ola, — Żyłam dotychczas zamknięta w sobie, zamurowana w tym pałacu, jak w klasztorze, nieświadoma tego ruchu, który wre w koło mnie. Od dzisiaj stanę się na prawdę samodzielną, spojrzę w oczy temu

światu, którym mi grożą jak dziecku straszylem, a zobaczymy!
Wzmocniona tem postanowieniem, doczekawszy się południowej
godziny, poszła do
pokoju pani de Larjeac.

Zdziwiła się mocno pani Stefania, ujrawszy o niezwyklej porze
wchodzącą Olę.

Wybierała się w tej chwili do miasta. Powóz już czekał przed
pałacem.

— Przepraszam cię, moje dziecko — rzekła — ale teraz ani momentu
do stracenia
nie mam. Natychmiast wyjeżdżać muszę, przyrzekłam księżnie de
Sarthes...

— Przebacz pani — przerwała Ola — czasu nie zabiorę długo, kilka
słów
wystarczy.

Głos stanowczy, poważny a zimny, jakim te słowa były wymówione,
zastanowił panią
Stefanię.

Podniosła głowę i spojrzała na Olę, która stała przed nią widocznie
wzruszona;

twarz jej miała wyraz niezwyklej.

— Przyszłam — mówiła Ola spokojnie, ale zawsze stanowczo —
przyszłam podziękować

pani za wszystkie wyświadczone mi dobrodziejstwa, za jej dobroć dla
mnie

niewzruszoną, za jej prawdziwie macierzyńską opiekę. Dom pani dziś
jeszcze,

natychmiast, opuścić muszę.

Pani de Larjeac omal nie krzyknęła. Otworzyła usta i z niezmiernym
podziwem
patrzyła na nią.

— Co? co? — wyjąkała po chwili. — Zdało się jej, że źle słyszy.

— Opuścić mój dom? — powtórzyła — dlaczego? z jakiego powodu?

Kapelusz, który trzymała już w ręce, wypadł na ziemię. Hrabina
usiadła w fotelu

sztywnie, ze zdumieniem patrząc na Olę.
Ola pochyliła się jej do kolan i ujęła za rękę.
— Droga pani — mówiła z cicha, pieszczotliwie — chciałabym, aby
pani wiedziała,
co się w mem sercu dzieje, ile tam jest szczerzej wdzięczności i
przywiązania do
ciebie. Ale dłużej tu pozostać nie mogę, nie powinnam.
W pogodnem życiu pani de Larjeac te słowa Oli były niemałym
ciosem. Przywiązała
się ona serdecznie do sieroty, a spodziewała się doczekać tryumfów ze
swej
wychowanicy. Nazywała ją zupełnie szczerze

ozdobą swoich salonów i śmiejąc się, mówiła czasem, że pragnie być
impresaryem,
który tę gwiazdę wprowadzi na horyzont sztuki. Obecność Oli i jej
niepospolity
talent rozpraszały niejako i urozmaicały jednostajność światowego
życia w
pałacu; jednostajność, która żywą z usposobienia panią Stefanię nieraz
nużyła.
Z coraz większem przeto przerażeniem słuchała słów Oli, która
przysiadłszy u jej
kolan, patrzyła na nią z czułością swemi głębokimi, ciemnymi
oczyma i mówiła
głosem rzewnym, stłumionym:
— Nie mogę zostać — nie powinnam!
Pani de Larjeac pojąć tego nie była w stanie.
— Dlaczego? co się stało? — pytała niespokojnie, nerwowo
Ola chwilę milczała.
— Pragnęłabym — rzekła po chwili — abyś mi pani raczyła na słowo
uwierzyć, nie
pytając o wyraźne powody. Zna mię pani dość dobrze, aby wiedzieć,
że nie ulegam
kaprysom, przynajmniej dotychczas nie ulegałam.

— Ależ to chyba kaprys! — zawołała pani Stefania — którą tak
długo omawiania
rozdrażniać zaczęły — przecie źle ci u nas nie było. I cóż poczniesz
sama? bez
opieki?

Ola podniosła się i śmiało spojrzała przed siebie.

— Oddawna — rzekła stanowczo — pragnęłam rozpocząć sceniczną
pracę. Przez
zbyteczną może dobroć dla mnie, pani sprzeciwiałaś się temu, chciałaś
zapewne,
aby te początki były odrazu świetne; ja świetności odrazu nie mogę
wymagać.
Jeżeli talent mam

prawdziwy, wybije się on chociażby z podrzędnego stanowiska. Ale
pracę znaleźć
mogę i tyle środków, aby żyć. Zresztą, dzięki opiekunce mej, pannie
Malickiej,
posiadam mały kapitalik, który znowu, dzięki tobie pani, urósł dziś
znacznie,

bom go nadweręzać i korzystać z niego przez lat tyle nie
potrzebowała. To na

pierwszy początek wystarczy. Wyniosłszy się ztąd...

Pani de Larjeac w ręce klasnęła.

— Ależ ja na to nigdy, nigdy nie pozwolę! — przerwała. — To sensu
niema. Młoda,

piękna kobieta sama jedna w Paryż," to niepodobna!

Na usta Oli wybiegł uśmiech smutny.

— To jednak — odrzekła — stać się musi, to moje nieodwołalne
postanowienie.

Hrabina porwała się z miejsca. Stanowczość Oli oburzyła ją do
żywego. W słowach

dość ostrych, które jej podrażnione uczucie i żywość usposobienia
dyktowały,

zaczęła czynić Oli wymówki, pomawiając ją, o dziwactwo, kaprysy,
nawet o

niewdzięczność.

Ola stała, nie mówiąc nic, nie odpowiadając ani słowa. Gwałtowność, z jaką

mówiła pani Stefania, umacniała ją tylko w postanowieniu, wymówki bolały i

rozdrażniały, ale poczucie obowiązków względem osoby, która tyle jej dawała

dowodów przywiązania i dobroci, zamykało usta i nie dozwalało wybuchnąć

odpowiedzią na czynione zarzuty.

Wkrótce jednak gniew pani Stefanii słabnąć począł Spojrzała parę razy na

milczącą Olę i rzewność przeniknęła dobre jej serce.

Przystąpiła, nagle do niej i ujęła w objęcia.

— Co tobie jest, biedne dziecko? — przemówiła. Ola walczyła ze wzruszeniem. Łzy

ją dławily,

ale całą siłą woli starała się zapanować nad sobą. Odpowiedziawszy na uściski

pani Stefanii, wydobyła się z jej objęć.

— Droga pani moja! — przemówiła — dzieckiem już nie jestem, mam lat podobno

dwadzieścia sześć i moga, powinnam odpowiadać za siebie. Korzystać dłużej z twej

dobroci dla mnie i gościnności, gdy mogę iść o własnych siłach, byłoby rzeczą

niegodną.

— Czynisz mnie i Reni największą krzywdę! — zawołała pani Stefania.

Na wspomnienie Ireny, silnym łukiem zarysowane brwi Oli, ściągnęły się chmurnie.

Cała tkliwość, jaka przed chwilą opanowywać ją poczęła, ustąpiła miejsca uczuciu

gorzkości.

— O, panna Irena — ozwała się głosem, któremu żal głęboki nadawał akcent odrębny

— panna Irena nie potrzebuje mnie wcale... Nadto różniłyśmy się zawsze w uczuciach i poglądach, aby...

Pani Stefania poruszyła się żywo.

— A, już wiem! — zawołała — to pewno z Renią jakieś nieporozumienie. Muszę ją zwołać.

Chciała zadzwonić, lecz Ola powstrzymała ją energicznym ruchem.

— Zapewniam panią — rzekła — że między mną a panną Ireną żadne teraz

nieporozumienie nie zaszło i że nie ona jest głównym powodem...

— A więc kto? — przerwała pani de Larjeac. —

Nie mogę przypuścić, abyś dla kaprysu chciała mi wyrządzić taką przykrość, a

siebie bez żadnej potrzeby narażać...

Nie dokończyła.

W tejże chwili drzwi się otwarły i na progu strojna, uśmiechnięta, w kapeluszu

na głowie stanęła Irena.

Bystrem spojrzeniem objęła całą sytuację i jakby się domyśliła, o co chodziło,

spojrzenie to zatrzymała dłużej na Oli. W miarę, jak patrzyła, sarkastyczny

uśmiech coraz widoczniej występował na jej wydatne, bardzo różowe usta.

— Czekam, mamó — rzekła — księżna niecierpliwić się będzie.

Pani Stefania szybko postąpiła ku niej.

— Dobrze, żeś przyszła! — zawołała. — Nie wyobrazisz sobie, co za zmartwienie.

Ola chce nas opuścić!

— A, a, a! — wykrzyknęła Irena.

W tonie była ironia, bez zadziwienia.

— Przypuszczam — mówiła dalej pani de Larjeac — że może między wami zaszła jakaś sprzeczka, która jest tego powodem.

Irena miała mimowolny, ale wymowny ruch ramion, bardzo pogardliwy. Rzuciła głową i spojrzała hardo.

— Między nami? — powtórzyła — a to dobre! Nie dodała nic więcej. Ale w akcencie tych słów, w nacisku, położonym na wyraz: "nami," w całym wyrazie dumnej postawy, było coś takiego, co do żywego

dotknęło Olę. Przypomniało się jej to samo uczucie głębokiego upokorzenia, jakiego doznawała w dzieciństwie, gdy Jurek wołał na nią: znajda! Uczucie to dziś było jeszcze znacznie głębsze i bardziej dotkliwe. Krew uderzyła jej do głowy, na twarz wybiegły silne rumieńce.

Szybko zbliżyła się do pani de Larjeac.

— Pani hrabino! — przemówiła głośno i stanowczo — między mną a córką pani

żadnego nieporozumienia być nie może. Zanadto wielka nas oddziela przepaść,

nadto wielka różnica pozycji. Nie badaj pani dłużej powodów. Chciej przyjąć z

głębi serca mego płynące podziękowanie i...

— Ależ ja wiedzieć muszę! — zawołała pani Stefania, tracąc głowę w silnym

wzburzeniu — ją ciebie tak opuścić nie mogę!

Irena, poprawiając przed zwierciadłem kapelusz na głowie, spoglądała ciągle na

Olę, uśmiechając się szydersko.

Serdeczność matki dla Oli widocznie ją rozdrażniała. Nuciała pod nosem jakąś

piosenkę i uśmiechała się ciągle, patrząc to na Olę, to w zwierciadło na siebie,

strojną i ponętą.

— Ja wiedzieć muszę! — powtarzała pani Stefania, cisnąc Olę za rękę.

— Mama chce wiedzieć! — nagle rzuciła Irena, nie zmieniając pozycji — to ja mamie powiem! Panna Ola... Oksanińska zamierza teraz rozpocząć życie prawdziwie artystyczne. A ponieważ w domu naszym nie może mieć należytej swobody, więc chce się wydo-

stać Są pewni filozofowie" którzy lubią śpiew i pewne śpiewaczki, które bez

filozofów obejść się nie mogą!

cha, cha, cha!

Błada, z zaciśniętymi wargami, z rozszerzoną źrenicą, dysząc gwałtownie,

patrzyła na nią Ola, niezdolna słowa przemówić.

Każdy wyraz Ireny smagał ją krwawym szyderstwem. Nieprzemierzona jakaś siła

popychała ją ku niej. Mimowolnie posuwała się całą postacią ku Irenie, która

także zwróciła się w tę stronę i odstąpiwszy nieco od zwierciadła, wyzywającym

wzrokiem, pełnym dumy i zuchwalstwa, mierzyła Olę.

Pani Stefania, zdumiona, przerażona, czując instynktem burzę, jaka wrzała w

duszach tych dwóch istot, napróżno usiłowała znaleźć słowo, któreby wybuch tej

burzy zażegnać mogło.

— Reniu! Olu! — szeptała.

— Niegodne kłamstwo! — krzyknęła nagle Ola — niegodne kłamstwo! Teraz winnam

pani całą prawdę — dodała, zwracając się do hrabiny — i powiem ją bez ogródki.

Chcę opuścić dom ten; pomimo mej głębokiej dla pani wdzięczności, muszę go

opuścić, aby nie patrzeć na niecną igraszkę, jaką czyni córka pani z uczuciem

człowieka, który zasługuje na miłość prawdziwą; aby z drugiej strony nie słyszeć

oświadczeń, jakie mi od pewnego czasu ośmiela się wypowiadać hr.

Jakób de

Larjeac!...

— Ośmiela się! — szyderczo podchwyciła Irena — w tym wypadku nie wiem, kto jest

bardziej śmiałym, czy ten, który mówi, czy ta, która słucha.

Spojrzenie, roziskrzzone oburzeniem, a pogardy pełne, było odpowiedzią Oli na te słowa.

Szybko podbiegła do pani Stefanii i chwytając jej rękę:

— Widzisz pani teraz — rzekła zdławionym głosem — nie mogę, nie powinnam tu zostać!

Ale pani de Larjeac przychodziła teraz do przytomności. Nawykła do uniesień

Ireny i sama do nich skłonna, nie przypisywała zbyt wielkiego znaczenia słowom w

rozdrażnieniu wypowiedzianym. To zaś, co Olga z takim oburzeniem mówiła o hr.

Jakóbie, to nawet pewien uśmiech pobłażliwy wywołało na jej usta.

O skłonności pasierba swego dla pięknej sieroty wiedziała ona dobrze i wcale się

tem nie trwożąc, była nawet po części z tego zadowolona. "Biedny"

Jakób — jak go

stale nazywała — raz przecie wyszedł z przerażającej apaty, uczucie to działało

na niego niezmiernie zbawiennie, ozywiał się widocznie i stawał się do innych ludzi podobnym. Oli zaś to chyba nic szkodzić nie mogło, przeciwnie. Przecież hr. de Larjeac takiej Oli Oksanińskiej w pobłażliwej opinii Paryża skompromitować nie mógł; owszem, mógł ułatwić stanowisko i rozgłos przyszłej artystce, skoro Ola sama koniecznie nią być pragnęła. Nie chcąc zresztą przypuszczać nic złego i nie pozwalając swej myśli, dość lekkiej, dochodzić do konsekwencji, któreby ja przeraziły, pani Stefania, oswojona z pewnemi wrażeniami, jakich życie w wielkiem mieście codziennie dostarcza, nie brała rzeczy tak bar-

tragicznie i na słowa Oli odpowiedziała z uśmiechem:

— Przeciwnie, moje dziecko, sprzeciwiam się temu stanowczo, abyś popełniała szaleństwo. Renia jest popsutem stworzeniem, ale za chwilę, jestem pewna, będzie żałowała uniesienia i nierozważnych słów swoich. Co się zaś tyczy biednego Jakóba, to chyba nie możesz przypuścić, aby on chciał ci ubliżyć. Ola zaśmiała się gorzko.

— Mnie chyba nikt ubliżyć nie może — wtrąciła.

Pani de Larjeac mimo wolnie wzruszyła ramionami. Po twarzy jej przemknął uśmiech, bardzo nieznaczny, który wszakże nie uszedł uwagi Oli i odbił się w jej sercu.

— Bierzesz to nadto tragicznie — ozwała się po chwili — Jakób był dotąd zupełnie

obojętny na wszelkie wrażenia; mogłabyś być dumną, że twoja uroda i talent
zdołały skruszyć jego dotychczas niewzruszone serce.
Gwałtownym ruchem Ola podniosła głowę i wyprostowała się całą postacią. W jej
duszy zabrzmiał w tej chwili wykrzyknik Ireny: Ainsi va le monde!
Niemał to samo
wypowiadały słowa pani Stefanii, jej ruchy i uśmiech. Hr. de Larjeac
raczył na
nią zwrócić uwagę, raczył ją darzyć swoim uczuciem i szczęśliwie
leczył się z
apatyi! Ona, Oksanińska Ola, powinna była nawet być dumną z tego i
przyczyniać
się o ile to być mogło do uzdrowienia dostojnego pacyenta.
Na myśl tę coś w jej duszy złamało się nagle; łzy,

które ja przedtem dławili, ścięły się jakby lodem i stężały pod
wpływem żalu,
gniewu, oburzenia.
— Pani hrabino — przemówiła przez zaciśnięte wargi, syczącym
głosem — a co byś
powiedziała na to, gdyby hr. de Larjeac ofiarował mi swoją rękę. i
gdybym ją
przyjęła?
Pani Stefania cofnęła się wstecz i po raz pierwszy, niemał z gniewem,
spojrzała
na Olę.
— Co? — krzyknęła.
— Intrygantka! — szepnęła Irena, dość głośno, aby to słowo doszło
do uszu Oli.
Słyszała ona je dobrze, ale nie odwróciła nawet głowy w tę stronę i
nie
odpowiedziała.
Uśmiech pełen żalu wybiegł tylko na jej usta.
— Bądź pani bez obawy — rzekła do hrabiny — nie przyjąłabym i nie
przyjmę nigdy

ręki p. de Larjeac, nie dlatego, abym się nie czuła jej godną, lecz że go
nie
kocham.

To mówiąc, wyszła z pokoju, pozostawiając panią Stefanię w
wielkiem pomieszaniu,
a Irenę śmiejącą się w rozdrażnieniu najwyższym.

VI.

Opuściwszy pospiesznie pałac pani de Larjeac, Zygmunt długi czas
błądził po
ulicach, oszołomiony, prawie bezprzytomny. Budziło go czasem
silniejsze
potrącenie spieszącego się przechodnia, albo głośniejszy krzyk
ulicznej
gawiedzi.

Była to wiosna. Noc ciepła a posepna. Wiatr gnał po niebie chmury,
przejrzyste
jak mgły. Deszcz nie padał, ale czuć było wilgoć, która ciężyla w
powietrzu, jak
ciężą, łązy niewyplakane na duszy człowieka. Na ulicach i trotuarach
nie wiedzieć
z kądem brało się błoto. W taki wieczór porywa czasem tłumy szalona
wesołość, na
przekor wszystkiemu, co jest smutne i szare.

To też na ulicach było ludno, gwarno, hałaśliwie, zwłaszcza w
dzielnicy
studenckiej, ku której zmierzał Zygmunt. Całe gromady studentów
szły środkiem
ulicy i trotuarami przez bulwar St. Michel do Café du Kocher lub
d'Harcourt, a
z tamtąd do znanej Cluserie des Lilies noszącej także miano ogrodu
Bullier lub
Prado.

Nawykli do tej wrzawy, spokojni, czasem dobrodusznie i pobłażliwie się
uśmiechający, przechadzali się wśród tego tłumu strażnicy miejscy,
otuleni w
długie płaszcze, nieprzeszkadzający zabawie, jakby zachowaniem się
swojem
chcieli być żywą ilustracją zdania: il faut que la jeunesse se passe!
Ustępowali
dyskretnie z drogi rozbawionym tłumom, dając tem przykład fiakrom
i powozom,
które również zdawały się unikać spotkania ze studenckimi
gromadami, a
wjechawszy przypadkiem w tłum, zwalniały kroku, starając się tą
powolnością
zaskarbić sobie wyjątkowe względy i uniknąć swawolnej zaczepki.
A tłum płynął dalej niewstrzymany, wśród śmiechów i żartów.
Otoczył Zygmunta i pociągnął go za sobą.
Z mroków ulicznych, z mgły, która go dławiała, oszołomiony wrzawą,
wepchnięty
został do wnętrza kawiarni du Rocher.
Olbrzymia sala rzęście oświetlona była mnóstwem płomyków
gazowych,
odbijających się jaskrawo w ściennych ogromnych zwierciadłach, a
zapełniona
okrągłymi stolikami marmurowymi, krzesłami i kanapkami, obitemi
pąsowym
aksamitem
Mc zwyklejszego nad to wnętrze, dotychczas puste i ciche, a nagle
zapełnione
ludźmi i nieopisaną, wrzawą. Kilkunastu garsonów w czarnych
frakach i białych,
długich fartuchach, którzy dotąd poważni, zamyśleni, przechadzali się
melancholijnie wśród stolików i ciszy, wprawionych zostało w ruch
gorączkowy.
Zewsząd równocześnie ozwały się wołania, krzyki,

rozkazy, brzęk szklanek, kieliszków, dzwonek, poruszanych niecierpliwą ręką. A nad tą wrzawą, silniejszy od niej jeden wielki wybuch śmiechu. Przy stolikach usiadały pary, po jednej lub po kilka razem, studenci i "studentki," wszyscy rozbawieni, weseli, niepomiernie jutro, zadowoleni z chwili.

Wszystkie twarze promieniejące radością, wszystkie usta otwarte śmiechem lub

wesołym żartem, oczy szaleńczo błyszczące.

Zygmunta olśniło u wejścia jaskrawe światło płomyków gazowych i ogłuszyła

wrzawa. Popchnięty przez tłum, znalazł się nagle u stóp wysokiej skały, która ze

sztucznie ułożonych kamieni wznosi się na środku sali. Ze szczytu tej skały,

nadającej nazwę kawiarni, wytryska fontanna, zlewająca swe wody po omszonych

kamieniach do wielkiego rezerwoaru u spodu, gdzie pływają setki rybek

złocistych; fontanna, która wiecznie jednostajnie szemrze, wśród śmiechów,

zgiełku i gwaru.

Oprzytomniał Zygmunt i wydostawszy się z ciżby, zajął mały stolik w samym kącie

sali, najciemniejszym. Chciał się ukryć, a jednak odrazu zwrócił ogólną uwagę,

był bowiem sam jeden i obcy, gdy tu wszyscy byli sobie znani i mieli towarzyszek.

Pokazywano go sobie palcami, ruchem głowy, szeptało się i śmiano się.

Długo czekał zanim jeden z garsonów z dość lekceważącą miną podszedł do niego,

zapytując o polecenie, a potem z większym jeszcze lekceważeniem podał mu

zamówioną kawę czarną i kieliszek koniaku.

Zygmunt pić nie myślał, kawa stygła, a kieliszek stał nietknięty.
Podparłszy
głowę na rękę, zamyślił się posepnie, rzucając od czasu do czasu
obojętne
spojrzenie na weselącą się gromadę studentów.
W pierwszych czasach swego pobytu w Paryżu brał on nieraz udział
w studenckich
zabawach. Bywał często w kawiarni d'Harcourt, położonej na placu
Sorbonny, znał i
ogród Bullier. Wówczas unosiła go jeszcze czasem gorączka
młodości, ów
nieokiełznany, pusty szal, który pozwala zapomnieć o jutrze.
Dziś, ta wrzawa, która go otaczała, ta wesołość, która dokoła siebie
widział,
nie pociągała go bynajmniej. Była mu raczej wstrętną; ci ludzie
wydawali mu się
zmysłów pozbawieni. W zgiełku zmieszanych głosów nie mógł się
dosłuchać ani
jednego rozsądnego zdania, wszystko płaskie i trywialne, zarówno jak
te twarze
rozradowane, czerwone od śmiechu.
— Bydlęta! — szepnął, wzruszając ramionami.
A jednak niejeden z tych, którzy w tej chwili bawili się bezmyślnie,
niejeden
pracował z wyteżeniem wszystkich sił, pracować będzie dalej
wytrwale i wywalczy
sobie stanowisko na swojej ziemi, wśród swoich.
A on? Co on tu znaczy w tym tłumie? Zgubiona jednostka wśród
obcego
społeczeństwa, liść oderwany z gałęzi i zaniesiony wichrem daleko,
na
zmarnowanie.
— Oni szczęśliwi! — pomyślał — bawią się, szaleją, głupi są może i
nieraz
występnii, ale mają wszystkie warunki, aby równowagę odzyskać, aby
się dźwignąć i
ocaleć. A ja?

Obciął wyjść z kawiarni; gwałtownym ruchem odtrącił stolik i
powstał, wstrzymała
go myśl, że będzie musiał przechodzić przez całą salę, przed oczami
tylu
ciekawych, rozbawionych, którzy drwić będą z jego smutku i
opuszczenia.

I został. Słuchał wrzawy głosów i śmiechów, która czasem rosła,
potężniała, to
znów cichła nagle. A wówczas dawał się słyszeć wyraźnie
jednostajny, miarowy,
stłumiony szmer fontanny, spływającej po omszonych kamieniach.

Wysłuchawszy się
dobrze w szmer ten, można go było odróżnić nawet wśród
największego hałasu; '
chwilami tłumiony, wydobywał się znowu, spokojny, zawsze jednaki,
nieustający.

Wrzawa zmiękła, a on trwał.

— To potęga umiarkowania i wytrwałości — pomyślał Zygmunt — to
siła, która

zdobywa jedyne szczęście w życiu — spokój. Zmilknie głośnie
wrzawa, niejeden
śmiej rozplynie się w łzy, niejeden żart wesoły w złorzeczenie się
zmieni, a

ten szmer cichy zostanie zawsze jednaki. W życiu najlepiej iść
pośrednią drogą,

a utraconego stanowiska nie starać się zdobywać środkami
sztucznymi.

Wyszedłszy z Jurpola, utraciwszy grunt pod nogami, należało szukać
pracy

praktycznej, wyrzec się przeszłości o tyle, by zrozumieć, że ciężka
teraźniejszość nigdy dalszym jej ciągiem być nie może, że zmienione
warunki

materyalnego bytu wymagają przeobrażenia wewnętrznej istoty, że
trzeba teraz

głównie pracować nad tem, aby się nauczyć czuć i myśleć inaczej.

A Zygmunt co uczynił? Rozpoczęte studia uniwersyteckie porzucił,
gospodarował, a
raczej przyglądał się melancholijnie gospodarstwu w Julinie, potem na
propozycję
ciotki przybył do Paryża, aby sztuczną egzystencję dalej prowadzić.
Karmił swój
umysł wysokimi studyami, marzył o naukowej karierze, o literackim
rozgłosie —
w jaki sposób? jakimi środkami? wśród jakiego społeczeństwa?
Należało się
otrząść z tych marzeń i wziąć się do praktycznej pracy. Miał słuszość
hr. de
Larjeac, gdy mu proponował posadę u księcia de Sarthes. To było
praktyczne i
chroniło go przynajmniej od niedostatku. Ale żeby skutecznie od
zmarnowania
ochronić mogło, należało przetworzyć wewnętrzną istotę, stłumić
pragnienia,
zadowalać się chwilą, bytem z dnia na dzień. Potrzeba było przestać
być owym
Czarnoszyńskim, synem i Romana, pana na Jurpolu, pełnym
społecznych przesadów, a
stać się wyrobnikiem, pracującym na chleb żadnego innego celu
niemającym przed
sobą. Iluż to ludzi, nawet z tych, którzy się weselili obok niego, mogło
mu
jeszcze pozazdrościć losu? Dlaczego on nie może czuć się
zadowolonym? dlaczego
tak go wychowano niepraktycznie, skoro mu majątku nie miano
zostawić?
Nie po raz pierwszy myśl ta, jak żądło gadzin ukłuła Zygmunta w
samo serce. Ile
razy pragnienie życia w nim się ozwało, lub ilekroć zniechęcony,
opuszczał ręce,
tyle razy żal jakiś dobywał się z głębi jego duszy, żal do tych, którzy
niebacznie stracili to, co

miało być jego własnością. Przypominał sobie niepraktyczność ojca,
nieporadność
matki i czuł żal.

— Zgubili mnie! — szeptał.

Wprawdzie myśl tę natychmiast tłumił przypomnieniem, że ci rodzice
gorzej może

niż on pokutowali w Julinie, skazani na niedostatek, opuszczeni w
starości,

tęskniący do tego syna, z którym się połączyć nie mogli. I ogarniało
go

rozzewnienie wielkie, które żal ów uśmierzało.

I teraz myśl jego pobiegła ku nim, rzewna, stęskniona. Mój Boże, ileż
to czasu

minęło, od kiedy ich nie widział, a jakie zaszło w nim przeobrażenie
wewnętrzne?

On chyba nie jest tym samym, który przed parą laty przybył na bruk
paryzki,

który przedtem jeszcze, ośmnastoletnim młodzieńcem, modlił się tak
rzewnie w

kościółce odeskim.

Przez jego umysł, przez duszę i serce ileż to przeszło w tych latach
rozmaitych

wrażeń i myśli! Gdzie się podziały dawne jego uczucia i wierzenia?

Schopenhauer

i Hartmann, Flaubert, Taine, Zola i innych mnóstwo, a w ich
oświeceniu, pod ich

wpływem własne doświadczenia i obserwacje, cóż to wszystko
uczyniło z jego wiary

młodzieńczej? Nie zostało z niej prawie ani śladu. Tam tylko, w głębi
duszy, coś

czasem tłukło się na kształt żalu za tem, co postradanem zostało na
zawsze.

— Doświadczenia! — myślał dalej — i to także złudzenie, jak
wszystko inne,

zależne od wrażenia chwili, od nastroju nerwów, od stanu umysłu.
Jeden i ten sam
wypadek dla dwóch ludzi nie jest tem samem do-

świadczeniem, inną im poda naukę: jednemu przyniesie pożytek, a
drugiemu szkodę,
jednego pognębi, a drugiego ocali! Złudzenie!
Jedno chyba złudzeniem nie jest... To rozkosz, schwyтана w lot, bez
iluzji, aby
mogła trwać długo, zdobyta i wysączona do dna.
Machinalnie ujął Zygmunt kieliszek koniaku, podniósł do ust i jakby
odpowiadając
obrazowo swej myśli, do kropli wychylił.
Zrobiło mu się cieplej, raźniej. Dalekie wspomnienia i gorzkie myśli
pierzchły,
a przed oczyma stanęły niedalekie i upajające. Zamigotały
fosforycznym blaskiem
zielonawe źrenice i zdało mu się, że słyszy szept namiętny,
wychodzący z ust
wydatnych, zmysłowych, o dolnej wardze przeciętej. Szept, który
samem brzmieniem
swojem więcej mówił mu niż słowa, szept, który wnikał w głąb jego
duszy, podczas
gdy spojrzenie całą krew burzyło.
— Ah, ça par exemple! voilà Sigi... toujours trute et bête! —
zabrzmiął jakiś
głosik wesoły.
I zanim Zygmunt opamiętać się zdołał, mała, zwinna, dość strojnie
ubrana postać
kobieca, usiadła tuż przy nim, przytuliła się do niego i oba ramiona
zarzuciła
mu na szyję.
Wzdrygnął się, obejrzał i zamiast zielonych, o których marzył,
zobaczył utkwione
w siebie z filuternym wyrazem małe, ruchliwe, czarne oczka znanej
sobie z

pierwszych czasów pobytu w Paryżu, Anetki, małej modystki,
wesołego usposobienia
a mocno czulego serca, która go przez parę miesięcy zaszczyciła

swoim afektem, nad podziw zresztą przez ten przeciąg czasu wiernym
i stałym.

I teraz przysiadłszy się, patrzyła na niego z wyraźnym zadowoleniem,
bez względu

na towarzysza swego, który stanął opodal, widocznie bardzo z tego
niekontent.

— Sigi, Sigi — szeptała, śmiejąc się i mizdrząc.

Zygmunt spojrział gniewnie, odsunął ją niemal brutalnie, powstał i,
rzuciwszy na

stolik zapłatę, porwał kapelusz i wybiegł z kawiarni.

— En voilà un qui n'ira pas loin! — zabrzmiał szyderczy głos
rozgniewanej

Anetki, przyjęty głośnym aplauzem i jeszcze głośniejszym śmiechem
wszystkich
obecnych.

Tej nocy Zygmunt wrócił do siebie niezwykle wzburzony. Myśli
cisnęły się nawałem

do głowy, a powiązać ich logicznie nie mógł. Plątały się bezładnie w
mózgu, jak

ptactwo burzą spłoszone.

Stał długo w otwartym oknie, pomimo chłodnej nocy, patrząc na
schmurzone niebo,

puste ulice, tonący w mrokach ogród Luxemburski i fantastycznie
rysujące się w

cieniach kopuły kościołów i dachy domów najeżone wysterczającymi
do góry,

wąskimi, blaszanymi kominkami.

Cisza wokół. Tylko czasem w oddali ozwie się krzyk stłumiony,
rozpaczliwy,

przeciągły, i zmilknie. Dalekie echo życia, walki, nędzy, a często
sromoty i

zbrodni.

O tej porze czuwają tylko albo praca beznadziejna, albo choroba,
rozpacz, szal
lub występki.

Wszystko, co spokojne, harmonijne, szczęśliwe, a przynajmniej
normalne, dawno w
uśpieniu, w spoczynku, wraz z całą przyrodą, która praw swych
odwiecznych bez
oporu słucha.
Przeciw nim buntuje się tylko człowiek, i najczęściej złamany, upada.
I on także czuł się złamanym. Równowaga jego myśli i ducha coraz
bardziej się
psuła. Młodzieńcze jego wierzenia zgasły, przyjęte naukowe teorie
nie przyniosły
spokoju.
Ale i teraz czuł on jeszcze, gdzie jest lekarstwo na rozstrój, jaki go
opanowywał. Z bezładu jego myśli wydobywał się czasem promień
jaśniejszy, z
głębi duszy podnosiły się dawne, niezapomniane, choć stłumione
prądy. Mimowolnie
dłonie składały się jak do modlitwy, a wzrok tonąc w cieniach nocy,
chciał
sięgnąć głębiej, poza chmurną doczesność, ku wszechpotężnemu
Stwórcy harmonii
wszechświata.
Sceptyczny uśmiech spłoszył z serca i ust modlitwę. Złudzenie!
wszystko
złudzenie! wszystko objawy siły bezwiednej, nieświadomej, która
tworzy, aby
niszczyć.
Pesymizm otoczył go szarym, nieprzebitym mrokiem. Rzucił się na
łóżko i usiłował
zasnąć. Drzemał, a myśli z niepokojem mrówek, których siedlisko
rozdeptano,
pracowały nieustannie. W rozgorączkowanym rozlicznymi
wrażeniami mózgu snuły się

jakieś mgliste obrazy, wśród których wysuwała się na plan pierwszy,
to nęcąca
uśmiechem zalotnym i błyszczącym spojrzeniem postać Ireny, to
znów Ola poważna,
pełna spo-

koju i tej stanowczości, którą daje świadomość celu życia. Chwilami
obrazy te
mieszały się z sobą chaotycznie, tworząc jakąś dziwną walkę,
niewypowiedziane
przeróżające, gwałtowną" jakąś zmore niekształtną, okropną. Cała
krew uderzała
do głowy, serce bić ustawało, i Zygmunt zrywał się z krzykiem. Sen
go morzył, a
lękał się usnąć; walczył z opanowywującą go niemocą i otwierał
szeroko powieki,
błądząc wzrokiem po ścianach pokoju, rozwidnionych błędem
światłem przyćmionej
lampy. Przypominały mu się pierwsze chwile po przybyciu do Paryża,
samotnie
spędzone w hotelowym pokoju i pierwsza noc wśród gorączkowych
marzeń, wywołanych
widokiem Ireny.
Och, ta kobieta! Pociągała go ku sobie niezwalczoną potęgą, kusząc,
jak szatan,
wszystkimi ponętami zmysłów. A gdyby pójść za tem pokuszeniem?
To byłoby
przecież szczęście! W tych nawet udręczeniach, na jakie narażała go
jej
zalotność i płochość, była rozkosz. A cóż dopiero, gdyby te ramiona,
jakby
dłutem artysty rzeźbione, otwarły się dla niego. Gdyby te oczy,
migocące
fosforycznym blaskiem, zwróciły się ku niemu wyłącznie; gdyby te
usta, których
pałący oddech czuł dzisiaj na sobie, wyszeptały tylko dla niego słowo

bezgranicznej miłości — to byłby szal, upojenie, całe życie w jednej chwili

zwarte!

Tak, życie całe za jedną taką chwilę! Szalony byt, że dotychczas odpychał to

szczęście. Powiedziała mu sama: ocal mię! a on uciekł, dlaczego?

Dlaczego

uciekał od niej przez cały czas swego pobytu w Paryżu, marnując najpiękniejsze

dni młodości? Szukał jakie-

gość celu w pracy, w studyach, które mu nic nie przyniosły i nic przynieść nie

moga, a uciekał od jedyne go szczęścia, które się ku niemu samo zbliżało.

Teraz postąpi inaczej. Posada u księcia de Sarthes oddali od niego troskę

materyalną; będzie mógł, jak tyłu innych, żyć na odpowiedniej stopie.

Stosunki

familijne jeszcze mu to bardziej ułatwią; trzeba tylko raz na zawsze zerwać z

bojaźliwością, skrupułami czy przesadną ambicyą, która go dotychczas krępowała i

oddalała od ludzi. Wejdzie w wir wielkiego świata śmiało, z

podniesionem czołem,

nadrabiając miną, aby go nikt spytać się nie poważył, z czego i jak żyje. Cóż

komu do tego? Iluż to ludzi z takimi samemi, a może i mniejszemi środkami, z

bardzo podejrzaną przeszłością, a jeszcze więcej podejrzanem nazwiskiem, zajęło

w tym świecie stanowiska tak silne, że już ich nikt z tamtąd nawet rugować nie

myślał. On, Czarnoszyński, krewny pani de Larjeac, może to tem łatwiej uczynić i

uczyni od jutra! Będzie odtąd nieodstępnym towarzyszem Ireny.
Powiedziała mu
przecież sama: zostań, ocal mnie! a dziś patrzyła na niego tak, jak
nigdy. Ocal
mnie, to znaczy: kochaj! daj miłość prawdziwą, oddal kłamane
uśmiechy i słowa,
nie odstępuj mnie, bądź co bądź, choćby cię cały świat chciał oddalić
odemnie.
Zostań! ocal mnie! Brzmienie stłumionego głosu Ireny kołysało go
rozkosznie.
Rozpierzchłe, niespokojne jego myśli skupiały się teraz w jeden punkt
promienny,
wokoło postaci Ireny.

Zamknął powieki, uśmiechał się do jej uśmiechu i usypiał w upojeniu.
Nagle na szarem tle zacierających się już w uspieniu obrazów,
zawidniała w
oddali wyniosła postać Oli. Była smutna, jak zwykle, patrzyła na
niego swemi
głębokimi, ciemnymi oczyma i zdawała się mówić: Nie w upojeniu
chwilowem, lecz
w wewnętrznem uspokojeniu jedyne szczęście. Zdobyć harmonię
myśli i uczuć, to
szczyt! Przyjdź do mnie, ufny, braterski, a znajdziesz pogodę ducha i
spokój w
pracy. Gdy odejdiesz, gdy się obłąkasz w daremnem poszukiwaniu
szczęścia, mnie
i siebie zgubisz!
I wśród ciszy zdawało się dochodzić dalekie, stłumione echo jej
śpiewu:

Quel ben, quel genio tu cercherai —
Nol troverai!

Coś na kształt wyrzutu szarpnęło duszą Zygmunta. Wszak miał
zbadać intencje hr.

Jakóba i w razie potrzeby stanąć w obronie spokoju i godności Oli, a nie uczynił nic!

Myśl przyszła i wnet zgasła. Echo głosu Oli cichło, wszystko bladło i zacierało

się w obezwładnionym umyśle. Zygmunt zasnął nad ranem snem kamiennym, bez marzeń.

Obudziło go silne szarpnięcie za ramię i głos donośny, wołający go po imieniu:

— Zigmuncie!

Zerwał się i usiadł na łóżku. Przed nim stał ro-

sły mężczyzna, silny, barczysty, z twarzą ogorzałą, o wąsie bujnym i patrzył na

niego byстрыm wzrokiem. Chwilę trwało milczenie. Zygmunt zbierał myśli, budził

się jeszcze, nagle krzyknął z wielką radością:

— Jurek!

I obie ręce podał przybyłemu.

We wzroku Zygmunta malowało się ogromne zdziwienie.

— Ty tutaj? — pytał, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego, co się stało — jakim

sposobem?

Sipajłło śmiał się.

— Ano, widzisz, przyjechałem szukać szczęścia w Paryżu, bo mi tam, w Humaniu,

było za ciasno. Wyciągnąłem starego Borskiego za nogi z piekła, a za to on mię

tu przywiózł, abym go bronił od diabła, którego się jedynie boi.

— Ale — dorzucił — wy tu chyba nie żyjecie świetnie. Ty zmizerniałeś, wychudłeś,

choć spisz jak kamień. Ledwie się ciebie dobudził, a to już prawie południe.

Przyjechałem nad ranem, obleciałem już pół Paryża.. pyszne miasto!

Z oczu Sipajły strzelały promienie radości, w słowach przebijała się
pewność
siebie, niewzruszona ufność, że raz się tu dostawszy, zdobędzie
wszystko, czego
pragnął: sławę i majątek!
Zygmunt pospiesznie się ubierał, a Jerzy chodząc po pokoju, mówił o
swoich
zamiarach na przyszłość.
— Długo tu siedzieć nie mogę, ale w krótkim

czasie muszę działać wiele. Przygotowałem się odpowiednio. Do
tutejszych powag
lekarskich mam listy polecające, między innymi świadectwo
Pirogowa, ale jakie?
Pirogowa przecie tu znają, chirurg europejskiej sławy, pisze o mnie,
że tak
bystrego poglądu, zimnej krwi, tak pewnej ręki jak moja, nie widział.
Niech mi
tu tylko działać pozwolą, niech uzyskam wstęp do klinik i prawo
operowania, a
wtedy zobaczymy! Mam przygotowany plan cały — za pół roku
najdalej, zobaczysz,
będą tu o mnie mówili.
Cały czas był tylko sobą zajęty i o tem wyłącznie mówił; dopiero
wygadawszy się,
jakby sobie nagle przypomniał:
— Ale, ale! — rzekł — od roku prawie nie korespondowaliśmy z sobą
wcale i nic
właściwie nie wiem, co się z tobą dzieje. Z ostatniego listu
zapamiętałem na
szczęście adres twego mieszkania. Wiem, żeś skończony filozof, że
piszesz uczone
traktaty, ale co ci to przynosi?
Zygmunt ręką machnął.
— Nie przynosi nic — odrzekł. Z filozofią też biorę rozbrat. W tych
dniach

obejmuję posadę sekretarza u księcia de Sarthes. Dziesięć tysięcy franków rocznej pensji.

— Phi! — mruknął Sipajłło. — Bardzo dobre na Humań — w Paryżu to chyba za mało, z twojemi przyzwyczajeniami zwłaszcza. No i co potem? Pytanie było drażliwe. Co potem? Sipajłło marzył o zdobyciu świata swoją wiedzą i rozgłosem, a do Czegoż dąży ten marny filozof, który z nauką rozbrat bie-

rze i przyjmuje sekretaryat u wielkiego pana, aby żyć z dnia na dzień? Intencye tego pytania odczuł dobrze Zygmunt. Odczuł dawną zawiść Jurka, który

zawsze nad nim chciał mieć wyższość, ale odpowiedział spokojnie: — Co potem? — nie wiem. O tyle filozofem jestem, aby dalekich nie układać

planów, których budowa zawsze krucha i niepewna.

— E... e... — zaśmiał się Sipajłło. — Czarnoszyńskiego filozofia znana — ożenisz

się bogato i kwestya życia rozstrzygnięta. Pewnie z owa kuzynką, o której mi

pisałeś dawniej, z hrabianką de Larjeac.

Zygmunt wzdrygnął się i zmięszał. Pomieszanie to usiłował pokryć swobodnym tonem.

— Pleciesz! — odparł — panna de Larjeac ma do wyboru pierwsze partye w Europie i

prawdopodobnie wyjdzie niebawem za mąż;

— Za kogo? — spytał z roztargnieniem Jerzy, którego ta kwestya nie wiele

obchodziła.

— Zapewne za księcia de Sarthes.

Zdawało się Zygmuntowi, że odpowiedział zupełnie naturalnym tonem, nie kładąc

żadnego nacisku na nazwisko prawdopodobnego przyszłego męża Ireny.

A jednak zwróciło ono odrazu uwagę Sipajłły.

— A... a... — zawołał — za księcia de Sarthes, którego ty będziesz sekretarzem.

— Sekretarzem administracji dóbr — poprawił Zygmunt.

— To wszystko jedno, zawsze u niego.

Przenikliwym wzrokiem patrzył Jurek na Zygmunta, a na jego ustach igrał uśmiech

szyderski. — No, no — mruczał — paryskie obyczaje, to także filozofia!

Czarnoszyński chmurzył się i bladł z wewnętrznego gniewu.

Pojawienie się

niespodziewane Jurka, które go zrazu mocno ucieszyło, było mu zapowiedzią

ciągłych teraz nieprzyjemności, ustawicznego drażnienia. Ten towarzysz jego lat

dziecinnych, znając jego naturę, umiał wynaleść zawsze najlepszy sposób

dokuczenia mu i najskrytszej jego myśli nie przebaczył, korzystając ze sposobności, aby ją na jaw wyprowadzić i osmagać szyderstwem.

Teraz odrazu

przeniknął sytuację i potrafił dotknąć najdrażliwszej struny, której nawet myśl

Zygmunta poruszyć jeszcze nie śmiała.

Nie odpowiedział nic; zbladłe wargi zaciskał, aby nie wybuchnąć.

Jerzy się zmiarkował. Widoczne wzburzenie Zygmunta dało mu wiele do myślenia;

było dowodem, że złośliwość jego trafiła dobrze, ale też przestrzegło go, iż tej

struny nie należało lekkomyślnie poruszać, by nie zadźwięczała zbyt głośno. Obcy

na paryskim gruncie, mógł potrzebować Zygmunta, więc na razie nie należało go

drażnić.

Zbliżył się i z dobrze udaną serdecznością ujął go w objęcia.
— Ale cóż znowu! — zawołał. — Zaraz się gneiwasz, gdy ja sobie żartuję, nie
znając zgoła sytuacji.

— Ale mnie znasz — przerwał Zygmunt jeszcze schmurzony — i
powinieneś
wiedzieć...

— Wiem! wierni — mówił Sipajłło, śmiejąc się — wiem, żeś
najzacniejszy i
najszlachetniejszy, który przedewszystkiem jednak — dodał,
odstępując od niego i
mierząc go wzrokiem — jest bardzo ładnym chłopcem...
Stali obaj naprzeciw dużego zwierciadła, które odbijało ich postacie.
Sipajłło, dużego wzrostu, bardzo szeroki w ramionach, w ruchach
nieco rubaszny i
zamaszysty i widocznie z umysłu nadający sobie pozory wielkiej siły
fizycznej,
miał twarz o rysach dość pospolitych, chociaż kształtnych. Był typem
przystojnego mężczyzny. Szpeciło go tylko czoło zbyt niskie,
zarośnięte twardym,
ciemnym włosiem, zawsze, jak w dzieciństwie, krótko
przystrzyżonym, a jeżącym się
niesfornie. Spojrzenie przenikliwe i bystre było zwykle zuchwałe,
czasem jednak,
w chwili zmieszania się lub trwogi, przybierało wyraz pokornej
obłudy, którą
zdradzał uśmiech przymuszony, nieszczerzy, często szyderski i błyski
płowe
tłumionego gniewu. W tych błyskach i w wyrazie ust o kątach
zaciśniętych
przebijał się nieubłagany upór, który, aby dojść do upatrzonogo celu,
druzgocze
wszelkie przeszkody i nie cofa się przed żadnym podstępem. Był
wyraz siły w tej

postaci, w wielkich rękach i olbrzymich stopach, ale siły brutalnej,
która
przeraza raczej, niż pociąga, a raz złamana, nie podnosi się więcej...
Zygmunt, niższy od Sipajłły wzrostem, szczupły,

w każdym poruszeniu wytworny i łagodny, w każdym słowie
delikatny i miękki,
tworzył z nim uderzający kontrast. Fizycznie wątpliwy, czynił od razu
wrażenie jakaś
dziwną siłą nerwów, które w nim drgały, czy też siłą myśli, która
przeładowała z
oczami niezwykle pięknych, głębokich, rozjaśniających się, gdy mówił,
ogniem
zapału i uczucia. Czoło miał wysokie i bardzo kształtne; włosy, w
dzieciństwie
jasne, a teraz zupełnie ściemniałe, bujne i o pięknym połysku, dość
długie,
układane były starannie, choć bez przesady. Ten brak przesady, obok
staranności,
przebijał się w całej jego postaci i stroju, który Sipajłlle wydał się
bardzo
wytwornym. Ujrzawszy siebie obok Zygmunta w odbiciu zwierciadła,
zawstydział się;
wyglądał brzydko, pospolicie. Pochwała powierzchowności Zygmunta
wyrwała mu się
mimowolnie; byłby ją zaraz z chęcią cofnął zwłaszcza, iż spostrzegł,
że sprawiła
ona pewne zadowolenie Czarnoszyńskiemu.
— Zarozumialec! — pomyślał — ale to nic; ja go prześcignę!
Przyjazd Jurka odwrócił nieco myśl Zygmunta od spraw, które go
trapiły. Pierwsze
nieporozumienia, pierwsze chwile sztywności rychło minęły i
rówieśnicy zbliżyli
się ku sobie wspomnieniami dzieciństwa i wspólnie spędzonych lat
szkolnych. Na

rozmowach długich i poufnych, na zwierzeniach i opowiadaniach trzy dni przeszły jak jedno mgnienie oka. W ciągu tego czasu Zygmunt nie miał ani jednej chwili wolnej, by zaglądnąć do pani de Larjeac; żył cały wspomnieniami przeszłości, którą mu uosabiał Jurek, a terażniejszość przy-

pomniała mu się dopiero wówczas, gdy na czwarty dzień po przyjeździe Sipajłły, musiał pójść do księcia de Sarthes, aby objąć ofiarowaną sobie posiadłość. Na jednej z pierwszorzędnych ulic ksiączę posiadał wspaniałą, olbrzymią pałac. Gmach frontowy mieścił sale recepcyjne i balowe, a w znacznej części zajęty był przez biura centralnej administracji dóbr księcia. Poza frontowym budynkiem był spory ogród, a w nim pysznie urządzona willa, w której mieszkał sam ksiączę. Tam się też naprzód udał Zygmunt. Ksiączę przyjął go bardzo uprzejmie. — Co się z panem dzieje? — zapytał przy powitaniu. — Pani de Larjeae była już o pana niespokojną, a przytem — dodał z pewnym naciskiem — te panie mają ci coś ważnego do powiedzenia... Chciał widocznie dalej mówić, ale nagle się wstrzymał. — Będiesz pan tam zapewne dziś lub jutro — dorzucił i wnet zmienił przedmiot rozmowy. — Hrabia Jakób — rzekł swobodnie, po chwili — zawiadomił mię, że jego pośrednictwo odniosło nareszcie pożądany skutek i że pan raczyłeś przyjąć moja

propozycję. Nad wyraz mię to cieszy. Wyrządzasz mi tem prawdziwą przysługę.

Polecenia już wydałem, a mój dyrektor, poczciwy, zacny Lafosse, wprowadzi pana w urządowanie, kiedy tylko zechcesz.

Tyle powiedziawszy o sprawie, księżę natychmiast znów odwrócił rozmowę, skierowując ją na stosunki to-

warzyskiego życia stolicy. Czynił wymówki Zygmuntowi, że nie bierze w niem udziału.

— Ale teraz musi być inaczej — dodał, ujmując Czarnoszyńskiego pod ramię i

przechadzając się z nim po pokoju — teraz, gdy będziemy tak do siebie zbliżeni

ja pana muszę trochę rozruszać. Niepodobna, abyś się tak zakopywał. Pozwolisz,

że jako o tyle starszy, a znający dobrze teren, będę twoim przewodnikiem.

Księżę mówił z serdeczną poufałością, która mimowolnie ujmowała; traktował

Zygmunta, nietylko jako sobie równego, ale jak przyjaciela, ani na chwilę nie

dając mu uczuć jego zależności.

Czarnoszyński nie mógł wyjść z podziwu. Ta uprzejmość księcia była zupełną dla

niego niespodzianką. Dotychczas w stosunkach ich wzajemnych panował pewien chłód

a nawet sztywność; jeszcze przed kilku dniami, owego pamiętnego wieczoru u pani

de Larjeac, gdy Zygmunt rozmawiał z Ireną, księżę przerwał tę rozmowę w sposób

ironiczny, a następnie dość lekceważącym skinieniem głowy pożegnał niemiłego

sobie widocznie kuzynka tej, o której względy napróżno się starał.

Zkądże ta nagła zmiana? Czyżby od tego czasu zaszło coś takiego, o czym on nie wiedział? czyżby może Irena zdecydowała się poślubić księcia, a ztąd to rozpromienienie jego i uprzejmość? Książę nie dał mu jednak czasu do długich refleksyj. Był ciągle niezmiernie serdecznym, a ze znajomością światowca dokładał usiłowań, aby Zy-

gmunta ku sobie przyciągnąć i przełamać dawną sztywność. Czarnoszyński nie mógł też i nie umiał temu się oprzeć. Książę zatrzymał go na śniadaniu, na które przybyło kilku bliższych jego znajomych, obcych Zygmuntowi. Pan de Sarthes wszelkimi sposobami starał się go ożywić i spoufalić z nimi, co mu się też niebawem udało. Atmosfera zbytku i wytworności, wesołość przyjaciół księcia i serdeczna uprzejmość gospodarza, ton zupełnie swobodny a jednak ujęty w formy niezmiernie wykwintne, to wszystko razem działało na Zygmunta podniecająco. Poczul się w swoim żywiole; stał się rozmownym, wesołym, dowcipnym i ani się spostrzegł, gdy nadeszła chwila pożegnania. Podobał się wszystkim.
— Nie dam ci teraz spokoju — rzekł, żegnając go książę — dzięki tobie, spędziłeś bardzo miłą chwilę a sami bylibyśmy się z pewnością nudzili. Teraz jednak, gdy będziemy sąsiadami...
— Jakto? — przerwał Zygmunt — mieszkam dość daleko.
Książę serdecznie się zaśmiał.
— Przyjąłeś łaskawie sekretaryat, musisz przyjąć następstwa... Jak wiesz,

zajmuję się dość pilnie sprawami mojej administracyi, a sekretarzowi lubię dokuczać. Zawsze mi to było niedogodnem, że dawny sekretarz nie mieszkał w gmachu... Dla ciebie więc kazałem przygotować osobny apartament, daruj, że może będzie trochę szczupły i w pośpiechu nie tak urządzony, jakbym pragnął.

— Ależ książę — przerwał Zygmunt — to niepodobna!

Pan de Sarthes mówić mu nie dozwolił.

— Rzecz skończona! — zawołał — ani słowa więcej. Teraz spieszę na ulicę Murilla;

obiecałem hrabinie i pannie Irenie, że będę u nich o tej porze. Już się nawet

trochę spóźniłem. Do widzenia więc, kochany panie Zygmuncie, teraz obejrzyj

mieszkanie swoje, zobacz się z dyrektorem Lafosse, a jutro czekam cię znów na śniadanie.

Uściskał go za rękę i chcąc snadź uniknąć wszelkiej odpowiedzi, pozostawił

Zygmunta samego.

Oszołomiony tem przyjęciem, mimowolnie ulegając danym wskazówkom, a niezdolny w

tej chwili zastanowić się nad sytuacją, Zygmunt udał się wprost mieszkania

księcia do pana Lafosse, który go powitał niezmiernem odszczególnieniem. W

uniżonej grzeczności jego odczuł Czarnoszyński, że musiała być ona [wynikiem

poleceń, z góry otrzymanych. Była nadto uprzedzająca, nadto demonstracyjna.

Widocznem było, że pan Lafosse stara się zaskarbić sobie względy młodego

sekretarza, tak zbliżonego do potężnej osoby księcia.

Z rozmowy z nim, Zygmunt przekonał się niebawem o tem dowodnie, co odrazu podejrzywał, że owa posada, którą mu ofiarowano, była właściwie "synekurą." dobrze płatną, łaską, wyświadczoną ubogiemu kuzynkowi pani de Larjeac, aby wytartymi łokciami nie szpecił jej salonów. Zakres jego działania miał być

zupełnie inny, niż dawnego sekretarza; zajęcia właściwego nie miał, tylko jakiś niby nadzór nad tym, który prowadził korespondencyę. Usposobiło go to znowu fatalnie, a wkrótce czekało go jeszcze nowe, niemniej pogłębiające wrażenie.

Po obejrzeniu biur, p. Lafosse ofiarował się towarzyszyć Zygmuntowi do apartamentu, przeznaczonego na jego mieszkanie. Położony w bocznem skrzydle pałacu, na parterze, apartament ten miał okna wychodzące na ogród, otaczający wille, a składał się z pięciu pokoi, urządzonych z komfortem, nieodpowiadającym wcale pozycji Zygmunta.

— Kto tu mieszkał przedtem? — spytał schmurzony.

Stary dyrektor miał dziwny uśmiech, który przemknął przez usta i wnet się rozplynął wśród zmarszczek twarzy.

— Hm, hm — chrząknął — właściwie nikt. Apartament gościnny, oddawna pustką stojący, a już teraz zgoła zbyteczny, gdy książę ma się żenić...

— Co? — krzyknął Zygmunt. — Lecz w tejże chwili krzyk potłumił, widząc

wytrzeszczone zdziwieniem oczy dyrektora.

— A, tak — mruknął — naturalnie.

Wybiegł co rychlej, lękając się zdradzić ze wzburzeniem, które go opanowało.
Kurcz nerwowy ścisnął go za gardło, krew to uderzała falą do głowy" to zbiegała do serca, które tłukło się w piersiach gwałtownie.

Biegł po ulicach, roztrącając przechodniów, którzy się zwracali ku niemu, mrucząc gniewnie. Nie zważał na to i biegł dalej, nieprzytomny prawie, oszołomiony tem wszystkim, czego dziś doznał i co na końcu usłyszał.
A więc fakt spełniony. Irena wychodzi za księcia! Przed kilku zaledwie dniami mówiła Zygmuntowi spojrzeniem, głosem, uśmiechem, mówiła wyraźnie: kocham ciebie jednego, wyłącznie! — a oto odrazu, bez porozumienia się z nim, bez słowa wyjaśnienia, zdecydowała się zostać żoną innego!
Cóż warta była taka kobieta? A jednak on ją kochał! Czuł teraz tę miłość ognistą, namiętą w każdej kropli krwi, w każdej myśli, która wrywała się do niej, w każdym drgnieniu serca.
Ona żoną innego! to okropne! A wszakże z tą myślą oswoić się był powinien oddawna. Tak się skończyć musiało. Nieraz, wychodząc z salonów pani de Larjeac, mówił sobie w duchu, oburzony: "Kokietka! niech idzie za księcia!"
Mówił też o tem często, zupełnie zimno obojętnie. Ale też wszystkie myśli poprzednie, to były tylko złudne porywy zazdrości; to, co mówił, mówił bez zastanowienia, sam w to nie wierząc, nie wyobrażając sobie, że się tak stać musi, że się tak stanie!

Dzisiaj wobec faktu porywała go szalona wściekłość. Chwilami zdawało mu się, że padnie na ulicy i zacznie krzyczeć w niebogłosy, że nie zdoła zapanować nad rozstrojeni nerwów i tym bólem, jaki mu piersi rozsadzał.

Był już wieczór, godzina obiadu; to też na bulwarach mniej publiczności wytwornej, lecz za to w wielkich kawiarniach i restauracjach tłumy. Na włoskim bulwarze, olbrzymie, wspaniałe sale restauracyi, zwanej Café Americain, zaledwie mogły pomieścić gości, napływających ciągle. Wieczór był ciepły, pogodny; z okien i drzwi otwartych padały strugi światła na ulicę, a wrzawa zmieszanych głosów rozchodziła się donośnie. Zygmunt przystanął i chwilę patrzył na ten ruch gorączkowy, wsłuchiwał się w tę wrzawę; jaskrawe światło pociągało go ku sobie, widok najrozmaitszych postaci, zmieniających się jak w kalejdoskopie, odurzał. Wszyscy tu wyglądali swobodni, weseli, a sobą tylko zajęci, na nic i na nikogo nie zwracający uwagi. Każdemu się zdawało, że on jest punktem środkowym tego ruchu, a spozierając zdala na całość, jednostki nikły, jakaś wielka siła, potężny motor łączył je wszystkie, skupiał, to znowu rozpraszał, rozrzucał, rozwijał jak wstęgę, która, wychodząc z promieniejącego jaskrawem światłem wnętrza kawiarni, wiła się dalej po trotuarze i gubiła w ciemnej perspektywie ulicy. Pociągnięty siłą tego ruchu, Zygmunt dostał się mimowolnie w sam środek tłumy,

skupionego w tej chwili u drzwi kawiarni i wszedł do środka.
Garsonowi rzucił krótki rozkaz i usiadł przy jednym z tylko co
opróżnionych
stolików. Machinalnie wziął do ręki leżący tam rozwarty, zmięty,
ostatni numer
Figara. I odrazu wzrok jego padł na doniesienie,

zawarte w rubryce A trawers Paris. Zawiadamiało odo publiczność
stolicy o
gotującym się w wielkim świecie paryskim związku małżeńskim.
"Książę de S. — pisał przejrzyście dyskretny kronikarz — jeden z
najpierwszych
panów Francji, znakomity finansista, któremu kraj zawdzięcza
niejedną inicjatywę
pożyteczną w dziedzinie wielkiego przemysłu, żeni się. Nowinę tę
powtarzają
sobie na ucho od dwóch dni liczni przyjaciele księcia, z tem większą
radością,
że szczęśliwą wybraną jest piękna hrabianka de L., której niezwykła
uroda i
wysoka dystynkcja budzą powszechny podziw. "
Reszty komplementów nie doczytał Zygmunt. Padły one na jego
zbolełą duszę kroplą
goryczy, która mu nawet pewną sprawiła ulgę.
Uśmiechnął się ironicznie.
Usłużny przyjaciel - pomyślał — może sam dyrektor Lafosse,
pospieszył rozgłosić
fakt, aby utrudnić cofnięcie się, gdyby Irena jeszcze wahać się chciała.
Notatka
z widoczną też intencją kładła nacisk na znakomite stanowisko
księcia, stawiając
go na pierwszym planie, wysuwając jego mniemane zasługi. — Jedną
z pierwszych
partyj w kraju, — czyż Irena wahać się mogła? A on — Zygmunt —
czyż nie był

szaleńcem, gdy przed chwilą śmiał w rozpaczy swej stawiać miłość
swoją i
młodość, wobec milionów i stanowiska przeżytego księcia?
Wychylił szybko podany sobie napój, zapłacił i wyszedł.
Szedł ulicami machinalnie, bez celu. Chwilami

zdawało mu się, że pierwsze wzburzenie już przeminęło.
Opanowywała go zupełna
nieczułość, nie myślał o niczem. Spozrzegł ze zdziwieniem, że
mimowolnie,
półgłosem, nuci jakąś operetkową aryjkę.
— Co mi tam! — szeptał — wszystko głupstwo. Nie kochałem się w
niej chyba
nigdy... chwilowe złudzenie wyobraźni i zmysłów igraszka.
I naraz znowu burza z całą gwałtownością zrywała się w głębi duszy,
mając
wszystkie myśli, nasuwając drażniące wspomnienia.
Zatrzymał przejeżdżającego fiakra i kazał mu zawieźć się na ulicę
Murilla.
Uczył to znowu mimowolnie, ulegając chwilowemu pragnieniu
zbliżenia się co
rychlej do tej, której nęcący obraz ciągle widział przed sobą.
Ruch powozu poczynał go nieco otrzeźwiać; myśli, wracały do
równowagi, a w miarę
tego jaśniej zarysowywała się sytuacja. Przedewszystkiem należało
teraz cofnąć
to wszystko, co się z księciem zrobiło; przecież on tego stanowiska
sekretarza
przyjąć nie może; nie może mieszkać z Ireną pod jednym dachem,
narażać się na
ciągłe udręczenia i nieustającą pokusę. Trzeba było tylko wynaleźć
przyzwoity
jakiś pretekst, który wobec uprzejmości księcia i jego teraźniejszego
stosunku
względem Ireny, musiał być tem zręczniejszy, aby nie ściągnąć
złośliwych

uwag, że "ubogi kuzynek" grymasi, bo się kochał nieszczęśliwie.
Na ulicy Murilla fiakier się zatrzymał. Zygmunt wyskoczył z powozu
i poszedł
dalej piechotą do pałacu pani Stefanii. Wchodzić tam nie miał
zamiaru, ulegał

tylko nieprzepartej chęci spojrzenia w okna, w których spodziewał się
może
dostrzedz choć cień postaci Ireny. Pewnie z nią musiał być i księżę,
wszakże
mówił mu sam, że się do niej spieszy.
Teraz zachowanie się dzisiejsze księcia i jego niektóre wyrażenia były
mu
zupełnie jasne. Widocznie p. de Sarthes nie chciał mu sam zwiastować
nowiny i
wolał, aby mu o tem, co się stało, powiedziała pani Stefania, albo
Irena i
dlatego czynił mu wymówki, że u nich przez dni kilka nie był.
Myśląc o tem, doszedł do bramy pałacu. Podniósł głowę i spojrzał.
We wszystkich
oknach było ciemno. Zadziwiło go to niemało; czyżby nikogo nie było
w domu?
Wszakże księżę powiedział mu wyraźnie, że jedzie do hrabiny de
Larjeac, że jest
tam oczekiwanym.
W dwóch tylko oknach parterowych, przez zasłony i firanki
przedzierało się słabe
światło.
Były to okna saloniku, znanego dobrze Zygmuntowi, tam bowiem
najczęściej
przyjmowała go Ola; tam, na rozmowie z nią spędzał najmiłsze
chwile, pełne
spokoju i harmonii. Przybywał nieraz wzburzony a wychodził z
pogodą w sercu i
silnem postanowieniem pracy, obudzonem rozważnemi słowami tej,
którą siostrą swą

mienił.

— Pójdę do niej! — pomyślał. — Wyznam jej wszystko; powiem jej to dzisiaj, co sam przed sobą dotąd utaić usiłowałem: że do szaleństwa kocham Irenę, że bez niej żyć nie mogę, że ogarnia mnie straszny zamęt i rozpacz na myśl, iż ona do kogo innego należeć bę-

dzie; powiem jej wszystko, niech radzi, co czynić dalej; może uspokoi, może pocieszy!

Mimowolnie, nie Zastanawiając się nad tem, co czyni, szarpnął za rękojeść dzwonka.

Za chwilę ciężka brama rozwarła się z chrzęstem, powolnie. W okienku łoży ukazała się chmurna, niezadowolona twarz portyera i wnet się cofnęła, ujrzawszy

Zygmunta, który tu niemal za domowego był uważany.

Wobec otwartego wejścia, Zygmunt zawahał się chwilę, jakby się sam swego postanowienia przestraszył.

Bezwiedna siła popchnęła go naprzód. Wszedł, nagłym ruchem zatrzaskał bramę i

nie słuchając portyera, który mówił mu, że hrabiny niema w domu, przebiegł pędem

dziejziniec i znalazł się w korytarzu, oświetlonym jedną tylko lampą; znak, że

pałac był pusty. Pusto też było wszędzie; służba, korzystając z nieobecności

hrabiny, używała chwil wolnych w mieście, lub spędzała je na pogawędce w swoich

mieszkaniach.

Przez nikogo niespostrzeżony, Zygmunt doszedł do drzwi mieszkania Oli, szarpnął

za klamkę i otworzy}.
na stole, po środku pokoju, stał wysoki kandelabr, w którym dwie
tylko paliły
się świece. Wnętrze pokoju tonęło niemal w cieniu; odbłask świec
drgający,
niepewny, pełzał po ciemnych obiciach i nikał w salonach i kątach;
jaskrawiej
nieco migotał naprzeciw w zwierciadle. Stojąc na progu, Zygmunt
ujrzał

w tem zwierciadle odbijającą, się postać niewieścią w białej,
powiewnej sukni,
z rozpuszczonemi włosami.
Na odgłos otwierających się drzwi postać ta
drgnęła i jakby iskrą elektryczną tknięta, wstała, prostując się w całej
okazałości. Poruszyła głową, odrzucając z czoła złociste pasma
włosów, postąpiła
parę kroków naprzód, a ujrzawszy Zygmunta, cofnęła się i krzyknęła.
On stał porażony jak gromem, własnym oczom nie wierząc.
Ta, która od kilku godzin zajmowała wyłącznie myśl jego i duszę, ta,
której samo
wspomnienie burzyło mu krew i zmysły, — Irena była tuż, blisko,
patrzała na
niego szeroko rozwartemi oczyma, z oddechem zapartym, który,
stłumiony, poruszał
gwałtownie pierś jej, falującą widocznie pod lekką osłoną batystu.
— Zygmunt! — wyszeptały jej usta.
W pierwszej chwili cofnęła się, i jakby się swego stroju zawstydziała,
ręce
złożyła na piersi.
Lecz nagle śmiech dziwny, szyderski, przenikliwy wydobył się z
krtani, chcąc
snadź zadać kłam wyrazowi twarzy i miękkiemu brzmieniu szeptu.
— A, naturalnie! — zawołała — spodziewałam się tego! Umyślnie
czekałam tu na

ciebie, na potwierdzenie moich podejrzeń. Musiałeś oczywiście
przyjść szukać
ptaszka, który wyfrunął. A może umyślnie przyszedłeś, aby pokryć
jego ucieczkę!
Zygmunt wodził wzrokiem dokoła i nie rozumiał

Śmiech i słowa Ireny przeniknęły go trwoga i otrzeźwiły.
— Ola! — wyjąkał — gdzie Ola?
— Nie udawaj! — wybuchnęła Irena — bez porozumienia z tobą stać
się to chyba nie
mogło. Przed trzema dniami Ola, wyprawivszy scenę mnie i mamie,
znikła, a ty
wiesz pewnie najlepiej, gdzie jest; od tego czasu także nie
pokazywałeś się u
nas. To jasne!
Niecierpliwym ruchem ręki to szarpała koronkę sukni, to odrzucała
pasma włosów,
spadające na czoło. Była widocznie w silnem wzburzeniu.
Zapominając o niezwyklej
sytuacji, w jakiej po raz pierwszy się znalazła wobec Zygmunta, sam
na sam z
nim, o dość spóźnionej porze, w pustym pałacu, poczęła mówić żywo,
chodząc po
pokoju:
— Mama jest na pana oburzona, Zrozumiałyśmy teraz dopiero, co
znaczyły owe niby
artystyczno-naukowe konferencye z Olą sam na sam, podczas gdy nas
nie było w
domu. Mój brat irytował się tem nieraz, a myśmy naiwnie wierzyły
cnocie Oli i
honorowi pana Czarnoszyńskiego. Tymczasem... skandal!
Zygmunt gwałtownie przyskoczył do Ireny i porwał ją za rękę.
— Co znaczy ten żart okropny! — krzyknął — gdzie Ola?
Irena zwróciła ku niemu roziskrzzone oczy.
— Ty nie wiesz? — spytała.

— Na wszystko najświętsze przysięgam, że nie wiem! — zawołał Zygmunt. — Od dni trzech byłem zu-

pełnie czem innym zajęty, nie myślałem o niej, a przypuszczam straszne rzeczy.

Wiem, że hrabia Jakób...

— Ob! — przerwała Irena — jeśli ty nie wiesz gdzie Ola, to on wie na pewno. Wy wszyscy kłamiecie! Jakób udaje okropną rozpacz; od dwóch dni niby rady dać sobie nie może i opowiada, że zarządził najpilniejsze poszukiwania. Był u ciebie kilka razy, ale cię nie zastał. Zygmunt przerażony niespodziewaną wieścią, zapomniał w tuj chwili nawet o obecności Ireny. Stał blady, zmieniony, nieprzytomnym wzrokiem wodząc dokoła.

— To być nie może - szeptał — gdzie ona jest? co się stało? Irena bacznie patrzyła na niego. Zielone jej oczy rzucić znów poczęły fosforyczne błyski, rozchyłały się usta różowe, delikatne nozdrza drżały, cała twarz rozpromieniała się namiętnie.

— Jak ty ją kochasz! — szepnęła — jak ty ją kochasz! Zygmunt drgnął na brzmienie tego wyrazu. Zwrócił się ku niej i objął płomienistym wzrokiem. Stali blisko siebie, w półcieniu. On widział tylko błyski jej oczu, które go na wskroś przenikały, widział twarz jej rozpłomienioną, rozchylone usta, pierś falującą. I czuł, że ogarnia go nieopisany zamęt, że z pamięci traci wszystko.

Pod siłą jego wzroku, ona chyliła się ku niemu drżąca. Zygmunt nagle odsunął ją od siebie. W tej

chwili, jak ostrze sztyletu przeniknęła go myśl, że ta kobieta, która tak widocznie nęciła go ku sobie, postawiła jednak dobrowolnie między nim a sobą

niezwalczoną zaporę.

— Książę de Sartlies... — zaczął.

— A więc wiesz! -przerwała Irena gwałtownie, snadź już niezdolna zapanować nad

sobą — wiesz i pogardzasz mną! Tak! dałam słowo księciu, bo mam już dosyć tego

życia, jakie obecnie prowadzę. Mówiłam ci przecież niedawno, mówiłam z głębi

duszy: ocal mnie! miej odwagę powiedzieć otwarcie, głośno, że mnie kochasz, miej

odwagę przyjąć cała za to odpowiedzialność wobec mojej matki, która marzy dla

mnie

o świetnej partyi, wobec całego świata, który powie, że ja sobie kupiłam męża, a

ty, żeś się sprzedał! Miej odwagę poślubić mnie, wbrew temu wszystkiemu, mnie,

zepsuta kokietkę, zalotnicę, zgubioną w wirze tego rozszalałego świata, — ty,

poważnie myślący i ubogi, mnie lekkomyślna i bogatą! Miej odwagę oszaleć z

zazdrości i tysiąca upokorzeń po ślubie! Tyś to zrozumieli uciekł, zostawiając

mnie na pastwę... A teraz pogardzasz, odpychasz!

Stała naprzeciw niego, wyprostowana, dumna, wyniosła, mierząc go ciągle

roziskrzonymi oczyma. On, pomięszany, nie znajdował słowa odpowiedzi. Patrzył

także na nią, pożerał ją wzrokiem. Była cudownie, olśniewająco piękna w tej

chwili namiętnego uniesienia. Złociste jej włosy rozplotły się teraz zupełnie i

spadały na ramiona, wzrok ciskał płomienie, z ust

padały wyrazy urywane, silne, uczuciem wydobyte z głębi duszy.
— Ty przez te lata — mówiła dalej — patrzyłeś na mnie, jak na lalkę
bez serca,
bez krwi, bez zmysłów. Słyszałeś śmiech, nie widziałeś łez, słyszałeś
puste
słowa, nie domyślałeś się treści! Tacy wy wszyscy jesteście. Zbliżacie
się do
młodej kobiety z krwi i ciała, zagładcacie jej w oczy, szepczecie
słodkie słówka,
drażnicie nerwy i zmysły, szyderstwem odbieracie jej wiarę,
cynizmem dziewictwo
myśli... i nazywacie to niewinnym flirtem! A potem tę kobietę
pozostawiacie bez
skrupułu, wy, którym wolno wszystko! I ta ofiara wasza idzie w świat
bez wiary,
bez zasad, ze wzburzonymi zmysłami, i ginie jak ćma w ogniu....
Poślubia
człowieka, którego nie kocha, którym się brzydzi, a cóż ją wówczas
od upadku
ocali?
— Sumienie — przemówił Zygmunt.
— Cha, cha, cha! — zaśmiała się Irena, ruszywszy się z miejsca i
chodząc po
pokoju. — Sumienie? powiadasz. Ja miałam dotychczas sumienie i
przez tyle lat
czekałam. Chciałam uniknąć losu moich rówieśniczek, czekałam na
uczucie, które
mogło mię wyrwać z tego wiru, w jaki mnie wtrącono.
Zatrzymała się znowu naprzeciw niego i patrząc mu bystro w oczy:
— Uczucie przyszło — rzekła — przyszło wielkie, namiętne i
ogarnęło mnie całą.
Ale we mnie nie znalazło już dziewiczości myśli, bo ją, zabrał
niewinny was
flirt salonowy i ten cynizm, jaki mię od lat tyłu w wonz nej atmosferze
balów
otaczał. Niezdolna dziś jestem

poświęcić się da tego uczucia. Ja się dla niego nie wyrzeknę ani
jednego spaceru
do bułońskiego lasku w wesołym towarzystwie, chociaż... życie moje
oddać
gotowani za ciebie!
Porwała Zygmunta za rękę i, nie tając już nic. w najwyższym
uniesieniu,
zdyszana, jakby jej dusza sto mil przebiegła w rozpędzie szalonym,
nie
dopuszczając go do słowa, mówiła dalej:
— Zygmuncie! dziś mi wszystko jedno, dziś powiem ci wszystko,
albo nigdy! Ja się
zastanawiałam głęboko nad sobą i całą sytuacją. Była chwila, gdym
chciała
przyjść do ciebie i powiedzieć ci otwarcie: kocham cię; chcę być
twoja żona! Ale
to była tylko chwila. Przyszła rozwaga; ja nie jestem żoną dla ciebie,
nieszczęście-bym tobie przyniosła. Walczyłam z sobą długo i zdawało
mi się, że
zwalczyłam. Dopiero ta Ola! O, ty nie wiesz, Zygmuncie, com ja przez
tę kobietę
wycierpiała, ile przez nią, popełniłam szaleństw! Podczas gdy ty
zostawałeś tu z
nią sam na sam na rozmowie poufnej, ja szłam w świat ze
wzburzonem sercem,
usiłując potłumić szaloną zazdrość, która mną targała, czyniąc zalotną,
niegodziwą. Wzywałam uczucia i deptałam je z rozkoszą, deptając
zarazem własne
sumienie. I nareszcie przed kilku dniami wyzwałam Olę do walki.
Przyszłam tu i
na tem samym miejscu powiedziałam jej wszystko, smagałam
szyderstwem, zmusiłam
do ucieczki!
Słowa te gwałtowne, jak lód spadały na rozżarzoną duszę Zygmunta,
Drętwiał z
przerażenia.

— Ireno — szeptał — Ireno, tyś szalona! Cóż się stało z tą biedną istotą?

— A cóż mię to obchodzić może! — przerwała ona gwałtownie. — Zresztą nie lękaj

się, Jakób ją wynajdzie, jeżeli już nie znalazł, szaleje z miłości dla niej, a

ona byłaby śmieszna, gdyby...

— Ublizasza jej! — zawołał Zygmunt — ona nigdy nie byłaby zdolną...

— Cha! cha! cha! — wybuchnęła śmiechem Irena. — Nie byłaby zdolną! to frazes!

Znam ja ją lepiej, niż ty, niż wszyscy! Pod tym pozorem spokoju drzemie wulkan

namiętności. A zresztą na jej miejscu jabym tak samo uczyniła. Ona szczęśliwsza

odemnie, wolna, swobodna, niezależna! Cóż ją krępować mogło?

Zamilkła na chwilę zdyszana, a potem znowu, chodząc żywo, mówił poczęła:

— Nie mogłam dziś jechać z mamą na wieczór. Przybył książe, zabrał mamę i wraz z

Jakóbem pojechali. Zostałam sama, dręczona myślą, że Ola może jest z tobą, u

ciebie. Szalone plany snuły, mi się po głowie. Przyszłam tu umyślnie do tego

pokoju, w którym ty z nią tyle spędzałeś wieczorów, aby oddychać tem powietrzem

i czekać na ciebie! Miałam przeczucie, pewność prawie, że przyjdiesz. Jestem

szalona, dobrześ powiedział. Ty się pytasz, co się z nią stało, co się dzieje z

Ołą? a czyś się spytał, co się działo ze mną wówczas, gdy wiedziałam, że ty z

nią jesteś, gdy przez te trzy dni nieskończone sądziłam, że ona poszła do ciebie

z całą aureolą swego sieroctwa i opuszczenia, szukać ochrony i rozkoszy w twojem objęciu! Czyś się

spytał, co się działo w mojem sercu, gdy zamiast ciebie przyszedł księżę de

Sarthes i ofiarował mi po raz dziesiąty swoją rękę i miłość!

— A ty przyjęłaś! — wybuchnął Zygmunt.

— Przyjęłam! — odparła Irena — bo, powtarzam, muszę raz nareszcie skończyć z tem

haniebnem życiem flirtów i sztucznej zalotności, bo chcę żyć pełnią życia, która

i mnie się należy!

Głos jej przybrał nagle ton miękkiej, niemal łzawej skargi. Widok szczerego

przerażenia Zygmunta na wieść o zniknięciu Olgi usunął jej podejrzenie

zazdrosne, a wypowiedzenie tego, co na sercu ciążyło, uśmierzało zwolna

gwałtowność.

Pochyliła główkę i jak dziecko przytuliła się do Zygmunta, garnąc się w jego

objęcia. On ją namiętnie przycisnął do piersi.

Pozostali tak chwilę, oniemiałi, porażeni siłą tego uczucia, które ich ogarniało.

I nagle ona odwróciła głowę i nie odejmując jej od jego ramienia, spojrzała.

Wzrok jej nie ciskał już teraz owych płowych błysków oburzenia, które go przed

chwilą rozogniały; był w nim wyraz upojenia i tęskna, mglista rzewność.

— Tak żyć!.. — szepnęła — kochani cię!

Oba ramiona zarzuciła mu na szyję; on całował jej usta, oczy, włosy, oszalały,

nieprzytomny.

W pół godziny potem, Zygmunt wychodził z pa-

łacu, unikając spojrzeń snującej się już po korytarzach służby,
wychodził z
uczuciom, że chwila, która minęła, przykuje go na zawsze do siebie
wspomnieniem
szału, upojenia, rozkoszy i odbierze mu swobodę myśli na życie całe.
Wyszedł na ulicę. Po dniu ciepłym, pogodnym, nad wieczorem
zaczęło się chmurzyć.
Z mgieł lotnych, przejrzystych, lekkim wiatrem gnanych, tworzyły się
na niebie
fantastyczne kształty, walczące z sobą, zbiegające się razem,
formujące wały,
baszty, łańcuchy gór, a czasem dziwowiska potworne, wśród których
od czasu do
czasu przebijał się ukośny promień księżyca, rzucał blask na ziemię, a
cień na
chmury, które czerniały, pędząc dalej.
Zygmunt szedł zwolna; zwolna też wzburzone myśli do równowagi
wracały. Gdy
stanął u bramy swego mieszkania, był niemal spokojny, a
przynajmniej
zdecydowany.
Jak na widnokregu, tak i w umyśle jego i sercu z mgieł lotnych,
wichrem życia
napędzonych, tworzyło się dziwowisko potworne. Do wszystkich
wątpień, jakie mu
na duszy ciążyły, przybywało teraz ostatnie.
Więc to jest owa miłość, o której marzył! Miłość, która łamie
wszelkie
przeszkody, przyjmuje wszelkie kompromisy, nie zna hamulca!
Wszystko złudzenie!
Prawdą, jest tylko chwila szału, użycie zmysłowe — nic więcej.
I nagle, jak przez owe chmury na niebie, prze-

niknął przez te myśli promień. Ale także nie świecił jasno, padł ukośnie,
dławiony mgłą zwątpienia.
Przez mgnienie oka postać Oli szlachetna błysła mu w umyśle, przez mgnienie oka
zdało mu się, iż słyszy głos jej spokojny, melodyjny, a stanowczy:
— Wstrzymaj się!
Zaśmiał się głośno i aż się wzdrygnął na brzmienie tego śmiechu, które było
niezwykle szyderskie. Przypomniały mu się słowa Ireny: "Nie lękaj się o Olę,
znajdzie ją niezawodnie Jakób, który szaleje za nią. "
— Może już znalazł! — pomyślał.
Zaśmiał się raz jeszcze i nerwowo szarpnął za rękojeść dzwonka. Brama odsunęła się cicho; Zygmunt pędem wbiegł na schody.
— Ohé! qui est là? — zabrzmiał impertynencki głos odźwiernego; który w ciemnym
korytarzu nie mógł dostrzedz szybko biegnącej postaci.
Zygmunt z piętra odrzucił mu swoje imię i nie słuchając gburowatego mrużenia
dozorcy, niezadowolonego, że go zbyt silne szarpnięcie dzwonka nagle z
rozkosznej drzemki' zbudziło, wszedł do swego mieszkania.
Zapalił światło i usiadł przy stoliku. Podparł głowę na rękę i zamyślił się.
Ostatnią to już noc spędza on w tem mieszkaniu, gdzie trzy lata przeżył wśród
pracy i marzeń, które się nie ziściły. Chciał zrazu zostać człowiekiem, zdobyć
stanowisko pracą wytrwałą, zdobyć sobie imię w tem

obcym społeczeństwie. Nie zdobył nic, a stracił wiarę nawet we własne siły.

Teraz opuszcza ręce i pozwoli się unieść prądowi. Dał słowo Irenie, przysiągł

jej, i już się nie cofnie Jutro bez pracy znajdzie stanowisko, dobrobyt,
protekcję potężnego księcia de Sarthes. Jutro zamieszka w
apartamencie
wspaniałym, będzie miał na rozkazy całą pałacową służbę, a nie tak,
jak tutaj
zaspanego odźwiernego, który go brutalnie o nazwisko pyta. Jutro
rozpocznie nowe
życie, bez wyższych aspiracji, ale i bez troski; życie pełne barw
jasnych, pełne
chwil upojenia, szafu.
Postać Ireny promienna, jak wcielony uśmiech szczęścia, stanęła
przed nim, w
myśli, z pochyloną na jego ramieniu głową, z oczyma wzniesionymi
ku niemu,
zapatrzona w niego miłośnie, z rozchylonymi ustami.
Rozkoszne uczucie przeniknęło go całego.
— Stało się! — szepnął — kocham ją, kocham całą moją istotą; każda
kropla krwi
mojej do niej należy! Zostanę przy niej, bądź co bądź!
Z głębi jego duszy podniósł się jeszcze cichy, nieśmiały protest.
— To nikczemność; — szeptało sumienie — nikczemność!
A postać Ireny śmiała się ciągle, w pół otwierając usta, wyciągając
białe
ramiona, cała w odblasku rozplecionych złotych włosów.
Zygmunt nagłym ruchem powstał i w tejże chwili wzrok jego padł na
małą kopertę,
leżącą na stoliku,

której zrazu nie dostrzegł, a która tam zapewne, od rana przez
odźwiernego
przyniesiona, leżała.
Pismo poznał odrazu. Gorączkowo rozerwał kopertę.
Na małym bileciku wyczytał te słowa, pospiesznie nakreślone:
"Mieszkam tymczasowo w hotelu du Sénat, rue Tournon. Proszę o
tajemnicę.
Ola.

Więc zawiadamiała go o swem mieszkaniu, jego tylko jednego, skoro o tajemnicę prosiła, a schroniła się do tego samego hotelu, o którym on jej mówił, że pierwsze dni po swoim przyjeździe do Paryża tam spędził. To wszystko uderzyło go odrazu i tknęło wyrzutem za podejrzenia, wzniecone w jego duszy słowami Ireny. Chciał biedz natychmiast do Oli, wszak ulica Tournon od jego mieszkania tak blisko, ale spojrzawszy na zegarek, wstrzymał się. Była pierwsza po północy. Położył się i usiłował zasnąć, napróżno. Sen nie przychodził, a dręczyły zmory. Wszystkie doznane wrażenia kłóciły się teraz z sobą w duszy; żadne wyłącznie opanować jej nie mogło, a wszystkie go drażniły. Myśli rwały się w bezładzie, powiązać ich nie mógł, siła woli opuściła go zupełnie. Nagle, wśród ciszy nad ranem, z pobliskiego, kościoła ozwał się dzwonek, wzywający pobożnych na prymaryę. W zmaconym, półsennym umyśle Zygmunta zary-

sował się w tejże chwili obraz pełny, skończony, w którym ani jednego rysu nie brakło.

Widział siebie młodzieńcem, jak spieszył z księdzem Stanisławem do kościoła; widział siebie klęczącego w kornej modlitwie u stóp ołtarza i postać księdza w odblaskach światła promienną, i rozmodloną Anielę z oczyma wzniesionemi w górę, wzlatującą duchem poza światy.

Dzwonek wciąż jęczał, a z tym czystym dźwiękiem wnikało w jego duszę odczucie dawnej wiary, niby odblask daleki niewidocznego już światła, wspomnienie uroczych chwil dawno minionych, niepowrotnej, a zawsze drogiej przeszłości.

— Gdzie moja wiara młodzieńcza? gdzie czystość serca? — myślał z dziwną tęsknotą.

Opanowało go rozrzewnienie, bez goryczy, rozkoszne. Przez chwilę miał zamiar zerwać się z łóżka, wstać i pójść za głosem tego dzwonka, który ciągle dźwięczał. Woli i sił zabrakło. Znużony fizycznie, moralnie zgnębiony, dźwigał się napróżno.

Jeszcze przez chwilę odzywał się dzwonek, ostatni jęk długo rozchodził się w powietrzu, wibrując, cichł jak wspomnienie. Myśl i uczucie Zygmunta czepiały się tego brzmienia, wsłuchiwały się uporczywie w ostatnie drgania dźwięku, aż zgasły w uśpieniu.

VII.

Po rozstaniu się z panią de Larjeac i Ireną, Ola nie namyślała się już ani chwili. Czuła, że pozostać tu dłużej nie może wobec zabiegów hr. Jakóba i zawiści Ireny, zawiści, która coraz większe przybierała rozmiary. Wróciwszy do swego pokoju, Ola napisała list do pani Stefanii; mówić z nią sama nie miałyby już siły, a pożegnać i podziękować pragnęła. — Pisała, nie płacząc, ale z głębokim smutkiem w sercu; szczerą bowiem wdzięczność i przywiązanie czuła

dla hrabiny, która niezmiennie była dobrą dla niej.
"Może kiedyś — pisała — los mi pozwoli okazać pani, że nie brak wdzięczności,
nie brak serca skłania mię do tego kroku; może kiedyś, zdobywszy sobie
niezależne stanowisko, będę mogła wrócić pod dach ten, aby ci
powiedzieć, droga
pani, jak gorąco wdzięczną ci jestem. Dziś, wolę odejść bez
pożegnania, pewna,
że zastanowiwszy się głębiej nad sytuacją, którą nie ja wywołałam,
sama mi pani
przyznasz, że inaczej uczy-

nić nie mogłam, nie potępisz, a zachowasz w dobrej pamięci. "
Napisawszy list ten, Ola gorączkowo zaczęła gotować się do drogi.
Aby nie
zwracać uwagi, postanowiła nic nie brać z sobą. Z ram wyjęła tylko
ulubiony swój
obraz: Chrystusa, wyciągającego dłonie ku tonącej. Zwinęła go,
szybko nałożyła
na siebie paltocik i kapelusz i nie oglądając się za siebie, wyszła z
pałacu.
Równocześnie na dziedzińcu ozwał się głośny turkot, odjeżdżającego
powozu. Pani
Stefania z Ireną wyjeżdżały do księżnej de Sarthes. Pora była
najstosowniejsza,
aby wyjść niepostrzeżenie.
Za chwilę Ola znalazła się na ulicy. Weszła do parku, ożywionego w
tej porze
wesółem szczebiotaniem dzieci, bawiących się swobodnie w
promieniach wiosennego
słońca. Całe ich tłumy przebiegały przez ulice parku, strojne,
rozbawione,
śmiejące się, szczęśliwe. Niektóre w rozpędzie potraçały Olę, lub
spoglądały z

ukosa na tę postać czarną, smutną, zawadzającą, im w gonitwach po drodze.

Ona szła, mimowolnie uśmiechając się do tej nieświadomej wesołości dziecinnej. I

przyszło jej na myśl, że ona nigdy, nawet w dzieciństwie, takiej swobody nie

zaznała. Jakiś fatalizm ścigał ją niezmordowanie. Gnał ją los z jednego krańca

świata na drugi, a po raz wtóry w życiu uciekać była zmuszoną: z Oksaniny

wypędził ją Jurek, z domu pani de Larjeac miłość hr. Jakóba i nienawiść Ireny.

Cóż ją teraz czeka w tem

olbrzymiem mieście, którego prawie nie zna, w którym jest obcą? Szła coraz spieszniej, jakby od własnych myśli pragnęła uciec.

Wyszedłszy z

parku, wsiadła do fiakra i kazała się zawieźć do hotelu du Sénat, znanego sobie

z opowiadań Zygmunta.

Robiła to wszystko machinalnie, prawie bezmyślnie, ulegając instynktowi.

Przyprowadziło ją do przytomności podejrzliwe, nieufne spojrzenie zarządcy

hotelowego, który na żądanie taniego mieszkania odpowiedział wprawdzie uprzejmie

i wskazał mały pokoik na trzecim piętrze, ale dwukrotnie przychodził zapytywać

o rzeczy, a słuchając wymijającej odpowiedzi zmieszanej Oli, mierzył ją od stóp

do głowy, widocznie bardzo zainteresowany, a może niespokojny.

Wietrzył

tajemnicę, dramat jakiś i lękał się odpowiedzialności.

Z opowiadania Zygmunta wiedziała Ola, że hotel ten, jakkolwiek skromny w

urządzeniu i niewygórowany w cenach, był bardzo spokojny i przyzwoity. Czula się więc tutaj bezpieczną, a znalazłszy się w ciasnym, niemal ubogim pokoiku, przychodziła rychło do równowagi. Wahać się nie mogła. Należało raz rozpocząć pracę samodzielną, którą pani de Larjeac zbyteczną troskliwością swą krępowała. Dotychczasowy tryb życia nie byłby jej do niczego doprowadził, sytuacją stawała się z dniem każdym trudniejszą, stanowisko towarzyszki Ireny oddawna przestało być tem, czem miało być z początku, ostatnie zaś zajścia z hr. Jakóblem i Ireną dopełniły miary.

Nie mogła sobie nic mieć do wyrzucenia. A teraz należało rozpocząć energiczne działanie. Drogę miała już wytkniętą i ułatwioną. Studya jej dotychczasowe i stosunki w świecie artystycznym, związane dzięki pani de Larjeac, zdawały się zapewniać powodzenie. Troska o utrzymanie w pierwszych czasach nie mogła jej dręczyć wcale; fundusik bowiem, pozostawiony jej przez pannę Malicką, a oszczędnościami przez lat tyle pomnożony, mógł na dość długo wystarczyć, chociażby nie zdołała odrazu uzyskać odpowiedniego stanowiska na scenie. Nieco pieniędzy na pierwsze potrzeby miała przy sobie; kapitał był złożony w banku, a dokumenta potrzebne miała także z sobą. Była zresztą zdecydowana na wszystko: zaczynać od najmniejszej pozycji, nie mieć

zrazu żadnych wymagań, przyjąć najskromniejsze warunki, byleby tylko raz rozpocząć ową artystyczną pracę, do której rwała się jej dusza, znużona dotychczasową beczynnością. Powoli, ze zwykłym sobie spokojem rozważała Ola wszystko i układała cały plan działania. Odrazu przyszedł jej na myśl p. Padeloup, który jej zawsze tyle okazywał życzliwości. Znakomity profesor muzyki i śpiewu, doświadczony w rzeczach scenicznych, jako były dyrektor Teatru Lirycznego, mający rozległe w świecie artystycznym stosunki, mógł być jej oczywiście najbardziej pomocnym. W razie potrzeby nie zabrakłoby jej pewnie i innych wpływowych protekcji, ale Padeloup, jako człowiek poważny, blisko podówczas sześćdziesięcioletni, najwięcej w niej zaufania obudzał.

Rozważywszy to wszystko, Ola postanowiła natychmiast udać się do niego, otwarcie przedstawić mu cały stan rzeczy i żądać rady skutecznej. Chciała już wychodzić, gdy ozwało się dyskretne pukanie do drzwi i wnet, po raz trzeci, ukazało się nieufne oblicze zarządcy hotelu. W ręku niósł wielką księgę do zapisywania nazwisk przyjezdnych. — Przepraszam — rzekł z przymuszonym uśmiechem — ale może pani raczy... Goryczą zapłynęło serce Oli. Zrozumiała podejrzliwy niepokój służby hotelowej, a zarazem przypomniało się jej owo album Ireny, w którym niegdyś w Jurpolu na jej żądanie, obok imienia swego nie mogła wpisać żadnego nazwiska. I teraz nazwiska

nie miała, tylko owo przezwisko, które jej żartobliwie wymyśliła pani de

Larjeac.

Wzięła pióro do ręki i tym razem bez wahania wpisała do księgi:

— Ola Oksanińsha.

Takie lub inne nazwisko, wszystko jedno, skoro ona je wkrótce siłą talentu

opromienić i wsławić miała.

Stojąc poza nią, zarządca hotelowy ciekawie śledził litery.

— Oxa... Oxa... nine — sylabizował z trudnością. Na twarzy jego coraz większa

malowała się nieufność. Nazwisko było cudzoziemskie, nieznane.

Ola skończyła pisać, a on stał, księgi nie brał. widocznie zakłopotany.

— Pani daruje — bąkał — ale hotel nasz wymaga... gdyby pani dłużej zostać

chciała... Żywy rumieniec wybiegł na twarz Oli.

— Jestem artystką — przerwała — śpiewaczką. Jadę w tej chwili do p. Padeloup, a

on za mnie wszelką da rękojmię. Tymczasem, oto są pieniądze.

Rzuciła na stół kilka złotych monet Usłyszawszy powszechnie znane nazwisko

organizatora popularnych koncertów, zarządca się skłonił, a pieniądze odsunął).

— O to nie chodzi — rzekł — rękojmia pana Padeloup najzupełniej nam wystarcza.

Pani raczy darować, ale my musimy być ostrożni; niepodobna wiedzieć...

Wziął książkę i cofał się do drzwi z ukłonem.

Takie przejścia, a może stokroć jeszcze nieprzyjemniejsze, boć ten zarządca

hotelowy był bądź co bądź jeszcze bardzo delikatny, mogły spotykać teraz Olę na

każdym kroku. Przeczuwała je Ola, lecz to jej energii nie osłabiało wcale.

Owszem, coraz mocniej postanawiała sobie nie przyjąć odtąd żadnej opieki, pójść sama przez życie, o własnych siłach. Pojechała natychmiast do p. Padeloup. Dyrektor, pomimo lat i siwizny, niezmiernie żywego, młodzieńczego usposobienia, które się objawiało w wyrazie twarzy i ruchach szybkich, nerwowych, przyjął ją bardzo przejmie, ale z widocznym zdziwieniem. — Pani tutaj? u mnie? sama? — pytał, własnym oczom nie wierząc.

W kilku słowach opowiedziała mu Ola powód swego przybycia. — Opuściłam dom pani de Larjeac na zawsze — rzekła. — Chcę rozpocząć stanowczo pracę na scenie. Ufna w tylokrotnie okazywaną mi życzliwość i zachętę, przybyłam do pana prosić, byś mi to ułatwił. Doświadczony dyrektor słuchał z wielkiem zajęciem. Po jego sympatycznej, łagodnej, a ruchliwej twarzy przebiegał chwilami uśmiech, podczas gdy bystre oczy wpatrywały się w Olę z pewnem niedowierzaniem. — Wstęp na scenę — odrzekł po namyśle, spuszczaając głowę na piersi — dla cudzoziemców zawsze trudny. I dla pani będzie trudny, pomimo niezaprzeczonego talentu i studyów przebytych. Będę się starał, ale za rezultat nie ręczę. Mówił niezwykle powoli, widocznie się wahał, nie ufał, a był widocznie skrepowany ową poprzednią zachętą, której udzielał może w przekonaniu, że Ola z niej nigdy korzystać, ani odwoływać się do niej nie będzie. Nagle podniósł głowę i badawczo spojrział na Olę. Ona widząc wahanie się człowieka, na którego życzliwą protekcję bezwarunkowo liczyła, stała przed nim blada, zmieszana.

— Cóż na to powie pani de Larjeac? — spytał szybko.

Ola wyciągnęła ku niemu rękę.

— Panie Padeloup — rzekła stanowczo — zarę-

czam panu, że powody, które mię skłoniły do opuszczenia domu
mojej
dotychczasowej opiekunki, są tego rodzaju, że ich się w niczem
wstydzę nie
potrzebuję, a pani de Larjeac ani mnie, ani tym, którzyby mi w
dalszem życiu
pomocną podali rękę nic do zarzucenia mieć nie będzie. Nie
przypuszczani, aby
zachowała żal do mnie, a ja na zawsze wdzięczną jej i życzliwą
pozostanę,
choć na razie nie chciałabym, aby wiedziała, gdzie jestem i co
zamierzam,
dlatego, by uniknąć perswazyj, którychbym usłuchać nie mogła, lub
prośb,
któreby z boleścią odrzucić musiała. Jeżeli pan odmówisz mi, nie
zechcesz
dopomódz, ułatwić pierwszych kroków, rozpocznę je sama.
Mówiła to z takim akcentem prawdy i taką szczerością, a była tak
piękna z tym
wyrazem niezłomnego postanowienia w rozplomienionych oczach i
twarzy, że stary
dyrektor mimowoli uczuł się poruszonym.
Podaną sobie rączkę serdecznie uścisnęła.
— Wierzę — odparł — i nie przypuszczałem nigdy nic złego;
przecież nie od
dzisiaj patrzę na ciebie i sam doradzałem ci nieraz zawód artystyczny,
to
prawda, Teraz tylko idzie mi o to, czy usiłowania nasze nie spotkają
się z
opozycją hrabiny, która, jak wiesz, ma w świecie paryskim rozległe
stosunki i
mogłaby nam bardzo zaszkodzić.

— Nie przypuszczam tego! — przerwała Ola. — Jestem pewna nawet, że gdy krok stanowczy będzie uczyniony, pani de Larjeac zaniecha wszelkiej opozycji i ze zwykłą sobie dobrocią pospieszy z poparciem.

A zresztą — dodała, trafiając w słabą stronę ambicyi dyrektora — potężne wpływy pana i jego znaczenie w świecie artystycznym mogłyby wszelką opozycję pokonać.

Pasdeloup uśmiechnął się z zadowoleniem.

— No, no, zapewne — bąkał — dotychczas kogom wprowadził — sukces! O ciebie się także nie boję, śliczny głos, postawa wspaniała. Ale — dorzucił, mrużąc oczy i przypatrując się Oli od stóp do głowy — zawsze lepiej się nie narażać. Hrabina ma wielkie stosunki i radzę ci z nią nie zrywać. Ja ci się przyznam, że mam nawet dla niej pewne obowiązki i nie chciałbym postąpić wbrew jej woli. W przeszłym roku, słyszałaś? awantura! Chciałem na koncertach moich wprowadzić Wagnera — Nibelungi, wspaniała kreacya! Zerwała się burza, głupie protesty gawiedzi, niemającej pojęcia o sztuce. Protesty przeciw mnie! Musiałem się cofnąć i usunąć Wagnera z programu, a gdyby nie pani de Larjeac, która gorliwie agitowała za mną, kto wie, czy nie byłbym na koncertach tak samo stracił, jak na teatrze lirycznym. Był już przeciw mnie uknuty spisek. Chodził po pokoju wielkimi krokami, żywo gestykulując i byłby jeszcze długo mówił o tej sprawie, która go widocznie dotychczas nie przestała boleć, gdyby

Ola, zbliżając się, nie była mu przerwała.

— Niech pan będzie zupełnie spokojny — rzekła — pani de Larjeac, zaręczam panu, wyrazi ci wdzięczność, jeżeli mię nie opuścisz i dopomożesz.

Dyrektor chodził ciągle zamyślony. Jeszcze się wahał.

— Zawsze to dziwne — mruczał — wygląda to na jakąś ucieczkę, awanturę. Nikt wierzyć nie zechce.

Ola poruszyła się żywo. Podniosła głowę, zarumieniona.

— A! — zawołała — nie ufasz mi pan! To dobrze. Przepraszam, że pana trudziła, wierząc dawnym jego słowom. Pójdę w świat sama; czy tu, czy gdzieindziej, znajdę sposób do życia.

Zabierała się do wyjścia. Padeloup szybko ku niej poskoczył.

— Ale, cóż znowu! — mówił — ja najzupełniej ci wierzę; idzie tylko o świat, o ludzi. Gotów jestem dopomóc, w czym tylko będę mógł. Zanadto cenię twój talent.

Ujął ją za obie ręce i przenikliwymi oczami patrzył w jej twarz, blisko. — Śliczna to byłaby artystka! — dodał — cudowna! Cały Paryż zgłupieje i padnie do twych stóp.. A jak tam z serduszkim? co? drogie dziecko...

Ola zmięszała się bardzo. Od początku tej rozmowy czuła w tonie dyrektora dziwną zmianę. Obok życzliwości, jakaś poufałość, której dawniej nie było. Mówił do

niej bardzo swobodnie i nazywał "drogiem dzieckiem", traktował zupełnie inaczej, niż w salonach hrabiny de Larjeac.

W pierwszej chwili Ola chciała się cofnąć i jednym spojrzeniem wskazać mu

niewłaściwość tonu. Ale wnet przyszło zastanowienie. W dzisiejszej po-

zycy nie można było tak łatwo się zrażać, a wiele znieść należało dla osiągnięcia upragnionego celu. Odrzekła więc chłodno, ale siląc się na uśmiech:

— Moje serce, panie Padeloup, jest i będzie spokojne.

— Ho! ho! -przerwał dyrektor — nie zaręczajmy! Ty nie wiesz jeszcze, co to jest

scena, jaki wpływ wywierają na najbardziej nawet zdrowe natury ciągłe wrażenia,

wzruszenia, ciągłe niespodzianki, jakie nam, artystom, gotują nerwy nasze,

własna wyobraźnia, zmysły...

— Byle już raz tylko — wtrąciła Ola, pragnąc co rychlej odwrócić rozmowę, — byle

już raz dostać się na scenę. Co mi pan radzisz?

Padeloup się zamyślił.

— Pora jest wprowadzić nie zła — rzekł po chwili poważnie. — W dawnym teatrze

Gaîté, przeistoczonym obecnie na narodowy teatr liryczny, — wiesz, na skwerze

des Arts et Métiers — wystawiają teraz operę Masségo: Paul et Virginie. Opera

śliczna, a jest w niej cudowna kontraltowa partya Méali.

— Znam tę partyę! — zawołała uradowana Ola — studyowałam ją umyślnie.

Podbiegłszy do fortepianu, usiadła i sama sobie akompaniując, zaczęła śpiewać.

Zaśpiewała jedną arję z aktu pierwszego i końcową piosenkę.

Padeloup słuchał bardzo pilnie, daleko baczniej, niż kiedykolwiek przedtem, gdy

uważał Olę za dyletantkę, popisującą się w salonie. Teraz już była to

gotująca się do występów scenicznych artystka, której należało dać sumienną

radę. Zwracał przeto krytyczną uwagę na każdą nutę, na ton każdy, który z piersi

Oli wypływał, pełny siły, uczucia, barwy.

W miarę, jak słuchał, zamyślona twarz jego rozpromieniała się dziwnie. Uśmiechał

się chwilami i zacierał ręce.

— Bravo! bravissimo! — wołał.

Zaczął chodzić po pokoju wielkimi krokami czasem przystawał i nadśluchiwał

jeszcze.

— Co to za szkoda — szeptał sam do siebie — że ja nie mam teatru, tobym dopiero

urządził występ, ha, ha!

Ola skończyła śpiewać i zarumieniona wstała od fortepianu.

Pasdeloup podbiegł do niej i za obie ręce uchwycił, ściskając je mocno. Był

silnie wzruszony.

— Wiesz co? — rzekł — jeśli ten występ uzyskamy, no, to karyera świetna!

Pierwsze chwile wahania i niepewności starał się teraz wynagrodzić niezwykłym

zainteresowaniem i serdecznością.

Sam począł układać rozmaite projekty, to chodząc po pokoju i mówiąc sam do

siebie, to" zatrzymując się przed Olą i przedstawiając jej rozmaite plany.

Ostatecznie jednak stanęło na tem, aby wszelkie usiłowania wyteńczyć dla uzyskania

występu w narodowym teatrze lirycznym i to koniecznie w partyi Méali, w głośnej

operze Masségo.

Dyrektor był teraz pełen dobrych nadziei.

— Uda się, musi się udać! — wołał. — Pojedziemy zaraz do pani Carvalho; to dawna

moja przyjaciółka, nie odmówi pomocy. Pojedziemy potem do pań Heilbron i Ritter, do pani Téoni.. wszystko artystki teatru lirycznego, trzeba żebyś je poznała.

Dziś jeszcze rozmówię się z przyjacielem Masségo, Capoulem, tenorem, którego pewnie słyszałaś... przepyszny głos! Musimy wziąć szturmem pozycję, zdobyć Méalę! Niech się Sbolgi, która tę partyę teraz śpiewa, niech się wścieknie! Cóż to za porównanie... ręczę za sukces olbrzymi! Mówiąc to szybko, żywo, wdziewał palto, szukał kapelusza i laski, a wreszcie gdy

już wszystko było w porządku:

— Jedziemy! — zawołał - jedziemy do pani Carvalho!

Podał ramię Oli i wychodził już z nią razem, lecz jeszcze na progu się wstrzymał.

— Ale, ale — rzekł. — A to dobre roztargnienie! Zapomniałem się spytać, gdzie

się umieściłaś. Przecie sama mieszkać nie możesz!

Ola wymieniła hotel.

— Cóż za myśl! — zaprotestował Padeloup. — To niepodobna!

Rodzina moja

najchętniej...

— Dziękuję panu — przerwała Ola stanowczo. — Dziękuję

"najszerzej, ale

przyjąć nie mogę. Postanowiłam sobie odtąd nigdy i u nikogo gościnności nie

przyjmować. Chcę być zupełnie samodzielną.

Dyrektor znowu zpod oka podejrzliwe rzucił

spojrzenie. Jakieś pytanie drżało mu na ustach, lecz go nie wypowiedział,

nieznacznie tylko głowa pokręcił i milcząc już, pojechał z Olą do pani Carvalho.

Parę dni następnych spędziła Ola jak w gorączce: Ciągłe wizyty,
starania,
obietnice i zawody, nieustanne próby głosu, które ją szczególnie
nużyły,
wieczory u pana Padeloup, gdzie gromadził się świat artystyczny,
aby podziwiać
nową "gwiazdę", o której sam dyrektor cuda rozповідаł.
Zaraz na wstępie miała sposobność przekonać się Ola, że zdobyć w
tym świecie
stanowisko nie przyjdzie jej łatwo. Nie szczędzono wprawdzie
zapewnień, pięknych
słówek, pochwał i oklasków, ale zmysł jej spostrzegawczy pozwolił
jej ocenić z
kilkunastu charakterystycznych szczegółów, o ile na to rachować było
można.
Przyjrząwszy się zbliska, dostrzegła ona odrazu różne zawiści i
nieubłagane
spółzawodnictwa, które w tym świecie nurtowały, silniejsze niż
gdziekolwiek
indziej, bo podsycane nerwowością i gorączką artystycznego
temperamentu.
Przekonała się też odrazu o słuszności tego, co mówił jej pan
Padeloup, o
wpływach pani de Larjeac i jej znaczeniu. Pochwały sztywniały,
obietnice
chłodły, zachowanie się zmieniało, skoro się tylko dowiedziano, że
Ola opuściła
dom pani Stefanii i chce się obyć bez jej protekcji. Fakt ten — czuła
to ona
teraz dobrze — rzucał na nią dwuznaczne światło; nikt w chęć
samodzielności
wierzyć nie chciał, każdy podejrzywał. Artystki patrzyły na nią trochę
z ukosa,
już z góry lękając się niebezpiecznego spółzawodnic-

twa, artyści zaś stawali się czasem nadto swobodni, nie tając zachwyków, które się raczej do powierzchowności, niż do talentu odnosiły. Uczuła Ola, że ją otaczać poczyna zupełnie inna atmosfera; że podczas, gdy ona została ta sama, i taka sama pozostać pragnęła, świat nagle wokół niej się zmienił, zajął inne stanowisko. Przekonała się, że to, co się jej zdawało do wykonania łatwym, że ten program, jaki sobie wymarzyła, cichego, skromnego, a poświęconego pracy artystycznej życia, w praktyce na niezmiernie, może nieprzewyciężone natrafi przeszkody. Tak jak ona żyć zamierzała, nie biorąc udziału w wielkim ruchu stolicy, żadna z większych artystek nie żyła. Każdy jej mówił o konieczności rozgłosu, reklamy, blasku. Inaczej w tym tłumie olbrzymim wybić się było niepodobna. Talent wprawdzie czuła w sobie, głos miała piękny niezwykle, ale Paryż do znakomitości przywykł, bez reklamy nie dosłyszałby jej głosu i jej samej nie dostrzegł. Trzeba było koniecznie o ten rozgłos się postarać, uzyskać protekcję, dać się poprzedzić reklama. Wprawdzie pan Padeloup z gorączkowym zapałem brał się zrazu do rzeczy. Ale Ola wiedziała, że zapał ten rychło ostygnie, że wreszcie dyrektor własnymi sprawami mocno zajęty, przy najlepszej woli nie będzie mógł długo nią się zajmować. Przytem — i to zaraz dostrzegła Ola — stary dyrektor od czasu swych wagnerowskich zachcianek, miał silne przeciw sobie stronnictwo, które paraliżowało jego wpływy i

osłabiała popularność. Ztąd też i jego protekcją mogła się okazać ostatecznie nie bardzo skuteczna. Co zaś było najfatalniejszym, to zwłoka, na jaką odrazu przygotowano Olę. W teatrze lirycznym, jeśli w ogóle jej występy mogły być dopuszczone, to nie wcześniej jak w sezonie jesiennym — zatem pół roku czekania! pół roku niepewności, ciągłych prób i zabiegów! Wszystkie te trudności od razu, w pierwszych już dniach, zarysowały się wyraźnie w umyśle Oli. I przeraził ją ten świat nieznany, obcy, w który się sama rzuciła, wyrzekając się jedynej pewnej opieki. Któż się teraz ujmie za nią, kto poda braterską rękę w tej walce, jaka ją niechybnie czeka? Zygmunt! On jeden mógłby i powinien. On jeden, gdyby przyszedł, samą obecnością swoją dodałby jej już otuchy; nie czułaby się tak samotną, tak bardzo opuszczoną! W gorączkowym zajęciu pierwszych dni, Ola nie miała nawet czasu zawiadomić go o miejscu swego pobytu, chociaż ciągle o tem myślała, jako o rzeczy nie mogącej żadnemu ulegać wątpieniu. Gdy wreszcie, dnia trzeciego, znalazłszy chwilkę wolną, usiadła, by do niego napisać, zawahała się nagle. Zabrzmiały jej w uszach szyderskie słowa Ireny, którą wobec pani Stefanii wyraźne rzuciła podejrzenie na nią i na Zygmunta. Gdyby on teraz zbliżył się do niej, słowa te nabrałyby znaczenia, któżby chciał w prawdę uwierzyć? A zresztą, miłości swej dla Zygmunta ona sama

zaprzeczyłby już teraz nie mogła. Świadomość tego uczucia była
coraz w jej duszy
jaśniejszą. Uczucie to. było wprawdzie dotychczas pełne harmonii i
spokoju, ale
któż mógł ręczyć, że jakikolwiek od jej woli niezależny powód, nie
wyprowadzi go
z tonu i że burza nie rozszaleje nagle w jej duszy. Błyski jej i porywy
odczuła
już w sobie Ola w czasie ostatniego wieczoru u pani de Larjeac i w
czasie
rozmowy następnej z Irena. Na twarzy palił ją jeszcze pocałunek
Zygmunta, a
wspomnienie tej chwili przyspieszało tętno serca i rozogniało krew w
żyłach.
Nie, ona nie powinna, nie może wzywać go do siebie!
Niebezpieczeństwo teraz
stałoby się daleko groźniejszym, a w każdym razie ludzie nie
omieszkaliby z tego
skorzystać, aby rzucić cień potwarzy na to uczucie, które było dla niej
świętością, największym skarbem jej duszy.
Nie, ona go widzieć nie może, nie powinna! Chyba wówczas, gdy już
zdobędzie
stanowisko, gdy stanie u celu, gdy będzie siebie i swych sił
pewniejsza.
Podarła list rozpoczęty i załamała ręce. Wzrok jej machinalnie błędził
po
ścianach hotelowego pokoiku, oklejonych jaskrawym papierem w
bukiety. W głowie
tłumiły się myśli, coraz bardziej niespokojne.
I nagle jedna, ogniem przeniknęła jej duszę:
— On odnajdzie jej schronienie i przyjdzie sam...
Wszak musi już wiedzieć o jej zniknięciu i niewątpliwie jej szuka,
pełen trwogi.
Przyjdzie może za chwilę i powie, że się o nią tak lękał, że tęsknił do

chwil tych, które razem spędzali w pałacu na ulicy Murilla, samotni i poważni
wśród gwaru bawiącego się świata. Przyjdzie i odtąd będzie wracał do niej
codziennie, dzielić się z nią każdą myślą, każdym swoim uczuciem-
Opanowało ją rozrzewnienie rozkoszne, ale trwało krótko.
Znowu zmieszały się myśli w bezładzie, chmura smutku i zniechęcenia przytłoczyła
duszę, a przez tę chmurę, jak błyskawiczne zjawisko, przemknęła jasna, strojna
postać Ireny; zamigotały jej zielone oczy.
— Nie przyjdzie! — ona go nie puścił — szepnęła Ola, kurczowo zaciskając dłonie.
Nie przyjdzie — myślała dalej — odgrodzi się odemnie może nawet małżeństwem z tą
kobietą, która go zgubi, złamie i tak niemocną wolę jego; pognebi ducha, zabije
moralnie! i dlaczegoż ja nie mam stanąć z nią do walki, w jego obronie?
Chwilę jeszcze trwało szamotanie się wewnętrzne, ale sprawa była już rozstrzygnięta. Na białym bilecie Ola napisała swe imię i adres i posłała do mieszkania Zygmunta.
— Tak będzie najlepiej — szepnęła. — Zawiadamiając go o swoim mieszkaniu,
spełniam nawet obowiązek względem towarzysza lat dziecińczych i syna moich
dobroczyńców. Nie wzywam i nie proszę o nic Ale chyba teraz przyjdzie!
Reszta dnia minęła w gorączkowym oczekiwaniu. Napróżno! Każdy turkot powozu na
ulicy, każdy odgłos kroku na korytarzu odbijał się w jej sercu, przy-

spieszając gwałtowne jego bicie. I za każdym zawodem coraz to większa rozpacz
ogarniała Olę.

Noc przepędziła w gorączce, bezsennie. Dopiero nad ranem ogarnął ją sen ciężki,
kamienny, a przebudzenie było powolną torturą. W obezwładnionym mózgu budziła się zwolna świadomość, a myśli oprzytomniałe wpijały się jedna po drugiej w duszę, jak ciernie. I wreszcie pełny, całkowity obraz walk przebytych i wrażeń stanął przed nią, jak zmora. Wszystkie trudności obranego zawodu, niepewność przyszłości najbliższej, obawa, czy pomimo niezaprzeczonego i świadomego siebie talentu nie zginie w tej walce niskich współzawodnictw i zawiści, to wszystko tem jaskrawiej odbiło się teraz w jej znękaney duszy po chwilowem obezwładnieniu. Zerwała się z łóżka i gorączkowo ubierać się poczęła. Zdawało się jej niewątpliwem, że za chwilę przyjdzie on — Zygmunt — aby jej dodać otuchy w tej walce, jaką podjęła. On przecież jeden na całym świecie, on jeden, zdawał się do niej należeć, był jej bratem, opiekunem, całą rodziną — jakby spadkobiercą tych wszystkich uczuć, które miała dla niej matka, a potem panna Malicka. On był dla niej światem całym, mógł jej powiedzieć: czyn tak, lub inaczej; idź drogą, jaką sobie obrałaś, albo wróć do pani de Larjeac, przeproś ją, pojednaj się z Ireną. Sen krótki, twardy, po tej nocy, gorączkowo przebytej, po tylu wrazeniach, zamiast dodać jej siły, obezwładnił wolę. W tej chwili na jedno słowo Zygmunta, byłaby uczyniła wszystko, z rozkoszą uległa

iego woli i powróciła do pani de Larjeac, wyrzekając się wymarzonej

samodzielności. Byleby tylko przyszedł, spojrzął na nią swemi
pięknymi,
głębokimi oczami, przemówił pocziwem słowem...
Przywołana służąca hotelowa, krzątała się tymczasem w pokoju,
robiąc porządek.
Przyniosła Oli śniadanie i ukradkiem rzucała ciągle badawcze
spojrzenie na tę
piękną panie — śpiewaczkę, jak mówiono, która urodą swoją, a
równie niezwykłą
powagą i smutkiem, powszechną w hotelu zwracała uwagę.
Kilkakrotnie chciała
zawiązać rozmowę, napróżno; Ola zbywała ją krótkim słowem, a
wreszcie
odprawiła.
Służąca, wzruszając ramionami, wyszła. A Ola, zamknąwszy drzwi na
klucz, usiadła
przy stoliku, przed nietkniętym śniadaniem i usiłowała zebrać myśli.
Daremna
praca! Wszystkie one zbiegały się, jak wczoraj, w słuchu, a słuch się
wyteżał,
chwytając każdy hałas na ulicy, każdy szelest na korytarzu, każdy
odgłos kroków
pod drzwiami.
Ile tak czasu minęło, nie wiedziała sama Gdy wreszcie około południa
drgnęła,
jakby tknięta iskrą elektryczną. Odgłos kilku kroków dał się słyszeć
na
korytarzu, donośna rozmowa, pytania i odpowiedzi odzwiernego,
śmiech swobodny o
przenikliwym brzmieniu i nagle cisza. Wszystko zatrzymało się i
zmiłkło u drzwi
pokoju Oli.
Ona wstała, wyprostowana sztywnie, blada. Cała krew zbiegła jej do
serca, w
którem odbiło się donośnym echem pukanie do drzwi zamkniętych.
Ktoś zapukał,
potem moment ciszy i szarpnięcie za klamkę.

— Ola! Ola! — ozwało się wołanie. Gwałtownym ruchem Ola podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież. U progu stała pani Stefania, a za nią Irena i Zygmunt.

Jednym rzutem oka, szybkim jak błyskawica, Ola objęła obraz cały. Zygmunt wydał się jej smutnym i dziwnie zmięszanym, jakby siebie niepewnym, Irena uśmiechniętą, rozpromienioną, ze złośliwymi błyskami w oczach, pani Stefania serdecznie prawdziwie wzruszoną.

— Moje drogie dziecko! — mówiła pani de Larjeac ze łzami w głosie, obejmując jej głowę, chylącą się przed nią z uszanowaniem — moje drogie, biedne dziecko, czyż to się godzi?...

Więcej mówić ze wzruszenia nie mogła. Weszła do pokoju, a za nią Irena i

Zygmunt. Pani Stefania usiadła w fotelu znużona, oddychając ciężko, rozplakana.

Ola uknęła przed nią. To wzruszenie widoczne, szczere, rozrzewniało ją więcej,

niż najtkliwsze słowa. Zaczęła więc mówić serdecznie, pokornie, przepraszając za

krok może zbyt porywczy, tłumacząc się z powodów, zapewniając o swojej wdzięczności i przywiązaniu.

— Twoja dobroć, pani — rzekła — krępowała moją wolę, ja chcę i muszę

samodzielnie pracować. Poczyłam już starania, mam obietnice.

— Dobrze, dobrze — przerwała pani de Larjeac — ja ci w niczem przeszkadzać nie

chcę. Zrobisz jak zechcesz, ale powróć do nas! Przecież na Irenę gniewać

się nie będziesz. Znacie się od dzieci, słów jej nie powinnaś tak brać do serca.
Chwilowe rozdrażnienie, dziecinny kaprys, nic więcej! Widzisz, przyszła tu sama, aby ci to powiedzieć. Dziś z rana Zygmunt przybiegł do nas, przynosząc twój bilet i adres. Wiedział jak byliśmy wszyscy niespokojni o ciebie, więc idąc do ciebie, wpadł do nas, aby nas zawiadomić. Irena zatrzymała go i sama podała myśl, abyśmy wszyscy razem tu przyszli.
Ola, klęcząc przy pani Stefanii, całowała jej ręce. Przy ostatnich słowach drgnęła, podniosła głowę i pełnemi jeszcze łez oczyma spojrzała na Irenę.
Panna de Larjeac stała przy stoliku obok Zygmunta, ku niemu zwrócona, jakby obca czulej scenie między hrabiną a Olą: Od czasu do czasu rzucając na Zygmunta spojrzenie, niby znaki porozumienia, przepatrywała zwolna karty wizytowe, leżące na stoliku. Były to bilety p. Padeloup, Capoula, pani Teoni i innych jeszcze artystów. W chwili, gdy pani Stefania ostatnich słów domawiała, Irena trzymała właśnie w ręku bilet Capoula i pokazywała go Zygmontowi z uśmiechem, który wydał się Oli niewymownie złośliwym.
Zygmunt chmurny, blady, przyjmował ten uśmiech bez protestu — milczał, nie patrząc na Olę.
Ona zaś czuła, że serce jej, poruszone na chwilę czułością pani Stefanii, krzepnie i zamyka się stanowczo. Osłupiałym, sztywnym wzrokiem spoglądała na Zygmunta i Irenę, którzy stali ciągle w tej samej po-

zycy, obcy wszystkiemu, co się wokoło nich działo, zajęci sobą i własnymi myślami.

— Wierzaj mi — mówiła dalej pani Stefania — nie przypuszczałam w czasie naszej ostatniej rozmowy, że swój pomysł szalony zechcesz doprowadzić do skutku.

Uważałam to za dzieciństwo... Co się tyczy Jakóba, to przecież znasz go dobrze i nigdy się nie spodziewałam, że tę sprawę w ten sposób traktować będziesz.

Zatrzymała się nieco, a widząc, że Ola milczy i przyjmuje to, jako dobry znak

jej skruchy i skuteczności swej wymowy, zaczęła po chwili:

— Przyznam ci się szczerze, że ja oddawna widziałam skłonność mego biednego

Jakóba dla ciebie. Wiesz, jak jestem do niego przywiązana i jak mnie zawsze

martwiła jego niczem niewzruszona apatya. Spostrzegłszy, że się ożywia tem

uczuciem, a znając twój rozsądek i zacność, nietylko, że nie miałam żadnej

obawy, ale byłam nawet temu rada. Spodziewałam się, że ty tak tą sprawą

pokierować potrafisz, aby...

Ola powstała nagle i wyprostowała się całą postacią.

— Aby — przerwała pani Stefanii — aby uleczyć hrabiego Jakóba z apatyi... Miałam

być dostępnem, a miłem lekarstwem... Czy tak?

Zaśmiała się gorzko.

— Ależ nie! cóż znowu? — zawołała pani Stefania, poruszając się żywo —

rzeczywiście dziwnie nie chcesz rozumieć słów moich. Powinnaś przecież znać

mnie i wiedzieć, że nigdy względem ciebie jakichkolwiek złych
intencji mieć nie
mogłam... Jakób także w niczem ubliżyć ci nie chciał. Biedny, taki
jest
zrozpaczony tem, co zaszło i taki onieśmielony, że nawet tutaj z nami
wejść się
nie odważył... czeka w powozie na ulicy...
— A! — zawołała Ola — hrabia Jakób jest tutaj?
Podbiegła do drzwi i zadzwoniła gwałtownie.
— Prosić hrabiego de Larjeac! — rzekła do garsona, który w tej
chwili się ukazał
— prosić, aby raczył tu wejść natychmiast.
Nie dając przyjść do słowa, zbliżyła się znowu do hrabiny i pochyliła
się do jej
ręki.
— Pani hrabino! — rzekła spokojnie, ale stanowczo — to, co
napisałam, powtarzam
teraz ustnie: za twoją dobroć, za opiekę mi udzieloną, będę ci
wdzięczni na
zawsze. Ale pod dach twój, pani, nie mogę wrócić i nie wrócę!
Zanim pani de Larjeac odpowiedzieć zdołała, drzwi się otwarły i na
progu ukazał
się hr. Jakób niezwykle pomieszany i blady.
Wysoka, chuda jego postać zdawała się chwiać na cienkich nogach;
oczy błędziły
po pokoju, jakby szukały punktu oparcia, nie śmiąc spojrzeć na Olę.
Postąpił
parę kroków i zgiął się przed nią w głębokim ukłonie, milczący.
Ola chwilę patrzyła na niego, a potem z ukosa spojrzała na Zygmunta
i Irenę.
Bardziej jeszcze ku sobie zbliżeni, zdawali się ciągle porozumiewać z
sobą

wzrokiem i ruchami. Była między niemi nieokreślona, nieuchwytna
ale ciągle

łączność, którą Ola odczuła. Tworzyli dla siebie świat odrębny,
ciekawem!, a
często złośliwemi oczyma patrzący na scenę, na której ona, Ola, była
dla nich
niczem więcej, tylko mniej lub więcej interesująca... aktorką.
To ją snadź zdecydowało stanowczo.
Postąpiła ku Jakóbowi i wyciągnęła ku niemu rękę.
— Panie Jakóbie! — rzekła głosem twardym, silnym — przed kilku
dniami
ofiarowałeś mi swoją miłość, odpowiedziałam ci wówczas szorstko,
bom jest w pół
dzikie stworzenie, nienawykłe do obyczajów ucywilizowanego świata,
nie
oceniające pozycyi swojej. I dziś miłości twej podzielić nie mogę, ale
słowa
szorstkie cofam. Jeżeli towarzystwo moje i widok mogą ci sprawiać
przyjemność,
to chciej pan w przyszłości nie zapominać o mnie.
Zamilkła wysilona.
Jakób trzymał jej rękę w swoich dłoniach. W miarę, jak mówiła, on
zwolna głowę
podnosił i wpatrywać się w nią począł sztywnie, badawczo. W jego
jasno
błękitnych oczach migotać zaczęły płowe błyski.
— Cha! cha! cha! — zaśmiała się nagle Irena — szczęśliwy Jakób!
Jak rumak, draśnięty do krwi ostrogą, Jakób zachnął się i przyskoczył
do
siostry. Cała jego postać i twarz zmieniły się w jednym mgnieniu oka.
Twarz
pałała ogniem, postać prostowała się dumnie.
Porwał Irenę za ramię i szarpnął gwałtownie.

— Milcz! — krzyknął — czy nie widzisz, że to nieszczęśliwa a
dzielna istota,
której stopy całować byś powinna! Przyszłaś jej tu urągać, a ja ci
mówię: milcz

Jak trup blada, zaciskając zsiniałe wargi, Irena gięła się pod naciskiem dłoni

brata, i wystraszonemi oczyma patrzyła na niego, nie pojmując tej niespodziewanej zmiany.

W tym nagłym wybuchu apatycznego zwykle i jak lód zimnego człowieka była tak

zdemniwiająca siłą, że poraziła wszystkich. Pani Stefania powstała szybko z

miejsca, zalękniona, prawie nieprzytomna, Zygmunt poruszył się żywo, jakby na

obronę Ireny chciał spieszyć. Najrychlej ochłonął Jakób.

Puścił ramię Ireny i wracając do zwykłej sztywności, zbliżył się do Oli.

Wyciągnął do niej rękę, pochylając się nisko.

— Przepraszam panią — ozwał się stłumionym głosem —

przepraszam za siebie i za

siostrę...

Poczem zwracając się do hrabiny, podał jej ramię.

— Chodźmy! — rzekł stanowczo.

Wychodzili wszyscy.

Pani Stefania u progu rozrzewniła się znowu.

Ujęła Olę w ramiona i całować poczęła.

— Moje ty drogie dziecko! — powtarzała, łkając niemal — czyń więc, jak chcesz,

ale pamiętaj, że we mnie masz zawsze macierzyńskie serce. Pozwól czuwać choć

zdaleka nad sobą.

— Proszę o to — odrzekła Ola, całując jej rękę z głębokim uczuciem.

Ostatni wychodził Zygmunt.

— A ty... a pan... nie powiesz mi nic?... ani słowa? — spytała go Ola, ściskając

mocno podaną sobie rękę.

Zygmunt pochylił głowę na piersi, milcząc

— Nic? ani słowa? — powtarzała Ola patrząc na niego oszalałym wzrokiem. —

potępiasz mnie?

Zygmunt się wzdrygnął. Walczył z sobą; słowa krztusiły go, niewypowiedziane; oglądał się za siebie, jakby się opóźnienia lękał, unikał wzroku Oli, który go piekł wyrzutem.

— Nie potępiam... — bąkał — nie potępiam... ale się dziwię...

— Zygmuncie! Zygmuncie! — zabrzmiał głos Ireny na schodach.

On wyrwał swą rękę z uścisku Oli i niepatrzac na nią, wybiegł.

Drzwi zamknęły się za nim z głuchym odgłosem.

Ola stała jeszcze długą chwilę na jednym miejscu, słuchając echa kroków, które

cichło zwolna i skonało w oddali.

Została sama. I ogarnęła ją pustka beznadziejna, rozpaczliwa.

VIII.

Jerzy, przybywszy z Borskim do Paryża, nie mógł zbyt często widywać się z

Zygmuntem, musiał bowiem przedewszystkiem oddać się

pielegnowaniu starca, który

coraz bardziej i coraz groźniej zapadał Z dniem każdym nić wiążąca go z życiem

stawała się węższą, a gorączka wewnętrzna coraz ją silniej targają, grożąc

lada chwila zerwaniem.

Borski nie puszczał od siebie Sipajłły, dniem i nocą nie dawał spokoju ani jemu,

ani Tomaszowi, który na wyraźne żądanie Jerzego towarzyszył swemu panu w tej

podróży. Sipajłło żądał tego, aby mieć zaufanego wyęcyciela przy chorym,

którego agonია mogła być długa i ciężka.

Już teraz, gdy był u celu, mniej go zajmowała kwestya, czy Borski dłużej lub

krócej utrzyma się przy życiu. Starzec wymaganiami swemi
doprowadzał go nieraz
do rozpaczy, krępując jego zamiary, zabierając mu czas tak drogi.
Jerzy
przemyślał teraz tylko nad tem, jakby się pozbyć tego ciężaru.

Tymczasem z każdej wolnej chwili korzystał, aby swoje zamiary
doprowadzić do
skutku. Zygmunt niemało mu to ułatwił. Od pani de Larjeac i księcia
de Sarthes
uzyskał dla przyjaciela swego listy polecające do pierwszych powag
lekarskich, a
dzięki temu, Jerzy otrzymał z łatwością wstęp do szpitali i klinik
paryskich dla
robienia studyów. Prócz tego uczęszczał na wykłady słynniejszych
profesorów,
przyglądał się dokonywanym przez nich operacyom, a po nocach
całych ślęczał
nad badaniem przedmiotu, któremu się głównie poświęcał: nad
badaniem natury i
istoty choroby raka.
W ciągu kilku pierwszych tygodni swego pobytu w Paryżu, pochłonał
on niemal
wszystko, co o tej chorobie w nowszych czasach pisano, a im więcej
czytał; im
bliżej badał, tem większa otaczała go ciemność. Przekonywał się, że w
tej
sprawie niemal wszystko było tajemnicą. Usposobienie dziedziczne,
zakażenie
krwi, przyczyny przypadkowe, jak uderzenie lub zranienie, to
wszystko powtarzano
w kółko, ale istota choroby pozostawała tajemnicą.
— Ja ją odkryję! — myślał Jerzy — dokonam większego czynu, niż
wszelkie
tegoczesne wynalazki wskażę wyraźnie, niezbitcie, czem jest ten
straszliwy wróg

ludzkości, a raz to wskazawszy, znajdę środek na jego zwalczenie.
Pod nożem
chirurga giną dziś tysiące ofiar, a ci nawet, którzy szczęśliwie
operację
przebyli, nie mają żadnej rękojmi, że jutro, pojutrze choroba nie
wybuchnie z
nową siłą, Ja wskażę inne drogi.

Wiedziano już w Paryżu o ciekawych badaniach bakteryologicznych,
jakie dr. Koch,
podówczas skromny lekarz w Wallstein, przedsiębrał i mocno
zajmowano się tym
przedmiotem, bez pozytywnych wszakże wyników. Myśl, poruszona
przez Kocha,
utkwiała w mózgu Sipajłły i nie dawała mu spokoju. Zdawało mu się
rzeczą
nieulegającą wątpieniu, że istota raka na tej tylko drodze zbadana być
może.
Wyprzedzić Kocha, uzupełnić jego badania nad zakażeniem ran,
odkryć nurtujący w
organizmie lasecznik raka, a stwierdziwszy jego istnienie, zgłębić go
bez pomocy
dotąd stosowanej, niebezpiecznej, a bezskutecznej ekstyrpacji, stało
się dla
niego celem jedynym, ku któremu dążyć począł z gorączkowym
zapałem.
Gromadził materiały i pisał memoriał, który w swoim czasie
zamierzał przedstawić
Akademii medycznej. Brakowało mu jeszcze ostatniego tylko słowa,
stanowczego
dowodu na poparcie teorii, brakowało niezbitego doświadczenia. Ale
jak je
uzyskać?
Na to potrzeba było na zdrowe ludzkie ciało przeszczepić zarazek i
potem dzień

po dniu, godzina za godziną, śledzić rozwój choroby. Jak dojść do tego?

Myśl ta nie dawała mu spoczynku; prześladowała go w dzień, a w nocy sen spędzała z powiek.

Tą sprawą zajęty, zapomniał przez czas dłuższy o Zygmuncie, gdy raz, wracając ze szpitala, spotkał go na ulicy.

Zygmunt chmurny, milczący, pociągnął go do siebie. Od kilku tygodni mieszkał już we wspaniałym apartamencie, w pałacu księcia de Sarthes.

Sipajłło wszedłszy tam, rozglądał się ciekawie i nie mógł utaić podziwu.

— Prześlicznie mieszkasz! — ozwał się po chwili. — Co to znaczy być

Czarnoszyńskim!... I tu, bez wielkich wysileń, znalazłeś wszystko, co tylko

wymarzyć można. Podczas gdy ja...

Zygmunt zaśmiał się gorzko.

Sipajłło podniósł na niego zdumione oczy i dopiero teraz zauważył zmianę w całej

jego powierzchowności i twarzy. Wyglądał bardzo wytwornie, ale postać cała,

jakby ugiwała się pod brzemieniem smutku czy troski. Spojrzenie było niepewne,

wahające się, albo biegło gdzieś w dal, w smutnym zamyśleniu.

— Nie jesteś zadowolony? — spytał Jerzy.

Czarnoszyński odpowiedzi nie dał.

— Wiesz co, Jurku? — zawołał po chwili z pozornym ożywieniem — zapraszam cię

dziś na śniadanie... Pójdziemy de Véfoura, albo, jeśli wolisz, do Vachette

Bréban.

Jerzy ramionami dźwignął.

— To mi wszystko jedno. Ani jednego, ani drugiego nie znam.

— To dobrze — mówił Zygmunt, ciągle tym samym tonem —
zobaczysz, co to jest
pierwsza restauracya na świecie. Dziś jestem w takim usposobieniu,
zechcę żyć i
używać!

— A! — przerwał wykrzyknikiem Sipajłło i znów badawcze
spojrzenie zwrócił na
twarz Zygmunta, na którą wybiegły gorączkowe rumieńce.

— A! — powtórzył — jesteś więc dziś wolny od zajęć?

— Ja? — odparł Zygmunt — ja wolny jestem ciągle, jak ptak —
któremu skrzydła
podcięto!

— Nie rozumiem ciebie — zaczął Jerzy, coraz bardziej tonem
Zygmunta zdumiony.

— Nie dziwię się temu wcale — odrzekł Zygmunt — bo ja sam siebie
coraz mniej
rozumiem. Ale o tem potem, teraz pozwolisz, że wydam niektóre
dyspozycye i zaraz
pójdziemy.

Gorączkowo zadzwonił. Wszedł kamerdyner, wyprostowany,
sztywny, milczący.

— Gdyby książę pytał się o mnie — rzekł Zygmunt — albo gdyby
przysłano do mnie
od hrabiny de Larjeac, powiedz, że o piątej wrócę.

— Jest list do pana hrabiego — rzekł służący podając na srebrnej
tacce maleńki
liścik.

Zygmunt gorączkowo rozerwał kopertę i przebiegał szybko oczyma
treść lista.

Twarz jego jeszcze bardziej spochmurniała, brwi się marszczyły.

— Zostałeś widzę hrabią — mruknął złośliwie Jerzy, po wyjściu
kamerdynera —
winszuję.

Czytając list, Zygmunt z roztargnieniem odpowiedział na szyderczą
uwagę

Sipajły:

— A tak, tak, zostałem hrabią w przedpokoju księcia de Sarthes! Tu ludzie, widzisz, nie znaczą nic bez tytułu - dodał, mnąc w rękę i chowając do kieszeni przeczytany liścik. — Ubogi kuzynek wielkiej pani nie mógł przecież bez tytułu pozostać. Tak, zostałem hra-

bią, a czym jeszcze zostanę — dorzucił z gorzką, ironią — to niedaleka przyszłość pokaże.

— No, chodźmy! — zawołał po chwili, zmieniając ton nagle. — Nie wiele mamy czasu. O godzinie czwartej muszę już być z powrotem, aby się przebrać i jechać na ślub.

— Czyj ślub? — zapytał Jerzy.

— Mojej kuzynki, Ireny Larjeac — odparł szybko Zygmunt.

I mówił dalej tonem ostrym, urywanym:

— Może zechcesz przyjść, zobaczyć. Ciekawe widowisko! Tout Paris tam będzie. W

kościelnie św. Magdaleny, o godzinie szóstej wieczorem. Paradny ślub! Wychodzili już, gdy nagle wzrok Jerzego padł na bilet, leżący na stoliku.

— A... a... co to? — zawołał — Ola Oksanińska! Wszak to ta nasza Ola? Zawsze miałem na myśli i zawsze zapomniałem o nią cię zapytać.

I czytał dalej:

— Hôtel du Sénat, rue Tournon. Tam mieszka? Nie u hrabiny de Larjeac?

Zygmunt nie odpowiadał, chmurny. Nakładał rękawiczki, szarpiąc je niecierpliwie.

— Chodźmy! — rzekł. — Opowiem ci to później, przy śniadaniu. Ola nie mieszka

teraz ani u hrabiny de Larjeac, ani w hotelu du Sénat. Wkrótce
posłyszysz o
niej, będzie występowała w teatrze. Chodźmy!
W parę godzin później przyjaciele kończyli wykwintne śniadanie w
osobnym
gabinecie u Véfoura.

Zygmunt nie jadł prawie nic, za to pił wiele, a wychyliwszy ostatnią
czarkę
szampańskiego wina, kazał podać czarną kawę i likiery i zapaliwszy
cygaro,
wyciągnął się w fotelu.
— Szerokie życie! — zawołał — co? Jakże daleko jesteśmy od
jurpolskich czasów!
Gdy spojrzę przez te olbrzymie, kryształowe szyby na ruch
europejskiej stolicy,
własnym oczom wierzyć nie chce. To nie jurpolski kurhan złoty, ani
las kalinowy,
ani oksaniński step! A gdy spojrzę we wnętrze duszy, nie poznaję jej
także;
zmiany chyba jeszcze większe.
Podniósł się nieco, oparł na poręczy, wychylił kieliszek likieru i
znowu się
wyciągnął, otaczając się kłębamii dymu wonnego cygara.
Był widocznie podniecony trunkiem, oczy mu błyszczały, a twarz
pobladła.
Zamilkł, ale Jerzy przeczuwał, że wkrótce znów mówić zacznie, że nie
powstrzyma
słów, które w tem podnieceniu z głębi duszy wyrywały się na usta.
Postanowił więc nie przerywać chwilowego milczenia, aby nie
utrudniać wyznań,
które go zaciekawiały.
— Dziwna rzecz! - myślał — ma wszystko, o czym tylko zamarzyć
można. Bez pracy
używa zbytku, otacza go życie wykwintne, obraca się w tym świecie,
do którego

naprózno wzdychają tłumy, cisnące się tam, na ulicy, w zapasach o
kawalek
chleba, a jest w nim jakaś gorączka niepokoju i gorycz zawodu.
Jerzy rozglądał się dokoła. Po raz pierwszy

w życiu był w takim otoczeniu, wśród takiego przepychu. Po raz
pierwszy w życiu
spożywał tak wykwintne potrawy, których nazw nawet nie znał i
spijał wina tak
cenne. Z przyległych sal i pokoi dochodziła jego uszu wesoła wrzawa.
Przechodząc
widział zdala twarze uśmiechnięte, zadowolone, postacie o ruchach
wytwornych a
śmiałych. Nie było tu snąć wcale ludzi, przygnębionych ciężarem
pracy,
strwożonych troską o chleb powszedni.
Otoczenie to upajało go bardziej niż wino.
— Wkrótce — myślał — i ja w tym wytwornym świecie nie będę
zgubioną jednostką,
na którą nikt uwagi nie zwraca. Wkrótce, gdy tu wejdziesz, wszystkich
oczy ku mnie
się zwrócą, wszystkie usta szeptać będą imię znakomitego pogromcy
jednej z
największych plag ludzkości.
Na tę myśl ogarniało go rozkoszne ciepło.
Byleby tylko schwycić upragnioną sposobność jednego tylko
doświadczenia.
Doświadczenie stwierdzi niewątpliwie jego teorię, więc on tę
sposobność znaleźć
musi bądź co bądź. I pozyska sławę, rozgłos, stanowisko znakomite.
Cóż to za porównanie z tą pozycją, jaką nie pracą i zasługą, lecz
dzięki
stosunkom swoim pozyskał Zygmunt.
Spojrzał na niego nieledwie z litością.
Czarnoszyński poruszył się w tej chwili i zwrócił ku niemu.

— Pamiętasz Jurku — rzekł - naszą rozmowę przed kilku laty w Humaniu. Tyś był wtedy znie-

chęcony i pełen goryczy; mnie uśmiechała się jeszcze przyszłość paryska.

Pamiętam dobrze, coś mi wtedy powiedział: jedziesz w świat obcy, nie rozumieją cię tam i podepczą. Wydało mi się to wówczas wynikiem chwilowego rozgoryczenia;

dziś widzę, że w tych słowach była prawda. Życie to krwawy żart, którego celu dostrzedz niepodobna!

— Przecież ty tego mówić nie możesz — przerwał Jurek — idzie ci coraz lepiej.

— Doskonale! — wybuchnął Zygmunt — od kilku tygodni bawię się jak król!

Przyjąłem wspaniałą jałmużnę, bez obowiązków żadnych, za jakiś tylko pozór

pracy; mam pieniądze, otoczenie wytworne, korzystam z powozów, służby i całego

zbytku pierwszego pana w Paryżu; z jego przyjaciółmi przychodzę tu i upijam się

kilka razy na tydzień, przy wykwintnych śniadaniach i kolacyach, bywam na

kursach, spacerach operach, teatrach — wszędzie gdzie bywa Paryż, który się

bawi, słowem prowadzę życie szerokie... I to wszystko...

Urwał i zrywając się z miejsca, podbiegł do Jurka, schwycił go za ramię i

błyszczący wzrok utkwił w niego.

Sipajło podniósł nań zdumione oczy. Wyraz twarzy Zygmunta przypomniawszy mu w tej

chwili ową sprzeczkę w Odessie; był tak samo zmieniony.

— I to wszystko?... — powtórzył mimowolnie.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Zygmunt — to wszystko za pewien kompromis z sumieniem.

Wielkimi krokami zaczął schodzić po ciasnym pokoju: zdawało się, że się o jego ściany rozbije.
Sipajłło ramionami wzruszył.
Zawsze jesteś marzyciel, niepoprawny idealista — ozwał się po chwili. Jestem pewny, że twoją skrupuły to dzieciństwo, na któreby nikt inny uwagi nie zwrócił.
Życie mój kochany, ma swoje wymagania, to trudno. Gdzie nie można przejść tam trzeba przeskoczyć! Niepodobna, abyś całe życie z panną Anielą się modlił.
Zygmunt wstrzymał się na środku pokoju, iłowa Sipajłły wywołały nagle wspomnienie, które go w tej chwili poraziło, jak piorun. W pamięci, w duszy, jaskrawą błyskawicą odbiło się ono wrażeniem modlitw młodzieńczych, uniesień czystych, owych tryumfów ducha, o których mówił mu niegdyś ksiądz Stanisław.
Stał chwilę z oczyma utkwionemi w dal, jakby ścigając marę przeszłości.
— Aniela... — szeptał — Aniela...
Wzdrygnął się, jakby zmoreę odpędzał i ręką machnął.
— Masz słusność! - zawołał — ty zawsze masz słusność. Nawet wtedy ją miałeś, gdy szydziłeś z moich zapałów pobożnych, a sam szedłeś do Rózi z naprzeciwka.
Masz słusność! Życie jest życiem; głupi ten, kto w niem inne cele, prócz użycia widzieć chce.

— Teraz znów przesadzasz — przerwał Sipajłło. Mogą być i inne
jeszcze cele, na
przykład — nauka.

— Kłamstwo! — krzyknął Zygmunt. Wiem, co chcesz przez to
powiedzieć; chcesz
zostać sławnym,

wielkim. Ty mnie nazywasz marzycielem, a przy całym sceptycyzmie
swoim tyś także
marzyciel, chociaż w innym rodzaju. Przestrzegałeś mnie przed laty, a
przybyłeś
sam szukać sławy na obcym gruncie. Wszak sam twierdziłeś, że to
szaleństwo i
miałeś słuszność. Jest prawo w przyrodzie, z pod którego ani roślina,
ani
zwierzę, ani człowiek wyzwolić się nie zdoła. Na gruncie obcym
usycha, ginie lub
karłowacieje. I my tylko w swoim powietrzu, na własnym gruncie,
wśród warunków
swojskich, normalnie moglibyśmy się rozwijać. Tu zginiemy obaj,
zobaczysz.

Jurek lekceważąco się uśmiechnął.

— Nie stoimy na równi — rzekł po chwili. — Wiem ja dobrze co cię
gryzie i zabić
może. Wychowano cię miękko, ostrożnie, dbając tylko o to, abyś w
niczem żadnych
trudności nie miał. Napojono duszę twą sentencyjami bardzo
wzniosłymi,
roztkliwiono serce nadmierną czułością. Praktycznej pracy nie dano ci
się jąc
nigdy, nie widziałeś jej nawet, jak wygląda zbliska. Ojciec twój
gromadził
książki i czytał poezye, matka malowała i śpiewała. Oboje dobrzy, ale
niepraktyczni, rozmarzeni, a z sobą niezgodni. Ty rosłeś w atmosferze
rozstroju,

w cieplarnianem powietrzu. Wszyscy, którzy cię otaczali i otaczają,
tak rodzice,
jak panna Malicka, jak później Gruzewscy, jak dziś pani de Larjeac,
wszyscy
pracowali nad tem, aby cię woli pozbawić.
Powstał i prostując się przed zwierciadłem, szeroką dłonią w pierś się
uderzył.

— Ja co innego! — zawołał — ja mam wolę dojść do celu i dojdę!
Zygmunt bacznie spojrział na rozpromienioną twarz Sipajłły.
— Mylisz się — rzekł po chwili, spokojnie, lecz stanowczo. Ja przez
tych lat
kilka przemyślałem wiele i zbadalem swoją naturę o ile być może,
dokładnie. To
prawda, że wychowanie moje nie było zastosowane do terażniejszych
warunków. U
nas tam wszystko jeszcze idzie po dawnemu. Jak dziad i ojciec, tak się
wychowuje
i najmłodszy. W tem jest błąd wielki. Ale przyznaj, że i ty źle zostałeś
przysposobiony do życia.
— Dlaczego? — przerwał Sipajłło — mam zawód praktyczny, mam
chleb w ręku.
— To nie dosyć! A usposobienie twoje wewnętrzne? Rzecz dziwna,
jak się nasze
role zmieniły. Dawniej ja się łudziłem, tyś był trzeźwy; dziś ty się
łudzisz, że
się wybijesz wśród tego obcego społeczeństwa. Dobrze mi to kiedyś
powiedział
Flaubert. W tym względzie ja mam więcej doświadczenia od ciebie i
dlatego cię
uprzedzam. Mówiono ci w domu, powiedzieli ci rodzice: idź wyżej,
dorównaj innym!
a tyś sam dodał: wszystkich prześcignę! I być może, że pracą,
wytrwałością,
zdolnościami byłbyś tego dokazał na swoim gruncie. Tu nie dokażesz
nic.

Dojdziemy zatem do jednakowego rezultatu, chociaż z innych
przyczyn: ja skutkiem
— jak powiadasz — braku woli: ty z powodu nadmiaru ambicyi, którą
nazywasz wolą.
Sipajło się śmiał.

— Zobaczymy! — szeptał.
— Nie dokażesz nic! — powtórzył z mocą Zygmunt. W tych
warunkach stoimy zupełnie
na równi: ja z moją miękką naturą, ty z ambicyą twoją. Z tą jedną
różnicą, że ja
dziś się poddałem i nie walczę, a ty się szarpać będziesz i dojdiesz do
rozbicia. Kwestya czasu.
Na Jerzego mimowolnie oddziaływały ponure słowa Zygmunta,
wypowiadane z silnem
przeświadczeniem.
— Niech djabli porwą taką filozofię! — zawołał — którą cię
napojono. Ale na
szczęście ja mam drogę wytkniętą, którą pójdę. Ja złudzeniami nigdy
nie żyłem,
ale przyznaję, że ty teraz przeszedłeś mię w pesymizmie, Czuła panna
Aniela —
dodał, po dawnemu szydząc i pragnąc snadź odwrócić rozmowę —
nie poznałaby swego
wychowanka.
To imię, padające po raz drugi w ciągu tej rozmowy, podziałało
znowu silnie na
Zygmunta.
— Wiesz ty co? — rzekł znagła — dałbym połowę życia, abym mógł
do tych czasów i
do tych uczuć się wrócić. Dzisiaj — dorzucił, patrząc przed siebie w
zamyśleniu
— miałem dziwne złudzenie: zdało mi się, że w tłumie, na bulwarze
włoskim, widzę
przechodzącego księdza Stanisława. Pogoniłem za nim, ale zniknął mi
na skrócie

ulicy.

— Byłbyś mu poszedł do mszy służyć — przerwał ironicznie Jerzy —
albo może
palnąłbyś mu tak, jak mnie kazanie, by ztąd uciekał, bo zginie.

— Ani jedno, ani drugie — odparł Zygmunt. — Dawnej wiary już nie
mam, więc
służyć do mszy nie potrafię, a on kazania mego nie potrzebuje, jestem
pewny.

Jeśli tu przybył, to nie w takich, jak my celach, nie szukać uciechy lub
karyery, nie dla ambicyi lub rozkoszy, ale dla cichej pracy, dla
poświęcenia.

Sipajłło rozdrażniony szydził ciągle.

— Poświęcenie! cicha praca! — powtórzył — frazesa! Sam
powiadasz, że już nie masz
dawnej wiary, ale po niej zostało ci coś nakształt powierzchownego
blichtru; nie
wierzysz, a posługujesz się słowami, którym twój umysł przeczy;
został ci pozór,
który bez treści jest — obrzydliwy.

Zygmunt już nie słuchał szyderstw Sipajłły. — W tej chwili wybiła
godzina

trzecia. Czarnoszyński sięgnął ręką do kieszeni i wyjął zmięty liścik.

— Już czas - szeptał, czytając — już czas... Sipajłło zamilkł i bacznie
obserwował go z pod
oka.

— Czas na ślub księcia de Sarthes — wymówił zwolna — i twojej
kuzynki Ireny.

Zygmunt nagłym ruchem ręki potarł czoło, jakby z niego gnębiącą
troskę zetrzeć
pragnął.

— Chcesz być może na tym ślubie? — spytał tonem, któremu
widocznie usiłował
nadać brzmienie swobodne; mam kilka biletów do rozdania
znajomym, mogę ci
służyć. To ci ułatwi wejście do kościoła.

Sipajłło zrazu odmówił.

— Po co tam pójde? Nikogo nie znam.

— Przeciwnie — odparł Zygmunt — zobaczyłbyś tam dawną twoją znajomą, o którą się pytałeś, Olę.

— Nie poznałbym jej chyba — wtrącił Jerzy. Me widzieliśmy się lat tyle.

— O, poznasz niezawodnie — odrzekł Czarnoszyński — wyróżnia się urodą. Miałem ci o niej opowiedzieć i zapomniałem w zapale dyskusyi, która ani wesołą, ani, zdaje się, potrzebną nie była. Wina piłem za wiele i to mię tak usposobiło. Widocznie teraz pragnął zatrzeć wrażenie poprzedniej rozmowy; przymuszał się do wesołego śmiechu i żartów.

Wyszli na ulicę. Zygmunt zaczął opowiadać o Oli; świeże powietrze orzeźwiało go i uspokajało.

— Ile razy — wtrącił — piję trochę więcej wina, napadają mnie pesymistyczne myśli. Ale ty tego nie bierz zbyt na seryo. Ja ciebie wcale zniechęcać nie chcę, mnie zaś, jak widzisz, jest teraz zupełnie dobrze, lepiej niż się spodziewać mogłem.

— Daj pokój! — przezwał Jerzy — przed chwilą byłeś szczery, a teraz udajesz.

Wiem to doskonale, a przenikam nietylko całe znaczenie tego, co się mieści w słowach, które wypowiedziałeś, lecz widzę dobrze, co się w tobie dzieje. Jestem

doktorem i dam ci lekarstwo, boś ty chory Zygmuncie!

Czarnoszyński chmurnie spojrział.

— Jakie lekarstwo? — spytał krótko.

— Albo szukaj księdza Stanisława i Anieli, poświęcaj się i uświęcaj razem z nimi, albo...

— Albo co? — podchwycił Zygmunt, gdy Sipajłło

wstrzymał się, jakby się sam zawahał przed wypowiedzeniem swej myśli.

— Albo — kończył Sipajłło, zatrzymując się i biorąc Zygmunta za ramię — albo

powiedz sobie to, co ja sobie powiedziałem, gdym stanął na tym bruku, że w walce

o byt, albo w walce o to, co się nam dobrem wydaje, wszystkie środki są godziwe.

— A głos sumienia? — wtrącił Zygmunt. Jurek się zaśmiał.

— Głos sumienia — odparł — gdy nam staje, na drodze do szczęścia lub bytu, jest

wrogiem. Głos sumienia, to wynik naszego wychowania, naszych przesądów i

uprzedzeń, tego, co nazywamy tradycją, a co nas krępuje.

— Bądź zdrow! — rzekł nagle Zygmunt, podając mu rękę — muszę się spieszyć, wezmę

fiakra, nie mogę się spóźnić.

To mówiąc przywołał dorożkę.

— Cóż więc Ola? — rzucił jeszcze pytanie Sipajłło.

— A prawda, nie dokończyłem — odparł Zygmunt pospiesznie. Więc, jak ci mówiłem,

Ola przed kilku tygodniami opuściła dom pani de Larjeac i rozpoczęła samodzielne

życie. Znalazła już protektorów i wielbicieli, zaczynają mówić o niej.

Wkrótce

ma wystąpić w teatrze lirycznym, w operze Massé'go. Ja u niej dawne nie byłem,

ale mówiono mi, że urządziła, się bardzo pięknie. Mieszka na ulicy Papin,

urządza wieczory artystyczne. Na dwóch koncertach już występowała z powodzeniem.

— Hm... hm... — mruknął Sipajłło — to dziwne.
— Napatrzysz się tu jeszcze dziwniejszych rzeczy

— odparł Zygmunt, wsiadając do dorożki. — Ola, zdaje się — dodał z ironicznym uśmiechem — poszła, albo zamierza iść wedle twojej rady i z głosem sumienia obejść się, jak z wrogiem. Jeśli chcesz ją zobaczyć, przyjdź na ślub do kościoła św. Magdaleny. Poznasz ją łatwo. Bardzo piękna, wysoka, smukła, ciemno ubrana. Będzie tam z pewnością, mówił mi to Jakób de Larjeac, a on ma informacje podobno najlepsze! Ostatnie słowa wymówił Zygmunt z pewnym naciskiem szyderczym, w chwili, gdy fiaker ruszył już w miejsca. Sipajłło, zdumiony tem wszystkim, co usłyszał, a nieco oszołomiony jeszcze winem, przy śniadaniu wypitem, został sam na ulicy, trzymając w ręku dany przez Zygmunta bilet, mający mu ułatwić wejście do kościoła św. Magdaleny na ślub księcia de Sarthes.
— Pójdę! — rzekł po chwili sam do siebie. — Zobaczę ten świat i...
Ole.
W parę godzin później wewnątrz wspaniałej świątyni jaśniało rzesystem światłem, które rospryskując się w tysiącnych odblaskach od bogatych złocień, rozpromieniało barwy fresków i spływało strumieniami świetlanemi po gładkich marmurach. Żaden promień tego światła nie szedł tu na marne, żaden nie ginął bez należytego efektu, każdy olśniewał. Kaplica des mariages, po prawej stronie od wejścia, zapełniona była świetnym orszakiem ślubnym.

Jerzy, wmieszany w tłum, przyciśnięty do jednej z olbrzymich,
połączonych
kolumn, dzielących główną i jedyną nawę kościoła, widział ten orszak
wchodzący,

wszystkie osoby jedna za drugą, a naprzód pannę młodą, wspartą na
ramieniu
brata. Szła krokiem pewnym z podniesioną głową, rzucając dokoła
śmiałe
spojrzenia. Welon, okrywający jej głowę i spadający z pod wieńca,
ciągnął się za
nią przezrystą, śnieżną wstęgą. Po marmurach posadzki długi tren jej
sukni
pełzał z głuchym szelestem.
Za Ireną postępował pan młody. Wzrostem górował nad innymi. Jerzy
doskonale
widział twarz jego, nie młodą, zmęczoną, o cerze żółtawej, znaczonych
żyłkami
krwawemi, które zdaleka nadawały policzkom barwę silnych
rumieńców. Szedł
poważny, spokojnie uśmiechnięty. Jerzemu wszakże zdało się, że
oczy księcia,
przez chwilę w przechodzie zwrócone ku niemu, paliły się ogniem
tłumionej
gorączki. Oddychał ciężko, szybko i od czasu do czasu szyję
wypręzał, jakby go
uciskał biały krawat w wąską kokardę związany.
Za nim tłum gości weselnych. Szmer jedwabiów, podobny do szmeru
liści
jesiennych, poruszonych gwałtownie, trwał chwilę i nagle ucichł.
Orszak stanął w
kaplicy, w najjaskrawszym oświetleniu, sam jaśniejący odbłaskiem
brylantów,
świetnych toalet, białością ramion i twarzy niewieścich,
uśmiechniętych,
radosnych.

Ozwały się tony organu, poważne, uroczyste, rozplynęły się wśród przestrzeni świątyni, odbijając się echem w górze, w głębi trzech kopuł, wieńczących nawę.
W pół godziny potem tenże sam orszak przechodził znowu przed oczami Jerzego; tym razem tylko ksią-

żę podawał ramię młodej swej żonie, ku której pochylił się, szepcząc. Ona odwracała twarz, szarpiąc ręką welon i spozierała za siebie. Tuż za nią szedł Zygmunt. Bledszy był jeszcze, niż zwykle; od ziemi nie podnosił wzroku, poruszał się sztywnie, jakby machinalnie. Przechodząc obok Jerzego, potracił go i nie zobaczył.
Wkrótce u wejścia podniosła się wrzawa. Wychodzono tłumnie; słychać było nawoływania" stangretów, krzyki, a potem głośny turkot odjeżdżających powozów.
Rychło opustoszała świątynia. Gasły światła; z kątów wypełzały mroki i zalegały wnętrze. Z góry padał coraz cięższy zmierzch; czerniały białe marmury, pełzły barwne freski, złocenia nikły. Jeszcze tylko w kaplicy des mariages ostatkiem światła na tle czarnem odbijała się blado przepyszna rzeźba Pradiera, przedstawiająca zaślubiny Bogarodzicy. Postać Maryi wspaniała zdawała się poruszać w drgających promieniach ostatnich świeczników.
Wśród ciszy, jaka zapanowała nagle, odbijały się teraz głośnem, brutalnem echem, rozmowy sług kościelnych, robiących porządek i kroki szwajcara, przechadzającego się z laską wysoką w rękę, wśród pustej nawy.
Jerzy stał jeszcze, rozglądając się dokoła. Zajęty wrażeniami tego wspaniałego

obchodu i spostrzeżeniami, jakie mimowolnie czynił, zapomniał on nawet, że głównym celem jego tu przybycia nie był ślub księcia

de Sarthes, lecz Ola. Ale jakże ją było można dostrzedz w tym tłumie? Rzucił okiem raz jeszcze na rzeźbę Pradiera, która w głębi ciemności rysowała

się jeszcze, jak blade, dalekie odbicie, jak niknące zjawisko.

I nagle, obok, przesunął się cień. Postać wysoka, smukła, ciemna, powstała z

klęczek i szła ku Jerzemu.

On się w nią wpatrzył całą siłą wzroku.

Na chwilę, w odblasku palącej się wysoko u ołtarza lampy, ujrzał twarz jej i

oczy wzniesione do góry, rozmodlone jeszcze, a lśniące łzami.

Nie mógł mieć wątpliwości -to Ola!

Postąpił parę kroków i wstrzymał się. Ona także zatrzymała się jak wryta,

zalekniiona widocznie. Ten człowiek, wychodzący naprzeciw niej z mroków,

przeraził ją.

Chciała go minąć. On jej zastąpił drogę.

— Po tylu latach — rzekł głosem stłumionym — ja panią poznałem odrazu.

Ola nagle podniosła głowę, wpatrzyła się w twarz Jerzego, otworzyła usta,

cofnęła się i omal nie krzyknęła. Jeżeli nie rysy, to poznała głos. Ten głos,

który był postrachem jej dzieciństwa, który wołał na nią: znajda!

Przemogła lek instynktowy, który ją przejął i wyciągnęła do Jurka rękę,

uśmiechając się smutnie.

— I ja poznaję — odrzekła — poznaję dobrze.

On ujął jej rękę, która mu się zdała dziwnie delikatna, drobna, jak ręka dziecka. Przez chwilę patrzył jej w oczy, ciągle jeszcze zaleknione.

Wyszli z kościoła i wmięszali się w tłum uliczny. Ona pogrążona w
myślach,
daleka od chwili obecnej; on cały tą chwilą zajęty, a raczej
wrażeniem, jakiego
doznał nagle, ujrawszy Ołę.
Na jej obojętnie rzucane pytania, opowiedział w kilku słowach,
wskutek jakiego
zbiegu okoliczności znajduje się w Paryżu. Instynktownie czuł jednak,
że to mało
zajmowało Ołę. On też mówił bez ożywienia, machinalnie, i wkrótce
zamilkł.
Mijając latarnie uliczne, lub wystawy sklepowe rzęsiście oświetlone,
rzucił
spojrzenia na jej twarz i postać, widniejącą w tych blaskach. W tej
kobiecie
dziwnie pięknej, wspaniałej, idącej krokiem śmiałym, poruszającej się
swobodnie,
w toalecie poważnej ale wytwornej, odnajdywał rysy dawnej Oli,
owej znajdy
oksanińskiej, zahukanej, nieśmiałej, uciekającej przed nim w
szalonym pędzie
przez burzany, w podartej brudnej koszulinie.
Patrzył i własnym oczom nie wierzył. Chciał rozmowę rozpocząć i
pierwszego słowa
znaleźć nie mógł.
Szli tedy milcząc przez wielkie bulwary, nie szukając przejść
bliższych, jak
ludzie, którzy się nie spieszą. Z bulwaru św. Magdaleny weszli na
bulwar des
Capucines, potem na włoski i przez dalsze bulwary Montmartre i
Poissonnière, na
bulwar St. Denis. Tu w miejscu, gdzie się ten bulwar krzyżuje z ulicą
Strassburską, Ola zwróciła na prawo, na bulwar Sebastopolski.
Szli jeszcze chwilę, mijając kilka ulic poprzecznych.

Nagle Ola wstrzymała się i po raz pierwszy podniosła wzrok na milczącego swego

towarzysza, który naprzeciw niej przystanął.

— Zdaje się — rzekła — że spotkawszy się po tylu latach, nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Wzrok jej mimowolnie zatrzymał się na twarzy Jerzego.

Tak! to były te same rysy, które ją przerażały niegdyś, w dzieciństwie, swoim

wyrazem. Tylko teraz zmeźniałe, dorodniejsze. Postać wysoka, barczysta, była

pełna siły; mimowolnie Ola uczuła się małą, słabą fizycznie, wobec tej postaci,

która stała przed nią, ze wzrokiem sztywnie w nią utkwionym. W tym wzroku nie

było już dawnego szyderstwa; w oczach małych, jakby

przymkniętych, o barwie

niezdecydowanej, przebijały się jaskrawe błyski i wnet gasły, tłumione,

nieśmiałe.

Słowami Oli Jerzy uczuł się mocno zmieszany.

— Rzeczywiście — bąkał — milczę, bo własnym oczom wierzyć nie mogę..

Ola się zaśmiała.

— Nie chcesz pan wierzyć — odparła — że ta oksanińska znajda, za którą uganiałeś

po stepach, grożąc jej szpicrutą, stoi dziś przed tobą na bulwarze stolicy

świata; że zamierza być artystką samodzielną, patrzącą śmiało przed siebie. Cuda

dzieją się czasem na świecie.

Sipajło się obruszył.

— Nie spodziewałem się — rzekł — że pani te wspomnienia wznawiać będziesz.

Zbliżając się do pani, sądziłem...

— Żem zapomniała — przerwała Ola. — Mylisz się panie Jerzy, ja nie zapomniałam nic i dziś tak dobrze, iakby to było wczoraj, pamiętam chwilę, w której widzieliśmy się zbliska raz ostatni. Pamiętam Nastkę, która mnie ujęła w objęcia skrawioną, nieprzytomną; widzę ciebie z szyderstwem na ustach, jak wchodzisz do oksanińskiego dworku, widzę odjeżdżającego zwolna... Wstrzymała się chwilę i z pewnem wahaniem, prawie szeptem, dodała:
— Pana Zygmunta...
— Więc masz pani żal do mnie jeszcze teraz... po latach tyłu! — zawołał Jerzy.
Po raz drugi podniosła Ola na niego oczy. I nagle dawne wrażenia, które niemiłem, wstrętnem nawet wspomnieniem w głębi jej duszy stężały, zmieniły się, jakby kto stary, spłowiały obraz nowemi w jednej chwili nałożył barwami.
To był ten sam Jurek Sipajłło, wróg jej dzieciństwa, ale nieszydzący już, przeciwnie, spokorniały, jakby ujarzmiony; zawsze jednak, choć inaczej, groźny.
W głosie jego była teraz pewna miękkość, ton niemal rzewny, ale w wyrazie oczu, rzucających błyski, w wyrazie ust zaciśniętych, w całej postaci, wielkiej, barczystej, było jakieś dzikie brutalstwo, które przejmowało lękiem, chociaż lęk ten w tej właśnie chwili nie był bez pewnego dla Oli uroku.
Mimowolnie zarysowało się w jej myśli porównanie tej postaci, którą przed sobą widziała, z tą inną, delikatną, słabą, której ruch każdy był łagodnym miękkim, wytwornym. Kto wie, czy ta brutalna siła nie da-

łaby się łatwiej ujarzmić i pociągnąć, niż owa delikatność miękka, a jednak tak bezwzględna, tak nielitościwie okrutna? W jednym mgnieniu oka porównanie to błysło w umyśle Oli; niewymowny żal do Zygmunta przeniknął jej serce i nie zastanawiając się nad tem, co czyni, wyciągnęła ku Jerzemu rękę.

— Pamiętam każdy szczegół — powtórzyła — ale w tej przeszłości mojej, tak dalekiej i tak niepowrotnej, to wszystko mi dziś jest drogiem. Niechęci dawnych nie zachowałam w sercu; wielką owszem czasem odczuwani tęsknotę do ludzi, którzy znajdę oksanińską dzieckiem widzieli.

— Nie powtarzaj pani tego wyrazu! — prosił Jerzy — nie puszczając dłoni Oli ze swego uścisku.

— Dlaczego? — odparła Ola. — Miłą mi jest ta nazwa, bo z nią w pamięci mojej łączy się wspomnienie poczciwej Nastki, ukochanej babci mojej, panny Malickiej — i wiele innych jeszcze. Gdy dziś!...

Usunęła swą rękę Jerzemu i nagłym ruchem rzuciła głową, prostując się, jakby otrząsnąć z siebie chciała te wspomnienia, które ją krępowały tęsknem uczuciem.

— Dziś — dokończyła — chcesz pan wiedzieć, czem jest dawna mała znajda oksanińska? Przyjdź jutro do mnie, wieczorem. Poznasz cały świat artystyczny, w którym teraz żyję Mieszkam ztąd o parę kroków, przy ulicy Papin Nr naprzeciw teatru " Gaité, " gdzie wkrótce występować będę.

Zamyśliła się chwilę, a potem znagła:

— Albo zresztą — zawołała — chodź pan lepiej zaraz, zobaczysz, gdzie i jak mieszkam.

Mówiła szybko, z ożywieniem, które było w dziwnej sprzeczności ze zwykłą jej powagą i smutkiem, jaki się w jej zachowaniu przed chwilą przebijał. Pobiegła żywo naprzód, ruchem ręki i wzrokiem zapraszając Jerzego. On szedł za nią bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, jaka siła pociągała go za tą kobietą, która wydała mu się zupełnie inną w kościele i w początkach rozmowy, a teraz przetworzyła się w jednym mgnieniu oka, stała się wesołą, niemal zalotną.

Apartament mi drugim piętrze dość dużej kamienicy składał się z trzech pokoi niewielkich ale widnych i umeblowanych z tym komfortem, jaki w Paryżu tanio i szybko nabyć można.

Jerzemu wydało się to wszystko bardzo, zanadto wspaniałemi.

Przypomniały mu się słowa Zygmunta o protektorach i wielbicielach Oli.

Oglądał się wokoło chmurny.

— Ślicznie się pani urządziłaś — ozwał się po chwili.

— A! — zawołała Ola — to wszystko naprędce zbierane, nędza! Mam nadzieję, że

wkrótce u mnie inaczej wyglądać będzie, gdy się ustalę na stanowisku. Za parę

tygodni mój pierwszy, wielki występ w tym teatrze naprzeciwno.

Partyę Méali

śpiewać będę w operze Masségo Paul et Virginie, prześliczna partya!

Spodziewam

się, że pan przyjdiesz.

Mówiła to urywanym tonem, zdejmując kapelusz

i rękawiczki. Stała przed zwierciadłem i wdzięcznym ruchem obu rąk poprawiała sobie włosy.

Salonik był niewielki, jaskrawo oświetlony dużą lampą, zwieszającą się od sufitu

i kilku świecami w kandelabrach, stojących u zwierciadła. Obicia ścian i mebli,

portyery u drzwi i okien były jasne, a na tem tle świetlanem tem plastyczniej

rysowała się ciemna postać Oli, którą chciwem spojrzeniem ogarniał stojący

nieruchomo u wejścia Sipajłło.

W odbiciu zwierciadła widzieli się i obserwowali przez chwilę wzajemnie. Szybkim

ruchem zwróciła się nagle ku Jerzemu Ola, prostując się całą postacią.

— Jakże mnie pan znajdujesz? — spytała — zmieniłam się bardzo?

Zwolna szła ku niemu, patrząc nań rozpromienionemi oczyma, uśmiechając się

wpółotwartemi usty,

W chwili, gdy stojąc przed zwierciadłem, w blaskach odbijających się w niem

świateł, patrzyła na dorodną postać Sipajłły, stojącą nieruchomo, jakby porażoną

jej widokiem, szalona myśl przebiegła jej przez głowę, myśl kreśląca w jednym

mgnieniu oka cały obraz: Jurka klęczącego przed nią, ujarzmionego jej urodą,

wyznającego jej swą miłość — tego samego Jurka, który był tyranem jej

dzieciństwa, którego lękała się jak ognia, który w jej wspomnieniu był uosobieniem złości i szyderstwa.

Tamten, ku któremu cała jej dusza wybiegała w uniesieniu, odtrącił ją bezwzględnie — ten, tak długo nienawistny, a taki z pozoru silny,

nieugięty,

niech padnie przed nią na kolana! Rozgoryczonej jej duszy sil-

ne słowo miłości, wychodzące z ust, które dotychczas miały dla niej same tylko szyderstwa, mogło przynieść ulgę, chwilowe przynajmniej zapomnienie.

Ainsi va le monde! powiedziała Irena i miała słuszność. Straconej chwili zadowolenia, uciechy, rozkoszy nie wróci nic. W tych kilku tygodniach artystycznego życia, jakie Ola rozpoczęła, dusza jej przeszła całą skalę nowych wrażeń i wzruszeń. Otoczyła ją atmosfera niezwykła, erotyczna. Codziennie niemal zbierało się u niej grono artystów, dziennikarzy, krytyków, od których los jej, jako artystki, mógł zależeć. Idąc za radą pana Padeloup, Ola zmieniła nie tylko tryb życia, ale ton mowy, wyraz twarzy, szczegóły stroju — naśladowała inne artystki, które jej, jako typ, wskazywano. Bywają teraz bardzo często w teatrze, przypatrywała się bacznie wszystkiemu i z wrażliwością, sobie wrodzoną, chwytła wszelkie subtelne odcienia. Ta wrażliwość z dniem każdym stawała się większą.

Ostatnie przejścia w domu pani de Larjeac, rozstanie się z Zygmuntem, gorączkowe zabiegi, jakie czyniła, celem zdobycia sobie stanowiska na scenie, pierwsze występy przed publicznością na koncertach, pierwsze doznane tryumfy, a w końcu cały tryb życia tak odmienny od dotychczasowego, coraz nowe twarze, coraz nowi ludzie, których życzliwość i względy sobie zdobywać musiała, to wszystko potęgowało wrażliwość, rozstrajało nerwy.

Przed godziną, tam w kościele, na widok Ireny, do której miała żal nieprzemierzony

i Zygmunta, który się jej wydał zgnębionym i smutnym, Ola przeszła na

nowo, w jednej chwili, przebyte udręczenia. Odnowiły się w jej sercu bolesne
wrażenia ostatnich tygodni. Niespodziewane spotkanie się z Jurkiem, wspomnieniem
przykrych przejść w przeszłości, spotęgowało jeszcze ten nastrój.
Dusza, targana
tylu sprzecznymi uczuciami, sama z sobą w rozterce, straciwszy ową
harmonie,
która była jej żywiołem, domagała się teraz gwałtownie coraz nowych
wrażeń,
któreby tamte poprzednie, tak bolesne, stłumiły i zatarły. Wszystko
jedne, co
potem nastąpi, byle choć na chwilę odurzyć się, zapomnieć!
— Zmieniłam się bardzo? bardzo? — powtarzała, idąc ku Jerzemu i
przenikając go
błyszczącym spojrzeniem oczu ciemnych, głębokich.
On patrzył na nią oczarowany, nie znajdując słów na wyrażenie swego
zachwytu.
— Jesteś pani prześliczna! — wyjąkał.
Czuł, że to mówi niezgrabnie, że jest śmieszny, że cała jego postać,
którą w
lustrze dostrzegał, ciężka, wielka, barczysta, wygląda jak dziwoląg
wobec tej
wytwornej kobiety i całego otoczenia.
Mimowolnie ujął jej rękę i do ust poniósł.
Ola wyrwała mu ją gwałtownie, śmiejąc się.
— O... o! — zawołała — nie tak rychło, panie Jerzy. Znajda
oksanińska musi cię
jeszcze długo nadręczyć, nim się przebłagać pozwoli.
Zgrabnym ruchem obróciła się na miejscu i usiadła na małym
taburecie przy
pianinie, które otoczone zielenią wysokich wazonowych roślin,
zajmowało jeden

róg pokoju.

W szalonym pasażu przebiegła całą klawiaturę.

— Usiądź, panie Jerzy — mówiła, nie patrząc na niego — usiądź tam, zdaleka, na

otomanie, zaśpiewam ci coś na przypomnienie.

Wzięła parę akordów silnych, poczekała chwilę aż ścichły i nagle z ust jej

wyłynęła pieśń. Akompaniament odzywał się teraz stłumiony; czasem szybko,

przenikliwie, niby echo dzwonków, czasem głucho i twardo jak odgłos bębna,

uderzanego ręką. A głos rozchodził się szeroko z pełnej piersi. Pieśń dziwna, z

dzikich złożona tonów, czasem rozpaczliwie brzmiąca, czasem urywana, skoczna.

Jerzy poznał odrazu. Była to ta sama pieśń, którą Ola śpiewała w dzieciństwie,

którą śpiewała w ów wieczór księżycowy, siedząc na oksanińskiej mogile, przed

wygonem, burzanami zarosłym.

Jeszcze jeden ton wysoki, z głębi duszy wyrwany, jeszcze raz zabrzmiały dzwonki

akompaniamentu, jeszcze jeden silny akord i koniec. Chwilę dźwięczały jeszcze

struny, dźwięczały coraz ciszej, coraz słabiej, jakby się oddalały w przestrzeń

nieskończoną.

Ola z opuszczonymi bezwładnie ramionami, z głową nieco wstecz podaną, siedziała

bezsilna, ze wzrokiem w dal idącym za milknącymi tonami. Oczy były pełne łez,

które w nich drżały, nie wypływając z pod powiek.

— Nic tak nie przenosi nas w przeszłość — ozwała się po chwali, jakby sama do

siebie — nic tak dokładnie nie przypomina nam wrażeń, jak muzyka.
Gdy śpiewam tę
dziwaczną piosenkę, widzę siebie małą Olą, tańczącą przed karczmą
oksanińską
wokoło nie-

dzwiedzia, z bębenkiem w ręku, potrząsająca, dzwonkami.
Powstała szybko i zwróciła się ku Jerzemu, który w zamyśleniu
słuchał, nie
zdając sobie jeszcze sprawy z silnych wrażeń, jakich doznawał.
— Przyniosłeś mi pan z sobą — rzekła — trochę oksanińskiego
powietrza i to mię
roztkliwiło.
Wstrząsnęła ramionami.
— A to być nie powinno — zawołała. — Od pewnego czasu
powiedziałam sobie, że
będę wesola i muszę być wesola. A i pan także nie patrz na mnie
takim ponurym
wzrokiem ? zacznij że co mówić! Możesz mówić wszystko, oprócz
komplementów i
czułości, bo tych mam już dosyć!
I nie czekając, zaczęła sama mówić szybko i wiele. Opowiadała o
swoich planach
artystycznej karyery, o swoim życiu, pełnem teraz ruchu, wrzawy i
wrażeń,
wypytywała się Jerzego o jego zamiary.
Sipajłło odpowiadał nieśmiało, a słuchał z roztargnieniem, upajając
sienie
treścią, lecz samem brzmieniem słów i widokiem tej kobiety, która go
zdumiewała
i pociągała ku sobie niezwalczonym urokiem.
Jerzy dotychczas nie znał kobiet, zadawałajac sio łatwemi sukcesami,
w których
ani wyobraźnia jego ani serce nie grały żadnej roli. Lekceważył
kobiety, a

miłości nie rozumiał. Po raz pierwszy w życiu znalazł się sam na sam z kobietą, która nie tylko urodą niezwykłą uderzała go, ale i pociągała talentem swym, inteligencją i obejściem się poufałem, niemal zalotnem a wytwornem. Onieśmiało go poczucie swojej niezgra-

ówność, nieokrzesania, gniewało brzmienie własnego głosu, który mu się zdawał brutalnym, szorstkim; usiłował nadać mu ton miękki, a nie mógł, jak również nie mógł ukryć rąk wielkich, z którymi nie wiedział, co począć; teraz dopiero spostrzegł, że były niekształtne, czerwone, o palcach krótkich a grubych. Gdy w godzinę później pożegnawszy Olę, wyszedł na ulicę, odetchnął głęboko, jakby mu ciężar spadł z piersi. Ale nie odchodził jeszcze od domu; przeszedł na drugą stronę ulicy i patrzył w oświetlone okna mieszkania Oli. Przesuwał się tam chwilami cień jej postaci, chwiejny i wnet niknący. Jerzy chwycił cień ten chciwymi oczyma, a w pamięci odtwarzał każde jej słowo, każdy jej ruch. Stał tak długo, aż nareszcie chłód wieczoru oprzytomnił go nieco. Oglądnał się wokoło, jakby dopiero rozpoznawał co się z nim działo. Ramionami dźwignął, ręką machnął i poszedł spiesznie. Za chwilę znów się wstrzymał i splunął niemal z gniewem. — Głupstwo! — mruknął — wszak to tylko kobieta! Ale wnet myśl wracała do Oli, nie z lekceważeniem, lecz pełna zachwyty.

— Powiedziała mi — szepnął mimowolnie — abym przychodził
często. Jutro pójdę.
I wnet mroziła go refleksya.
— Żeby mi tylko ta kobieta nie stanęła w drodze do urzeczywistnienia
moich
planów. Ja teraz nie

mam czasu na romanse, muszę się oddać studyom. Jeszcze jedno
decydujące
doświadczenie, a potem...
Potem będzie się mógł nawet zakochać w Oli. Ona też innymi oczami
będzie wówczas
na niego patrzyła. Człowiek sławny, którego imię rozbrzmi po całej
Europie!
Myśl ta ochłodziła do reszty poprzednie wrażenia. Czuł, jak mu się
piers
rozrasta; wyprostował się i z podniesioną głową szedł śmiało,
potrącając
przechodniów.
— Niechby mi ona spróbowała stanąć w drodze — mruknął —
odepchnę, jak każdą inną
przeszkodę. Głupstwo — powtórzył — wszak to tylko kobieta!
Tymczasem Ola, gdy po odejściu Jerzego uczuła się samotną,
chodziła długo po
pokoju w wielkim wzburzeniu. Sztuczne ożywienie, na które się
wobec niego
wysiliła, słabło zwolna. W myśli przesuwwały się, jak w kalejdoskopie,
wszystkie
wrażenia dnia dzisiejszego, wszystkie postacie: Ireny, Zygmunta,
Jerzego,
wracały do duszy gnębiącą zmorą.
Zbliżyła się do pianina i mimowolnie wzięła parę akordów
akompaniamentu
piosenki, którą przed chwilą śpiewała Jerzemu. I nagle, w uniesieniu,
uderzyła w

klawiaturę tak silnie, że wszystkie struny zadźwięczały gwałtownym dysonansem.

— Nie! — zawołała — niech ta przeszłość przepada! Oli oksanińskiej już niema...

jest Ola artystka, której sztuka zastąpi wszystko, zapelni życie, Ola żadna

artystycznych tryumfów i oklasków! I po co mi

ten człowiek, jak widmo przeszłości, stanął teraz przed oczami?

W duszy jej dźwięczała coraz rozgłośnie] dawna piosenka, a wraz z nią

występowało żywe wspomnienie owej nocy, gdy wsparta na ramieniu Zygmunta, tuląc

się w jego objęciu, szła na folwark oksaniński, zboląła, pokaleczona cierniami

burzanów, a ścigana szyderstwem Jurka. Czuje jeszcze teraz ból tych cierni i

dotkliwsze od nich słowa Sipajłły; ale czuje także rozkosz objęcia Zygmunta.

Współczucie jego przenika ją na wskrós niewymowną pieśczoą; widzi jego

spojrzenie tkliwe i słyszy słowa: "Biedna sierota!"

A dziś?... ten Zygmunt odtrącił ją, szuka innego spojrzenia, pragnie innych

uścisków!

Ręce załamała konwulsyjnie. Do oczu nabiegły łzy.

— Nie chcę! nie chcę! — krzyknęła.

Chwilę jeszcze stała, walcząc z sobą, ze łzami, które ją dławily. Pierś jej

wznosiła się coraz szybciej, coraz gwałtowniej, i naraz wybuchnęła łkaniem.

Ola upadła na otomanę i ukryła twarz w dłonie, a z oczu strumieniem trysnęły

teraz łzy, tak długo w głębi duszy dławione, właśnie w tym momencie, gdy Jerzy

Sipajłło w porywie ambitnych myśli, powtarzał lekceważąco:

— Głupstwo! wszak to tylko kobieta!

IX.

Dla Sipajły nastał teraz czas gorączkowego działania. Studya nad etyologią raka, doświadczenia, operacye i badania w klinikach, szpitalach i zakładach patologiczno-anatomicznych; zabierały mu dzień cały. Memoryał dla akademii medycznej był już wygotowany. Czasem zdawało mu się, że całą tajemnicę choroby już posiadał. Zdawało mu się, że przypuszczane przez niego istnienie rakowego zarazka jest pewnikiem, nieulegającym wątpieniu, że prawa dalszej kultury zarazka tego zupełnie już zbadał. Na skrawkach rakowych dostrzegał wówczas wyraźnie zmiany w komórkach, a w nich upragnione bakterye. Był szczęśliwy, dumny, pewny siebie. I naraz przychodziło zwątpienie. Zmiany dostrzeżone wydawały mu się złudzeniem — to, co brał za mikro-organizmy, było osadem barwików! Wpadał wówczas w rozpacz, miotał się jak sza-

lony. I coraz mocniejszego nabierał przekonania, że dopóki nie będzie mógł na żywym ludzkim ciełe, na ciełe zupełnie zdrowem, przeszczepić owego zarazka, aby zbadać jego rozwój stopniowy, dopóty wszelkie inne doświadczenia i próby nie będą przekonywające. Myśl ta stała się zmorą, która go nieustannie prześladować poczęła. Od tej myśli

usiłował uciec na. próżno, dręczyła go i w dzień i w nocy, a tylko
wówczas na
chwile zapominał, gdy się znajdował w obecności Oli. Przychodził do
niej często;
a tam myśli jego przybierały tok inny, tam inne wrażenia przenikały
całą jego
istotę, wrażenia bardzo silne, chociaż także dręczące.
Wokoło Oli z dniem każdym gromadziło się coraz liczniejsze grono
wielbicieli;
cały męski świat artystyczny, zainteresowany tą nową "gwiazdą,"
wschodzącą na
horyzoncie sztuki, składał jej hołdy. Małe zawiści nie miały dotąd
czasu
wybuchnąć. Kobiety milczały w nieświadomości, co z tego wyniknie,
wiedząc na
podstawie doświadczenia, że sukces sceniczny często do ostatniej
chwili
przewidzieć się nie da. Lękały się wprawdzie oczywistego talentu Oli,
lecz ujęte
mimowolnie uprzejmością i naturalną serdecznością tej przyszłej
współzawodniczki, ulegały wpływowi jej uroku i wdzięku. I
zajmowały wyczekujące
stanowisko. Mężczyźni wogóle byli zachwyceni, a Sipajłło, coraz
chmurniejszy,
przyglądał się temu zdaleka. Od owego pierwszego wieczoru,
spędzonego sam na sam
z Olą, minęło

Kilka tygodni, a Jerzy nie mógł znaleźć chwili na swobodniejszą z nią
rozmowę.

W ciągu dnia był sam zajęty, a wieczorami zastawał u niej zwykle
liczne grono
artystów, którzy go do rozpaczy doprowadzali. To, co oni mówili, co
ich
interesowało, było mu zupełnie obce; nie rozumiał ani ich uczuć, ani
ich mowy. A

drażniło go to najwięcej, gdy widział, jak Ola przejmowała się treścią
tych
rozmów, jak ją gorąco zajmowało to wszystko, co się odnosiło do
artystycznego
życia, do wszystkich jego najdrobniejszych nawet wydarzeń.
Sztuka! to słowo bez znaczenia dla Sipajły, miało dla Oli siłę
magiczną. Mówiąc
o niej, rozpląmieniała się cała. Zajęta teraz swoim przyszłym
występem w operze,
śpiewała dużo i łatwo, zapominała o obecności słuchaczy, dopiero
oklaski i
pochwały budziły ją do przytomności.
Jerzy, stojąc najczęściej opodal od całego towarzystwa, słuchał tego
śpiewu,
który go czasem drażnił tak bardzo, jak wówczas, gdy mała znajda
oksanińska
wyśpiewywała swoje nieuczone dumki na mogile, wśród stepów.
Tylko że teraz drażniło go to głównie, iż ta sztuka, dla niego
niepojęta, o
której Ola tak wiele mówiła; ten śpiew, któremu się oddawała z takim
zapałem,
oddalały go od niej, zdawały się między nim a nią tworzyć
nieprzepartą zaporę.
Słuchał i patrzył, pożerał ją wzrokiem. Widział jej twarz
rozpromienioną,
pałające oczy, pierś podnoszącą się w przyspieszonym oddechu. I
zdawało mu

się nieraz, że obejmując jej całe postać ognistym spojrzeniem, pociąga
ją ku
sobie, że siłą tego wzroku zbliża się ku niej, że ogień tryskający z jego
oczu,
przenika ją także, budząc w niej rozkoszne dreszcze. Zapominał się w
tem
uczuciu, i także budziły go dopiero do przytomności oklaski i
pochwały, któremi

obsypywano Olę.
Wówczas zrywał się, wzdrygał i pięście zaciskał.
Zdawało mu się chwilami, że się nie wstrzyma i rzuci się na tych
ludzi, którzy
go oddzielają od niej, którzy umieją do niej mówić, umieją
zainteresować jej
myśl, a może i serce, których ona słucha z przyjemnością, darzy
uśmiechem, dba o
ich pochwały. A on nie umie jej powiedzieć nic!
Bezmowny, ponury, porwałby ją w objęcia, wpółotwarte śpiewem
usta zamknął
namiętnym pocałunkiem i uniósł z sobą...
Jednego wieczoru śpiewała Ola dłużej i piękniej, niż zwykle. Jerzy
siedział, jak
zawsze, zdale, zasunięty w najciemniejszy kąt saloniku, zgnębiony
wrażeniem tego
śpiewu, który go drażnił i poczuciem swego oddalenia od Oli. Ci
wszyscy, którzy
ją otaczali, zdawali się jej bliżsi duchem, niż on; rozumieli jej
zachwyty i ona
ich rozumiała lepiej!
Po raz pierwszy wniknął w swoje dla niej uczucie i chciał zbadać jego
istotę.
Byłaby to miłość? owo uczucie, którem pogardzał, którego nie
pojmował, z
którego szydził, mieniając je właściwością istot słabych?

A nie! To tylko pożądanie, które go ogarnia na widok kobiety bardzo
pięknej i
bardzo ponętnej. Wszak on, jako lekarz, wie dobrze, czym są takie
uczucia. Na
końcu noża, którym dokonywał operacji, on nieraz trzymał to, co
nazywają duszą
ludzką. Jedno drgnienie ręki, jedno zadraśnięcie i koniec temu
istnieniu, do

którego tyle przywiązuje się wagi, koniec wszelkim uczuciom.

Podrażnienie

nerwów, taki lub inny rozrost komórki mózgowej, mniej lub więcej prawidłowy

obieg krwi, spowodowany taką lub inną przypadkową przyczyną, jedna kropla więcej

lub mniej morfiny, opiatu czy alkoholu, oto źródło wrażeń, uczuć, usposobień

ludzkich.

Tak myślał, a wzrok jego płomienny, chmurny, ścigał Olę, która, przestawszy

śpiewać, odpowiadała teraz żywo na komplementa zachwyconych słuchaczy. Widocznie

poruszona, promieniejąca zapalem, zdyszana, dziękowała uśmiechem, uściskiem

ręki, czasem krótkim, serdecznym słowem.

Wychodzono tłumnie. Jerzy wychodził ostatni, milczący, posepny.

Ola wstrzymała go u progu.

— Należy mi się od pana — rzekła — życzliwe słowo. Pojutrze ostatnia,

rozstrzygająca próba, od której zależy zezwolenie na występ w operze.

Jerzy żywo podniósł głowę. Na tle rozjaśnionego wnętrza saloniku, w atmosferze,

w której zdawało się jeszcze drgać ostatnie echo przejmującego głosu Oli i tych

zachwytów i uniesień, jakie śpiew jej wywołał,

widział blisko siebie tę postać, ku której wyrywała się cała jego istota.

Wyciągała ku niemu rękę, a w jej oczach, lśniących jeszcze zapalem, był wyraz

wymówki, wtórującej słowom.

Pochwycił drobniutką dłoń jej i nie puszczał z uścisku. Z jego małych, przymkniętych oczu, strzeliły stalowe błyski. Milczał, ale usta drgały

jakimś

niedosłyszalnym szeptem.

Ola spoglądała na niego z niewymownym zdziwieniem.

Od pierwszego z nim spotkania się do dzisiejszego wieczoru, nie
wywierał on na
niej głębszego wrażenia, Pierwsze wrażenie na tle dawnych
wspomnień zatarło się
i ustąpiło dość życzliwej obojętności. Przychodził często, więc
nawykła do jego
obecności, nawykła uważać go i traktować, jako dawnego znajomego,
niemal
przyjaciela wśród obcych. Widziała go zwykle ponurym, ale
tłumaczyła to sobie
znużeniem, wyczerpującą pracą i studiami, o których jej wspominał.
Teraz dopiero, w tej chwili, wydał się jej zupełnie innym. Czyżby ten
człowiek,
tak z pozoru zimny, tak trzeźwy w swych poglądach na świat i życie,
tak
niepodlegający zapałom, mógł czuć rzeczywiście głębiej? Czyżby
ziścić się miało
to, co przy pierwszym z nim spotkaniu błysnęło w myśli Oli,
podrażnionej
zachowaniem się Zygmunta i wspomnieniem dawnych upokorzeń, od
Jurka doznanych?
Sipajłło ciągle trzymał jej rękę w uścisku, a pa-

trzył na nią wzrokiem tak przenikliwym, że zdawał się palić jej duszę.
Mimowolnie Ola spuściła wzrok ku ziemi.
Przejął ją lęk niewytłómaczony.
— Dobranoc, panie Jerzy — szepnęła.
On usta otworzył, chciał coś powiedzieć i nagle puścił jej rękę,
odwrócił się, i
jak szalony, ani słowa nie rzekłszy, wybiegł.
Nie chciał, nie mógł powiedzieć tego, co czuł, co z głębi duszy
wrywało się na
usta. Dzisiaj, teraz, on powinien był mieć jeszcze całą świadomość
siebie, całą
jasność myśli, całą pewność ręki. W tych dniach właśnie miały się
rozegrać jego

losy. Dziś, tej nocy, mógł nareszcie dokonać eksperymentu, o którym
marzył
oddawna, a tem silniej od kilku miesięcy, od przybycia swego do
Paryża. Tę noc
właśnie miał spędzić w szpitalu, w zastępstwie jednego z młodszych
kolegów, z
którym się zaprzyjaźnił i który go o to prosił.
Upatrzona oddawna żywa ofiara czekała tam na niego. Tajemnica
rakowego zarazka
mogła być dzisiaj wydartą naturze!
Myśląc o tem, Sipajłło biegł przez ulice pędem.
Dopadłszy dorożki, wsiadł i rzucił woźnicy adres szpitala la Charité, z
poleceniem, by jechał pędko.
Niebawem zajmował miejsce w szpitalu tym dyżurnego asystenta,
młodego d-ra
Vincent. Znano tu już dobrze Sipajłłę. Od kilku miesięcy tam
przeważnie odbywał
on swoje studia i badania; w osobnem przechowaniu miał tam swoje
chirurgiczne
instrumenta i preparaty, tam nawet przed kilku dniami wykonał pod

okiem profesorów i prymaryuszów szpitala ekstyrpacyę raka, a
wykonał ją z
zadziwiającą pewnością ręki i dokładnością. Obudził powszechne
uznanie i podziw,
a odtąd nawet służba szpitalna, zwykle obcym niechętna, była dla
niego z
wyjątkowem uszanowaniem.
i teraz, gdy przyszedł, słuchano jego poleceń bez oporu i
podejrzliwości. Około
północy Sipajłło obszedł wszystkie sale, zbadał stan chorych, znalazł
wszędzie
wzorowy porządek.
Dłużej nieco zatrzymał się przy łóżku młodej dziewczyny, na którą
już dawniej
zwrócił był baczną uwagę z powodu jej urody.

Silnej budowy, niezwykle rozwinięta, miała zaledwie lat ośmnaście.
Pieszczona to
była jedynaczka u matki, która, gdy ukochana jej Marietta zapadła
ciężko na
tyfoidalną gorączkę, widząc, iż z powodu ubóstwa, nie może jej dać
dostatecznych
wygód i opieki lekarskiej, udała się z prośbą do znajomego sobie
doktora i za
jego protekcją uzyskała przyjęcie do szpitala na wyjątkowych
warunkach. Miano
litość nad matką, ubogą wdową po zasłużonym wojskowym, który
zginął w wojnie
prusko-trancuskiej i nad tą dziewczyną bardzo piękną a chorą niemal
bez nadziei.
Usilnym staraniom lekarzy powiodło się wszakże dopomódz młodej
naturze. Marietta
przeżyła szczęśliwie przesilenie i wyszła z niebezpieczeństwa,
pielegnowana
jednak starannie w rekonwalescencji.
Sipajłło brał nieraz udział w naradach lekarzy nad chorą.
Zainteresowała go
nietylko jej niezwykła uroda; podziwiał on przedewszystkiem jej silny orga-

nizm, który walczył zwycięzko z trawiącą go chorobą. Nieraz z
gorączkowym
niepokojem, zwłaszcza w czasie przesilenia, przypatrywał się
zapasom życia ze
śmiercią, z natężoną uwagą śledząc rozmaite koleje tej walki. Miał też
nieraz
sposobność rozmawiać z matką chorej, która rozpacz swoją i niepokój
koła
szerokiem i długiem opowiadaniem o kolejach swego życia i swej
rodziny.
— Marietta nie chorowała nigdy! — mówiła łkając — wesola była i
zdrowa jak

ptaszyna. Nikt u nas w rodzinie nie chorował. Mąż mój, gdyby go była kula pod Gravelotte nie zabrała ze świata, byłby pewno doszedł wieku swego ojca, który niedawno, mając lat sto, umarł bez choroby. Moja matka, ojciec i babka dożyli późnej starości, a ja muszę patrzeć na śmierć mojej ślicznej dzieciny! Ręce łamała w rozpacz. A Sipajłło słuchał i wszystko zapisywał skrzętnie w pamięci. Rozpytywał się jeszcze, czy nie było w rodzinie jakich chorób dziedzicznych, suchot lub raka.

— Nigdy panie! — z oburzeniem protestowała matka. — Patrz pan na mnie i na nią, samo zdrowie!

I rzeczywiście, matka, pomimo strapienia, a córka pomimo choroby, przedstawiała rzadki typ silnego organizmu. Przy bliższym badaniu Sipajłło stwierdził, że organizm Marietty wyjątkowo był zdrowy i miał niezwykłą siłę odporną.

Pocieszał tedy matkę.

— Krew czysta, zdrowa — mówił — gorączkę zwal-

czymy, a Marietta silniejszą jeszcze będzie i piękniejszą niż przedtem. Biedna matka ze łzami wdzięczności całowała ręce Sipajłły, a ten, broniąc się z roztargnieniem od tych podziękowań, myślał:

— Marietta to mój typ, eksperyment na takim dokonany ciele byłby przekonywający.

Myśl ta powróciła i teraz, gdy znalazł się w nocy, wśród ciszy szpitalnej, w pokoju dyżurnego lekarza.

Z przyległej sali dochodziły go westchnienia, jęki, gorączkowe majaczenia

chorych; na korytarzach słychać było od czasu do czasu stłumione kroki dozorców;
kiedy niekiedy ozwało się dyskretne stąpanie Sióstr Miłosierdzia, spełniających tu swoje wysokie posłannictwo, nieustrudzonych, czuwających ciągle z modlitwą na ustach i wyrazem pokory na bladych obliczach. Ozwał się czasem, donośniejszy od ich kroków, odgłos ziarenek różańca, potraćanego przy stąpaniu. Jerzy siedział chwilę w milczeniu. Myśli nie dawały mu spokoju. Nadto dzisiaj doznał wrażeń i to tak z sobą sprzecznych, tak odrębnych! Wieczór spędzony u Oli, jej śpiew, ta artystyczna atmosfera, która ją otaczała, a która go drażniła; słowa Oli i jej wyraz twarzy niezwykle, poruszony, a wreszcie to ostatnie wrażenie szpitalne i cisza klasztorna, która go nagle ogarnęła, wśród tylu chorych, z których połowa jutra może dożyć nie miała. Ile tu nędzy, ile boleści, ile walk, ile moralnej sromoty, ile cnót!

Sipajłło znał dobrze potęgę myślenia i bronił się przeciwko niej. — Ona osłabia wolę — mówił zawsze — gdyby dzisiejszy człowiek mniej rozważał, mniejby się wahał, a więcej działał i byłoby jemu i społeczeństwu z tem lepiej. Ileż to świetnych pomysłów utonęło w morzu refleksyi! I teraz, broniąc się od myśli, które go coraz bardziej opanowywały, wstał, i nagłym ruchem otworzył szafkę, w której miał przechowane swoje anatomiczne preparaty i przyrządy. Codziennie niemal przypatrywał się im z zadowoleniem. Rezultaty ostatniej extyrpacyi raka były tu troskliwie przechowane, badał je codziennie Sipajłło, a

pod wrażeniem świetnie dokonanej operacji, która powszechny wywołała podziw, był w tem właśnie optymistycznym usposobieniu; że nie wątpił o prawdzie swoich przypuszczeń. I teraz począł się przypatrywać. Pod mikroskopem, we właściwym oświetleniu, zdawało mu się, że widzi wyraźnie zmiany w komórce rakowej, zmiany niewątpliwie świadczące o istnieniu zarazka, bakteryi, lasecznika! Szybko porwał lancet, ujął cząsteczkę owej materyi, wziął z sobą jeszcze parę przyrządów, i gwałtownie wyszedł z pokoju. Za chwilę był u łóżka Marietty. Ona spała snem zupełnie spokojnym. Po przebytem przesileniu, rekonwalescencya postępowała niezmiernie szybko; organizm, zwalczywszy chorobę, z ka-

żdą chwilą odzyskiwał, dawne siły i czerstwość. Śliczne, klasyczne niemal rysy Marietty, przez czas dłuższy wykrzywiane bolem i wzburzeniem gorączki, miały teraz wyraz nieopisanej błogości. Owinięta kołdrą po samą szyję, oddychała wolno, miarowo; policzki do niedawna jeszcze blade, zabarwiały się już prądem krwi młodej i zdrowej. Łóżko jej, osłonięte parawanem, odosobnione było od innych, dzięki wyjątkowym względom, jakie okazywano pięknej córce żołnierza z pod Gravelotte. W rogu wielkiej sali, zapelnionej łózkami, czuwała Siostra Miłosierdzia i służba. Jerzy zdala dał im znak, aby się nie zbliżali. Wszakże Siostra Miłosierdzia przysunęła się cicho.

— Marietta śpi — szepnęła — śpi spokojnie.
Jerzy zachnął się gniewnie, ale się zmiarkował. Odpowiedział cicho, łagodnie:
— Uważałem przed chwilą zmianę temperatury,... lękam się jakich komplikacyj,
recydywy, chcę zbadać...
Siostra usunęła się dyskretnie.
Sipajłło usiadł na łóżku.
Przez chwilę wpatrywał się sztywnie w rysy śpiącej dziewczyny, która pod siłą
tego wzroku zdawała się budzić. Powieki drgały, poruszały się usta, rozszerzały
się nozdrza; pod kołdrą widać było silniejsze falowanie piersi.
— Jaka ona piękna! — pomyślał Jerzy.
I nagle odsunął kołdrę. Marietta otworzyła sze-

roko przerażone oczy, instynktowym ruchem ręki przysłoniła pierś wstydliwie i
dźwigając się, omal nie krzyknęła.
— Śpij dziecko — przemówił łagodnie Sipajłło.
Ona poznała doktora i uspokoiła się odrazu. Osłabiona jeszcze, nie mogłaby się
nawet bronić, a zresztą przeciw komu bronićby się miała? Wszyscy tu byli tak
dobrzy dla niej, taką ją otaczali troskliwością.
Opadła napowrót na poduszki, ale ręką kryła zawsze obnażoną pierś.
Sipajłło dotknął jej czoła, przez chwilę badał uchem tętno serca, a potem
chustkę, zwilżoną przyniesionym z sobą płynem, przyłożył do skroni, nosa i ust
wpół otwartych.
Po całym ciele Marietty przebiegł dreszcz. Wyprężyła się, jęknęła z cicha i
umilkła. Powieki się zawarły; policzki, lekko przed chwilą zarumienione,
powlokły się bladością, usta zbielewały... Usnęła.

Nie namyślając się już teraz, Jerzy odsunął rękę, która osłaniała pierś dziewczyny. Działał teraz tak, jak w chwili operacji, bezwzględnie, zimno, stanowczo.

Wziął lancet w rękę prawą, a lewą dotykał piersi, szukając najwłaściwszego miejsca. Nagłym ruchem zbliżył ostrze do białego i jędrnego ciała, przekłuł naskórek, sekundę trzymał narzędzie, palcem nacisnął i — cofnął. Kropla krwi czysta, purpurowa wybiegła, Jerzy

zdławił ją palcem. Za parę minut na miejscu operacji nie było prawie śladu, jak ukłucie szpilki, Marietta spała spokojnie, w chwili ukłucia drgnęła tylko, nie wydawszy jęku, a teraz znowu spoczywała bez ruchu, bez czucia i cierpień... A jednak!.. Na czoło Jerzego pot zimny wystąpił. Słyszał, jak serce jego, które przed chwilą zdawało się spokojne, biło teraz gwałtownym tętnem. Do mózgu napływała krew wzburzona. Rozszerzona z przerażenia źrenicą patrzył na Mariettę. Zdawało mu się, że widzi, że czuje, jak w jej żyły, w krew jej, dotychczas czystą, wpływa teraz jad straszliwej choroby, jak ten śledzony przez niego z taką uporczywością zarazek wnika w jej dotychczas tak silny, tak [nieskażony] organizm i zostawia po sobie wszędzie ślad nieuchronnej śmierci. — Zabij ją lepiej odrazu! — szeptało mu buntujące się sumienie. Ale on je znowu potłumił, energicznie odpychając wszelkie refleksy. Spojrzał raz jeszcze na swoją ofiarę. Zwilżył teraz jej skronie orzeźwiającym płynem, spojrział na ranę ledwie widoczną na piersi, zasunął kołdrę i powstał.

Nogi drżały pod nim. Dziwił się swemu wzruszeniu, gniewała go ta słabość, jaką w sobie spostrzegał.

— Nedorzeczny skrupuł! — szepnął. — Cóż znaczy taka Marietta wobec zdobyczy dla nauki, wobec takiego odkrycia?

W tej chwili Marietta odetchnęła z głębi piersi budząc się; otworzyła ciężkie powieki i stęknęła.

Sipajłło ruszył się gwałtownie, jakby się lękał spojrzeć w jej oczy i wymknął się z sali.

Fakt był dokonany; upragniony eksperyment spełniony został! Teraz już mógł

Sipajłło rozprawę swą wnieść do Akademii medycznej i poprzeć go "dokumentem

ludzkim," powiedzieć wątpiającym: Idźcie i badajcie! Oto na zdrowem, nieskażonem

ciele zaszczepiłem zarazek rakowy; patrzcie, co się z tem ciałem stało, patrzcie

na zniszczenie, jakie odkryty przezemnie mikro-organizm wywołał! Możecie dzień

za dniem, godzina za godziną śledzić postępy gangreny, jaka toczyć będzie to

dziewicze ciało. Wydarłem tajemnicę naturze, — jestem wielki!

Zagłębiony w fotelu, Sipajłło marzył. Sumienie umilkło, zdławione porywem

ambicyi. Otoczyły go cisza i spokój, niezamącone niczem. Noc wyjątkowo cicha w

szpitalu. Dwóch chorych konało bez jęku. Inni spali.

I Jerzego w końcu sen zmorzył.

Nagle zdało mu się, że na łóżku widzi spoczywającą Manette, z odkrytą piersią,

którą przed chwilą badał. Ale śnieżna jej białość powleczone teraz była siną

barwą: wszystkie żyły naprężone, widoczne, grube, fioletowe, a w miejscu, gdzie przed momentem zagłębił lancet i gdzie świeża kropla krwi trysnęła, wyrósł guz ogromny, czerwono-siny, z potwornymi odroślami, które szerzyły nabrzmienie dalej, wpijały się w głąb, niby wstrętne nogi krwiożerczego pająka.

— Jesteś zbrodniarz: — zawołał jakiś głos.
Wzdrygnął się Jerzy i zerwał na równe nogi.
Przez szyby okna przedzierały się już śwityienne. Światło lampy, stojącej na biurku, zbladło, gasło migocząc. Było pusto i cicho.
Sipajłło przetał dłonią oczy; wodą zwilżył twarz i czoło, szybko zdał służbę swemu następcy, który w teże chwili przybył i wyszedł spieszenie ze szpitala.
Podążył do Borskiego.

X.

Nadeszła wreszcie dla Oli stanowcza chwila pierwszego jej występu na scenie.
Dzień przedtem odbyła się jeneralna próba na której Ola obudziła zachwyty powszechny. Dyrektor teatru, Albert Vizontini, który od samego początku okazywał jej niezwykle względy, zapowiadał wielkie powodzenie. W kilku dziennikach, najbardziej czytanych, ukazały się wzmianki, zapowiadające pojawienie się na scenie pierwszorzędnej gwiazdy.
Pani de Larjeac była teraz w ciągłym ruchu i niepokoju. Przywiązanie jej do Oli

ożyło znowu w całej pełni. Tęskniła do niej, lękała się o jej przyszłość, a martwiła się dochodzące do niej wieściami. Świat bowiem, zainteresowany młodą i piękną kobietą, a widząc ją samotną, bez opieki, począł czynić różne wnioski, które oburzały panią Stefanię. Sumienie jej mówiło, że ona, która Ołę do Paryża sprowadziła, nie powinna była jej opuszczać w wirze wielkiego miasta, że należało zła-

mac jej opór i napowrót zabrać ją do siebie. Zyskałyby na tem i salony hrabiny, które straciły swą siłę przyciągającą i po zamążpójściu Ireny, opustoszały.

Na parę dni przed występem Oli, pani de Larjeac, nie namyślając się dłużej, pojechała sama do niej.

Ze łzami w oczach zaczęła ją prosić.

— Wróć! — mówiła — wystąpisz już, jeśli tak chcesz koniecznie, na scenie;

będiesz brała udział w koncertach. Ja ci już teraz przeszkadzać nie będę. Ale

będiesz ze mną, w moim domu, przynajmniej ludzie mówić przestaną...

Mimowoli wyrwał jej się ten frazes ostatni, na który Ola poruszyła się żywo i

dumnie głowę podniosła

— Cóż ludzie mówić mogą? — przerwała.

— Pytają się — zmieszana nieco ciągnęła dalej hrabina — pytają się, zkad środki,

zkąd fundusze na to życie osobne, mieszkanie, przyjęcia?...

Ola uśmiechnęła się z goryczą i ramionami dźwignęła.

— Każdy przekonać się może, zkad czerpię fundusze — odparła. —

To, co mi moja

ukochana opiekunka zostawiła, wystarczy jeszcze na parę miesięcy.
Nie
oszczędzam, bo fundusz ten uważałam tylko za środek do celu, do
uzyskania
stanowiska na scenie. Jeśli cel ten osiągnę i zostanę zaangażowaną,
będę mogła
żyć dalej tak samo; jeśli zaś mój występ się nie powiedzie, będę
zarabiała
lekcyami, koncertami, będę miała odwagę pracować bez wytchnienia.
Ale w żadnym
razie, nawet od pani, której tyle zawdzięczam i którą bardzo, bardzo
kocham, nie
przyjmę już ani łaski, ani przytułku!

Pani Stefania miała ciągle łzy w oczach. Chciała się gniewać, a nie
mogła.

Ola przyklękła przy niej i patrząc jej w oczy, uśmiechała się czule,
całowała po
rękach, pieściła się jak dziecko.

— Ale powiedz-że mi droga pani, co mogą mówić o mnie? — spytała
w końcu.

Pani Stefania chętnie byłaby niebaczne słowa cofnęła, starała się
odwrócić

rozmowę, ale Ola coraz usilniej nalegać poczęła.

— Co mówią? co mówią? — powtarzała — chcę wiedzieć wszystko!

Pani de Larjeac zaczęła tedy mówić, jękając się, usiłując łagodzić
odcienia:

— Nic ważnego, zwykle plotki ludzi złośliwych lub zawistnych. Ot,
naprzykład

wymieniają mego pasierba, biednego Jakóba, jako twego protektora.

To śmieszne!

Ja wiem chyba najlepiej, że to niedorzeczna plotka.

— O nim jednym tylko mówią? — spytała Ola, widząc, że pani

Stefania radaby

skończyć na tem.

— Właściwie — odrzekła hrabina — byłoby to może gorzej, gdyby o nim jednym mówiono. Widocznie ludzie, nie mogąc nic wysledzić, wpadają na różne domysły.

Wymieniają więc i kilku innych, najczęściej zaś mówią o jakimś młodym lekarzu,

Polaku, który tu niedawno podobno przybył i ciągle u ciebie przesiaduje.

— A! — przerwała Ola, powstając zarumieniona — Jarek Sipajłło! i o nim już mówią?

Oczy jej zabłyśły. Złośliwość ludzka dotknęła ją boleśnie.

— Jestem sama na całym świecie — ozwała się ze wzruszeniem — cóż dziwnego, że

ludzie źle o mnie mówić będą, i mogą to czynić bezkarnie.

— Widzisz więc moje dziecko — wtrąciła pani de Larjeac chcąc ze wzruszenia Oli

korzystać — potrzeba koniecznie, abyś do mnie wróciła. Tem samym upadną wszelkie

domysły i ubliżające ci plotki, na które, daruj że ci to powiem, narażasz się

sama.

— A, nie! — zawołała Ola w uniesieniu. — Niech sobie ludzie mówią co chcą, ja z

obranej raz drogi nie wrócę! A zresztą — dodała po chwili z goryczą — owe plotki

mniej mi, jako artystce szkodzie mogą, niż innej kobiecie. Ludzie są złośliwi,

lecz i wyrozumiali dla tych pań z teatru! Poznałam już nieco świat zakulisowy i

wiem, że pod pewnym względem nawet rozgłos artystyczny aktorki rośnie w miarę

tego, co o niej złego mówią. Tylko wielki talent może sobie pozwolić na

reputację cnoty, a i ten talent nawet bywa często zwalczony przez
ponętną i
niezbyt surową mierność.

Ola mówiła szybko, z coraz wzrastającym uniesieniem.

— Droga pani! — rzekła w końcu, chwytając hrabinę za rękę — świat
wasz nie

obchodzi mię już nic, nic! Sztukę jedną tylko kocham i dla niej żyć
chcę, nie

dbam o opinię!

Pani de Larjeac patrzyła na nią wielkimi oczyma.

— Jakto? — powtarzała — to ty, ty tak mówisz?

Ola zaśmiała się gorzko.

— Widzi pani, i mnie już świat teatralny pochłonał. I mnie już
opanowują

rozstrój nerwowy, gorączka czy newroza zakulisowa. Nie potrafię,
jak dawniej

panować nad sobą. Ale o tem wszystkim, droga pani. — dodała po
chwili,

pochyłając się znowu do ręki hrabiny — o tem wszystkim, jeśli pani
pozwolić

raczy, pomówimy po moim występie. Teraz potrzeba mi spokoju,
bezwzględne

spokoju. Muszę zapomnieć o tem, co o mnie ludzie mówią i co ja o
nich myślę.

Pani Stefania pożegnała Olę, mocno poruszona, i z tem większym
niepokojem

czekała dnia występu. Dobre jej serce pragnęło tryumfu Oli. a
samolubne uczucie

podszepetywało jej czasem myśl, że gdyby występ nie miał
powodzenia, Ola

łatwiejby może dała się nakłonić do powrotu.

W dzień przedstawienia kasa teatru była w oblężeniu, a wieczorem
tłumy ciągnęły

ku skwerowi des Arts et Métiers, przy którym wznosi się gmach
dawnego teatru la

Gaite, przeistoczonego na operę liryczną. Reklama zrobiła swoje:
ciekawość
Paryża została obudzona rozgłosem o urodzie i talencie cudzoziemki.
Duża i piękna sala zapełniła się szczelnie. Jedna z pierwszych
przybyła pani de
Larjeac z pasierbem i zajęła łożę obok sceny. W jej najbliższym
sąsiedztwie
zasiadła księżna Irena w towarzystwie męża i Zygmunta. W dalszych
łożach
widzowie w strojach balowych, dobrze znani w wytwornym świecie,
który się bawi;
wszędzie nazwiska znakomite lub głośne. Ca-

ły świat wykwintny przybył niemal w komplecie na występ
wychowanicy hrabiny de
Larjeac; a potem wszyscy razem mieli jeszcze podążyć na wielki bal u
siostry
księcia de Sarthes, hrabiny de Saluces.
Sala teatru wyglądała więc niezwykle strojnie świetnie; w łożach
mnóstwo
bukietów i kwiatów, przygotowanych dla Oli, którą znano z salonów
pani Stefanii
i chciano ostentacyjnie przyjąć. Towarzystwo całe dobrze sobie
znajome; przed
podniesieniem kurtyny rozmawiano z łoży do łoży wesoło i
swobodnie. Ruch
wchodzących osób, łoskot odmykanych krzeseł i drzwi łoż, szmer
rozmów, wybuchy
śmiechu, to wszystko tworzyło nieopisaną i nieustającą wrzawę w
sali, pełnej
blasku świateł, barw, woni perfum i kwiatów.
Na dany znak orkiestra rozpoczęła uwerturę, której posepna a silna
melodya
pochłonęła i zagłuszyła wrzawę.
I nagle cisza; a potem znowu melodyjna przygrywka, i znów ucichło
wszystko.

Kurtyna podniosła się z wolna.

Obraz pierwszy, przedstawiający wśród ponurego krajobrazu wnętrza bambusowego

szafasu, i pierwsze sceny, nie wywarły głębszego wrażenia. Dopiero śliczny duet

Pawła i Wirginii, wykonany przez Capoula i pannę Ritter, zaczął oddziaływać na

publiczność, dotychczas zimno usposobioną.

Par quel charme dis-moi m'as tu dom: enchanté!

zabrzmiała ostatnia dźwięczna nuta duetu kochanków. I w tejże chwili melodia się

zmienia: z rzewnej, pro-

mieniejącej szczęściem i miłością, staje się rozpaczliwie smutną.

W głębi sceny ukazała się postać zdyszana, upadająca ze zmęczenia, postać

niewolnicy mulatki, w poszarpanej odzieży — Méali.

Przez całą salę przeszedł szmer. Wszystkich oczy, wszystkie lornetki zwróciły

się ku wchodzącej.

Ola nie widziała przed sobą nic. Serce ustało bić w piersi; oczy, olśnione

tysiącem świateł, przymknęły się. I znowu się otwarły. W tem morzu barw i

promieni, w głębi sali, zdało się jej teraz, że widzi przed sobą kołyszący się,

olbrzymi potwór, czarny, ruchomy, o głów tysiącu i tysiącu oczach, które

wszystkie w nią utkwione, zdawały się ją pożerać. Nogi się pod nią zachwiały.

Strach ją ogarnął.

Ale to trwało jedno mgnienie oka. Szybko wbiegła na scenę, a z jej piersi

wydobył się rzewny, tęskny, silny ton.

"Miej litość! — śpiewała, zwracając się ku Wirginii i załamując ręce — miej litość nad nieszczęsną istotą! Uciekam przez lasy, psami ścigana, uciekam przed srogim mym panem!"
Z początku głos Oli drżał nieco, lecz po chwili odzyskał siłę i ton pełny; w całym tercecie Pawła, Wirginii i Méali, ona głównie zwracała na siebie uwagę tak śpiewem, jak i grą, pełną uczucia.
W pierwszym rzędzie krzeseł orkiestrowych siedział Sipajłło. Od chwili ukazania się Oli nie spuszczał z niej oka; śledził każde drgnienie jej twarzy, każdy ruch, z oddechem w piersi zapartym.

Gdy wbiegła w podartej odzieży i wzrokiem przerażonym spojrzała, gdy ręce swe skrwawione, ślady znęcania się nad nią groźnego pana, ukazała "Wirginii i Pawłowi, dalekie wspomnienie ożyło nagle w duszy Jerzego. "Wszak ta dzisiejsza Méala, to oksanińska dawna Ola, uciekająca, taksamo skrwawiona i nieszczęśliwa" przed szpicrutą i obelgami! Ten sam wyraz przestachu w jej błyszczących oczach, nawet twarz Méali mulatki, przypominała teraz zupełnie zbiedzone, zczerniałe rysy pomocnicy Nastki, dziewczki piekarnianej. A i teraz także oczy jej zwracały się z błaganiem ku wybawicielowi. Jerzy szedł za tym wzrokiem i zdało mu się, że w tej chwili Méala, zwracając się ku Pawłowi i Wirginii, patrzy w tymsamym wprawdzie kierunku, lecz nie, na nich, tylko dalej, ku przeciwległej łoży.

Zygmunt siedział w jej głębi obok Ireny. Ona pochyłona Wstecz ku niemu, mówiła z widocznym ożywieniem; on z roztargnieniem słuchał, nie odpowiadając, cały wpatrzony w Olę. Jej dłonie ku niemu zdawały się teraz wyciągać, a głos jakby jego opieki i litości wzywał, potężniał coraz bardziej, wibrował w powietrzu, drgał uczuciem. Książę de Sarthes odwrócony od Ireny i Zygmunta, patrzył w tej chwili z zajęciem na scenę.
— Bezwstydna! — szeptała Irena, unosząc się — rzuca tu ciągle oczyma, na ciebie, ściga cię wzrokiem!

— Zdaje ci się — odparł również szeptem Zygmunt — ca miłość boska uspokój się!...

Irena darła w rękę batystowa chusteczkę.

— To nie do zniesienia — mówiła. — Od kilku tygodni o nikim i o niczem innym nie słyszę, tylko o niej. Formalne zaczarowanie!.. Matka, ty, Jakób, nawet on;

książę! Wiem na czym to się skończy!..

— Na niczem... — wtrącił sucho Zygmunt, widocznie pragnąc co rychlej przerwać rozmowę.

Irena gryzła wargi; zielonawe jej oczy rzucały błyski.

— Pamiętaj! — pochylając się ku niemu, mówiła coraz ciszej, ale dobitnie —

pamiętaj, na wszystko się odważę, a tego nie dopuszczę, byś się do tej kobiety

zbliżył!... Zostaw ją Jakóbowi i temu swojemu koledze...

— To nie prawda! — oburzył się Zygmunt — przekonałem się...

— Wszyscy tak mówią.

— Kaczej ty opowiadasz wszystkim! Był czas, że nawet we mnie
wmówiłaś...

Głos Zygmunta zadrżał oburzeniem. Księżę odwrócił głowę i spojrzał
na nich.

— Nie słuchacie tercetu — rzekł — a śliczny... Ta Ola, to
rzeczywiście talent,
znam się na tem.

Tercet się skończył, a z nim pierwszy obraz aktu pierwszego. Kurtyna
zapadła i

zabrzmiały huczne oklaski. Wszyscy artyści wyszli dziękować, z
wyjątkiem Oli;

która po przebyciu pierwszego wrażenia, nie czuła się teraz na siłach
ukazać się

oczom publiczności. Na-

próżno wołano: Méala! W saloniku, przylegającym do jej garderoby,
Ola leżała bez

ruchu, z oczyma zamkniętymi, niezdolna przemówić, ani myśli
zebrać.

W sali tymczasem panowała wrzawa; dzielono się wrażeniami. Pani
Stefania, która

przez chwilę żywo rozmawiała z pasierbem, wychyliła się z łoży,
widocznie

poruszona; łzy miała w oczach.

— Reniu — przemówiła do córki — nie uwierzysz jak jestem
szczęśliwa! To

prawdziwy tryumf tej naszej kochanej Oli! Chciałabym ja uścisnąć.

Wyobrażam

sobie co z tą biedaczka dziać się musi w tej chwili. Żeby tak można
pójść do

niej? Mój drogi księżę! — dodała, zwracając się do zięcia — wszak
wiesz czym

była Ola w mojej rodzinie, od dziecka niemal wychowana u nas. My
byśmy powinny

być teraz przy niej z Ireną. Niewiem czy to możebne? jak sądzisz?

Ironiczny śmiech księżnej przerwał jej mowę.

— Ale cóż znowu! — zawołała Irena. — Jutro cały Paryż śmiałyby się z tego.

Zresztą, niech mama się nie obawia, towarzystwa Oli nie zabraknie.

Księżę nawet

jest pod urokiem i pewno zechce hołd złożyć. Niepodobna jednak, aby hrabina de

Larjeac szła za kulisy, do aktorki.

Pani Stefania niecierpliwie ramionami wzruszyła.

— Ależ ta aktorka — odparła żywo — to tak jakby wychowanica moja. Mam obowiązki

dla niej, a moja [teraz przy niej obecność, może jej niemałą być pomocą, otucha.

Księżę de Sarthes z pod oka, nieznacznie badał

wyraz twarzy swej żony. Przenikliwe, chmurne spojrzenia rzucał, to na nią, to na

Zygmunta.

Irena wzburzona, niecierpliwie poruszała się całą postacią; gorączkowo,

bezwiednie, to brała lornetkę do ręki i przykładała do oczu, to znów odrzucała

ją na aksamitną poręcz łoża. Zygmunt stał w głębi, posepny; do dyskusyi się nie

mieszał.

Księżę podniósł się nagle. Po jego twarzy przebiegł błysk; zwykle spokojna,

miała przez jedno mgnienie oka wyraz gniewu. Żyły mu na czole nabiegły; krew

widocznie biła do głowy.

— Hrabina ma słuszność — ozwał się głosem stłumionym — najzupełniejszą

słuszność. To się Oli należy. Znam dobrze dyrektora teatru; poszł do niego

bilecik z prośbą, by nam ułatwił widzenie się z nią w antrakcie.

Mówiąc to, z pugilaresu wyjmował swoją kartę wizytową i nie podnosząc głowy:

— Pani pójdzie — rzekł do żony.

W głosie jego nie było pytania, raczej stanowczość rozkazu.

— Nie pójdę ! — zawołała Irena — i aby gniew ukryć, wzięła znowu lornetkę do

ręki, obu łokciami wsparła się na poręczy i zaczęła oglądać górne
łoże, pozornie
z wielkim zajęciem.

Książę drgnął, ale nie odrzekł nic. Na bilecie nakreślił śpiesznie słów
parę i

wyszedłszy na chwilę z łoży, posłał do dyrektora.

Równocześnie podniosła się kurtyna.

Rozpoczynał się obraz drugi.

Scena, jaskrawo oświetlona, przedstawia w głębi plantacye trzciny
cukrowej,

należące do bogatego kolonisty pana de Sainte Croix, okrutnego
tyrana Méali.

Liczne gromady czarnych niewolników pracują w skwarze
słonecznych promieni. Na

przodzie sceny po prawej stronie wznosi się pawilon z wielką
werandą.

Pierwsze sceny przedstawiają, niedolę pracujących niewolników i
srogość ich

pana, który znęcając się nad nimi, nakazuje ponowną pogoń za zbiegłą
Méalą i

grozi najsurowszemi karami tym, którzyby za jej przykładem pójść
śmieli.

Wtem w głębi ukazują się Paweł i Wirginia. Za niemi trwożliwie kryje
się Méala.

— To on ! — śpiewa, wskazując na p. de S-te Croix.

Chóry odpowiadają okrzykiem przerażenia na widok powracającej
niewolnicy:

— To ona!

Méala zostaje w głębi, podczas gdy Paweł i Wirginia, zbliżywszy się
do groźnego

jej pana, proszą o przebaczenie dla zbiegłej.

Ste Croix z początku się waha, lecz długo nie może się oprzeć
urokowi Wirginii,
która rzuca mu się do nóg i wznosząc ku niemu tkliwe spojrzenie,
głosem, którego
słodycz wszystkich obecnych przenika, błaga o łuskę. Oczy pana de
Ste Croix
zaczynają ciskać iskry. Z pożądliwością przypatruje się dorodnej
postaci
dziewczęcia, a w myśli jego powstaje plan ohydny.

Przebacza Méali i w uniesieniu wspaniałomyślnem rozkazuje
wszystkim niewolnikom
śpiewać i tańczyć. Wnoszą stoły, kosze owoców, wino — Ste Croix
zaprasza uroczą
Wirginię i Pawła na ucztę.
Rozpoczynają się tańce i śpiewy. A tymczasem słońce ku zachodowi
się zniża — już
znikło! Zmierzch zapada rychło, a droga z powrotem dla "Wirginii
daleka, przez
puszcze leśne. Sainte Croix podochocony trunkiem, coraz śmielej
zbliża się do
Wirginii, coraz pożądliwiej na nią spogląda.
Méala widzi groźne niebezpieczeństwo i postanawia ostrzedz
kochanków i zniewolić
ich, by co rychlej uciekali, zanim noc zapadnie.
Ste Oroix każe jej śpiewać. Więc ona zaśpiewa pieśń taką, w której
Wirginia i
Paweł znajda zbawienną przestrożę.
— Śpiewaj! — krzyczy Ste Croix — śpiewaj najpiękniejszą swoją
piosenkę, to
będzie twój okup!
Méala wybiega na przód sceny.
— Jestem posłuszna! — odpowiada.
I zwracając się ku Pawłowi i Wirginii, w stronę łoży, w której obok
Ireny widzi
Zygmunta:

— Słuchajcie mojej piosenki! — woła.

Z rąk niewolników porywa rodzaj gitary, czy arfy i trąca o struny.
Z oczami wzniesionemi ku niebu, jakby ztamtąd miało jej przyjść
natchnienie,
chwilę stoi nieruchoma, bez głosu, tylko struny brzmia pod jej
palcami, ponurym,
monotonnym nieco dźwiękiem.
I nagle zaczyna śpiewać:

Parmi les lianes,
Au fond des savaiies,
Le tigre est couché;
on regard flamboie,
U guette sa proie,
Dans Fombre caché.

Głos jej kontraltowy, silny, dźwięczny, rozszedł się potężnym
brzmieniem wśród
ciszy, jaka zapanowała w sali. Z wytężeniem słuchano. Każdy czuł
mimowoli, że to
nie zwykły artystyczny"popis; głębokie uczucie drgało w każdym
tonie, ponura
nuta pieśni przenikała na wskroś.
A wtem silne tony przeszły w pianissimo; zadźwięczały trylem
przeciągłym i
zmiękły. Z ponurych stały się łagodne, rzewne, jakaś prośba w nich.
zabrzmiała.
Meala nagłym ruchem zbliżyła się do Pawła a wzrokiem sięgając w
dal, ku
przeciwległej łoży; śpiewała:

Le jour va s'éteindre,
Voici la nuit !...
Il peut vous a'teindre...

Głos szedł w górę, błagalny, oparł się na najwyższej nucie, brzmiał jak dzwonek przez chwilę i nagle przeszedł w rozpaczliwy, urwany krzyk.

Fuyez! tout fuit!

— Precz z twą pieśnią! — krzyknął Ste Croix.

A Meala z oczyma utkwionemi ciągle w jedną stronę, w uniesieniu powtarzała:

Fuyez! tout fuit!

Wśród widzów słyhać było od czasu do czasu okrzyki zachwytu, wnet tłumione.

Znać było, że gdyby nie panowano nad sobą, cała sala wybuchnęłaby od razu

jednym, olbrzymim oklaskiem. Uniesienie przebijało się na twarzach słuchaczy.

Sipajłło w tej chwili zapomniał o wszystkim, nawet o swoim memoryale, który

właśnie teraz miał być przedmiotem narad w Akademii medycznej.

Zapomniał po raz

pierwszy w życiu o sobie, tylko słuchał, a okiem roziskrzonym śledził każdy ruch

Oli.

Zdawało mu się czasem, że nie zdoła się powstrzymać, że krzyknie, albo ucieknie

z sali, by nie słyszeć tego głosu i nie widzieć tej postaci, która mu tak żywo

przypominała przeszłość, a w terażniejszości tak pociągała ku sobie.

W łoży księstwa de Sarthes, Irena z oczyma zakrytymi lornetką zdawała się z

zajęciem przyglądać scenie. Książę usunął się nieco w głąb, chmurny.

Zygmunt

wstał, oparł się o ściankę łoży i patrzył blady, poruszony.

I on, podobnie jak Sipajłło, nie mógł teraz oczu od Oli oderwać, i
jemu cała
przeszłość, jak żywa, stała w pamięci i on zapomniał o wszystkim.
Śpiew Oli
na chwilę poruszył w nim głos sumienia.
— Uciekaj! uciekaj! — powtarzał mu głos ten, wraz z brzmieniem
pieśni. Ciężka
ciemność nocy zaległa

twój umysł i serce. Otrząśnij się i uciekaj, bo grozi ci
niebezpieczeństwo
wielkie, moralna śmierć! Uciekaj, dopóki choć jeden jasny promień
przenika do
twojej
duszy.

I naraz z tej zadumy budziła go znowu obecność tak bliska tej drugiej
kobiety,

która panowała nad nim całą potęgą zmysłów.

Tamta, to uczucie idealne, święte, nieskalane niczem. To miłość,
poświęcenia

pełna i zachwyty, to dźwignia w pracy, to życie nie bez trudów
może, upokorzeń

i zawodów, ale to spokój, to harmonia, więc szczęście.

Ta, to namiętność szalona, nie znająca hamulca, to ciągła walka z sobą
samym, z

głosem własnego sumienia, to ciągłe niebezpieczeństwo, ciągła ohyda
występku!

Akt się kończył. Pieśń Méali odniosła skutek zamierzony. Paweł i
Wirginia

zrozumieli przestrozę i co prędzej uchodzą, a Ste Croix, pijany
trunkiem i

gniewem, wydaje Mealę na kaźń. Służalcy porywają i unoszą ją ze
sceny, podczas

gdy chór niewolników śpiewa:

Pauvre Méala!

Tęskną nutę tego chóru współczucia przenika od czasu do czasu ostry,
bolesny
krzyk Méali.
Oklaski zerwały się jak huragan. Publiczność w uniesieniu zachwytu
domagała się
okrzykami powtórzenia pieśni.
I raz jeszcze zabrzmiało w uszach Zygmunta ostrzegające wezwanie
Oli:

Fuyez! fuyez! tout fuit!

Na scenę z łóż, krzesel, z góry posypały się kwiaty.
Ola pomieszana, drżąca, stała z pochyloną głową, nie śmiejąc wzroku
podnieść na
tę salę, grzmącą jednym okrzykiem zachwytu. Upajały ją te oklaski,
unosił
tryumf odniesiony. Była jedna, krótka chwila, wielkiego szczęścia...
Krótka., jak mgnienie oka.
Z poblizkiej łoży księstwa de Sarthes padł na scenę bukiet z
najwspanialszych
kwiatów. Musiał być rzucony z wielką siłą, bo zanim stoczył się do
stóp Oli,
ugodził ją w pierś tak mocno, że Ola drgnęła, zachwiała się i
oprzytomniawszy,
głowę podniosła.
Spotkała się z wyiskrzonym wzrokiem Ireny, uśmiechniętej
szydersko. Irena
oddychała szybko; narzutka balowa zsunęła się z obnażonych ramion,
które w tym
oddechu poruszały się gwałtownie.
Spojrzenia ich skrzyżowały się ostre, namiętne, wrogie. I w tejże
chwili, Ola
pochyliła się raz jeszcze. podniosła z ziemi najskromniejszy kwiatek,
rzucony

jej z góry i dziękowała ukłonem wszystkim, nisko, kornie. A naraz,
podnosząc
znów głowę, ruchem energicznym, przydeptała wspaniały bukiet,
leżący u jej stóp.
Patrzała wprost na Irenę, wyzywająca, zuchwała.....
Kurtyna zwolna zapadła.
Równocześnie do loży księcia wszedł dyrektor. Oznajmiał, że
przygotowane jest
wszystko na przy-

jęcie tak dostojnych gości i że Ola — bohaterka wieczoru — oczekuje
na zaszczyt
odwiedzin.
Książę wstał. Przez cały czas śledził on bacznie wszystko. Gdy z ręki
jego żony
padł na scenę bukiet i ugodził w pierś Méale, drgnął widocznie. Była
chwila, w
której zdawało się, że nie zdoła zapanować nad uniesieniem. Jak
błyskawica
odbiło się ono na jego twarzy. Przygryzł wargi i siedział odtąd
nieruchomy,
milczący; chwilami tylko chwycił się ręką za głowę, która pałała.
Zmęczone jego,
przygasłe oczy zabiegały krwią.
Na słowa dyrektora odpowiedział uprzejmie, z, uśmiechem, i nie
patrzając na żonę,
przeszedł do sąsiedniej loży, aby podać ramię hrabinie.
— Chodźmy! — rzekł.
Irena siedziała nieporuszona. Czuła teraz, że niebezpieczeństwo
katastrofy
niespodziewanie się zbliżyło, że ona. sama temu winna, ale to
poczucie zamiast
przerazić, jeszcze ją bardziej zagrzewało.
— Niech się stanie co chce! — szeptała przez zaciśnięte wargi — ja
nie pójdę!

Książę, przechodząc obok otwartych drzwi od łoży żony, zwrócił się nagle do Jakóba.

— Proszę cię — rzekł — zostań z księżną. A podnosząc głos:

— Panie Zygmuncie — dodał - pan idzie znami?

— Zostań! — szepnęła gwałtownie Irena — nie możesz tam iść, nie pójdziesz!

— Nie pójde tam, ale i tu nie zostanę! — odparł Zygmunt równie szeptem.

Wybiegł z łoży i z teatru.

Sipajłło pilnie uważał wszystko, co się działo w łoży, gdzie był Zygmunt. Nie

uszedł jego baczności bukiet, ręką Ireny na scenę rzucony, widział gwałtowny

ruch Oli, a domyślał się całego dramatu tem łatwiej, że oddawna podejrzywał Olę

o miłość dla Zygmunta, a jego o afekt dla księżnej.

Gdy w antrakcie pani de Larjeac wyszła z księciem w towarzystwie dyrektora, nie

wątpił, że idą wieszować Oli sukcesu; powód pozostania księżnej był jasny.

Zauważył następnie gwałtowne wyjście Zygmunta i żywą rozmowę, jaką Irena

prowadziła później z bratem. Chwilę siedziała jeszcze, poruszając się ciągle

niecierpliwie. I nagle wstała z miejsca. Treści rozmowy Sipajłło oczywiście

słyszeć nie mógł, ale z ruchów i wyrazu twarzy księżnej nietrudno było poznać,

że żądała, aby hr. Jakób wyprowadził ją z teatru. On widocznie czynił przedstawienia, które snąć wszakże nie trafiły do przekonania Ireny.

Wyszli, a

za chwilę pan de Larjeac sam powrócił.

Wkrótce też wróciła pani Stefania z zięciem. Książę wszedł do łoży, rzucił okiem

dokoła, a nie ujrawszy żony, zachnął się gwałtownie. Chwilę stał u wejścia,
jakby się namyślał, co czynić, lecz wnet się zdecydował. Usiadł spokojny na
pozór, ale Sipajłło zdaleka dostrzegał zmianę w wyrazie jego twarzy. To bladł,
to czerwieniał na przemian.
Hr. de Larjeac pochylił się ku niemu i coś mówił,

lecz książkę ręką skinął, słuchać nie chciał. Jeszcze bardziej w głąb
łoży się
zasunął i siedział nieruchomy, a tylko od czasu do czasu, uważał
Jerzy, jak
niecierpliwie szarpał krawatkę, jakby go dusiła.
Spostrzeżenia te nieco otrzeźwiły Jerzego z wrażeń, jakich doznał na
widok Oli
na scenie.
— Głupi ludzie! — myślał. — Nie mają innego celu przed oczami;
zawsze i wszędzie
idzie im tylko o kobietę, a to takie marne! Ja co innego. Jutro już
może będę
sławnym, a wtedy nawet Ola...
Czuł jednak, że dla Oli szalećby mógł, że i w tej chwili pali go ogień
zazdrości.
— Może Zygmunt do niej poszedł — myślał Jak ona patrzyła na
niego! Ona na mnie
tak nigdy nie spojrzy. Dałbym wiele za to!
— Nie! odpowiadał sam sobie — nie ulegnę! Muszę być silnym! Ta
miłość zrobiłaby
ze mnie mazgaja, podobnego do tych, którzy nie widzą nic, prócz tej
lub innej
kobiety. To zawada w życiu, którą odepchnąć trzeba.
Przedstawienie tymczasem szło dalej, ale Jerzy z roztargnieniem już
słuchał.
Zelektryzował go raz jeszcze śpiew Oli w akcie trzecim, ale to było
już inne

wrażenie. Zdawało mu się, że głos jej był znacznie słabszy, jakby
znużony, że nie
miał owych silnych akcentów, jakimi przenikał na początku
przedstawienia. Śpiew
był rzewny; wypowiadał tęsknotę duszy, która na obczyźnie, w ucisku
wyrywa się
ku swoim, ku ukochanemu!

En vain sur cette lointaine rive,
La main d'un maître me tient captive,
Je vole en chantant vers l'ami qui m'attend,
Mon âme là-bas s'envvole en chantant!

Jerzy spojrział na Olę, patrzyła teraz w górę, odwrócona od łoży, w
której już
nie było Zygmunta. Twarz jej wyrażała niewymowną boleść, w głosie
czuć było łzy.

— Jak ona go kocha! — pomyślał Jerzy.

I znowu, wbrew rozumowaniom, przeniknęło go na wskroś uczucie
zazdrości.

— Że też on zawsze na mojej drodze stanąć musi — szepnął z
gniewem i wzburzony,

nie czekając końca przedstawienia, wyszedł z teatru.

W sali było gorąco, duszno. Owionęło go u wyjścia świeże powietrze;
pełna
piersią odetchnął.

— Nie mogę się poddawać! — powtarzał sam do siebie idąc
śpiesznie. — I do

czego by mnie to doprowadziło? Ona za tym Zygmuntem szaleje, a ja
byłbym tylko

śmieszny, gdybym teraz z moim afektem wystąpił... Mniejsza o to!
znajdę kobiet

innych tysiące, gdy się moja sława rozejdzie.

Szedł zamyślony z pochyloną głową. Na samym rogu skweru potrącił
przechodnia.

Spojrzął przepaszając, i cofnął się...

— A... a!... — zawołał ironicznie — Zygmunt! Voici l'ami qui attend.
Idź — dodał
— spiesz się! Ola tam oczami zawraca i unosi się w śpiewie ku
przyjacielowi,
który na nią czeka...

Zygmunt spogląda! zdziwiony, nie rozumiejąc, Wzrok miał błędny,
ruchy
niespokojne.

— Jerzy — rzekł, chwytając go silnie za rękę — szedłem właśnie po
ciebie, do

teatru; gdzie idziesz?

Sipajłło zaśmiał się, szydząc ciągle.

— Ja — odparł — pewnie nie tam, gdzie ty. Ja do szpitala, gdzie
jeszcze dzisiaj

ważną mam pracę, a ty do tej, lub innej pięknej pani. Dziś może do
Oli bo ci się

już snąc sprzykrzyła — Irena!

— Milcz! — krzyknął Zygmunt gwałtownie. — Stało się
nieszczęście. Księżę zdaje

się wie o wszystkim, albo przynajmniej ma silne podejrzenia.

Domyśla się, że

nikczemny, że za dobrodziejstwo odpłacił mu najhaniebniejszą
zdradą. Takiej

sytuacji nie zniosę; niech się dzieje co chce! Jutro może będę
potrzebował

twojej pomocy Jerzy, będziesz mi świadkiem.

— Chcesz bić się z księciem? — spytał Sipajłło, mocno zdziwiony tą
nagłą

otwartością Zygmunta, która sama przez się świadczyła o grozie
sytuacji.

— Nie wiem, co mi wypadnie uczynić — odrzekł Czarnoszyński. —
Być może, iż będę

zmuszony... Ja księcia znam. Z całą szlachetnością swej natury zapyta
Irenę o

prawdę, a ona mu jej nie zatai, wtedy zaś...

Sipajłło spoważniał nagle. Nie była mu na rękę ta awantura i chętnie byłby się z niej wycofał. W gruncie rzeczy mało go obchodziła ta sprawa, której zresztą tak tragicznie nie brał.
— Jestem bardzo zajęty — odparł, wahając się — ale jeśli koniecznie chcesz, będę ci służył. Masz

tu jednak tylu znajomych, którzy się lepiej na tem znają...
Zygmunt odciągnął go na środek skweru. Zatrzymali się przy pięknym posągu Zwycięstwa; tam mniej było przechodniów, więc swobodniej można było rozmawiać.
Czarnoszyński pochylił się ku Sipajłlle i mówił dalej głosem stłumionym, syczącym:
— Jeśli do pojedynku przyjdzie, jeden z nas zginąć musi, to jest ja zginąć muszę. Na twoją dyskretyę liczę. Ty to zresztą najlepiej moim rodzicom przedstawisz, potrafisz przed nimi utaić choć część prawdy. Nie chcę, aby wiedzieli, z jakich powodów, tak marny koniec!...
Głos uwiązł mu w krtani. Po chwili ciągnął dalej szybko, urywanym tonem.
— Idę teraz na bal do hrabiny de Saluces. Chcę, aby mię tam widziano. Muszę zresztą zobaczyć się z księżną, po raz ostatni. Ciebie gdzie mam szukać?
— Jadę do szpitala — odparł Jerzy — zabawię tam z godzinę, zajdę potem do klubu, aby się dowiedzieć o mojej sprawie w Akademii, następnie wrócę do siebie. Jutro do południa czekać będę.

— Dziękuję ci — rzekł Zygmunt. Uścisnął go mocno za rękę pędem i pobiegnął dalej.

Sipajłło stał chwilę, patrząc za nim.

— E! — mruknął sam do siebie, machając ręką — nerwowy człowiek, wyobraża sobie

Bóg wie co, a z tego nic nie będzie. Pogodzą się! Książę był wprawdzie dzisiaj

widocznie bardzo wzburzony, ale pewnie

ma rozum i wie, że starość, nie radość. Zresztą na bardzo zapalczywego nie

wygląda, raczej na apoplektyka, któremu zaczyna być duszno...

Wsiadł do doróżki i kazał się zawieźć do szpitala la Charité.

Za chwilę Zygmunt wchodził do wspaniałych apartamentów hrabiny de Saluces.

Były już zapelnione tłumnie. W olbrzymiej sali, oświetlonej rżęsiście, przy

dźwiękach orkiestry tańczono.

Zygmunt przeciskał się przez tłum, witając się ze znajomymi z roztargnieniem.

Widokiem tego tłumu, wrzawy, tańca, chciał wzburzone myśli do równowagi

przywieść, przed stanowczą rozmową z księżną i przed rozprawą z księciem, która

przeczuwał i za nieuniknioną uważał.

Po wyjściu z teatru snuł się czas jakiś bezmyślnie po ulicach; był w swoim

mieszkaniu, ale tam długo wytrzymać nie mógł. Samotność drażniła go

niewypowiedzianie; pragnął co rychlej przyspieszyć rozstrzygnięcie sprawy, a w

samotności każda minuta wydawała mu się wiekiem.

Rozstrzygnięcie to było w jego umyśle postanowione nieodwołalnie.

Dłużej tej hańby dźwigać na sobie nie mógł. Każdy dzień, każda godzina była dla

niego torturą; z każdym dniem głos sumienia tak długo tłumiony,
wydobywał się,
coraz wyraźniej z głębi duszy. W nocy prześladowały go zmory. Z
groźnym wyrazem
na sędziwej twarzy, z pięścią zaciśniętą, widział marszałka, który

go odpychał od siebie z pogardą, gdy on po dawnemu chciał się do
kolan jego
pochylić. Widział rodziców w niedostatku, smutnych, a najbardziej
tem
zgnębionych, że zapomniał o nich syn jedyny, tak bardzo ukochany,
że zamiast
pociechy w starości, rzucił na ich siwizną hańbę swego życia.
Tak, hańbę! W pierwszych chwilach oszołomienia miłością,
pociągnięty czarem tej
kobiety, zapomniał o wszystkim. Dziś odczuwał dobrze całą sromotę
swej pozycji:
przyjmował wszystko, cały byt swój z ręki szlachetnego człowieka, a
wyrządzał mu
najwyższą krzywdę, zadawał najcięższą zniewagę.
Przeciw tym głosom bronił się długo. Cieniom marszałka, zarówno
jak rodzicom, na
ich wyrzuty, odpowiadał w swej myśli, że nie on winien, iż mu
odebrano podstawę
bytu, do jakiego był stworzony, że go rzucono na grunt obcy, w obce
społeczeństwo, że go narażono na pokuszenia, których ci starsi nie
znali.
Przeciw innym refleksyom bronił się znów tem, że nie dobrowolnie
wpadł w te
sidła, że go sam księżę niemal zmusił do przyjęcia wygodnej pozycji,
a Irena
sama zalotnością swą wciągnęła.
I bronił się tak długo, aż do chwili, gdy w wyrazie twarzy księcia i w
jego
zachowaniu się dostrzegł zmianę. Co zwróciło uwagę księcia, czy
jakie

nieroztropne słowo, czy niedyskretne spojrzenie, nie wiedział, ale
czuł, że w
sercu tego człowieka wre straszliwa walka, że z oczu jego wygląda
teraz
nieszczęście szlachetnej duszy, zgnębionej na zawsze, że patrzy

z nich okropna dla niego pogarda, której znieść dłużej nie potrafi.
Scena w teatrze była rozstrzygającą. Zerwać z Ireną, a księciu dać
takie
zadośćuczynienie, jakiego on tylko wymagać będzie - to było teraz
niecofnionem
jego postanowieniem.

Wszystkie sofistyczne rozumowania, jakimi przedtem starał się
uśmierzać swe

sumienie, nagle zamilkły, a jeden głos odzywał się tylko:

— Tyś winien! zadałeś kłam tradycji własnej, zasadom, jakie w
ciebie

wszczepiano, natchnieniom, jakie miałeś. Nie przygotowano ci
wprawdzie wygodnego

bytu, ale zostawała ci zawsze możność pracy. Nie miałeś wytrwałości
i woli!

Książę wprawdzie sam cię pociąga! i kusiła Irena, ale tyś uległ prawie
bez

walki, boś woli nie miał, boś jej w sobie nie wyrobił i nie hartował!

Oparł się Zygmunt o filar sali balowej i pogrążony w tych myślach,
patrzył

błędnym wzrokiem na przesuujące się przed nim pary w wirze
szalonego walca.

Pary strojne, rozbawione, szalejące.

Zwolna przestawał myśleć. Odgłos muzyki, wrzawa głosów i to ciągle
wirowanie par

tańczących, oddziaływały jak opium; odbierały władzę myślenia.

— Zanim księstwo wróć z teatru, uspokoję się — szepnął sam do
siebie. Wtem

poczuł lekkie dotknięcie na swem ramieniu i usłyszał głos: —
Zygmuncie!

Dreszcz go przeszedł od stóp do głowy. Odwrócił się szybko.
Przed nim stała Irena. Patrzyła na niego rozplómiętym wzrokiem.
— A jesteś przecie! — mówiła szeptem. — Nie mogłam wysiedzieć w
teatrze, wyszłam
zaraz za tobą. Gdzieżeś był? Uciekasz odemnie? Tak dłużej być nie
może! Jestem
zdecydowana...
— Ireno — przerwał Zygmunt — słusznie powiedziałaś: tak dłużej
być nie może, tak
być nie powinno! Maż twój domyśla się, a ja pogardy jego, ani
widoku jego
rozpaczy nie zniosę. Rozstać się musimy.
Suchym, ironicznym śmiechem skrzywiły się usta księżnej.
Gwałtownym ruchem
porwała go za rękę.
— Szalony jesteś — szeptała, pochylając się ku niemu i przesywając
go ognistym
wzrokiem — szalony! Ależ ja cię kocham, słyszysz! Kocham teraz
więcej, niż
kiedykolwiek. Dopiero teraz pojmuję co to jest miłość; i nie puszcze
cię, nie
puszczę!
Orkiestra urwała nagle. Znużone pary rozstały się i przestały
tańczyć. W
pustej przestrzeni sali byli teraz na widoku sami tylko Zygmunt i
Irena,
zbliżeni do siebie, pomieszani, wzburzeni.
Ona chciała jeszcze coś mówić, lecz pozostała bez ruchu i głosu, z
ustami na pół
otwartymi, ze wzrokiem sztywnie utkwionym w drzwi przeciwległe,
w których ukazał
się w tej chwili książę z hrabiną de Larjeac.
Wracali z teatru po skończonem przedstawieniu.
Książę od razu spostrzegł Zygmunta i Irenę, sto-

jących razem w głębi sali. Doprowadził hrabinę do miejsca, skłonił się przed nią i szedł teraz ku nim, patrząc na nich ciągle. Szedł na pozór spokojny, bardzo wolno.

Zygmunt instynktownie postąpił kilka kroków naprzeciw, ale książe rękę wyciągnął, jakby go wstrzymać chciał. I szedł ciągle wolno, coraz wolniej, krokiem chwiejnym.

Nagle przystanął. Szybkim ruchem ujął się za głowę, chwycił za gardło, postąpił spiesznie ku Irenie parę kroków, usta otworzył, i zachwiał się. I jeszcze się zatrzymał. A potem raptem ramiona roztworzył, rzucał niemi, chwytając się powietrza, krztusił się charcząc i runął na wznak.

Ośłupieli z przerażenia goście rzucili się ku niemu i podnieśli z ziemi — trupa.

Przywołany lekarz domowy spojrział tylko i głową dał znak, że wszystko skończone.

— Księżciu to oddawna groziło — rzekł po chwili — apopleksya piorunująca, niema rady! umarł!

Za chwilę książe de Sarthes, otoczony towarzystwem balowem, sam, jak zawsze, w stroju wytworny, leżał we wspaniałym salonie, wśród jaskrawych świateł, nieruchomy, sztywny.

Powieki miał wpół przymknięte, a przez nie widać było oczy zagasłe, bez iskry

życia, zasnułe czerwonawą, szklistą powłoką, jakby z nich krwawe łyzy wypłynąć

nie mogły i skrzepły. Twarz powlekała się szybko trupią bladością, z jednej

tylko lewej strony nabiegło sine piętno. Ust nie znać już było, tak
zbie-

łały. Rozchylone nieco, ukazywały zęby żółte, rzadkie, zaciśnięte
kurczowo.

Przez nie sączyła się piana z krwią.

I ten przed chwilą tak miły i uprzejmy, tak poszukiwany w
towarzystwie człowiek,

stawał się teraz, nagle, obcym wśród żywych ludzi przedmiotem,
stawał się

rzeczą, przerażającą jakąś maską, przebraną jakby na urągowisko w
strój balowy.

Goście rozpierzchli się w popłochu. Niewielu tylko zostało. Zostały
panie, żądne

wrażeń. Zdyszane jeszcze po tańcu, klęczały teraz opodal,
spoważniałe nagle,

drżące, onieśmiałe, kryjąc pod lekkimi zarzutkami obnażone
ramiona i patrząc

szeroko otwartymi oczyma.

Na ich ustach nie było modlitwy, ale w oczach przerażenia siła,
przykuwająca je

do miejsca i niedozwalająca im się oderwać od tego obrazu
znikomości życia.

Kilku mężczyzn stało zdale. Jedni milczeli, drudzy szeptali zcicha.

Rozchodzono

się zwolna, a stąpano ostrożnie, na palcach, jakby się lękano obudzić
tego,

który spoczywał już w śnie nieprzespanym.

Gdy lekarz wydał wyrok niecofniony, Zygmunt ruszył się z miejsca,
na którym stał

od chwili katastrofy, jak wryty.

Umarł!... to słowo ocuciło go. Spojrzał na Irenę. Stała z załamanymi
rękami,

blada, jak trup.

Ale się do niej zbliżyć nie poważył. Między nim a nią stanęło teraz
widmo

księcia de Sarthes, dzielące ich na zawsze.

Wychodził. We drzwiach zatrzymał go wicehrabia de Lormes, znany sceptyk,
szydzący ze wszystkiego i wszystkich.
— Okropny wypadek, — rzekł — okropny! Mówiąc to patrzył w głąb sali, w której spoczywał trup księcia.
Westchnął i szepnął:
— Głupie życie. Bóg jeden tylko wielki!
Słowa te w ustach sceptyka wstrząsnęły Zygmuntem, popatrzał bacznie na spoważniałą w tej chwili twarz p. de Lormes, uścisnął go mocno za rękę i wybiegł na ulicę.
Irena, wsparta na ramieniu rzewnie płaczącej matki, długo stała na miejscu, nieprzytomna.
Nagle, wyrwawszy się z objęć pani Stefanii podbiegła i padła na kolana u zwłok męża. Mimowoli, nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, zbliżyła usta do jego twarzy. Wzdrygnęła się, poczuwszy chłód dziwny, przenikliwy, tem straszniejszy, że niezwykle, niespodziewany, bardziej wstrząsający, niż zimno lodu. Odpychał ją od siebie ten skostniały już trup.
Irena krzyknęła i zemdlona osunęła się na ziemię.
Podniósł ją hr. Jakób, milczący jak zawsze, spokojny na pozór, tylko blebszy w tej chwili niż zwykle.

XI.

Rozstawszy się przed gmachem teatru z Zygmuntem, Sipajłto podążył wprost do szpitala. Od czasu operacji przeszczepienia rakowego zarazka, bywał on tam z początku jeszcze częściej niż zwykle, badając codziennie stan zdrowia Marietty. Minęło parę tygodni bez widocznych objawów; dziewczę spostrzegło od razu zadraśnięcie na piersi, a w kilka dni potem poczuło ból piekący, lecz długo wstydziło się przyznać. Sipajłto wniósłszy swój memoriał do akademii medycznej, w którym szczegółowo opisywał dokonaną operację i przewidywane następstwa, czekał cierpliwie. Rekonwalescentkę zatrzymywał pod rozmaitemi pozorami w szpitalu, chcąc mieć w razie danym żywy dowód pod ręką. Lekarze nie sprzeciwiali się temu. Szczególniejszą troskliwość Jerzego przypisywali, śmiejąc się, afektowi dla pięknej dziewczyny, której zresztą okazywano wyjątkowe względy i wcale nie przeszkadzano temu, aby całą rekonwalescencyę przebyła w szpita-

lu, w daleko lepszych warunkach, niż w ubogim domu matki. Ze łzami w oczach dziękowała za to Sipajlle matka Marietty, a raz odprowadziwszy go na bok, zaczęła swoim zwyczajem opowiadać długo o ukochanej swej jedynaczce. Jerzy przyjmował podziękowania zimno, a z roztargnieniem, choć uprzejmie z pozoru, słuchał opowiadań gadatliwej kobiety, gdy nagle drgnął. — Muszę panu powiedzieć — mówiła ona — że Marietta nie jest jeszcze zdrowa.

Dostała jakiegoś wyrzutu, obrzmienia na piersi. Wstydzi się
biedniątka pokazać,
ale ją to boli. bardzo boli. To zapewne skutek przebytej gorączki.
Obrzmienie
znaczne. Panu, dobroczyńcy naszemu, który dla niej był tak dobrym,
może pozwoli
się zbadać, ja ją namówię.
— Trzeba koniecznie — przerwał Sipajłło.
Coś go w gardle zdławiło, mówić nie mógł. Cel, ku któremu od tak
dawna dążył,
zdawał się w zupełności osiągniętym, przeszczepienie zarazka
powiodło się, dowód
był niezbity.
— Muszę zbadać natychmiast! — rzekł po chwili i zwróciwszy się do
dyżurnego
lekarza opowiedział o co chodzi.
Przystąpiono natychmiast do badania.
Jerzy zmienił nagle ton. On dotychczas uprzejmy dla matki, a dla
Marietty tak
delikatny, stał się bezwzględny, brutalny. Na prośby, łzy, zaklęcia
dziewczyny
nie zważał. Chciała się bronić; Jerzy

pochwyił lewą ręką obie jej dłonie, jak w kleszcze, a prawa rozerwał
koszulę na
piersi.
Dziewczę, omdlałe z przerażenia i wstydu, przestało stawiać opór.
Sprawdził się sen Sipajłły z przed kilku tygodni.
Na miejscu szczepienia wyrósł guz twardy, siny, z licznymi
odnogami.
Jerzy badał gorączkowo; rozplómięzionym wzrokiem spoglądał na
swoje dzieło.
— Tak, tak — szeptał — nie może być wątpliwości!
I zwracając się do dyżurnego lekarza, który przy tem badaniu był
obecny:

— Carcinoma fibrosum! — rzekł tryumfująco. Lekarz pochylił się nad chorą.

— Trudno teraz orzec — odparł — w każdym razie to dopiero pierwsze stadyum rozwoju, ja nie wiem...

— Ale ja wiem! — przerwał Sipajłło — zakrył szybko pierś Marietty i powstał. Ani

na przerażoną matkę, ani na omdlałą dziewczynę nie spojrzął, nie miał już dla

nich słów współczucia, nie były mu odtąd potrzebne.

"Dokument ludzki", a z nim upragniona sława, majątek, znaczenie, zostały

zdobyte!

Aby ukryć swą radość czempredzej wyszedł ze szpitala. Tegoż dnia wysłał do

Akademii medycznej uzupełnienie memoriału, przedstawiając wyniki naocznego

badania i czekał.

Od tej pory przez dni kilka nie był w szpitalu;

chciał teraz bowiem w pewnych przerwach badać postępy choroby. Pożegnawszy Zygmunta, z tem większą więc niecierpliwością tam jechał, a

przybywszy, zadzwonił silnie do bramy.

Wszedł śmiało, jak ten, który jest pewny, że mu tu o każdej porze wejść wolno.

Na korytarzu zastąpił mu drogę stary dozorca.

— Sale zamknięte — rzekł chmurno — wchodzić nie wolno.

— Co? — przerwał Sipajłło — nie poznajesz mnie chyba! mnie, niewolno?

— Właśnie panu — odparł dozorca spokojnie, ale stanowczo.

Jerzy zdumiony cofnął się, a potem chciał ręką usunąć dozorcę, który mu

przejście zagradzał. Ten jednak stał nieporuszony.

— Gdzie Dr. Vincent? — krzyknął Sipajłło — co to jest? co to znaczy?

W tejże chwili otwały się drzwi boczne i wyszedł lekarz dyżurny, ale nie Dr.

Vincent. Ten był nieznany Jerzemu.

— Pan Sipajłło? — spytał z trudnością wymawiając nazwisko.

— Bardzo mi przykro — dodał, kłaniając się uprzejmie — ale mam wyraźny rozkaz nie puścić.

— Co to znaczy? co to jest? — bełkotał Jerzy nieprzytomny — wodząc oczami dokoła.

W cieniach korytarza widział snujące się posta-

cie Sióstr Miłosierdzia i dozorców. Skupiano się na odgłos wrzawy i patrzano

ciekawie w tę stronę.

— Nie umiem panu wytłumaczyć — mówił uprzejmie lekarz — od wczoraj dopiero tu

jestem na miejscu Dra Vincent, który ustąpił. Otrzymałem co do pana wyraźne

polecenie, którego powodów nie znam.

Sipajłło już nie słuchał. Zatoczył się i oparł o ścianę.

Przed nim stała matka Marietty, mierząc go wyiskrzonym wzrokiem.

— Podły! nikczemny! — krzyczała, zbliżając twarz swą obłąkaną do jego twarzy i

pięściami mu grożąc.

Jerzy odtrącił ją i wybiegł ze szpitala.

Gdzie iść? sam nie wiedział. Cios był nadto niespodziewany, gwałtowny; oszołomił

go, odebrał władzę myślenia.

Machinalnie, instynktem zaszedł pod bramę domu, w którym bywał dość często. Był

to klub, gdzie wprowadził go przed kilku miesiącami ten sam Dr.

Vincent, którego

Jerzy zastępował w szpitalu i którego zaufanie tak haniebnie zdradził.

Spojrzał w okna; były oświetlone. Grano zapewne. W klubie tym grywano wysoko, a

Jerzy zasiadał tam często do zielonego stolika. Od studenckich czasów, od owej nocy ostatniej w Kijowie, bezsennie przy kartach spędzonej, po raz wtóry zaczął grać w Paryżu. Mógł sobie teraz na to pozwolić; Borski pieniędzy mu nie szczędził, gotówki nigdy mu nie

brakło, a grał nieraz szczęśliwie i z rosnącą namiętnością. — Pójdę tam — pomyślał — oszołomię się grą, a może się spotkani z Drem Vincent i dowiem się, co to wszystko znaczy. Za chwilę siedział w klubie przy zielonym stole. Zastał kilku znajomych, ale Dra Vincent nie było. Jako dobrego partnera powitano Jerzego uprzejmie i do gry zaproszono. Siadł nieprzytomny. Kazał sobie podać koniaku i jednym haustem wypił spory kieliszek; to go orzeźwiło nieco. Ale do równowagi jeszcze przyjść nie mógł. Nie mógł schwytać swego "ja", które jakby się oddzieliło od jego fizycznej istoty; myślało osobno i było daleko, przy Mariecie. — Gram! — rzekł krótko, tak samo jak niegdyś w Kijowie. Rozdawano karty. Bakarat był w pełnym rozwoju. Przy każdym z grających leżały stosy monet złotych. Jerzy grał machinalnie. Przegrywał — płacił wygrywał — zsuwał pieniądze Nie robiło to na nim żadnego wrażenia. — Wina! — krzyknął. Podano mu butelkę szampańskiego, zwanego w Paryżu "polskiem", Moët Chandon. W klubie znano już gust Sipajłły.

Wypił całą szklanke, potem drugą i począł się ożywiać. Jego "ja"
wracało do
niego, dziwne jakieś,

niezwykłe, oszołomione, ale tracące pamięć wrażeń świeżo
przebytych.

Szcście mu dzisiaj służyło. Wygrywał ciągle i teraz śmiał się już do
swojej

wygranej, do tych stosów złota, które koło siebie gromadził.

Pił ciągle i coraz większą wrzawę słyszał wokół siebie. Wrzawę
rozkoszną, która

tłumiła wszystkie głosy słyszane dzisiaj: śpiew Oli, słowa Zygmunta,
głos

dozorcy szpitalnego, wyrok lekarza, wszystko!

Widział tylko karty przed sobą i złoto, połyskujące w blaskach, które
go

drażniły.

Nagle, biorąc kartę, podniósł głowę i naprzeciw siebie ujrzał Dra
Vincent.

Twarz jego wydała mu się: dziwnie zmienioną. Mówił głośno i
gwałtownie do

otaczających go i słuchających ciekawie.

— Nie wiecie kto on jest! ja wam powiem! To zbrodniarz! Nie dla
nauki, lecz dla

swej ambicyi działał! Nauce nie przyniósł nic, żadnego nie
przysporzył dowodu,

lecz w zdrowym organizmie wywołał takie zaburzenia i taką chorobę,
że

nieszczęśliwa dziewczyna, córka zasłużonego żołnierza, który poległ
na polu

bitwy, jedyna pociecha ubogiej wdowy, zejdzie może do grobu. Przez
niego ja,

który go z ufnością o zastępstwo w szpitalu prosiłem, straciłem
posadę, zdobytą

wieloletnim trudem! To zbrodniarz!

Nagle gra ustała. Wszyscy zwrócili się ku mówiącemu i spoglądali na Sipajłę,
który siedział nieruchomy i słuchał z dziwnym jakimś wyrazem w
ustach

skrzywionych i oczach osłupiałych, jakby to, coś słyszał, do niego nie
odnosiło
się wcale.

Jeszcze jedną szklanekę szampańskiego wina wypił, wzdrygnął się i
powstał.

Był siny, wargi mu drżały, oczy na wierzch wybiegły.

— Kto mówi, żem zbrodniarz? — krzyknął.

— Ja! — odpowiedział Dr Vincent, zbliżając się śmiało do Sipajłły.
Jerzy porwał garść złota, leżącego na stole i cisnął niem przed siebie.
Nieprzytomny, oszalały, rozrzucał wszystko i złoto i karty, ryczał z
wściekłości.

Słyszał wokoło siebie krzyk, wrzask dziki, łoskot, bronił się czem
miał pod

ręką, szamotał się z tymi, którzy go ująć chcieli. Odepchnął najbliżej
stojących

i wyszedł sam na ulicę.

Pierwsze świty dzienne przebijały się już na niebie.

O tej porze Ola czuwała jeszcze. Doznane wrażenia spędzały sen z jej
powiek. Po

upojeniu chwilowem, a bardzo rozkosznem, jakie jej dało niezwykle
powodzenie i

oklaski publiczności, rozdrażnił ją i zabolął widok Zygmunta obok
Ireny, w

której wyrazie twarzy, spojrzeniach, uśmiechu domyślała się ciągłej
dla siebie

obelgi.

Scena z bukietem dopełniła miary.

Ujrzawszy w antrakcie wchodzących hrabinę de Larjeac i księcia,
oczyma szukała

Zygmunta; była niema] pewną, że przyjdzie wynagrodzić choć jednym
sło-

wem, choć jednym uściśnieniem dłoni obelgę, wyrządzoną jej przez Irenę.
Nie przyszedł! Ten towarzysz jej dzieciństwa, ten, który lat tyle zajmował wyłącznie jej myśl i serce; ten, którego — czuła to dobrze teraz — kochała nad życie, nad wszystko na świecie — nie przyszedł, opuścił ją, zapomniał.
Był stokroć dla niej gorszym, niż wszyscy inni, obcy. którzy się nią zajmowali serdecznie; gorszym, niż hr. Jakób, który od owego zajścia w hotelu, okazywał jej uszanowanie niezwykle, jakby tem powetować chciał swoje poprzednie postępowanie i wybryki siostry. Tylko wzrokiem wypowiadał jej teraz swą miłość.
Przychodził do niej rzadko, najczęściej z jakimś poleceniem od pani Stefanii, mówił niewiele i odchodził poważny, smutny.
Ten nawet, który był tyranem jej w latach dziecinnych, największym jej postrachem, nawet ten, Jurek Sipajłło, był teraz dobrym, bardzo dobrym dla niej.
Tak dalece, że ona często aż się lękała tej zmiany. Przerazał ją nieraz jego wzrok pałający, jakim ją przenikał, przerażały spojrzenia, wymowniejsze niż słowa, widocznie przemocą tłumione; przerażało przede wszystkim milczenie ponure, groźne, w które często zapadał, będąc u niej. Byłaby wolała żart wesoły lub sentymentalne oświadczyzny, niż to milczenie, które zdawało się pokrywać jakąś burzę, szalejącą w duszy On ją kochał, o tem Ola wiedziała odrazu, chociaż

jej tego nie powiedział nigdy. Że nie powiedział, była mu za to wdzięczną, a odgadywała tego powody. Czu-

ła instynktem, że to człowiek ambitny, który ma pewien cel na oku i wszystko odpycha od siebie, coby mu w osiągnięciu tego celu zawadą być mogło.

— Miłość — rzekł jej raz Jerzy — to potrzeba serc miękkich, natur słabych. Dla ludzi silnych to zbytek, na który tylko wówczas pozwolić sobie mogą, gdy już wszystko osiągnęli.

Zdanie to zostało jej w pamięci, a odtąd lękała się jeszcze bardziej, by słowo

miłości nie wyszło kiedy z ust Sipajłły.

Zdawało się jej, że to słowo w jego ustach w ustach człowieka, który tak był

ufny w swą siłę, brzmieć będzie inaczej, potężniej, że mimowoli przeniknąć ją

może ta namiętność, która się przejawiała w stalowych błyskach jego oczu. I

lękała się tego.

Po wzruszeniach pierwszego występu, wszystkie te myśli, jak ptaki spłoszone,

rozbijały się w jej głowie, wśród samotności i ciszy nocnej. Spać nie mogła. Z

ciemności wyzierały ciągle ku niej postacie Zygmunta, Ireny, Jerzego.

Wsluchiwała się w ciszę, która ma swoją mowę odrębną a bardzo wyraźną i zdawało

się jej, że wydobywają się z tego milczenia nocy ich głosy, to tęskne, to

szyderskie, to namiętne.

Zegary wybijały kwadransy i godziny, zwolna a ciągle. Czas mknął niepowstrzymany. Minuty zdawały się wiekiem, a życie uchodziło chyżo. Przejdzie,

jak mgnienie oka, w ciągłym trudzie, w ciągłym oczekiwaniu tego, co
nie nastąpi
nigdy, w ciągłym pragnieniu szczęścia, którego niema.
A potem — śmierć!

Po raz pierwszy Ola przełęka się samotności, która ją otaczała
Zerwała się z
łóżka, podbiegła ku oknu i uchyliła firanki, które je osłaniały.
Był już świt. Słaba, mglista zapowiedź dnia. A jakim będzie dzień
ten? ponury,
chmurny, czy promienny, słoneczny? Któż odgadnąć zdoła z tych
szarych świtów,
które się przebijały na niebie i z wolna zsuwały się niżej, na ziemię,
pograżoną
jeszcze w mroku?
Może dzień ten będzie dla niej początkiem wymarzonego szczęścia?
Może przyjdzie
on, Zygmunt, może przyjdzie takim, jakim był w początkach swego
pobytu w Paryżu?
Może zrozumiał dzisiaj to wszystko, co ona wypowiedzieć mu
pragnęła wczoraj ze
sceny, gdy zwrócona ku niemu, wyciągając ramiona, posyłała mu całą
duszę w
słowie: Fuyez! tout fuit! Może ucieknie od tej kobiety, która go zabija
moralnie, pognębia duchowo, ujarzma wolę i dążenia szlachetne,
może się wyrwie
z tego zaczarowanego koła występnej namiętności, a wróci do niej,
smutny pewno,
nieszczęśliwy, ale pragnący się dźwignąć. Przyjdzie szukać spokoju,
harmonii,
jak brat do siostry.
Ten wyraz ostatni błysnął w jej myśli i pozostał — znakiem zapytania.
Czy rzeczywiście ona go kocha tylko jak siostra? Czy przyzywając go
ku sobie,
czyni roztropnie? Czy istotnie znaleźliby oni oboje w tym stosunku,
teraz,

spokój?

Serce zabiło jej gwałtownie, pierś podnosiła się i opadała szybko.
Było jej
gorąco, chociaż w bieliźnie tylko stała u okna.

Nieprawda! — odpowiadał głos wewnętrzny. — Ona go kocha
gorąco, namiętnie,
wszystkimi siłami swej istoty. Od pewnego czasu, od chwili
rozpoczęcia
artystycznej kariery, żyje w jakiejś dziwnej atmosferze, w
ustawicznej gorączce,
z nienasyconem a nieokreślonym pragnieniem w duszy, które się
wzmaga w
uniesieniu nieustającym. Dokoła siebie wywołuje zachwyty,
uwielbienia, uczucia,
których nie podziela, ale które mimowolnie czynią na niej wrażenie.
Nerwy,
dawniej uśpione, drgają w niej teraz, jak struny, targane ciągle. Teraz
mniej
niż kiedykolwiek mogłaby się oprzeć uczuciu, które ją opanowywa
tem silniej, im
bardziej Zygmunt oddala się od niej ku tamtej kobiecie.
— Kocham go, kocham! — szeptały usta, podczas gdy dłonie
kurczowo cisnęły
gwałtownie bijące serce.
I nagle w szarym mroku świtu, oko OH, wpatrzone bezwiednie w
ulicę pustą,
ujrzało idącą zdala postać.
Ktoś szedł środkiem ulicy bardzo szybko, krokiem chwiejnym i
zatrzymał się
naprzeciw okien, podnosząc ku nim głowę.
Ola cofnęła się gwałtownie. Dreszcz przerażenia
przeszedł ją od stóp do głowy.
To Jurek Sipajłło! Rysów dostrzedz nie mogła; ale była niemal pewna,
że to on.

Odzienie miał na sobie w nieładzie, poszarpane; na nogach się chwiał
i obłąkanym
wzrokiem w nią się wpatrywał.

Chciała odejść od okna, nie miała siły. Jakaś bezwiedna potęga
przykuwała ją do
miejsca, pociągała wzrok jej ku tej postaci, która długo stała
nieruchomo,
wpatrzona w okna, potem nagle oburącz schwyciła się za głowę i
pobiegła pędem
dalej, krokiem chwiejnym.

Ola pozostała przy oknie, dopóki postać ta nie zniknęła na zakręcie
ulicy. Już

życiu zaczynało się budzić; otwierano bramy domów; wyrobnicy
spieszyli do pracy;

zdala dochodził turkot wozów hałaśliwy, ciężki. Wrzawa życia
rozpoczęła się
już — trudem; bo tych oddźwięków lekkich, harmonijnych,
pieszczonych, które w
późniejszych dnia godzinach wydają dostatek, wygoda, zbytek,
jeszcze nie było.

Ola odeszła od okna, rzuciła się na łóżko i znużona, usnęła za chwilę
snem

kamiennym.

Nazajutrz była chora. Nie przyjmowała nikogo. Nad wieczorem
przyniesiono jej

stos biletów wizytowych, złożonych u odźwiernego. Gorączkowo
przerzucała je

kilkakrotnie. Byli wszyscy dalsi; najbliższych nie było. Cały świat
artystyczny,

literacki, kilka nazwisk arystokratycznych; ale ani pani de Larjeac, ani
Zygmunta!

Nie przyszedł! Więc na cóż jej to wszystko! na co jej sława, uznanie,
byt

zapewniony, gdy jego niema?

— Nie przyjmować nikogo, jestem chora!

Takie wydała hasło.

I znowu nazajutrz stos biletów — Zygmunta nie było!

Znalazła się natomiast karta wizytowa Sipajłły z dopiskiem:

"Byłem dwa razy. Muszę się widzieć koniecznie. Przyjdę wieczorem."
"

— A, tak! przyjmę go! — szepnęła Ola. — Niech się dzieje, co chce.

Wywołałam teraz

z ust jego to słowo, którego tamten wypowiedzieć nie chciał! Pragnę
je słyszeć

raz w życiu, odczute głęboko, niekłamane.

Dwie noce niemal bezsennie spędzone, tyle wzruszeń przebytych,

zawód, jakiego ze

strony Zygmunta doznała, wszystko to razem rozstroiło jej nerwy,

pozbawiło

możności panowania nad sobą.

— Nie warto! — mówił jej jakiś głos w duszy.

— Po co walczyć, gnębić się i dręczyć; gdy świat tej walki nie

zrozumie i zawsze

błotem obrzuci? Wszak już powiedziano, że jestem kochanką Jurka,

wszak mi to

pani de Larjeac sama powiedziała. A więc?...

— Tego pana — rzekła do służącej, dając jej bilet Sipajłły — przyjąć
kiedykolwiekby przyszedł, zresztą nikogo.

I ułożywszy się na szezlongu, czekała.

W myśli jej, jak w kalejdoskopie, przesuwały się rozmaite obrazy. Nie
było już

walki, tylko jakieś roztęsknienie ogromne, choćby do tej smutnej,

szarej

przeszłości "znajdy oksanińskiej." — Zamajaczyła jej w pamięci

mała, skromna

izdebka Malickiej w oficynie jurpolskiego pałacu i zgrzybiała postać

staruszki.

Widziała wszystko jasno, wyraźnie, jakby to było wczor-

raj, nawet zczerniały wizerunek Pana Jezusa Milatyńskiego nad łóżkiem.

— Dziecino moja! Bożeż mój! jaka ty teraz biedna!

Zdało się jej, że słyszy wyraźnie cichy, stłumiony głos ukochanej swej opiekunki. Łzy poczuła pod powieką, ale wnet je stłumiła, wepchnęła w głąb duszy.

— Nie! — zawołała — roztkliwiać się już nie będę. Po co się zdało?

Jestem

artystką i o tem wyłącznie pamiętać muszę, szukając tylko takich wrażeń, które, czyniąc zadość potrzebie nerwów, czy serca, nie pozbawią mnie ani przytomności umysłu, ani siły woli.

Aby się oderwać od gnębiących myśli, wzięła ze stolika stos gazet, leżących tam od wczoraj i dotąd nie przeczytanych.

Rozwijala je teraz gorączkowo, szukając sprawo zdań z przedstawienia opery Masségo.

Jakże ona dotychczas mogła ich nie czytać? Wszystkie były pochlebne. W jednym z dzienników, poświęconych wyłącznie sprawom teatralnym, Claretie nazwał jej śpiew wspaniałym i rokował wielką przyszłość. W żadnym nie było zarzutu. A więc przeżyła szczęśliwie tę straszną chwilę pierwszego występu w stolicy sztuki! Była znaną artystką.

Od tej pory mogła śmiało spoglądać w przyszłość, pewna powodzenia, coraz większych sukcesów i świetnego bytu. Ta ukochana przez nią sztuka wyciągała ku niej ramiona, przyjmowała do grona wybranych.

A jednak dlaczegoż ta chwila, która powinna była być najszczęśliwszą w jej

życiu, takim brzemieniem ciąży na jej duszy? Dlaczego nie sprawiają
na niej
wrażenia te pochwały, te jednomyślne hołdy, składane jej talentowi i
urodzie —
artystce i kobiecie?
Bo w tym chórze niema jednego głosu, któryby za wszystkie jej
starczył, bo w tej
chwili powodzenia niema tego tryumfu, któryby jej wszystkie klęski
powetować
mógł, niema głosu Zygmunta, niema jego miłości!
Przerzucając dzienniki oko Oli kilkakrotnie spotkało nazwiska:
hrabiny de
Saluces, księcia de Sarthes, hrabiny de Larjeac. Opis balu bardzo
obszerny
Ze wstrętem odrzuciła dzienniki, nie czytając opisu. Nazwiska te
drażniły ją;
nie chciała wiedzieć, co się dzieje w tym świecie, w którym się obraca
Zygmunt,
w którym i dla którego o niej zapomniał.
Ona także pragnęła zapomnieć, choć na jedną chwilę!
Przymknęła oczy, marząc. Opanowało ją obezwładnienie — senność.
W saloniku panował półcień. Jedna tylko wysoka lampa, okryta
wielką pąsową
osłoną, rzucała na pokój barwne, przyćmione blaski. Na szeszlengu, w
białej,
powiewnej sukni, z szerokimi rękawami, z pod których wyglądały
silne, jak
dłutem artysty wyrzeźbione ramiona, spoczywała Ola. Wspaniałe jej
kształty pod
lekką materią sukni rysowały się wyraźnie. Włosy ciemne, bujne,
rozplotły się i
spadały na ramiona. Twarz wyrażała znużenie i smutek.

Nagle Ola drgnęła i porwała się. Nie wstała, ale się wsparta na łokciu,
wyteżając wzrok ku drzwiom, gdzie się dało słyszeć skrzypnięcie i
szmer.

Na progu stał Jerzy.
Uderzyła od razu Olę niezwykła bladość jego twarzy, wykrzywionej,
targanej
widocznie wewnętrznym bólem, czy walką. Policzki schudły, zapadły.
Oczy z
głębokich dołów świeciły gorączkowym blaskiem. Wzrok ten przykuł
ją do miejsca
niewypowiedzianym lękiem.
I nagle od progu podbiegł Jerzy i upadł przed nią na kolana.
— Olu! Olu! — szeptał namiętnie.
Schwytał jej ręce i przemocą zarzucił je sobie na szyję, tulił się do
niej,
porywał ją w objęcia.
Ona bezwładna, zalękniona, nie miała siły oporu.
— Co to jest? co się stało? — jąkała.
— O gdybyś ty wiedziała, gdybyś wiedziała!.. Mówić nie mógł. Głos
uwiązał mu w
krtani, jękiem
stłumionym wydobywał się z piersi.
Gdyby ona wiedzieć mogła, gdyby on to jej wypowiedzieć zdołał, co
przebył przez
te dwa dni i noc jedną! On, który sądził, że miłość jest zbytkiem,
dostępnym
tylko dla ludzi, będących u celu, czuł teraz, że jakkolwiek zgnębiony,
zdeptany,
słaby, mógłby się jeszcze dźwignąć, gdyby ta miłość przyszła do
niego; czuł, że
gdyby Ola wypowiedziała mu słowo przebaczenia, onby przenieść
zdołał wszystkie
pogardy i wszelkie przekleństwa, całą nędzę życia zniósłby za jedną

jej pieśczętę. Teraz dopiero rozumiał, co to jest miłość, jaka jest
potęga
kochającej kobiety.
I o tę miłość, o to przebaczenie, które się z niej rodzi, o tkliwość tę,
która

jest jej objawem, o ten promień, rozświetlający ponurą ciemność życia i walki o

byt, on przyszedł błagać na klęczkach tę, którą dotychczas nieledwie pogardzał.

— Ja cię Kocham! — szepnął namiętnie — Kocham! Ola wyrwała się gwałtownie z jego objęć i powstała.

— Szalony jesteś! — rzekła — co to znaczy?

— Więc ty nic nie wiesz?., nic?.. — szeptał Sipajłło — nie czytałaś dzienników?

Nie powstawał z ziemi, ale ręką wskazywał jej pisma, rozrzucone w nieładzie.

— Czytaj! czytaj! — powtarzał.

Nie mógł mówić, ale pragnął zrzucić ciężar z serca, pragnął, aby ona wiedziała o

wszystkiem i wydała wyrok, uzaliła się nad nim, ulitowała, przebaczyła.

Przebaczenia się spodziewał, wyglądał, trwożliwy wzrok podnosząc na zbladła twarz Oli.

Chwila rozpacz y złamała, zgnębiła tę bezwzględną, despotyczną naturę.

Gorączkowym ruchem wzięła Ola dziennik do ręki i przebiegła go szybko oczami.

Uderzył ją teraz na samym wstępie artykuł, zatytułowany: "Zbrodnia w imię

nauki," w którym nazwisko Jerzego kilkakrotnie było wymienione.

Pochłonęła go w

jednej chwili. Była tam opisana historia Marietty, zasługi jej ojca, choroba i

rekonwalescen-

cya; była plastycznie przedstawiona operacją przeszczepienia rakowego zarazka,

dokonana przez Sipajłłę, rozpacz obecna matki i stan nieszczęśliwej chorej. Na

posiedzeniu Akademii medycznej memoryał Sipajłły, który wywarł zrazu ogromne wrazenie, oburzył w końcu wszystkich i wszyscy jednogłośnie krzyknęli — to zbrodniarz!

Dziennik wypadł Oli z ręki. Ze wstrętem spojrziała na Jerzego, który klęczał ciągle z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Czy to prawda? — spytała głosem stłumionym — czy to może być prawda?

On podniósł się nagle. Pogarda w spojrzeniu i chłód w głosie Oli poruszyły go do głębi, zelektryzowały. Brutalne zwierzę obudziło się w nim znowu. Stał naprzeciw niej, ponury, groźny.

— Prawda! — krzyknął — to wszystko prawda ! I ten zbrodniarz przychodzi teraz do

ciebie, i śmie ci mówić, że cię kocha, że ty go kochać musisz!

Zbliżał się do niej z roziskrzonym wzrokiem, otwierając ramiona.

Gwałtownym ruchem odepchnęła go Ola od siebie. "Wstręt nieopisany,

nieprzemierzony, przeniknął cała jej istotę.

— Precz! precz! — krzyknęła. Sipajłło zatoczył się z wściekłości.

— Pójdę! — rzekł — ale żałować będziesz. Bez miłości twej ja się obejść; lecz ty

jej nie znajdziesz już nigdy! Czytaj dalej ten dziennik, dowiesz się ciekawych

rzeczy o tym, którego kochasz, o Zygmuncie!..

Nie lepszy on odemnie. Jam zabił Mariette, a on księcia de Sarthes!

Maż Ireny

już trup, a Zygmunt zniknął bez śladu...Śmiejąc się szyderczo, Jerzy porwał z

ziemi dziennik i cisnął go Oli, sam zaś wybiegł z pokoju.

Bezwiednie, machinalnie Ola czytała:

— Książę de Sarthes już trup, a Zygmunt zniknął bez śladu, szukano go daremnie!

Są ciosy tak gwałtowne, że samą siłą swoją odbierają czucie.
Na klęczkach, bez łzy w oku, bez słowa modlitwy na ustach, ale z
gorącym
rozmodleniem w duszy, z błaganiem bezmownem o miłosierdzie Boże
nad nim, nad
Zygmuntem, przebyła Ola tę noc całą. Czasem dreszczem przerażenia
przejmowała ją
myśl, coby się z nią było stało, gdyby Sipajłło nie po tak haniebnej
klęsce był
przyszedł do niej, lub gdyby był zdołał utaić przed nią swą rozpacz i
umiał
skorzystać z chwili, z usposobienia jej, wywołanego gorącością zawodu.
Tylko zbieg
wypadków ją ocalił. Ona sama byłaby już może nie miała ani siły, ani
woli
walczyć... Świt ranny zastał ją znowu czuwającą. Ale w jej sercu nie
było już tej
gorączki, która ją paliła owego rana po przedstawieniu. Przeciwnie, z
głębi
duszy wydobywała się siła ożywcza wiary, jakaś nadzieja w
miłosierdzie. A z tą
nadzieją rosła moc postanowienia.
— Muszę go znaleźć i ocalić, jak ja dzisiaj ocaloną zostałam.

Ze wzrokiem, utkwionym w wizerunek Chrystusa, wyciągającego
miłosierne dłonie ku
postaci tonącej w falach morskich, powstała z klęczek, znużona
fizycznie, ale
znów silna duchem.

XII.

Borski nadludzka siła woli czepiał się jeszcze życia, które gasło. A im
słabszym

się czuł, z tem większą natarczywością domagał się obecności
Sipajły, w którym
upatrywał cudotwórcza niemal moc. — Bez szemrania poddawał się
teraz wszystkim
jego rozkazom, ulegał brutalstwu, z dziecinna lęklivością na niego
spoglądał,
drżący, niespokojny, jakby na pana życia swego lub śmierci. Błagał
tylko, aby go
nie opuszczał; ale Jerzy wyrywał się w ostatnich czasach coraz
częściej, na noc
jednak zwykle powracał i energicznymi środkami utrzymywał
zaledwie tlejącą już
iskierkę życia.
Od pewnego czasu, od kiedy zbliżył się do - Oli, Jerzy miał niejaki
podejrzenia
i takie, z pozoru nieprawdopodobne, napadały go myśli, które go
skłaniały do
podtrzymywania sił Borskiego. Podejrzenia te były jaszcz nie dość
jasne, nie
dość określone, oparte na półsłówkach, schwytanych tu i owdzie, w
rozmowach z
Borskim lub Tomaszem, ale coraz częściej stawały

mu one w myśli i kazały przedsiębrać ustawiczne próby dla zbadania
przeszłości
starca.
Dotychczas wszakże zbadał niewiele. Wiedział tylko, że Borski miał
w Paryżu
żonę, z którą się nie widywał nigdy i syna, z którym się widzieć
pragnął, ale
nie mógł, bo syn nie znosił widoku ojca i na sama o nim wzmiankę
wpadał w
szaleństwo. Z przeszłości Borskiego wiedział także, iż była haniebną
w znaczeniu
obywatelskiej, że ciążył na niej niecofniony wyrok opinii publicznej,
ale co

było powodem ostatecznego złamania tej widocznie bardzo silnej organizacyi moralnej, jaka katastrofa doprowadziła do obłądu syna, a ojca do stanu takiej rozpacz, zbadać nie mógł. To tylko nie ulegało wątpieniu, że starzec szukał ciągle napróżno sposobu pojednania się z synem i śladów zaginionej od lat wielu istoty, należącej do rodziny jego, której chciał wynagrodzić wyrządzoną niegdyś krzywdę.
— Nie umrę spokojnie — mówił czasem jak w obłądzie — dopóki nie znajdę!
Ilekroć jednak Sipajłło naprowadził na ten przedmiot rozmowę i zażądał wyjaśnień, Borski wpadał w stan gwałtownej ekscytacyi i mówił rzeczy niezrozumiałe, albo milknął uparcie.
Zajęty wszakże innemi planami, Jerzy musiał zaniedbać tę sprawę. Nieraz przychodziło mu na myśl udać się do żony Borskiego, zobaczyć owego syna. cierpiącego od lat wielu na obłąkanie, ale do tego brakowało mu zawsze czasu, odkładał to na później. Szpital, Marietta, akademia medyczna, a po części sama

Ola, odciągały Jerzego od tej sprawy, kierowały myśli w inna stronę.
— Zbadam to później — szeptał, zajęty wyłącznie sobą.
Dopiero teraz, gdy cały gmach jego planów runął nagle, gdy się uczuł wzgardzonym przez wszystkich, odepchniętym przez Olę, zohydzonym w opinii publicznej, napiętnowanym, jak zbrodniarz, dopiero teraz dłuższe utrzymanie Borskiego przy życiu stało się dla Sipajłły sprawą pierwszorzędną wagi.

Gdyby Borski umarł teraz i zostawił go tu, wśród obcych, na obcej ziemi, bez środków do życia, złamanego w swej ambicyi, bez przyszłości! Na tę myśl dreszcz go przeszedł od stóp do głowy, gdy oszalały z rozpaczy i gniewu biegł od Oli do Borskiego.

Ale właśnie ta trwoga otrzeźwiła go nieco i obudziła zmartwiałą energię.

— Ja go teraz muszę zniewolić do wyznania — szeptał przez zaciśnięte zęby, dążąc szybko przez ulice — muszę podtrzymać jeszcze to życie, dopóki nie dojdę prawdy!

Zrozpaczony jego umysł chwycił się teraz najsłabszej nadziei.

— Ola — kombinował, idąc coraz szybciej — nie zna swojej przeszłości, swego pochodzenia. Matka jej umarła w karczmie oksanińskiej, przywędrowawszy zdaleka.

Borski szuka ciągle kogoś, który oddawna zaginał!.. Wyprawiał Tomasza światami w tym celu, Gdyby Ola, czy też jej matka była właśnie tą poszukiwaną? Ola —

dziedziczką Borskiego!

To przypuszczenie zajaśniało mu w umyśle jakieś daleką, a promienną nadzieją.

— Odepchnęła mnie, potępiła — myślał dalej. — Ale gdybym jej, opuszczonej, bez nazwiska, wrócił rodzinę, majątek, imię, musiałaby mi być wdzięczną.

Zygmunt usunął się już z drogi, zniknął. Zresztą on jej nie kocha, a jabym potrafił kochać ją do szaleństwa! I zdobyłbym z czasem jej miłość, a z miłością znaczenie, stanowisko, pieniądze. Wówczas zgnebiłbym jeszcze tych, którzy dziś

przeciw mnie powstali, którzy napiętnowali mnie. jak zbrodniarza.
Całe zajście w szpitalu i w akademii medycznej przypisywał
współzawodnictwu,
zazdrości.

— Z mego odkrycia korzystać będą, a mnie potępili! — szeptał.
Myśl jego zwracała się ciągle ku Borskiemu z coraz większą siłą.
Chwilami
zdawało mu się rzeczą niewątpliwą, że jego kombinacje co do Oli się
sprawdzą,
Chwytał się tej myśli, jak się tonący czepia słabej rośliny, nie
zastanawiając
się, czy go ona wydzwignąć zdoła. Była jednak w tej mglistej nadziei
moc
niezwykła, bo wchodząc do mieszkania Borskiego, Jerzy już się
niemal wstydził
słabości, jaką wobec Oli okazał.

— Jeszcze ja się zemszczę za upokorzenie moje! — mruknął —
Zmuszę ją, aby mnie
kochała, a wówczas ja będę pan!
W progu spotkał go Tomasz.
— Źle — rzekł — bardzo źle, szukałem pana wszędzie napróżno...
kona!

— Go znowu! — krzyknął Jerzy — nieprawda!
— Przytomność stracił — mówił dalej Tomasz — nie widzi, nie
poznaje nikogo, nie
mówi nie.
Sipajłło wszedł szybko do pokoju Borskiego.
Tomasz nie kłamał. Borski leżał jak martwy, bez czucia.
Całą noc Jerzy pozostał przy nim. Nie tracił jeszcze nadziei.
Zbadawszy stan
chorego, przekonał się, że energicznymi środkami można było czas
jakiś utrzymać
życie, ale jakim sposobem zgasłą pamięć, zgębnione zmysły obudzić,
przywrócić
przytomność i mowę.

Dwa dni Sipajłło nie wychodził z mieszkania. Nic go już nie powoływało na zewnątrz, lękał się nawet widoku znajomych; lękał się podobnych zajść, jak w klubie. On, zanim się ludziom pokaże, musi zdobyć tajemnicę Borskiego, sprawdzić swoje przypuszczenia; musi, przebojem w danym razie, pozyskać Olę i wówczas dopiero zmierzyć się z tym światem, który go odepchnął i potępił? Borski żył, ale do przytomności nie wracał. Na trzeci dzień z rana Sipajłło wybiegł na miasto. Dławiło go duszne powietrze pokoju; potrzebował ruchu, wrzawy, oszołomienia się, zapomnienia. Spokojny na razie o życie Borskiego, snuł się cały dzień po ulicach, unikając znajomych, kryjąc się przed nimi w sieniach domów, po zaułkach. Kilka razy stawał pod oknami Oli. Firanki były szczelnie zamknięte, jak w opustoszałym mieszkaniu. Wejść jednak ani pytać się nie śmiał.

— Ja tu wkrótce przyjdę — pocieszał się — przyjdę z taką nowiną, która mi nietylko drzwi jej mieszkania, ale i serce otworzy. W zamian za nie dam jej to, czego nie miała nigdy ta "znajda": nazwisko, rodzinę, majątek. Późnym wieczorem powrócił i wszedł wprost do sypialni Borskiego. — Teraz do dzieła — mruknął — dziś muszę dojść prawdy! Pokój, w którym leżał Borski, słabo był oświetlony jedną lampą, stojącą na dużym stole. Dokoła panował nieład jaki zwykle bywa cechą mieszkań, nad którymi śmierć rozpostarła swe skrzydła. Meble poprzysuwane do ściany, niepotrzebne już nikomu, a na pierwszym planie wielkie łóżko, osłonięte kotarą. W powietrzu woń

eteru i kamfory.

Sipajłło wstrzymał się w progu i badawczo spojrzął na łóżko, na którym zaledwie

dostrzedz było można małą, skuloną postać starca. Obok, przy łóżku, klęczała

wysoka, chuda postać niewieścia, w szarym habicie i białym, płóciennym z

szerokimi kresami czepcu na głowie.

— Zkąd się ta Siostra Miłosierdzia tu wzięła? — pomyślał Jerzy.

Czyżby Borski

już umarł? Gdzie Tomasz?

Przystąpił szybko do łoża.

Ciało starca konwulsyjnie drgało. Więc żył jeszcze. Sipajłło zwrócił się szybko

ku zakonnicy, która powstawszy z klęczek, z głową spuszczoną i złożo-

nemi na piersiach rękami stała pokornie, czekając rozkazów.

— Gdzie Tomasz? — spytał Jerzy mimowolnie półgłosem. Lecz w tejże chwili wzrok

jego padł na twarz zakonnicy i pełen zdumienia oderwać się od niej nie mógł.

Sipajłło cofnął się, jak gdyby widmo zobaczył.

— Panna Aniela! — zawołał — co pani tu robisz?

— Służę Bogu i cierpiącym — odrzekła spokojnie zakonnica — przybyło nas tu teraz

wiele...

Przypomniał sobie Jerzy w tej chwili co mu Zygmunt mówił, że widział zdaleka

brata Anieli, księdza Stanisława. Nie miał wszakże czasu o nic więcej pytać

zakonnicy, bo chory głośno jęczeć zaczął.

Sipajłło pochylił się nad nim. Przyłożył rękę do serca, chwycił za puls.

Puls

był gorączkowy, nierówny, tętno serca słabło, za chwilę mogło ustać.

— A, życie ludzkie! — pomyślał Jerzy — trzymam dłoń na jego potędze, wiem co znaczy — pajęczyna! Jam w tej chwili silniejszy, bo mogę je zniszczyć lub sztucznie podniecić. Szybko przystąpił do stołu, wyjął małą flaszeczkę z zanadrza i począł ostrożnie wlewać krople do kieliszka, w którym na spodzie było trochę wody. — Wahać się trudno — myślał. — Te krople to kombinacja tak morderczych trucizn, że zabiłyby najsilniejszego człowieka. Ale tego trupa, w którym ostatnia iskra życia już gaśnie, zgalwanizują tak, że wkrótce będzie prawie silny, z umysłem rozstrojonym,

lecz mającym tyle przytomności, bym z niego potrafił wydobyć to, co mi potrzeba. Tem lekarstwem zabijam go stanowczo; wracam mu przytomność na to, aby żywiej płonęła na jedną chwilę. A potem? Co mię obchodzi co będzie potem? Umarłby zawsze. Dam mu dozę silniejszą, niema czasu do stracenia. Wkrótce będzie się zrywał, bełkotał i wybełkocze wszystko, co mu ciąży na duszy. Dusza! Ten wyraz, który mu na myśl przyszedł, wykrzywił jego usta szyderskim uśmiechem. Co za głupie pojęcie! Alboż ma duszę Marietta? duszę nieśmiertelną, któraby miała pamięć wieczystą doznanej krzywdy za życia na ziemi, któraby o tę krzywdę upomniała się tam, w wieczności? Czy ma duszę Zygmunt i współniczka jego Irena? albo ta Ola, upojona swoim tryumfem, odpychająca ze wzgardą człowieka, który się

tarzał przed nią na klęczkach, zgnębiony nieszczęściem? Czyż może mieć duszę ten cały świat go otaczający, to wielkie mrowisko ludzkie, ulegające bezwiednie ślepej, nieświadomej, a niszczącej sile? Czyż podobna, aby miał duszę trup ten, leżący przed nim, bez czucia, bez myśli, bez woli? Cóż się dzieje w tej chwili z jego nieśmiertelną duszą? Przestała istnieć, bo przestała czuć i myśleć, bo znieczulone nerwy nie udzielają już wrażeń mózgowej materii. Zacznie znów istnieć; gdy on temi nerwami wstrząśnie, gdy niemi zatarga potęgą swej wiedzy i woli. Odliczył krople i zmieszał w wodzie. Krople rozplływały się smugami; miały odcień błękitnawy.

— Byle nie za dużo — pomyślał Jerzy. — Ale po co ta zakonnica tutaj? Zbliżył się do łoża chorego, który leżał bez czucia, nieprzytomny. Konwulsyjne drgania poruszały nim ciągle. Sipajłło usiadł na łóżku i w lewej ręce trzymając kieliszek, prawą podsunął pod plecy chorego, chcąc go dźwignąć. — Gdzie Tomasz? — spytał powtórnie, ostro, zakonnicy. Aniela podniosła pochyloną głowę. — Pytasz pan zapewne — rzekła — o starego sługę, który tu był przy chorym. Przybiegł do klasztoru, żądając pomocy; zdawało mu się, że pan Borski kona, a pana nigdzie odszukać nie mógł. Wysłano mnie tutaj do posługi, on zaś pojechał po żonę chorego.

— A! — mruknął Jerzy, poruszając się niecierpliwie — zupełnie niepotrzebne dla niego wzruszenie....
Mówiąc to, dźwigał bezwładne ciało; palcami usiłował roztworzyć zaciśnięte wargi, aby wlać płyn z kieliszka.
Chory krztusił się, charczał, ale przełknął. Otworzył oczy i błędny wzrok utkwiał w Sipajłłę. Konwulsyjnie ścisnął go za rękę, a drżącymi ustami wyszeptał!
— Si... pajłło! Si... pajłło!
Poznał go. O nim jednym pamiętał, bo od niego tylko ratunku się spodziewał.
Jerzy gwałtownie wyrwał swą rękę. Postano-

wił działać energicznie, aby obudzić gasnącą przytomność. Całą siłą szarpnął starca za ramię; dźwignął go niemal z pościeli.
— Panie Borski! — krzyknął z całej mocy — przynoszę panu nowinę. Osoba, której pan lat tyle szukałeś, jest tutaj!
Chory otworzył szeroko nieprzytomne oczy. Kurcz nerwowy wykrzywił mu dziwacznie twarz wychudłą. Bezębne szczęki objęły się jedna o drugą, wydając dziwny łoskot.
— Nowina... nowina! — powtórzył — wiem jaka nowina. Lekarstwo działało widocznie. Silny dreszcz nim wstrząsał, gorączka się wzmagała, ale w miarę tego przybywało sił.
Dźwignął się nagle o własnej mocy i ramiona wyprężył.
— Ha! ha! — zaśmiał się. — Piękna nowina! Czarnoszyński... marszałek! podpisał wyrok! Jestem silny. Nie mam w duszy ich uczuć, nie dzielam myśli, nie

potrzeba mi ich honoru! Zdławię ich gdy mi się podoba, bo mam siłę
za sobą. Siłę
i pieniądze; co mi zrobią?
Rozpłomienionym gorączkowo wzrokiem dokoła rzucił; rękami
wymachiwał w
powietrzu, jakby tłoczące się ku niemu zmory chciał odegnąć.
— Nagle głowę pochylił na piersi i mówił dalej głosem cichym:
— Napiętnowali mię... i słusznie! Słusznie, sprawiedliwie, bom ja ich
wrogiem
był, na ich głowy

ściągałem nieszczęścia, gromy, gnębiłem! Zdawało mi się żem silny,
że mi
niepotrzeba nic. Tymczasem.. Chwilę milczał, a potem nagle,
porywając się,
uchwycił Jerzego za rękę.
— Mieczysław... — wyszeptał — Mieczysław oprzytomniał?
Jerzy słuchał z wyteżoną uwagą, ale odpowiedzi nie dał. Wiedział
wszakże, iż
Mieczysław, to był syn Borskiego, od lat wielu obłąkany.
Borski też odpowiedzi nie czekał i po chwili mówił dalej urywanym
tonem:
— Zemścili się, syna mi zabrali! Wyrzekł się mnie, on, jedyna moja
na świecie
nadzieja. I ja go znać nie chcę, odkąd ożenił się z chłopką, córką
Michała
Soroki z Koziatyna.. Oni go na złość tak ożenili... podli!
Zamilkł znowu, oczy zawarł, i na poduszki upadł.
Zdawało się, że już nie powie nic, że kona.
Jerzy nie mógł teraz pozwolić mu umrzeć. Brakowało mu jeszcze
słów kilku do
zrozumienia całej tajemnicy, do stwierdzenia swoich przypuszczeń.
Powstał szybko i znowu kilka kropel odliczył do kieliszka.
Usiadł na łóżku i dźwigając bezwładne ciało, wlał płyn w usta
Borskiego Słysząc

było, jak płyn ten z głuchym odgłosem przechodził przez gardło i krtań, — ale przeszedł.

Zakonnica zbliżyła się do Sipajłły.

— Panie, — rzekła — po co go tak dręczyć? on kona.

Jerzy z wściekłością na nią spojrział.

— Wiem co czynię! — krzyknął.

Siostra Aniela cofnęła się.

Za chwilę chory oczy otworzył, błyszczące go rączkowo.

— Tomaszu! — krzyknął. — Niema co się wahać. Innej rady niema.

Zabierz tę

Marynę, razem z jej córką., ha! ha! wnuczką moją, i wywieź na kraj świata, do

Warwarówki. Tam jest stary Semen, dawny mój parobek... złodziej, podpalacz.

Zapłać mu, co zechce, ale niech je obie trzyma i nie puszcza! rozumiesz?

Odetchnął głęboko.

— Udało się! — mówił dalej — udało się! Co mi zrobią? Maryna z dzieckiem

zniknęła, kto ją znajdzie? A Mieczysław powróci teraz do mnie, do ojca..

Gwałtowny, konwulsyjny dreszcz wstrząsnął ciałem starca od stóp do głowy. Jerzy

schwycił go w objęcia.

— Boże, Boże! zajęczał chory po chwili. — Ileż to lat udęczeń! ile lat

tęsknoty! wszystko napróżno...

— Mieczysław nie wrócił? — spytał Sipajłło.

— Ha! ha! — zaśmiał się chrypliwie Borski. — Wrócił! Rękę na mnie podniósł, na

ojca swego... i zwarzował. Żądał, abym mu oddał żonę i córkę, i odtąd ciągle ich

się spodziewa, ciągle wygląda, a mnie widzieć nie chce...

Przeszukałem świat

cały, ślad zniknął. Semen zdechł, Maryna zabrała dziecko i poszła z
Warwarówki,
zginęła!
Zaczął się miotać gorączkowo.
— Tomaszu! — krzyknął nagle — jedź, szukaj,

z pod ziemi wydostań!. wynagrodzę wszystko, byleby syna ocalić!
Lekarz
powiedział: odzyskać może zmysły, jeśli ci wrócą do niego, których
wygląda, do
których tęskni... Jedź, Tomaszu, szukaj!
Zdyszany mówić dalej nie mógł. Głowa bezwładnie zwisała mu na
ramię.
Jerzy badał tętno serca. Było bardzo gwałtowne, nieregularne, a
chwilami
ustawało zupełnie.
Nachylił się choremu do ucha.
— Panie Borski! — krzyknął — za chwilę ja panu wnuczkę
przywiozę, ona jest
tutaj!
Borski szeroko otworzył oczy.
— Nieprawda! — zacharczał — nieprawda! Niema jej na świecie...
Sądziłem, że
Czarnoszyńscy wiedzą, chciałem ich przebłagać, czyniłem dla nich, co
mogłem,
obiecałem ratunek i byłbym wydzwignął... błagałem! Odepchnęli...
marszałek
odepchnął, ha! ha!
Głos przeszedł w śmiech konwulsyjny i z głuchym chrzęstem ścichł w
zdyszanej
piersi.
Sipajłło powstał. Był pewny teraz, że się nie myli w swoich
przypuszczeniach:
Ola, córka Maryny była niezawodnie wnuczką Borskiego, której on
tak dawno

naprózno szukał. Trzeba było teraz natychmiast jechać do Oli i przywieźć ją, zanim Borski oczy zamknie na zawsze. Spojrzał na zegarek. Była godzina dziesiąta wieczór. — Pani — rzekł, zwracając się do siostry Anieli — ja teraz jechać muszę. Najdalej za godzinę będę z powrotem. Gdyby Tomasz wrócił, proszę mu powie-

dzieć, aby był spokojny i czekał tu na mnie. Chory teraz spać będzie. Niech go nie budzą i nie narażają na żadne wzruszenia. To mówiąc wyszedł szybko. W ciemnym korytarzu potrącił go spieszący się, zdyszany Tomasz. Stary sługa schwycił go za ramię. — A, jesteś pan nareszcie! — zawołał — czy umarł już? — Żyje — odparł Jerzy — ale puść mię! — krzyknął, szamocąc się. — Nie puszczę! - mówił stłumionym głosem Tomasz. — Teraz to chyba naprawdę już koniec, a on błaga, zaklina, abyś pan był przy nim. Miej litość! W głosie Tomasza brzmiało rozczulenie niezwykle. — Niech go pan nie opuszcza! — prosił. — Pan mu będzie teraz w ostatniej chwili bardzo potrzebny. Niebawem przybędzie tu żona, a może syn i... — Puść mię! — krzyknął Jerzy nie dając mu dokończyć i odepchnął go brutalnie. — Jedź na złamanie karku, podła duszo! — mruknął Tomasz. A Sipajłło wybiegł na ulicę, wsiadł do dorożki i popędził do mieszkania Oli. W oknach ciemno; firanki szczelnie zapuszczone. Odźwierny na zapytanie oświadczył, że ta pani wyjechała z hr. de Larjeac i nie wróciła. Co to mogło znaczyć? Odźwierny mówił prawdę. Po owej nocy spędzonej bezsennie, Ola przyszedłszy do

siebie napisała

do hr. Jakóba, prosząc go, aby niezwłocznie do niej przybył.

Nie chciała jechać sama do pani Stefanii w obawie, aby się nie spotkać z Irena.

O południu hr. Jakób stawiał się na zawołanie i w krótkich słowach potwierdził to

wszystko, co podały dzienniki. Co do Zygmunta miał niedobre przeczucia.

— Obawiamy się — mówił — katastrofy. Wiemy teraz wszystko. Irena nie tai nic.

Nieszczęśliwa kobieta!

— Ale jego, Zygmunta ratować trzeba! — zawołała Ola.

Hrabia Jakób patrzył na nią rozmiłowanym wzrokiem.

— Dla niego — rzekł, jak zwykle w urywanych wyrazach — dla niego nie zrobiłbym

nic, mam głęboki żal. Dla pani, powiedziałem już, uczynię wszystko, rozkazuj,

szukać będę.

Dwa dni trwały poszukiwania daremne. Ola ręce łamała w rozpacz.

Trzeciego dnia

Jakób przyniósł wiadomość fatalną.

Z prefektury policyi dano mu znać, że nazajutrz po śmierci księcia de Sarthes,

znaleziono niedaleko Charenton, w lesie Vincennes, omdlałego człowieka, którego

rysopis odpowiadał mniej więcej postaci Zygmunta. Człowieka tego ocucono

wprawdzie ale do zmysłów nie przyprowadzono; zdawał się być obłąkanym. Oddano go

więc do miejscowego zakładu.

— Jedźmy do Charenton! jedźmy natychmiast! — zawołała Ola.

Hrabia Jakób ani myślał się sprzeciwić. Pojechali.

Przybyli tam nad wieczorem. Dzięki stosunkom swoim i znanemu
nazwisku, hr. de
Larjeac uzyskał niezwłocznie pozwolenie wstępu do zakładu, który
zwykle dla
publiczności jest zamknięty. — Zresztą powód był ważny; chodziło o
stwierdzenie,
kto był ów obłąkany, znaleziony w omdleniu w lesie.
Z sercem ściśniętem nieopisaną trwogą weszła Ola do sali słabo
oświetlonej. W
kącie, zasunięty w głąb fotelu, siedział ów nieszczęśliwy z głową
spuszczoną na
piersi, skulony.
— Nie mówi nic, jest bez czucia — tłumaczył dyktor zakładu, to
warzyszający
gościom.
Ola lękała się spojrzeć, lękała się poznać. Czuła, że serce by jej pękło,
gdyby
nagle zobaczyła obłąkanym, bez pamięci, tego, którego promienny
obraz w
młodzieńczej urodzie, a potem w pełni rozwoju męskiego wieku i
umysłu, miała w
duszy wyryty. Lękała się, a zarazem pragnęła, aby się raz skończył ten
niepokój,
jaki ją od trzech dni dręczył niemiłosiernie.
Oparła się o ścianę i z wolna otwierała przymknięte oczy.
To nie był on, nie był Zygmunt!
— Wyjdźmy ztąd, wyjdźmy! — szepnęła Ola do hrabiego Jakóba,
chwytając go za
ramię i opierając się na niem silnie, bliska omdlenia.

Wyszli na korytarz długi, wąski. W tej chwili wracali z dozorcami z
przechadzki
stali, a spokojniejsi mieszkańcy zakładu i ciekawemi oczyma
spoglądali na
obcych.
Dyrektor, idąc obok hr. Jakóba, dawał mu uprzejme objaśnienia.

— To są — mówił — najlepsi nasi lokatorowie. Z nimi nie mamy kłopotu, a przynajmniej bardzo rzadko, chociaż po największej części są to chorzy nieuleczalni. Oto na przykład ten...
To mówiąc wskazał na niemłodego już mężczyznę, który w głębi korytarza zatrzymał się przy oknie i patrzył w przestrzeń smutnymi oczyma.
— Szczególny człowiek! — ciągnął dyrektor. — O wszystkim najrozsądniej rozmawia, ale ciągle jest smutny, rozteskniony i na jednym punkcie przekonać się nie da. O tem, co było lat temu kilkadziesiąt, mówi tak, jakby to było wczoraj.
Ciągle wygląda żony swojej, którą przed laty przemocą mu porwano. Godzinami tak stoi przy oknie i czeka. Ona wróci! powiada z ufnością. Jest to ofiara rodzinnego dramatu
— Jak się nazywa? — spytał z roztargnieniem hr. Jakób.
— Jest to Polak — odrzekł dyrektor. — Matka jego mieszka niedaleko zakładu; ma zawsze nadzieję, że syn przyjdzie do zmysłów. Nadzieja słaba, chyba, gdyby odzyskał utraconą żonę, a to przecież po tylu latach nieprawdopodobne. Nazywa się Borski...
Jakby na brzmienie swego nazwiska, wymienio-

nego dość głośno, obłąkany odwrócił się nagle od okna i znalazł się o dwa kroki naprzeciw Oli. Spojrzał, cofnął się i ramiona otworzył.
— Nareszcie! — krzyknął! — nareszcie przyszłaś, wróciłaś! Gwałtownym ruchem skoczył i chciał Olę chwycić w objęcia. Na krzyk przerażonej Oli, zbiegli się dozorczy. Sam dyrektor pospieszył ku

obląkanemu. Schwycono go za ręce, krępowano. On się miotał, wrzeszczał, pieniał się.

— Puśćcie mię! — powtarzał — to ona, ukochana moja!

— Maryno — szeptał — Maryno!

Bez tchu w piersi, osłupiałemi oczyma patrzyła Ola na tę postać, szamocącą się w

daremnych wysiłkach, Patrzyła na rysy wymizerniałe, blade, napiętnowane wyrazem

dzikiej rozpacz. Oczy miał zapadłe, usta sine. Włosy krótko przystrzyżone były zupełnie białe.

I nagle zdjęła ją litość ogromna nad tym nieszczęśliwym, który wypręzał się

kurczowo, krępowany silnemi pięściami dozorców, a przez cały lat szereg

nieustannie zrywał się do jakichś drogich a bolesnych wspomnień z dalekiej

przeszłości. Snać cios musiał być gwałtowny, gdy zatrzymał myśl jego na miejscu.

Przystąpiła do dyrektora.

— Panie, — rzekła — przez litość! niech go puszczą! Ja się z nim rozmówię.

— Ależ to niepodobna! — odparł dyrektor — ten człowiek w szal wpada.

Ola prosiła ciągle, a obląkany na brzmienie tego głosu uspokajać się poczynął.

Oczy szeroko otwierali cały zasłuchany.

— Mów jeszcze! — szeptał — mów! Ja tak dawno nie słyszałem twego głosu, mów!

I stał tak pochylony naprzód ku Oli, wpatrzony w nią, zapominając się bronić

dozorcom, którzy mu ściągali w tył ręce.

— Mów! — powtarzał — mów! ukochana moja. Żebyś ty wiedziała, com ja wycierpiał

bez ciebie! Alem był przekonany, że wrócisz, boś mi to przysięgła,
pamiętasz? w

ów wieczór pogodny, księżycowy, na futorze koziatyńskim u ojca
twego, Michała

Soroki... Ukochana ty moja!

Ola nie słuchała więcej. Krzyknęła, rzuciła się do nóg jego i
ramionami je
objęła.

— Ojczy mój! — zawołała, podnosząc ku niemu łez pełne oczy —
ojczy mój, jam jest

córka Maryny, córka twoja, wnuczka Michała Soroki...

On stał i patrzył sztywnie, nie rozumiejąc. Na nogach się chwiał.

Dyrektor i dozorczy zdumieni, nie pojmując słów w obcej
wypowiedzianych mowie,

ale z wyrazu twarzy i ruchów domyślając się niezwyklej sytuacji,
puścili mu

ręce, a on chwycił się teraz za głowę, jakby usiłował w niej skupić
rozpierzchające się myśli.

Hrabia de Larjeac w osłupieniu słowa nie mógł przemówić. Podbiegi
do Oli. chcąc
ją podnieść z ziemi.

Ale ona odsunęła go stanowczo. Gwałtownym ruchem zerwała z szyi
medalion,

otworzyła go i, nie wstając z klęczek, wyjęła z niego stary, zniszczony
zwitek

papieru.

Podąła go obłąkanemu.

On rozwinął i patrzył. Patrzył sztywnie i długo, od czasu do czasu
pocierając

ręką czoło.

— Tak! tak! • — mrucał do siebie — to świadectwo ślubu mego...

Mieczysław

Borski i Maryna Soroka... tak, tak; to już tyle lat!

Pojęcie czasu wracało mu zwolna. Spojrzał na klęczącą Olę,
wpatrywał się w nią.

pochylił się, podniósł i porwał w objęcia.

— Córko moja! — krzyknął.

Z zapadłych oczu strumienie łez wytrysły i płynęły po zwiędłych policzkach.

— Ocalony! — rzekł z cicha dyrektor do hrabiego Jakóba, który w zdumieniu stał

milczący. — Ocalony! On od lat wielu, od czasu katastrofy, nigdy nie płakał.

W tej chwili dano znać dyrektorowi, że pani Borska w bardzo pilnej sprawie

widzieć się z nim pragnie.

Tomasz, wezwawszy siostrę Anielę do łóża konającego pana, podążył do pani

Borskiej zawiadomić ją o zbliżającym się końcu, o czym już wątpliwości mieć nie mógł.

Przywiązanie starego sługi, ożyło teraz w całej pełni. Pragnął choć w ostatnich

chwilach przynieść ul-

gę ukochanemu panu, pocieszyć go, uspokoić. Podzielał on zawsze wszystkie jego

nienawiści i gniewy, teraz jednak nie wahał się ani chwili stanąć spokojnie

przed tą, którą zarówno ze swym panem nielitościwie prześladował, której

przypisywał wszystko złe, jakie ich w życiu spotkało.

W nocach bezsennych, jakie w ostatnich czasach przy łóżu chorego spędził,

słyszał on z ust Borskiego tyle wyrazów żalu, widział w nim tak gorącą chęć

wynagrodzenia krzywd wyrządzonych, że i w jego sercu ozwała się skrucha.

Ze łzami w oczach przedstawił pani Borskiej udręczenia tej duszy, która

odchodziła w wieczność, targana niepokojem, spragniona przebaczenia.

— Niech mu pani — rzekł, łkając — przebaczy! Niech mu pani powie takie słowo,

któreby go uspokoić mogło, dać mu ulgę w cierpieniach, aby nie umierał w

okropnem osamotnieniu i żalu! Niech pani ma litość!

Słuchając, pani Borska prostowała małą swą, skuloną, zgrzybiałą postać. Na

wybladłą jej, wymizerniałą twarz, pokrytą zmarszczkami jak siecią, wybiegły

gorączkowe rumieńce: w oczach przygasłych, ciągłą mgłą zasnutych, zabłyśły łzy.

A miałże on kiedykolwiek nad nią litość? Szereg lat długich opuszczenia, nędzy

moralnej, pogardy ludzkiej, nieszczęść, klęsk i udręczeń, oto jej życie z tym

człowiekiem. Co tylko serce kobiety znieść może bolu, to ona przebyła: ranił ją

i gnębił we wszystkich uczuciach, postępowaniem swoim okrył sromotą i żałobą.

A jednak w chwili, gdy Tomasz, ten najwierniejszy jego współnik, wymówił to

słowo: on kona! w duszy nieszczęśliwej kobiety coś jakby się złamało. Uczuła ból

a potem rozrzewnienie wielkie.

— Jedźmy, jedźmy natychmiast! — rzekła do Tomasza.

Ale przedtem jeszcze musiała choć na chwilę zobaczyć syna, pożegnać go, w

przewidywaniu, że w razie śmierci męża, nie tak rychło będzie mogła powrócić.

Udała się przeto do dyrektora zakładu, który wyszedłszy do niej, zwiastował jej

niespodziewaną nowinę.

— Nie śmiem obiecywać — mówił — ale niezwykły ten wypadek,
chyba tylko jeden
może uzdrowienie przynieść.

Za chwilę, w pokoju Mieczysława Borskiego zgromadzeni byli
wszyscy, a ze
wszystkich w tym momencie najspokojniejszym, najbardziej
panującym nad sobą był.

ten, którego przed godziną obłąkanym zwano.

Mgła, zaciemniająca przez lat tyle myśl jego, rozstąpiła się nagle. I
myśl ta,

wyzwolona z cieniów, jakie ją krępowały, przebiegła w jednej chwili i
objęła

przestrzeń czasu, dzielącą terazniejszość od dawno mi nionej
przeszłości.

Zamiast Maryny, ukochanej żony, którą mu okrutnie wydarto, do
której tyle lat

tęsknił, a o której śmierci, dowiedział się teraz dopiero z ust Oli,
zamiast tej

żony widział córkę swą, podobną do

tamtej, a stokroć jeszcze piękniejszą. Tęsknota pierzchała z duszy. Nie
wyglądał

już nikogo i do nikogo nie tęsknił, bo patrząc na Olę, odczuwał w
całej pełni

szczęście obecnej chwili. Spokój wielki, uroczysty a pogodny zalewał
mu duszę.

Gdy weszła matka, on żywo podszedł ku niej i ujmując za rękę,
wskazał na Olę.

— Patrz, matko — rzekł spokojnie, z prostotą — patrz, to córka
moja...

Są chwile tak niespodziewanego i wielkiego szczęścia w życiu, że w
nich

mieściłaby się niewątpliwie nagroda długich lat udręczeń i niedoli,
gdyby serce

ludzkie mogło ten cały ogrom pomieścić i odczuć w pełni, gdyby je
słowo wyrazić

zdołało. Wówczas jednak serce ludzkie porażone tym nadmiarem,
struchlałe, traci
świadomość, podobnie jak w wielkim nieszczęściu, a myśl
spłoszona,
rozpierzchła, napróżno szuka w mowie odpowiedniego wyrazu.
Objawem wielkich
radości, podobnie jak wielkich boleści, jest milczenie lub łzy.
Pani Burska mówić nie mogła, a łzy wszystkie wypłakała już
przedtem, w ciągu
długiego życia, gdy przez lat tyle patrzeć musiała na przygasły w
oblędzie, w
szarej beznadziejnej tęsknocie pogrążony umysł ukochanego swego
syna, gdy
żegnała z kolei wszystkie nadzieje i kropla po kropli wypijała gorycz
zawodów.
Więc bez słowa i bez łez ujęła w ramiona klęczącą u jej stóp Olę,
podniosła i
długo trzymała w uścisku.
Nagle przypomniała sobie. Ciężki i smutny obo-

wiązek miała dziś jeszcze do spełnienia. Życie nie pozwala zapominać
się w
uniesieniach radości.
— Mieczysławie — rzekła, zbliżając się do syna
— jechać muszę natychmiast. Ojciec twój mnie wzywa, chory jest,
umierający.
Mieczysław drgnął, jakby iskrą elektryczną tknięty.
Wyprężył się; po jego twarzy przebiegł błysk.
Ale to trwało jedno mgnienie oka. Przed godziną jeszcze na
wspomnienie o ojcu
byłby wpadł w szaleństwo; teraz myśli tylko zbierał, jeszcze
niepewne.
— Umiera — powtórzył, cisnąc matkę za rękę — umiera... ja tam
przy nim
powinienem być! muszę!

Nie spodziewał się tego nikt i myśl ta z początku przeraziła
wszystkich..

Dyrektor się wahał.

— Nie mogę wszakże — mówił z cicha do hr. Jakóba — sprzeciwić
się. Wszelki opór
w tej chwili mógłby popsuć wszystko. Ale również niepodobna
puszczać go bez
opieki. Ja z nim pojedę.

Niezwykły wypadek wywoływał nadzwyczajne objawy współczucia.

Z wdzięcznością

przyjęto propozycję dyrektora i natychmiast postanowiono wyjechać.

Naprzód

wysłano Tomasza, aby chorego przygotował.

Gdy Tomasz, po gwałtownem rozstaniu się z Sipajłą, wszedł do
pokoju, Borski

zdawał się usypiać spokojnie. Budzić go było niepodobna. Na palcach

wysunął się Tomasz do swego mieszkania, aby nieco odpocząć po
doznanych

wzruszeniach.

Przy Borskim została tylko siostra Aniela.

Wkrótce chory otworzył powieki i spojrzał dokoła siebie.

— Nikogo — szepnął — nikogo pusto! Siostra Aniela zbliżyła się,
uknęła przy

łóżku i podnosząc krzyż przed oczy konającego:

— Jest Bóg! — rzekła z cicha.

Borski wyteżonym wzrokiem wpatrzył się w krucyfiks.

Pierś jego podnosiła się teraz gwałtownie, targana czkawką
śmiertelną.

Ostatnia godzina wybiła.

— Syn... syn.. — szeptał konający. Niegodny jestem przebaczenia,
niegodny...

Niema go, niema! nikogo niema, pusto!

A siostra Aniela mówiła z cicha, rzewnie:

— Jeżeli masz grzech na sumieniu, żałuj! Jeżeliś krzywdę wyrządził;
chciej

wynagrodzić; jeżeli tobie wyrządzono krzywdę, przebacz! Jeżeli masz tęsknotę w sercu i jakie jeszcze pragnienia w życiu niespełnione, ofiaruj je na okup. Miej nadzieję w miłosierdzie!
Borski zdawał się słuchać. Ustami poruszał i patrzył ciągle na krzyż. Na znużone powieki jego spływał zwolna, cicho sen wieczysty... Skonał. A w tejże chwili zbliżało się ku nie-

mu przebaczenie. Do pokoju weszli razem żona, syn i wnuczka. Gdy wkrótce potem na progu stanął Sipajłło, jednym rzutem oka objął i zrozumiał wszystko.
Ostatnia rachuba go zawiodła. Został teraz sam, na obcej ziemi, bez środków do życia, potępiony przez wszystkich, bez przyszłości.

XIII.

We dwa miesiące później, nad ranem, gdy jeszcze brzask dzienny nie zdołał się przedrzeć przez ciężkie chmury, przesuujące się leniwie po niebie, szedł Jerzy Sipajłło środkiem ulicy Papin.
Zatrzymał się przed dawnym mieszkaniem Oli. Prowadził go tam bezwiedny instynkt, czyli raczej pragnienie schwywania wspomnień niedalekiej, a tak niepowrotnej przeszłości, bo przecież wiedział dobrze, że Ola oddawna już w tym domu nie mieszka. Wyrzekła się artystycznej karyery i oddana cała ojcu i babce, pozostała przy nich. Scena straciła może swoją przyszłą chlubę, artystka pozbawiła się

przyszłych upajających, rozkosznych tryumfów, lecz kobieta zyskała
najwyższe
dobro na świecie — spokój.
Jerzy stał chwilę, patrząc w okna. Były zupełnie ciemne. Kogóż
wyglądał,
wiedząc, że Oli tam niema?
Sam z siebie się zaśmiał. Echo tego śmiechu ro-

zeszło się głośno wśród pustej ulicy i brzmieniem swem szyderczem,
ostrem,
chrypliwem, przeraziło go samego.
Pil tej nocy za dużo! Głowę napelniał mu szum nieznośny, jakkolwiek
przez te dwa
miesiące przyzwyczajał się do trunków — i to jakich jeszcze! Wracił
właśnie z
kawiarni, w której teraz bywał' codziennie. Schodzili się tam nowi
jego
przyjaciele, których nazwisk nie znał; wiedział tylko, że piją dużo i
grają
chętnie. Grał co nocy do białego dnia, to zabijało pamięć i wszystkie
myśli
skupiało w jednej żądzy wygrania. Rzadko jednak wygrywał.
Wszystko, co posiadał,
co od Borskiego wyniósł, aż do zegarka, wszystko już poszło.
Został w jednym odzieniu podartem, zszarzanem.
Dziś przegrał resztę; nawet cieplejszy swój paltot musiał zostawić
szczęśliwym
zwycięzcom. Drżał z zimna.
Była to noc zimowa, bardzo chłodna, bezśnieżna, ale wilgotna. Z
chmur, nad ranem
zaczął sączyć się deszczyk drobny, przenikliwy. Nie padał, zdawało
się, a
przenikał na wskroś. Z rynien dachów ściekała woda z brzęczącym
odgłosem.
Jerzy stał drżący, chwiejąc się na nogach. Wpatrywał się w ciemne
okna i

wsluchiwał w ciszę, wśród której najwyraźniej odzywało się
monotonne dźwięczenie
kropel wody, odbijających się o blachę.
I nagle przypomniał sobie ów wieczór posepny, zimowy, w Humaniu.
Ów wieczór, w
którym rozstrzy-

gnęły się jego losy, gdy przyjechał Tomasz, aby zawezwać go do
Borskiego.
Jakaż to szalona przestrzeń oddzielała go od tych czasów?
Zaśmiał się znowu.
— Marne życie! — mruknął. I poszedł dalej. Szedł coraz wolniej,
znużony. Dokoła
zaczynało
już budzić się życie. Coraz częściej spotykał przechodniów.
Zataczając się,
potrącał ich, a oni spoglądali na niego bez gniewu, ale lekceważąco, z
pogardą.
Szarzało. Jerzy spojrzął na siebie i wzdrygnął się. Był zmoknięty,
obłocony;
surdut miał podarty, buty dziurawe. Wyglądał, jak nędzarz. Skulił się,
zgarnął
poły surduta w skostniałe ręce i począł biedz.
Przechodził w tej chwili obok niewielkiego kościoła St. Nicolas-des-
Champs,
którego piękny portal gotycki rysował się już wyraźnie w brzasku, na
chmurnem
tle nieba.
— Jerzy! — zawołał nagle głos jakiś po za nim. Sipajłło obrócił się i
ujrzał
naprzeciw siebie Zygmunta.
— Gdzie idziesz? — pytał Czarnoszyński, chwytając go za rękę —
szukałem cię
wszędzie. Wiem wszystko, wiem, żeś podobnie jak i ja nieszczęśliwy.
Chodź ze
mną!

Sipajłło mętym wzrokiem patrzył na niego. W oszołomionej trunkiem głowie plątały się bezładne myśli.
— I ja wiem wszystko! — zabełkotał — śliczny z ciebie gagatek, zabiłeś księcia, jak ja Mariettę!

Zygmunt drgnął, ale ręki Jerzego nie puścił.
— Chodź zemną! — powtarzał — chodź tam! Ręką wskazywał na kościół.
Sipajłło gwałtownie się szarpnął i zaśmiał się.
— Cha! cha! — odprawiasz znowu nabożeństwa z siostrą Anielą i księdzem Stanisławem. Winszuję!
Wyrwał swą rękę z uścisku Zygmunta i pobiegł dalej, nie patrząc za siebie.
Był już prawie dzień biały, gdy doszedł do swego mieszkania, na strychu, w małej, nędznej izdebce.
Zasłonił okno i zapalił świecę. Nie chciał patrzeć na brzask dzienny, który go drażnił.
— Po co ten dzień? po co życie? — myślał — gdy to wszystko takie marne!
— Usiadł przy stoliku i podparł głowę na rękę. To spotkanie z Zygmuntem jeszcze go bardziej rozstroiło. Na twarzy jego, zmienionej wprawdzie, postarzałej, w oczach smutnych, w głąb zapadłych, dostrzegł jednak wyraz uspokojenia.
— Ten idyota — szepnął z zawiścią — zawsze szczęśliwszy odemnie!
Oparł się na poręczu krzesła, wyciągnął nogi i usiłował myśleć logicznie.
— Co począć? Na dziś już niema żyć z czego, a jutro? Nawet zapomnienia w grze

znaleźć nie będzie mógł, bo u tych nowych znajomych swoich kredytu
nie miał,
gotówką lub w efektach kazali sobie płacić i to natychmiast!
Strach, jak on się rychło i jak gwałtownie stoczył na samo dno
przepaści! W
duszy jego gangrena sze-

rzyła się tak szybko, jak owa na ciele Marietty, jego ręka
zaszczepiona.
— Może już umarła?...
Dreszcz jakiś na tę myśl przeszedł go od stóp do głowy. Na domiar
grożono mu
jeszcze procesem kryminalnym; matka Marietty i Dr Vincent chcieli
wystąpić ze
skargą!
Mniejsza' o to! Cóżby mu jeszcze życie, świat, ludzie uczynić mogli?
Przebył już
wszystko, lotem ptaka przeleciał cała olbrzymia sferę nadziei,
pożądań, zawodów,
upadku! Modlić się, jak Zygmunt nie potrafi. Wiary nigdy nie miał,
szydził z
niej zawsze; ambicya go tylko trzymała na powierzchni, a ta, raz
złamana, nie
zostawiła nic w duszy, prócz zawiści do tych, którzy pomimo
wszystkiego, jak
Zygmunt, szczęśliwsiymi mu się zdawali. Po za nim same
rozczarowania, a przed
nim.. nic! głucha rozpacz, beznadziejna pustka!
Tak myślał. I machinalnie, ołówkiem na skrawku papieru, który leżał
na stole,
kreślił datę dnia: grudnia...
Spojrzał i zaśmiał się, jakby rzecz niespodziewaną zobaczył.
— Dzisiejszy dzień — szepnął — ostatni dzień roku i...
Wstał szybko. Z kieszeni wyjął mały rewolwer, który zwykle przy
sobie nosił w

swych wędrówkach nocnych i w czasie gry z "przyjaciółmi", których nazwisk nie znał. Rzucił go na stół.
Przeszedł się po pokoju krokiem nerwowym. Stał przy oknie, zdarł z niego firankę i spojrzął.

Dzień był biały. Zdala dochodziła wrzawa ludzkich głosów, życie już wrzało.

— A! — zawołał Jerzy — ja nie chcę żyć! nie chcę!

Chwycił stojąca na oknie butelkę, w której na spodzie było jeszcze parę kieliszków wódki.

"Wypił do kropli.

— A matka?... — zaszeptał mu jakiś głos w duszy.

Prawda, matka! U niej jednej znalazłby jeszcze pokrzepienie, pociechę; ona jedna

przygarnęłaby go, ukoła pieścizota, ona jedna nie potępiłaby — nigdy!

A on o niej zapomniał! W ostatnich tygodniach nawet listów, które od niej

nadchodziły, nie rozpieczętowywał. Całe ich stosy leżały nie czytane.

Nudziły go

ustawiczne żale, skargi, utyskiwania opuszczonej, starej kobiety.

Przystąpił do stołu i gorączkowym ruchem przerzucał te listy.

Na samym wierzchu leżał najświeższy, nieznanem mu pismem zaadresowany. To go

uderzyło.

Rozerwał kopertę i czytał.

Napróżno wzywała ukochanego syna — pisał sąsiad - od kilku tygodni była chora. W

niepokoju i tęsknocie — umarła!

"Więc teraz na prawdę nic, nawet jej niema — umarła!

Jeden ruch, by rewolwer wziąć i do skroni przyłożyć — jedna jeszcze sekunda,

jeden strzał, i trup Jurka Sipajłły zwałił się na ziemię...

Równocześnie w kościele St. Nicolas des Champs, bezkrwawą
najwyższą ofiarę
spełniał ksiądz Stanisław Gruzewski, modląc się za zaślepionych i
zrospaczonych,
za żywych i konających.
Niedaleko ołtarza, oparty o filar, stał pogrążony w zadumie, Zygmunt
Czarnoszyński.
Spotkanie z Jurkiem poruszyło go do głębi. Ujrzawszy go, zrozumiał
od razu, z
jego twarzy wyczytał całą rozpacz, która nim miotła. I przypomniała
mu się żywo
niedawna chwila, gdy on, po nagłej śmierci księcia de Sarthes,
wybiegł ze
wspaniałych salonów hrabiny de Saluces, z podobną rozpaczą w
duszy.
Całą noc tułał się wówczas po ulicach bezprzytomny, a wreszcie
znużony,
zziębnięty, zaszedł do otwartej jeszcze nocnej szynkowni.
Usiadł, kazał podać sobie wina i pił.
Obłąkanym wzrokiem patrzył na rozmaite postacie, które wychodziły
i wchodziły do
szynkowni. Postacie nędzne, obdarte, o twarzach mizernych,
strasznym, które z
podełba, podejrzliwie spoglądały na niego i jego strój balowy.
Niejeden go
zaczepiał, odzywał się do niego ochryplym głosem, szukając zwady,
ale on nie
odpowiadał nic, obezwładniony.
Wtem, przez drzwi na moment uchylone, doszedł go z ulicy tęskny,
rzewny odgłos
dzwonu.
Drgnął, powstał, rzucił zapłatę na stół i wybiegł.
Był świt. Ulicami śpiesznie szły jakieś postacie, czarne, skulone,
najczęściej

niewieście, dążąc do pobliskiego kościoła, z kądem rozchodziło się
donośnie, wśród

ciszy rannej, echo dzwonu, wzywającego pobożnych na pierwszą
Mszę świętą.

Bezwiednie Zygmunt poszedł w tę stronę. I zdało mu się, że wraca do
niego

niezapomniana, lecz zatarta już nieco w duszy przeszłość, że wróciły
lata

młodzieńcze, że obok księdza Stanisława idzie służyć mu do Mszy.

Tylko dawnej wiary w sercu nie było.

Kościół był otwarty. Zygmunt wszedł i stał obojętny, zimny.

Modlitwa nie

wybiegała jeszcze na usta.

Nagle postyszał głos.

— Orate fratres! — rzekł księdz, zwracając się do ludu i wyciągając
ku niemu

ramiona.

Zygmunt głos poznał od razu, głos księdza Stanisława. I machinalnie,
siłą

dawnych wspomnień, ustami, nie sercem, szeptał odpowiedź:

— Suscipiat Dominus hoc sacrificium...

Ale znaczenia tej ofiary nie rozumiał, nie odczuwał. Wszystko to
zdawało ma się

sztynne, zimne, formą bez treści.

W godzinę później Zygmunt w mieszkaniu księdza z jakimś martwym
spokojem,

otwierał przed nim całą swą duszę w rozmowie poufnej. Nie taił ani
błędów

swoich, ani swej oziębłości, ani swoich wątpień Księdz słuchał
poważny,

zamyślony i odrzekł krótko, łagodnie:

— Nawracać cię, Zyguncie, nie będę. W tradycyi swej, w
wychowaniu domowem, w

swej własnej wiedzy masz dostateczne podstawy, aby się zatrzymać

na tej pochyłości, na którą zawiodło cię życie. Wiara jest łaską i na nią zasłużyć trzeba.

— Jakim sposobem? — spytał Zygmunt.

— Pracą i ofiarą — odrzekł ksiądz. — Masz wiązki dla rodziców, którzy starzy są i w niedostatku. Szukaj więc pracy takiej, któraby nie ambicyi twojej, lecz tym

obowiązkom zadość czyniła. W takiej pracy znajdziesz oczyszczenie ducha, w

takiej pracy jest już ofiara, która ci sprowadzi z czasem łaskę wiary.

Tylko w

ten sposób ją zdobyć możesz, a nie rozumowaniem i dyskusya. Ty mówisz, żeś

nieszczęśliwy, i w tej niedoli swej zasklepiasz się, ubolewając nad sobą, a ja

ci pokażę nędze stokroć większe, które się wszakże dźwigają.

I prowadził go do najuboższych i najnędzniejszych.

Podczas gdy panna Aniela, jako Siostra Miłosierdzia, przynosiła ulgę chorym i

konającym, ksiądz Stanisław, przybywszy przed rokiem do Paryża, niósł pociechę i

pochrzepienie moralne żywym a nędznym.

W dzielnicy robotniczej, na całym przedmieściu św. Antoniego, znano już dobrze

księdza Stanisława. Wchodził on tam, gdzie była największa niedola, gdzie z

nędzą łączyły się występki i zbrodnia, gdzie nie uznawano żadnych zasad, żadnego

nie znoszono hamulca, gdzie był ciągły, często bezwiedny grzech.

Ksiądz

Stanisław kojarzył i godził, wracał dzieciom rodziców, uczył obowiązków

wzajemnych. W ogniska domowe wnosił pokój, sercom przywracał czystość

uczuc, umysłom równowagę, zrospaczonych jednał z życiem.
A Zygmunt, patrząc na to działanie, zaczynał odżywać. Mgła
zwątpienia zwolna
ustępowała z duszy.
Szukał pracy. A w tem poszukiwaniu znalazł niespodziewaną pomoc
w przybyłym na
czas jakiś do Paryża, kuzynie swym, Szarzyckim. owym
rozpieszczonym niegdyś
Henrysiu, którego akcent paryzki tak rozdrażnił był marszałka.
Henryk, przybywszy do Paryża, odszukał Zygmunta i zbliżył się do
niego, a był
zrazu niewytłumaczonym dla Czarnoszyńskiego zjawiskiem.
Wychowany w warunkach,
które się najgorszemi zdawały, wyrósł na człowieka nietylko
ukształconego, lecz
pragnącego pracy i umiejącego pracować.
Przyjechał do Paryża w celu przedsięwzięcia studyów historycznych
w archiwach
tamtejszych, a był już docentem krakowskiej wszechnicy.
— Jak się to stało? — pytał Zygmunt. Henryk spojrział na niego
rozpromienionym
wzrokiem.
— Widzisz, mój drogi — odparł — żyjemy tam teraz w warunkach
normalnych, a
przekonałiśmy się wszyscy, że drogą wytrwałości i pracy można u nas
zrobić dużo.
Do działania mamy obszerne pole.
— Tak — dodał ksiądz Stanisław — i nie zaniedbujcie tego pola, w
takiej pracy
przyszłość! My zaś, pozbawieni normalnych warunków bytu i
rozwoju, przeniesieni
na grunt obcy, pamiętać winniśmy o tem, że tu dla ambicyi naszych
miejsca niema.
Ofiarę przyj-

mie i uzna społeczeństwo każde — wygórowaną ambicję przebaczyć
może tylko —
własne.

Henryk Szarzycki, mający liczne stosunki i listy polecające do
osobistości
wpływowym, ułatwił Zygmuntowi uzyskanie posady w jednej z
bibliotek. Posada
była skromna, ale zapewniająca utrzymanie i dająca sposobność do
pracy
umysłowej.

Zygmunt marzył teraz o sprowadzeniu rodziców do siebie, bo w
Julinie coraz
większy był niedostatek, z którym oni walczyć nie umieli.
Z panią Stefazią przez długi czas nie widywał się wcale. Ireney widzieć
nie
chciał. Mówiono, że wychodzi powtórnie za mąż za dawnego
adoratora swego,
wicehrabiego de Lormes.

O Oli wiedział Zygmunt, że jest uspokojona, niemal szczęśliwa, przy
ojcu i
babce, których pielęgnowaniu oddała się zupełnie. I cieszył się jej
szczęściem.

Długi czas nie widywali się wcale, a spotkawszy się raz, przypadkiem,
podali
sobie ręce i nie wspominając
o przeszłości, powitali się spokojnie, jak witają się ludzie, którzy
troski swe,
pożądania i walki przeżyli
i wyszli z nich, nie pragnąc nic już dla siebie, ze świadomością, że
spokój
ducha i cicha praca, to najwyższe i jedyne dobro na ziemi.

Czas leciał niepowstrzymany. W roku republikańska Francja dawała
wielkie
widowisko światu. U stóp wieży Eiffel cisnęły

się narody podziwiać potęgę bogactwa i techniczną doskonałość postępu.

Po schodach wieży, w licznych i świetnym towarzystwie, szła z wolna Irena.

Postępowała z trudem, otyła bardzo, śmiejąca się zawsze, wesoła.

Obok niej, krokiem dość niepewnym, z wyrazem znudzenia na wybladłej twarzy i w

przygasłych oczach, szedł mąż jej, wicehrabia de Lormes.

— Miły wynalazek ta wieża! — szeptał i krzywił się.

Na górnej platformie, u samej balustrady, stała Ola, zapatrzona w dal mroczną.,

niewyraźną.

Był wieczór pogodny. Patrząc z góry, całe olbrzymie miasto,

rozścielone u stóp

wieży, a otulone w mgle białej, wyglądało, jak równa, nieskończona przestrzeń.

Czasem z mgły tej wydstawał się szczyt wieżyczki lub kopuły i w zniżających się

ku zachodowi promieniach słońca, migotał jaskrawo.

Obok Oli stał Zygmunt.

— Co się stanie — mówił — z temi zdobyczami kończącego się stulecia? Techniczne

zdobycze wielkie, ale w umysłach coraz większy mrok, coraz gęstsza mgła, coraz

mniej siły ducha, coraz słabsza wola, coraz większe rozprężenie nerwów. Co

będzie z tem pokoleniem, które po nas przyjdzie, co my zostawimy mu w spuściznie

duchowej? Nic! My "Najmłodszy" z działających w tem stuleciu, my, którzy czynami

naszego ducha mamy wycisnąć ostatnie na niem piętno, cóż zostawimy po sobie?

Chyba wspomnienie naszej newrozy?

— Zostawimy wielką naukę — odrzekła Ola. — Z tych walk i wątpień, jakie

przebyliśmy, zostanie jedno: sprawdziliśmy na sobie, że teorie, które nas obłąkały, są kłamstwem. My wszyscy — najmłodszy, jak ich nazywasz, pomimowoli ulegaliśmy mniej lub więcej tym teoryom i zasadom, wokoło nas wygłaszanym. Ulegaliśmy i sprawdziliśmy ich nicość. I oto dziś, pozytywizm, realizm bezwzględny, naturalizm, te wszystkie hasła rozbrzmiewające do niedawna tak głośno, które nas przenikały, słabną. Przyszłe pokolenie już ich nie uzna.

— Ale — przerwał Zygmunt — winno uznać i przyjąć to, co było rzeczywiście dobrego w tych hasłach, a mianowicie, odrzucając krańcowość, przyjąć szczerą uczuciach, trzeźwość pewną w poglądach, praktyczność w życiu, źródłową gruntowność w nauce i krytyce, prawdę w sztuce.

— Byleby — wtrąciła Ola — wierzyło tak, jak my dziś po doświadczeniach wierzymy; byleby przy całej praktyczności nie zapominało o tej prawdzie, że idealnych uczuć pozbywać się człowiekowi nie wolno pod grozą utraty największej dźwigni w życiu. Wszak ciebie, Zygmunco, wiesz dobrze, z niebezpiecznego wiru, w którym zginąć mogłeś, ocaliło nie co innego, tylko tradycja dawna, idealna wiara młodzieńcza. Mnie także ocaliła ta wiara i... Zawahała się chwilę. A potem dodała nagle:

— Dziś już chyba bez rumieńca przy siwiejących

włosach powiedzieć mogę: Ocaliło mnie idealne uczucie dla Ciebie... Podali sobie ręce i stali tak chwilę, zapatrzeni w dal mroczną, zawieszeni w

przestrzeni mglistej na chwiejnej podstawie wieży.
I równocześnie z ust ich, wraz z westchnieniem, wyszły słowa:
— Biedny Jurek! Nie miał tej dźwigni i padł ofiarą!
— A! — ozwała się Ola po chwili namysłu, jakby w swej duszy
usprawiedliwienia
dla Jurka szukała — ten, który zechce nas sądzić... nas, oderwanych
od gniazda,
szukających warunków bytu wśród obcych, ten musi jeszcze inną
wynaleźć miarę
sądu dla takich "Najmłodszych". Ten winien zbadać od początku, od
ich
dzieciństwa, wszystkie koleje, wmyśleć się w ich myśli, zrozumieć ich
uczucia,
przejąć się ich bolem, ocenić to wszystko, zrównoważyć i chyba...
przebaczyć!...
— Ileż to — dodał Zygmunt — wpływów, zupełnie odrębnych,
obcych całkowicie
innym, szczęśliwszym, działało i oddziaływa na nas, na wytworzenie
naszych
usposobień i charakterów. My często w najbliższej rodzinie, sami
siebie rozumieć
już nie umiemy.
Zamilkli znowu, smutni.
Zmierzch spływał na ziemię. Wierzchołek wieży błyszczał jeszcze w
słońcu, a u
spodu, na całej przestrzeni, mgła szara, coraz gęstsza, zarównywała
wszystko.
Błąkały się tylko na tej powierzchni równej od-

blaski barwne, spadające z góry; mieniły się chwilę tęczowo i nikły.
Ola ramiona wyciągnęła w uniesieniu. — Zygmunco! — rzekła z
cicha, głosem, w
którym łzy drżały — popatrz, to step!...
On spojrzął i zatonął wzrokiem w nieskończonem przestworzu.
— Czy my tam kiedy wrócimy? — szepnął.
— Miejmy nadzieję! — odrzekła Ola.

KONIEC.